

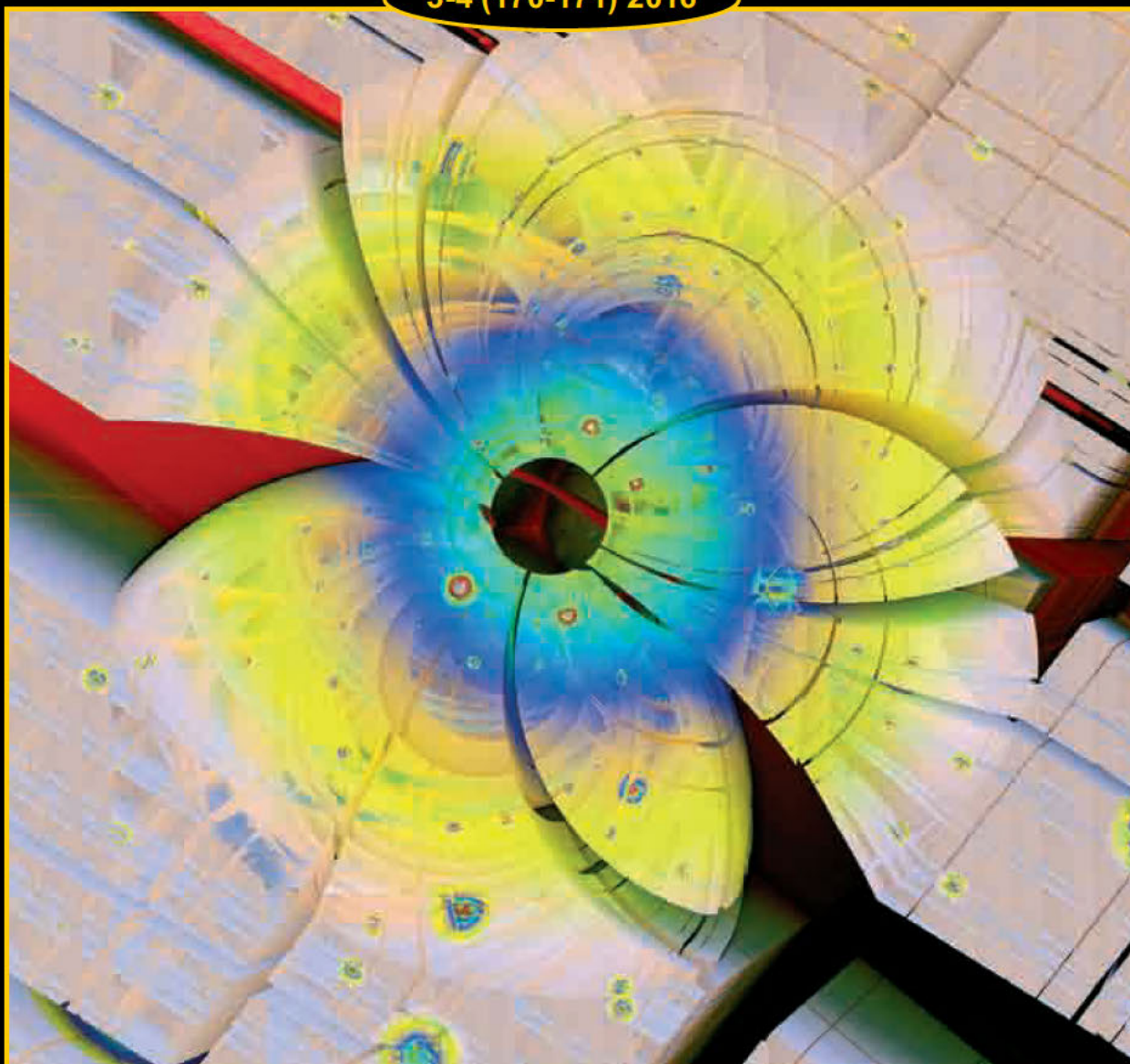
ZDANIE

„Trzech na jednego”
z EDWARDEM CHUDZIŃSKIM

Andrzej Walicki,	POLSKA RACJA STANU: W. Cimoszewicz,
ZAPISANE W DZIENNIKU	A. Kwaśniewski, A. Kurz, B. Łagowski, A. Romanowski
Lech M. Nijakowski,	Audrey Kichelewski,
EUROPEJSKIE „KOZŁY OFIARNE”	BYĆ ŻYDEM W POLSCE...

Anna Augustyniak - WIERSZE

3-4 (170-171) 2016



Firma SKORUT Systemy Solarne, od prawie 20 lat produkuje kolektory słoneczne oraz panele fotowoltaiczne. Zainstalowaliśmy dotychczas ponad 55 tys. m² instalacji solarnych, w 2015 roku wykonaliśmy 8 MW instalacji fotowoltaicznych. Jesteśmy też wykonawcą największej w Polsce farmy fotowoltaicznej w Ostrzeszowie o mocy 2MW, co stawia nas w czołówce polskich producentów na rynku odnawialnych źródeł energii.

Produkowane przez nas kolektory słoneczne i panele fotowoltaiczne cechuje solidność, wysoka wydajność, bezpieczeństwo użytkowania, profesjonalny serwis gwarancyjny i pogwarancyjny oraz spełnienie wymagających norm jakości i bezpieczeństwa.

Realizujemy inwestycje związane z odnawialnymi źródłami energii dla Klientów indywidualnych (domy jednorodzinne), instytucji, samorządów i firm. Zapewniamy też kompleksową obsługę: od projektu po wykonanie.

Naszą misją jest Klient, jego zadowolenie i profesjonalna obsługa. Celem naszej działalności jest zapewnienie korzystnego wyniku ekonomicznego w stosunku do poniesionych kosztów inwestycji.

Zapraszamy do współpracy!

SKORUT Systemy Solarne ® Sp. z o.o.,
ul. Wybickiego 71, 32-400 Myślenice, Polska

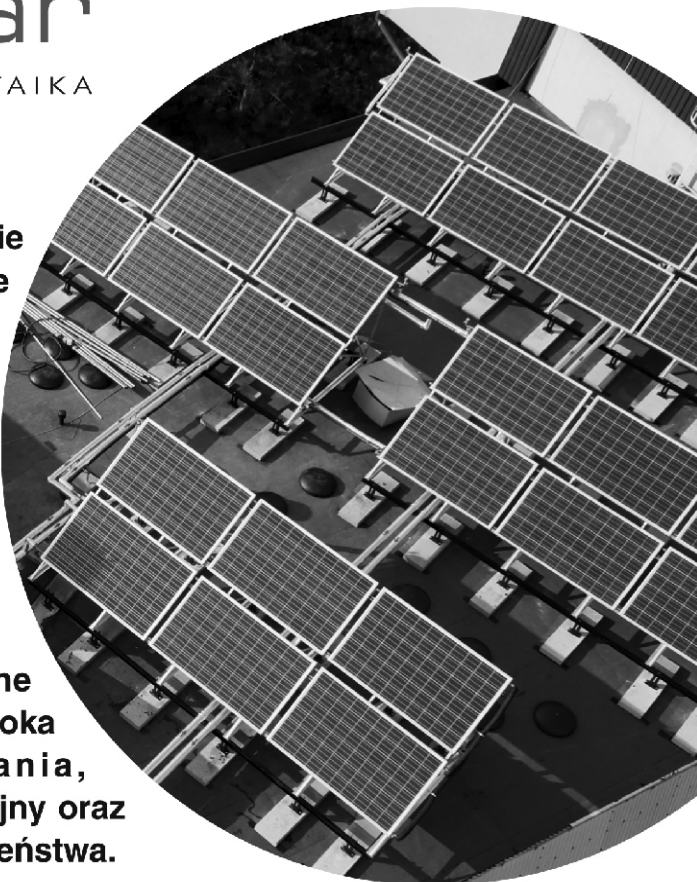
BIURO

tel: +48 12 272 20 25
tel/fax: +48 12 272 31 24
tel. kom. :+48 695-656-941
office@skorut-solar.pl

SPRZEDAŻ

tel: +48 12 272 20 25
tel. kom. :+48 731-656-941
sprzedaz@skorut-solar.pl

Zakład Produkcyjny w Głogoczowie,
Głogoczków 526, 32-444 Głogoczków



ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

3–4 (170–171) 2016

OD REDAKTORA

W maju „Kuźnica” zorganizowała doroczne sympozjum, tym razem na temat polskiej racji stanu. W panelu udział wzięli: Włodzimierz Cimoszewicz, Andrzej Kurz, Bronisław Łagowski i Andrzej Romanowski. List do uczestników skierował prezydent Aleksander Kwaśniewski. Starym zwyczajem udostępniamy materiały z sympozjum, zachęcając do ich lektury.

W numerze tekstów godnych polecenia jest znacznie więcej. Przede wszystkim na uwagę zasługują przemyslenia prof. Andrzeja Walickiego na bardzo aktualne tematy, podobnie jak specjalnie napisany dla nas przez dra hab. Lecha M. Nijakowskiego artykuł o organizacjach skrajnych w Europie, których działalność jest wymierzona w mniejszości. Z tym tekstem koresponduje prezentacja nowej

partii w Niemczech – Alternative für Deutschland, odnotowującej rosnące poparcie i co za tym idzie spektakularne sukcesy w wyborach. Z materiałów dotyczących zagranicy polecam lekturę „Trockistów” z Waszyngtonu Marka Zagajewskiego oraz *Sygnaly ze Wschodu* Jacka Wojciechowskiego. A poza tym piszemy o sytuacji Żydów w powojennej Polsce, o ideologii, odradzającej się cenzurze, dyplomacji (na przykładzie Czesława Miłosza), teatrze (50-lecie STU), hejterstwie oraz stratyfikacji jedzenia.

Na koniec *pro domo sua*. W cyklu „Trzech na jednego” nietypowa rozmowa byłych naczelnych z obecnym o „Zdaniu” i sobie samych – niekoniecznie „do potomności”.

EDWARD CHUDZIŃSKI

EDWARD CHUDZIŃSKI, ADAM KOMOROWSKI, ZBIGNIEW REGUCKI, MARIAN STĘPIEN Jak naczelni z Naczelnym (<i>Trzech na jednego</i>)	3
Andrzej Walicki ZAPISANE W DZIENNIKU	14
Sympozjum „Kuźnicy” PROBLEMY POLSKIEJ RACJI STANU	26
Aleksander Kwaśniewski DO UCZESTNIKÓW...	26
Włodzimierz Cimoszewicz INTERESY PAŃSTW EUROPEJSKICH...	27
Bronisław Łagowski RACJA STANU A IDEOLOGIA PANUJĄCA III RP	33
Andrzej Romanowski POLITYKA WSCHODNIA OSTATNICH LAT	36
Andrzej Kurz O POLSKIEJ RACJI STANU I MICIE PATRIOTYZMU	40
Lech M. Nijakowski ORGANIZACJE SKRAJNE A MNIEJSZOŚCI	43
Wiesław Wysocki AfD, czyli ALTERNATYWA DLA NIEMIEC?	48
Marek Zagajewski „TROCKIŚCI” Z WASZYNGTONU	55
Audery Kichelewski BYĆ ŻYDEM W POLSCE 1945-1989	62
Jacek Wojciechowski SYGNAŁY ZE WSCHODU	69
Paweł Kozłowski BEZ IDEOLOGII	78
Edward Karolczuk ODNOWIONA CENZURA	82

88 Marian Stępień CZESŁAW MIŁOSZ JAKO DYPLOMAT W SŁUŻBIE PRL	
94 Bolesław Faron Z PIEKŁA RODEM. O JÓZEFIE OLEKSYM	
99 Stanisław Gębala HUFCE HEJTERSTWA POLSKIEGO I ICH HETMAN WIELKI	
102 Jan Broniek KRYZYS I ROZWIĄZANIE ZMP	
105 Henryk Domański O STRATYFIKACJI JEDZENIA	
108 Andrzej Kurz „KOWADŁO” DLA EDWARDA CHUDZIŃSKIEGO	
109 Krzysztof Mroziewicz MAMY SZCZĘŚCIE BYĆ POKOLENIEM Z BIOGRAFIĄ	
110 Edward Chudziński MOJE ODCHYLENIE LEWICOWE	
111 Tomasz Sękowski O NIEPEŁNOSPRAWNYCH	
114 Jerzy Surdykowski SAMOTNOŚĆ	
117 Anna Augustyniak WIERSZE	
118 Krzysztof Mroziewicz JASIŃSKIEGO DROGA PRZESZŁOŚCI	
125 Adam Kulawik WIERSZE SIÓSTR KARMEL	
128 Andrzej Kurz PAMIĘCI HENRYKA VOGLERA	
129 Krzysztof Komornicki U NAS SWITA...	
130 Tomasz Goban Klas POTĘŻNY I SILNY, CZY POZORNIE WIELKI I SŁABY?	
131 Sceptyk ZACHOWALI SIĘ JAK TRZEBA	



Fot. Grzegorz Kozakiewicz



JEDEN:
EDWARD CHUDZIŃSKI
 TRZECH:
ZBIGNIEW REGUCKI
MARIAN STĘPIEŃ
ADAM KOMOROWSKI

JAK NACZELNI Z NACZELNYM

EDWARD CHUDZIŃSKI: Nieraz rozpoczynaliśmy rozmowy Trzech na jednego od stwierdzenia: nie będziemy udawali, że się nie znamy. W tej rozmowie mamy podobną sytuację, bo znamy się od wielu lat, a ja ze Zbyszkim Reguckim od ponad pół wieku. Nie zmienia to faktu, że po raz pierwszy w dziejach „Zdania” spotyka się jego czterech redaktorów naczelnych, by porozmawiać m.in. o „Zdaniu”, a także o latach, co minęły. Moim życzeniem jednak jest, żebyśmy rozmawiali jak byli naczelni z obecnym, czyli po partnersku, bez wyraźnego podziału ról przyjętym w tym cyklu.

MARIAN STĘPIEŃ: Bezpośrednim powodem naszego spotkania jest przyznanie Ci kuźniczańskiej nagrody „Kowadła”, a „Zdanie” od lat prezentuje jej laureatów w cyklu *Trzech na jednego* na swoich łamach. Zacznę więc od pytania: jak to się stało, że znalazłeś się w Krakowie, choć przecież pochodzisz z Pomorza nadwiślańskiego, z którym i mnie wiele łączy?

CHUDZIŃSKI: Urodziłem się jakieś 500 kilometrów stąd, w miasteczku Radzyń Chełmiński, gdzie Krzyżacy wybudowali jeden ze swoich najbardziej okazałych zamków. Jego ruiny są do dziś atrakcją turystyczną, obok paru jeszcze zabytków z XIII wieku i średniowiecznego układu przestrzennego miasta, który zachował się do dziś.

ADAM KOMOROWSKI: Ale dlaczego Kraków?

CHUDZIŃSKI: W Krakowie znalazłem się dlatego, że nie dostałem się na studia w Gdańsku i to dwukrotnie. Pierwszy raz po maturze na politechnikę; tam moja starsza siostra studiowała budowę okrętów, a ja ubiegałem się o przyjęcie na wydział mechaniczny. I być może kilka lat później budowałbym „fiaty” i „polonezy”, ale zabrakło dla mnie miejsca. Ponieważ na świadectwie maturalnym miałem dobre oceny także z przedmiotów humanistycznych, postanowiłem sprawdzić się na polonistyce. Wtedy otwierano w całej Polsce studia nauczycielskie jako studia półwyższe. Najbliżej mi było do Torunia i tam po dwóch latach nauki ukończyłem filologię polską. Znalazłem się w gronie bardzo rozbudzonych intelektualnie rówieśników, którzy w większości schronili się na SN-ie przed poborem do wojska. W tych półwyższych szkołach w ramach zajęć na Studium Wojskowym odbywaliśmy szkolenie, po zakończeniu którego i zdaniu egzaminu uzyskiwało się przeniesienie do rezerwy.

ZBIGNIEW REGUCKI: Nie byłeś jedynym, który schronił się na studium nauczycielskim przed poborem do wojska. Krzysztof Jasiński znalazł się na SN-ie w Poznaniu, a ja też ukończyłem takie studium w Katowicach.

CHUDZIŃSKI: A Maciej Kossowski, późniejszy solista Czerwono-Czarnych, autor i wykonawca *Dwudziestolatków* i *Wakacji z Agatką*, który notabene kończył trzy lata przede mną to samo Liceum Ogólnokształcące

ce w Grudziądzu, przed wojskiem ratował się na SN-ie w Gdańsku. Los nas zetknął na obozie wojskowym w Giżycku, gdzie w czasie wakacji zaliczaliśmy drugi rok Studium Wojskowego. Studia bowiem trwały dwa lata, a szkolenie wojskowe trzy. Na tym obozie Maciek zorganizował zespół muzyczny, w którym on, zachowany w Armstrongu, grał na trąbce, a ja na akordeonie. Dostaliśmy zaszczytu zagrania paru numerów na dansingu w klubie garnizonowym. Nawiasem mówiąc, ja na to Studium Wojskowe chodziłem na ochotnika, bo zdając maturę w wieku 17 lat nie podlegałem powszechnemu obowiązkowi wojskowemu.

KOMOROWSKI: Kończysz studium nauczycielskie i co dalej?

CHUDZIŃSKI: Były wtedy w Polsce cztery wyższe szkoły pedagogiczne i do wszystkich złożyłem podanie z prośbą o przyjęcie na drugi rok polonistyki. Taką mieliśmy prawnie zagwarantowaną możliwość. Pozytywnie zareagowało Opole, Katowice i Kraków. Gdańsk mnie znowu odrzucił, bez podania powodów. Mogłem nabawić się kompleksu, ale Kraków, który wybrałem, ostatecznie mnie wyleczył z nieodwzajemnionej miłości do Gdańska.

REGUCKI: Dlaczego wybrałeś Kraków?

CHUDZIŃSKI: Wybór był oczywisty. Jeśli nie Gdańsk, to Kraków nie miał konkurencji, choć Opole i Katowice zaoferowały lepsze warunki studiowania (akademik i stypendium). W Krakowie nikogo nie znałem, początki były bardzo trudne, myślałem o powrocie do domu. Jednak po dwóch miesiącach wystawiania w kolejce do dziekana dostałem akademik i stypendium, a do połowy grudnia zdałem tzw. przedmioty wyrównawcze, których nie miałem na SN-ie. Jak się o tym dowiedział opiekun roku, zaproponował mi, po konsultacji z władzami uczelni, przejście na rok trzeci. A ten szedł kursem jeszcze czteroletnim, podczas gdy ja zostałem przyjęty na drugi rok studiów pięcioletnich. Zastanawiałem się krótko. Zdążyłem już posmakować Krakowa, uroki życia studenckiego poznałem w Toruniu i... nie zdecydowałem się, choć pokusa była – mogłem zostać magistrem filologii polskiej w wieku 21 lat. Po studiach zostałem na uczelni i na niej, choć jej nazwa się zmieniała (WSP, AP, teraz UP) dotrwałem do emerytury.

STĘPIEŃ: Doktoryzowałaś się z pracy *W kręgu kultury i literatury chłopskiej 1818-1939* i byłeś temu tematowi przez lata wierny, choć stałeś się także badaczem regionalizmu i mediów. A zwieńczeniem twojej działalności na niwie kultury jest zainicjowana przez Ciebie i zredagowana wielka praca zbiorowa poświęcona kulturze studenckiej. Podkreślasz tam zresztą, że pojęcie „kultura studencka” nie jest ścisłe, bo sugeruje młodość i pewną niedojrzałość, gdy była to w istocie kontrkultura niejako ukrywająca się pod hasłem „studenckości”... Dla mnie jesteś przedstawicielem pokolenia, którego najważniejszym doświadczeniem był Marzec 68, a w twoim przypadku dodatkowo pismo „Student”. Pamiętam twoje felietony podpisane Anioł Szczęsny Patrzydło... Wokół „Studenta” zgromadzili się poeci Nowej Fali: Barańczak, Krynicki, Kornhauser, Zagajewski, Stabro. Pi-

sywali tam też życzliwi wam starsi pisarze, a także znani profesorowie-humaniści. Inna twoja twarz to Teatr STU.

CHUDZIŃSKI: Określenie Telepatrzydło spopularyzował Hanuszkiewicz, ja zapożyczyłem tylko jeden człon, a resztę pseudonimu od kolegów, którzy mieli oryginalne imiona i je eksponowali.

KOMOROWSKI: Jesteś swego rodzaju fenomenem w polskim dziennikarstwie, będąc przez ponad 50 lat wierny jednej formie wypowiedzi – felietonowi. Ile ty tych felietonów napisałeś?

CHUDZIŃSKI: Kiedyś próbowałem podliczyć. Bez powodzenia, ale myślę, że zbliżam się do tysiąca. Przede wszystkim nie pamiętam wszystkich pseudonimów, pod którymi pisywałem. Kiedyś trafiłem na stary numer „Suplementu”, pisma Stowarzyszenia Autorów Polskich i znalazłem felieton podpisany pseudonimem. Wydał mi się znajomy, ale nie byłem pewien, kto to napisał? Okazało się, że ja i to w kilku numerach. Niedawno przypomniano mi, że pisywałem felietony do „Gazety Festiwalowej” na Festiwalu Filmów Krótkometrażowych przez kilka lat. Zupełnie mi to wyleciało z pamięci! Kiedy z redakcji Słownika Pseudonimów przysłano mi listę kilku – a mam ich ponad dwadzieścia – moich pseudonimów z prośbą o ich potwierdzenie, odpowiedziałem, że po to się ich używa, żeby ukryć tożsamość autora! Zatem nie potwierdzam i nie zaprzeczam!

STĘPIEŃ: Kiedy kierowałem „Zdaniem”, ogromnie mnie irytowało, że pewne teksty Edka, czyli „Sceptyka” są cytowane, albo podchwytywane przez innych bez podania źródła. Tak było zresztą i z innymi naszymi inicjatywami. Pamiętam, jak zwróciliśmy się do liczego grona publicystów, w tym Krzysztofa Teodora Toeplitza, z prośbą o wypowiedź na temat *Jak wyzwolić energię Polaków*. Toeplitz nie odpowiedział, natomiast wkrótce opublikował na ten temat felieton... w „Polityce”. Uważam, że powinieneś felietony ze „Zdania” zebrać i wydać. Może nie wszystkie, ale na pewno wiele z nich nie straciło na aktualności. A nawet jakby ostatnio zyskiwały... Widać w nich, jak autor wylaamywał się z postuszeństwa „linii partyjnej”, której wówczas podporządkowana była w mniejszym czy większym stopniu cała prasa. A w „Zdaniu” ta niezależność Sceptyka bywała kłopotem dla naczelnych, także dla mnie i dla Hołuj jako prezesa „Kuźnicy”, który wręcz stwierdził, że nie może podjąć się kierowania redakcją, skoro to co on napisze na pierwszej stronie, na ostatniej zakwestionuje Sceptyk.

KOMOROWSKI: Trudno byłoby w Polsce znaleźć człowieka, który tak długo pisze o telewizji, toteż badacze mediów będą musieli sięgać po teksty Edka po prostu z braku lepszego źródła. Mają te felietony dzisiaj wartość dokumentalną, ale kiedy się ukazywały w latach 70. w „Studencie”, co i rusz wybuchały afery.

CHUDZIŃSKI: Skończyło się tak, że na żądanie decydentów zniknął z łamów Patrzydło, a na jego miejscu pojawił się Sukcesor, który trochę poskromił swój temperament krytyczny, lecz tak naprawdę da-

lej robił swoje, gdyż to był ten sam autor. Okazało się to możliwe, bo pismo ukazywało się pod patronatem Zrzeszenia Studentów Polskich – organizacji, która miała na sztandarach wypisane hasło „Uczymy się służyć socjalistycznej ojczyźnie”, a w gruncie rzeczy przypominała korporację studencką skrzyżowaną ze związkiem zawodowym. Należało do niej ponad 90 procent studentów, bo nie wymagano deklaracji światopoglądowej.

REGUCKI: Tak było do lat 70. Później ZSP, żeby przetrwać, musiało przekształcić się w Socjalistyczny Związek Studentów Polskich, ale i tak udało się ocalić wiele z dotychczasowego dorobku.



Zbigniew Regucki, 1982

CHUDZIŃSKI: Poznałem Cię, gdy byłeś przewodniczącym Rady Uczelnianej na naszej uczelni, a potem poszedłeś do Rady Okręgowej ZSP. Mieszkaliśmy w jednym pokoju w akademiku i ty mnie poleciłeś Mietkowi Czumie, wówczas przewodniczącemu Komisji Kultury Rady Okręgowej, na stanowisko jej sekretarza. I tak się zaczął mój romans ze Zrzeszeniem Studentów Polskich, który trwał do końca lat 70., choć nie pełniłem w tej organizacji żadnych funkcji z wyboru, pomijając okres studiów. Żyłem wprawdzie z etatu asystenta na uczelni, ale pochłaniała mnie wtedy kultura i prasa studencka. Przez wiele lat byłem członkiem Rady Artystycznej Teatrów Studenckich, zasiadałem w jury wielu festiwali, znalazłem się w gronie założycieli „Studenta”, gdzie kierowałem działem kultury, a potem zostałem zastępcą redaktora naczelnego. Od 1970 roku do dziś związany jestem z Teatrem STU, przez 23 lata jako kierownik literacki. Nie ukrywam, że działalność w ZSP zarówno mnie, jak i wielu moich kolegów ukształtowała na całe życie.

REGUCKI: „Student” jest poglądową egzemplifikacją paradoksów historii. Pismo, którego pierwszy numer ukazał się pod koniec 1967 roku, miało być trybuną wypowiedzi młodzieży studenckiej, prezentować jej ambicje i aspiracje, zaś w zamyśle tzw. czynników miało wspierać partię i jakoś kanalizować te ambicje w nurcie, jak widzimy to dziś, konformistycznym. Potem przyszedł Marzec 68 i czasopismo złapało wiatr w żagle, stając się w latach 70. jednym z najciekawszych, a zarazem kontrowersyjnych z punktu widzenia władzy tytułów w Polsce. Widać to choćby po ilości ingerencji cenzorskich, w których „Student”, obok „Tygodnika Powszechnego”, zdecydowanie przodował.

CHUDZIŃSKI: Samo pismo rodziło się w bólach. Najpierw wychodził pod redakcją Maćka Szumowskiego „Kurier Akademicki” jako jednodniówka. Ja, przy pomocy Krzysztofa Miklaszewskiego, zredagowałem dwa kolejne numery: na pamiętne Juwenalia 600-lecia i na 1000-lecie Państwa Polskiego. Kontynuacji nie było, gdyż postawiliśmy niejako ultimatum: albo powstanie regularnie ukazujące się pismo, albo „Kurier” przestaje wychodzić. Poszedłem z tym do Zbyszka Reguckiego, wówczas przewodniczącego Rady Okręgowej ZSP, który zresztą od dawna zabiegał „u władz” o zgodę na wydawanie czasopisma studenckiego. Wojna trwała o tytuł, bo my chcieliśmy robić pismo studentów i młodej inteligencji, a władza koniecznie chciała nas trzymać w ogródku. A poza tym nasza formuła kojarzyła się z „Po prostu”, które zaczynało jako pismo ZMP, z podtytułem „tygodnik studencki”, a kiedy redakcja dopisała „i młodej inteligencji” – zaczęły się problemy... I wiadomo, jak to się skończyło. Tym razem władza też postawiła na swoim i zaczął ukazywać się miesięcznik „Student”.

Był jednak od początku pewien problem. W redakcji znalazło się bodaj dwóch studentów, a resztę zespołu stanowili absolwenci. Pierwszy naczelny zdążył skończyć dwa fakultety. Ja, podobnie jak paru innych kolegów, pracowałem na uczelniach, co dawało nam pewne poczucie niezależności. W marcu 1968 roku jak u Gałczyńskiego „urośli nam skrzydła”, a naszą *Gorzką lekcję*, ze strachu, żeby nie zaprezentować własnego zdania, cytowały niemal wszystkie pisma w Polsce, z organami komitetów wojewódzkich PZPR włącznie. „Student” stał się z dnia na dzień tytułem ogólnopolskim i opiniotwórczym, a miał być piśmkiem środowiskowym.

Potem zrobiliśmy głośną ankietę, w której wzięli udział ówcześni luminarze nauki polskiej, jak Tadeusz Kotarbiński, Józef Chałasiński, Kazimierz Wyka, a nawiązany wówczas kontakt z Janem Szczepańskim wykorzystałem po latach w „Zdaniu”. Z mojej inicjatywy zaczął profesor pisać recenzje w stałej rubryce *Moje lektury*. W jednej z nich zauważył moją książkę o kulturze i literaturze chłopskiej, co – nie ukrywam – sprawiło mi satysfakcję. Kiedy Adamowi Komorowskiemu Zygmunt Bauman podziękował osobiście za tekst w „Zdaniu”, zażartowałem, że powinniśmy obydwaj te „laurki” oprawić w ramki i trzymać na biurku.

REGUCKI: Do kiedy ty byłeś w „Studentie”?

CHUDZIŃSKI: Do końca 1973 roku. Kiedy przekroczyłem 30. i zrobiłem doktorat, powiedziałem: pas! W tym wieku robić „Studenta” już nie wypadało. Ale mówmy o „Zdaniu”. Powiedz Zbyszku, jak to twoje „Zdanie” się rodziło. Najpierw bowiem w Wydawnictwie Literackim, a później w KAW-ie wychodziło „Zdanie” w formie książkowej redagowane przez Józefa Lipca. W sumie wyszło 15 tomów małego formatu. Przypominały one bardziej antologię tekstów autorów związanych z „Kuźnicą” niż czasopismo. Natomiast ty uruchomiłeś miesięcznik, który wychodził w latach 80., a po kilkuletniej przerwie na początku lat 90. ukazuje się do dziś jako kwartalnik, a *de facto* półrocznik (dwa łączone numery: 1-2 i 3-4).

KOMOROWSKI: Format graficzny i layout zaprojektował Mściwoj Olewicz, a jak rodziła się formuła pisma, jego układ rzeczowy itp.

REGUCKI: Nie przypisuję sobie prawa do autorstwa formuły pisma, nie twierdzę, że stworzyłem koncepcję „Zdania”... Gdyby nie było „Kuźnicy” i dyskusji, jak na owe czasy (lata 70. i 80.) ogromnie odważnych, gdyby nie było Tadeusza Hołuj, to myślę, że i „Zdania” by nie było. Ale ta atmosfera, potrzeba wyrażenia rodzących się w sporach poglądów na szerszym forum niż w dyskusji klubowej, przyczyniła się do podjęcia starań o powołanie nowego pisma w miejsce kwartalnika, który redagował Józef Lipiec. Nie robiliśmy żadnych badań ani prasoznawczych analiz, były natomiast dziesiątki rozmów. Mieszkałem wtedy w Warszawie i wiele pomysłów wynikało z moich rozmów ze Stefanem Bratkowskim, z którym się wówczas często widywałem. Także z Ryśkiem Kapuścińskim, z innymi... Gdy już wiedziałem, że odejdę z Warszawy, gdzie kierowałem biurem I sekretarza KC, zaproponowałem Tadeuszowi Hołujowi, prezesowi „Kuźnicy”, żeby powołać miesięcznik o szerokim zasięgu – 20-30 tys. egz. I od września zaczęła się konstituować redakcja, przygotowywaliśmy pierwszy numer, który miał się ukazać w styczniu 1982 roku, a 13 grudnia 1981 r. wprowadzono stan wojenny i pismo wyszło dopiero w kwietniu.

KOMOROWSKI: W czasach pierwszej „Solidarności” zaczęły się ukazywać także inne tytuły, m.in. w Warszawie „Meritum”, które redagował Mencwel razem Redlińskim i Jagiełłą, ale miało ono profil czysto literacki, podobnie jak krakowskie „Pismo” z tego samego okresu. Natomiast „Zdanie” od początku miało formułę szeroką, było otwarte na humanistykę, sprawy społeczne, politykę i także na literaturę.

CHUDZIŃSKI: Od września, kiedy ukształtował się zespół, trwały wewnątrzredakcyjne dyskusje, jakie pismo chcemy robić. Wielu z nas – Regucki, Szumowski, Surdykowski, Terakowska i ja miało już doświadczenie dziennikarskie. Część z nazwisk zniknęła ze stopki, bo odbyła się w stanie wojennym weryfikacja dziennikarzy. Ale od pierwszego numeru zarysował się formalny kształt pisma, który w sporej części przetrwał do dziś, o czym świadczą stałe rubryki, *Trzech na jednego*, wiersz na wewnętrznej okładce i na końcu Sceptyk. Papier mieliśmy marny, nie to co dzisiaj, ale formuła przetrwała.

REGUCKI: Mam tu dziewięć numerów „Zdania” z 1982 roku, które wyszły pod moim kierownictwem, oprowione i wręczone mi w imieniu zespołu przez Teresę Stanisławską. Przejrzałem je uważnie po latach i gdy uwzględnić czas, w którym je wydaliśmy, to nie mamy powodu się rumienić. Cała nasza czwórka w tych numerach jest obecna i myślę, że spokojnie moglibyśmy opublikowane wtedy teksty dziś przedrukować. Inne były to czasy, ale pismo miało jakiś wewnętrzny żar. Przekonywaliśmy do niego wszystkich funkcjonariuszy systemu, od partii po cenzurę i jakoś się udawało, choć mnie akurat tylko do czasu...

A co do samej formuły. Pamiętajcie, że ja miałem za sobą już wtedy dziewięćioletni okres kierowania „Gazetą Krakowską”, toteż kiedy przyszło mi tworzyć „Zdanie”, to wykorzystałem te doświadczenia. Chciałem robić pismo o szerokim profilu, nie tylko polityczne, lecz także kulturalne.

KOMOROWSKI: Spora część zasługi należy się Mściwojowi Olewiczowi, autorowi *layoutu* i oprawy graficznej.

CHUDZIŃSKI: Mściwój nie żyje już od kilku lat, a my w stopce ciągle informujemy: „Makieta wg projektu Mściwoja Olewicza”, bo też nic się w tej mierze nie zmieniło. Nawet liternictwo okładki. Pamiętam dyskusję, czy zmieniać coś w grafice. I Adam Komorowski powiedział wtedy: – Popatrzcie na poważne pisma zachodnie, na „New Yorkera”... Nic nie zmieniają. Trzeba szanować czytelnika, a nie podbijać kolorową czcionkę szarą aplą! To ładnie wygląda, czytać się nie da.

REGUCKI: Pierwszy numer ukazał się w nakładzie 40 tys. egz. i niemal w całości się rozszedł. Potem było już gorzej, bo za przekroczenie limitu 5 procent zwrotów obcinano nakład. A były regiony, gdzie paczki „Zdania” od razu trafiały na przemiał za cichym przyzwoleniem władz. Po paru miesiącach nakład ustabilizował się na poziomie 10 tys. egz. Pismo było czytane także w środowiskach opozycyjnych, o czym mi mówili Edward Nowak, Mieczysław Gil i Stanisław Handzlik.

KOMOROWSKI: Są też dowody na to we wspomnieniach i dziennikach internowanych. Nazywano nas „galicyjskimi marksistami”.

REGUCKI: Myśmy próbowali, skoro wprowadzono stan wojenny, przeciwdziałać głębszym podziałom społeczeństwa. Inna rzecz, że ten nasz wysiłek nie wszystkim się podobał. I po prawie czterdziestu latach znów znaleźliśmy się w sytuacji, kiedy kraj jest podzielony i są tacy, którym to bardzo, ale to bardzo odpowiada!

STĘPIEŃ: Ale trzeba pamiętać, że „Zdanie” było także na biurkach partyjnych dygnitarzy...

REGUCKI: Wynikało to nie tyle z ich zainteresowania, ile z faktu, że „Zdanie” zauważała niekiedy zachodnia prasa i był to sygnał dla decydentów, że trzeba mu się przyjrzeć! I przyglądali się. A przyglądano się w specyficzny sposób. Brano z cenzury zatrzymane fragmenty artykułów, liczone ingerencje



Czterech naczelnych

i tworzone obraz pisma „prawdziwie kontrrewolucyjnego”. A nam zależało na tym, żeby Polacy byli „razem”, różniąc się między sobą. A ty, Edwardzie, w pierwszych dniach stanu wojennego rzucasz legitymację partyjną... Czy za tym aktem kryła się radykalna zmiana postawy?

CHUDZIŃSKI: To, że oddam legitymację, było sprawą przesądzoną w miarę rozwoju wydarzeń. Wiedziałem natomiast, że postawię w trudnej sytuacji ludzi, których cenilem i szanowałem – ciebie, Hołuj, „Kuźnicę”. Byłem przecież w prezydium klubu. Moja decyzja, co było do przewidzenia, nie znalazła zrozumienia w kręgach władzy, a także części środowiska. Dla niektórych okazałem się człowiekiem niegodnym zaufania. To się zresztą za mną ciągnęło... Wydawca „Zdania”, Krakowskie Wydawnictwo Prasowe, nie mogło długo zatrudnić mnie jako kierownika działu kultury nawet na kawałek etatu, tylko na odnawianym co kwartał ryczałcie. Nie chcę przez to powiedzieć, że byłem dyskryminowany, czy tym bardziej prześladowany.

A co do poglądów? Zmieniły się w niewielkim stopniu, bo nigdy nie przywiązywałem wagi do zewnętrznych oznak przynależności. Okres mojego dorostania przypadł na lata ZMP. Kiedy zaczynałem naukę w liceum, przewodniczący zarządu szkolnego to była druga w szkole figura po dyrektorze. W maturalnej klasie ja na swoje nieszczęście zostałem tym przewodniczącym, który musiał szkolną organizację ZMP rozwiązać, bo sprawił to Październik '56. Przysięgłem sobie wtedy, że już nigdy nie wstąpię do żadnej politycznej organizacji. Nawiasem mówiąc, w liceum pra-

wie wszyscy należeli do ZMP – oprócz tych, których nie chciano przyjąć.

STĘPIEŃ: Zapytam cię w stylu tamtej epoki: jakie było twoje pochodzenie społeczne?

CHUDZIŃSKI: Nie wywodzę się ze środowiska lewicowego. Mój stryj był księdzem nie ukrywającym swojej dezaprobaty dla tego, co robiła władza ludowa, a ja jako ministrant chciałem pójść w jego ślady. Dla odmiany drugi stryj, mój imiennik, absolwent Uniwersytetu Poznańskiego i więzień Stutthofu, organizował szkolnictwo na Ziemiach Zachodnich i był długie lata dyrektorem liceum. O ile wiem, należał do partii. Najstarszy brat mojego ojca zginął we Francji podczas I wojny światowej za cesarza Niemiec jako jego poddany z pogranicza Pomorza i Warmii. A stryj Alfons osiadł konia i pojechał przez całą Polskę do Legionów Piłsudskiego. Ojciec, przed wojną kupiec prowadzący z mamą we własnej kamienicy sklep wielobranżowy, a po wojnie bar, jako „petit bourgeois” okazał się wrogiem klasowym. Po bolesnych doświadczeniach starał się trzymać z dala od polityki, a kiedy jesienią 56 roku chłopcy wybrali go na wiceprezesa Gminnej Spółdzielni, po paru latach wstąpił dla świętego spokoju do ZSL-u. Wieczorami słuchał, a ja wraz z nim, Wolnej Europy, rano szedł do pracy jako zaopatrzeniowiec, który rozwoził po sklepach towar pobrany z hurtowni, a ja jechałem do liceum w Grudziądzu, gdzie przed lekcjami prowadziłem na apelu prasówkę. Mój ojciec chrestny, więzień Dachau, nigdy nie pogodził się z nowym ustrojem i umarł w przekonaniu, że komunizm przegra konfrontację z Zachodem. Jak dorosłem

polemizowałem z nim nieraz, ale wyszło na jego. I tak przeżyłem lata stalinizmu i „odwilży” w „dwójmyśle-niu”. Moja aktywność w ZMP sprowadzała się głównie do grania na potańcówkach w miejskiej świetlicy. Nauczyłem się grać na akordeonie „z pamięci” i stąd zapotrzebowanie na moje usługi. A ponieważ byłem małym, delegacja miejscowego Koła ZMP przychodziła do mamy z prośbą, żeby mi pozwoliła przegrywać przynajmniej do 10-tej wieczorem. Do domu wracałem często później i niekiedy „po kielichu”. W liceum w Grudziądzu nic o tym nie wiedzieli. W ten sposób popularyzowałem ówczesny repertuar z obowiązkowych śpiewników, ale także „nowinki” z Zachodu typu boogie-woogie, fokstroty czy bluesy. W rubryce pochodzenie społeczne pisałem: inteligencja pracująca, bo choć ojciec na własnych plecach nosił towar, to formalnie był zatrudniony na etacie pracownika umysłowego.

STĘPIEŃ: To jak to się stało, że wstąpiłeś do partii?

CHUDZIŃSKI: W dorosłe życie wchodziłem po Październiku '56 roku. To były piękne lata! Czytaliśmy francuskich egzystencjalistów i rodzinnych rewizjonistów, odkrywaliśmy literaturę amerykańską, przede wszystkim Faulknera. W kinach można było obejrzeć filmy Bergmana, Bunuela, Viscontiego, Antonioniego, Kurosawy, francuską Nową Falę, ale także radzieckie *Lecą żurawie* czy *Los człowieka* oraz polską szkołę filmową, z której największe wrażenie zrobiła na mnie ekranizacja *Popiołu i diamentu* Wajdy. Uważam, podobnie jak paru wybitnych światowych twórców filmowych, że to jest najlepszy jego film. W teatrach grano paryską awangardę, Durrenmatta i Kafkę, a z polskich autorów Mrożka, Różewicza i Witkacego. Furorę robiły teatry studenckie „pierwszego rzutu”: Bim-Bom, STS, Kalambur, Pstrąg, Cytryna, a w Krakowie Teatr 38. Kiedy tu studiowałem, najlepsze spektakle można było obejrzeć w Teatrze Ludowym w Nowej Hucie. Życie artystyczne kwitło w piwnicach. Będąc jeszcze w Toruniu uruchomiliśmy pierwszą w tym mieście piwnicę, w schronie ponoć przeciwbombowym, w której gościliśmy m.in. Stanisława Dygata, Jerzego Afanasiewa, redakcję „Współczesności”. Nie dojechali Cybulski (mam jego list z usprawiedliwieniem) i Grochowiak, czego nie mogliśmy im darować. W Krakowie włączyłem się w działalność uczelnianego klubu „Bakałarz” (istnieje do dziś!), a potem była Komisja Kultury RO, „Jaszczury”, „Student” oraz Teatr 38 i STU. Z pierwszym związałem się towarzysko, z drugim na całe życie. Właśnie kończę redagować księgę jubileuszową Teatru STU z okazji jego 50-lecia. A nad tym wszystkim unosił się patronat ZSP – organizacji najmniej upolitycznionej spośród tych, jakie wtedy istniały w szkołach wyższych, stwarzającej młodym twórcom pole do działania.

KOMOROWSKI: Czegoś ci jednak chyba brakowało w tym ZSP, skoro znalazłeś dla siebie – wbrew młodzieżowemu postanowieniu – miejsce w partii.

CHUDZIŃSKI: Zdecydowały o tym bardzo prozaiczne powody. Był taki okres w początkach „Studenta”, kiedy jedynym członkiem partii w kolegium był

redaktor naczelny. I on nam referował, co na temat pisma mówią towarzysze z Wydziału Nauki KW PZPR lub któryś z sekretarzy. W jakimś momencie uznałem, że nie ma innego wyjścia, jak zapisać się do partii, by móc porozmawiać z nimi jak towarzysz z towarzyszem. Tym bardziej że nastąpiła odnowa pogrudniowa i wydawało się, że tym razem obejdziesz się bez błędów i wypaczeń. To się akurat okazało złudzeniem, ale nie żałuję mojej przynależności do PZPR w latach 70., bo poznałem wtedy ludzi, którzy myśleli podobnie jak ja i reprezentowali tzw. nurt reformatorski w partii. Tych było najwięcej w ówczesnej „Kuźnicy”. Na przykład z Leszkiem Polonym przygotowaliśmy materiał dotyczący kultury na IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR, opublikowany w ostatnim tomie lipcowego „Zdania”. Nie mamy powodu się go wstydzić także dziś, o czym – odwołując się do innego przykładu – mówił tutaj Zbyszek. Zmarły niedawno Michał Jagiełło, wtedy zastępca kierownika Wydziału Kultury KC, powołał w burzliwym roku 1981 Jerzego Trelę, Krzysztofa Jasińskiego i mnie do zespołu twórców partyjnych, który wtedy organizował, aby mu doradzał w sprawach teatru. Już na pierwszym posiedzeniu odnotowałem obecność kilku wybitnych aktorów, m.in. Jana Świderskiego, których nie podejrzewałem o przynależność do partii. Ale wielu przychodziło po to, żeby zamanifestować swoją lojalność i pryncypialność. Gdy dziś patrzę, jak tzw. twórcy niepokorni biją pokłony obecnej władzy, to skojarzenia nasuwają się same.

REGUCKI: Czy będąc w partii miałeś rzeczywiste większe możliwości wpływania na pewne decyzje dotyczące na przykład „Studenta” czy spektakli w Teatrze STU?

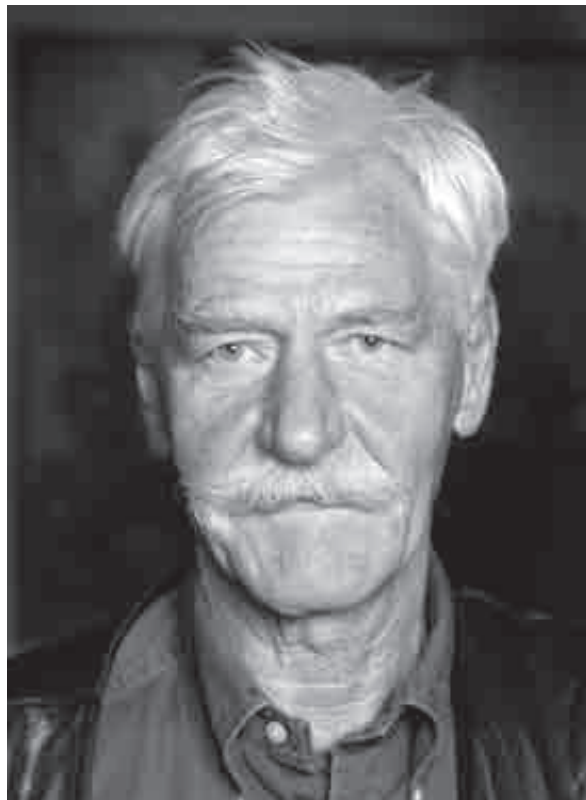
CHUDZIŃSKI: Nie wiem, jaki to miało wpływ na podejmowane decyzje, ale ja miałem możliwość przedstawienia swoich poglądów na tzw. forum partyjnym, czego przykładem był zespół powołany przez Michała. Niekiedy zwracano się do mnie o opinię w jakiejś sprawie, ale to wynikało, jak sądzę, raczej z osobistej znajomości niż z partyjnej przynależności. Inna sprawa, że koledzy pracujący w aparacie nie pytali mnie o zdanie, gdybym nie należał do partii. W rozmowach z cenzurą rzadko uczestniczyłem, bo ten problem w Teatrze STU brał na siebie Krzysztof. Ale zaraz na początku mojej współpracy ze STU zdarzyło się, że w scenariuszu *Spadania* cenzura zakwestionowała prawie wszystko, co wzięliśmy z Lenina. I wtedy nie wytrzymałem, grożąc że odwołamy się wyżej od tej decyzji. Oczywiście cenzor nie wiedział kogo ocenzurował, bo w scenariuszu nie zaznaczyliśmy, że to są niepublikowane dotąd wypowiedzi wodza rewolucji, które zamieścił „Nowy Mir” z okazji rocznicy jego urodzin.

KOMOROWSKI: Ja pamiętam, jak drugi z kolei naczelny, niedokończony architekt, rysował na tablicy: tu są ci, tu są tamci, a tu jesteśmy my i musimy iść tędy, żeby się nikomu nie narazić. A ty umiałeś te godzinne przemowy spokojnie przespać! Strasznie ci zazdrościłem.

CHUDZIŃSKI: Był rok 1971. Tutaj w Krakowie mogliśmy liczyć na życzliwość ówczesnego, „pogrudniowego” I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego Józefa Klasy. Pozwalał nam na wiele, chcieliśmy

robić liczące się w Polsce pismo społeczno-kulturalne. Ale pod koniec tegoż roku cenzura rozwalila nam numer prawie w całości. To my w wolne miejsca po zdjętych artykułach wsadziliśmy landszafty. Jakieś jelenie na rykowisku, żeby nie eksponować „białych plam.” Cenzura zawiadomiła kogo trzeba, a do Rady Naczelnej ZSP, której „Student” był formalnie organem, dotarł sygnał, że pismo wymknęło się spod jej kontroli. I odbył się nad nami sąd. Dostaliśmy czerwona kartkę. Niemniej aktualne pozostało pytanie, dlaczego nam się do tej pory udawało kozaczyć? Być może było tak, że po przesileniu grudniowym władza się tasowała. Obrazowały to dowcipy typu: „Pociąg pospieszny z Katowic wjeżdża na tor pierwszy! Proszę odsunąć się od stanowisk!”. I trudno było ustalić, kto za nami stoi. Podejrzewano Olszowskiego, jako że on wyszedł z ZSP, a był już członkiem Biura Politycznego. W końcu, jak się sytuacja wyklarowała, okazało się, że za nami nie stoi nikt. Być może potraktowano by nas jak chłopców do bicia, ale byliśmy już wtedy w większości partyjni i wielu z nas pracowało na uczelniach. Nie musieliśmy więc pilnować „stanowisk”. W podobny sposób próbowano nas potraktować w stanie wojennym, kiedy w oficjalnym podsumowaniu, tym razem już nie „Studenta” tylko „Zdania”, stwierdzono, że gdyby Kuroń i Michnik nie siedzieli, to pewnie by robili podobne pismo! I wtedy mogliśmy spokojnie powiedzieć – no to nas towarzysze odwołajcie!

KOMOROWSKI: Jak ktoś należał do partii, to znacznie trudniej było go wyeliminować, bo to się łączyło z określonym tokiem postępowania, a ewentualne wyrzucenie nabierało niepożądanego rozgłosu.



Adam Komorowski, 1994-99

CHUDZIŃSKI: Przejdźmy do naszego „dania firmowego” – *Trzech na jednego*. Jego geneza wywodzi się jeszcze ze „Zdania” pod redakcją Lipca. Nawiasem mówiąc, w pierwszej rozmowie z Rakowskim brała udział Dorota Terakowska, więc powinna się nazywać *Troje na jednego*. Z powodu komplikacji językowych w naszym cyklu nie ma pań, bo jakby to wyglądało: *Trzech na jedną*? Rozmowy z lat 80. wydaliśmy jako książkę w dwóch tomach. Różnią się one znacznie od obecnych. Wtedy chcieliśmy uświadomić ówczesnemu establishmentowi, jak dziennikarze powinni rozmawiać z władzą. Bo praktyka była taka, że dziennikarze dostarczali na biurko zestaw pytań, a „człowiek ważny” udzielał na nie odpowiedzi, albo i nie udzielał, niekiedy modyfikując także pytania. Tymczasem nasza rozmowa z Kazimierzem Barcikowskim, sekretarzem KC, trwała 4,5 godziny i w jej trakcie bohater trzy razy prosił o przerwę. Pytaliśmy o różne rzeczy, na przykład o relacje z niemiecką socjaldemokracją, co było wówczas sprawą delikatną. Cykl zaczęliśmy od rozmowy z Górnickim – adiutantem Jaruzelskiego. Mściwoj wykorzystał jego portret w mundurze i nie bardzo wiadomo było, do kogo major Górnicki jest w „Zdaniu” podobny – do Klossa, czy może do któregoś z oficerów Pinocheta? A tytuł *Ja jestem chłopak z Woli* neutralizował skojarzenia z przemocą, palowaniem itp. Górnicki mógł sobie na taką ekstrawagancję pozwolić, bo choć był w mundurze wojskowym, nie przestał być rasowym dziennikarzem. Rakowski po raz drugi w naszym cyklu wystąpił już jako wicepremier. Nie unikał tzw. tematów trudnych, ale kontrolował się, czy to co mówi nadaje się do druku i co jakiś czas rozglądał się po pokoju w URM-ie. Dziś zresztą ludzie też boją się podsłuchów. W latach 80. część elity władzy zaakceptowała nowe relacje z mediami, lecz stare nawyki i przyzwyczajenia ciągle dawały znać o sobie. Zdarzyło się, że jedna z rozmów nie ukazała się w „Zdaniu” ze względu na stawiane pytania, a nie z powodu udzielanych odpowiedzi.

Po wznowieniu pisma zmieniła się strategia i realizacja rozmów *Trzech na jednego*. Już sam wybór rozmówcy jest z naszej strony formą jego akceptacji. Dlatego, spierając się z nim czy nawet ostro polemizując, w gruncie rzeczy jesteśmy po jego stronie. Dużo miejsca zajmują wątki biograficzne, bo nasi bohaterowie to nie celebryci, o których rozpisują się tabloidy, tylko ludzie nauki i kultury, mający nierzadko wielki dorobek. On na ogół jest znany i doceniany, ale biografia sprowadza się z reguły do krótkiej noty w jakimś słowniku czy encyklopedii. Tymczasem ich życie jest równie interesujące jak dokonania na różnych polach. Staramy się prezentować w naszym cyklu osoby niezauważane, bądź świadomie pomijane przez media, bo mają one wiele do powiedzenia na różne tematy, a ich punkt widzenia i sposób myślenia ze wszech miar zasługuje na to, aby był obecny w dyskursie publicznym.

KOMOROWSKI: Mam pytanie do Mariana: dlaczego po odwołaniu Zbyszka ze stanowiska redaktora naczelnego przy twoim, czyli następcy nazwisku przez długi czas pojawiały się literki p.o. – „pełniący obowiązki”?

STĘPIEŃ: Te literki pojawiały się w wyniku mojej suwerennej decyzji. Chciałem w ten sposób wyrazić mój stosunek do odwołania poprzednika! W pierwszym numerze po zmianach chcieliśmy umieścić tekst dedykowany odwołanemu ze stanowiska Zbyszkowi, ale cenzura tego nie puściła. W tej sytuacji, jak przed wojną, zostawiliśmy białą plamę. Cenzura tego nie zaakceptowała, ale wyjaśniliśmy, że to taki nowy *layout* i że tam zawsze już będzie puste miejsce... Nie mieli wyjścia, musieli to przyjąć za dobrą monetę.

Redaktorem naczelnym „Zdania” zostałem właściwie przypadkowo i to z racji funkcji pełnionej w „Kuźnicy”, która wtedy też przecież przeżywała poważne



Marian Stępień, 1983-89

wstrząsy. W stanie wojennym została rozwiązana pod pozorem „cięcia po skrzydłach”, a na jej miejsce powstał swego rodzaju „klub”. Autentyczny przywódca środowiska Tadeusz Hołuj kierownictwa „Zdania” przejąć nie chciał i padło na mnie. Nie byłem nigdy zawodowym dziennikarzem, ale obawialiśmy się, zupełnie poważnie, że pismo może zostać zlikwidowane, albo przysłać kogoś z zewnątrz, co najprawdopodobniej oznaczałoby rozpad dobrze rozumiejącego się zespołu. Nigdy też w istocie nie kierowałem pismem i nie miałem takich ambicji, bo „Zdanie” redagowane było kolegiąlnie przez środowisko dobrze znające się jeszcze ze „Studenta”. Przypomnę, że moim zastępcą został wkrótce Andrzej Urbańczyk odwołany „za liberalizm” z funkcji szefa krakowskiego ośrodka telewizyjnego.

Po paru latach sytuacja się zmieniła. Groziła nam likwidacja „Zdania”. Zjechała specjalna komisja z KC,

która dokonała oceny pisma i zrobiło się niebezpiecznie. Tak się złożyło, że akurat przebywałem z cyklem wykładów w USA. Włodek Rydzewski pisał do mnie alarmujące listy, pisał Hołuj, żebym szybko wracał. I rzeczywiście, kiedy wróciłem, okazało się, że już sam fakt, iż wyjechałem, stał się okolicznością obciążającą, choć mój wyjazd, jak to bywało w owych czasach, miał błogosławieństwo wszelkich władz.

Zrobiłem złą awanturę w krakowskim KW chyba Czepielowi lub Szydłowskiemu, którzy nami zarządzili, pojechałem do Loranca, który był moim kolegą ze studiów i do Nawrockiego – jak profesor do profesora i w końcu dotarłem do samego Głowczyka, wtedy sekretarza KC do tych spraw. Pierwszy raz przekroczyłem progi warszawskiego „Białego Domu”, w którym dziś mieści się giełda. Wyobrażałem sobie, że wchodzę do gmachu, gdzie działa trust mózgów, gdzie wszystko załatwia się sprawnie, szybko i rzeczowo. A Głowczyk monologował ponad godzinę nie na temat. Musiałem mu przerwać pytaniem: – Co mam powiedzieć zespołowi redakcyjnemu? Głowczyk nieco uniósł się w krześle: Powiedźcie, że odbyliście z towarzyszem Głowczykiem sensowną rozmowę i wkrótce będą tego rezultaty.

W tej sytuacji zażądałem zniesienia tych literek „p.o.”. W efekcie, mimo całej awantury, nikt z redakcji nie został usunięty, „Zdanie” dalej wychodziło, nawet załatwiłem mieszkanie dla Zbyszka Bauera, który wrócił do Krakowa z Białegostoku, gdzie redagował „Kontrasty” negatywnie zweryfikowane w stanie wojennym za sprzyjanie „Solidarności”, a wcześniej był w zespole „Życia Literackiego”, więc można się domyślać, jaką mu Władysław Machejek wystawił opinię...

Mieliśmy zresztą wiele innych problemów. Pamiętam artykuł takiego tandemu Paweł Bożyk i Marian Guzek, z których pierwszy był w swoim czasie doradcą Gierka. Autorzy postulowali, by PZPR podzieliła się na część komunistyczną i socjaldemokratyczną. Były o to straszne boje z krakowską cenzurą, ale ostatecznie dogadaliśmy się z sekretarzem KW, że ten artykuł pójdzie, jeśli tylko zdystansuje się od niego wyraźnie w tekście *Od redaktora* jako do tekstu „mocno dyskusyjnego”. Tekst się ukazał i oto „Polityka” natychmiast go zauważyła i zacytowała jakiś smaczny fragment! Zrobiła się awantura. Przy jakiejś okazji od szefa Krakowskiej Komisji Kontroli Partyjnej usłyszałem, że „tego Bożyka już ukarzymy, Guzka nie, bo jest bezpartyjny, a z wami się będziemy musieli rozliczyć”.

Tak czy inaczej kryzys został zażegnany. A kiedy gen. Wojciech Jaruzelski zmierzał do wzmocnienia nurtu reformatorskiego w kierownictwie partii, zwrócono się i do mnie. I tak – zupełnie niespodzianie – zostałem sekretarzem KC. I tu znów zaczęły się pewne zakusy na „Zdanie”, musiałem więc jeszcze przez jakiś czas zachować funkcję naczelnego, by ją przekazać Urbańczykowi. Wtedy to na łamach „Zdania” ukazał się wzajemnie kulturalny i przyjazny dwugłos obu naczelników – ustępującego i przejmującego pismo, co się w tym czasie nie zdarzało.

KOMOROWSKI: Przede mną pismo redagowali Andrzej Urbańczuk i Włodzimierz Rydzewski. Obaj nie żyją. Po likwidacji RSW Prasa „Zdanie” przestało wychodzić. Ostatni numer miesięcznika ukazał się w marcu 1990 roku. Po czterech latach przerwy wznowiliśmy jego wydawanie, ponieważ zarejestrowane na nowo Stowarzyszenie „Kuźnica” stało się prawnym właścicielem tytułu. Ci, co ostali się ze starego zespołu, przekonali mnie, abym podjął się kierowania pismem, które zarejestrowano jako kwartalnik. Trzeba było wymyśleć formułę na ciężkie czasy, gdyż odtąd „Zdanie” ukazuje się bez etatów i honorariów. Jak można w takich warunkach robić pismo? Na pewno bez redakcyjnej pomocy Edwarda by się to nie udało. Wznowiliśmy pismo w czasie, kiedy wielu o swojej partyjnej przeszłości chciało jak najszybciej zapomnieć. Tymczasem my w „Zdaniu” nie mieliśmy zamiaru zmieniać swoich życiorysów. Pieniądze nie okazały się najważniejsze, gdyż ich nie potrzeba tak wiele, gdy się wszystko robi samemu, łącznie z odbieraniem paczek z drukarni. Kłopoty pojawiły się z kolportażem, bo dla Ruchu, ze względu na mały nakład, nie byliśmy partnerem. Dzięki Pawłowi Kozłowskiemu udało się załatwić sprzedaż w księgarni im. Bolesława Prusa w Warszawie.

Niespodziewany list ze wsparciem od Giedroycia, którego nikt z nas nie znał, listy z pytaniem, gdzie pismo jest dostępne, utwierdziły nas w przekonaniu, że jest zapotrzebowanie na spokojny namysł nad zmieniającą się rzeczywistością. Spory udział w zmartwychwstaniu „Zdania” miał Krzysztof Komornicki, u którego w Sudetach bywali i dawni opozycjoniści, i rewizjoniści, i politycy, dzięki czemu na naszych łamach znaleźli się m.in. Karol Modzelewski i Włodzimierz Cimoszewicz. Paweł Kozłowski pozyskał z Warszawy takie nazwiska, jak Andrzej Walicki, Marcin Kula czy Henryk Domański. *Outsiderzy* szeroko rozumianej lewicy przekonali się, że z „czarnej dziury” można wydobyć głos. Człowiekiem, który to rozumiał, był Andrzej Urbańczuk, próbując przekonać SLD, gdzie pełnił ważne funkcje, do udzielania nam większego wsparcia.

CHUDZIŃSKI: Ja przejąłem pismo po Adamie, który „poszedł w dyplomaty” – został radcą politycznym ambasady w Kostaryce. Miał do tego pełne kompetencje jako znawca Ameryki Łacińskiej, tłumacz z języka hiszpańskiego i poliglota. Był rok 2000 i wchodziliśmy w trzecie tysiąclecie. Lepszego otwarcia nie mogłem sobie wymarzyć. Bohaterem *Trzech na jednego* w tym numerze był ks. Stanisław Musiał – wspaniały człowiek, orędownik dialogu chrześcijan z żydami, sympatyzujący z nami i z „Kuźnicą”. Rozmowa z nim odbiła się szerokim echem w mediach i, niestety, przysporzyła księdzu Stanisławowi kłopotów. Udało się nam także przeprowadzić długą rozmowę z Jackiem Kuroniem na dwa lata przed jego śmiercią. W ostatnich latach pojawiły się w tym cyklu nazwiska Zygmunta Baumana, Adama Rotfelda, Józefa Hena, Krzysztofa Jasińskiego, Andrzeja Seweryna i wielu innych wybitnych reprezentantów nauki i kultury. Moim cichym marzeniem jest wydać je książkowo, czego doczekały się rozmowy z lat 80.

STĘPIEŃ: „Zdanie” pod twoją redakcją cenione jest nie tylko za te rozmowy. W każdym numerze można znaleźć i znane nazwiska, i interesujące artykuły, i tematy, których nie podejmują inne pisma. A jeśli się zważy, że jest ono od lat robione niejako w „czynie społecznym”, bez etatów i honorariów autorskich, to tylko można wam pogratulować poziomu i determinacji w jego wydawaniu.

CHUDZIŃSKI: Przypomnieliśmy pokrótce dzieje pisma. Czy w jego historii i naszej osobistej są jakieś elementy wspólne? Ja na przykład dostrzegam ciągłość pokoleniową: od „Studenta” do „Zdania”, z odnogami do „Gazety Krakowskiej”, „Pisma”, „Pisma Literacko-Artystycznego” i „Krakowa”.

KOMOROWSKI: Mnie natomiast w tych naszych biografiiach indywidualnych i zbiorowych zainteresowała tradycja: skąd kto przyszedł. Ciekawe, że w zasadzie nikt z nas nie miał w rodzinie wyraźnie lewicowych tradycji. Edward wśród przodków mabauerów-kułaków i drobnomieszczan, Marian – to syn urzędnika państwowego i oficera rezerwy zabitego w Katyniu, Zbyszek pochodzi ze środowiska robotniczej arystokracji, a ja też nie z biedaków i na dodatek herbowy. W rodzinie tylko mój ojciec miał zdecydowanie wrogi stosunek do sanacji, bo był świadkiem, jak policja w 1936 roku strzelała do robotniczej demonstracji pod Urzędem Wojewódzkim w Krakowie i tego jej nigdy nie wybaczył. Do partii wstąpiłem z powodów nieco snobistycznych. Stanisław Balbus i Maciej Szybist, którzy intelektualnie mi imponowali, robili miny wtajemniczonych, opowiadając, jak to się awanturowali na zebraniach. To ja też chciałem. Charakter mam raczej łagodny, ale lubię atmosferę ostrych sporów. Jak przychodziłem na spotkania do KIK-u, to atmosfera „kochajmy się” mnie usypiała. Tymczasem zebrania POP Instytutu Filozofii UJ czy ZLP to były nieustanne spory. Tak się jakoś składało, że moi rówieśnicy, których intelekt i talent wysoko ceniłem, jak Barańczak, Herbst, Kunda, Jaworski, Kaczorowski, Siemek czy Mencwel należeli do partii. Byli w niej też starsi, których podziwiałem, jak Stern czy Łagowski. Później z tą przynależnością podziaty się różne rzeczy. Ale to nie było towarzystwo oportunistów. Ja żadnych funkcji partyjnych nie pełniłem, więc próby charakteru nie musiałem przechodzić.

STĘPIEŃ: Mój ojciec był legionistą w II Brygadzie. Legionom Piłsudskiego nie były obce ideały socjalistyczne. Przykładem – droga Władysława Broniewskiego. Matka wywodząca się Wileńszczyzny trafiła po I wojnie światowej do Poznania. Do Piłsudskiego miała stosunek więcej niż krytyczny. Warunki naszego życia podczas II wojny światowej i kilku lat powojennych zwracały nas ku społecznej lewicy. W 1945 roku matka wstąpiła do PPS. O moich wyborach ideowych po wojnie i działalności społeczno-politycznej opowiedziałem w innej rozmowie (*Trzech na jednego*, „Zdanie” 2016, nr 1-2) i zainteresowanych do niej odsyłam.

REGUCKI: Urodziłem się w Miechowie, a w pobliskiej Podleśnej Woli mieszkał mój dziadek Mikołaj, którego uwielbiałem. Był kołodziejem, ale zawsze miał

czas na czytanie. Słuchałem jego opowieści o Polsce i świecie, a ponieważ działo się to w czasie okupacji, więc i o wojnie. Blisko mu było do PPS-u i publicznie krytykował proboszcza i Kościół. Z taką postawą i poglądami zetknąłem się w kręgu rodzinnym. Po wojnie w 1945 roku wyjechałem wraz z rodzicami na Ziemię Odzyskane do Raciborza. Tam ojciec bez trudu znalazł pracę, a ja poszedłem do szkoły. W mojej klasie byli autochtoni, przesiedleńcy ze Wschodu i tacy jak my, co przyjechali tu z własnej woli za chlebem. Jedni mówili po śląsku, inni z zaśpiewem lwowskim. Nas miejscowi nazywali gorolami, ale konfliktów nie było. Nigdy nie zaznałem od nich przykrości. Tam ojciec wstąpił do partii, ale mnie przestrzegał, żebym tego nie robił. Przez całe studia, będąc także przewodniczącym Rady Uczelnianej ZSP, stosowałem się do jego rady. Dopiero kiedy zacząłem działać w Radzie Okręgowej i później zostałem jej przewodniczącym, wstąpiłem do partii.

CHUDZIŃSKI: O mojej, nie lewicowej genealogii już mówiłem. Ale moja matka, choć sama, pochodząc z 25. hektarowego gospodarstwa biedy nie zaznała, dopiero w latach stalinowskich, była na nią bardzo uwrażliwiona. I tę wrażliwość nam przekazała. W PRL-u wiele rzeczy jej się nie podobało, natomiast akceptowała awans „ludu pracującego miast i wsi”. I poniekąd nasz, dzieci, bo nieraz mówiła, że przed wojną nie stać by było ich, rodziców, na posłanie trojga na studia. Moje lewicowe poglądy ostatecznie się



Edward Chudziński, 2000-

uksztaltowały, kiedy przygotowywałem rozprawę doktorską. Pisałem co prawda o kulturze i literaturze chłopskiej, ale musiałem się przekopać przez dziesiątki tytułów prasy międzywojennej. I wtedy poznałem prawdziwe oblicze polskiej prawicy. A moi rówieśnicy wiedzieli o niej tyle, ile przeczytali w podręcznikach szkolnych. Nawiasem mówiąc, pierwsze poważne prace na jej temat zaczęły się ukazywać u nas dopiero w latach 70. i 80. Toteż kiedy wraz z narodziłymi „Solidarności” odradzał się pluralizm polityczny, ja z łatwością rozpoznawałem, kto jest kim i skąd. To stuzdziło mój entuzjazm wobec nowej „siły przewodniej”, wewnętrznie coraz bardziej zróżnicowanej. I choć idee i wartości lewicy zostały w realnym socjalizmie mocno sponiewierane i wypaczone, to alternatywą dla mnie nie stała się prawica, bo do czego ona jest zdolna, to właśnie widzimy dziś, kiedy rządzi PiS. A jako polonista dość wcześnie się zorientowałem, że większości wybitnych twórców kultury i literatury XX wieku bliżej było do lewicy niż do prawicy. To spostrzeżenie dotyczy zwłaszcza wszelkiej awangardy i jest aktualne także dziś!

REGUCKI: Kiedy zastanawiamy się, jakie „Zdanie” było, jakie jest i jakie powinno być, to jestem pełen uznania dla Edka, nie ujmując nic jego tu obecnym poprzednikom, że „Zdanie” w ogóle wychodzi i to na tak znakomitym poziomie. Bez zaplecza w postaci potężnego koncernu wydawniczego, bez etatów i honorariów. A to oznacza, że aby ukazać się numer, trzeba pozyskać autorów, opracować redakcyjnie teksty, opatrzyć je ilustracjami i zdjęciami, zrobić korektę itp.

Chciałbym jednak, żeby to pismo trafiało także do młodych. Może należałoby wprowadzić specjalny dział do nich adresowany? Rozmawiałem z synem i jego kolegami, którzy mają około 30 lat i oni nie mają pojęcia, że takie pismo wychodzi!

KOMOROWSKI: „Zdanie” dzisiaj broni się tym, że nie stało się wspomnieniem pośmiertnym o PRL. Zrodzony jeszcze w latach stanu wojennego ostracyzm wobec pisma w pewnych kręgach intelektualnych został przełamany lub jest przełamany. Świadczy o tym poszerzający się krąg autorów i czytelników. Optyzmem napawa też fakt, że swoje dzieła powierzają nam młodzi twórcy, zwłaszcza poeci. Dostaliśmy kiedyś list od Giedroyc’a po opublikowaniu tekstu Pawluczuka o Ukrainie, który świadczył o tym, że nas czytał.

CHUDZIŃSKI: W tej rozmowie powinny się znaleźć słowa podziękowań dla autorów, którzy swoje teksty „Zdaniu” ofiarowują. Pismo byłoby zapewne lepsze, gdybyśmy mogli po prostu pewne teksty zamawiać, oferując jakąś gratyfikację, czy choćby kilka punktów w naukowym rankingu. Niestety, nie mamy takiej możliwości, a nie widzę też potrzeby, aby „Zdanie” ubiegało się o uzyskanie statusu pisma punktowanego. „Dopieszczamy” młodych autorów, drukujemy niekiedy ich teksty „na kredyt”, ale naszym zadaniem jest też pozyskanie do współpracy i umożliwienie wypowiedzi intelektualistom i twórcom, którzy z róż-

nych powodów nie funkcjonują w medialnym obiegu. Wskutek tego z pola widzenia zniknęła spora grupa autorów mających coś ważnego do powiedzenia w PRL-u. Dziś są oni na emeryturze i nie muszą zabierać głosu, nie zawsze chcą albo nie widzą dla siebie możliwości wypowiedzi. Moim zdaniem sukcesem „Zdania” jest właśnie to, że na jego łamach możemy czytać ich teksty. A bardzo chciałbym, żeby na tych łamach pojawiły się także nazwiska przedstawicieli nowej lewicy w Polsce oraz jej intelektualnych wyrazicieli. Ja wiem, że mamy zaledwie tysiąc egzemplarzy nakładu, ale wiem też, że takie niszowe pisma odegrały w przeszłości istotną rolę w przemianach świadomości społecznej. Za przykład mogą posłużyć nakłady awangardowych czasopism literackich, takich jak „Zwrotnica” czy „Żagary”, nieprzekraczające 600 egzemplarzy, które torowały drogę nowym prądom w sztuce i literaturze.

KOMOROWSKI: „Partizan Rewiew” miał 3 tysiące nakładu w Ameryce, gdzie było 150 milionów potencjalnych czytelników, a przecież z tego pisma wyrósł neokonserwatyzm amerykański. W Polsce i prawica i lewica w swoich początkach też się formowała wokół czasopism o niskim nakładzie.

CHUDZIŃSKI: No cóż, „Student”, który przecież odegrał znaczącą rolę w uformowaniu się Pokolenia ’68, też nie był pismem o wielkim nakładzie, a „Zdanie” w jakimś sensie jest jego kontynuacją. Nie da się bowiem zaprzeczyć, że co prawda pod światłym kierownictwem Mariana Stępnia, metrykalnie przynależnego do innego pokolenia, „Zdanie” robiła i robi nadal ta sama formacja intelektualna.

STĘPIEŃ: Ja tę różnicę pokoleniową odczuwałem bardzo wyraźnie. Wyka, w recenzji z jakiejś książki Borowskiego pisał, że Polacy się dzielą na „przedwojennych” i tych, którzy wojny pamiętać nie mogą. Ja się czuję członkiem przedwojennym i miałem świadomość, jaki istniał między nami dystans. Trochę bałem się w wasze środowisko wchodzić, bo stanowiłście zwartą grupę przyjaciół ...

CHUDZIŃSKI: Przypadła ci ostatecznie rola parasola ochronnego nad nami, bo ci co chcieli nas „stawić do pionu” musieli w tym najtrudniejszym okresie rozmawiać z tobą, a ty miałeś nie tylko swoje zdanie, ale i swoją pozycję. Swoją drogą i w naszym środowisku „zdaniowym” zarysowały się podziały. My, rodem ze „Studenta”, oczekiwaliśmy demokratyzacji systemu, a Bronek Łagowski stawiał na chiński kapitalizm państwowy. Bardzo go niepokoiła perspektywa „Polski związkowej”, gdyż widział w niej największe zagrożenie dla reform gospodarczych. Żeby nas – i nie tylko nas – dokształcić, zainicjował „Archiwum myśli społecznej XX wieku”? I do dziś tak modnego ostatnio Karla Schmitta za „Zdaniem” cytują, bo to było pierwsze jego tłumaczenie w Polsce.

KOMOROWSKI: A swoją drogą to zdumiewające, że PZPR trzymała tak różnych ludzi w swoich szeregach. Były w niej obecne wszelkie możliwe odcienie polityczne: od nacjonalizmu, przez neoliberalizm po

socjaldemokrację. Łagowskiego też tolerowano, choć pamiętam, jak na zebraniach POP Instytutu Filozofii wystawiał towarzyszy na próbę.

CHUDZIŃSKI: A jak to jest dziś? Z jednej strony mamy propopulistyczne społeczeństwo i populistyczną prawicową partię, która samodzielnie rządzi i wedle różnych czarnych prognoz może jeszcze rządzić przez lata. Z drugiej strony w kulturze zaczynają dominować twórcy manifestujący swoje lewicowe czy wręcz lewackie postawy. Najciekawsze rzeczy dzieją się za sprawą artystów, którzy mi przypominają „pryszczytanych” z przełomu lat 40. i 50. Oni są radykalni, antykapitalistyczni i używają języka zwulgaryzowanego marksizmu, którym – jak się nam wydawało – nikt już nie odważy się mówić.

STĘPIEŃ: Gdy chodzi o analizę zjawisk społecznych marksizm przeżywa obecnie renesans, przy rezygnacji z marksistowskiej utopii.

CHUDZIŃSKI: Kto mógł przewidzieć, że Monika Strzępka i Paweł Demirski napiszą sztukę o Leppe-rze! Pamiętam z końca lat 60. nasze spotkania z „lewactwem” zachodnim. Oni inspirowali się chińską rewolucją kulturalną i maoizmem, a myśmy przyjeżdżali na te kontestacyjne festiwale z kraju, gdzie te i podobne idee wcielano w życie i z autopsji wiedziliśmy, z jakim skutkiem. To co my braliśmy w ogromny cudzysłów, oni brali za dobrą monetę. Wydaje mi się, że teraz mamy do czynienia z czymś podobnym, choć przyczyny są inne.

STĘPIEŃ: Byłem niedawno w Gorlicach, gdzie obchodzono 110 lat mojego liceum. I tam teatryk szkolny wystawił sztukę Dario Fo *Nie wszyscy złodzieje przychodzą kraść*. Jest to jedyny szkolny teatr, który dostał licencję i płaci tantiemy! To dużo mówi!

CHUDZIŃSKI: Jak z tego widać, lewica ma w Polsce zaplecze w różnych miejscach, dlatego powinniśmy im się z uwagą przyglądać, a także wszelkie tego typu inicjatywy wspierać. Natomiast gdy sięgamy do źródeł kłopotów i słabości lewicy, zwłaszcza instytucjonalnej, to płaci ona cenę za zbyt łatwą rezygnację z lewicowych pryncypiów i za zbyt daleko idący kompromis z liberałami. I w to opuszczone przez lewicę miejsce wszedł prawicowy populizm, który święci triumfy.

KOMOROWSKI: Lewica to formacja, która wierzy, że istnieje nieszczęście, fatum, los. Prawica twierdzi natomiast, że każdy zasłużył na swój los.

Rozmawiali ze sobą:

Edward Chudziński
Adam Komorowski
Zbigniew Regucki
Marian Stępień

Kraków, 30 września 2016 r.

ANDRZEJ WALICKI

ZAPISANE W DZIENNIKU

Dzięki wieloletnim przyjacielskim relacjom ze środowiskiem „Kućnicy” często korzystałem z przywileju publikowania na łamach „Zdania” kartek z mojego dziennika. W ostatnim jednak czasie, z powodu nadmiaru wydarzeń wartych skomentowania, zapisy w moim dzienniku stały się telegraficznie skrócone, a więc nie nadające się do publikacji. Mogłem jednakże wykorzystać niektóre z nich w przedłożonych niżej rozważaniach, napisanych specjalnie dla „Zdania”. W jakiejś mierze zachowują one formę osobistego dziennika, piszę bowiem cały czas w pierwszej osobie i we własnym imieniu, nie próbując nadać moim myślom zobiektywizowanej formy publicystycznej, a tym bardziej naukowej. W tym sensie jest to więc kontynuacja moich „kartek z dziennika”.

Podobnie jak wspomniane kartki, refleksje niniejsze są głównie zapisem spraw głęboko mnie niepokojących, rzucających cień na korzystną pozycję międzynarodową oraz niewątpliwie skądinąd osiągnięcia III RP. Skupiam się w nich na kilku tylko wybranych problemach, szczególnie dla mnie ważnych i lekceważonych z reguły przez naszych dyżurnych optymistów. Nie próbuję oceniać rzeczywistości, w której żyjemy, w sposób wielostronny, wyważony i „obiektywny” (cokolwiek znaczy to słowo). Zamiarem moim było bowiem ukazanie spraw, z którymi nie umiemy sobie radzić, z czym ja osobiście pogodzić się nie potrafię.

Ze względu na szybkość wprowadzanych zmian oraz różnorodność i ostrość towarzyszącej im publicystyki, zwracam uwagę na datę ukończenia publikowanego niżej tekstu – **24 lipca 2016 roku**. Gdybym pisał go dziś, uwzględniłbym oczywiście opracowany przez PO (ale jakże spóźniony, niestety) projekt sensownej ustawy reprivatyzacyjnej, a także cenne głosy na łamach „Gazety Wyborczej” i „Polityki” (Marek Beylin, Rafał Woś, Jacek Żakowski i inni), domagające się istotnych korekt krytykowanego przeze mnie modelu gospodarczego. Nie miało to jednak istotnego wpływu na treść prezentowanych niżej poglądów, które rozwijam od bardzo już dawna w swoich publikacjach i na stronach mojego dziennika.

15 września 2016 roku

I. U źródeł „prawoskrętu”, czyli ideologia restauracji

Tak zwana „dobra zmiana”, zapoczątkowana w końcu ubiegłego roku, była wydarzeniem tak ważnym, że mimo fatalnego stanu zdrowia nie mogłem na nią nie zareagować. Aby zinterpretować ją w szerszym kontekście problemowym i czasowym, napisałem na ten temat obszerny artykuł pt. *Stare zadania dla nowej lewicy*, przeznaczony dla tygodnika „Przegląd”. Artykuł napisany został w połowie 2015 roku, ale z różnych względów

(które rozumiałem i akceptowałem) opublikowany został miesiąc później (nr 3, 18-24.01. 2016, s. 26-33).

Osobliwością tego artykułu, zbliżającą go do stanowiska zajętego przez nowo powstałą lewicową partię Razem, było programowe przeciwstawienie się olbrzymiej presji wywieranej przez opiniotwórczy *mainstream* na osoby nieakceptujące poglądu jakoby niewątpliwie skądinąd pogwałcenie prerogatyw Trybunału Konstytucyjnego było u nas pierwszym i jedynym odstępstwem od zasad wzorowego, demokratycznego państwa prawa. W państwie lekko traktującym uprawnienia socjalne przyznane obywatelom w konstytucji, a przez wiele lat tolerującym hałaśliwe domaganie się stanu wyjątkowego w postaci powszechnej, pozasądowej lustracji setek tysięcy osób, stanowisko takie wydawało mi się pewną przesadą. Sympatyzowałem wprawdzie z niektórymi działaczami PO, ale nie potrafiłem zaakceptować tezy, że aktualne „dobro sprawy” wymaga rezygnacji z krytycznego zastanowienia się nad odpowiedzialnością całej „postsolidarnościowej” klasy politycznej za przeżywany dziś kryzys ustrojowy.

Redaktor „Przeglądu”, Jerzy Domański, wyobraził sobie przez chwilę, że tekst mój wywoła dyskusję. Ja osobiście nie spodziewałem się tego, i miałem rację. Jeżeli przypominam ten mój artykuł, to czynię to wyłącznie po to, aby podkreślić, że poglądy które wyrażam w publikowanym niżej tekście nie są pierwszą moją wypowiedzią w okresie rządów PiS. Artykuł w „Przeglądzie” ukazuje ich ścisły związek z całokształtem moich poglądów na ciemne strony polskich przemian, które niepokoją mnie od wielu już lat.

Stanowisko, które starałem się uzasadnić w różnych moich pracach, zakłada istnienie wyraźnej ciągłości kierunku transformacji gospodarczej, kierowanej przez cały czas przez od początku niemal podzielony, a dziś dogłębnie poróżniony „obóz postsolidarnościowy”. Wbrew przestrogom nielicznych lecz wybitnych przedstawicieli reformatorskiej lewicy (w tym zwłaszcza Tadeusza Kowalika), wybrano bowiem neokonserwatywny (dziś nazywany „neoliberalnym”) model kapitalizmu, dominujący wówczas na Zachodzie, ale nieuwzględniający polskich realiów i rozumiany przeważnie jako zwykła restauracja *status quo ante*. Wybór ten nie miał nic wspólnego z ideologią autentycznej, wielomilionowej „Solidarności”, była ona bowiem ruchem populistyczno-socjalistycznym, a nie wolnorynkowym, „roszczeniowym”, a nie kapitalistyczno-reformatorskim, czyli domagającym się „zaciskania pasa” i „cięć socjalnych”. Przyznał to m.in. główny neoliberalny teoretyk „Gazety Wyborczej”, Witold Gadomski, określając „Solidarność” jako wspaniały „ruch

anachroniczny”, będący w pewnym sensie „szczytowym osiągnięciem socjalizmu w Polsce” (W. Gądomski, *Gdyby Balcerowicz zaczął w 1981 roku*, „Gazeta Wyborcza”, 13-14.12.2008, s. 19).

Sam pisałem w latach 80. o niezbędności rozstania się z iluzją, że „rząd wszystko może” i odpowiednio „naciśnięty” da, co się słusznie należy (zob. mój artykuł w londyńskim „Aneksie” 1984, nr 35). Nie uzasadniało to jednak wyboru przeciwnego anachronizmu, czyli opowiedzenia się za niezreformowanym kapitalizmem, lekceważącym (lub starającym się zignorować) dorobek kapitalizmu uspołecznionego – tak jakby nie istniały postulaty socjalne Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka (1948) ani Europejska Karta Społeczna z 1961 roku, ratyfikowana przez Polskę w roku 1997). Ważna była wyłączenie wolność polityczna w połączeniu z „obiektywnymi” rzekomo prawami wolnego rynku. W ten sposób deklarowana werbalnie „społeczna gospodarka rynkowa” odchylała się w stronę społecznego darwinizmu, traktującego liberalne państwo opiekuńcze jako szkodliwe „lewactwo”. Bronisław Łagowski, bardzo daleki skądinąd od tradycji klasycznie lewicowej, ujął rezultat tego procesu w mocnych i godnych przytoczenia słowach:

„Gdyby ludziom pierwszej Solidarności powiedziano, że ich ruch doprowadzi do reprivatyzacji i wyrzucenia dziesiątków (a może setek) tysięcy ludzi z mieszkań, które legalnie i bezterminowo zajmowali, uznaliby to za propagandę prowokatorów. Dziś, gdy to się dzieje, milczą ich przywódcy i milczy lewica postkomunistyczna. Ideologia panująca jest irracjonalna i sięga głęboko. Utrudnia myślenie w kategoriach interesu narodowego. Ale władza polityczna potrafi już zastraszyć tych, którzy chcieliby po swojemu ten interes definiować”. (B. Łagowski, *Główny nurt nas podtapia*, „Przegląd”, 20-26.06.2016, s. 15).

Ciągłość tego procesu pseudomodernizacyjnego, nazywanego także „demokratyzacją”, dobitnie ukazuje to właśnie, co podkreślił Łagowski: niczym niezakłóconą przez „dobrą zmianę” kontynuację brutalnych praktyk eksmisyjnych. W artykule pt. *Udana eksmisja* („Gazeta Wyborcza”, 19.01.2016, s. 8) przeczytałem na przykład o tym, „jak chora kobieta została siłą wyeksmitowana z mieszkania, tak jak stała, w piżamie”. Działo się to w robotniczej Łodzi. A na następnej stronie tego samego numeru „Gazety” (s. 9) w artykule Janusza Lewandowskiego pt. *Dobre imię Polski* można przeczytać, że jesteśmy „krajem powszechnie podziwianym za mądry sposób zagospodarowania wolności”.

Odnotuję, gwoli ścisłości, że podziwiali nas za to nie wszyscy i nie zawsze. W styczniu 2000 roku „Gazeta Wyborcza” (8.01.2000, s. 3) w artykule pt. *Eksmitowane społeczeństwo* odnotowała fakt, że w poprzednim roku wyeksmitowano na bruk trzy tysiące dzieci – głównie przez nowych właścicieli kamienic domagających się płacenia czynszów przez rodziny, które nie było na to stać. Ale obok tej wiadomości znajduje się w owym dzienniku taki oto komentarz: „Chyba to miał na myśli były premier Holandii, mówiąc niedawno w rozmowie z Michnikiem, że »nie rozumie« polskiej polityki, również w wersji chrześcijańskiej Suchockiej i liberała Balcerowicza”.

Polityka ta zrozumiała była jednak z punktu widzenia „staroliberalnej” ideologii polskiej transformacji, uznającej nienaruszalność własności prywatnej za wartość nadrzędną, stanowiącą rzekomo podstawę zachodniej cywilizacji. Nazywam to stanowisko „staroliberalnym”,

ponieważ nowoczesny liberalizm, stworzony przez Johna Stuarta Milla, odrzucił je już w wieku XIX, wraz z niepodważalnym odkryciem, że bogactwa klasy panującej są w istocie tworem całego rozwoju społecznego, a nie jedynie różnic w indywidualnej pracowitości i przedsiębiorczości. Było to oczywistym uzasadnieniem prawa społeczeństwa do redystrybucji własności w imię interesu społecznego i do uznania za nadrzędne prawa wszystkich ludzi do maksymalnie wszechstronnego rozwoju. Liberalny teoretyk Thomas Hill Green już w roku 1881 wyprowadził stąd radykalne zakwestionowanie wolności kontraktu dowodząc, że społeczeństwo nie powinno pozwalać na nieograniczoną swobodę sprzedawania przez robotników ich pracy, jeżeli kolidowałoby to z ich zdrowiem i rozwojem. Towarzyszyło temu rozwinięcie myśli, że jedynym uzasadnieniem prywatnej własności jest wolność pojęta jako „wyzwolenie sił wszystkich ludzi do czynienia wspólnego dobra”. Idee takie, wszechstronnie rozwinięte przez tzw. „nowy liberalizm” pierwszej dekady XX wieku, legły u podstaw imponującego rozwoju liberalnego państwa opiekuńczego, przyjętego po drugiej wojnie światowej przez wszystkie rozwinięte kraje zachodnie.

Model ten, który nazwać można „kapitalizmem uspołecznionym” akceptowany był niemal powszechnie i służył na to zarówno ze względów społecznych, jak i ekonomicznych. Polska transformacja ustrojowa rozpoczęła się niestety w okresie, w którym z różnych względów (o czym piszę obszernie w książce *Od projektu komunistycznego do neoliberalnej utopii*, s. 402-424) państwo opiekuńcze stało się przedmiotem zmasowanego ataku sił radykalnej prawicy, występującej początkowo (w czasach Ronalda Reagana i Margaret Thatcher) pod nazwą „neokonserwatyzmu”, w Polsce jednak kojarzonej z ekonomicznym „neoliberalizmem”. Ale nawet w takim klimacie ideologicznym nikt nie wymagał od Polski restauracji przedsocjalistycznych stosunków własnościowych. Prywatyzacja, natarczywie zalecana przez neoliberalistów, nie jest przecież tym samym, co *reprivatyzacja*, czyli przywracanie przedwojennych praw dawnych właścicieli. Przeciwnie! Widziano to wyraźnie i przestrzegano przed tym od dawna, również w kręgach niepodległościowej emigracji, zwłaszcza w środowisku paryskiej „Kultury”, tak wpływowej skądinąd w kręgu nowej elity politycznej. Juliusz Mieroszewski poświęcił temu ważny artykuł pt. *Kordian i cham* (1973). Pisał w nim w imieniu „Kultury” co następuje:

„Od samego początku reprezentowaliśmy pogląd, że konstytucja przedwrześniowa nie może być nawet symbolicznym »herbem« idei niepodległościowej. Rozumieliśmy bowiem, że Trzecia Rzeczpospolita, która będzie sukcesorką Polski Ludowej – odrzucając komunizm – zatrzyma zdobycze socjalizmu. Tak jak w polskich warunkach nie może być powrotu do wielkoobszarniczej prywatnej gospodarki rolnej – tak nie może być również kapitalistycznej reprivatyzacji wielkich zakładów przemysłowych. Fakt, że bardzo wielu Polaków w kraju – nawet tych, którzy się z nami nie zgadzają – uważa od 25 lat »Kulturę« za jedyne światło w tunelu, tu bierze swe źródło” (J. Mieroszewski, *Listy z Wyspy. ABC polityki „Kultury”*, Paryż-Kraków 2012, s. 35).

Dla ludzi mojego pokolenia i mojej (jak słusznie lub mylnie sądziłem) formacji intelektualnej wydawało się to oczywiste. Nie trzeba było być lewicowcem, aby podzielać takie przekonanie. Ale oto nagle w latach 90. okazało

się, że istnieją w Polsce siły społeczne zdolne wymusić przyzwolenie na reprivatyzację właśnie, i to reprivatyzację nie tylko środków produkcji, lecz także – i przede wszystkim – własności użytkowej, prywatnej i społecznej, czyli mieszkań i lokali użyteczności publicznej. Słusznie przypomniano, że niestety rozpoczął to Wałęsa, który „jako głowa państwa naobiecował rozmaitym arystokracjom, że odda im dawne rezydencje, w których *notabene* od dawna mieściły się już państwowe muzea albo instytucje naukowe”. Kontynuował to Kościół katolicki, zgłaszając roszczenia do posiadanej niegdyś ziemi, jurydyk kościelnych i dóbr poniemieckich, w tym także do budynków użytkowanych przez sierocińce i szkoły (A. Szczypiorski, *Salceson historii*, „Polityka” nr 37, 11.09.1999, s. 54-55). Co gorsza, zupełnie zapomniano przy tym, że elementarnym interesem narodowym Polaków było położenie grubej kreski na wszystkich roszczeniach do znacjonalizowanej lub porzuconej niegdyś własności, w przeciwnym bowiem wypadku groziłby zalew pozwów reprivatyzacyjnych z zagranicy, godzący w warstwy najuboższe i wzmocniony argumentacją, że umowy w tej sprawie z PRL są nieważne jako zawarte z państwem „komunistycznym”.

Nie brakło, trzeba przyznać, głosów sprzeciwu. Na alarm bił zwłaszcza niezapomniany Aleksander Małachowski, ale urzeczywistnił się jednak scenariusz najgorszy. Na łamach swego dziennika pod datą 18 października 1999 roku pisał o tym następująco: „Wstrząsające! Okazuje się, że rząd zaakceptował reprivatyzację nie tylko własności przejętej z naruszeniem prawa, ale także wszystkiego co przejęto w wyniku nacjonalizacji przemysłu i reformy rolnej! (z wyjątkiem mienia odebranego osobom narodowości niemieckiej!). To się w głowie nie mieści! Najbardziej orędowną za tym wiceminister finansów Krzysztof Łaskiewicz, sam reprezentujący grupę byłych właścicieli. Odebrać ma się mienie przekazane samorządom terytorialnym, które nie będą miały w tej sprawie nic do powiedzenia. Dawnym właścicielom mają być zwracane także dzieła sztuki znajdujące się w muzeach”.

Dziennikarz „Przeglądu Tygodniowego”, A. Dryszel, słusznie podsumował, że jest to: 1) niemoralne w kraju z tak wielką liczbą ubogich, 2) wyniszczające ekonomicznie oraz 3) bez podstaw prawnych, bo z żadnego prawa dziś obowiązującego nie wynika, a trybunał w Strasburgu już w kilku orzeczeniach uznał, że wywłaszczenie (legalnie przeprowadzone) nie stanowi powodu do rewindykacji. („Przegląd Tygodniowy”, 13.10.1999, nr 41).

Trzeba przyznać, że honor „obozu postsolidarnościowego” starali się uratować dwaj jego współzałożyciele: Jacek Kuroń i Karol Modzelewski. Na łamach „Przeglądu” Modzelewski nazwał ustawę reprivatyzacyjną „aktem nieodpowiedzialności za państwo”, drastycznym odstępstwem od zasady obrony słabszych, rujnującym kraj gospodarczo, ponieważ kosztować będzie co najmniej 47 miliardów, po odtrąceniu podatków 44 miliardy na czysto. W zamieszczonej obok ramce mogliśmy przeczytać, że kłamstwem jest jakoby wymagała tego Unia Europejska i że efektem przyjętej ustawy będzie powstanie nowych miejsc pracy. Przypomniano także, „jak zrobili to inni”. Otóż tak: w Słowacji byli właściciele dostali w gotówkę około 1000 złotych na głowę, na Węgrzech zaproponowano bony o wartości średnio 400 zł na osobę, w Niemczech uznano, że nacjonalizacja była zgodna z prawem, w Czechach zaś wdrożono przewlekłe postę-

powanie sądowe, ze skrupulatnym sprawdzeniem zadłużenia majątku.

W końcu stycznia 2001 roku Kuroń i Modzelewski opublikowali w „Gazecie Wyborczej” (27-28.01.2001) druzgocący artykuł o ustawie reprivatyzacyjnej pt. *Cena reprivatyzacji*. Dowodzili w nim, że nowo przyjęta ustawa kosztować będzie tyle co służba zdrowia w ciągu 15 lat, nauka w ciągu 14 lat, bezpieczeństwo obywateli w ciągu 6 lat, a więc zrealizowana będzie za cenę ochrony ludzkiego życia, zdrowia i prawa do rozwoju. Zmobilizowało mnie to do natychmiastowego napisania dla „Gazety” artykułu pt. *Nieświęte prawo własności*, dowodzącego, że nowoczesny liberalizm nie daje żadnego alibi zwolennikom reprivatyzacji, podporządkowuje bowiem prawo własności całemu kompleksowi niezbywalnych praw człowieka (A. Walicki, *Nieświęte prawo własności*, „Gazeta Wyborcza”, 12.02.2001, s. 18-19). Wydawało mi się jednak, że redaktor naczelny „Gazety” odnosi się do apelu Kuroń i Modzelewskiego nazbyt powściągliwie, troszcząc się zapewne o reputację postsolidarnościowych liberałów. Postanowiłem więc zwrócić się do Leszka Kołakowskiego, z którym pozostawałem w stałej korespondencji, z prośbą o publiczne zajęcie stanowiska w tej sprawie. W liście do niego z 11 lutego 2001 roku przypominałem, że Sejm uchwalił ustawę reprivatyzacyjną w kontekście 16 procent bezrobotnych, w olbrzymiej większości nie otrzymujących żadnego zasiłku, następnie zaś zadeklarowałem, że całkowicie solidaryzuję się w tej sprawie z Kuroń i Modzelewskim, cytując: „To katastrofa, taktyka »spalonej ziemi« w obliczu wyborczej klęski. [...] Jeśli tak ma się skończyć solidarnościowa rewolucja i balcerowiczowska transformacja, to jest to ironiczne, żałosne i – powiem wprost – haniebne. [...] Rozumiem różne ewolucje od leninizmu do liberalizmu, mogę głęboko szanować ludzi, którzy przez nie przeszli, ale nie pojmuję ewolucji prowadzącej do uznania za aksjomat, że własność prywatna ma priorytet przed dobrem narodu”.

Odpowiedź Kołakowskiego nadeszła szybko i w sprawie, o której mowa, była zupełnie jednoznaczna. Sympatyzowanie z liberalnym programem wychodzenia z „realnego socjalizmu” przez marketingową nie przeszkodziło Leszkowi wyraźnie odróżnić budowanie demokracji rynkowej od ekonomicznych i moralnych absurdów restauracyjnej reprivatyzacji. Ujął to w słowach: „Co do sprawy reprivatyzacji: jestem całkowicie po Twojej stronie. Gdy tylko przeczytałem artykuł Kuroń i Modzelewskiego, napisałem list do Jacka, w którym powiedziałem, że bez zastrzeżeń podpisuję się pod ich tekstem. Później przeczytałem Twój artykuł w »GW«, który także uznałem za bardzo dobry, bardzo słuszny. W tej sprawie nie ma chyba żadnych między nami różnic” (list z 21 lutego 2001 roku).

Niestety, Leszek nie wypowiedział się w tej sprawie publicznie, mimo że usilnie go o to prosiłem. Myślę, że przyczyną tego była obawa liberalno-demokratycznego skrzydła „obozu postsolidarnościowego” przed pogłębieniem podziałów w łonie tego obozu i osłabieniem jego pozycji w obliczu wyborczych sukcesów tzw. postkomunistów.

Na szczęście ustawę reprivatyzacyjną zawetował prezydent Kwaśniewski, umożliwiając w ten sposób opracowanie innej ustawy, rozsądniejszej politycznie i sprawiedliwszej społecznie. Brak jednoznacznego poparcia

tego weta przez polityczne centrum był jednak błędem, którego skutki nie omieszkaly ujawnić się z całą bezwzględnością. Opozycja wobec „postkomunistycznego” prezydenta ułatwiła proces przesuwania się na prawo całej postsolidarnościowej elity politycznej, delegitymizowanie wszystkich, nawet bardzo umiarkowanych formacji lewicowych, a przede wszystkim coraz radykalniejsze zrywanie ciągłości historycznej przez monstrualne zacieranie wizerunku PRL. Nie pozostało to bez wpływu na orzecznictwo sądów w pozwach repywatyzacyjnych, a brak kompleksowej ustawy regulującej te sprawy zmuszał sądy do polegania wyłącznie na formalnych zapisach hipotecznych, bez uwzględniania wszelkich innych okoliczności. Ideologowie prawicy nazywali to oczywiście niezbędnym procesem dekomunizacji.

W rzeczywistości był to proces restaurowania *status quo ante*, nie uwzględniający przedawnień i elementarnych praw lokatorów komunalnych, ignorujący użyteczność publiczną repywatyzowanych budowli, a nawet społeczne koszty odbudowywania ich po zniszczeniach wojennych. Ponadto proces realnego oddawania własności byłym prywatnym właścicielom i ich spadkobiercom połączył się ze zdumiewającą tolerancją wobec wyrzucania ludzi na bruk przez skupaczy prawnych roszczeń, czyli przez spekulantów nabywających, często za bezcen, formalne tytuły własności, aby następnie sprzedać je z wielokrotnym zyskiem różnego rodzaju inwestorom i deweloperom budującym siedziby bogatych instytucji i luksusowe lokale dla ludzi majątnych. A więc już nie przywracanie własności prywatnej i bezpośrednio związanej z osobami właścicielami, ale robienie bardzo intratnych interesów kosztem rażącej krzywdy ludzi ubogich i bezbronnych.

Praktyki takie nigdy nie zyskały aprobaty społecznej. Przeciwnie – spotykały się często z zorganizowanym, aktywnym oporem. Ale należy chyba zgodzić się, że samo ich istnienie, kontynuowane również po „dobrej zmianie”, nie daje się pogodzić z legitymizowaniem III RP egalitarnymi ideami pierwszej ludowej „Solidarności”. I nie ma też – dodam – nic wspólnego ze społecznie zreformowaną gospodarką rynkową, obiecaną nam w konstytucji.

II. Czy III RP jest w pełni demokracją?

Wszystko to, jak sądzę, każe poważnie zastanowić się nad tym, czy nasze państwo zasługuje na określenie go, bez zastrzeżeń, mianem demokracji. Zrozumiałe jest, że nie mają co do tego wątpliwości partie dziś rządzące, ale zasługuje na uwagę, że myśli tak również Adam Michnik, dowodzący w swoich wypowiedziach, że III RP jest wciąż demokracją, mimo coraz większych wewnętrznych zagrożeń.

W moim własnym odczuciu pogląd taki jest dużym uproszczeniem, wynikającym z utożsamiania demokracji z demokracją elektorálną, czyli z systemem poddawanych sprawdzianowi regularnych i uczciwych wyborów parlamentarnych. Mówi się w tym kontekście o długich, starych tradycjach demokracji na Zachodzie (a nawet w szlacheckiej Polsce), zupełnie zapominając o fakcie, że również tam demokracja elektorálna, czyli powszechność prawa wyborczego jest zjawiskiem stosunkowo nowym – w wieku XIX normą był bowiem drastyczny cenzus majątkowy i, oczywiście, wykluczenie kobiet z życia politycznego. Co ważniejsze, nie dociera do nas również świadomość, że sama tylko demokracja elektorálna nie

decyduje jeszcze o demokratyczności systemu społeczno-politycznego, zabezpiecza bowiem jedynie istnienie konkurencji politycznej, co we współczesnych naukach politycznych nazywane jest „konkurencyjnym elityzmem” (*competitive elitism*), bardzo dalekim od autentycznej, nowoczesnej demokracji.

Absolutyzowanie znaczenia wolnych wyborów jako decydującego rzekomo kryterium „demokratyczności” jest przeważnie częścią szerszego zjawiska, a mianowicie absolutyzowania wartości demokracji politycznej jako takiej. Jest to odwrotnością stanowiska wielu (jeśli nie większości) dziewiętnastowiecznych socjalistów, którzy uważali, że demokracja ograniczona do sfery politycznej jest w istocie legitymizacją klasycznego panowania burżuazji, a więc należy przeciwstawiać się jej w imię bezwzględnego prymatu demokracji socjalnej, czyli wyzwolenia ludu od ekonomicznego ucisku. Klasycznymi reprezentantami takiego stanowiska (*notabene* krytykowanymi z tego powodu przez marksistów) byli rosyjscy narodnicy, o czym pisałem wielokrotnie. Dziś jednak dominujące stało się stanowisko diametralnie przeciwstawne, głoszące, że nacisk na demokrację społeczną dostarcza uzasadnień populizmowi, prawicowemu z reguły i mogącemu nawet torować drogę dyktaturom totalitarnym. W warunkach polskich obawy takie przybierają periodycznie postać medialnych krucjat przeciwko takim czy innym „populistom”, mobilizującym niewykształcone i niewyrobione politycznie masy przeciwko światłym elitom w celu odebrania należnego im przywództwa i pokrzyżowania ich reformatorskich planów.

Z punktu widzenia liberalnej demokracji jest w tym trochę racji, ale jednak bardzo względnej. Populizmu nie da się przecież wyeliminować, „wola ludu” jest bowiem równie ważnym składnikiem nowoczesnej polityki liberalno-demokratycznej jak liberalna idea ograniczenia wszelkiej władzy (również „władzy ludu”) przez niezbywalne prawa jednostek i mniejszości. Bez tego ograniczenia suwerenna wola ludu legitymizować może wszelkie postacie autorytaryzmu, ale druga skrajność, czyli elitarnie ignorowanie woli ludu pod hasłem walki z ciemnym „populizmem” nieuchronnie przekształca liberalny system przedstawicielski w maskę monstrualnie uprzywilejowanej oligarchii politycznej lub ekonomicznej, bądź jednocześnie jednej i drugiej.

Tyle tytułem wstępnego wyjaśnienia mojego stanowiska. Przechodzę teraz do naszkicowania myśli, że we współczesnej literaturze politycznej demokracja pojmowana jest zawsze jako całościowy system, nieredukowalny do kilku podstawowych zasad gry o władzę. Teoretycy demokracji wyróżniają wiele jej modeli, każdy z nich charakteryzuje jednak jako integralny system, niesprowadzalny do formalnych zasad parlamentaryzmu. Reprezentatywna jest pod tym względem książka Davida Helda *Models of Democracy* (Cambridge 2006, wyd. 3), wyróżniająca cztery „klasyczne” modele demokracji, pięć modeli dwudziestowiecznych oraz model postulowany, przyszłościowy.

W niniejszych rozważaniach skoncentruję się jednak na jednej tylko kwestii: czym demokracja (zwłaszcza zaś demokracja liberalna) na pewno nie jest. A więc po kolei:

– Demokracja nowoczesna nie może być państwem „światopoglądowym”, czyli dyktaturą ideologiczną. Wszelkie odchylenie w tę stronę jest rażącym odstępstwem zarówno od demokracji jak liberalizmu.

– W demokratycznym państwie narodowym naród nie może być pojmowany jako jedna odgórnie narzucana „tożsamość”. Demokratyczny naród jest wspólnotą losu maksymalnie pojemną, pluralistyczną, dialogową, a nie monologową.

– Oczywiście jest, że żaden system demokratyczny nie może być faktyczną wszechwładzą jednej partii, choćby nawet legitymizowała się ona sukcesem wyborczym.

Tyle w kwestii demokracji jako „woli ludu”, wyrażanej formalnie w postaci władzy parlamentarnej większości. Pozostaje sprawa liberalizmu jako niezbędnego ograniczenia tej władzy. Otóż oczywiście jest, że ograniczenie to (o czym już była mowa) służyć ma zabezpieczeniu praw jednostki i mniejszości, a nie nienaruszalnych rzekomo praw własności prywatnej i autokracji rynku. W Polsce jednakże liberalizm utożsamiony został z ideologią nadrzędności i rzekomej nieprzedawnialności własności prywatnej, apologią wolnego rynku oraz, dodatkowo, z programem forsownej wolnorynkowej modernizacji. Wszystko to jednak ma niewiele wspólnego z genezą i rozwojem liberalizmu jako wielkiej nowożytnej tradycji intelektualnej, wielonurtowej oczywiście, ale podporządkowanej jednak logice promowania wszechstronnie pojmowanej wolności człowieka, a nie jedynie wolności gospodarczej. Liberalizm bowiem (przypomnijmy) zrodził się z walki o wolność sumienia, w wieku XIX (J. S. Mill) przybrał postać radykalnego sprzeciwu wobec moralnego konformizmu, a w wieku XX osiągnął bezprecedensowe sukcesy w tworzeniu państw opiekuńczych, osiągających sukcesy gospodarcze w warunkach całkowitej wolności politycznej przy jednoczesnym maksymalnym rozszerzaniu zakresu zabezpieczanych przez demokratyczne państwo socjalno-ekonomicznych i kulturalnych praw człowieka.

Z punktu widzenia tych wyjaśnień, dość podstawowych i sformułowanych wyżej w telegraficznym skrócie, pogląd na III RP jako państwo bez wątpienia demokratyczne przestaje być oczywisty. Oczywiście jest natomiast, że dominującą ideologią III RP szybko stał się radykalny antykomunizm w dwóch głównych wersjach, kojarzonych potocznie (choć nie zawsze słusznie) z narodową prawicą lub z „liberalną” wolnorynkową modernizacją. A jeszcze bardziej oczywisty jest fakt, że w obu tych wersjach ideologia „postsolidarnościowych elit” przybierała niekiedy postać jaskrawo sprzeczną z zasadami demokratycznego państwa prawa, proklamowanymi na początku naszej transformacji ustrojowej i stanowiącymi część obowiązującej konstytucji.

Spróbuję zilustrować to na konkretnych przykładach.

Wyrazistym przykładem radykalnego zerwania z przyjętymi w świecie zachodnim zasadami demokracji liberalnej jest uchwalona 1 kwietnia 2016 roku dekomunizacyjna ustawa polskiego Sejmu („Dziennik Ustaw”, 2016, poz. 744). Jest ona ostatnim słowem trwającego od wielu lat procesu coraz drastyczniejszego przesuwania się na prawo całego „oboazu postsolidarnościowego”, a wraz z nim, niestety, również opinii młodszych pokoleń bezbronnych wobec zmasowanej propagandy medialnej. Ustawa ta, przyjęta bez głosów sprzeciwu, nakazuje usunięcie z ulic aż 1400 nazw nawiązujących do dziejów PRL lub do oskarżonych o komunizm tradycji lewicy, w tym nazw lewicowych formacji wojskowych, łącznie z Wojskiem Polskim, które u boku ZSRR wyzwalało Polskę od niemieckiej okupacji. Zgodnie z poprzed-

nimi uchwałami dekomunizacyjnymi dotyczy to m.in. „Dąbrowszczaków”, mimo że rząd Hiszpanii ma w tej kwestii przeciwne zdanie (zob. P. Prekiel, *Dekomunizacja prawdy historycznej*, „Przegląd Socjalistyczny”, 2016, nr 1-2, s. 25-27). Innymi słowy, jest to bezprecedensowo śmiała próba wymuszenia pożądanych przez polityków przemian świadomości narodowej, a nawet samej definicji narodowej tożsamości, przez akty prawne, a więc wsparte przemocą państwa. Wbrew powszechnemu do niedawna odczuciu, że świadomość narodowa jest czymś tworzoną spontanicznie, oddolnie, i że to ona powinna mieć kształtujący wpływ na ustawodawstwo, a nie na odwrót.

To samo powiedzieć trzeba w sprawie muzeów, pomników i innych upamiętnień przeszłości, w tym również pomników setek tysięcy poległych w Polsce żołnierzy radzieckich, które mają być usunięte i umieszczone w groteskowym skansenie. Według IPN jest to egzekwowanie należnego państwu prawa do określenia własnej tożsamości. Eksponowane miejsca pomników ku czci armii radzieckiej w Niemczech i w Austrii uzasadniane jest tylko tym, że kraje te, w przeciwieństwie do Polski, były winowajcami w drugiej wojnie światowej i poniosły zasłużoną klęskę. Na przykładzie Austrii widać jednak, że jest to grube uproszczenie, okazały pomnik Armii Czerwonej nie przeszkadza bowiem mieszkańcom Wiednia na tej samej zasadzie, na jakiej aprobują oni bliskie sąsiedztwo tak różnych upamiętnień złożonej historii swojego kraju jak Muzeum Krzyżaków i Muzeum Róży Luksemburg. Jest to zasada pluralizmu ideowego, łącząca w pojęciu wspólnego losu narodowego orientacje polityczne przeciwstawne, symbolizowana m.in. przez francuski Panteon i cmentarz Père-Lachaise. Zasadę tę akceptowała *notabene* postradziecka Rosja, gotowa czcić bohaterów Białej Armii bez wyrzekania się rewolucji jako niewymazywalnej części „narodowego losu Rosji”. Politycy prawicy polskiej nie chcą jednak wyjść poza prostą moralistyczny schemat walki Dobra ze Złem. Trzymają się go świadomie, potępiając wszelkie odstępstwa od tego manicheizmu jako zgubny relatywizm moralny, prowadzący wprost do nihilizmu.

Warto przy okazji dodać, że rządząca obecnie partia w wypowiedziach swojego autorytatywnego Prezesa od dawna już dzieli Polaków na genealogicznie „lepszyc” i „gorszych”, reprezentujących patriotyczną tożsamość lub „tradycję narodowej zdrady”. Dla mnie osobiście jest to czymś niesłychanym, trudnym do uwierzenia. Być może dlatego, że znaczącą część życia spędziłem w krajach anglojęzycznych (USA, Anglia, Australia), w których samo pojęcie „polityki tożsamości” (*identity politics*) ma konotację negatywną i jednoznacznie antydemokratyczną, kojarzy się bowiem nie z wybieraniem tych lub innych programów ogólnospołecznych, ale ze wspieraniem „swój – swego”, czyli Murzyn–Murzyna, Żyd–Żyda, katolik–katolika. Innymi słowy, polityka taka uważana jest nie bez racji za przeciwieństwo polityki narodowej, mającej wznosić się ponad wszelkiego rodzaju getta – nie tylko etniczne i wyznaniowe, lecz również ideologiczne.

Niemal równie głęboką degenerację odnajdujemy jednak u wielu reprezentantów środowiska uważającego się za liberalne. Przykładem tego jest stanowisko Leszka Balcerowicza, dowodzącego – pośrednio, a nawet wprost – że własność prywatna i imperatyw ekonomicznego rozwoju powinny być uznane za wartości nadrzędne wobec liberalnej demokracji. W wydanej przez niego

obszernej antologii zatytułowanej *Odkrywając wolność* (Poznań 2012) zawarte są liczne egzemplifikacje takiego stanowiska, starannie wyeksponowane i traktowane z nieukrywaną sympatią. Czytamy w niej na przykład, że samo wyrażenie „liberalna demokracja” jest wewnętrznie sprzeczne – liberalizm bowiem oznacza nienaruszalność i absolutną nadrzędność prawa własności, demokracja zaś wyraża „wolę ludu”, która – o zgrozo – może opowiedzieć się za redystrybucją własności (s. 272). Więcej nawet: w liberalnej demokracji biedni wyzyskują bogatych, ponieważ praktyką demokracji jest właśnie gra dystrybucyjna, w której dwaj jednoczą się, aby obrabować trzeciego (s. 669-670), czego rażącym przykładem są ponoć przymusowe ubezpieczenia zdrowotne i emerytalne.

Presja poglądu uznającego priorytet nieprzedawnialnego ponoć prawa własności widoczna jest bardzo wyraźnie w polskim orzecznictwie sądowym dotyczącym reprivatyzacji nieruchomości i uzasadniającym (o czym już była mowa) niewiarygodnie liczne i brutalne eksmisje. Z punktu widzenia prawa stanowionego (jak wykazała m.in. prof. Ewa Łętowska) nie można zakwestionować legalności słynnego „dekretu Bieruta”, umożliwiającego racjonalną odbudowę zniszczonej Warszawy. Dlatego też praktyki reprivatyzacyjne wspierane są z reguły argumentacją o centralnym rzekomo znaczeniu własności prywatnej w prawie natury, cywilizacji europejskiej i w liberalnej świadomości prawnej.

Bliższe przyjrzenie się tej argumentacji podważa ją jednak dość zasadniczo. Nie jest prawdą, jakoby bezwarunkowa własność prywatna była ideą swoiście chrześcijańską; tomiści i dominikanie opowiadali się za *ograniczoną* własnością indywidualną, franciszkanie zaś wybierali wręcz własność wspólną. Idea nieograniczonej własności indywidualnej i „świętości kontraktu” pojawiła się wraz z teorią absolutnie wolnej woli, w paradoksalny sposób uzasadniającej niewolnictwo. Człowiek bowiem (jak dowodzili wielcy scholastycy końca XIX wieku, L. de Molina i F. Suarez) jest panem (*dominus*) własnej woli, a skoro tak, to może sprzedać się w niewolę z całym potomstwem i kontrakt ten pozostanie obowiązujący. R. Tuck w książce *Natural Rights Theories* (Cambridge 1979) wykazał ścisły związek tych idei z praktyką handlu niewolnikami z Afryki. Musiało upłynąć trochę czasu, zanim zachodnia świadomość prawna ponownie odkryła myśl (od dawna obecną w wielkich religiach świata), że wolność i godność ludzka są wartościami niezbywalnymi, o wiele ważniejszymi niż prawo własności. Czasami ważniejszymi nawet niż respektowanie pelagiańskiej wolności woli, bardzo istotne wprawdzie jako wyraz szacunku dla indywidualnej odpowiedzialności, ale mogące też uzasadniać sprzedawanie się w niewolę, jakże często bezwiednie i za bezcen.

Osobną sprawą, którą warto w tym miejscu krótko odnotować, jest ewidentna sprzeczność liberalnej filozofii społecznej, również w jej wersji skrajnie konserwatywnej, reprezentowanej przez Fryderyka Hayeka, z promowanym przez Balcerowicza programem forsownej wolnorynkowej modernizacji, mającej realizować się dzięki polityce „cięć socjalnych” i „zaciskania pasa”. Hayek, wbrew uznawaniu go za patrona neoliberalnej wolności rynku, nie był przecież ideologiem neoliberalnych modernizatorów czasów globalizacji. Przeciwnie. Był on wyjątkowo konsekwentnym zwolennikiem „nomokracji”, czyli rządów prawa w sensie stabilnych i nielicznych

„reguł słusznego postępowania” oraz przeciwnikiem „teleokracji”, czyli narzucania społeczeństwu celów, do których ma dążyć oraz wprzęgania ustawodawstwa w realizację tych celów. Programy „teleokratyczne” nazywał „konstruktywizmem” zawsze kolidującym z indywidualną wolnością i prowadzącym w tej czy innej mierze do nowego niewolnictwa w postaci praktyk totalitarnych. Oczywiście jest więc, że nie mógł być zwolennikiem reżimów mobilizacyjnych, narzucających społeczeństwom odgórnie sterowaną modernizację. Mógł popierać je tylko częściowo – w tej mierze, w jakiej wspierały one politykę demontażu państwa socjalnego oraz zastępowania interwencjonizmu państwowego mechanizmami rynkowymi. Hayekowski ideał państwa prawa nie miał jednakże nic wspólnego z neoliberalną inżynierią społeczną.

Niewykluczone, że w przypadku Polski, czyli kraju skazanego na „doganianie” rozwiniętych państw zachodniego centrum, modernizacyjny konstruktywizm miał jakieś uzasadnienia. W danym kontekście nie wypowiadał się w tej kwestii. Sądzę jednak, że ludzie uważający się za liberałów nie powinni identyfikować się z bezwzględny narzucaniem społeczeństwu określonej hierarchii celów, a zwłaszcza ze wskrzeszaniem ewidentnie anachronicznych i rażąco niesprawiedliwych form gospodarki kapitalistycznej, niszczących tak podstawowe osiągnięcia pracobiorców jak ośmiogodzinny dzień pracy, prawo do płatnych urlopów, gwarantowanej płacy minimalnej i godnych emerytalnych ubezpieczeń.

W moim własnym odczuciu najmocniejszym dowodem deficytu demokracji III RP jest olbrzymi zakres przemocy symbolicznej, efektywnie wymuszającej konformizm zarówno zewnętrzny, jak i wewnętrzny. A z perspektywy klasycznego demokratycznego liberalizmu, jakim był J.S. Mill – perspektywy, którą w pełni podzielam – to właśnie jest największym wrogiem wolności, ważniejszym niż autorytarne dążenia władzy politycznej. Rdzeniem wolności jest bowiem wolność sumienia, słowa i myśli, a więc niezależność od narzucanych z zewnątrz mechanizmów konformizacji. Różnica między autorytaryzmem politycznym a totalitaryzmem polega właśnie na tym, że systemy totalitarne nie zadowolają się ustanowieniem zewnętrznych granic swobodnego działania, dążą bowiem do ograniczenia wolności od wewnątrz, przez efektywną kontrolę umysłów i sumień.

Klasyczny totalitaryzm był oczywiście połączeniem skrajnego autorytaryzmu z wszechogarniającą ideologizacją, a więc zniewolenia zewnętrznego z wewnętrznym. W epoce posttotalitarnej uwagę badaczy przyciągnęło jednak ciekawe zjawisko przemocy symbolicznej, czyli różnych form zbiorowej presji likwidującej wolność jednostki bez użycia środków zewnętrznego przymusu. Niestety, z takim właśnie zjawiskiem mamy wciąż do czynienia w „postkomunistycznej” (tzn. postpeerelowskiej) Polsce. Społeczeństwo polskie nie miało wielkich szans na swobodne demokratyczne samookreślenie, od samego początku bowiem znalazło się pod przemożną władzą kilku hegemonicznych dyskursów, dominujących w zwycięskim obozie politycznym. Jeden z nich, wspólny w różnym natężeniu całemu temu środowisku, legitymizował roszczenie postsolidarnościowych elit do monopolu władzy politycznej przez narzucenie „przypadkowemu społeczeństwu” maksymalnie zaczerpniętego, coraz bardziej zdemonizowanego obozu Polski Ludowej, utożsamianej bezzasadnie z „komunizmem”, czyli kwintesencją

wszelkiego zła. Drugi dyskurs, prezentujący się jako „liberalny”, legitymizował brutalność transformacji kapitalistycznej, łącznie z przywracaniem wielu form kapitalizmu w jego „dzikiej” niezreformowanej postaci, a więc przeciwstawiał się wszelkim próbom obrony ofiar tej transformacji, piętnując je mianem szkodliwej „roszczeniowości” i „populizmu”. Trzeci dyskurs, początkowo uzupełniający dwa poprzednie, stopniowo jednak wyodrębniający się i coraz bardziej opozycyjny wobec „liberałów”, odwoływał się coraz agresywniej do wartości rdzennie narodowych, dzieląc Polaków na „prawdziwych” i „metrykalnych” oraz łącząc w tym drugim pojęciu „postkomunistów” reprezentujących obiektywnie obóz narodowej zdrady, z liberalnymi entuzjastami zbliżenia z nadwątlonym moralnie Zachodem reprezentującym permissywną „cywilizację śmierci” (co wzmocniło się, oczywiście, po przystąpieniu Polski do UE).

Po powrocie do Polski (w roku 2006) po ćwierćwiecowym pobycie w Australii i w USA zdumiałem się nadzwyczajną skutecznością uruchomionych w ten sposób mechanizmów konformizacji. Doszło do tego, że wypowiedzanie poglądów i ocen zdroworozsądkowych, najdalejszych od jakiegokolwiek ekstremizmu, ale wyłamujących się z ram narzuconej ideologii, uchodziło za akt niebываłej wprost cywilnej odwagi. Ludzie o poglądach zdawałoby się lewicowych poddawali się autocenzurze, bojąc się, że np. obrona ludzi przed eksmisjami na bruk podważy nieprzedawnione ponoć prawo własności, co byłoby opowiedzeniem się „po niewłaściwej stronie”. „Postkomuniści” z SLD potulnie akceptowali nową „panującą ideologię” w błogiej nadziei, że uwolnią się w ten sposób od statusu pariasów, nie wiedzieli jednak, że lewicowość dopuszczalna była tylko w teorii, ale nie w praktyce. Celebrowanie „Solidarności” jako symbolu łączone było z odebraniem robotnikom nabytych uprawnień socjalnych (nazywanych teraz „przywilejami”), zamykaniem zakładów pracy i oskarżaniem protestujących załóg o działalność antypatriotyczną. Dobrze, że nie dochodziło przy tym do przelewu krwi, ale mimo to wygaszanie protestów pracowniczych przez zmasowaną przemoc symboliczną, mającą do dyspozycji wszystkie media publiczne, trudno nazwać triumfem wolności i demokracji.

Warto jednakże podkreślić, że ten wymuszony konformizm był w istocie dość płytki. Po wielu latach przedstawiania stanu wojennego jako zbrodni i narodowej zdrady około połowy ankietowanych mówiło o nim jako o decyzji usprawiedliwionej i korzystnej. Bardzo opornie szło też wypieranie pozytywnych wspomnień o PRL i gloryfikowanie zasług nowej elity politycznej. Dobitnie świadczy o tym ankieta OBOP z 9-12 maja 1998 roku, omówiona w rozmowie Stefana Bratkowskiego z Hanną Świdą-Ziembą, że tylko 23 proc. ankietowanych uważało za wadę PRL brak swobód politycznych, tylko 6 proc. dodawało do tych wad zależność kraju od ZSRR, natomiast aż 45 proc. wysoko ceniło zapewnioną w PRL „pracę dla każdego” („Gazeta Wyborcza”, 3.07.1998, s. 16-17). Równie rozzaczarowujące dla klasy politycznej były opinie ankietowanych o III RP. Tylko 15 proc. uważało za jej zaletę wolny rynek, tylko 12 proc. demokrację polityczną, a tylko 2 proc. niepodległość! Za to 44 proc. mówiło o bezrobociu, 34 proc. o ubóstwie i tylko 6 proc. żywiło przeświadczenie o własnym wpływie na sprawę kraju (podczas gdy w roku 1975 miał takie przeświadczenie co czwarty Polak).

W świetle tych danych trudno się dziwić, że rządząca klasa polityczna uległa pokusie coraz bardziej absurdalnego nasilenia „antykomunistycznej” (w istocie antypeerelowskiej) propagandy. Należy oczywiście odnotować, że przeciwstawiały się temu głosy rozsądku przestrzegające przed zimną wojną domową, i że przysłuchiwał się im Donald Tusk opowiadający się za „normalizacją” i deideologizacją, a więc za porzuceniem antykomunistycznej krucjaty na rzecz „odpowiedzialnego populizmu”. Ale również w okresie ośmioletnich rządów PO wystąpiły prowokujące akty ofensywy ideologicznej, takie jak np. ogłoszenie, że wojna światowa skończyła się w Polsce w roku 1989 lub promowanie przez prezydenta Komorowskiego sejmowego hołdu dla „żołnierzy wyklętych”. Sądzę jednakże, że wynikało to już w gruncie rzeczy nie z antykomunistycznego fundamentalizmu, ale z przyczyn o charakterze pragmatycznym – z nagłą potrzebą odwrócenia uwagi od oczywistych niepowodzeń PO w polityce społecznej, takich jak pojawienie się najliczniejszego w UE prekariatu, nieproporcjonalnie niskie płace, zapaść służby zdrowia, permanentne niedofinansowanie całej sfery budżetowej oraz, oczywiście, realne zagrożenie najskromniejszych choćby zabezpieczeń emerytalnych.

„Dobra zmiana” zaowocowała jak wiadomo nową ofensywą coraz bardziej skrajnej prawicy. Nie wystarcza już przekreślanie dorobku PRL, obsadzanie Rosji w roli niezmiennego wroga Polski i gloryfikacja powstania warszawskiego. Nie zadowala nawet kult „żołnierzy wyklętych”, okazuje się bowiem, że również wśród nich były grupy opowiadające się za pluralistyczną demokracją, które należy oddzielić od prawdziwych nosicieli idei narodowej i patriotyzmu heroiczno-martyrologicznego, odrzucającego wszelkie kompromisy. Tylko ci ostatni bowiem reprezentują dziś godną kontynuacji narodową tradycję (zob. R. Wnuk, *Wokół „żołnierzy wyklętych”*, „Przegląd Polityczny”, 2016, nr 136, s. 187).

Komentowanie tej ewolucji ideologicznej nie jest moim zadaniem w niniejszych rozważaniach. Ograniczę się więc do prostego stwierdzenia, że państwo tak bardzo zideologizowane, dążące do narzucenia obywatelom przez zorganizowaną presję dogłębnie ideologicznej transformacji całego życia społecznego, w tym również do arbitralnego przekształcenia treści tradycji narodowej tożsamości, nie powinno być zaliczane do państw nienagannie demokratycznych.

III. W odpowiedzi Sławomirowi Sierakowskiemu

„Magazyn Świąteczny »Gazety Wyborczej«” z 2-3 lipca 2016 r. otwiera obszerny wywiad Macieja Stasińskiego ze Sławomirem Sierakowskim pod alarmującym tytułem *Wieje piaskiem od strony wojny* (s. 12-14). Otwierają go słowa, że autor pewien jest zwycięstwa Trumpa w wyborach amerykańskich oraz kolejnych klęsk *mainstreamu* w liberalnym świecie, co doprowadzi do końca „samobójstwo Zachodu” i stworzy sytuację nieuchronności wojny, mogącej przekształcić się w powszechną zagładę.

Autorytatywny przywódca ideowy młodej niekomunistycznej lewicy występuje więc na łamach wielokładowej gazety liberalnej w roli przystawionego prokuraatora zagłady. Moim zdaniem w normalnych warunkach sytuacja taka nie powinna zaistnieć. W każdym razie nie wyobrażam sobie czegoś podobnego w Stanach Zjednoczonych, gdzie – mimo braku formalnej cenzury

– wypracowano bardzo skuteczne techniki tłumienia politycznej hysterii i zapobiegania przekształcaniu jej w panikę. Bardzo wymowny jest drastyczny kontrast między skrajną nieodpowiedzialnością reakcji polskiej prawicy na katastrofę smoleńską a ściśle kontrolowanymi reakcjami amerykańskimi na tragedię z 11 września 2001 roku. Byłem wtedy w USA i wiem dobrze, że w sprawie wydarzeń z 11 września istniały wątpliwości, które można było rozhuścić bardzo niebezpiecznie, ale dzięki dyscyplinie społecznej udało się skutecznie wyciszyć je w interesie publicznym. Nasuwa mi to myśl, że czasami uzasadnione bywa, aby media nie nagłaśniały w skali masowej poglądów mogących budzić lęk w połączeniu z bezradnością. A tak jest niestety w przypadku wywiadu Sierakowskiego, zakończonego słowami: „To nie może się skończyć dobrze. Trzeba walczyć, ale wielkich nadziei nie mam”.

Sierakowski podpira swój wywód realistycznym wyjaśnieniem zwycięstwa populizmu nad „głównym nurtem” i dowodzi mianowicie, że jest zrozumiała skądinąd reakcja na fakt, że „ludzie w demokracjach utracili poczucie sprawczości, gospodarka uciekła państwu w świat”, prawie nic nie zależy już od wybieralnych polityków, wszystko bowiem zawładnięte zostało przez niewyberalne gremia nazywające siebie „rynkiem” i utożsamiające wolność rynku z „liberalizmem”. Sprzeciw wobec tego ubezważsownienia wyborców rodzi populizm, często najgorszego gatunku, i zapewnia mu zwycięstwo. Najgorszą odmianą populizmu jest nacjonalizm uniemożliwiający przeciwstawienie się globalizacji wyłącznie rynkowej z pozycji interesów ponadnarodowych. Naród, pisze autor, „zabija nas. To trucizna, która nam płynie we krwi”. Gdyby nie nacjonalizm „demokracja ponadnarodowa odzyskałaby sprawność, a ludzie poczucie wpływu”. Do takiej ponadnarodowej demokracji dążyła (wprawdzie w ograniczonym zakresie) Unia Europejska, dziś jednak skazana jest na zagładę przez nacjonalistyczne populizmy. Następstwem tego może być tylko ogólna katastrofa, przed którą ostrzega nas Timothy Snyder.

Diagnozę tę, bardzo trafną moim zdaniem w sprawie zaostreżenia konfliktu między demokracją polityczną a neoliberalizmem, wspiera Sierakowski bardzo kontrowersyjnym zastosowaniem jej do Polski. Dowodzi mianowicie, że w warunkach polskich demokracja sprzyja populistycznemu autorytaryzmowi Jarosława Kaczyńskiego, „lud” bowiem, oświecony przez nacjonalizm, wspiera władzę w jej walce z liberalnym *mainstreamem*. „Ludem” w sensie politycznym, konstytucyjnym, jest dziś więc w Polsce klasa średnia i ją trzeba wspierać, nie brzydząc się sojuszem z Balcerowiczowską prawicą w stylu Ryszarda Petru. „Rozliczanie” polityków głównego nurtu to tylko dobijanie ich. Dzisiaj trzeba walczyć z nacjonalizmem, a nie tłumaczyć sukcesy PiS „niszczeniem państwa opiekuńczego”, bo to „już wszyscy doskonale wiedzą”. Powiedział to nawet globalny kapitalista Rupert Murdoch obwieściwszy w swoim tabloidzie, że triumf populistów w sprawie przynależności Wielkiej Brytanii do UE był wyrazem „gniewu klasy pracującej”.

W tym miejscu zaczyna się moja niezgoda z Sierakowskim. Spróbuję wypunktować jej powody, nie licząc oczywiście na przekonanie pewnego swych racji autora.

Po pierwsze, od kiedy „wszyscy wiedzą”, że niszczenie państwa opiekuńczego w imię rynkowego liberalizmu zaowocuje antyliberalizmem, który obróci się również

przeciwko liberalizmowi zreformowanemu, demokratycznemu? Gdy przestrzegałem przed tym, w tonie alarmującym, w latach 90., słyszałem zewsząd, że nie mam racji, bo nikt „poważny” tak nie myśli; że krytyka społecznych skutków neoliberalnej gloryfikacji wolnego rynku jest albo postkomunizmem, albo anachronicznością klasycznej lewicy. Dziś natomiast okazuje się, że od dawna „myślą tak wszyscy”, a więc nie należy odwracać uwagi od rzeczy ważnych przez zwracanie uwagi na sprawy doskonale znane. Słowem: schemat stary i tak zużyty, że aż wstyd dowodzić jego logicznej absurdalności. Nazywa się on w logice *petito principii*, czyli błędnym kołem.

Po drugie, sam Sierakowski stwierdza wprost, że winę za dzisiejszy stan świata ponosi niekontrolowana politycznie neoliberalna globalizacja. A skoro tak, to nacjonalizmy i populizmy nie są źródłem zła, ale jedynie przewidywalną reakcją na karygodną nieodpowiedzialność finansowych i opiniotwórczych elit uważających się za „główny nurt”, i przywłaszczających sobie nazwę „liberalizmu”. Nie należy więc odwracać relacji między przyczyną a skutkiem.

Dodam, że błędem jest również przypisywanie atakowanemu dziś *mainstreamowi* jednoznacznego poparcia przez klasę średnią. Na Zachodzie, łącznie z USA, traci on to poparcie z każdym dniem, a w Polsce też maleje ono na naszych oczach. Uparta obrona dotychczasowego *mainstreamu* przed rozliczaniem go (lub samorozliczaniem) z popełnionych błędów przyspieszy tylko ten proces.

Po trzecie, pojawiła się już na lewicy uzasadniona krytyka rozumowania, że nie wolno wskazywać błędów liberalnego *mainstreamu*, a tym bardziej częściowo choćby solidaryzować się z wybranymi elementami polityki społecznej PiS, ponieważ byłoby to zdradą wspólnego frontu przeciwników „dobrej zmiany”, czyli faktycznie zmiany na gorsze. Należy przecież odróżniać agitację wyborczą, wymagającą niekiedy radykalnych uproszczeń, od merytorycznych dyskusji powyborczych, próbujących pomóc politykom w zrozumieniu popełnionych błędów i opracowaniu autentycznie lepszego i skuteczniejszego długofalowo programu działań. Rządzącej przez osiem lat Platformie Obywatelskiej zarzucić można bardzo wiele, ale przesadą byłoby twierdzenie, że była to partia bez reszty zdominowana przez nieprzejednanych dogmatyków ekonomicznego liberalizmu, niezdolnych do akceptacji jakiegokolwiek krytyki. Niektórzy z tej dość amorficznej partii (na czele z Donaldem Tuskiem) ewoluowali nawet w stronę umiarkowanej socjaldemokracji, z czego wynika, że chyba nie solidaryzowałiby się dziś z neoliberalnym fundamentalizmem Witolda Gadomskiego, głoszącego z uporem, że w imię wydajności należy w Polsce nie tylko zredukować zakres opieki społecznej, ale także obniżyć płace i „zwiększyć dolegliwość bezrobocia” (zob. W. Gadomski, *Keynes, owszem, ale jaki?*, „Gazeta Wyborcza”, 15.10.2002, s. 24-25). Faktem jest jednak, że poglądy takie głoszone były przez długie lata na łamach najbardziej wpływowego organu liberalnego *mainstreamu*, a skoro tak, to w świetle tego, co nastąpiło w świecie i w Polsce należy chyba publicznie od nich się odżegnać! A już największym błędem byłoby obstawianie przy nich dla rzekomego dobra antyPiSowskiej opozycji.

I wreszcie, po czwarte, sprawa najważniejsza: czy można i czy warto traktować naród jako „jakąś klątwę”? Rozumiem oczywiście, że słowo „naród” może w Polsce

źle kojarzyć się przedstawicielowi młodej niekomunistycznej lewicy, ale sądzę mimo to, że oddawanie wal-kowerem wartości narodowych w monopol radykalnej prawicy byłoby ze strony tej lewicy rodzajem dezercji, a zarazem zupełnie niepotrzebnym pogarszaniem własnej pozycji wśród sił politycznych w Polsce.

Zachowując należyne proporcje powiedzieć można, że błąd Sierakowskiego podobny jest do analogicznego błędu Czesława Miłosza, który tak głęboko zraził się do ONR-owskiego nacjonalizmu lat 30., że nabrał na całe życie alergicznej niechęci do samego słowa „naród” (o czym obszernie pisałem w moich *Spotkaniach z Miłoszem*, wyd. londyńskie, Aneks 1985, pierwodruk w: A. Walicki, *Zniewolony umysł po latach*, Warszawa 1993). Błąd, o którym mowa, polegał na zignorowaniu oczywistego skądinąd faktu, że idea „narodu” zajmowała absolutnie centralną, kluczową pozycję we wszystkich nurtach ideowych, które zdominowały polską historię intelektualną czasów porozbiorowych, wnosząc istotny, nieusuwalny wkład do dziedzictwa najszerzej rozumianej „polskości”. Termin „naród” bardzo rzadko miał w tym dziedzictwie konotację radykalnie prawicową, przeciwnie – kojarzył się z reguły z opcją na rzecz społecznego postępu, umiarkowaną lub radykalną, niepodległościową lub głoszącą idee pracy organicznej, mniej lub bardziej krytyczną wobec klerykalnego konserwatyzmu, a w przypadku myślicieli epoki romantyzmu łączoną niekiedy z wizją wewnętrznej religijnej odnowy, mającej głęboko przekształcić w duchu postępu katolicyzm polski.

W czasach największego rozkwitu polskich ideologii narodowych, czyli w latach 1831-1848 słowo „naród” występowało zwykle z pojęciem uniwersalnej misji, a więc łączyło się znaczeniowo nie z egoizmem narodowym, lecz z ideologią braterstwa ludów nakazującą walkę „za wolność naszą i waszą”. Głębokim ahistoryzmem jest więc hurtowe oskarżanie idei narodowej o legitymizowanie etnicznej ksenofobii. W przypadku Polski, uporczywie nawiązującej w swych ideologiach niepodległościowych do dziedzictwa wieloetnicznej i wielowyznaniowej Rzeczypospolitej, jest to błąd szczególnie rażący. Ale zupełnie mylne jest także dopatrywanie się zgubnej ksenofobii we wszystkich przejawach etniczacji myślenia o narodzie, coraz bardziej wpływowych w Polsce drugiej połowy XIX wieku. Warto przypomnieć, że najbardziej wyrazistym przejawem takiej etniczacji było uznanie za odrębny naród galicyjskich Ukraińców i przyznanie im praw do Lwowa (co uczynił współtwórca polskiego ruchu ludowego Bolesław Wyślouch). Słowem, wszystkie próby spychania polskich ideologii narodowych „na prawo” i nadawania samemu słowu „naród” sensu upolitycznionego, i to w dodatku z konotacją intencjonalnie negatywną, owocować muszą głębokim pomieszanym pojęć.

Przyczyną tego stanu rzeczy jest głównie okoliczność, że słowo „nacjonalizm” używane jest u nas nie w szerokim i neutralnym aksjologicznym sensie (jak w krajach anglojęzycznych), lecz jako określenie ideologii narodowego partykularyzmu i ksenofobii, przeciwstawiane pozytywnie wartościowanemu „patriotyzmowi”. W rzeczywistości jednak nacjonalizm nie jest jakąś gorszą odmianą patriotyzmu, ale pojęciem o różnym desygnacie: patriotyzm bowiem jest lojalnością *krajową, terytorialną* (a więc możliwy jest patriotyzm wschodniogalicyski, łączący Ukraińców z Polakami), nacjonalizm natomiast jest lojalnością wobec *grupy* narodowej

(a więc w Galicji wschodniej XX w. jest albo polski, albo ukraiński, nawet w wypadku przyjaznych, poprawnych relacji między nimi). W użyciu dominującym dziś w Polsce „nacjonalizm” oznacza jednak patriotyzm ze znakiem minus, co uniemożliwia posługiwanie się tym terminem jako kategorią naukową oraz badanie polskich ideologii narodowych w perspektywie porównawczej; to samo bowiem, co we Włoszech epoki Risorgimento uznawane jest za nacjonalizm (np. idee Mazziniego) u nas uważane byłoby za „patriotyzm” (bo „nacjonalizmu” nie można wszak przypisać Mickiewiczowi). Ponadto (i przede wszystkim!) obdarzenie jednego pojęcia znakiem „plus” a drugiego znakiem „minus” stwarza sytuację, w której skrajni nacjonałiści maskują się jako „patrioci”, a pragnący promować inkluzywną, demokratyczną formę wspólnoty narodowej unikają samego słowa „naród” i w ten sposób ułatwiają prawicy bezceremonialne zawłaszczanie narodowych wartości.

W zachodnich naukach społecznych terminy „naród” i proces narodotwórczy (*nation-building*) używane są w zastosowaniu do wydarzeń, które zdominowały scenę historyczną dopiero w czasach nowożytnych i miały charakter rozszerzania zakresu więzi ogólnospołecznych, a nie wracania do jakiejś pierwotnie danej i niezmiennej tożsamości. Na wschód od naszego kraju proces taki wciąż jeszcze trwa i wiele zależy od jego rezultatów. Jak zgodnie stwierdzili na początku naszego stulecia czołowi historycy rosyjscy, dopiero po rozpadzie imperium radzieckiego pojawił się nowoczesny naród rosyjski jako niezależna od państwa polityczna wspólnota etniczno-językowa (zob. sprawozdanie z konferencji *Dziesięć lat współczesnego rosyjskiego parlamentaryzmu*, 16 maja 2000 r., w „Scenariuszach »Niezawisimój Gaziety«”, 14.06.2000, nr 5). A dziś, na naszych oczach, dokonuje się proces kształtowania się narodu politycznego na ziemiach Ukrainy. Sierakowski powinien, moim zdaniem, wziąć to pod uwagę i powstrzymać się przed wrzucaniem pojęcia narodu do historycznego lamusa.

W moich własnych pracach używałem pojęcia „liberalny nacjonalizm”. Z punktu widzenia dzisiejszych zniekształceń znaczenia słów brzmi to bardzo źle. „Liberalizm” kojarzony jest dziś bowiem z autokracją rynku (czyli władzą pieniądza), a „nacjonalizm” redukowany jest do agresywnej ksenofobii. Zapewniam jednak, że miałem na myśli coś zgoła innego. Intencją moją była promocja pojmowania narodu jako wspólnoty ponadlokalnej, maksymalnie inkluzywnej, ujednostkowionej i pluralistycznej. Wspólnoty kulturowej, interpretowanej komunikacyjnie, jako dialog, a nie jako obowiązująca jednolita „tożsamość”. Chodziło bowiem o to, aby szanować różnice, a jednocześnie umiejscowić jednostkę w długim historycznym czasie i w szerokiej, a więc pojemnej kulturowej przestrzeni. Sądzę, że ludziom lewicy nie powinna to być intencja obca.

IV. Rosja, Ukraina i „powszechna świata amnestia”

Według Carla Schmitta, ulubionego (mimo swych powiązań z nazizmem) myśliciela politycznego postsołidarnościowej polskiej prawicy, podstawowym warunkiem efektywnej polityki jest posiadanie wroga. W roli tej, jak wiadomo, obsadzono Rosję. Uczyniono tak niemal od razu po zmianie ustroju, a mówiąc dokładniej – po upewnieniu się co do niezmienności zachodniej granicy. Zignorowano pojedynczą propozycję Rosjan, aby za

wspólnego wroga obu narodów uznać komunizm, za który Rosjanie zapłacili cenę krwi o wiele większą niż Polacy i z którym umieli się dobrowolnie rozstać, płacąc za to utratą swej imperialnej pozycji w świecie. Antykomunistyczne elity polskie nie dorosły do akceptacji tej prostej myśli i od samego początku przeciwstawiały się w tej sprawie dominującemu nurtowi światowej opinii publicznej, bardzo życzliwemu wobec rosyjskiej „pieriestrojki”.

Po rosyjskiej interwencji w sprawy Ukrainy uwięzionej aneksją Krymu wielu autorów zaangażowało się z większą lub mniejszą dozą obłudy – w dowodzenie, że Polska wierzyła w realność porozumienia Zachodu z Rosją i mimo wielu uzasadnionych wątpliwości lojalnie wspierała dążenia w tym kierunku. Politycznym celem tych mniej lub bardziej zręcznych interpretacji jest oczywiście wykazanie, że jedynym winowajcą drastycznego pogorszenia stosunków Rosji z Zachodem jest nieuleczalnie imperialna polityka Władimira Putina, która – ku rzekomemu zaskoczeniu świata – przybrała ostatnio formę pozaprawnej agresji. Do absolutnych wyjątków należeli ludzie zdolni uwzględnić w swych diagnozach ścisły związek przyczynowy między działaniami rosyjskiego prezydenta a bardzo ryzykowną i nieprzyjazną Rosji polityką wpływowych sił Zachodu, w tym również działań na strategicznie kluczowym terytorium Ukrainy, która w momencie powstania obiecywała przecież polityczną neutralność. Do wyjątków takich należał m.in. Robert Krasowski, który tak oto skomentował znane słowa Putina o sytuacji politycznej w świecie po demontażu systemu radzieckiego: „Z rosyjskiego punktu widzenia historia cofnęła się do czasów Napoleona czy Hitlera, kiedy zachodnie wojska mogły dobiec do Moskwy. Dobrze to widzieć na mapie, przyjęcie Ukrainy i Gruzji do NATO byłoby dla Rosji tym, czym dla Ameryki byłoby przyjęcie Kanady do Układu Warszawskiego” (R. Krasowski, *Czas Kaczyńskiego. Polityka jako wieczny konflikt*, Warszawa 2016, s. 218-219).

O kolejnych fazach polityki interpretowanej przez Putina jako „osaczanie” Rosji pisałem obszernie w artykule referującym ustalenia zawarte w książce Heleny Carrère d’Encausse *Eurazjatyckie imperium* (A. Walicki, *Do wojny potrzeba dwóch stron*, „Przegląd”, nr 18, 27.04-3.05. 2015, s. 34-39). W niniejszym kontekście nie mam zamiaru wracać do tych problemów. Przypomnę natomiast kilka podstawowych spraw, które pozwalają zakwestionować przytoczony wyżej pogląd o dobrosąsiedzkim i przyjaznym wobec Rosji charakterze „postkomunistycznej” polityki naszego kraju. Pisałem już o nich wielokrotnie (m.in. w artykule *Czy stosunki polsko-rosyjskie mogą być wzajemnie dobre?*, pierwotruk w prawicowych „Arcanach”, lipiec-październik 2005), a więc tym razem ograniczę się do wyliczenia wybranych faktów w telegraficznym skrócie. Wszystkie one dotyczą symboliki historycznej, ponieważ na tej właśnie płaszczyźnie toczymy z Rosją nieprzejednaną wojnę. A więc:

– Sprawa Katynia. Na otwarciu cmentarza Katyńskiego miał być obecny pierwszy prezydent Rosji, Borys Jelcyń, oraz największy w skali światowej demaskator zbrodni stalinowskich Aleksander Sołżenicyn. Nie doszło do tego z powodu nieprzyjęcia przez stronę polską scenariusza traktującego Katyń nie jako zbrodnię popełnioną przez Rosjan na Polakach, lecz jako jedną ze zbrodni komunistycznych, których ofiarą padły oba narody. Wymowną manifestacją tej postawy były uroczystości

w Warszawie 3 kwietnia 1995 roku, mające zainaugurować Międzynarodowy Rok Katyński i przekształcone faktycznie w manifestację nieprzejednanej nienawiści. Ciągłem dalszym była seria starań, aby Katyń uznany został przez społeczność międzynarodową za ludobójstwo (co skrytykował nawet tak autorytatywny krytyk komunizmu jak prof. Richard Pipes). I warto dodać, że politykę tę wcale nie wspierała nie tylko narodowa prawica, lecz również liberalno-demokratyczna „Gazeta Wyborcza”.

– Odmowa uznania wkładu Rosji w zwycięstwo nad hitlerowskimi Niemcami i traktowania jej jako sojusznika w II wojnie światowej. W roku 1995 prezydent Wałęsa odmówił przybycia na uroczystą defiladę z okazji 50. rocznicy zakończenia wojny, mimo że w uroczystościach tych wzięli udział prezydent USA Bill Clinton, prezydent Francji François Mitterrand, a nawet kanclerz zjednoczonych Niemiec Helmut Kohl. Co gorsza, towarzyszyło temu oświadczenie Wałęsy, że premier Oleksy, który zdecydował się pojechać do Moskwy, będzie reprezentować na tych obchodach wyłącznie siebie i bliskie sobie siły polityczne oraz że jego decyzja przyjazdu jest w istocie aktem politycznej zdrady, podobnym do Targowicy i zasługującym na osądzenie przez Trybunał Stanu. Tym samym, ku zdumieniu świata, Rosja Jelcyńska potraktowana została jako formalny wróg Polski! Rosjan zaś, dla których zwycięstwo nad Hitlerem było zawsze źródłem szczególnej dumy narodowej, a po dyskredytacji komunizmu stało się symbolicznie najważniejsze, publicznie spolizkowano, upokarzając ich w dniu, w którym oczekiwali uczczenia swych ogromnych, bezprecedensowych ofiar na rzecz wspólnej sprawy.

Dziesięć lat później, w czasie obchodów 60. rocznicy zakończenia wojny prezydent Rosji uraził nas przemówieniem polskiego wkładu w zwycięstwo. Było to małostkowe, ale musimy przecież widzieć w tym konsekwencję faktu, że sami wyłączyliśmy się z koalicji antyhitlerowskiej, ustawiając się obok państw bałtyckich, które miały w czasie wojny dwóch jawnych wrogów, a więc nie mogły zaliczać się do sojuszników radzieckiej Rosji. Samoklasyfikację tę potwierdziliśmy niedawno wykluczeniem wojska polskiego walczącego u boku ZSRR z formacji wojskowych, które uznajemy za autentycznie polskie i mające prawo do udziału w dziejach chwały polskiego oręża. Że tak sądzimy, jasne było już od dawna, a skoro tak, to trudno się dziwić, że Putin wysnuł z tego wnioski.

– Do innych przejawów skutecznego niestety psucia relacji z Rosją można zaliczyć monotonnie nieprzyjazne, zaczepne wręcz relacjonowanie wydarzeń w Rosji oraz intencji polityki rosyjskiej, w tym np. intencji Putina, który po przyjeździe do Polski z wizytą dobrej woli (i to w okresie swych wyjątkowo dobrych relacji z USA) doczekał się w naszej prasie komentarza, że jest „dzisiejszym Stalinem”, wierzącym tylko w knut i dławiącym nawet wolność myślenia (zob. K. Kurczab-Redlich w „Gazecie Wyborczej”, 26.01.2002, s. 12-13). Można zapytać, czemu służyło np. relacjonowanie wojny czeczeńskiej w sposób sugerujący solidaryzowanie się z terrorystami powiązanymi osobiście z Bin Ladenem albo co chciano osiągnąć przez tak wyraziste gesty symboliczne jak np. zburzenie toruńskiego pomnika żołnierzy radzieckich w lipcu 1997 roku oraz późniejsze akcje tego typu, ukończonych dziś ustawą o przeniesieniu wszystkich takich pomników do specjalnego skansenu? Wyliczanie to można wielokrotnie powiększyć, ale nie ma takiej po-

trzeby, bo sens wszystkich tych działań jest i bez tego oczywisty. Cała polityka zagraniczna III RP – jak wyjaśnił z aprobatą jeden z inspiratorów tej polityki, Bohdan Cywiński – sprowadza się „do kopania i pogłębienia fosy obronnej między sobą a Rosją” (B. Cywiński, *Europa w poszukiwaniu duszy*, „Rzeczpospolita Plus Minus”, 4-5.10.2003).

Warto natomiast, jak sądzę, opatrzyć tę konstatację dwoma komentarzami, rzucającymi światło na genezę tej polityki oraz na uzasadnienie jej dzisiejszej reaktywacji.

Na pierwszą z tych spraw wiele światła rzuca opublikowana niedawno przez Jana Skórzyńskiego antologia tekstów polskiej opozycji demokratycznej lat 1976-1989, wydana (niestety!) pod patronatem urzędującego prezydenta RP Bronisława Komorowskiego i z przedmową jego autorstwa (J. Skórzyński, *Na przekór geopolityce. Europa Środkowo-Wschodnia w myśli politycznej polskiej opozycji demokratycznej 1976-1989*, Warszawa 2014). Ukazuje ona osobliwą trwałość klasycznego poglądu dziewiętnastowiecznych polskich rusofobów w sprawie nieuchronnego ponoć konfliktu między narodowym interesem Polaków a sprawą postępu w Rosji. Zgodnie z tym poglądem znaczenie Polski było zawsze odwrotnie proporcjonalne do sukcesów Rosji, z czego wysnuwano logiczny wniosek, że w interesie Polski jest blokowanie europeizacji Rosji i zapobieganie w ten sposób zwiększaniu jej prestiżu i gospodarczej potęgi. I oto okazało się, że w okresie wielkiego kryzysu radzieckiego komunizmu wiele wpływowych kręgów polskiej opozycji zdominowane zostało przez taki właśnie pogląd, a nie przez sprzyjanie demokracji na Wschodzie! Zacytujmy:

„Rosja, nawet demokratyczna, czy może przede wszystkim demokratyczna, będzie dla nas zbyt potężna (choć w sposób inny od dotychczasowego), abyśmy mogli sobie pozwolić na bezpośrednie z nią sąsiedowanie. Dlatego nie możemy dopuścić, by w jakiegokolwiek formie powstała Federacja Rosyjska” (s. 102).

Tyle o demokratyzacji Rosji. A co z nami?:

„Będziemy starać się dołączyć do Zachodu, bądź odgrywać rolę architekta Unii Środkowo-Europejskiej. Bliższe naszemu sercu jest rozwiązanie drugie. Wchodząc w skład EWG [Europejska Wspólnota Gospodarcza] skazani będziemy na rolę gospodarczego i politycznego kopciuszka. To prawda, że będzie to rola popłatna. Wolimy jednak pierwszoplanową rolę w Europie Środkowo-Wschodniej, a drogą do tego jest tylko zbliżenie polsko-ukraińskie” (s. 76-77).

I wreszcie określenie celu polskiej polityki zagranicznej: „Zadaniem najważniejszym jest odepchnięcie Rosji raz na zawsze od Europy i ograniczenie jej obszarów do ziem etnicznych, przynajmniej z naszej strony Uralu” (s. 87-88).

Autorami pierwszych dwóch cytatów – z lat 1983 i 1980 – są współpracownicy KOR: Jerzy Targalski i Jan Waszkiewicz. Autorem trzeciego – z roku 1981 – jest Wojciech Maziński, dziś stały współpracownik „Gazety Wyborczej”. Świadczy to jednoznacznie, że poglądy tego typu rozpowszechniane były od dawna w liberalno-demokratycznym *mainstreamie* obozu postsolidarnościowego, a nie tylko w jego prawicowo-narodowym nurcie.

Druga sprawa, czyli sprawa racjonalnej argumentacji na rzecz aktualności przedstawionych wyżej diagnoz

w radykalnie zmienionej sytuacji geopolitycznej, była na początku 2004 roku przedmiotem wymiany poglądów między niżej podpisanym a jednym z poważnych przedstawicieli liberalnego skrzydła postsolidarnościowej myśli politycznej. Stanowisko swoje wyłożyłem w liście z 15 lutego 2004 roku, uzasadniającym odmowę uczestnictwa w konferencji pt. *Nowa geopolityka*, planowanej na maj 2004 roku; trafnie sądziłem bowiem, że moje stanowisko w sprawie bardzo dobrze rozwijającej się wówczas współpracy gospodarczej między Niemcami a Rosją było przez uczestników wymienionej konferencji odosobnione i odrzucone. Ze względu na ważność i nieprzebrzmiałą aktualność tej sprawy pozwałam sobie przytoczyć po latach odpowiedni fragment tego listu:

„Uważam, że skoro Polska wchodzi do UE, to powinna dbać głównie o dobre stosunki z Niemcami, a także nie próbować odgrywać roli klina wbitego między Niemcy a Rosję. Porozumienie niemiecko-rosyjskie jest nieuniknione, Rosja jest naturalną rezerwą Europy, a politycy rosyjscy nie mają innego wyboru. Jako życzliwy Rosji pomost, mediator (gdyby to było możliwe!) zyskalibyśmy szacunek uczciwych intelektualistów niemieckich, a jako bastion rusofobii stracimy ich sympatię i przez cynicznych »graczy politycznych« będziemy wystrychnięci na dudka! Sympatia »niemieckich Europejczyków« plus skierowanie konstruktywnej energii Niemców na cały obszar słowiański z Rosją włącznie, jest także bezpieczniejsze niż narodowo-klerikalna, antyrosyjska Polska, pozostawiona sama sobie między Niemcami a Rosją i licząca tylko na USA. Nie mówię już o tym, że wtedy stalibyśmy się ofiarą zaściankowych resentymentów nie tylko antyrosyjskich, lecz także antyniemieckich!”

Odpowiedź na ten list, którą otrzymałem (ustnie) była bardzo wymowna. Dowiedziałem się mianowicie, że Polska musi być liderem antyrosyjskiej polityki na Wschodzie, ponieważ tylko w tej roli może być ważnym sojusznikiem USA i uniknąć wasalizacji przez potężne Niemcy. Ja jednak rozumowałem inaczej i wcale nie czułem się w tym odosobniony. Uważałem mianowicie, że dopatrywanie się w poradzieckiej Rosji potencjalnego lub realnego wroga może być samospełniającym się proroctwem, a zarazem zmarnowaniem niezwykle szansy autentycznego pojednania polsko-rosyjskiego w przełomowym momencie historii. Przed interwencją NATO w Kosowie pogląd taki podzielany był w Polsce przez całkiem sporo niezależnie myślących środowisk, nie tylko lewicowych (jak środowisko „Kuźnicy”), lecz również konserwatywno-liberalnych (wystarczy wspomnieć tak nieodżałowane postacie jak Stanisław Stomma czy Mirosław Dzielski). Również wielu moich przyjaciół w USA i w Anglii uważało za oczywiste, że dla Polski i Europy byłoby znacznie lepiej, gdyby Rosjanie uznali się za ofiary komunizmu, od którego sami zdołali się wyzwolić niż gdyby postrzegali się jako naród przegrany i otoczony wrogością, a więc zmuszony do tęsknoty za upadłym imperium.

W przytoczonym wyżej liście wyraziłem obawę, że opcja na rzecz konstruktywnej współpracy z Rosją naraziłaby mnie na zarzut „odwracania się od Ukrainy”, co byłoby sprzeczne z moją intencją. Ukraina bowiem zajmowała poczesne miejsce w moich marzeniach o jednoczącej się Europie, myślałem o tym w duchu Jana Pawła II marzącego o ekumenicznym pojednaniu katolicyzmu z prawosławiem jako „dwóch płuc chrześci-

jaństwa". Bardzo wysoko ceniłem współpracę z wybitnymi historykami z ukraińskiego instytutu w Harvardzie, dumny byłem, że książki moje tłumaczone były na język ukraiński i że aż dwie moje prace opublikowane zostały w ważnej ukraińskiej antologii, prezentującej dorobek badań nad narodem i procesami narodotwórczymi (zob. moje rozprawy *Trzy patriotyzmy* i *Czy możliwy jest nacjonalizm liberalny* w antologii *Nacjonalizm*, oprac. O. Procenko i W. Lisowij, Kijiv 2000). Prawdą jest tylko, że przeciwstawiłem się popieranej w Polsce tendencji do rozgrywania karty ukraińskiej we własnych celach, a więc wyłącznie przeciwko Rosji. Było to, moim zdaniem, szkodliwe zarówno dla Polski, jak i dla samej Ukrainy, groziło bowiem rozłamem społeczeństwa ukraińskiego na nacjonalistyczną (mniejszościową) część zachodnią i rosyjskojęzyczną ludność wschodnią, lojalną wobec Kijowa pod warunkiem braku ostrych konfliktów z Rosją. Innymi słowy, marzyłem o Ukrainie jako pomoście między Rosją a zachodnią Europą, a nie jako o kraju frontowym, oddzielającym nas od Rosji i mogącym służyć jako bastion do walki z Rosją.

Tak się złożyło, że na początku bieżącego stulecia wiele pracowałem nad tematyką ukraińską w związku z książką *Rosja, katolicyzm i sprawa polska* (Prószyński, Warszawa 2002) którą napisałem pod wpływem encykliki Jana Pawła II *Oriente lumen* (z 2 maja 1995 roku). Podkreślałem w niej, że Ruś Kijowska przyjęła chrześcijaństwo w obrządku wschodnim, ale w okresie, gdy nie było jeszcze ostatecznego podziału na Kościoły zachodni i wschodni, dzięki czemu mogła łączyć bizantyzyzm z uznawaniem prymatu papieża i nie izolować się od łacińskiego Zachodu. Pisałem także o tym, że w okresie przynależności Rusi do Rzeczypospolitej Akademia Kijowsko-Mohylańska była ośrodkiem owocnego dialogu prawosławia z katolicyzmem, a jej wychowankowie dostarczali kadr modernizującej się Piotrowej Rosji. I tak dalej, aż do konkluzji, że predestynuje to współczesną Ukrainę do pełnienia roli ogniwa łączącego prawosławny Wschód z chrześcijańskim Zachodem.

Jak się okazało, były to nadzieje złudne, nie błędne może, ale przedwczesne. Pozostało nieustanne rozpatrywanie trudnej przeszłości wszystkich narodów regionu oraz długie i powiększające się listy wzajemnych oskarżeń i wymagań nie do spełnienia. Niekiedy bywaliśmy pod tym względem liderem, co było zgodne z naszym mitem narodowej niewinności. Typowym przykładem zatargu na tym tle była sprawa odwołania przez radnych Lwowa uroczystego otwarcia cmentarza lwowskich Orłąt, komentowana u nas jako decyzja „sprzeczna z przyjętymi w świecie standardami”. (A. Kwaśniewski), i będąca wyrazem „dziecinnej choroby nacjonalizmu” (H. Wujec). Po stronie Ukraińców wypowiadał się wówczas programowo proukraiński Jacek Kuroń oraz, nieco inaczej argumentując, ja właśnie. Wymowa tej mojej wypowiedzi na łamach „Gazety Wyborczej” (31.05.2002, s. 9) jest dziś w pełni aktualna, a więc pozwolę sobie przytoczyć jej fragment:

„Upamiętnianie własnych zwycięstw przez pomniki stawiane na terytorium narodu niegdyś pokonanego nie jest regułą, ale wyjątkiem. Uzgodnienia dotyczące Cmentarza Orłąt nie są więc czymś, co się nam automatycznie i absolutnie należało; należy widzieć w nich raczej świadectwo dojrzewania nowej kultury politycznej uczącej narody wzajemnego zrozumienia i wiel-

koduszności. Czy jednak napis na pomniku powinien mówić o żołnierzach »bohatero poległych w walce o Polskę«? Przekonany jestem, że byłoby o wiele lepiej, gdyby mówił o »polskich patriotach, bohatero poległych w tragicznej, bratobójczej walce«. Jeśli ktoś nie dostrzega zasadniczej różnicy między tymi dwiema formułami, to on właśnie zdradza objawy »dziecinnej choroby nacjonalizmu«. I jeszcze jedno. Czy my, dzisiejsi Polacy, mamy prawo do przyjmowania pozytywnych arbitrow moralności w stosunkach między narodami? Radni Krakowa usunęli ze swego miasta pomnik marszałka Koniewa, który ocalał Kraków przed zniszczeniami i do końca życia przejawiał żywe sentymenty polonofilskie. Radni toruńscy wbrew sprzeciwowi wielu obywateli Torunia, ignorując formalny protest ambasady Rosji (a także, o ile pamiętam, Ukrainy), wysadzili w powietrze pomnik żołnierzy Armii Czerwonej walczących o wyzwolenie ziemi polskiej od hitlerowskiego najeźdźcy. W centrum Wiednia zaś pomnik żołnierzy Armii Czerwonej stoi do dziś dnia, mimo że można by uznać, iż umowy zawarte w tej sprawie z ZSRR nie są już obowiązujące. Wyszadzenia go w powietrze nie można sobie wyobrazić nawet w wypadku zdominowania wiedeńskich władz municypalnych przez zwolenników partii Heidera”.

Wydaje mi się, że po katastrofalnym załamaniu się nadziei Gorbaczowa na „powrót Rosji do wspólnego europejskiego domu”, a także nadziei na rozkwit Ukrainy jako ważnego samodzielnego czynnika w budowie lepszego świata na wschodzie Europy, porzucić należy nieustanne wyważanie wzajemnych racji. Należy to zastąpić wielkim aktem powszechnego przebaczenia i mocną wolą zaczynania od nowa, z odżegnaniami się od historycznego piniactwa. Pisał o tym wielki filozof polskiego romantyzmu, August Cieszkowski, interpretując słowa *Modlitwy Pańskiej* o odpuszczeniu win jako postulat „powszechnej światła amnestii” (A. Cieszkowski, *Ojciec nasz*, Poznań 1923, t. 3, s. 67). Ludzie i narody muszą przebaczyć sobie wzajemnie wszystkie winy, wszyscy bowiem zawinili przeciwko wszystkim. Wybaczenie to – dowodził myśliciel – nie może być poprzedzone małostkowym targowaniem się o rozmiar własnych win i domaganiami się zadośćuczynienia za poniesione krzywdy. Nie może być łącznie z żądaniem kary (byłoby to bowiem cofnięciem się do epoki starożytnej), ani nawet pokuty, czego domagała się (wbrew ewangelicznej nauce Chrystusa) etyka historycznego chrześcijaństwa. Musi być bezwarunkowe, powszechne, bo w przeciwnym wypadku nie spełni swych zadań.

Wizja ta, stworzona przez człowieka, którego Cyprian Norwid uważał słusznie za największego myśliciela polskiego romantyzmu, ma zastosowanie uniwersalne. Ale w przypadku relacji polsko-rosyjskich, rosyjsko-ukraińskich i ukraińsko-polskich jest ona po prostu niezbędnym warunkiem wszystkiego, praktycznym *sine qua non*, które dla elementarnego dobra tych trzech narodów uznać muszą nawet minimalistyczni w swych oczekiwaniach polityczni realisci. Warto o tym pamiętać także w dniu, w którym polski Sejm upamiętnił specjalną uchwałą przerażające wydarzenia wołyńskie 1943 roku.

ANDRZEJ WALICKI

Warszawa, 24 lipca 2016 r.

PROBLEMY POLSKIEJ RACJI STANU

Co roku, najczęściej w maju (21 V), spotykamy się – kuźniczenie – w gościnnej nam, pięknej sali Baltazara Fontany z przełomu XVII i XVIII wieku, aby porozmawiać z naszymi przyjaciółmi z całej Polski o sprawach, które wydają się nam, ale nie tylko dla nas, ważne.

W tym roku wybraliśmy problematykę polskiej racji stanu. Sądziłem pod koniec XX wieku, że sprawa ta, napawająca pokolenia Polaków niepokojem, dojrzała do decydującego rozwiązania. Nadzieja trwałej, pozytywnej zmiany przyszła wraz ze wstąpieniem Polski do międzynarodowych związków, gwarantujących także Polsce i Polakom trwałość bytu państwowego, pomyślność cywilizacyjnego i kulturalnego rozwoju, społecznego dobrostanu i rządów prawa.

Zaprosiliśmy do rozmowy wybitnych a zaprzyjaźnionych z „Kuźnicą” myślicieli i działaczy. Jak zwykle nikt nam nie

odmówił, ale siła rzeczywistości spowodowała, że Aleksander Kwaśniewski mógł być obecny tylko za pośrednictwem przesłanej nam wypowiedzi (patrz niżej), a stan zdrowia uniemożliwił w ostatniej chwili przybycie do nas Karolowi Modzelewskiemu i Hieronimowi Kubiakowi, zaś zobowiązania zagraniczne – Jerzemu J. Wiatrowi i Michałowi Śliwie.

Z grupy wybitnych polityków, którym najwięcej dla polskiej racji stanu, dla obecności Polski w bezpiecznej i sprzyjającej prawom i pomyślności człowieka Europie zawdzięczamy – takich jak Aleksander Kwaśniewski, Tadeusz Mazowiecki, Bronisław Geremek, Józef Oleksy czy Leszek Miller – tylko obecność Włodzimierza Cimoszowicza dała nam radość obcowania z wielkim światem.

ANDRZEJ KURZ

Szanowni Państwo, Drodzy Przyjaciele, Koleżanki i Koledzy,

z żalem informuję, że z uwagi na inne zobowiązania nie mogę wziąć udziału w Waszej konferencji pt. *Między Niemcami i Rosją. Problemy polskiej racji stanu w XX wieku i współcześnie*. Jest to temat ważny i – zresztą jak zawsze – bardzo aktualny. Tym bardziej wart podjęcia akurat dzisiaj, kiedy polityka zagraniczna znajduje się w procesie tak głębokich, nieprzewidywalnych i sprawiających często wrażenie nieprzemyślanych zmian.

Refleksja o miejscu Polski pomiędzy Niemcami a Rosją to już tradycja. Należy wszakże spojrzeć na ten problem szerzej, gdyż świat zmienia się w niespotykanym tempie na naszych oczach. Naszą planetę zamieszkuje już ponad 7 miliardów ludzi – to więcej niż połowa wszystkich ludzi urodzonych w historii świata. Zmniejsza się liczebność Europy – w 1900 r. na Europę przypadało 35% ludności świata, w 1960 r. 12%, w 2050 będzie to tylko 4%. Wraz ze spadkiem ludności maleje także polityczne i gospodarcze znaczenie naszego kontynentu; jest to proces nieuchronny. Szczególnie dynamika rozwoju Azji przesłania wszystko, z czym mieliśmy do czynienia w gospodarczej historii świata.

W Chinach istnieje już 221 miast z liczbą mieszkańców powyżej 1 mln; w Europie jest to 35 miast, w USA 36. Państwo Środką przeznacza rocznie 40% wartości swojego PKB na inwestycje, co jest wartością blisko 2-krotnie większą niż wydawały Wielka Brytania podczas rewolucji przemysłowej czy USA w okresie post-wojennego boomu gospodarczego. W 2015 r. Chiny zużyły 15% światowej produkcji energii, 44% stali i 53% cementu – przy udziale w globalnym PKB na poziomie 10%. Spośród państw europejskich tylko Szwajcaria odnotowuje nadwyżkę w wymianie handlowej z Chinami.

Przesunięciom społecznym i gospodarczym towarzyszy gwałtowny rozwój technologii informacyjnych. Nieznane kilkadziesiąt lat temu, dzisiaj w powszechnym użyciu nawet w najuboższych społeczeństwach Afryki i Azji, stanowiące najbardziej namacalną manifestację postępu „dostępnego dla każdego”, wykraczając daleko poza wizję Tofflera czy McLuhana.

Jak technologie zmieniały obraz świata – pokazuje przykład uchodźców z Syrii. Szlak ich migracji wyznaczany jest najnowszymi informacjami dostępnymi on-line poprzez telefony komórkowe i sieci społecznościowe. Bez sieci społecznościowych i technologii mobilnych nie byłoby także masowych protestów na placu Midan Tahrir w Kairze i w konsekwencji rewolucji Arabskiej Wiosny. Powszechność technologii informacyjnych okazała się ważnym kate-

lizatorem zmian; tempo ich rozwoju oraz wpływ na społeczność ludzką musi być coraz szerzej uwzględniany także i w polityce zagranicznej.

Jeżeli weźmie się te wszystkie zmiany pod uwagę, tradycyjne spory o miejsce Polski w Europie i priorytety polskiej polityki zagranicznej tracą na znaczeniu. Aby sprostać politycznym i gospodarczym wyzwaniom XXI w., trzeba nie tylko się dostosować, ale aktywnie wyjść naprzód trendom światowym. Co szczególnie trudne w warunkach polskich, trzeba pogodzić transformację ku nowoczesności z koniecznością odpowiedzi na wyzwania konwencjonalne, jakim jest neomocarstwowa polityka Rosji.

Wydaje się, że pomimo rezerwuaru możliwości Unii Europejskiej, nie wystarczy już tylko zjednoczenie europejskich potencjałów; trzeba podjąć zakrojony na szeroką skalę projekt głębokiej współpracy UE i państw Ameryki Północnej. Ważnym elementem tego projektu może być Transatlantyczne Partnerstwo w Handlu i Inwestycjach (TTIP), negocjowane obecnie pomiędzy USA i UE. Według szacunków to porozumienie może przynieść UE roczne korzyści rzędu 120 mld euro rocznie, tj. ok. 0.5% PKB.

Polska – i szerzej Europa Środkowa – nie stoją na przegranej pozycji w światowej rywalizacji. Jesteśmy ważnymi członkami NATO i Unii Europejskiej. Gospodarczo już teraz lokujemy się na mocnych pozycjach. Polska wraz z Czechami eksportują do Niemiec więcej niż eksportują do tego kraju Stany Zjednoczone. Cała Grupa Wyszehradzka to już dla Niemiec większy obrót handlowy niż z Francją i ponad 3-krotnie większy aniżeli z Rosją. To ważny i cenny potencjał. Ale, jak wiemy, nie wystarczy mieć Złoty Róg, trzeba go jeszcze umiejętnie wykorzystać. To zadanie na kolejne lata.

Szanowni Państwo,

Jest dla mnie źródłem wielkiej satysfakcji, że podjęliście się trudu organizacji konferencji na temat polskiej racji stanu. Pragnę serdecznie pozdrowić wszystkich uczestników, życząc wszystkim interesującej i owocnej dyskusji. Słowa szczególnych podziękowań kieruję do organizatorów – Stowarzyszenia „Kuźnica”, mając nadzieję, że to krakowskie spotkanie znajdzie swoją kontynuację.

*Z szacunkiem wasz nieprzemysłowy
sygnatariusz*
Andrzej Kurz

Warszawa, 18 maja 2016

WŁODZIMIERZ CIMOSZEWICZ

...INTERESY PAŃSTW EUROPEJSKICH, W TYM POLSKI, ZALEŻĄ OD INTEGRACJI WSPÓLNYCH INSTYTUCJI*

Temat tej kuźniczańskiej konferencji został wybrany znakomicie, szczególnie gdy wziąć pod uwagę ostatnie wydarzenia – wszystko co się dzieje na świecie, wokół Polski, co się dzieje w polityce zagranicznej... I rodzi się pytanie, czy twarde stwierdzenia, hasła, które docierają do nas co dnia, rzeczywiście wyrażają interesy naszego narodu i państwa?

Chciałbym więc zastanowić się raz jeszcze, jaka przyszła forma zjednoczonej Europy leży w polskim interesie – państwowym, narodowym, a więc odpowiada polskiej racji stanu. Warto się tym zająć, bo kilka miesięcy temu minister Waszczykowski, kreśląc oficjalne cele naszej polityki zagranicznej, w tradycyjnym wystąpieniu wskazywał, że polska polityka wobec Unii Europejskiej winna podlegać istotnym zmianom. W większości pozostałych przypadków mieliśmy raczej do czynienia z kontynuacją, jednak na pozycję numer jeden wśród naszych partnerów awansowała Wielka Brytania, co wywoływało nieco zdziwienia, także pewne opinie brzmiały w ustach ministra Waszczykowskiego na pewno inaczej niż w ustach jego poprzedników.

Kiedy na przełomie lat 1991 i 1992 powstawał pewien zarys podstaw naszej polityki zagranicznej, co naturalnie wiązało się z rozpadem Związku Radzieckiego i ukształtowaniem się nowej sytuacji geopolitycznej, a więc pojawieniem się wielu nowych szans, ale też nowych zagrożeń, w naszej polityce zagranicznej przyjęto trzy cele: dołączenie do najważniejszych instytucji świata zachodniego, a więc do Sojuszu Północnoatlantyckiego, do Europejskiej Wspólnoty Gospo-

darczej, wkrótce przekształconej w Unię Europejską, i unormowanie stosunków z sąsiadami. Przecież był to czas, kiedy wokół naszych granic nastąpiły gruntowne zmiany polityczne, a nowi sąsiedzi z punktu widzenia prawa międzynarodowego nie byli tożsami ze swymi poprzednikami.

Wokół wszystkich tych kwestii nie brakowało wątpliwości, a nam zależało przede wszystkim na tym, byśmy po rozwiązaniu ZSRR nie znaleźli się w obszarze konkurencyjnych wpływów rywalizujących ze sobą sił politycznych, ale w swego rodzaju strefie bezpieczeństwa. Nie mieliśmy obaw, by wówczas nam coś konkretnego groziło, choć owszem, można było sobie wyobrazić, że jeśli proces destrukcji ZSRR postępować będzie w sposób niekontrolowany w stronę swego rodzaju implozji, to rzeczywiście skutki tego procesu mogą być i dla nas niebezpieczne. Wielu takich zagrożeń raczej nie było i rzeczywiście – decyzje o naszym dążeniu do NATO były podejmowane niejako „na wszelki wypadek”.

Gdyby wziąć pod uwagę rzeczywistość NATO-wską, fakt, jak ten sojusz jest skonstruowany, było dla nas oczywiste, że należy utrzymywać możliwie najlepsze stosunki ze Stanami Zjednoczonymi. Przy uwzględnieniu innych czynników, trzeba było też kontynuować proces już zapoczątkowany przez kanclerza Kohla po zjednoczeniu Niemiec – zbliżenia z tym państwem. Było oczywiste, że po kilku trudnych latach uwarunkowanych procesami integracji wewnętrznej Niemcy będą odgrywały bardzo znaczącą, jeżeli nie kluczową rolę w tej nowej Europie – z racji swego potencjału gospodarczego i strategicznego usytuowania.

* Nieautoryzowany zapis wystąpienia na symposium „Kuźnicy”, 21.V.2016 r.

Kilka lat, do 1996 roku trwały nasze wysiłki, gdy to ówczesny, a dziś odsyłany przez pana Kaczyńskiego do lekarza prezydent USA w sławnym przemówieniu w Detroit stwierdził, że pytanie o rozszerzenie Sojuszu Atlantyckiego nie brzmi „czy”, tylko „kiedy”, i wyraził nadzieję, że w 1999 roku NATO będzie obejmowało już nowe państwa członkowskie.

Warto zauważyć, że prezydent Clinton kilka lat wcześniej był autorem innej koncepcji – Partnerstwa dla Pokoju, co w Polsce wywołało spore zaniepokojenie i reakcję prezydenta Wałęsy – padło sformułowanie, że Polska zainicjuje w takim razie powstanie NATO bis. Doprowadziło to do spełnienia pewnego istotnego warunku naszego przystąpienia – wywołało zmianę nastawienia europejskich partnerów NATO, w tym przede wszystkim Niemiec, które od tej pory opowiedziały się jednoznacznie za przyjęciem nowych członków, w tym naszego kraju.

Gdy mowa o drugim, unijnym wątku, to oczywiście chodziło o stworzenie warunków dla dokonania skoku modernizacyjnego, o osiągnięcie znacznie większego tempa rozwoju gospodarczego, a w konsekwencji o poprawę warunków życia obywateli.

Przystąpienie do Unii Europejskiej wymagało oczywiście spełnienia wielu warunków ekonomicznych i w sferze prawnej, ale też administracyjnej. Pozwoliło to podnieść standardy w każdej praktycznie dziedzinie naszego życia, ale też sprzyjało przyłączeniu do wspólnoty państw demokratycznych, która gwarantuje obywatelom znacznie większy zakres swobód, praw i wolności. Wbrew pozorom nie chodziło więc tylko o modernizację gospodarki i wsparcie finansowe z Brukseli, ale o poszerzenie praw jednostki, praw obywateli i uzyskanie wspólnotowych gwarancji dla tych praw.

Jak wszyscy pamiętamy, oba te cele zyskały ogromne poparcie naszego społeczeństwa. Wstąpienie do NATO nie było praktycznie kontestowane, a w sprawie wejścia do Unii mieliśmy niewiele głosów zwątpienia, sceptycznych. Były to głosy pewnych grup społeczno-zawodowych. I tak np. rolnicy obawiali się porażki w konkurencji z producentami żywności z Francji czy Niemiec. Były też grupy odwołujące się do tradycyjnej koncepcji państwa narodowego i to tak chętnie nadużywane dziś pojęcie Targowica też było, jak pamiętam, wówczas przywoływane – ci, którzy chcieli wprowadzić Polskę do Unii, byli uznawani za zdrajców. Ostatecznie społeczeństwo polskie podjęło jednoznaczną decyzję – w referendum europejskim jako jedynym osiągnęliśmy frekwencję przekraczającą 60 procent. Nie powinniśmy o tym zapominać szczególnie dziś, gdy pojawiają się znów głosy ludzi powołujących się na „wolę suwerena”. Ów suweren nie zmienia poglądów zbyt często, więc przyjąć trzeba, że w 2003 roku powiedział dosadnie i jednoznacznie czego chce, a chce Unii!

Były też i inne także ważne cele polityki zagranicznej, dotyczące prawa Polaków przebywających za granicą, zatem celem polskiej polityki było rozwiązywanie problemów tu na miejscu, ale też mobilizowanie poparcia innych krajów. Wiele przecież zależało od tego, jak szerokie poparcie od innych państw w regionie uzyskamy dla naszego sposobu myślenia o samym procesie negocjowania...

Dam przykład. Jako minister spraw zagranicznych byłem organizatorem spotkania w Warszawie dziesięciu ministrów krajów zabiegających o przyjęcie do UE. Obyło się bez spektakularnych sukcesów, ale uzgodniliśmy wiele spraw i udało się wypracować wspólną linię rozmów z piętnastoma członkami UE. Natomiast nigdy nie traktowaliśmy naszej polityki regionalnej jako alternatywy czy przeciwwagi wobec tamtych trzech zasadniczych kierunków aktywności zagranicznej, a więc stosunków z Niemcami czy z Francją. Trzeba podkreślić, że nigdy, ale to nigdy nie padały z naszych ust stwierdzenia sugerujące chęć „przewodzenia” innym państwom regionu czy narzucania jakichś wspólnych celów. Oczywiście, zdawaliśmy sobie sprawę, że jakieś sukcesy regionalne mogą wzmacniać naszą pozycję w rozmowach w krajami „starej Unii”, ale mieliśmy też świadomość, jak delikatne są relacje z sąsiadami, jak pełne obciążeń czy wątpliwości. Bardzo uważaliśmy, by nie przekroczyć jakieś niemal niezauważalnej granicy, by nie usłyszeć: „nie chcemy waszego przywództwa, nie akceptujemy takiej waszej pozycji”...

Warto się ciągle, a szczególnie dzisiaj, zastanawiać, gdzie, gdy chodzi o przyszłość wspólnoty europejskiej, leży polska racja stanu. Dziś, w czasach internetu i telewizji, gdy dostęp do informacji jest bardzo łatwy, gdy w kilka sekund, po postawieniu pytania możemy dotrzeć do odpowiedzi, a przynajmniej uzyskać informacje gdzie i jaką drogą odpowiedź możemy uzyskać, ciągle zdumiewa, jak mało ludzie wiedzą o tym, co dzieje się w nieco odleglejszych regionach świata. Albo zachowują w pamięci przebrzmiałe stereotypy, albo poddają się nowym uproszczeniom i jakże często traktują swoje otoczenie jako pępek świata.

Zdarzyło mi się, na przykład, spotkać w Astanie z prezydentem Kazachstanu Nursułtanem Nazarbajewem. Za jego plecami na ścianie zobaczyłem dość dziwną mapę świata – w centrum tegoż świata znajdowała się właśnie Astana. W Chinach mapa świata też wyglądała inaczej i nie jest to bynajmniej przypadłość kilku azjatyckich krajów. Można to oczywiście zrozumieć, ale jeśli za tym idzie niewiedza o innych regionach świata, to rzecz zaczyna urastać do problemu. Pół biedy, jeśli w Kazachstanie ktoś nie wie, co się dzieje w Polsce, gorzej jeśli w Polsce ktoś abstrahuje od tego, co ludzie myślą w innych regionach świata i żyje różnymi złudzeniami stosując je – co gorsza – do hierarchizacji problemów czy podejmowania decyzji.

Niekiedy mam wrażenie, że narody, które mają za sobą wielką historię imperialnej mocarstwowości, zbyt często żyją złudzeniami tej przeszłości. Na przykład Brytyjczycy sądzą, że mogą wrócić czasy jeżeli nie imperialnej mocarstwowości, to całkowitej niezależności. Tymczasem dwa lata temu Wielka Brytania została zepchnięta przez Brazylię z szóstej pozycji na liście światowych gospodarek. Dzisiejsza Brazylia ma oczywiście kłopoty, ich źródła także tkwią w polityce, ale Wielka Brytania była jeszcze relatywnie niedawno, bo 120 lat temu, pierwszą gospodarką świata.

Dziś zmiany następują na ogromną skalę, w przyspieszonym tempie. Mało kto uświadamia sobie, że wzrost poziomu życia na świecie w ostatnich dwudziestu latach spowodował, iż w statystykach ONZ

dotyczących warunków materialnych liczba osób żyjących w stanie nędzy zmniejszyła się o miliard, z czego prawie połowa, to awans mieszkańców Chin, którzy niedawno przenieśli się ze wsi do centrów przemysłowych i statystycznie zarabiają dolara dziennie. Kilka lat temu przytłaczająca większość państw Trzeciego Świata osiągała roczny wzrost PKB przekraczający 4 punkty procentowe, czyli rozwijały się w tempie praktycznie nieosiągalnym dla krajów wysoko rozwiniętych.

Oczywiście Unia Europejska, jeśli potraktować ją jako całość, jest wytwórcą największego PKB na świecie, przekraczającego PKB Stanów Zjednoczonych. Chiński PKB jest ciągle dwa razy mniejszy, ale udział całego świata zachodniego w globalnym PKB maleje i nie są to statystyczne ciekawostki. Wzrost liczby ludności w krajach zaliczanych do niedawna do Trzeciego Świata i wzrost ich PKB powoduje, że zaczyna temu towarzyszyć poczucie, iż państwa te winny mieć proporcjonalny wpływ na losy świata. To przecież rozumieliśmy, bo gdybyśmy mieli półtora miliarda mieszkańców, a nie trzydzieści parę milionów, też uważalibyśmy, że mamy więcej do powiedzenia w sprawach globalnych niż sąsiedzi. Jednak to co jest zrozumiałe, a nawet dość oczywiste, niekoniecznie musi być pozytywnie oceniane przez innych choćby w Europie. Jestem zaskoczony jak wielu nie rozumie, że zmiany zachodzące we współczesnym świecie powodują, iż my tu w Polsce czy w Europie będziemy mieli mniej do powiedzenia.

Jest wiele problemów globalnych, których wysoko rozwinięte państwa tzw. świata zachodniego nie są w stanie same rozwiązać. Na spotkaniach G-20 czy w trakcie innych międzynarodowych konferencji nie można, jak się okazuje, rozwiązać różnych kwestii klimatycznych czy gospodarczych, a proces ten będzie się nasilał. Warto więc sobie uprzytomnić, że jeśli nie chcemy pasywnie godzić się z takim scenariuszem, to będziemy musieli podejmować trudne i ważne decyzje.

Oto na przykład Unia Europejska jako całość ma ujemny bilans w handlu z Chinami; jedynym państwem europejskim, które ma taki bilans dodatni, jest Szwajcaria. Roczny deficyt obrotów krajów UE z Chinami, pomijając ostatnich kilkanaście miesięcy, co wiąże się z pewnymi zjawiskami kryzysowymi w Państwie Środka, wahał się między 100 a 200 mld. euro rocznie. Taka nadwyżka eksportu, a często są to produkty o wysokim stopniu przetworzenia, to nadwyżka pracy ludzkiej wykonywanej tam i przywożonej tu, i warto się zastanowić, jak to ma się do stopy bezrobocia w krajach europejskich, zwłaszcza wśród ludzi młodych. Wtedy być może nie atakowano by w Polsce rządu za politykę społeczną, ale domagano by się od władz zmiany polityki zagranicznej, w tym przede wszystkim polityki europejskiej. Wykorzystując znacznie lepiej potencjał, którym Europa ciągle dysponuje, można próbować przeciwstawiać się oczywistym zagrożeniom. Toczące się rozmowy między UE a USA w sprawie traktatu o handlu i inwestycjach, są próbą porozumienia właśnie w tej dziedzinie, a to spotyka się z niezrozumieniem u bardzo wielu ludzi, zwłaszcza w Europie Zachodniej. W moim głębokim przekonaniu interesy państw europejskich, w tym oczywiście

Polski, ich miejsce w polityce światowej i warunki materialne życia obywateli zależą od siły współdziałania europejskiego, a więc od pogłębienia integracji wspólnych instytucji europejskich itp.

W ostatnich latach Unia Europejska przeżywa natłok dramatycznych problemów. Nigdy w przeszłości nie było takiego nagromadzenia problemów, ciągle jeszcze odczuwamy pewne echa kryzysu finansowego z lat 2008–2009, bo gwałtownie i niekorzystnie zmienia się sytuacja w naszym najbliższym sąsiedztwie – na Bliskim Wschodzie, w Afryce, w Rosji i na Ukrainie, bo mamy problem imigrantów, tradycyjne problemy demograficzne itp. W dodatku w Europie rośnie siła środowisk i prądów radykalnych, ksenofobicznych i nacjonalistycznych, a takie procesy nasilają się także w krajach stabilnej demokracji, otwartych, tolerancyjnych... Dowodzi tego choćby wysoka pozycja kandydata skrajnej prawicy w austriackich wyborach prezydenckich. W moim przekonaniu jest to echo nastrojów niepewności, braku perspektywy egzystencjalnej, co szczególnie dotyka młodzież. I ludziom trudniej wgłębić się w meandry polityki europejskiej, w kwestie gospodarcze – łatwiej protestować przeciw imigrantom z Syrii wskazywanym jako sprawcy problemów, które mamy lub których tylko się obawiamy.

Gdy chodzi o Polskę i osoby, które mają wpływ na naszą politykę europejską, to rodzi się we mnie pogląd zdecydowanie pesymistyczny. Otóż ludzie sprawujący obecnie władzę są moim zdaniem przekonani, że Unia Europejska słabnie i trzeba szukać innych miejsc zakotwiczenia naszego kraju, innych mechanizmów. Do tego dochodzą złudzenia co do roli państwa narodowego we współczesnym świecie. Należę do ludzi, którzy uważają, że sposobem na wyjście z sytuacji kryzysowych jest wykorzystanie możliwości tkwiących we współpracy europejskiej, we wspólnym działaniu na różnych poziomach – nie tylko w sprawach gospodarczych. Niedostatki unijnej polityki zagranicznej czy obronnej są oczywiście bardziej widoczne, gdy w naszym regionie występują elementy niestabilności i nie potrafimy się dość wyraziście przeciwstawiać potencjalnym zagrożeniom. Jeśli do tego dodamy sytuację w sojuszu północnoatlantyckim, m.in. rozwijające się, nie tylko teraz – w kampanii wyborczej, ale od kilku lat dyskusje na temat proporcji ciężarów finansowych dotyczących utrzymania bezpieczeństwa w Europie i na świecie między USA i sojusznikami, to okaże się, że sytuacja może się rozwijać niekorzystnie dla nas, scenariusze mogą być bardzo różne, wręcz groźne dla naszych fundamentalnych interesów.

Uważam, że Polska powinna robić wszystko co tylko możliwe dla ułatwiania rozwiązywania problemów, jakie stoją przed Europą, dla przywracania tamtego optymizmu – sprzed kilku zaledwie lat. Kiedy przystępowaliśmy do Unii Europejskiej, nie tylko my cieszyliśmy się, w całej Europie panował nastrój optymizmu, bo oto po dziesiątkach lat pokonaliśmy dziedzictwo II wojny światowej. Pracowaliśmy wtedy nad konstytucją dla Europy, reformowaliśmy Unię... To wszystko jest dziś kompletnie nieobecne, a przecież przywracanie pozytywnego myślenia o przyszłości i naszych możliwościach ma kolosalne znaczenie! Bez tego w Europie muszą wygrać nastroje kapitulankie, także gdy chodzi o miejsce naszych krajów na scenie gospodarczej.

Mam swoje lata i – jak wiecie – pewne doświadczenia. Zatem pozwólcie, że jeszcze poruszę kilka problemów dziś dla nas szczególnie aktualnych. Chodzi mi o sąsiadów zza Bugu – mimo wszystko zaprzysiężoną Ukrainę i Rosję – trzon niedawnego światowego hegemonu. I jeszcze: Zachód czy Wschód – gdzie szukać sojuszników? Dla Polski to są sprawy zasadnicze.

Tak w Polsce jak w innych krajach zjawisko rusofobii było i jest obecne, i ma ono wpływ na sposób postrzegania i komentowania zjawisk zachodzących na obszarach tej części Europy. Rusofobia wielokrotnie dała się zauważyć w konkretnych posunięciach polskich władz, podzielam pogląd o możliwości radykalnego tutaj zwrotu w polityce rządu PiS. Niedawno spotkałem się z ambasadorami ważnych krajów unijnych – rozmawialiśmy o sytuacji w Polsce i o jej pozycji międzynarodowej. Powiedziałem, że w sytuacji, gdy Rosjanie zwrócą wrak tupolewa, a nałożą się na to jakieś uregulowanie konfliktu na wschodzie Ukrainy, może to stanowić wystarczające uzasadnienie dla rządu PiS do takiego zwrotu, zwłaszcza jeśli stosunki z Zachodem będą się pogarszały. Moi rozmówcy nie bardzo chcieli w to wierzyć – ja swój pogląd podtrzymuję.

Nie można, moim zdaniem, porównywać sprawy Krymu z zajęciem Wilna przez gen. Żeligowskiego. Od tamtych czasów wprowadzono bardzo wiele nowych uregulowań prawnych, zawierających bezwzględny zakaz agresji, poczynając paktu Brianda-Kelloga z 1928 roku poprzez Kartę Narodów Zjednoczonych, Kartę Paryską regulującą stosunki europejskie. Zakazy agresji nie były wówczas obwarowane tak silnymi deklaracjami mocarstw, jak w przypadku gwarancji nienaruszalności terytorialnej Ukrainy – przypomnijmy, w zamian za jej rezygnację z broni atomowej, co ma swoją wagę!

Nie mogę też się zgodzić, że Majdan unicestwił umowę zawartą przez trzech ministrów z Unii Europejskiej z ówczesnym prezydentem Janukowiczem. Oczywiście, radykalizm ludzi zgromadzonych na Majdanie narastał, być może było tam coś więcej niż zwykły radykalizm tłumu, ale fakty ujawnione później pokazują, że od dwóch dób trwało pakowanie i wywożenie majątku Janukowicza, który bez względu na przebieg i rezultaty rozmów, przygotowywał się do opuszczenia Kijowa. Gdy podejmował taką decyzję, nie zagrażało mu żadne niebezpieczeństwo. Oczywiście, nie możemy stwierdzić, jak by się dalej rozwijała sytuacja, ale mówimy o momencie, kiedy ówczesny prezydent podejmował decyzję o ucieczce do sąsiedniego kraju.

Kolejny problem to federalizacja Ukrainy. Z tą koncepcją nie mogę się zgodzić, choć oczywiście zgadzam się z propozycją decentralizacji. Tu, w Krakowie, w 2004 roku, w związku z obchodami rocznicy wyzwolenia Auschwitz gościł ówczesny prezydent Ukrainy – Juszczenko. Rozmawialiśmy między innymi o sprawach jego kraju. Pytałem go nieco zdumiony: – Dlaczego nie przeprowadzacie reformy decentralizującej władzę? Dlaczego nie uruchamiacie aktywności lokalnej? Czy panu zależy na tym, aby z powodu np. dziury w chodniku w Żytomierzu ludzie przeklinali pana? Czy nie lepiej, żeby mieli pretensje do własnego burmistrza?

Nie mam wątpliwości, że ten, dyrektywny i niemal nie poddający się żadnej kontroli system władzy, który utrzymywał każdy kolejny prezydent, każdy kolejny rząd, system pozbawiony sądownictwa administracyjnego i kontroli nad działaniami władzy obezwładniał Ukrainę. Do dziś niewiele się zmieniło. Jednak federalizacja, która daje elementom składowym bardzo duże kompetencje, szczególnie te sugerowane przez Rosję, m.in. prawo dowolnego układania stosunków zewnętrznych, stosunków z innymi państwami, w tym szczególnie z jednym określonym państwem musiała niepokoić. Przecież to był oczywisty pomysł, by potężny sąsiad, Rosja, mógł przenikać do systemu sąsiada.

Nie sposób też przyjmować takiej konstrukcji, że istnieją jakieś „tradycyjne prawa Rosji” w pewnych regionach Ukrainy. Nie jest to możliwe choćby w świetle współczesnego prawa międzynarodowego. Bez respektowania wypracowanych przez dziesięciolecia podstaw prawa międzynarodowego będziemy ryzykować powrót do przeszłości, która była przecież straszna, a łamanie prawa międzynarodowego skutkowało koszmarnymi konsekwencjami.

A teraz kwestia TTiP – Transatlantic Trade and Investment Partnership, układu negocjowanego od 2013 roku. Szczególnie w Europie podnosi się wiele słów krytyki wyrażających obawy związane z ekologią, uprawnieniami państwa narodowego. Gdy miałem niedawno okazję rozmawiać na ten temat z grupą młodych słuchaczy, to w sprawie partnerstwa w dziedzinie handlu i inwestycji UE–USA stawali się wręcz agresywni stwierdzając, że „ta cholerna Bruksela spiskuje z Amerykanami przeciw Europie”. A przecież nie znamy ani przebiegu rozmów, ani treści ustaleń, poza przeciekami, które generalnie dotyczą jednej kwestii – uprawnień firm do postępowania arbitrażowego przeciwko państwom w związku z decyzjami podejmowanymi przez władze publiczne, a mającymi wpływ na funkcjonowanie biznesu.

Jakie to ma znaczenie? Oto nasz sejm uchwalił wspaniałą ustawę „wiatrakową”, która zmienia całkowicie reguły inwestowania w tym sektorze. Proszę sobie wyobrazić, że jakieś przedsiębiorstwo działające w oparciu o poprzednie przepisy, zaciągnęło potężny kredyt i teraz, z chwilą gdy prezydent tę ustawę w nocy podpisze, straty może ponieść ogromne! Czy w cywilizowanym państwie taka firma mogłaby wystąpić do sądu o odszkodowanie? Tak, powinna mieć takie prawo. Ale czy pan minister Ziobro nie wskaże do jej rozsądzenia określonego sędziego, bo takie uprawnienia sobie zagwarantował? Dlatego potrzebny jest właśnie międzynarodowy arbitraż!

Jak to zostanie uregulowane w umowie TTiP, jeszcze nie wiemy, ale jakoś ostatnio wszyscy zakładamy, że Komisja Europejska składa się albo z nieodpowiedzialnych głupków, albo ludzi, którzy zamierzają przehandlować wszystkie osiągnięcia cywilizacyjne Europy, jak np. kwestie bezpieczeństwa ekologicznego, prawa konsumenta itp. Przecież przepisy TTiP najpierw muszą zostać wynegocjowane, potem przyjęte przez Komisję Europejską i europejski parlament, i wreszcie ratyfikowane przez wszystkie parlamenty państw członkowskich. Pakiet kontrolny jest więc w rękach poszczególnych krajów. Jeśli wystąpią jakiegokolwiek podejrzenia czy ryzykowne sformułowania,

nie mam najmniejszej wątpliwości, że traktat zostanie odrzucony, a negocjujący go przedstawiciele Komisji Europejskiej poddani surowej ocenie. Natomiast zawarcie mądrze sformułowanego traktatu umożliwi gospodarce obu stron dokonanie ogromnego skoku dzięki zsumowaniu potencjału ekonomicznego Europy i Stanów Zjednoczonych. Już jesteśmy dla siebie największymi partnerami we wszystkich dziedzinach i to mimo faktu, że USA zawarły podobne traktaty z kilkoma krajami Ameryki oraz wszystkimi ważniejszymi krajami strefy Pacyfiku z wyjątkiem Chin, które same w sobie są potęgą.

Mówi się że PiS umiejętnie wykorzystał strefy biedy w Polsce, niedostrzegane i wręcz ignorowane przez innych, w tym przez lewicę... Zgoda, lewica popełniła wiele różnych błędów, ale chciałbym podkreślić, że nie wynikały one z jakiegoś zauroczenia ideą neoliberalizmu, a z poczucia odpowiedzialności za finanse publiczne i konieczności stworzenia warunków do rozruszania gospodarki. W latach 1996–97, kiedy byłem premierem, udało się zredukować bezrobocie o jedną trzecią. Nie twierdzę, że to wyłączna zasługa mojego rządu, ale warto rzecz zauważyć, że nikt nigdy i nigdzie takiego sukcesu nie powtórzył, a stało się to dzięki wielu posunięciom, w tym programom aktywizowania zatrudnienia lokalnego. Poza wszystkim wydaje mi się, że nie ma lepszej polityki socjalnej niż stwarzanie warunków, by ludzie dostawali pracę i z tej własnej pracy się utrzymywali. Jest w tym, obok walorów dydaktycznych, istotny element godności człowieka.

W 2001 roku, kiedy wygraliśmy wybory zastaliśmy zerowe tempo wzrostu gospodarczego i gigantyczną „dziurę Bauca”. Mieliśmy do czynienia ze stagnacją gospodarczą i rozregulowanymi finansami publicznymi. Pamiętam dyskusje w łonie rządu, czy realizujemy to co obiecywaliśmy w kampanii wyborczej, czy odnosimy się do realiów? Kilka dni wcześniej byłem w Szwecji. Mój przyjaciel, ówczesny premier Goran Persson opowiadał mi o podobnym do naszego dylemacie szwedzkiej socjaldemokracji. Oni zdecydowali się bronić finansów publicznych i gospodarczej równowagi, za co zresztą zapłacili wysoką cenę, my zrobiliśmy to samo i choć nie twierdzę, że to główna przyczyna naszej późniejszej porażki, to na pewno była to najistotniejsza z przyczyn. Dokonaliśmy wówczas trudnych cięć socjalnych, wiele tych ruchów było bezsensownych, przynoszących niewielkie zyski, za to kładących się cieniem na obrazie partii. Wspominam je ze wstydem. To było oczywiste doktrynerstwo, która obciążało nasze konto w oczach społeczeństwa, ale w żadnym razie nie moglibyśmy się zdecydować na tak nieodpowiedzialną politykę, jaką uprawia teraz PiS.

PiS wydaje ogromne pieniądze, a jeszcze większe będzie wydawał w przyszłości. Na razie jest to skuteczne – notowania tej partii są wysokie. Co się stanie za rok czy dwa, kiedy dojdzie do rozregulowania finansów publicznych, kiedy okaże się, że nie ma pieniędzy na to wszystko? Na kogo będą zwalali winę? Albo będą musieli wycofać się z wielu obietnic, albo robić rzeczy, jakieś posunięcia polityczne, które z demokracją i polityką nie mają nic wspólnego.

Jeszcze o naszych stosunkach z Rosją. Nie było przedstawicieli Polski na obchodach rocznicowych zakończenia II wojny światowej. Jednak przypomnę, że

kiedy w 2005 roku Aleksander Kwaśniewski pojechał na obchody 50 rocznicy zakończenia wojny, został usadzony w czwartym rzędzie przywódców, polskich żołnierzy na defiladę nie zaproszono, Putin w swym przemówieniu wspominał z uznaniem nawet niemiecki ruch antyfaszystowski i ani słowem nie zająknął się o polskim udziale w zwycięstwie! Tak więc różnie to bywało. Demonstracje pułku nieśmiertelnych gromadziły w Moskwie i Petersburgu rodziny osób poległych w wojnie. Brał w tym marszu udział także Putin. Gdyby jego ojciec rzeczywiście zginął na froncie – tego rosyjskiego prezydenta by nie było, bo przecież urodził się dobrych parę lat po wojnie. Widać warto mu było przykleić się do tego bardzo ważnego wydarzenia, upamiętniającego bohaterów.

Czy obserwujemy globalną rywalizację Rosji ze Stanami Zjednoczonymi na tle walki o rynek zbytu broni? Nie ma „globalnej rywalizacji” między Rosją i Stanami Zjednoczonymi, bo prawdą smutną choć irytującą Kreml jest uwaga Baracka Obamy, że Rosja to obecnie „mocarstwo regionalne” a nie „supermocarstwo”. Supermocarstwem nie jest nie dlatego, że rozpadł się ZSRR, ale dlatego, że jej produkt krajowy brutto jest kilkakrotnie mniejszy od PKB amerykańskiego czy europejskiego i pięciokrotnie mniejszy od chińskiego. Dawniej Związek Radziecki mógł dyktować coś Chinom, dziś Rosjanie muszą się Chin bać, choć zachowują się wobec nich, w moim przekonaniu, całkowicie niefrasobliwie.

Teza o jakimś wyjątkowym znaczeniu rynku broni dla światowych koncernów jest przesadzona. Owszem, sprzedaż broni ma istotne znaczenie ekonomiczne, ale przede wszystkim jest elementem wiążącym państwa kupujące z państwami sprzedającymi, bo to przecież dostęp do kodów produkcyjnych skomplikowanych, nowoczesnych systemów broni, które pozwalają wpływać na zakres jej stosowania, kwestia modernizacji broni już zakupionej... I... w ostatnich trzech latach wartość polskiego eksportu żywności, tylko żywności, jest, średnio rzecz biorąc, o 40 proc. wyższa od wartości eksportu broni Rosji! Polscy chłopci i przetwórcy żywności sprzedają towary o wartości znacznie większej niż wartość sprzedaży broni przez Rosję, która zajmuje drugie miejsce na światowym rynku zbrojeniowym! Wartość eksportu rosyjskiej broni to dziś kilkanaście miliardów euro rocznie – nie jest to coś, o co mogłaby toczyć się nadzwyczajna rywalizacja. Korzystam tu z najlepszych dostępnych dziś danych pochodzących ze Sztokholmskiego Instytutu Badań nad Pokojem.

Czy Putin musiał objąć specjalną opieką Rosjan na Krymie? Jakoś przed rosyjską inwazją nikt nie słyszał o narodowym ucisku na półwyspie, który miał przecież znaczną autonomię, nikt nie mówił, że prawa Rosjan są jakoś uszczuplane. Istnieją przecież w Europie zajmujące się tym instytucje – Europejski Trybunał Praw Człowieka, jest Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, jest w końcu ONZ... Usprawiedliwienie się Putina, że nie miał innego wyjścia, tylko musiał interweniować, jest kompletnym nieporozumieniem. To była cyniczna gra polityczna obudowana akcją propagandową – zwykła agresja i nie możemy zamykać na to oczu.

Jeszcze trzy lata temu byłem przekonany, że interesy świata zachodniego i Rosji są w istocie tożsame

i trzeba nam bliskiej współpracy w każdej dziedzinie, w tym szczególnie współpracy gospodarczej. Rosja potrzebuje jak tlenu modernizacji gospodarki, bo inaczej nie przetrwa. Polska jest jednak ostatnim państwem, które może sobie pozwolić na lekceważenie absolutnie fundamentalnej zasady nienaruszalności granic, jakie zostały ustanowione w wyniku powojennej reorganizacji w Europie i nie mamy innego wyjścia – musimy najbardziej stanowczo przeciwstawiać się takim próbom.

Niekiedy pojawia się pytanie, dlaczego po upadku ZSRR nie przyjęto Rosji do wspólnoty europejskiej? To oczywiście pytanie abstrakcyjne, bo przede wszystkim musiałyby w samej Rosji istnieć taka wola, ale także z tego powodu, że do takiej Unii jaką ona jest, z prawami wspólnotowymi, Schengen czy transferami gospodarczymi, Rosja po prostu przystąpić nie jest zdolna. Można by oczywiście szukać innych porozumień i był na przykład taki Układ o partnerstwie i współpracy między Unią Europejską i Rosją. Jego ważność wygasła w 2005 roku, kiedy w Polsce doszedł do władzy PiS po raz pierwszy. Wtedy właśnie Rosja wprowadziła embargo na eksport polskiego mięsa na swój rynek – w moim przekonaniu w pełni świadoma, że wobec rusofobicznych nastrojów, szczególnie w PiS, musi dojść do konfliktu. Była to rosyjska prowokacja, która udała się wręcz idealnie, bo Polska stała się tym krajem, który zawetował przyznanie Komisji Europejskiej mandatu do negocjowania kolejnego układu i partnerstwa i współpracy z Rosją. W ten sposób Polska przeciwstawiła się nie Rosji, tylko wszystkim partnerom w Unii Europejskiej, bo pozostali członkowie UE byli za podjęciem negocjacji. Polska w ciągu jednego dnia straciła w Unii Europejskiej jakąkolwiek wiarygodność w jakiegokolwiek rozmowie na temat polityki wobec Rosji, nie mówiąc już o złudzeniach, że moglibyśmy być czymś na kształt pomostu między UE a tym krajem. Polska okazała się tak rusofobiczna, że zablokowała z tego powodu działania całej wspólnoty. Już wówczas PiS pokazywał także inne swoje groźne cechy...

Owe nastroje odżyły z całą mocą także dziś. Rodzi się pytanie, co się stanie z Polską, jeśli nie zablokuje się takiej polityki. Rządzący nie pokazali nam jeszcze wszystkiego, na co ich stać, jesteśmy może w połowie drogi. Kolejne reguły demokracji zostaną naruszone i rządowi PiS-owskiemu podporządkowywane będą kolejne sfery życia i funkcjonowania państwa. W sprawie Trybunału Konstytucyjnego kapitulacji PiS-u nie będzie, a więc coraz częściej organa administracji rządowej będą działały wedle prawa kwestionowanego przez Trybunał, obywatele będą się od tego odwoływali do sądów administracyjnych, a sądy te respektując orzeczenia Trybunału będą oddalały decyzje administracyjne. Będziemy więc mieli porządek prawny z coraz większym obszarem bezprawia i gdy ten system się ostatecznie załamie, to państwo będzie musiało płacić gigantyczne odszkodowania. Nie wspomnę już o skutecznym podważeniu wizerunku Polski jako państwa, w którym obowiązuje prawo, co będzie też miało gigantyczne konsekwencje ekonomiczne, bo nikt na świecie nie zainwestuje pieniędzy w kraju, gdzie w ciągu nocy można przyjąć dowolną ustawę i w państwie, gdzie wyrok sądu traktowany jest jako „niezobowiązująca opinia”. To wizja bardzo czarna...

Co zatem robić? Niestety, nie ma instytucji czy procedury albo mechanizmu, który pozwoliłby ten proces degrengolady zablokować prawnie. Władza ma pełny mandat uzyskany w wyborach „niesfałszowanych” i pełne prawo rządzenia. Problemem jest jednak sposób pojmowania rządu, sposób pojmowania demokracji. Co gorsza, podobnie rozumie demokrację znaczna część społeczeństwa, niekoniecznie o prawicowych poglądach. Wielu uważa, że demokracja to rządy większości i kropka! Nie rozumie, że demokracja to rządy w ramach prawa z uwzględnieniem praw mniejszości, że rządzących ograniczają zawarte wcześniej umowy i porozumienia. To wynika z ogromnej ułomności kultury politycznej w naszym kraju.

Należy się więc temu przeciwstawiać mniej więcej jak do tej pory, choć nie tylko tak. Jestem przekonany, że odbywające się w kraju demonstracje są ogromnie ważne, bo to sygnał do nas samych, do całości polskiego społeczeństwa, bo to jest podtrzymywanie pewnego poziomu mobilizacji obywatelskiej, ale to także sygnał wobec świata. Dlatego Bill Clinton nie miał racji mówiąc, że „Polska idzie drogą Putina”, bo drogą Putina idzie władza PiS-owska, zaś duża część, ba! – większość społeczeństwa nie chce iść tą drogą! Bardzo bym się martwił, gdyby demokracje zachodnie zmieniły poziom zainteresowania, gdyby coś odciągnęło ich uwagę i gdybyśmy w Polsce zaczęli odczuwać, że zapomniano o nas.

A co się będzie dalej działo z Polską? Żle będzie się działo, bo się pogłębią społeczne podziały i nawet jeśli sytuacja polityczna się zmieni, to niezmienne trudno będzie zrezygnować z polityki rewanżu. Równocześnie wokół Polski też dzieją się niedobre rzeczy i w moim przekonaniu jeśli w ciągu najbliższych miesięcy Unia Europejska nie upora się z jednym czy dwoma kryzysami, wobec których stoi, nastąpi błyskawiczna reakcja tych krajów, które cenią sobie unijne wartości. Przede wszystkim kraje strefy euro zacieśnią współpracę, a wtedy zostaniemy na zewnątrz tej nowej wspólnoty. Formalnie nikt nas nie pozbawi członkostwa w Unii, ale nasze sprawy, nasze argumenty, nasze zdanie będą miały coraz mniejsze znaczenie dla całej reszty. Polska stanie się peryferią. Może nawet tak odległą i tak egzotyczną, że nie warto jej bronić.

To spotkanie jest konferencją teoretyczną, w kalendarzu mamy datę 21 maja 2016 roku, ale w kraju od kilku miesięcy się źle dzieje. Nie będzie rzeczą niestosowną, jeśli zauważę, że zmiany zachodzące w polityce europejskiej Polski uważam za kardynalny błąd, za postawy i działania uderzające w nasze najbardziej elementarne interesy – w polską rację stanu. Trzeba jak najczęściej w publicznej dyskusji podejmować sprawę praworządności, obronę standardów demokracji, ale też podstawowe wybory naszej polityki zagranicznej. Od 1989 czy 1991 roku nie było jeszcze takiego momentu, aby elementarne składniki polskiej racji stanu były tak podważane, kwestionowane jak dziś.

WŁODZIMIERZ CIMOSZEWICZ

BRONISŁAW ŁAGOWSKI

RACJA STANU A IDEOLOGIA PANUJĄCA III RP

Moja teza jest następująca: ideologia panująca w dzisiejszej Polsce uniemożliwia społeczne porozumienie w sprawie polskiej racji stanu, a wyznawcy tej ideologii, których przybywa w miarę dorastania nowego pokolenia, nie są zdolni do rozpoznania racji stanu.

Ta ideologia nie ma postaci doktrynalnej, bo nie można uznać za doktrynę zbioru ogólnych haseł i stanów emocjonalnych. Obóz rządzący prawdopodobnie zgodziłby się, że taką ideologią III RP jest „patriotyzm”. Ale co jest treścią tego głoszonego patriotyzmu? Jesteśmy przeważnie tak znudzeni tą dydaktyką patriotyczną, że nie wnikamy w to, co ten patriotyzm znaczy, do czego wzywa, czego wymaga i jak należy postępować, żeby zdobyć miano patrioty. Oficjalna polityka orderowa podpowiada nam, że patriotami mogą być ludzie, którzy niczego dobrego dla kraju nie zrobili.

Jeśli wnikniemy w treść tego co się głosi, przekonamy się, że w III RP patriotyzmem jest kult patriotyzmu. A jeżeli w tym jest coś jeszcze, to co? Wymaganie, aby w czasie wojny oddać życie za ojczyznę. To nic nie znaczy, bo na wojnie giną zarówno patrioci jak niepatrioci. Taki wniosek nasuwa się podczas obchodów rocznic powstania warszawskiego. Zostawmy to.

Do ideologii panującej należy niewątpliwie antykomunizm. Tu istnieje rozdźwięk w obozie panującym: jedna partia mówi, że komunizm został obalony ćwierć wieku temu za pomocą częściowo wolnych wyborów, a druga, która właśnie przejęła władzę, głosi, że ten system przetrwał do dziś i dopiero teraz władza ostatecznie pozostałości tego systemu obali. Minister obrony narodowej, druga osoba w państwie twierdzi, że „Program niepodległościowy i społeczny nawiązujący do tradycji Solidarności i ruchu niepodległościowego realizują dziś rząd PiS i cały szeroki front patriotyczny. Tak zwana opozycja reprezentuje dążenia, które legły u źródeł twórców Okrągłego Stołu, czyli takiej transformacji Polski, która zachowała dominację dawnego aparatu komunistyczne-

go i jego sojuszników. W 1976 r. podejmowaliśmy walkę z okupacyjnym, sowieckim reżimem totalitarnym” (Antoni Macierewicz, wywiad Cezarego Gmyza, „Do Rzeczy” 11-17 stycznia 2016). Tak myśli rządząca większość sejmowa i powtarza duża część mediów. Czy ludzie mający takie wyobrażenie o sprawach politycznych są zdolni rozpoznać rację stanu? Trzeba ponadto uwzględnić, że w wielkonakładowych i cieszących się szerokim uznaniem gazetach ukazują się jeszcze dalej idące zmyślenia, do czego zaraz wrócę.

Do ideologii panującej należy pogląd, który wskutek powtarzania jest już wyznawany prawie powszechnie, że od 1945 roku Polska znalazła się pod drugą, już radziecką okupacją. Ten pogląd początkowo wydawał się tak absurdalny, że lewica mu się nie przeciwstawiała, i tak już zostało. Po początkowym zdziwieniu pogląd uzwyczajnił się, bo jest spójny z całościową wizją Polski wyznawaną przez obóz solidarnościowy. Ta wizja w najważniejszych, kluczowych punktach została przejęta od emigracji, zwłaszcza jej odłamu „nieprzejednanego”. Dla emigracji był to pogląd naturalny, w trakcie wojny, jak czytamy w wielu pamiętnikach i dokumentach, każde zwycięstwo Armii Radzieckiej było przyjmowane przez rząd londyński i inne ośrodki emigracyjne jako klęska naszej sprawy. A wyparcie Niemców z Polski w 1945 roku nie było, rzecz oczywista, dla emigracji wyzwoleniem. Polacy w kraju nie mogli tak myśleć.

„Solidarność” nie miała własnej wizji dla Polski i przyjęcie emigracyjnego punktu widzenia było i z tego, i z innych powodów naturalne. Emigracja polityczna miała tradycyjnie duży prestiż, zaczynając od tzw. Wielkiej Emigracji uchodziła, jak pisał Mochnacki, za autentyczną reprezentację narodu, co jest retorycznym frazesem oddziałującym jednak na wyobraźnię i sentymenty. W PRL-u wielu wyobrażało sobie, że lepiej by im było na emigracji niż w Polsce i przyznam się, że sam do takich należałem.

Przyjęcie emigracyjnego punktu widzenia nie sprzyja politycznemu realizmowi. Jerzy Giedroyc czynił wysiłki, aby rozumieć sytuację w kraju i chociaż czasem się bardzo mylił, jak w latach 80., gdy zachęcał do rewolucji w Polsce, to jednak wypracował pewną koncepcję politycznie przydatną, ale jego zwolennicy w kraju zniekształcili ją dość zasadniczo, odrzucając jego naleganie, aby pozytywny stosunek do Ukrainy nie przeszkodził dobrym stosunkom z Rosją. Ta koncepcja była dobra dla emigracji zasklepionej w stereotypach, ale przeniesiona do kraju uległa zniekształceniu. To nie od Giedroycia obóz solidarnościowy przejął poglądy, lecz z Wolnej Europy i ośrodków jeszcze bardziej „niezłomnych”. Giedroyc dał wyraz niezadowoleniu, że prezydent Aleksander Kwaśniewski przeszedł za bardzo na prawo.

Ideologia panująca nie odpowiada polskim teraźniejszym realiom, ona wywodzi się z czasów wojny i powojennych konfliktów, nieważne jak je nazwiemy: wojną domową, rewolucją socjalną czy „okupacją radziecką”. Przywódcy obozu rządzącego uznali, że będzie dla nich dobrze utożsamić się politycznie z żołnierzami wyklętymi – tu największą rolę odegrał Bronisław Komorowski. Stworzony został rytuał oddawania czci tym zagubionym, nieszczęśliwym ludziom, po których nie pozostało żadne pozytywne dokonanie. Oni zabijali i ich zabijano, a wszystko to działo się na marginesie odbudowy państwa i gospodarki. Ten margines był tak mały, że wielu pochłoniętych pracą nawet go nie zauważyło. Dziś, przekształceni w symbol, stanowią jeden ze składników ideologii dominującej.

Temu kultowi towarzyszy cichy żal, że nie było trzeciej wojny, jak sobie życzyli wyklęci. Ten miraż zabarwia politykę wschodnią. W obozie rządzącym wyczuwa się nie pragnienie wojny, ale przyjemny dreszczyk przygotowań do wojny.

W tej ideologii widać pewną przebiegłość. Nie dałaby się ona obronić, gdyby została wyrażona w formie teoretycznej, dyskursywnej, natomiast przedstawiona w formie dramatycznych fabuł przemawia do każdego, zwłaszcza do ludzi słabo wykształconych i dzieci.

Dzieci dorastają i otrzymują bierne i czynne prawo wyborcze. Centralnym składnikiem ideologii III RP jest mit powstania warszawskiego. Z niego wyprowadza się wzór patriotyzmu i etykę heroistyczną, także nienawiść do tych, którzy nie przyszli z pomocą. Bronisław Komorowski, poprzednik prezydenta Dudy jako apologeta klęskowego heroizmu stwierdził, że szaleństwo, jakie Polacy wykazali robiąc to powstanie będzie w przyszłości czynnikiem odstraszącym agresora. Trzeba je stawić, bo jest zgodne z polską racją stanu i przyczyniło się do naszej dzisiejszej wolności. Oto co znaczy niczego się nie nauczyć.

Nigdy jeszcze tradycja przegranych powstań nie wyparła w tym stopniu ze świadomości społecznej realnej historii i zainteresowania realnymi osiągnięciami, a nawet realnym życiem narodu. W historii polskiej myśli politycznej najwartościowszy był – teraz to lepiej widać niż kiedykolwiek przedtem – nurt politycznego realizmu, a dziś za głoszenie takich poglądów można trafić na listę agentów wrogiego mocarstwa.

Nauczyl się tak formułować swoje poglądy, że są one nie do obalenia, ponieważ nie podlegają ocenie pod względem prawdy i fałszu. Powtarzane np. jest zdanie

wzięte z poematu: „Jest ONR-u spadkobiercą Partia”, co ma być celnym uderzeniem w PZPR i wszystkich, którzy się z niej wywodzą, czyli SLD. Nawiasem wtrącając, że u Miłosa zdanie to pada w kontekście, którego wymowy nie chce się dziś odczytywać: „A poza nimi nic nigdy nie było / Prócz buntu godnych pogardy jednostek / Któż miecz Chrobrego wydobywał z pieśni? / Któż wbijał słupy aż w dno Odry? / I któż namiętność uznał narodową / Za cement wielkich budowli przyszłości?” Nie jest to powód do wstydu, że się wbijało słupy graniczne w dno Odry. To, że Polska istnieje w takim miejscu Europy i w takim kształcie, że zbudowana została w znacznej części na zdobyczach wojennych Rosji jest zasługą lewicy, jak ktoś chce – może dodać, że komunistycznej i będzie to prawda.

Ideologia panująca gruntownie zniekształca historię wojenną i powojenną, ale robi to w taki sposób, żeby jej nie można było udowodnić fałszu. Oto przykład. W liberalnej gazecie z aprobatą przytoczono pogląd podobno amerykańskiego historyka, profesora Snydera. Mówię – podobno, bo osobiście nie sprawdzałem. „Spójrzcie – powiada – jakież to paradoks: to Stalin i Hitler spowodowali, że w miejscach Rzeczypospolitej powstały państwa narodowe, że Litwini otrzymali Wilno, Ukraińcy – Lwów, a Polacy – Gdańsk, Wrocław i Szczecin. To oni, najwięksi zbrodniarze XX wieku sprawili, że w Polsce wytworzył się najbardziej osobliwy sojusz wokół Polski monoełniczej z granicą na Odrze i Nysie; endeł Grabski i komunistka Wanda Wasilewska zgodnie opowiadałi się a takim rozwiązaniem geopolitycznym i terytorialnym”. I co zrobicie amerykańskiemu profesorowi? Hitler w zmoenie ze Stalinem dał Ukraińcom Lwów, a Polakom Wrocław i Gdańsk, itp. Autor nie wyraża się dosłownie, to są zdania eliptyczne, ale ich sens jest jasny: tyle dla nas zrobił Stalin co i Hitler. Ich treść jest koherentna, spójna z ideologią panującą III RP.

Poprzedni prezes IPN-u ogłosił zamiary na dwa dziesięciolecia naprzód. Jego program przewidywał, że za dwadzieścia lat nie powinno być już żadnych śladów po PRL-u. Niemal półwieczne dzieje Polski mają być starte z obiektów materialnych i z pamięci ludzkiej, i zastąpione fantazmatami, jakie sobie wytworzył obóz rządzący: dzieło Stalina ma być zrównane z dziełem Hitlera, a „okupacyjny sowiecki reżim totalitarny” panował aż do pojawienia się KOR-u. Ten program IPN-u jest realizowany ze szczegółami gwałcącymi elementarne tabu jak ekshumacje dla efektów propagandowych czy imitowanie tortur dla celów pozał się Boże – edukacyjnych.

Wytworzyła się heroistyczna koncepcja państwa. Odwołuje się ono do cnoty odwagi, ale ta odwaga jest oderwana od takiej wartości jak skuteczność. Klęski narodowe są idealizowane z powodu odwagi, jaką wykazali zabici, trzeba mieć odwagę lądowania we mgłę, trzeba zachęcać sojuszników do polityki wojowniczej wiedząc, że własny kraj stałby się pierwszą ofiarą wymiany ciósów rakietowych. Trzeba wyszukiwać powody do wrogości wobec innych narodów, rytualizować doznane krzywdy, żeby zachować w pamięci na wieki i odnawiać w sobie uczucia mściwości niezbędne w utrzymywaniu gotowości do wojny. Tak jak wiara chrześcijańska utrzymywała się po części dzięki pragnieniu zemsty za ukrzyżowanie Chrystusa, tak szowinizm polski trwa w dobrym

stanie dzięki rozpamiętywaniu Katynia i innych zbrodni z przeszłości.

Jeżeli lewica SLD-owska poświęcała czas najbardziej uczonych swoich doradców na tworzenie programów sprawiedliwości społecznej i rozwoju gospodarczego, to prawica solidarnościowa oddziaływała fabułami historycznymi, rozgrzebywaniem grobów, opowiadaniem o konspiracjach, więzieniach, morderstwach i tym podobnych okropnościach, i z góry było wiadomo, kto bardziej przyciągnie uwagę ludzi młodych, starych i w średnim wieku.

Można się zastanawiać, kto wywołuje w Polsce nastroje wojownicze; moim zdaniem przyczyna tkwi w samej koncepcji państwa heroistycznego. Waham się w kwestii terminologicznej – może należałoby mówić o państwie stanu powstańczego, skoro powstania zostały uznane przez to państwo za najwyższy przejaw patriotyzmu i ducha narodowego. Niech ktoś powie, jak można zdefiniować interes narodowy w takim państwie!

Pewne elementy ideologii panującej III RP pochodzą z restauracyjnego charakteru zmiany ustrojowej i biorąc pod uwagę warunki wyjściowe tej zmiany można je uznać za nieuniknione. Zmiana polegała na restauracji „kapitalizmu”, powrocie do ustroju politycznego poprzedzającego socjalizm. Potępienie „komuny” pod względem ideologicznym uzasadnione, było jednocześnie idealizowaniem wszystkiego, co było przedtem.

Jeśli by o moje stanowisko chodziło, to opowiadałem się za kontrrewolucją liberalną (taki tytuł miała jedna z moich książek), czyli wolnością gospodarczą i wolnością słowa. Jednak kontrrewolucja poszła dalej – największej skorzystał na niej Kościół jako religia i jako instytucja. Odżyły dawne mity, wzory politykowania, nienawiści i kultury (kult pasożytniczego ziemiaństwa na przykład), znaczące stały się różnice pochodzenia społecznego. Wyparta została tradycja lewicowa, różne jej nurty; idealizacja powstań wygłuszyła realistyczny nurt narodowej demokracji, konserwatywny nurt został zredukowany do kwestii obyczajowych, politycznie nie istnieje. Radykałowie o mentalności konspiratorów uważają się za konserwatystów, bo podczas restauracji etykieta konserwatysty jest „prestżowa”. Gdyby ludziom pierwszej „Solidarności” powiedziano, że ich ruch doprowadzi do repywatyzacji i wyrzucenia dziesiątków (a może setek) tysięcy ludzi z mieszkań, które legalnie i bezterminowo zajmowali, uznaliby to za propagandę prowokatorów. Dziś, gdy to się dzieje, milczą ich przywódcy i milczy lewica postkomunistyczna.

Ideologia panująca jest irracjonalna i sięga głęboko. Utrudnia myślenie w kategoriach interesu narodowego. Ale władza polityczna potrafi już zastraszyć tych, którzy chcieliby po swojemu ten interes definiować.

BRONISŁAW ŁAGOWSKI



Fot. A. Gluc

ANDRZEJ ROMANOWSKI

POLSKA POLITYKA WSCHODNIA OSTATNICH LAT

Rosja i Ruś

U progu III Rzeczypospolitej, w grudniu 1990 r. nestor polskiej polityki, Stanisław Stomma pisał: „Za lat dziesięć, a może i pięć, Rosja zacznie znów odgrywać rolę mocarstwową. Ze wszech miar prawdopodobny jest kompromis pokojowy tworzący federację trzech republik: Rosji, Ukrainy, Białorusi. Dlatego powinniśmy zachować rozsądną powściągliwość, nie mieszać się w konflikty wewnętrzne sąsiadów wschodnich i, ucho-
waj Boże, nie podpisywać występujących tam antagonizmów”.¹

Ze Stommą, moim mistrzem ideowym, nieraz w tych sprawach się spierałem w toczonych z nim rozmowach. Jeszcze dziś, gdy czytam te jego słowa, razi mnie szybka, wręcz bezwarunkowa, zgoda na ową federację rosyjsko-ukraińsko-białoruską. Stomma ze swymi litewskimi korzeniami, z tradycją ugody z Rosją lansowaną przez tamtejsze XIX-wieczne ziemiaństwo, niewątpliwie nie doceniał prozachodniej opcji Ukraińców z dawnej Galicji – owej Rusi Halickiej, dążącej do Zachodu już od czasu XIII-wiecznego króla Rusi Daniela i złączonej z Zachodem przez XIV-wieczny oręż króla Polski, Kazimierza Wielkiego. I chyba też nie doceniał rangi północno-zachodniej, w większości katolickiej, Białorusi – tego, opisywanego niegdyś przez Czesława Jankowskiego, ciężącego ku Wilnu „powiatu oszmiańskiego”, którego ludność z pewnością przyjęłaby federację z Rosją niechętnie, jeżeli nie wrogo. Uważałem więc, że polityka polska nie powinna odwracać się plecami do wschodnich sąsiadów, z którymi łączyła nas historia, a więc i nie powinna bezalternatywnie skazywać ich na *pax russica*, że natomiast powinna się starać o przyciąganie ich do świata zachodniego. Ale aby przyciąganie takie mogło być skuteczne, musiało by się odbywać stopniowo, w „długim marszu” zakrojonym – być może – nawet na pokolenia. I nie mogłoby się odbywać *przeciw* Rosji.

Sięgający średniowiecza mit jedności świata ruskiego i ziemi ruskiej, głęboka więź wytworzona w tej geopolitycznej przestrzeni przez prawosławie, a także trwające od XVII wieku związki polityczne i ekonomiczne części (zwłaszcza wschodnich) Ukrainy i Białorusi z Moskwą nakazują daleko posuniętą ostrożność. ZSRR przegrał wyścig militarny, gospodarczy i cywilizacyjny, jednak nie przegrał wojny. A nowa Rosja powstała na gruzach sowieckich nie rozpadła się w nowej „smucie” – ona istnieje. Dlatego, przy wszelkich zgłoszonych wyżej poważnych przecież zastrzeżeniach, ów podstawowy imperatyw rozumowania Stommy – niemieszenie się w konflikty sąsiadów wschodnich, niepodpisywanie tamtejszych antagonizmów – wydawał mi się zawsze prawidłowy, logiczny, zgodny z polską racją stanu. I to tym bardziej jeszcze, że wykazywał myślenie długofalowe, że był oderwany od tego, co sam Stomma nazywał „niemiłym zgiełkiem” polskiej polityki bieżącej. Wtedy, u progu lat 90., rysowała się przecież realna szansa na poprawę stosunków polsko-rosyjskich, wyjścia – i to definitywnego – poza kilkusetletni „fatalizm wrogości”.

Co bowiem było przyczyną tego konfliktu? Była nią rywalizacja o ziemie ruskie. Ta przyczyna znikła już w roku 1945: nowa Polska, choć na pewno nie z własnej woli, wycofała się z (prawie) całości historycznych ziem ruskich i odrzuciła jakiegokolwiek do nich pretensję. Mówię: prawie, bo przecież części historycznej Rusi pozostają do dziś w granicach Polski: są to – na ogół już spolonizowane – miasta takie jak Krosno czy Rzeszów, Chełm czy Drohiczyń, Przemyśl czy Sanok. Może więc warto pamiętać, że – choć skali rezygnacji ze Wschodu przyjętej przez Polaków nie sposób porównywać ze skalą rezygnacji z Zachodu przyjętej przez Ukraińców czy Białorusinów – to jednak w jakimś stopniu były to rezygnacje obustronne.

Oczywiście, w tymże 1945 roku pojawiła się przyczyna inna, odwrotna, nie anulująca konfliktu, lecz go konserwująca. Była nią podległość Polski wobec ZSRR,

¹ S. Stomma, *Nowe sąsiedztwo. O naszej polityce wschodniej*, „Tygodnik Powszechny”, 9 XII 1990, nr 49.

włączenie Polski w krwiobieg imperium sowieckiego, narzucenie jej egzotycznych sojuszy, obcego ustroju, obcej i absurdałnej ideologii. Jednak po roku 1989 również ta przyczyna znikła, a jej końcem o wymiarze symbolicznym stało się wyjście z Polski – w rocznicę agresji sowieckiej, bo 17 IX 1993 – ostatnich oddziałów armii rosyjskiej (do niedawna – sowieckiej). W ten sposób rzeczywiście zakończył się konflikt najdłuższy w historii Polski. Bo też III Rzeczpospolita natychmiast, skądinąd realizując wskazania wielkich emigrantów, Juliusza Mieroszewskiego i Jerzego Giedroycia, dokonała zatwierdzenia dotychczasowego stanu rzeczy: rezygnacji z historycznych ziem ruskich. A Rosja, choć przez kilka następnych lat usiłowała blokować polskie aspiracje NATO-wskie, to jednak nigdy – wbrew tradycji minionych dziesięcioleci – nie posuwała się dalej niż do działań dyplomatycznych, a i one nie przechodziły w sferę dyplomatycznego szantażu. Co zaś najważniejsze, po wstąpieniu Polski do NATO w roku 1999, również z tym faktem Rosja się pogodziła – choćby tylko oficjalnie. Od tego więc czasu sytuacja wygląda tak, że wprawdzie Polska i Rosja należą do różnych systemów politycznych i obronnych, że oba te systemy ze sobą rywalizują i mogą przybierać wobec siebie charakter antagonistyczny, jednak między samą Polską a samą Rosją nie ma – formalnie rzecz biorąc – nie tylko żadnego konfliktu, ale nawet żadnej płaszczyzny konfliktogennej, żadnej przestrzeni, w której konflikt mógłby stać się możliwy.

Rusofobia

Zdawało się, że rozumiała to Platforma Obywatelska, która w roku 2007, po rusofobicznym PiS, przejęła w Polsce władzę. Rządy premiera Donalda Tuska potrafiły budować stosunki polsko-rosyjskie tyleż na gruncie pragmatyzmu, co na gruncie przeświadczenia, że między obu naszymi państwami znikł wspomniany „fatalizm wrogości”. W tej właśnie atmosferze doszło 1 września 2009 do wizyty premiera Władimira Putina na Westerplatte oraz do jego przemówienia, które dla Rosjan musiało brzmieć wręcz obrazoburczo, skoro szef ich rządu uznał za początek II wojny światowej nie rok 1941 (Wielka Wojna Ojczyzniana!), lecz rok 1939, a więc i pakt Ribbentrop-Mołotow ze wszystkimi jego konsekwencjami. Niestety, w Polsce tego przemówienia nie doceniono – jak widać, słabo rozumiemy Rosję (choć znawstwem jej się szczycimy). W klimacie polsko-rosyjskiego zbliżenia odbyła się też 7 kwietnia 2010 wizyta premiera Tuska w Kątyńcu i jego ponowne spotkanie z premierem Putinem. Trzy dni później nastąpiła katastrofa smoleńska, lecz reakcja na nią społeczeństwa rosyjskiego i władz rosyjskich pełna była tak wielkiego ładunku żalu i współczucia, że nawet Jarosław Kaczyński uznał wtedy za wskazane wygłosić orędzie do braci Rosjan. I może warto też przypomnieć, że przyjazd na wawelski pogrzeb prezydenta Lecha Kaczyńskiego światowi przywódcy często odwoływali ze względu na ówczesne zagrożenie bezpieczeństwa ruchu lotniczego. Lekceważąc to niebezpieczeństwo, prezydent Rosji Dmitrij Miedwiediew przyjechał.

Tak oto Smoleńsk mógł wnieść do stosunków polsko-rosyjskich element autentycznego pojednania.

Rosja wzięła w nawias polskie zaangażowanie w sprawę Ukrainy w dobie „pomarańczowej rewolucji” roku 2004, Polska wzięła w nawias rosyjską agresję na Gruzję w roku 2008. Oczywiście, obu tych faktów nie wolno zrównywać. Działania Polski na Ukrainie były obroną wolnych wyborów, a więc i nowego, demokratycznego ładu europejskiego. Działania Rosji w Gruzji były wtargnięciem wojska na terytorium suwerennego państwa, pokazem nagiej siły. A jednak urazy po obu stronach – rosyjskiej i polskiej – były podobne. Tymczasem po stronie polskiej jednoznaczne potępienie agresji na Gruzję szło w parze z milczeniem na temat wcześniejszej, bez wątpienia awanturniczej prowokacyjnie antyrosyjskiej polityki prezydenta Gruzji, Micheila Saakaszwilego. Nie tylko też rozgrzeszaliśmy tę fanfaronadę tysiąclecia, jaką były wypowiedziane w Tbilisi słowa prezydenta Kaczyńskiego: „Jesteśmy tu, aby podjąć walkę”, ale wyrażaliśmy z tych słów satysfakcję i dumę. Na szczęście wszystko to nie uniemożliwiło pojednania. Że do niego nie doszło – to nie jest już wina Rosji.

Czym bowiem odpowiadało polskie społeczeństwo i polskie władze na rosyjskie wyrazy żalu i współczucia po Smoleńsku? Słowami, które uczucia Rosjan musiały głęboko ranić. Smoleńsk nazywano „ziemią przeklętą”, co świadczyło nie tylko o polskim bezkrytycyzmie, lecz i o polskiej ignorancji, bo czy nie jest to raczej ziemia błogosławiona, ziemia pogranicza, która w najcięższych latach po powstaniu styczniowym dała polskiej szlachcie możliwość przetrwania (losy rodziny Lednickich są tego najlepszym przykładem)? I czy gotowi byłibyśmy uznać Polskę za „ziemię przeklętą”, skoro ulokowano na niej Auschwitz? A cóż mówić o bezinteresownym chamstwie pamiętnej frazy, że ciało naszego prezydenta zapakowano do „ruskiej trumny”? Cóż mówić o kampanii nienawiści, bredzącej o sztucznej mgle, o wybuchu w samolocie bądź o spisku Tuska z Putinem? Rosjanie tego słuchali i musieli przecierać oczy ze zdumienia. Stereotyp „kiczliwego [butnego] Lacha” objawił się im w całej okazałości.

Najbardziej przykre było zaś to, że odpowiedzialnością za katastrofę rząd Platformy usiłował podzielić się z Rosjanami. A przecież można się było domyślać (i z nagrań coś o tym wiemy), pod jak potężnym stresem podejmowano decyzje na smoleńskim lotnisku. Tych rosyjskich dylematów nie chciano w Polsce przyjąć do wiadomości. I – jak się rzekło – nie chciano przyjąć na siebie odpowiedzialności. *Całkowitej odpowiedzialności*, najwyraźniej godzącej w – jakże fałszywie pojętą – dumę narodową. Rząd Tuska, odrzucający z oburzeniem rosyjski raport MAK, wszedł w buty braci Kaczyńskich i zagrał na nucie antyrosyjskiej.

I był to moment, w którym rządząca Platforma zmieniła dotychczasowe, pojednawcze i pragmatyczne, nastawienie. Najwyraźniej postanowiła rywalizować z PiS na gruncie patriotyzmu – a gdzie znajdziemy lepszy sprawdzian patriotyzmu niż twardość wobec Rosji? Tymczasem antyrosyjskie lęki polskiego społeczeństwa są może emocjonalnie zrozumiałe, ale racjonalnie trudne do obrony. W czasie, gdy Polska jest w NATO, a Rosja nie ma wobec niej politycznych pretensji, lęki te są doprawdy na wyrost i Polsce źle służą. Jeżeli zaś historia uczyniła nas wobec Rosji czujnymi i nadwrażliwymi, to ta sama historia dostarcza przykładów

innych, i nawet te same fakty mogą być interpretowane rozbieżnie.

A skoro już naprawdę pęta nas historia, to może najlepszy powód, by do polityki zagranicznej nie mieszać polityki historycznej, by to dziwaczne pojęcie, które od lat korumpuje nauki historyczne, nie korumpowało dodatkowo działań władz, nie narażało na szwank bezpieczeństwa i stabilności państwa, nie godziło w jego rację stanu. Przecież klimatu zaufania między sąsiadami nie buduje się tak, że nieustannie patrzy się sąsiadowi na ręce. Ufność sąsiada buduje się własną wobec niego ufnością. Spójrzmy na tak dziś idealizowaną II Rzeczpospolitą: to państwo, samo swe istnienie zawdzięczające odparciu w roku 1920 sowieckiego najazdu, miało znacznie większe prawo do nieufności, gdy 12 lat później zawierało pakt o nieagresji ze Stalinem. Jeżeli nawet była to naiwność, to Polska nic na niej nie straciła, a na krótką metę niejedno zyskała.

Gdy więc Platforma i PiS zaczęły licytację na antyrosyjskość, w pełni uprawnione stało się spostrzeżenie prof. Bronisława Łagowskiego: rusofobia stała się składnikiem polskiej polityki państwowej. Trafiła na podatny grunt, bowiem historia, *magistra vitae*, nie została u nas, jak zwykle, przemyślana. W swoim czasie nie doceniono przecież pokojowego charakteru (generalnie rzecz biorąc – porównajmy rozpad Jugosławii!) dokonującego się rozpadu ZSRR. A po kilkunastu, czy dwudziestu latach istoty tego procesu doszczętnie już zapomniano. Symbolem sowieckiego rozpadu stała się sprawa Czeczenii, a ona nie była regułą, lecz raczej wyjątkiem, choć głęboko tragicznym. Zgoda bowiem: metody, jakimi Rosja Putiniowska tłumiała rebelię Czeczenów, były okrutne i obrzydliwe. Czy jednak, potępiając terroryzm rosyjski, nie byliśmy gotowi usprawiedliwiać terroryzmu czeczeńskiego? Sympatia, jaką darzyliśmy czeczeńskich uchodźców, była zrozumiała. Czy jednak nie brała się stąd, że uchodźcy byli antyrosyjscy? Tamci uchodźcy, których wtedy tylu się widziało na ulicach, byli chyba niebezpieczniejsi, niż obecni. Których zresztą nie ma. Po stosunku do obu tych grup widać wyraźnie, że miernikiem akceptowalności Innego jest u nas antyrosyjskość. Choć – oczywiście – czasy też są różne.

Samotność

Jeżeli jednak w roku 2010 kampania antyrosyjska ogarnęła polską prawicę, to po interwencji Rosji na wschodzie Ukrainy w 2014 r., a zwłaszcza po dokonanej wtedy aneksji Krymu, ogarnęła już całe bez mała polskie społeczeństwo. Zgoda, po zakończeniu II wojny światowej żadne z wielkich mocarstw nie przesunęło granic swego państwa. Nawet w 2008 r. Rosja nie włączyła Abchazji i południowej Osetii – zainstalowała tam tylko posłuszne sobie reżimy (co nie znaczy, że reżimy te nie cieszą się poparciem ludności – dzięki Rosji kraje te oderwały się przecież od Gruzji). Ale aneksja – to była nowość, zwłaszcza że w porozumieniu budapeszteńskim z roku 1994 Rosja obiecała strzec integralności terytorialnej Ukrainy. Przywołanie w tym kontekście *Anschlusu* Austrii z 1938 r. doprawdy nie jest publicystyczną przesadą.

A jednak... W polskich mediach ekscytujących się Ukrainą uderzała ta sama jednostronność, co niegdyś

w przypadku Gruzji. Jak tam niewinny był Saakaszwili, tak tu niewinny był Majdan, Prawy Sektor i wszystko, co tylko antyrosyjskie. Uderzało też traktowanie *per non sunt* argumentów, wysuwanych przez ludzi o takim międzynarodowym autorytecie, jak Roman Herzog, czy Michaił Gorbaczow. Opętani rusofobią, byliśmy głusi na sprawiedliwy przecież postulat federalizacji, czy choćby tylko decentralizacji Ukrainy. Nawet nie byliśmy gotowi przyznać, że przewrót na Ukrainie obalił to, co wcześniej współwynegocjował nasz minister Radosław Sikorski.

A przecież żaden Rosjanin nie byłby w stanie pogodzić się z sytuacją, gdyby Ukraina – część historycznej Rusi – wchodziła w skład innego niż Rosja układu geopolitycznego, zwłaszcza – innego układu militarnego. Nie byłby w stanie z tym się pogodzić także ze względu na rozliczne rosyjsko-ukraińskie więzy gospodarcze. Takie nastawienie Rosjan ma prawo nam się nie podobać, bo niewątpliwie ogranicza suwerenność Ukrainy. Ale sama nazwa państwa – Rosja, czyli Ruś – świadczy o istocie rosyjskiej idei państwowej. W myśl tej idei Ukraina może być odrębna, ale zawsze należąca do tak czy inaczej pojętej rosyjskiej strefy wpływów. Cyniczne? Zapewne. Możliwe do zmiany? W tej chwili nie – zwłaszcza po owej „największej katastrofie geopolitycznej”, jak rozpad ZSRR nazwał Władimir Putin. Skoro więc wschodnia część Ukrainy jest rosyjskojęzyczna, lub wręcz rosyjska, to jedyną drogą – powtórzę – było spokojne i stopniowe przeciąganie Ukrainy na Zachód. Dokonywane jednak – jak się rzekło – z Rosją, nie przeciw Rosji.

Tej świadomości polityce polskiej zabrakło. W wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” (1 V 2015) na pytanie „Czy Polska powinna się obawiać rosyjskiej agresji”, prezydent Bronisław Komorowski odpowiadał: „Mamy prawo obawiać się trwającej agresji na Ukrainę. To pogwałcenie prawa międzynarodowego, naruszenie granic etc.”. I gdyby na tym prezydent poprzestał... Niestety, w dalszych partiach wywiadu powiadał on, że „wspieramy zmiany systemu obronnego Ukrainy, by wzmocnić jej zdolności obronne i by lepiej współdziałała z armiami NATO”. Innymi słowy: prezydent Rzeczypospolitej informował świat, że Polska stała się stroną konfliktu ukraińskiego. Konfliktu wewnętrznego, bo przecież ukraiński wschód nie był entuzjastą NATO (jak również Unii Europejskiej). Oraz konfliktu zewnętrznego, bo programującego ten właśnie proces, do którego Rosja – z samej definicji swej państwowości – nie mogła dopuścić. No i było jasne, przed kim ma bronić Ukrainy ten nowy „system obronny”. Czy więc taki wywiad – co z tego, że raczej umiarkowany – mógł nie wzbudzić niepokoju (czujności? przeciwdziałania?) ze strony Rosji.

A czy w dodatku było sensowne odwołanie się przez prezydenta do jego działalności w PRL? „W czasach opozycji antykomunistycznej – mówił – wydawałem pismo ABC – *Adriatyk, Bałtyk, Morze Czarne*, do którego pisali też Ukraińcy. Pismo to było naszym marzeniem o wspólnej wolności. Gdy zostałem prezydentem, kwestia ukraińska stała się dla mnie szczególnie ważna”. Wszak dokonanie tego rodzaju *iunctim* między sytuacją ówczesną a dzisiejszą, wraz z wcześniejszymi wynurzeniami o Ukrainie w kontekście NATO, pozwala domniemywać, że Polska dołoży wszelkich starań,

by rozerwać wytworzone przez stulecia ukraińsko-rosyjskie więzy polityczne, by w miejsce tych więzów powstały więzy inne, NATO-wskie, najchętniej z polskim udziałem.

Można rzec: no i dobrze – Polska też ma z Rosją swoje historyczne powiązania. Ale słowa nie są niewinne – one ingerują w wewnętrzne sprawy Ukrainy. Wypowiadając je, robimy to samo co Rosja, tylko na odwrót. Choć oczywiście – i to różnica zasadnicza – bez użycia siły. Kiedy bowiem takie słowa byłyby usprawiedliwione? Wtedy, gdyby opcja prozachodnia była na całej Ukrainie dominująca. W przeciwnym razie działamy w interesie tylko Ukrainy zachodniej. *Ergo* – w najdalszej konsekwencji – ryzykujemy rozpad tego państwa. Czy na tym więc ma polegać nasza tak gorąco deklarowana miłość do Ukrainy?

Ale i gorzej jeszcze. Bo przecież właśnie na tle naszej polityki wschodniej doszło do pierwszego od lat rozdźwięku między Polską a Europą. Ostrzeżenia przed Rosją, jakie wobec państw europejskich formułował premier Tusk, publiczne łajkanie premiera Węgier za prorosyjskość przez premier Kopacz, informacje, że Auschwitz wyzwolili nie Rosjanie, lecz Ukraińcy przekazana przez ministra Schetynę – wszystko to przypinało nam łatkę rusofobów, nie tylko niezdolnych do zapobiegania niebezpiecznym scenariuszom, ale nie umiejących wziąć odpowiedzialności za własne słowa i własne działania. Bilans polityki wschodniej drugiego okresu (lata 2010-2015) rządów Platformy Obywatelskiej był więc pierwszym kamyczkiem na drodze do polskiej izolacji. W jakim zakresie taka polityka była suwerennym działaniem tego ugrupowania, w jakim dziełstwem prometejskich tendencji dawnej „Solidarności”, w jakim wreszcie wynikiem społecznego nacisku, zwłaszcza paraliżującego strachu przed patriotycznym szantażem ze strony PiS – tego nigdy do końca nie będziemy wiedzieć.

Tak czy inaczej jednak szliśmy w samotność. Polityka proukraińska (raczej pro-zachodnio-ukraińska) poniosła fiasko w momencie, gdy Polska przestała być zapraszana do wspólnych z Niemcami i Francją negocjacji z Rosją. Z Ukrainą zapracowaliśmy więc na dystans, za to z Rosją na wrogość. Z Białorusią stosunki mamy od dawna zamrożone – czy podczas rokowań w Mińsku nie zazdrościliśmy roli mediatora Aleksandrowi Łukaszenko? Poróżniliśmy się nawet z Litwą – członkiem NATO i Unii – bo zakładnikiem stosunków polsko-litewskich uczyniliśmy polską mniejszość w tym kraju. Naszą politykę wobec Rosji popierały wprawdzie Niemcy, ale już nie Austria, nie Czechy, nie Słowacja i nie Węgry. Rządy Platformy, przy wszelkich, naprawdę wielkich, zasługach dla kraju, przy tak z początku rozsądnej, mądrej polityce zagranicznej doprowadziły do wepchnięcia polityki wschodniej w ślepą uliczkę obaw tyleż słusznych co irracjonalnych i przesadzonych. Polska ze swą rusofobią zaczęła być samotna w Europie, lecz przynajmniej zachowała jeszcze prestiż na Zachodzie – w NATO i Unii Europejskiej. PiS zmarł już wszystko.

Przeciw światu

Polityka wschodnia tego ugrupowania wymyka się wszelkim próbom opisu. Całkiem zresztą podobnie jak

cała jego polityka – zarówno zewnętrzna, jak wewnętrzna. Jeżeli bowiem będzie kontynuowany dotychczasowy ostry kurs antyeuropejski (i zarazem antyamerykański, czego w wypowiedziach ministra Macierewicza mieliśmy już przedsmak), to jedyną alternatywą mogłaby stać się Rosja. Jak wiadomo, flirt z Rosją ponad NATO i UE uprawia premier Węgier, Victor Orban, nasz największy dzisiejszy sojusznik. W przypadku Kaczyńskiego taka opcja wydaje się na razie wykluczona. Ale u tego polityka każda wolta jest możliwa – nieraz już mieliśmy tego dowody.

Jedyny teoretycznie racjonalny projekt wyłaniający się obecnie z enuncjacji rządzących, to „Międzymorze”. Mógłby on rzeczywiście być sensowny, jednak tylko dopóty, dopóki nie byłby pomysłem na utworzenie w Unii Europejskiej jakiejś podgrupy opozycyjnej wobec Brukseli. Jeżeli jednak nawet tak by się nie stało (a plan jest chyba taki, by właśnie tak się stało), to przecież państwa owego „Międzymorza” mają interesy rozbieżne. A to uwidacznia się najlepiej właśnie w kwestii stosunku do Ukrainy i Rosji. Stawka rządzących na „Międzymorze” byłaby więc równoznaczna z abdykacją z polityki wschodniej. Abdykacją absolutną, bo Polska w „Międzymorzu” żadnej samodzielnej polityki wschodniej prowadzić nie będzie w stanie. Gdyby zaczęła – skonfliktowałaby się z większością tych państw. One mają z Rosją swoje interesy.

Ale i PiS-owską walkę o „polskie interesy” można by ocenić pozytywnie. Taka walka jednak – to tylko deklaracje nieustannie kłócące się z realiami. Polskie interesy to dziś głęboka, zapewniająca długotrwałe bezpieczeństwo, integracja europejska. Wszystko co od niej odciąga, co ją rozwadnia, co ją wewnętrznie różnicuje tworząc dodatkowe wektory biegnące w rozmaitych kierunkach, jest przeciw temu interesowi. Zdawałoby się, że powinno to rozumieć nawet dziecko. Ale dziecko, rozszlószone na matkę, nieraz na złość matce odmraża sobie uszy.

Tak więc w sytuacji prawdopodobnej iluzoryczności „Międzymorza” grozi nam wariant, w którym Polska będzie w Europie wolnym elektronem. Czyli że w rubrykach „polityka zachodnia” i „polityka wschodnia” konsekwentnie będziemy wpisywać słowo „brak”. Jeżeli jednak słowo „brak” zmienimy na „wrak”, jeżeli więc Rosja – umiejętnie grając Polską – odda nam wrak Tupolewa, to będzie można ogłosić triumf niezłomnej, godnościowej polityki, do której poprzednicy, z krwią na rękach, byli w oczywisty sposób niezdolni. Wszak już teraz można odnotować lizusowskie wobec Rosji gesty ministra Waszczykowskiego, w rodzaju tej słynnej gafy, że dany problem poruszymy, ale tylko, gdy „Rosjanie na to pozwolą”. Polska wstała więc z kolan? No, zależy przed kim.

„Z Rosją – pisał w cytowanym artykule Stanisław Stomma – nie mamy żadnych spraw spornych, ale można sztucznie tworzyć sytuacje konfliktowe, jeśli będziemy ingerować w sprawy sporne poza naszą granicą wschodnią”. Słowa wielkiego, tak niestęśnie zapomnianego polityka brzmią dziś jak groźne memento. Czas zdefiniować na nowo polską rację stanu. I być mądrymi – choćby i po szkodzie.

ANDRZEJ KURZ

O POLSKIEJ RACJI STANU I MICIE PATRIOTYZMU

Nie potrafiłbym wiele dodać do tego, co o genezie pojęcia „racja stanu” będącego kalką francuskiej *raison d'état* i o jej związkach z narodem, interesem narodowym i z państwem powiedział Jerzy J. Wiatr w swej wydanej w r. 2004 rozprawie *Refleksje o polskim interesie narodowym*. Zwłaszcza że jako uparty frankofon nie doceniam amerykańskiej myśli politycznej i socjologicznej w tej dziedzinie. Chcę tylko podkreślić, że przez pojęcie osobiście zawężone „polskiej racji stanu” (choć nie zawężone do polskiego interesu narodowego, a nawet wręcz odwrotnie) rozumiem interes Polski, a raczej system jej interesów jako nadrzędny, jako szczególnego rodzaju dobro wspólne polskich obywateli i instytucji.

Do idei racji stanu odwoływaliśmy się w przeszłości Polski zazwyczaj w sytuacji niepewności czy wręcz zagrożenia suwerenności wynikającego najczęściej z niekorzystnego układu sił i wydarzeń międzynarodowych, połączonego z kryzysową, niebezpieczną sytuacją wewnątrz naszego kraju.

Polska jako państwo właśnie, ale także jako naród i społeczeństwo jest od wieków ogromnie wrażliwa na sytuację międzynarodową, często dla nas – z przyczyn geopolitycznych, ale nie tylko z tego powodu – trudną i niebezpieczną. Warunkiem bowiem niezagrożonego istnienia Polski i pomyślnego jej rozwoju było równoczesne – występujące w działaniach struktur państwa, jego władzy i sił politycznych, ale także w całym społeczeństwie obywatelskim – umiejętność orientowania się w dotyczącej nas polityce międzynarodowej oraz podstawowa zgoda wewnętrzna przy określaniu i prowadzeniu polityki na tym polu. A doświadczenie katastrof państwa i utraty niepodległości czy zagrożenia szans rozwojowych i wręcz narodowego bytu, a także doświadczenie ograniczonej suwerenności, gromadziły od XVIII wieku.

Niepodległość więc państwowa Polski i w miarę pomyślny rozwój jej społeczeństwa zależały od sprzyjającej temu sytuacji międzynarodowej i od gotowości podstawowych sił społeczeństwa do wykorzystania tej sytuacji

za pomocą własnego wysiłku, w którym dominowało zrozumienie interesu wspólnego – racji stanu właśnie.

Owocowało to najwyraźniej w pozytywnych kulminacjach historii Polski XX wieku, a mianowicie w latach 1918-1920, 1944-1945, 1956, 1980-1981, czy w ogólnonarodowych referendach – w roku 1997 w sprawie konstytucji Rzeczypospolitej i w roku 2003 w sprawie przystąpienia Polski do Unii Europejskiej.

Były to więc okresy, w których występowała zbieżność:

- pomyślnego dla Polski układu sił i działań w sytuacji międzynarodowej,
- szczególnego przygotowania Polski, jej wewnętrznych sił politycznych i społecznych do możliwie zgodnego wykorzystania tych, wynikających z sytuacji międzynarodowych, szans.

Później już różni politycy i polityczne ugrupowania mogli byli chwalić się wyłącznością swych zasług i głosić moralne prawo tylko jednego obozu politycznego do sprawowania władzy czy też jego monopolu na prawdę historyczną i patriotyzm. Ale właśnie w czasie, kiedy sprawy najważniejsze dla najnowszej historii Polski się decydowały, kiedy urzeczywistniała się polska racja stanu, dochodziło do niezbędnych ograniczeń i samoo ograniczeń sił politycznych na rzecz ich jedności lub taka jedność była narzucana. Racja stanu przejawiała się więc w szczególnego rodzaju kompromisie politycznym i stanie równowagi między interesem grup zmierzających do władzy, ale zawsze stosownie do gry sił międzynarodowych.

I tak w latach 1918-1920 nastąpiło podstawowe porozumienie i swego rodzaju równowaga sił politycznych: piłsudczyków i socjalistów z jednej strony oraz narodowej demokracji ze strony drugiej, a także ruchu politycznego chłopów dojrzewających wówczas właśnie do świadomości państwowej. Widać to było w trudnych procesach budowania polskiej państwowości i jednoczenia zaborów, w działaniach na konferencji wersalskiej i w walce

z bolszewickim najazdem. I wiązało się z autentycznym autorytetem przywódców takich jak Józef Piłsudski, Roman Dmowski, Ignacy Daszyński, Wincenty Witos, Wojciech Korfanty.

W roku 1945 doszło do wąskiego porozumienia sił ludowych – PPR, PPS i PSL w sprawie wielkich reform społeczno-gospodarczych oraz polskiego stanowiska na konferencji poczdamskiej. Do tego dołączało się sprzyjające osiągnięciu bardzo kruchego spokoju społecznego i uznaniu jaltańsko-poczdamskich decyzji wielkich mocarstw stanowisko ówczesnej rzeczywistej głowy polskiego episkopatu – krakowskiego metropolity Adama Stefana Sapiehy, a także politycznej reprezentacji podziemia – Rady Jedności Narodowej. Równocześnie militarni zwycięzcy stosowali brutalną przemoc wobec sił antysowieckich i antykomunistycznych.

Treściami porozumień podstawowych sił politycznych Polski i nurtów obywatelskiej odpowiedzialności były: odbudowa kraju oraz biologicznego i psychicznego życia Polaków po potwornym wojennym spustoszeniu substancji materialnej i moralnej; zagospodarowanie przynależnych Polsce w rezultacie jej udziału w zwycięstwie wojennym i w rekompensacie za tereny utracone na rzecz Związku Radzieckiego ziem na zachodzie i północy; działania na rzecz pokoju społecznego i zgoda na planowy rozwój gospodarczy na gruncie radykalnej reformy rolnej i współistnienia trzech sektorów własności – państwowego, prywatnego i spółdzielczego; realizowanie przyjętego z największym entuzjazmem powszechnego, demokratycznego dostępu do oświaty i kultury, i ich ogromnego rozwoju, związanego ze społeczno-kulturalnym awansem mas ludowych.

W okresie Października'56, kiedy idea polskiej racji stanu została odnowiona i w sposób szczególnie intensywny określona w powszechnej dyskusji, powstało podstawowe porozumienie wewnątrz partii dominującej – skupionej wokół Władysława Gomułki i związanego z nim patriotycznego mitu oraz przejętej od PPS idei polskiej drogi do socjalizmu – z siłami politycznymi wywodzącymi się z obozu londyńskiego czasu wojny i z Kościołem kierowanym silną ręką prymasa Wyszyńskiego. Podobne rozumienie polskiej racji stanu wykazywały w tym okresie również ośrodki emigracji skupione wokół „Kultury” Jerzego Giedroycia i Wolnej Europy Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Nawet polityczne grupy kontynuujące nieuznawany międzynarodowo legalizm rządu londyńskiego nawoływały – w związku z krwawo stłumionym buntem robotniczym w Poznaniu – do zachowania spokoju, przypominając tragiczne a wciąż żywe, bo dotyczące bieżącego pokolenia i mocno tkwiące w narodowej pamięci (a nie w manipulowanym później micie) skutki Powstania Warszawskiego.

Działo się to wówczas w sytuacji międzynarodowej sprzyjającej polskiej szansie i decydującej o jej możliwościach. Tworzył ją mianowicie głęboki kryzys wewnętrzny Związku Radzieckiego i początek jego destalinizacji, ujawnienie w tej sytuacji samodzielności polityki Chińskiej Republiki Ludowej oraz określenie Polski jako oddzielnego podmiotu w polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych (dotychczas bowiem uznawały Polskę za integralny, ale podrzędny teren swych działań wobec Związku Radzieckiego). Do tego doszło przerwanie militarnego sojuszu Stanów Zjednoczonych, Anglii, Francji i Izraela w sprawie Kanału Sueskiego i szczególnie waż-

ny dla Polski przykład tragicznego osamotnienia Węgrów w ich powstaniu przeciw radzieckiemu i komunistycznemu panowaniu.

W roku 1989 szansa pełnego powrotu Polski do suwerenności pojawiła się w sytuacji międzynarodowej, która charakteryzowała się w szczególności procesem rozpadu Związku Radzieckiego i skłonnością tego mocarstwa do rezygnacji z imperialnego panowania nad systemem państw tzw. realnego socjalizmu. W wielkiej mierze wpłynęła na to próba reform związanych z nazwiskiem Michaiła Gorbaczowa. Towarzyszyły temu procesowi, a nieraz go wyprzedzały i pobudzały głębokie przemiany wewnętrzne w Polsce po sierpniu 1981, związane szczególnie z ruchem „Solidarności” oraz ożywieniem nurtu liberalnego w PZPR i z narastającym kryzysem w gospodarce i systemie władzy. Od początku dekady lat 70. nastąpił też zwrot polskiej polityki i gospodarki ku Zachodowi. Mógł więc nastąpić proces pogłębiającego się porozumienia nurtu liberalnego w PZPR (reprezentowanego w szczególności przez Mieczysława Rakowskiego, a akceptowanego przez Wojciecha Jaruzelskiego) i nurtu odpowiedzialności za państwo w szeregach opozycji, a także Kościoła. Nie przeszkodził temu w sposób zasadniczy krótkotrwały stan wojenny, którego wprowadzenie przez Wojciecha Jaruzelskiego wypełniało przecież także kryteria polskiej racji stanu, potwierdzało bowiem dążenie władzy państwowej do samodzielności i niezależności od Związku Radzieckiego i państw tzw. obozu socjalizmu, choć zarazem pociągało wielkie koszty moralne rozbicia społeczeństwa, osłabienia w nim nurtu obywatelskiego.

W rezultacie aktów samoograniczania się sił politycznych dotychczasowej władzy i opozycji po zniesieniu stanu wojennego i ich kompromisu przy Okrągłym Stole rozwinęła się zgodna polityka międzynarodowa prezydentury Wojciecha Jaruzelskiego, Lecha Wałęsy i Aleksandra Kwaśniewskiego oraz premierów – Tadeusza Mazowieckiego i większości jego następców. Jej rezultatem było wyprowadzenie wojsk radzieckich stacjonujących w Polsce i wejście Polski do NATO i Unii Europejskiej. Doszły do tego tak znaczące inicjatywy polityczne jak zainaugurowana w roku 1991 działalność Grupy Wyszehradzkiej – regionalnej współpracy Polski, Węgier i Czechosłowacji (następnie Czech i Słowacji) oraz również roku 1991 zapoczątkowana pod nazwą Trójkąta Weimarskiego szczególna forma współpracy Francji, Niemiec i Polski, mająca umocnić integrację Polski i krajów Europy Środkowej z Europą i Unią Europejską.

Potwierdziły tę politykę i przyjęcie założenia, że dobro wspólne i nadrzędne Polaków przybiera postać międzynarodowo uznanych praw człowieka – ogólnonarodowe referenda: w roku 1997 w sprawie konstytucji Rzeczypospolitej i w roku 2003 w sprawie przystąpienia Polski do Unii Europejskiej.

Powstała więc sytuacja, w której polska racja stanu przybrała nową jakość, a nawet – wydawało się – że znikła jako problem dla przyszłych pokoleń niepewność co do państwowej suwerenności i narodowej tożsamości.

Tymczasem dzisiaj problem ten zdaje się znów powracać, wywoływany nie tylko przez światowy kryzys gospodarczy oraz kryzys polityczny w Europie i samej Unii Europejskiej, lecz tworzony głównie przez sily polityczne wewnątrz Polski, ich wracające do złej przeszłości rozumienie suwerenności państwa i tożsamości narodowej

Polaków. W bezwzględnej walce o władzę siły polityczne prawicy i Kościoła katolickiego sięgają po stare lęki i mity. Kreują tzw. politykę historyczną i manipulują pamięcią historyczną pokoleń, w szczególności zaś ideą patriotyzmu.

Narastanie społecznych frustracji, lęków i narodowych kompleksów, próby antyeuropejskiego separatyzmu wzmacniane przez podobne kryzysowe i renacjonalistyczne procesy w innych państwach Europy, mogą w szczególności doprowadzić do osamotnienia Polski w konflikcie z wielkimi jej sąsiadami, uczynienia jej elementem dysfunkcyjnym w tej części kontynentu i do powrotu starego, kiedyś nierozwiązywalnego dylematu „między Niemcami i Rosją”.

Patriotyczne mity tylko osłabiają zdolność postrzegania i racjonalnego rozwiązywania polskich problemów rozwojowych. U podstaw tkwi podział: my i oni, swoi i obcy.

Barbara Stanosz w wywiadzie udzielonym „Przeглядowi” w 2006 roku powiedziała: „o ile religia służy interesom instytucji wyznaniowej, o tyle patriotyzm interesom rządzących, zwłaszcza w czasach, gdy nie ma zagrożenia bytu narodowego”. Hasło patriotyzmu jest rzeczywiście zawsze przedmiotem zawłaszczania i manipulacji ze strony rządzących, chyba że zagrożenie bytu narodowego czy państwowego ideą patriotyzmu obiektywizuje i wynosi tam, gdzie pojawia się dobro wspólne.

Mit, a niektórzy mówią, że tylko i wyłącznie mit łączy i porusza masy ludzkie. Jest postacią masowej świadomości zasadzającej się na nacechowanych emocjonalnie stereotypach, uproszczonych wyobrażeniach o naszym i ich interesie, wyobrażeniach, w których doświadczenie cząstkowe i prawda cząstkowa rozciąga się na całość zjawiska, całość zbiorowego doświadczenia. I w ten sposób staje się całą nieprawdą. Pożywką dla mitu są zbiorowe lęki i stany frustracyjne – zawiedzione nadzieje prowadzące do agresji lub apatii.

Nie zamierzam oczywiście wchodzić na teren rozważań i klasycznych już tez uczonych filozofów ani profetycznych wizji pisarzy podejmujących problematykę mitów. Charakterystyczne zresztą, że często są to twórcy poruszający się zarazem na obszarze naukowego poznania i sztuki, jak np. Roland Barthes czy Leszek Kołakowski.

Przywołam jedynie kilka polskich rozważań o ojczyźnie i patriotyzmie, które uważam za ważne dla każdego myślącego Polaka, a powstałych właśnie w okresie sytuacji krytycznej, frustracyjnego kryzysu w epokach, które przeżyłem.

Muszę więc wspomnieć o przekornych myślach Witolda Gombrowicza w *Trans-Atlantyku* spisanych po przekraczającym wszystkie dotychczasowe doświadczenia wstrząsie II wojny światowej. „Bronię Polaków przed Polską” – deklaruje pisarz. (Nawiasem mówiąc, jednym z najważniejszych sukcesów mojego życia było pełne wydanie *Dzieł* Witolda Gombrowicza w nakładzie prawie 200-tysięcznym każdego tomu pod koniec lat 80. minionego wieku, czyli pod koniec Polski Ludowej).

Drugim utworem, na który chcę wskazać, jest esej Jana Józefa Lipskiego *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy* opatrzony podtytułem *O megalomanii narodowej i ksenofobii Polaków*, a odnoszący się do doświadczeń kryzysu

moralnego i politycznego roku 1968 (zwłaszcza na lewicy musimy o nim pamiętać) i brzmiący jak ostrzeżenie w roku 1981, kiedy został ogłoszony. Przytoczę tylko jedną z autorskich sentencji: „Miłość do wszystkiego, co polskie – to czysta formuła narodowej i patriotycznej głupoty”. (Ale gorzka ironia, choć jakże trafna, jest narzędziem często przeciwnie skutecznym w stosunku do środowisk słabiej wykształconych i ociężałych kulturalnie. Świadczy o tym choćby przewaga w narodowym micie genialnego prowincjusza – Adama Mickiewicza nad genialnym intelektem Juliusza Słowackiego.)

I wreszcie dzieło trzecie – bardzo różniące się metodologicznie od eseju J.J. Lipskiego, – podnosząca myśl o patriotyzmie na poziom rozważań zrationalizowanych rozprawa Andrzeja Walickiego *Trzy patriotyzmy*.

Przypomnijmy, że Andrzej Walicki, badając dzieje myśli polskiej, odnajduje w niej trzy koncepcje polskiego patriotyzmu, współistniejące ze sobą i nakładające się na siebie w przeszłości i we współczesności, a mianowicie:

1. „Wierność woli narodowej jako dziedzictwo demokracji szlacheckiej z jej apologetyką wolności dochodzącej do anarchii i z idealizacją przeszłości, a dziś przejawiającą się jako idea wolności pozytywnej – publicznej, republikańsko-demokratycznej i wolności negatywnej – prywatnej, liberalno-indywidualnej;

2. Wierność idei narodowej jako dziedzictwo romantyzmu, dla którego koniec państwa oznaczał koniec narodu, z której wypływały misje zbawicielskie, mesjanizmy i prometeizmy, a także wciąż aktualne dylematy wierności i zdrady;

3. Obrona interesu narodowego jako dziedzictwo myśli endecji, ale zawierająca się w ważnych współcześnie i wcale nie postendeckich dylematach realizmu politycznego, gdzie wolność obywatelska jest podporządkowana dobru narodu (choć niekoniecznie woli większości), gdzie polityka jest grą”.

Idea racji stanu również oczywiście bywa przedmiotem manipulacji ze strony aktualnej władzy, odwoływanie się bowiem do niej jest argumentem, a nawet podstawą do ograniczania niektórych wolności, czasem zresztą aby skutecznie dostosowywać politykę państwa do międzynarodowych uwarunkowań i szans.

Ale nie osłabia to wartości stanowiska głoszonego konsekwentnie przez „Kuźnicę” w ciągu prawie 42 lat jej istnienia, że nie widać w Polsce historycznie pozytywnych skutków obywatelskiego nieposłuszeństwa. Deficytową wartością jest natomiast od dziesięcioleci obywatelska odpowiedzialność. Odwołam się tutaj szczególnie do opinii takich bliskich „Kuźnicy”, a zawsze niepokornych wyślicieli i obywateli jak Karol Modzelewski, Jacek Kuroń czy Bronisław Łagowski.

A tożsamość narodowa Polaków wyraża się i umacnia przede wszystkim w narodowej kulturze i jej otwartości, czyli związkach i przenikaniach z kulturą innych narodów. I zasadza się na czynniku twórczości i twórczego uczestnictwa, a nie na konsumpcji.

ANDRZEJ KURZ

maj 2016 r.

(wykorzystałem własne artykuły opublikowane w „Przeглядzie Socjalistycznym” w r. 2006 i w „Annales Universitatis Paedagogicae Cracoviensis” w r. 2011)

LECH M. NIJAKOWSKI

EUROPEJSKIE KOZŁY OFIARNE

– ORGANIZACJE SKRAJNE A MNIEJSZOŚCI

Kryzys migracyjny doprowadził nie tylko do eksplozywnego szerzenia się szowinistycznego dyskursu, ale także do podejmowania działań wymierzonych w azylantów, migrantów i wszystkich postrzeganych jako obcych. Nie jest to jednak zjawisko nowe, choć jego skala musi zaskakiwać i przerażać. Ujawnia się przy tym zarówno w krajach z dużą liczbą imigrantów, często zamieszkujących nową ojczyznę od pokoleń, jak i w państwach, gdzie odsetek imigrantów jest znikomy¹.

Mowa nienawiści i akcje wymierzone w mniejszości są od dawna tematem publicznej debaty. Obecnie obserwujemy jej silne upolitycznienie. Stanowiska wobec słownej i fizycznej agresji pokrywają się niejednokrotnie z partyjną przynależnością. Utrudnia to chłodną analizę, tym bardziej że często wypowiedzi naukowców mieszają się z wystąpieniami działaczy społecznych, swobodnie traktujących dane ilościowe czy szczegółowe klasyfikacje zjawisk.

Kryzys migracyjny zbiegł się z objęciem rządów przez Prawo i Sprawiedliwość, co wytworzyło specyficzny dyskurs publiczny w Polsce. Wypowiedzi na temat wojennej przeszłości, nowej dyplomacji, zasad polityki historycznej czy zakresu ochrony praw człowieka i obywatela mieszają się i płynnie przechodzą w polityczne oskarżenia. Niejednokrotnie jedynym wspólnym mianownikiem tej narracji jest opcja światopoglądowa dyskutanta. Ten rytualny chaos, służący podtrzymywaniu i tworzeniu nowych dystynkcji politycznych, stanowi wielkie utrudnienie dla wszystkich starających się wypracować optymalne rozwiązania instytucjonalne.

Polska rzeczywistość dostarcza zresztą nieustannie nowych impulsów do sporów. Wystarczy sięgnąć do ostatnich doniesień medialnych. Przywołajmy tylko jeden przykład: „Prokuratura Okręgowa w Białymstoku umorzyła dochodzenie związane z zorganizowanymi w kwietniu w tym mieście obchodami 82. rocznicy powstania ONR. Nie znalazła podstaw do uznania, iż doszło wtedy do popełnienia tzw. przestępstw z nienawi-

ści; podobnie oceniono kazanie ks. Jacka Międlara” – donosi Onet (29.09). „Nie każde wyrażanie dezaprobaty jest wzywaniem do nienawiści” – podkreślił prokurator w uzasadnieniu decyzji o umorzeniu dochodzenia. Nie trzeba dodawać, że takie stanowisko wzbudziło silne kontrowersje i doprowadziło do pełnego emocji sporu.

W artykule tym postaram się zmierzyć z tytułowym problemem, dystansując się od bieżącej dyskusji polityków i publicystów. Tylko bowiem rekonstruując obiektywne mechanizmy, które prowadzą do agresji, możemy podjąć skuteczne działania wymierzone w mowę nienawiści i radykalizm szowinistycznych środowisk. Nie zawsze bowiem drastyczne posunięcia wymierzone w zło są najlepszą drogą do społecznego pokoju.

Organizacje skrajne

Organizacje skrajne są dziś traktowane w Europie ze szczególnym niepokojem. Powszechnie pamięta się lekceważenie, z jakim spotykały się ruchy faszystowskie w okresie międzywojennym. Uznając ich radykalizm za polityczny folklor oraz zakładając, że będzie je można kontrolować, elity Włoch czy Niemiec uchyliły nieświadomie drzwi do koszmaru II wojny światowej. Nowy porządek prawny miał po wojnie przeciwdziałać wzrastaniu radykałów w siłę. Analogie historyczne nie mogą jednak zastępować współczesnej analizy socjologicznej. Sytuacja w Europie zmieniła się znacząco. Choć przestępstwa z nienawiści nadal występują, kolejne grupy są brane na celownik ugrupowań radykalnych², to głęboka zmiana świadomości społecznej, porządku instytucjonalnego, rozwój nowych technologii komunikacyjnych czy przemiany tożsamości grupowych wymagają przyjęcia odmiennej perspektywy. Nawet jeśli prawdopodobieństwo pojawienia się nowych ustrojów faszystowskich jest przez wielu badaczy uznawane za znikome³, to ugrupowania radykalne sta-

¹ W artykule wykorzystałem fragmenty ekspertyzy opracowanej w 2013 roku dla Stowarzyszenia przeciw Antysemityzmowi i Ksenofobii „Otwarta Rzeczpospolita”.

² *Fundamental rights: challenges and achievements in 2011. Annual Report 2011*, European Union Agency for Fundamental Rights, Publications Office of the European Union, Luxembourg 2012.

³ M. Mann, *Fascists*, Cambridge University Press, Cambridge 2006, s. 365-375.

nowią poważne wyzwanie dla porządku liberalno-demokratycznego.

Na wstępie zdefiniowania wymaga jednak pojęcie „przestępstw z nienawiści”. Jest to bardzo trudne – nadal brakuje powszechnie akceptowanej definicji, która stałaby się podstawą spójnej infrastruktury gromadzenia danych i ich przetwarzania⁴. Posłużmy się w tym miejscu definicją roboczą przyjętą przez Biuro Instytucji Demokratycznych i Praw Człowieka Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (ODIHR – OBWE).

Przestępstwa z nienawiści to:

(A) Każde przestępstwo natury kryminalnej, włączając w to przestępstwa wymierzone w ludzi i ich mienie, w wyniku którego ofiara, lokal, lub inny cel przestępstwa, są dobierane ze względu na ich faktyczne bądź domniemane powiązanie, związek, przynależność, członkostwo lub udzielanie wsparcia grupie zdefiniowanej w punkcie B.

(B) Grupa może być wyróżniana na podstawie cech charakterystycznych wspólnych dla jej członków, takich jak faktyczna lub domniemana rasa, narodowość lub pochodzenie etniczne, język, kolor skóry, religia, płeć, wiek, niepełnosprawność fizyczna lub psychiczna, orientacja seksualna lub inne podobne cechy.

Pierwszym problemem jest wskazanie konkretnych ruchów i organizacji skrajnych. Jeśli mamy do czynienia z nielegalnymi organizacjami, które uprawiają terror kryminalny lub wręcz dopuszczają się aktów terroru – sprawa jest prosta. Przykładem może być rozbita w Niemczech organizacja Nationalsozialistischer Untergrund (NSU – Narodowosocjalistyczne Podziemie)⁵. Jednak w przypadku, gdy mamy do czynienia z zarejestrowanymi organizacjami (stowarzyszeniami, fundacjami, partiami politycznymi) – sprawa jest bardziej złożona. Podmioty te zostały zarejestrowane w ramach określonej procedury prawnej oraz podlegają nadzorowi i kontroli. Jeśli program ich działania mieści się w granicach prawa, to wyznawane przez ich członków idee – nawet jeśli z różnych powodów oburzające – stanowią element demokratycznego wielogłosu. W takim przypadku również diagnoza czy krytyka napotyka granice związane choćby z ochroną przed pomówieniem, zaś postulaty delegalizacji takich podmiotów wiążą się z konfliktem wartości konstytucyjnych.

Przyjrzyjmy się bliżej temu zagadnieniu. Przykładem mogą być kontrowersje związane z próbą delegalizacji Narodowodemokratycznej Partii Niemiec (NPD). Mimo starania rządu Federalny Trybunał Konstytucyjny umorzył w 2003 roku postępowanie o delegalizację partii wskazując na to, że w zbyt dużym stopniu formy aktywności partii określali agenci Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji. 5 grudnia 2012 roku ministrowie spraw wewnętrznych poszczególnych landów podjęli decyzję o podjęciu próby ponownej delegalizacji NPD. Rozwiązanie to budziło jednak uzasadnione zastrzeżenia. Marcin Tujdowski zauważył: „Można przyjąć, że wraz ze zwiększaniem się liczby polskich obywateli osiedlających się po zachodniej stronie granicy i tym

samym intensyfikacją polskiej obecności w społecznym krajobrazie wschodnich landów [...] antypolskie tendencje nasila się [...] Istnieje zatem ryzyko, że delegalizacja Narodowodemokratycznej Partii Niemiec, a więc likwidacja kontrolowalnej struktury politycznej mogłaby skłonić byłych członków partii i sympatyków do bardziej radykalnej działalności zagrażającej bezpieczeństwu polskich obywateli i ich własności”⁶. Partia głosząca nawet radykalne hasła jest formą kontroli środowisk, które w przeciwnym razie mogłyby szukać samorealizacji w nielegalnych formach działania.

Ponadto skupienie się na organizacjach skrajnych usuwa z pola widzenia bardziej rozproszone formy przemocy. Nie chodzi tylko o nieformalne grupy, które mogą dopuszczać się bardzo poważnych przestępstw – członkowie NSU zamordowali dziewięciu imigrantów (ośmiu Turków i Greka) oraz policjantkę – ale również o mniej lub bardziej spontaniczne działania niezorganizowanych osób, w tym często młodzieży. Osoby takie mogą być popychane do działania nagłym impulsem, inspirowane kulturą popularną i dyskusjami w internecie.

Zanim przejdziemy do dalszej analizy, konieczne jest zatem skupienie się na społecznych i psychologicznych źródłach przemocy wymierzonej w mniejszości.

Społeczne i psychologiczne mechanizmy przemocy

Aby zrozumieć etiologię aktów agresji wymierzonych w osoby i grupy różniące się pod względem „rasy”, etniczności, narodowości lub wyznania, należy pamiętać o różnicowaniu sprawców na odmienne kategorie. W każdej z tych kategorii proces mobilizacji do agresywnego działania przebiega odmiennie, nawet jeśli możemy wskazać pewne ogólne prawidłowości psychologiczne i społeczne, dotyczące wszystkich sprawców.

Szczegółne zagrożenie dla bezpieczeństwa i porządku publicznego stanowią radykalne grupy polityczne i subkulturowe, które starają się realizować program uderzający w podstawy ładu aksjonormatywnego społeczeństwa. W zakresie interesującej nas problematyki chodzi przede wszystkim o ugrupowania neonazistowskie i neofaszystowskie, które traktują pewne mniejszości narodowe i etniczne, imigrantów oraz osoby o odmiennym kolorze skóry jako zagrożenie dla wspólnoty narodowej i dominacji „białej rasy”. Przykładem może być organizacja Combat 18/Krew i Honor, uznawana w niektórych krajach za organizację terrorystyczną i oskarżana o zamachy bombowe i rozboje. W Polsce organizacja ta ogranicza się – wedle dostępnych mi danych – do akcji propagandowych. Prowadzi na przykład Redwatch, do którego dostęp w sieci jest bezproblemowy. Jak czytamy na stronie (pisownia oryginalna): „Celem Redwatch Polska jest zbieranie wszelkich możliwych informacji (zdjęcia, adresy, nr telefonów, nr tablic rejestracyjnych samochodów etc.) na temat osób trudniących się działalnością antyfaszystowską, antyrasistowską, kolorowych imigrantów, działaczy lewackich stowarzyszeń i wszelkiego rodzaju sympatyków i aktywistów szeroko rozumianego lobby homoseksualnego oraz pedofili. Poprzez Redwatch chcemy uświadomić środowiskom, które są nam przeciwnie, że to, co wie-

4 Por. D.P. Green, *Hate Crime: An Emergent Research Agenda*, „Annual Review of Sociology” 2001, Vol. 27, s. 479-504.

5 Por. M. Tomczak, *Radykalizm prawicowy w RFN*, „Biuletyn Instytutu Zachodniego” 2012, nr 72.

6 Por. M. Tujdowski, *Próba delegalizacji skrajnie prawicowej Narodowodemokratycznej Partii Niemiec (NPD) - polski punkt widzenia*, „Biuletyn Instytutu Zachodniego” 2012, nr 112.

dążą na nasz temat, jest niczym w stosunku do wiedzy, jaką posiadamy o nich”.

W przypadku tego typu sprawców kluczowe znaczenie mają wewnętrzne procesy organizacyjne. Osoba zainteresowana członkostwem w radykalnej organizacji może nie być gotowa do aktów agresji i nie podzielać wielu antymniejszościowych haseł. Motywy przystąpienia mogą być bardzo różne, od towarzyskich (zachęcający przykład członków grupy odniesienia) po polityczne. Kluczowe jest jednak to, że cele zbiorowych działań wyznaczane są przez kierownictwo grupy, które deleguje zadania na członków. W organizacjach tego typu występuje specyficzna subkultura, często związana z gloryfikacją przemocy, do której nowy członek stopniowo się socjalizuje. Z czasem zwiększa się oddanie organizacji. Dla wyzwalań działań agresywnych wpływ czynników sytuacyjnych jest równie ważny jak cechy osobowościowe (dyspozycyjne) sprawców. W tej sytuacji osoba poddając się sile autorytetu liderów i odczuwając presję, aby zachować lojalność wobec innych członków grupy oraz dowieść pozytywnego autostereotypu (np. odwagi, bezkompromisowości) może podejmować się działań przestępczych, których nie dopuściłaby się w innych wypadkach. Szczególnie niebezpieczne jest to, że nawet nieliczne grono osób zorganizowane w ugrupowania skrajne może dopuścić się poważnych przestępstw na dużym obszarze. Co ważne, do tego typu organizacji przystępują nie tylko osoby o niskich zasobach kapitału kulturowego i ekonomicznego – na przykład sfrustrowana młodzież z miast dotkniętych trwałym bezrobociem – ale także młodzież wykształcona, traktująca poważnie szowinistyczne hasła radykalnych organizacji. W przypadku tego typu sprawców często występuje brak skruchy, który jest następstwem ideologicznej racjonalizacji czynów.

Z odmienną sytuacją mamy do czynienia wtedy, gdy aktów agresji dopuszczają się osoby indywidualne, nawet jeśli wespół z innymi. W tym przypadku kluczowe znaczenie mają procesy, jakie wywołuje poczucie zagrożenia psychologicznego. Można wyróżnić dwa podstawowe rodzaje zagrożeń psychologicznych: pierwsze związane są z podważaniem wartości jednostki lub grupy (zakwestionowanie pozytywnej samooceny czy autostereotypu), drugie – z ograniczaniem skuteczności działań mających na celu zaspokojenie naszych potrzeb. Źródłem zagrożeń psychologicznych mogą być stosunki międzygrupowe lub też indywidualne doświadczenia egzystencjalne⁷.

Zagrożeniem dla grupy mogą być działania (lub jedynie przekonanie, że takie działania są podejmowane), które ograniczą jej władzę, dobrobyt, wpływ, znaczenie itd. W takiej sytuacji poczucie zagrożenia powoduje chęć dyskryminacji nawet wtedy, gdy to zagrożenie nie dotyczy danej osoby.

Zagrożenie może mieć także charakter symboliczny – wtedy, gdy dotyczy tożsamości grupowej. Dla działań jednostki ważne są jej przekonania, a nie to, jak naprawdę (z perspektywy eksperta) należałoby określić działania innej grupy. Dlatego do wzrostu

poczucia zagrożenia psychologicznego przyczyniać się może szerzenie rasistowskiego dyskursu i mowy nienawiści. W takiej sytuacji formują i aktywizują się uprzedzenia, które mogą (ale nie muszą automatycznie) znaleźć wyraz w konkretnym agresywnym działaniu – od przemocy wymierzonej w symbole grupy obcej (cmentarze, pomniki, dwujęzyczne tablice, miejsca kultu itd.), poprzez przemoc werbalną (publiczne obrażanie osób o odmiennym kolorze skóry) po naruszenie nietykalności cielesnej. Katalizatorem dla takiego działania mogą być z pozoru mało istotne zdarzenia czy działania.

Psychologowie pokazują również, że poczucie zagrożenia dla „ja” osoby w związku z jej indywidualnymi doświadczeniami może zwiększyć prawdopodobieństwo agresji⁸. W szczególności osoby o wysokiej samoocenie, które poczuły się zagrożone, są wyjątkowo często sprawcami aktów przemocy. Osoby takie mogą jako przedmiot agresji wybrać osoby z grupy obcej. Zresztą generalnie frustracja – zgodnie z popularną hipotezą – prowadzić może do agresji. Pogarszanie się sytuacji ekonomicznej i poczucie deprywacji względnej powodują wzrost frustracji i mogą prowadzić do agresji. Tego typu wyjaśnienie jest szczególnie często przywoływane w odniesieniu do neonazistowskich grup rekrutujących się z mieszkańców byłego NRD czy Złotego Świtu w Grecji.

Nagminnie przywoływany mechanizm kozła ofiarnego wymaga jednak odwołania się do najnowszych ustaleń psychologów społecznych. Z punktu widzenia socjologa na uwagę zasługuje przede wszystkim ideologiczny model kozła ofiarnego Petera Glicka⁹. Podkreśla on, że w przeciwieństwie do tradycyjnej teorii grupa, która staje się kozłem ofiarnym, nie jest podatną na zranienie i bezbroną mniejszością, ale społecznością, o której sprawcy sądzą, że jest potężna, chytra i niebezpieczna. „Zawistne uprzedzenia” sprawiają, że niezależnie od stanu faktycznego pewne grupy są odbierane jako mające niebezpieczne zdolności i złe intencje (są, w terminologii Glicka, kompetentne i pozbawione ciepła). Wobec grup kompetentnych i ciepłych (np. przyjacielskich, wspierających) odczuwamy podziw, wobec grup niekompetentnych i ciepłych – „paternalistyczne uprzedzenia”, wobec niekompetentnych i pozbawionych ciepła – „pogardliwe uprzedzenia”. To ideologia zatem wpływa na zachowanie, a nie bezpośrednio frustracje podstawowych potrzeb. Działania agresywne wobec kozła ofiarnego nie ustają po rozładowaniu początkowych frustracji – przyjęcie ideologii kozła ofiarnego służy podtrzymywaniu zaangażowania. Poprawa warunków społecznych może być bowiem interpretowana jako następstwo działań wymierzonych w kozła ofiarnego, obwinianego o społeczne zło. Ideologie tego typu są zatem samopodtrzymujące się¹⁰.

Ideologiczny model kozła ofiarnego za punkt wyjścia uznaje występowanie frustrujących warunków

7 M. Kofta, M. Bilewicz, *Wprowadzenie. Zagrożenie psychologiczne a stosunki międzygrupowe: nowe idee*, w: M. Kofta, M. Bilewicz (red.), *Wobec obcych. Zagrożenia psychologiczne a stosunki międzygrupowe*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2011, s. 7-17.

8 Tamże, s. 12-13.

9 P. Glick, *Jagnięta ofiarne w wilczym przebraniu. Zawistne uprzedzenia, ideologia i czynienie z Żydów kozłów ofiarnych*, przeł. A. Czarna, w: L.S. Newman, R. Erber (red.), *Zrozumieć Zagładę. Społeczna psychologia Holocaustu*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2009, s. 103-130.

10 Tamże, s. 104-106, 121-123.

podzielanych społecznie¹¹. Prowadzą one do motywacyjnego pobudzenia – ludzie analizują przyczyny stanu rzeczy. Jest to jeden z czynników prowadzących do przywiązania do ideologii wskazującej kozła ofiarnego jako przyczynę dzielących problemów. Proces ten wspomagany jest przez wcześniejsze występowanie zawistnych stereotypów oraz zdolność ideologii do zaspokajania potrzeb (np. potrzeby posiadania pozytywnej tożsamości). W tym stanie rzeczy dochodzi do przeciwdziałania społecznemu złu – np. umotywowanej ideologicznie agresji wobec kozłów ofiarnych. Co ważne, działania agresywne prowadzą do tzw. projekcji komplementarnej. „Według tego poglądu, nieprzychylnie stereotypy grupy będącej celem są racjonalizacjami spowodowanymi przez agresywne impulsy przeciwko tej grupie raczej niż ich przyczyną”¹², zgodnie z zasadą – jeśli kogoś krzywdzę, to musi być winny. Te wyolbrzymione stereotypy i urazy napędzają działania agresywne, a zarazem podtrzymują przywiązanie do ideologii kozła ofiarnego.

Jak z tego widać, zagrożenie psychologiczne w każdej postaci prowadzi do pogorszenia relacji międzygrupowych. Dodajmy, że spośród wielu tematów publicznych debat, które mogą prowadzić do aktów agresji motywowanej etnicznie, narodowo lub rasowo, poruszanie trudnej historii wzajemnych stosunków ma szczególne znaczenie. Badania psychologów potwierdzają występowanie takich zjawisk jak kolektywne poczucie winy, kolektywny wstyd czy kolektywny żal. Emocje te prowadzić mogą do różnych mechanizmów obronnych, zwłaszcza gdy grupa oskarżana jest o negatywne działania w przeszłości wymierzone w grupę obcą (udział w ludobójstwie, prowadzenie polityki dyskryminacyjnej, grabież mienia itd.). Jednym ze sposobów obrony przed poczuciem zbiorowej winy jest poniżanie ofiar, w tym ich dehumanizacja. Odmawianie członkom grupy obcej „pełni człowieczeństwa” skutkować może większą gotowością do krzywdzenia członków tej grupy – nie występuje wtedy empatia¹³.

Naturalnie, występuje znacznie więcej źródeł agresji, której ofiarą padają członkowie mniejszości. Wspomnijmy tu jeszcze o tym, że wśród młodzieży działania agresywne mogą pełnić funkcję swoistych „rytuałów inicjacyjnych”. Dewastacja cmentarza, wybijcie szyby w ośrodku kultury, zamalowanie tablicy, napaść na znanego z mediów lidera organizacji mniejszościowej są w tej sytuacji czynem znaczącym dla wewnętrznej struktury grupy rówieśniczej. Ofiary są typowane w rozmaity sposób, niejednokrotnie są to ludzie postrzegani jako słabi i bezbronni (przykładem mogą być brutalne napaści na bezdomnych).

Mowa nienawiści

Jak wynika z powyższej analizy, szczególnie niebezpieczne jest występowanie w dyskursie publicznym przekazów szkalujących mniejszości¹⁴. Choć nie można zgodnie z prostym behawioralnym modelem

uznawać, że nawoływanie do działań wymierzonych w mniejszości lub rozpowszechnianie negatywnych stereotypów automatycznie prowokuje ludzi do popełniania przestępstw z nienawiści, to jednak stan dyskursu publicznego stanowi ważny czynnik określający prawdopodobieństwo radykalnych działań. Nie można przy tym ograniczać się do piętnowania głosów jednoznacznie szkalujących mniejszości lub wręcz nawołujących do waśni narodowościowych. Tego typu działania stanowią zresztą w Polsce przestępstwo i są – być może z niedostateczną determinacją – ścigane przez właściwe organy (chodzi przede wszystkim o przestępstwa określone w art. 119, 256 i 257 kodeksu karnego). Skrajnym przykładem takiej mowy nienawiści jest Redwatch, którego mimo starania polskich władz nie udało się zamknąć. Mowa nienawiści szerzy się także jednak w mediach głównonurtowych, choć przekaz w tym przypadku jest bardziej subtelny. W procesie reprodukcji antymniejszościowych stereotypów i uprzedzeń udział biorą także – nie zawsze intencjonalnie – elity symboliczne¹⁵. Tym bardziej że we wszystkich krajach europejskich dyskurs nacjonalistyczny, służący reprodukcji narodu jako specyficznej wspólnoty wyobrażonej, opiera się na podkreślaniu homogeniczności grupy własnej oraz konstruowaniu różnego rodzaju kategorii obcych¹⁶.

Mowa nienawiści jest zjawiskiem silnie uzależnionym od kontekstu i już z tego powodu niezwykle trudnym do zdefiniowania. Polega na przypisywaniu szczególnie negatywnych cech i/lub wzywaniu do dyskryminujących działań wymierzonych w pewną kategorię społeczną, przede wszystkim taką, do której przynależność jest postrzegana jako „naturalna” (przypisana), a nie z wyboru. „Naturalność” pewnej kategorii jest wynikiem społecznych negocjacji, a nie wiedzy eksperckiej. Przypisanie negatywnej cechy może mieć charakter bezpośredni („Cyganie kradną”) lub pośredni, poprzez krytykę osoby jako członka grupy. Podobnie wezwanie do działania może być nie wprost, ale pośrednio (poprzez implikaturę) – okrzyk „Żydzi nas atakują” jest nawoływaniem do agresywnego dania odporu agresji. Frazę „szczególnie negatywne cechy” można doprecyzować, jeśli opracuje się skalę cech odbieranych przez audytorium jako coraz bardziej negatywne. Dla zaistnienia (reprodukcji) mowy nienawiści nie są ważne intencja nadawcy czy jego faktyczne uprzedzenia. Należy pamiętać o relatywizacji danego tekstu do określonego kontekstu społecznego i historycznego, co związane jest z przemianami społecznych norm i wartości¹⁷.

Rozwój nowych technologii komunikacyjnych sprawił, że mowa nienawiści znalazła wygodne kanały transmisji. Poczucie anonimowości w internecie prowokuje wielu użytkowników do wygłaszania radykalnych sądów na temat mniejszości. Szczególnie często ofiarami symbolicznego ataku są Żydzi, Romowie, Arabowie i muzułmanie, ale także mniejszości seksualne czy

11 Patrz tamże, rys. 5.2, s. 116.

12 Tamże, s. 108.

13 M. Bilewicz, M. Jaworska, *Zagrażająca przeszłość i jej wpływ na relacje międzygrupowe*, w: M. Kofta, M. Bilewicz (red.), *Wobec obcych...*, s. 21-39.

14 J.-Y. Camus, *The Use of Racist, Antisemitic and Xenophobic Arguments in Political Discourse*, ECRI: European Commission against Racism and Intolerance 2005.

15 T.A. van Dijk, *Communicating Racism. Ethnic Prejudice in Thought and Talk*, SADE Publications, Newbury Park 1987.

16 R. Wodak, R. de Cillia, M. Reisigl, K. Liebhart, *The Discursive Construction of National Identity*, przeł. A. Hirsch, R. Mitten, Edinburgh University Press, Edinburgh 2003.

17 Szerzej L.M. Nijakowski, *Mowa nienawiści w świetle teorii dyskursu*, w: A. Horoltes (red.), *Analiza dyskursu w socjologii i dla socjologii*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2008, s. 113-133.

imigranci (niezależnie od narodowości). Najczęściej medialny wizerunek tych mniejszości ma nikły związek z rzeczywistością. Konstruowane są one jako uniwersalny obcy, często szkodzący większości narodowej i – zgodnie z mechanizmem kozła ofiarnego – oskarżane o naganne czyny, szerzenie się demoralizacji i problemów gospodarcze.

Przestępstwa z nienawiści w Polsce

Wedle danych Zespołu do spraw Ochrony Praw Człowieka Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji, w 2015 roku zarejestrowano 953 przestępstwa z nienawiści, w tym 679 motywowanych pochodzeniem „narodowym, etnicznym, rasowym” ofiary¹⁸. W 2014 roku przestępstw tych ogółem było 315, a w 2013 – 175. Jak napisano w raporcie, trzykrotny wzrost liczby przestępstw zarejestrowanych w 2015 roku wynika z nowego systemu zbierania danych. Wśród przestępstw w 2015 roku na pierwszym miejscu były czyny antysemickie (163 sprawy), następnie antyromskie (147) i antyukraińskie (36). W większości były to komentarze w internecie.

Zauważalny i komentowany w mediach wzrost liczby spraw i tak odbiega od szacunków organizacji pozarządowych, zajmujących się problemem przestępstw z nienawiści. Stowarzyszenie Nigdy więcej prowadzi na przykład (od 1996 roku) projekt pod nazwą „Brunatna Księga”, która „stanowi dokumentację monitoringu przestępstw popełnionych przez neofaszystów i skrajną prawicę oraz incydentów na tle rasistowskim, ksenofobicznym i aktów dyskryminacji na terenie Polski”¹⁹. Rafał Pankowski – działacz tego stowarzyszenia i wykładowca Collegium Civitas – powiedział ostatnio „Newsweekowi”: „Tą tematyką zajmuję się już ponad 20 lat i widzę te zmiany. To co stało się w naszym kraju w ostatnim roku bardzo mnie zasmuca. Niektórych irytuje wszelka odmienność, można dostać za cokolwiek, wszystko może być pretekstem”²⁰.

W Polsce partie i organizacje radykalne mają bardzo małe poparcie społeczne, choć wielu ich działaczy przeniknęło do głównego nurtu dzięki listom wyborczym głównych partii. Ich negatywny wpływ objawia się przede wszystkim szerzeniem szowinistycznego dyskursu, który obecnie trafia na podatny grunt. W tym semantycznym środowisku indywidualne i zbiorowe frustracje mogą być redefiniowane jako skutek działania mniejszości. Media dostarczając określonych skryptów kulturowych zwiększają prawdopodobieństwo wystąpienia przestępstw z nienawiści. Dotyczy to zwłaszcza młodzieży. Nawet jeśli niszczenie symboli mniejszości można analizować jako typowy czyn chuligański, pełniący funkcję ustalania wewnątrzgrupowej hierarchii wśród rówieśników, to wybór obiektu jest przeważnie następstwem szerzenia mowy nienawiści w sferze publicznej, w tym w internecie.

Specyfika sytuacji w Polsce polega na tym, że odsetek imigrantów jest niewielki. Nie występuje zatem

źródło napięć społecznych, które określa radykalizm w krajach z dużymi skupiskami imigrantów, nie tylko islamskich. Polska powoli przekształca się jednak w kraj emigracyjno-imigracyjny. Liczba i publiczna widzialność imigrantów będzie rosła. Tymczasem nie wypracowano spójnej polityki migracyjnej uwzględniającej fakt, że Polacy mają niską kompetencję międzykulturową. Napływ imigrantów najprawdopodobniej prowadzić będzie do zwiększenia liczny przestępstw z nienawiści.

Bez wątpienia, konieczne jest zintensyfikowanie walki z mową nienawiści. W tym celu konieczne jest nie tylko usprawnienie działania organów, które już dziś ścigają nadawców mowy nienawiści jako określonych przestępców, ale również stworzenie nowych instrumentów prawnych. Znaczącą poprawę może przynieść większe zaangażowanie administratorów różnorodnych forów dyskusyjnych. Pamiętać bowiem należy, że napastliwe komentarze są częścią internetowego folkloru, a hejterzy na celownik biorą bardzo różne grupy i osoby, w tym przypadkowe niewinne ofiary²¹. W tym zakresie dużo zdziałać mogą organizacje pozarządowe. Jako dobrą praktykę można wskazać punkt kontaktowy Dyżurnet.pl (część Polskiego Centrum Programu „Safer Internet”, realizowana w ramach programu Komisji Europejskiej „Safer Internet”), działający przy Naukowej i Akademickiej Sieci Komputerowej, który przyjmuje zgłoszenia dotyczące nielegalnych treści w internecie. Jak donosi strona, „W pierwszym kwartale 2016 roku internauci zgłosili do Dyżurnet.pl o niemal jedną trzecią więcej incydentów niż rok wcześniej”.

Podstawowym sposobem przeciwdziałania przestępstwom nienawiści jest edukacja publiczna, w tym zwłaszcza w szkołach publicznych. Edukacja obejmuje nie tylko przekazywanie wiedzy, ale również kształtowanie cech, kompetencji i postaw. Dziś coraz większego znaczenia nabiera edukacja za pośrednictwem internetu, co wymusza także kształtowanie kompetencji krytycznej selekcji i weryfikacji danych dostępnych tą drogą. Jednym z warunków konstruktywnego wykorzystania zasobów internetu w zakresie wiedzy o mniejszościach jest zatem ogólne „wychowanie cyfrowe” ucznia. Kształtowanie postaw otwartości i tolerancji wobec mniejszości powinno być częścią ogólnego kształcenia ucznia, który powinien zrozumieć, że dyskryminacja i nietolerancja nie są uprawnione wobec żadnej z grup. Nie może się to jednak ograniczać do ogólnych zasad czy abstrakcyjnych przykładów. Ucznia należy konfrontować – zwłaszcza w trybie warsztatów, symulacji i pracy w grupach – z konkretnymi przypadkami spotkania i zderzenia kultur. Jedynie rozbudzenie empatii może doprowadzić do trwałej zmiany postaw. Przykładem negatywnej praktyki w tym zakresie było utrzymywanie osobnych klas dla młodzieży romskiej.

LECH M. NIJAKOWSKI

18 „Informacja na temat działań podejmowanych przez Zespół do spraw Ochrony Praw Człowieka w latach 2013-2015”, Minister Spraw Wewnętrznych i Administracji, 12 kwietnia 2016 roku, Informacja dla Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych Sejmu RP.

19 Adres strony: <http://www.nigdywiecej.org/brunatna-ksiega> [dostęp: 25.09.2016].

20 <http://m.newsweek.pl/polska/rasizm-mamy-fale-nienawisci-bez-precedensu-w-polsce,artykuly,397879,1.html> [dostęp: 30.09.2016].

21 Szerzej: A. Naruszewicz-Duchlińska, *Nienawiść w czasach Internetu*, Novae Res, Gdynia 2015.

WIESŁAW WYSOCKI

AfD, CZYLI ALTERNATYWA DLA NIEMIEC?

Prawicowy populizm w Niemczech powstał w wyniku zakwestionowania swoistej umowy społecznej polegającej na zaufaniu obywateli do rządzącej klasy politycznej realizującej model socjalno-rynkowego kapitalizmu. „Dobra zmiana” w wydaniu Alternatywy dla Niemiec (AfD) przejawia się w gruntownej krytyce istniejącego dotąd systemu sprawowania władzy i przedstawianiu niemieckiemu społeczeństwu jakoby alternatywnej idei „państwa prawa, porządku i sprawiedliwości społecznej”, gwarantującej obywatelom bezpieczeństwo, dobrobyt i postęp.

Problem polega jednak na tym, że globalny kapitalizm nie jest w stanie takiej wizji zrealizować. „AfD wprowadza do niemieckiej polityki język i postulaty, które do tej pory były w niej nieobecne i niemalże niemożliwe do pomyślenia”¹. Sięga tutaj do wydawałoby się historycznie pogrzebanej ideologii niemieckiego nacjonalizmu. „Okazuje się, że to co miało już nigdy nie wrócić do niemieckiej kultury politycznej, ponownie jest wybieralne”². Wszystko to dzieje się w społeczeństwie będącym faktycznie od wielu już lat przykładem nie najgorzej funkcjonującej społeczności wielokulturowej.

O początkach wielokulturowości społeczeństwa niemieckiego możemy mówić już od połowy lat 60. XX wieku. Wtedy to deficyt siły roboczej spowodował konieczność sprowadzenia do Niemiec chętnych do pracy młodych ludzi przede wszystkim z krajów europejskich, borykających się z problemem wysokiego bezrobocia. Do Niemiec masowo napłynęli sprowadzeni przez rząd federalny tzw. goście-robotnicy (Gastarbeiter) z Turcji, Włoch, Jugosławii, praca których przyczyniła się w znacznym stopniu do tzw. cudu gospodarczego w Niemczech za rządów kanclerza Ludwika Erharda. Nie zamierzano wtedy zezwalać na pozostanie tych ludzi w Niemczech na stałe, jednak w praktyce tak właśnie się stało. W wyniku stopniowego łączenia rodzin i dalszych procesów migracyjnych związanych z podejmowaniem pracy w Niemczech przez obcokrajowców w okresie rozwijającej się koniunktury gospodarczej końca lat 60., osiedliła się w tym kraju spora grupa ludzi, przede wszystkim pochodzących z Turcji, o odmiennej kulturze, obyczajach i religii.

Od początku lat 70. rozpoczął się również systematyczny napływ ludzi z Polski w ramach tzw. akcji łączenia rodzin pochodzenia niemieckiego, który w końcu lat 80. przybrał rozmiar masowej migracji całych rodzin, głównie polskojęzycznych, socjalizowanych w pol-

skiej kulturze i tradycji narodowej. Od początku lat 90. w podobny sposób napłynęli też tzw. spóźnieni przesiedleńcy z Kazachstanu, Rosji i Ukrainy oraz emigranci żydowscy z terenów byłego Związku Radzieckiego.

Równocześnie od początku istnienia Republiki Federalnej Niemiec przyjmowano osoby, które z powodu prześladowań w wielu krajach świata otrzymywały w Niemczech indywidualnie azyl na podstawie prawa zagwarantowanego w *Ustawie Zasadniczej*. Oprócz tego do Niemiec napływali masowo uciekinierzy z krajów, gdzie toczyły się wojny i występowały klęski żywiołowe, uzyskując status uciekinierów i prawo pobytu.

Niemcy Zachodnie od początku lat 60. pozostawały krajem atrakcyjnym dla indywidualnej migracji zarobkowej wykształconych specjalistów z całego świata, których gospodarka niemiecka chętnie wchłaniała. Nie należy przy tym zapominać o pracujących w Niemieckiej Republice Demokratycznej Wietnamczykach, których część pozostała w Niemczech po zjednoczeniu.

Wszystkie te procesy migracyjne ukształtowały w dotychczas monokulturowym kraju sytuację określaną jako społeczeństwo multi-kulti. Integracja przybyszów wspierana była przez zapotrzebowanie gospodarki niemieckiej na siłę roboczą oraz korespondowała z polityczną kulturą lewicową, zmierzającą do zmiany powojennego obrazu Republiki Federalnej Niemiec. Wielokulturowość społeczeństwa stała się u progu XXI wieku faktem, a Niemcy faktycznie stały się krajem intensywnej imigracji, pomimo długoletniego nieuznawania tego faktu przez politykę i system prawny³.

Zjawiska te były zawsze krytycznie postrzegane przez niemiecką pravicę, mimo że do 1968 roku rządy tego kraju spoczywały prawie wyłącznie w rękach chadecji. Silna krytyka wielokulturowości w Niemczech

3 W Niemczech zamieszkuje obecnie 9,72 proc. obcokrajowców, czyli osób nie posiadających obywatelstwa niemieckiego na podstawie art. 116 Ustawy Zasadniczej. Obcokrajowcami nie są zatem, w myśl niemieckiego prawa, tzw. przesiedleńcy z Polski, Rosji, Kazachstanu, Ukrainy i innych republik byłego ZSRR a także z Rumunii i Węgier, których tylko w latach 1980 do 2016 osiedliło się w Niemczech ponad 4 miliony.

Największa grupa obcokrajowców osiedlonych w Niemczech pochodzi z Turcji i kolejno z Polski oraz z Włoch. Statystycznie Niemcy są rzeczywistym krajem imigracyjnym. Ponad 16,39 milionów mieszkańców ma korzenie migracyjne.

W 2015 roku przybyło do Niemiec 2.136.954 osób, co stanowi najwyższy poziom imigracji od 1992 roku, kiedy to liczba ta przekroczyła 1,5 miliona. Od 2006 roku liczba imigrantów systematycznie wzrasta. W 2015 roku opuściło Niemcy 997.551 osób, głównie do Polski.

W 2015 roku 326.876 osób przybyło do Niemiec z Syrii, 213.037 z Rumunii, 195.666 z Polski i 94.902 z Afganistanu. W 2016 złożono do miesiąca maja 479.620 wniosków o udzielenie azylu. (Źródło: Statistisches Bundesamt, Statista.com 2016).

1 *Koniec niemieckiej wyjątkowości*, Z Markiem A. Cichockim rozmawia Łukasz Pawłowski, „Kultura liberalna.pl”, 2016, 04, s. 1.

2 Tamże, s. 5.

istniała zatem w ciągu całego procesu jej kształtowania. Prowadzono intensywną dyskusję polityczną na temat migracji, a całkowicie różnorodne poglądy istniejące na ten temat w społeczeństwie niemieckim wywoływały spory medialne, szczególnie w okresach kolejnych kampanii wyborczych. W wyniku tych dyskusji zaostrzano systematycznie przepisy prawa regulujące tryb przyjmowania obcokrajowców w Niemczech, a z drugiej strony wysuwano kolejne koncepcje integracyjne, bowiem powoli kształtowało się w szerokich kręgach opinii publicznej przekonanie, że należy jak najbardziej zawęzić i ograniczyć możliwości osiedlania się w Niemczech obcokrajowców szczególnie spoza Unii Europejskiej, a tych którzy znajdują się już w Niemczech intensywnie integrować.

Wtedy to zaczęto oficjalnie odstępować od polityki wspierania multi-kulti i dostrzegać także negatywne zjawiska wynikające z procesów migracyjnych. Zaczęto stawiać pytanie o granice tolerancji wobec innych kultur, religii i tradycji stojących często w sprzeczności z tradycyjnymi wartościami uznawanymi w Niemczech za ogólnoeuropejskie. Do powszechnego i medialnego formułowania tych wątpliwości było jednak jeszcze daleko. Dopiero masowy napływ uciekinierów z krajów arabskich na przełomie lat 2015 i 2016, i jego skutki społeczne, powszechnie krytykowane nie tylko przez skrajną prawicę, skłoniły dość liczne siły w społeczeństwie niemieckim do publicznych wystąpień przeciwko panującej polityce imigracyjnej, która pomimo kolejnych zaostrzeń przepisów prawa o obcokrajowcach uważana była za zbyt liberalną i sprzyjającą aktualnie masowemu napływowi do Niemiec młodych mężczyzn pochodzących z krajów arabskich, głównie wyznających islam w różnych jego postaciach⁴.

Na problemy związane z procesami migracyjnymi w Europie i postępującą wielokulturowością wskazywała już w 2011 roku na swoim blogu profesor Maria Szyszkowska, akcentując konieczność podejmowania reform w systemach edukacyjnych oraz potrzebę tolerancji. „Europejczycy – w tym Polacy – pisała – nie są przygotowani do współdziałania z osobami odbiegającymi od europejskiej mentalności. Nie jesteśmy przygotowani do tego, używając języka Rudolfa Stämmlera, by traktować cele sąsiada jak swoje własne. Funkcjonują u nas uprzedzenia rasowe, uprzedzenia do niektórych narodów, a nawet sąsiadów, uprzedzenia religijne i obyczajowe. [...] Niezbędne jest pilne zaszczepianie poprzez edukację tolerancji bez żadnych **ale**. Edukacja powinna też prowadzić do wyjaśniania, że tolerować, to nie znaczy aprobować. Nie jest możliwa aprobata dla wielu często przeciwnych światopoglądów. Tolerancja polega na tym, że godzimy się na funkcjonowanie poglądów oraz kultuwanie obyczajów, które nam nie odpowiadają, a nawet wzbudzają w nas protest. Tolerancja wiąże się z szacunkiem dla człowieka i uznaniem wolności za wartość nierozdzielnie zespoloną z człowieczeństwem”⁵.

4 Np. ruch PEGIDA, skupiający tzw. zatroskanych obywateli z różnych warstw społecznych i o różnych dotychczas poglądach politycznych, organizujący w Dreźnie systematyczne masowe demonstracje uliczne, kierowane przez siły skrajnie prawicowe i skierowane przeciwko polityce imigracyjnej rządu Angeli Merkel, mający swoje odpowiedniki w wielu miastach Niemiec i stwarzający masowy rezeruar poparcia dla AfD.

5 M. Szyszkowska, *Wobec procesów migracyjnych czyli wielokulturowości*, Blog oficjalny 05.06.2011, Felietony, artykuły, komentarze.

Tej tolerancji jednoznacznie zabrakło w konfrontacji z masowym ruchem migracyjnym, którego rozmiar całkowicie wymknął się spod kontroli i przez dłuższy czas państwowe struktury w Niemczech nie mogły nad tym żywiołowym procesem zapanować, ani go skutecznie organizacyjnie uporządkować. Dużą rolę odegrał strach przed niekontrolowaną sytuacją w kraju, w którym porządek i bezpieczeństwo wewnętrzne należą tradycyjnie do wartości powszechnie akceptowanych. Dojrzały warunki społeczno-polityczne i powstawał klimat sprzyjający narastaniu sprzeciwu wobec wielokulturowości rozumianej jako lewicowy pomysł multi-kulti.

Niemcy u progu 2016 roku stały się krajem, w którym co dziesiąty obywatel życzyłby sobie wodza, który w interesie całej społeczności wprowadza rządy silnej ręki. Jedenaście procent obywateli uważa, że Żydzi mają nadmierne wpływy, zaś dwanaście procent jest przekonanych, że Niemcy z naturalnych przyczyn dominują nad innymi narodami. Jedna czwarta młodych Niemców we wschodniej części kraju jest wroga obcokrajowcom, a jedna trzecia wszystkich obywateli uważa swój kraj za poważnie zagrożony dominacją obcych⁶.

Narastający problem związany z niekontrolowanym napływem cudzoziemców do Niemiec stał się przysłowiową wodą na młyn wszelkich ruchów prawicowo-nacjonalistycznych i w szczególności – uratował byt niewielkiej, niszowej partii Alternatywa dla Niemiec (AfD), założonej 6 lutego 2013 roku. Sprzeciw wobec wielokulturowości społeczeństwa niemieckiego i jej politycznych konsekwencji został podniesiony do rangi jednego z istotnych elementów programu tej partii uchwalonego na konferencji w Stuttgarcie w dniach 30 kwietnia – 1 maja 2016 roku.

Stał się on podstawą serii politycznych postulatów tej partii zmierzających w istocie do negacji całej ideologii lewicowej, mającej swoje źródło w rewolcie studenckiej 1968 roku. Tym samym stanowi próbę cofnięcia sytuacji na scenie politycznej w Niemczech do stanu sprzed czterech dekad, tzn. wyrugowania ze społecznego bytu prawie wszystkich postępowych osiągnięć i dokonanych zasadniczych zmian priorytetów w polityce niemieckiej, osiągniętych głównie dzięki lewicowym siłom w SPD w okresie rządów tej partii w koalicji z FDP, a także w wyniku demokratycznych działań kolejnych koalicji rządowych w zjednoczonych Niemczech.

W całej historii Niemiec od 1949 roku tendencje prawicowo-nacjonalistyczne w polityce tego kraju nie uzyskiwały tak szerokiego poparcia społecznego, jak obserwujemy to w chwili obecnej. Na naszych oczach następuje historyczny zwrot na prawo i narasta sprzeciw wobec wielokulturowości, znajdujący swoje odniesienie również w polityce wielu krajów europejskich. Poparcie społeczne uzyskują partie i ugrupowania populistyczne o wyraźnie nacjonalistycznym obliczu ideologicznym i to w sytuacji postępującej globalizacji i umacniania się rynku światowego. Stanowi to w istocie wyraz niemożności rozwiązywania istotnych problemów społecznych stojących przed ludzkością przez globalny kapitalizm (neoliberalizm). Szczególne nasilenie tych procesów obserwujemy w Europie, gdzie elementy systemowego

6 O. Decker, J. Kiess, E. Brähler, *Die enthemmte Mitte, Autor täre und rechtsextreme Einstellung in Deutschland*. Die Leipziger "Mitte-Studie" 2016, s. 8-21 i 104.

kryzysu kapitalizmu zbiegają się z nasileniem masowej imigracji z krajów o odmiennej kulturze i panującej w nich religii.

Brak lewicowej alternatywy dalszego rozwoju społeczeństwa powoduje poparcie dla prawicowych ruchów populistycznych. Skłonny jestem zgodzić się z poglądem, że „naprawdę ważne jest to, żeby system demokratyczny zapewniał rzeczywiste alternatywy, żeby ludzie mieli realny wybór, kiedy głosują. To jest niezbędny warunek ludowej suwerenności, bo jaki sens ma głosowanie, jeśli programy wszystkich partii są zasadniczo takie same. Ważne jest, aby mieć realny wybór, ponieważ rodzaj dominującej obecnie ugody w centrum oraz brak alternatywy to [...] źródła rozwoju i sukcesu prawicowych partii populistycznych w Europie Zachodniej. Faktycznie tylko one starają się zaproponować alternatywę wobec ugody w centrum. Kiedy nie ma realnej możliwości wyboru w ramach tradycyjnego systemu demokratycznego, to automatycznie przygotowuje to grunt dla prawicowych demagogów, którzy zjawiają się i będą próbowali zorganizować ruchy populistyczne wokół hasła: istnieje alternatywa”⁷. Z takim fenomenem mamy do czynienia w formie partii Alternatywa dla Niemiec.

AfD sama siebie określa jako mieszczańską partię protestu wyrosłą z tradycji dwóch rewolucji – z roku 1848 oraz określanego w programie partii mianem „rewolucji” przewrotu dokonanego w NRD w 1989 roku, który doprowadził do zjednoczenia Niemiec⁸. Natomiast rewolucji z 1918 roku, która obaliła monarchię, doprowadziła do utworzenia republiki oraz dała kobietom prawo udziału w wyborach, program AfD w ogóle nie wspomina.

AfD chce przeprowadzić „rewolucję 3.0” w Niemczech. Dlatego postuluje wymianę skorumpowanych i jakoby niezdolnych do prawidłowego rządzenia elit obecnej władzy, określając je często mianem „zdrazieckich”. Twierdzi, że Niemcy stały się krajem bezprawia, w którym panująca elita zawodowych polityków, wykorzystując demokratyczne instytucje prawne, całkowicie pozbawiła obywateli wpływu na sprawowanie władzy. „Prawdziwym suwerenem – głosi AfD – jest mała, posiadająca pełnię władzy polityczna grupa kierownicza złożona z przedstawicieli poszczególnych partii⁹. Grupa ta, skupiająca w swoich rękach pełnię władzy politycznej, posiada także monopol informacyjny. Swoim działaniem w ramach Unii Europejskiej pozbawiła ona państwo niemieckie wszelkiej suwerenności. Kres tej nielegalnej sytuacji może położyć tylko zdecydowany sprzeciw narodu wyrażony także poprzez stosowanie głosowań powszechnych dotyczących ustaw, a nawet Ustawy Zasadniczej.

Ten chwyt polityczny służyć może w efekcie pozaparlamentarnej zmianie i zakwestionowaniu niektórych artykułów Ustawy Zasadniczej¹⁰.

AfD domaga się zakończenia procesu historycznej ekspiacji oraz przejmowania odpowiedzialności za

zbrodnie hitlerowskich Niemiec i sprzeciwia się zawężaniu spojrzenia na historię Niemiec tylko przez pryzmat narodowego socjalizmu. Postuluje, aby historiografia niemiecka eksponowała obraz dziejów Niemiec odwołujący się szerzej do pozytywnych wartości kultury niemieckiej, sprzyjający utrwalać narodowej tożsamości i dumy narodowej¹¹.

AfD chce być alternatywą dla obecnego kształtu politycznego państwa niemieckiego. Wyniki wyborów parlamentarnych, jakie odbędą się w Niemczech w roku 2017, wykażą jednoznacznie, jaką naprawdę siłą oddziaływania na świadomość polityczną Niemców dysponuje AfD i na ile jej program jest atrakcyjny dla niemieckiego społeczeństwa. Społeczeństwa, przypomnijmy, dysponującego najsilniejszą obecnie gospodarką w Europie i odgrywającego pierwszoplanową rolę w targanej kryzysami Unii Europejskiej.

Już dziś można jednak stwierdzić, że, podobnie jak w przypadku innych europejskich ruchów populistycznych, poparcie dla AfD jest przede wszystkim wynikiem kryzysu politycznej reprezentacji w kapitalistycznym modelu demokracji i produktem zaniku solidarności społecznej wynikającym z neoliberalnej deregulacji. Partie populistyczne są zwycięzcami w okresach kryzysów, również AfD kreuje się na reprezentanta interesów „zwykłych ludzi”, żeruje na strachu średnich i niższych warstw społecznych przed utratą swoich pozycji w społeczeństwie, oraz na niepewności w szerokich kręgach społeczeństwa co do kierunku przyszłych zmian i załamań spowodowanych globalizacyjnymi procesami zmieniającymi strukturę kapitalizmu i ich bezpośredniego wpływu na życie i osobistą sytuację ludzi¹². Powodzenie AfD w wyborach krajowych w kilku krajach federalnych w 2016 roku wprowadza ekstremizm na polityczne salony i polaryzuje debatę polityczną z niespotykaną dotąd siłą.

Szczegółowe omówienie całego programu partii AfD wykraczałoby poza tematykę niniejszego opracowania¹³, dlatego skoncentrujemy się na tych postulatach programowych, które dotyczą krytyki wielokulturowości społeczeństwa niemieckiego, postulowanych zmian podstawowych instytucji demokratycznych państwa, stosunku partii do zagadnień bezpieczeństwa wewnętrznego, polityki europejskiej oraz bezpieczeństwa europejskiego i obronności.

W preambule swego programu AfD deklaruje: „Odwaga dla Niemiec. Wolni obywatele, a nie poddani. Jesteśmy liberalni i konserwatywni. Jesteśmy wolnymi obywatelami swojego kraju. Jesteśmy przekonani, że obywatele mają prawo do prawdziwej politycznej alternatywy w stosunku do tego, co klasa polityczna usiłuje nam przedstawić jako nie posiadające alterna-

11 Program AfD, s. 33.

12 O. Decker..., s. 168.

13 Program AfD na 93 stronach zawiera 14 rozdziałów tematycznych:

1. Demokracja i wartości podstawowe; 2. Euro i Europa; 3. Bezpieczeństwo wewnętrzne i wymiar sprawiedliwości; 4. Polityka zagraniczna i bezpieczeństwo; 5. Rynek pracy i polityka społeczna; 6. Rodzina i dzieci; 7. Kultura, język i identyfikacja; 8. Szkoła, szkoła wyższa i badania naukowe; 9. Imigracja, integracja i azyl; 10. Gospodarka, digitalizacja i ochrona konsumenta; 11. Finanse i podatki; 12. Polityka energetyczna; 13. Ochrona środowiska, rolnictwo i gospodarka leśna; 14. Infrastruktura, mieszkalnictwo i komunikacja. Tym samym AfD uwalnia się od zarzutu iż jest pseudopartią, która zajmuje się tylko jednym aspektem życia społecznego, tj. imigracją i krytyką islamu.

7 Ludzie potrzebują alternatywy, z Chantal Mouffe i Ernesto Laclauem rozmawiają Maciej Gdula, Julian Kutyła i Adam Ostolski, „Krytyka polityczna.pl”, Nr. 7/8 2005, s. 3.

8 *Freie Bürger sein, keine Untertanen*. Das Parteiprogramm der Alternative für Deutschland, Preamble, s. 1 (dalej będzie nazywany: Program AfD).

9 Oliver Das Gupta, *Wie die AfD die aktuelle Bundesrepublik abschaffen will*, „Süddeutsche Zeitung” 28.03.2016, s. 4.

10 Tamże, s.5.

tywy. Nie chcemy się dłużej biernie przyglądać łamaniu prawa, niszczeniu państwa prawa i nieodpowiedzialnemu działaniu politycznemu, sprzecznemu z zasadami rozsądku gospodarczego. [...] Zdecydowaliśmy się zaproponować Niemcom i ich obywatelom prawdziwą polityczną alternatywę we wszystkich dziedzinach. [...] Chcemy zasadniczo odnowić nasz kraj w duchu wolności i demokracji. [...] Jesteśmy otwarci na świat, chcemy jednak być i pozostać Niemcami. Chcemy trwale zachować godność ludzką, rodzinę z dziećmi, naszą zachodnią, chrześcijańską kulturę, nasz język i tradycję w pokojowo-demokratycznym i suwerennym, narodowym państwie narodu niemieckiego¹⁴.

W rozdziale pierwszym zatytułowanym *Demokracja i wartości zasadnicze* czytamy: „Chcemy zreformować Niemcy, nawiązując do zasad i korzeni, które doprowadziły do tzw. cudu gospodarczego, a potem do wieloletniego sukcesu w rozwoju gospodarczym i społecznym. Niemiecki aparat władzy rozwinął się w międzyczasie w niewłaściwym kierunku. Aktualny system sprawowania władzy nie odpowiada już zasadom trójpodziału władzy. Sektor publiczny wykracza poza określone dla niego ramy. Ważnym celem naszej polityki jest ponowne powiązanie organów władzy i całego państwa z ich zasadniczymi funkcjami społecznymi. Najpóźniej od zawarcia umów w Schengen (1985), w Maastricht (1992) i w Lizbonie (2007) nienaruszalna suwerenność naszego narodu, będąca fundamentem naszej państwowości, stała się fikcją¹⁵.

Dalej AfD w swoim programie neguje w całości miejsce politycznego islamu w Niemczech. Stwierdza, że islam nie należy do Niemiec. „Ortodoksyjny islam, który nie respektuje naszego porządku prawnego czy wręcz go zwalcza i rości sobie prawo do panowania jako jedyna obowiązująca religia, jest nie do pogodzenia z naszym porządkiem prawnym i naszą kulturą¹⁶. Zaznacza przy tym, że jednoznacznie uznaje wolność sumienia, wyznania i światopoglądu, wskazując jednak na kulturową podstawę humanizmu europejskiego, jaką jest chrześcijaństwo. Domaga się zakazu budowy świątyń muzułmańskich finansowanych ze środków pochodzących z zagranicy i finansowania organizacji muzułmańskich szerzących nienawiść wobec panującej w Niemczech kultury i tradycji, a także żąda prawa do publicznej krytyki islamu i jego struktur organizacyjnych. Domaga się zamknięcia szkół koranicznych i wprowadzenia nauki o islamie do programów etyki w szkołach publicznych. Jest zdania, że uczniowie wyznania muzułmańskiego nie powinni korzystać w szkołach z żadnych specjalnych uregulowań i przywilejów¹⁷. Dotyczy to również innych organizacji muzułmańskich, które nie powinny korzystać ze statusu podmiotów prawa publicznego i związanych z tym przywilejów. Żąda prawnego zakazu noszenia w publicznych miejscach tzw. burki i maskowania twarzy¹⁸. Stwierdza jednak, że żyjący w Niemczech muzułmanie przestrzegający obowiązującego prawa i integrujący się są akceptowanymi i szanowanymi członkami społeczeństwa. „Oni należą do Niemiec¹⁹.

Partia wydała osobną publikację poświęconą zjadłej krytyce islamu²⁰.

Na uwagę zasługują postulaty programowe AfD dotyczące kultury, języka i tożsamości narodowej. Partia opowiada się za niemiecką „kulturą wiodącą”. Ideologię multikulturową uważa za poważne zagrożenie dla pokoju społecznego i dalszego istnienia narodu jako wspólnoty kulturowej. Domaga się od państwa zdecydowanej obrony niemieckiej kulturalnej tożsamości narodowej. Jako centralny element tej tożsamości uznaje język niemiecki i żąda wprowadzenia za przykładem innych państw prawnej ochrony tego języka jako państwowego w Ustawie Zasadniczej. Z troską obserwuje wprowadzanie, pod pretekstem fałszywie pojmowanej „internacjonalizacji”, anglicyzmów do potocznego języka niemieckiego oraz wprowadzania określeń wynikających z wymagań gender. Stanowczo sprzeciwia się wymuszaniu „politycznej poprawności” językowej²¹, co rzeczywiście nagminnie występuje w życiu publicznym, w szkołach, a także w mediach.

AFD stwierdza w swoim programie, że Niemcy ze względu na swoje położenie, historię, ludność i jej gęste rozmieszczenie nie są klasycznym krajem imigracyjnym. Postuluje rozróżnienie pomiędzy szukającymi schronienia w Niemczech, na podstawie prawa do azylu, prześladowanymi z wielu krajów i wojennymi uciekinierami z jednej strony, a pozostałymi migrantami z drugiej. Jako niezbędne uznaje całkowite zamknięcie granic Unii Europejskiej i wprowadzenie ochrony granicy niemieckiej uniemożliwiającej niekontrolowany wjazd na terytorium Niemiec. Chce zorganizowania w krajach pochodzenia uciekinierów, np. w Afryce Północnej, centrów migracyjnych i azylowych dla ich ochrony, stworzenia im tam na miejscu możliwość składania wniosków o przyznanie azylu w Niemczech. Dopiero po uzyskaniu niezbędnego zezwolenia zapewniałyby im bezpieczną podróż do Niemiec lub do innych krajów europejskich, w ramach obowiązujących w tych krajach uregulowań prawnych. Prawo do uzyskania azylu nie powinno, tak jak dotychczas, stanowić furtki do masowej imigracji i osiedlania się w Niemczech. Należy z całą konsekwencją wydalać z Niemiec osoby, które z różnych powodów nie mają już prawa pobytu w tym kraju. Doprowadzić trzeba do opuszczenia kraju przez wszystkie osoby obecnie się tam znajdujące, których wnioski o udzielenie azylu zostały w przeszłości negatywnie rozpatrzone. Osobom tym należy natychmiast drastycznie ograniczyć wszelkie formy wsparcia finansowego, aby zachęcić je w ten sposób do dobrowolnego wyjazdu²².

W programie partii ustosunkowano się także do migracji w ramach Unii Europejskiej, przede wszystkim z krajów uboższych do zasobniejszych, takich jak Niemcy mające stosunkowo rozbudowany system pomocy socjalnej będący zachętą do osiedlania się ludzi z Polski, Bułgarii, Rumunii, ale także z Portugalii i Hiszpanii. Stwierdzono, że należy uniemożliwić korzystanie przez migrantów z krajów unijnych ze świadczeń socjalnych w Niemczech²³.

AFD opowiada się za legalną, sterowaną przez państwo i ograniczoną ilościowo imigracją kwalifiko-

14 Programm AfD, Preamble, s. 1. Tłumaczenie własne autora.

15 Tamże, s. 9.

16 Tamże, s. 34.

17 Tamże, s. 40.

18 Tamże, s. 34-36.

19 Grundsätze für Deutschland, Programm der AfD, Kurzfassung, s. 10.

20 Islam gehört nicht zur Deutschland, broszura AfD, 2016.

21 Grundsätze..., tamże.

22 Tamże, s. 12.

23 Tamże.

wanej siły roboczej również z krajów trzecich, mając na uwadze potrzeby niemieckiej gospodarki, interes niemieckiego systemu socjalnego i emerytalnego, a także zdolności integracyjne w ramach niemieckiej kultury narodowej. Każdy przybysz powinien wykazać się dążeniem do zasymilowania się w ramach tej kultury i zasad współżycia społecznego panujących w Niemczech. Brak chęci do integracji, nieprzestrzeganie prawa winno być obłożone sankcjami, a nawet prowadzić do utraty prawa pobytu. AfD stanowczo odrzuca, z zachowaniem koniecznych wyjątków, możliwość posiadania podwójnego obywatelstwa²⁴. Domaga się transparentnego prezentowania społeczeństwu pełnych kosztów integracji obcokrajowców w Niemczech, a także pełnej statystyki kryminalnych zjawisk związanych z obcokrajowcami i migracją²⁵.

W programie AfD stwierdza się, że masowe ruchy migracyjne do Niemiec, będące efektem ucieczki ludzi przed nędzą i brakiem perspektyw, można rozwiązać tylko metodami odpowiedniej pomocy rozwojowej dla poszczególnych krajów. Migracja nie rozwiązuje tych problemów, nie likwiduje bowiem ich przyczyn²⁶.

Problemom demograficznym w Niemczech polegającym na negatywnym przyroście naturalnym należy, zdaniem AfD, przeciwdziałać stwarzając lepsze warunki rodzinom, rozbudowując infrastrukturę opieki nad dziećmi, wprowadzając szerzej zachęty podatkowe do posiadania większej liczby dzieci. Temu celowi powinno też służyć umarzanie części kredytów budowlanych dla młodych małżeństw z chwilą urodzenia kolejnych dzieci, umarzanie spłat stypendiów studenckich po urodzeniu dziecka i inne podobne przedsięwzięcia, a nie zamiast tego godzenie się na masową imigrację do Niemiec²⁷.

Program AfD formułuje zarzut wobec systemu władzy państwowej, iż nie przestrzega on zasady tradycyjnego podziału na władzę ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą, co w praktyce prowadzi do niekontrolowanego skupienia całej władzy państwowej w rękach partyjnych i lobbystycznych koterii. Temu zjawisku AfD chce się stanowczo przeciwstawić poprzez konsekwentne rozdzielanie mandatu parlamentarnego od wykonywanej funkcji urzędniczej lub sędziowskiej²⁸.

Zdominowanie polityki przez system partyjny stanowi, zdaniem AfD, niebezpieczne zjawisko zagrażające pozycji właściwego suwerena – ludu²⁹. Wiąże się z tym krytyka obowiązującego systemu finansowania partii politycznych stwarzającego możliwości ukrytego finansowania partii sprawujących władzę i ich przybudówek.

Zdaniem AfD polityczna klasa zdołała różnymi nielegalnymi metodami tak ukształtować prawo i praktykę wyborczą, że zminimalizowała wpływ obywateli na realny kształt organów ustawodawczych. Konieczna jest zatem gruntowna reforma systemu wyborczego zmierzająca do umocnienia bezpośredniego wpływu wyborców na wynik wyborów i umacniająca odpowiedzialność deputowanych przed swoimi wyborcami. AfD żąda ograniczenia możliwości kandydowania w wyborach do parlamentu do czterech kadencji, z wyjątkiem mandatów zdobytych bezpośrednio w jednomanda-

towych okręgach wyborczych³⁰ oraz wprowadzenia prywatnego ubezpieczenia rentowo-emerytalnego dla posłów³¹. Równocześnie żąda powszechnych, bezpośrednich wyborów prezydenta republiki przez obywateli³².

Nowością jest postulat wprowadzenia do kodeksu karnego przestępstwa polegającego na marnotrawnym rozporządzaniu funduszami państwa pochodzącymi z podatków (*Steuergegeldverschwendung*)³³.

W programie partia definiuje swój stosunek do idei zjednoczonej Europy i wspólnej europejskiej waluty. Jest przeciwna rozwojowi Unii Europejskiej w kierunku centralistycznego bądź federalnego, ponadnarodowego quasi-państwa wykonującego funkcje polityczne i władcze. Skłania się do utrzymania całkowitej suwerenności Niemiec, gwarantujących swoim obywatelom wolność i bezpieczeństwo, wspierających ich dobrobyt i przyczyniających się aktywnie do kształtowania pokojowej i dobrze prosperującej Europy. W razie możliwości funkcjonowania takiego modelu UE należy, zdaniem AfD, dążyć do wystąpienia Niemiec z Unii i powołania nowej Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej³⁴. Stanowi to jednoznaczny krok wstecz w procesie integracji europejskiej i nie odpowiada współczesnym wyzwaniom globalnego kapitalizmu.

AFD sprzeciwia się przekazywaniu kompetencji politycznych organom unijnym, co uznaje za niedemokratyczne i uszczuplające suwerenność poszczególnych państw członkowskich. Dlatego dąży do odzyskania tych kompetencji przez Niemcy w drodze zakwestionowania np. umów międzynarodowych zawartych w Maastricht w 1992 roku i w Lizbonie w 2007 roku. Argumentuje przy tym, że tylko suwerenne państwa szanujące swoją specyficzną tradycję i kulturę mogą zagwarantować swoim obywatelom ochronę tożsamości narodowej, a także indywidualnych i zbiorowych praw człowieka i obywatela³⁵, choć te ostatnie wynikają przecież bezpośrednio z umów międzynarodowych i chronione są przede wszystkim przez instytucje prawa europejskiego. Zdaniem AfD nie przeszkadza to w prowadzeniu wspólnej, uzgodnionej przez zainteresowane państwa będące członkami UE, polityki zagranicznej w poszczególnych dziedzinach. Wyklucza jednak przyjmowanie do Unii Europejskiej państw spoza Europy należących do innego kręgu kulturowego i geograficznego, np. Turcji. We wszystkich stosunkach z państwami pozaeuropejskimi, należy, zdaniem AfD, uwzględnić interesy polityki i bezpieczeństwa Niemiec³⁶.

AFD żąda zdecydowanie uporządkowanego zakończenia „eksperymentu EURO” i podjęcia tej decyzji najlepiej w drodze referendum ludowego, uzasadniając swój pogląd zbyt dużymi różnicami ekonomicznymi pomiędzy państwami UE. Wspólna waluta, zdaniem AfD, hamuje rozwój silniejszych ekonomicznie państw i powoduje nieuzasadnione wyrównywanie finansowe różnic w produktywności poszczególnych narodów europejskich. AfD określa wprowadzenie waluty europejskiej jako projekt

24 Tamże.

25 Program AfD, s.47, 48.

26 *Grundsätze für Deutschland...*, s. 7.

27 Program AfD, s. 9.

28 Program AfD, s. 10.

29 Tamże, s. 11.

30 Tamże, s. 13.

31 Tamże, s. 14.

32 Tamże, s. 13.

33 Tamże, s. 14.

34 Tamże, s. 16.

35 Tamże, s. 17, AfD posługuje się w tym miejscu hasłem „Europa ojczyzn”.

36 Tamże, s. 18.

od początku wyłącznie polityczny, nie mający żadnego uzasadnienia ekonomicznego³⁷. Konflikty narastające w ostatnich latach na gruncie wspólnej waluty zagrażają, zdaniem partii, pokojowemu współistnieniu narodów naszego kontynentu³⁸. Należy dodać, że krytyka wspólnej europejskiej waluty stanowiła pierwszy krok prowadzący do założenia w 1993 roku partii AfD. Z tym wiąże się chwytliwe hasło AfD: „koniec z odpowiedzialnością Niemiec za długi obcych banków”³⁹. To hasło pomogło AfD zaistnieć na niemieckiej scenie politycznej w okresie tzw. kryzysu bankowego.

Zagadnieniom bezpieczeństwa wewnętrznego poświęca AfD dużo uwagi, co oczywiście znajduje odbicie w programie partii⁴⁰.

Partia domaga się zaostrzenia prawa karnego, wprowadzenia zasady odpowiedzialności karnej od 12 roku życia (obecnie – od 14 lat), wprowadzenia do kodeksu karnego odrębnego przestępstwa napaści na funkcjonariusza publicznego, dalszego zaostrzenia przepisów prawa o obcokrajowcach, tak aby umożliwiły one wydalenie z kraju obcokrajowców – sprawców przestępstw kryminalnych i umożliwiły policji ich natychmiastowe izolowanie. Prawo powinno, zdaniem AfD, umożliwiać pozbawianie kryminalistów uzyskanego w drodze nadania obywatelstwa niemieckiego i zlikwidować ułatwienia w nadawaniu obywatelstwa ze względu na długoletni pobyt lub urodzenie w Niemczech.

AfD postuluje izolowanie w ośrodkach odosobnienia, zamiast w szpitalach psychiatrycznych, osób trwale uzależnionych od choroby alkoholowej, których leczenie jest niemożliwe oraz psychicznie chorych, stwarzających niebezpieczeństwo dla społeczeństwa.

Opowiada się przeciwko zaostrzaniu przepisów regulujących posiadanie i używanie broni przez obywateli Niemiec.

Partia domaga się bardziej skutecznej walki z przestępczością zorganizowaną, również w skali międzynarodowej. W celu skutecznej kontroli ruchu granicznego AfD chciałaby wprowadzenia ochrony granic Niemiec, również przy pomocy wojska, budowy technicznych urządzeń zabezpieczających granice i kontroli ruchu granicznego, niezależnie od uszczelnienia granic Unii Europejskiej. Konieczne jest także, zdaniem AfD, unowocześnienie systemu wymiaru sprawiedliwości, sądów i prokuratury, ich rozbudowa personalna i lepsze wyposażenie techniczne w celu przyspieszenia i usprawnienia procedur ich działania.

Aby realizacja tych wszystkich celów była możliwa, AfD postuluje znaczne zwiększenie wydatków budżetu państwa na policję, służby bezpieczeństwa i wymiar sprawiedliwości, powiększenie ich stanu osobowego, zapewnienie im nowoczesnego wyposażenia technicznego oraz rozszerzenie ich prawnych możliwości ingerowania w życie obywateli, szczególnie wobec sprawców będących obcokrajowcami.

Poważną część programu partii zajmują zagadnienia obronności, bezpieczeństwa europejskiego i współpracy międzynarodowej związanej z zapewnieniem bezpieczeństwa Niemiec. AfD chciałaby przywrócić zlikwidowany obowiązek powszechnej służby wojskowej,

motywując ten krok przede wszystkim większą identyfikacją obywateli z armią poborową i funkcją patriotyczno-wychowawczą służby wojskowej⁴¹. Partia opowiada się za zdecydowanym wzmocnieniem i unowocześnieniem armii niemieckiej, wyposażeniem jej w najnowocześniejszy sprzęt i uzbrojenie światowej klasy, aby zwiększyć jej skuteczność bojową i gotowość do podejmowania działań przeciwko wszelkim zagrożeniom, jakie pojawiają się współcześnie⁴². Odpowiednio i systematycznie należy zwiększać nakłady finansowe na obronność kraju. AfD widzi w sile armii niemieckiej także element wzmocnienia autorytetu politycznego na arenie międzynarodowej i umocnienia roli i znaczenia Niemiec w NATO i w Unii Europejskiej. Równocześnie zdecydowanie odrzuca zamiar tworzenia wspólnej armii europejskiej.

Armia niemiecka powinna być wyposażona i uzbrojona w sprzęt produkowany przede wszystkim przez niemiecki przemysł i inicjować w ten sposób rozwój technologiczny i postęp naukowo-techniczny na najwyższym poziomie światowym w przemyśle zbrojeniowym, aby zagwarantować całkowitą narodową niezależność w tym zakresie.

AfD opowiada się za wzmocnieniem roli Niemiec w NATO, uznając tą organizację za gwaranta bezpieczeństwa europejskiego. Również w tym celu chce zwiększenia możliwości bojowych armii niemieckiej. Misje wojskowe poza Europą dopuszcza tylko, jeśli odbywają się na podstawie mandatu ONZ. Każdy udział wojska niemieckiego w działaniach NATO uwzględniać powinien strategiczne interesy Niemiec i przede wszystkim realizacji tych interesów służyć.

Dalsze stacjonowanie na terenie Niemiec wojsk sojuszniczych powinno znaleźć, 70 lat po zakończeniu II wojny światowej i 25 lat po zjednoczeniu Niemiec, nowe uregulowanie prawne uwzględniające pełną suwerenność zjednoczonego państwa. AfD dąży do wycofania z Niemiec wszystkich wojsk sojuszniczych, a szczególnie ich broni atomowej.

Ustosunkowując się do zagadnienia bezpieczeństwa europejskiego AfD stwierdza w swoim programie, że stosunki z Rosją mają podstawowe znaczenie dla Niemiec, dla Europy i dla sojuszu NATO, ponieważ bez Rosji nie jest możliwe zagwarantowanie pokoju i bezpieczeństwa w Europie, a tym samym bezpieczeństwa Niemiec. Rosja jest jedynym państwem, które program AfD z nazwy wymienia w kontekście bezpieczeństwa europejskiego⁴³.

Partia opowiada się za umocnieniem roli ONZ w polityce światowej i pozytywnie ocenia aktywny udział Niemiec w pracach tej organizacji. Żąda jednak gruntownej reformy ONZ, skreślenia z Karty ONZ zapisów dotyczących tzw. państw nieprzyjacielskich jako nieodpowiadających całkowicie zmienionej od czasu zakończenia II wojny światowej sytuacji międzynarodowej i obecnej pozycji Niemiec na arenie międzynarodowej. Domaga się przyznania Niemcom stałego członkostwa w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, motywując to międzynarodowym autorytetem oraz faktem, że Niemcy są trzecim w kolejności państwem utrzymującym finansowo tę organizację międzynarodową⁴⁴.

37 Tamże.

38 Tamże, s. 20.

39 Tamże, s. 21.

40 Tamże, s. 25-27.

41 Tamże, s. 32.

42 Tamże, s. 31.

43 Tamże, s. 31, punkt 4.3.

44 Tamże, s. 30.

W programie AfD jednozdaniową wzmiankę poświęcono zaangażowaniu państwa we wspieranie mniejszości niemieckich za granicą⁴⁵.

AfD reprezentuje pogląd, że niemiecka polityka zagraniczna pozbawiona jest obecnie swojej własnej strategicznej koncepcji i dlatego służy często realizacji obcych interesów, szczególnie amerykańskich. Dlatego AfD domaga się sformułowania dalekosiężnych, strategicznych celów niemieckiej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa mających głównie na uwadze interesy i dobrobyt narodu niemieckiego⁴⁶.

Nawet częściowa realizacja wydających się słusznymi, a w rzeczywistości nierealnych, wewnętrznie sprzecznych, często niebezpiecznych postulatów AfD doprowadziłaby prawdopodobnie do bankructwa niemieckiego państwa. Tezy programowe tej partii obiecują Niemcom przysłowiowe „gruszki na wierzbie”, manipulują wyborcami, przemycają w dyskusji programowej temat prywatyzacji ubezpieczeń społecznych i równocześnie odgrzebuja dawno odrzucone nacjonalistyczne mity. Partia niebezpiecznie zbliża się do środowisk nazistowskich i chętnie korzysta z ich wsparcia oficjalnie się jednak do tego nie przyznaje. Jest to niebezpieczne polityczne awanturnictwo.

Program AfD napisany został stosunkowo prostym językiem, łatwo przyswajalnym przez przeciętnego obywatela. Ukazała się też jego skrócona, dwudziestostronnicowa wersja oraz kilkanaście popularnych broszur programowych dotyczących różnych tematów i poruszających problemy poszczególnych regionów Niemiec. Są one wykorzystywane w ramach kampanii wyborczych w poszczególnych krajach federalnych i w wyborach komunalnych. Partia prowadzi aktywną propagandę swoich treści programowych i prowokuje sytuacje pozwalające jej systematycznie być obecną w mediach.

Program udziela proste odpowiedzi na pytania dotyczące kompleksowych zagadnień i problemów społecznych, politycznych i ekonomiczno-gospodarczych. Sprawia u czytelnika wrażenie, że AfD jako „partia zdrowego rozsądku” stanowi realną alternatywę w stosunku do obecnej polityki ugrupowań określających się jako „masowe partie ludowe”, a do których wyborca utracił już zaufanie.

Niedawno przeprowadzone badania wykazują, że szybko zmienia się elektorat wyborczy i grono sympatyków AfD. Zwiększa się poparcie dla tej partii przez środowiska zdecydowanie prawicowe, tradycyjnie nie wybierające demokratycznych partii politycznych, a także wśród ludzi, którzy sami określają siebie jako mający prawicowe poglądy polityczne. A więc początkowi sympatycy partii głosujący na nią tylko, aby dać wyraz swojemu protestowi, ustępują klienteli wyborczej kierującej się przekonaniem politycznymi. To obecnie 22 proc. wśród zwolenników AfD. Udział robotników wśród wyborców AfD wzrósł w ciągu tylko dwóch lat z 2 proc. w 2014 roku do 11 proc. w roku 2016. Odpowiednio udział bezrobotnych wzrósł z 1 do 15 proc. Zmniejsza się liczba osób starszych i mających maturę wśród popierających AfD. Wśród wyborców i sympatyków AfD jest tylko 3 proc. ludzi w wieku ponad 60 lat. Niepokozi jednak fakt, że wśród sympatyków AfD

jest 10 proc. osób młodszych niż 30 lat. To już pięć razy więcej, niż w roku 2014. Można jednoznacznie stwierdzić, że AfD zyskuje poparcie ludzi młodych, o prawicowych poglądach politycznych i niezadowolonych z obecnej rzeczywistości. Poparcie dla AfD na terenach byłej NRD jest czterokrotnie większe niż w krajach federalnych Niemiec Zachodnich⁴⁷.

W trakcie aktualnie toczącej się w Niemczech debaty na temat imigracji i integracji uchodźców AfD przesuwają się stopniowo coraz bardziej na prawą stronę sceny politycznej. Świadczy o tym wybór do kierownictwa partii na konferencji w Stuttgarcie radykalnych działaczy związanych z neofaszystowską prawicą, próbujących uzyskać większy wpływ na kierunek polityczny, w którym zmierza partia, a także radykalizacja mas biorących udział w zgromadzeniach PEGIDA i innych temu podobnych demonstracjach w całym Niemczech.

Fenomen prawicowego populizmu występujący w wielu krajach Europy znalazł w Niemczech swój polityczny wyraz właśnie w formie partii, która chce tworzyć alternatywę dla społeczeństwa niemieckiego, jednak nie jest w stanie przedstawić sprawiedliwych rozwiązań problemów, których narastanie wypchnęło ją na polityczną arenę. Nie potrafi wyjść poza neoliberalne koncepcje funkcjonowania państwa i społeczeństwa tak w sferze ideologicznej jak i ekonomicznej. Jednakże „liberalizm ekonomiczny prowadzi do rozwarstwienia materialnego, które stawia pod znakiem zapytania prawnie gwarantowaną równość”⁴⁸.

Prawicowy populizm w Niemczech nierozłącznie związany jest z silnym nacjonalizmem, co uniemożliwia partii takiej jak AfD wyjście z narodowego zaścianu i spojrzenie na istniejące problemy kapitalizmu z szerszej, globalnej perspektywy. W globalnym kapitalizmie rozwiązywanie istniejących problemów musi następować w międzynarodowym wymiarze i wszelki nacjonalizm utrudnia tylko znalezienie racjonalnych rozwiązań.

Instrumenty polityczne globalnego kapitalizmu całkowicie zawiodły, gdyż nie pokazują perspektywicznych rozwiązań i dróg wyjścia mogących zdobyć poparcie mas społecznych. Czy należy zatem w ogóle próbować je naprawiać?

Jak długo polityka i jej demokratyczne siły, reagując na globalne kryzysy kapitalizmu nie przedstawia wizji sprawiedliwego społeczeństwa przyszłości, tak długo będzie trudne zatrzymanie natarcia prawicowego populizmu w Niemczech i w całej Europie. Wydaje się zatem, że stworzeniu takiej zupełnie nowej i atrakcyjnej dla przyszłych pokoleń wizji powinien być poświęcony intelektualny i polityczny wysiłek demokratycznych elit w Europie i na całym świecie.

Może pojawia się tu nowa, historyczna szansa dla socjalistycznej myśli społecznej?

WIESŁAW WYSOCKI

47 Studie des Deutschen Instituts für Wirtschaftsforschung (DIW) Berlin, zaprezentowanej 23.08.2016, opartej na badaniu ponad 16 tysięcy gospodarstw domowych, uwzględniających tylko osoby zdecydowanie wiążące się z jedną partią polityczną. Nie uwzględnia więc osób które przy następnych wyborach mogą się spontanicznie dołączyć do zwolenników AfD.

48 M. Szyszkowska, Przedmowa do: *Braterstwo i pacyfizm a demokracja*, pod red. Anny Krynieckiej i Tadeusza Mędelowskiego, Białystok 2016, s. 6.

MAREK ZAGAJEWSKI

„TROCKIŚCI” Z WASZYNGTONU

Trockizm – neokonserwatyzm

Trockizm, którego hasłem wywoławczym jest koncepcja „permanentnej rewolucji proletariackiej” w jej światowym wymiarze, na północy Ameryki sięga korzeniami do początków minionego stulecia, wywodząc się w naturalny sposób z represjonowanych ruchów socjalistycznych i komunistycznych pulsujących w owym czasie na terenie Nowego Świata. Natomiast współcześnie mianem trockistów piętnuje się w Stanach Zjednoczonych tych zwolenników prawicowych nurtów politycznych, którzy odcinając się od swojej lewicowej tradycji doczekali się od swoich niedawnych ideowych pobratymców złośliwego szyldu pod zbiorczą nazwą „nowego konserwatyzmu”. Faktycznie, wielu wpływowych trockistów, łącznie z ich ideowymi następcami przeszło, poprzez antystalinizm, szerzej antykomunizm i „zimną wojnę” na pozycje zwolenników aktualnie panującej w USA demokratyczno-imperialnej ideologii.

Jacek Bartyzel podkreślił, że w sensie ogólnym na miano neokonserwatyzmu zasługuje każdy nurt myśli i akcji politycznej, który nawiązuje wybiórczo do filozofii politycznej klasycznego konserwatyzmu. Jego zdaniem, wedle Oficjalnego Serwisu Internetowego Organizacji Monarchistów Polskich, neokonserwatyzm oznacza popularne określenie poglądów i działań przedstawicieli jednego z nurtów liberalizmu amerykańskiego, którzy przeszli ewolucję od skrajnej lewicy trockistowskiej poprzez antykomunistyczne i »zimnowojenne« centrum do prawicy nowego typu, najpierw »paleoliberalnej«, a obecnie demokratyczno-imperial-

nej. W pomieszczonym tam hasle „Neokonserwatyzm” Bartyzel rozwija tę syntetyczną formułę dając źródłowo bogatą charakterystykę całego kontekstu ideowego i życia politycznego w Stanach Zjednoczonych minionego stulecia, co znajdzie swój wyraz w dalszych wywodach.

Ukształtowany w ten sposób prawicowy nurt ideologiczny opatrzony został przez reprezentantów amerykańskiej lewicy Lewisa A. Cosera i Irwinga Howe’a, redaktorów czasopisma „Dissent”, w 1974 roku nazwą „nowy konserwatyzm” w reakcji na zdradę radykalnego obozu ideowego. Po dwóch latach krytyczne podejście do postawy trockistowskich dysydentów wsparł Michael Harrington, autor bestsellerowej książki *Inna Ameryka* (1963), przedkładając jako pomysłodawcę termin „neokonserwatyzm”, który został dobrze przyjęty przez politycznie aktywne środowiska opinio-twórcze.

W tym miejscu należy podkreślić wysoką pozycję polityczną Harringtona, który w roku 1973 zrezygnował z członkostwa w ruchu socjalistycznym i stał się jednym z założycieli z udziałem grupy byłych działaczy Social Democrats USA (Partii Socjalistycznej), trockistowskiego ugrupowania Democratic Socialist Organizing Committee (Partii Demokratyczno-Socjalistycznej). Sam Harrington wcześniej aktywnie uczestniczył w powołaniu League for Industrial Democracy, która stała się społeczną bazą ruchu studenckiego New Left Students for a Democratic Society.

Reprezentatywne dla radykalnej lewicy poglądy zdaje się trafnie wyrażać przywódca socjalistów w dru-

giej połowie lat pięćdziesiątych, także trockista Max Shachtman, zwłaszcza w krytyce radzieckiego „komunizmu” jako nowej formy społeczeństwa klasowego zorganizowanego w postaci państwa „biurokratycznego kolektywizmu”. Szczególnie rażąca dla Shachtmana była niezwykle drastyczna skala społecznych nierówności, a jego całościowa charakterystyka funkcjonowania Związku Radzieckiego posłużyła z kolei jugosłowiańskiemu byłemu dygnitarzowi partyjnemu Milovanowi Đilasowi jako dobry punkt odniesienia do zbudowania koncepcji „nowej klasy” w ówczesnych „komunistycznych” czy socjalistycznych społeczeństwach. Na tym tle socjaliści o trockistowskiej proveniencji podjęli, bez stosowania przemocy, walkę o prawa obywatelskie, udzielając poparcia takim przedstawicielom ruchów na rzecz praw człowieka jak Martin Luter King, łącznie z organizacją słynnego marszu na Waszyngton w 1963 roku. Z kolei przywódcy socjalistów pod hasłem „przebudowy” życia społecznego w socjalno-liberalnym duchu działali na rzecz umacniania związków zawodowych, praw pracowniczych, walki z ubóstwem i wspierania ruchów obywatelskich służących rozwiązywaniu problemów społecznych.

Na tym gruncie zrodził się w połowie lat siedemdziesiątych ruch neokonserwatywny jako reakcja na nadmierny rozrost i zbiurokratyzowanie opiekuńczych funkcji państwa w rezultacie rządów liberałów za czasów Kennedy’ego i Johnsona. Nie odżegnując się od liberalnych korzeni, neokonserwatyści zachowali koncepcję państwa dobrobytu, jednak w nader okrojonej postaci w celu zapewnienia bezpieczeństwa socjalnego ludziom znajdującym się na dole drabiny społecznej. Fundamentem neokonserwatywnej ideologii była wszak wolność ekonomiczna, której sedno stanowiła gospodarka wolnorynkowa i właściwe jej mechanizmy jako podstawa racjonalnej organizacji szeroko pojętego życia społecznego.

Generalnie, we własnym mniemaniu neokonserwatyści pospieszyli na ratunek Ameryce, która znalazła się w stanie ogarniającego ją coraz szerzej kryzysu elit rządzących i politycznych instytucji, upadku autorytetów i nacisku kontrkultury, co w sumie stanowiło silne zagrożenie dla amerykańskiego stylu życia. Rewolta lat sześćdziesiątych przeciwko tradycyjnemu porządkowi społecznemu wywołała u części wpływowych lewicowych intelektualistów ducha swoistego mesjanizmu w obronie tradycyjnych wartości amerykańskiego społeczeństwa. To nie pierwszy ani nie ostatni w historii przypadek przechodzenia czołowych przedstawicieli lewicy na prawicowe pozycje polityczne, nieobcy także, z uwzględnieniem rodzimej specyfiki, naszemu życiu politycznemu.

Wśród głównych uczestników ruchu neokonserwatywnego znalazło się wielu wybitnych amerykańskich intelektualistów i działaczy politycznych. Sprawa jest tym ciekawsza, jeśli zważyć, że od wielu lat na korytarzach Białego Domu, Departamentu Stanu i Departamentu Obrony króluje liczne grono młodego pokolenia potomków neokonserwatystów umownie zwanych „trockistami” z Waszyngtonu.

Listę wiodących neokonserwatystów bezspornie otwierają: Irving Kristol, założyciel kwartalnika „The Public Interest” (1965); Norman Podhoretz, od 1960 roku, redaktor miesięcznika „Commentary”; Daniel Bell, autor

The End of Ideology: On the Exhaustion of Political Ideas in the Fifties (1960); czołowy trockista, filozof Sidney Hook; badacz wielokulturowości socjolog Nathan Glazer; socjolog polityki Seymour M. Lipset; historycy Walter Laqueur i Donald Kagan; pisarz David Horowitz; katolicki liberał Michael Novak; luterkańscy socjologowie religii Brigitte i Peter L. Bergerowie; Richard J. Neuhaus, ksiądz katolicki, a do 1991 roku pastor luterkański; politolog James Q. Wilson oraz politycy Jeane J. Kirkpatrick i Patrick Moynihan. Jednak od strony terminologicznej sytuacja daleka jest od jednoznaczności, ponieważ tylko Kristol wyraźnie określa się jako neokonserwatysta, gdy Glazer przedstawia się jako „łagodny konserwatysta”, Novak jako „neoliberal”, a Bell uważa się za konserwatystę w sprawach kultury, natomiast w polityce zajmuje stanowisko liberalne, gdy tymczasem jego skłonności socjalistyczne determinują z kolei poglądy ekonomiczne. Na dodatek używa się zamiennie wyrażen „liberalny konserwatyzm” i „prawicowy liberalizm”.

Widoczne ideologiczne zróżnicowanie ruchu neokonserwatywnego od trockizmu poprzez socjalizm do neoliberalizmu okazało się w praktyce politycznej wielką zaletą, nadając mu dużą dynamikę dzięki zespoleniu jego zwolenników wokół „historycznej misji” budowy światowego imperium USA. Na tej bazie ideowej doszło do wypracowania programu „permanentnej wojny o demokrację” z czytelną aluzją do trockistowskiej koncepcji „permanentnej rewolucji” w światowej skali. Ta strategia globalnej hegemonii Stanów Zjednoczonych zakładała „permanentną” obecność militarną na wszystkich kontynentach jako ochrona, a niekiedy i forpoczą, eksportu kapitału i wolnorynkowej gospodarki pod szyldem egzekwowania praw człowieka i obywatela, łącznie z „krzewieniem” demokracji liberalnej. Warto uzupełnić, że militaryzacja amerykańskiej polityki zagranicznej przebiega nader pomyślnie, jeśli zważyć rosnącą liczbę baz wojskowych, która zbliża się do dziewięciuset, w tym w samych Niemczech niemal trzysta.

Neokonserwatywna „demokratyczno-mesjanistyczna” ideologia państwowa naturalnie umacnia władzę amerykańskiej oligarchii kapitału finansowego i korporacyjnego z wiodącą rolą kompleksu wojskowo-przemysłowego ulokowanego wokół Wall Street. Demoliberalna ideologia i „mistyka” praw człowieka stanowi udatny kamuflaż dla hegemonicznej polityki amerykańskich elit formowania światowego imperium, które stosunkowo łatwo może zwalczać opornych poprzez organizowanie „kolorowych rewolucji”, czy w skrajnych przypadkach „pokojowych interwencji” armii amerykańskiej.

Przy tym należy zawsze usilnie podkreślać, że sytuacje związane z naruszaniem praw człowieka i obywatela, demokracji i najszerzej pojętych wolności występują w naszych czasach w masowej skali i prowadzona przez Waszyngton interwencyjna polityka, mimo jej instrumentalnego charakteru, w znacznym stopniu służy realnej poprawie w tej sferze życia społecznego. Kwestia praw człowieka stanowi faktyczny problem w światowej skali i – mimo ich naruszania przez politykę kolejnych rządów Stanów Zjednoczonych – nie należy kwestionować określonego postępu w tym obszarze.

Podobno funkcjonuje bliżej nieokreślone obliczenie wedle którego amerykańskie tajne służby i armia przy-

czyniły się od 2000 roku do obalenia ponad trzydziestu rządów na świecie. Tradycyjne hasło izolacjonistycznej polityki *America first!* stało się zawołaniem imperialnej strategii kolejnych rządów Stanów Zjednoczonych, zza której wyziera Trockiego koncepcja „permanentnej rewolucji”, którą można przedstawić w postaci znacząco zmodyfikowanej formuły „permanentnej światowej rewolucji burżuazyjnej”.

Lektura Marksa

Przedstawiona w czarnych barwach bezwzględna działalność amerykańskiej oligarchii finansowej i korporacyjnej w równej mierze na polu gospodarczym jak i politycznym może stwarzać wrażenie, że ich przedstawiciele są pozbawieni ludzkich uczuć, sumienia i moralności. Takie podejście opiera się na nieporozumieniu, przed którym przestrzegał Karol Marks, prezentując w *Kapitale* w negatywnym świetle „postaci kapitalisty i właściciela ziemskiego. Ale o osoby idzie tu o tyle tylko, o ile są uosobieniem kategorii ekonomicznych, przedstawicielami określonych stosunków i interesów klasowych. Mój punkt widzenia ujmuje rozwój ekonomicznej formacji społeczeństwa jako proces przyrodniczo-historyczny; dlatego też w mniejszym stopniu niż jakikolwiek inny punkt widzenia może on obarczać jednostkę odpowiedzialnością za stosunki, których sama, społecznie biorąc, pozostaje wytworem, choćby je subiektywnie przerastała” (Karol Marks, *Przedmowa do wydania pierwszego. Kapitał. Krytyka ekonomii politycznej. Tom I. Proces wytwarzania kapitału*, MED., t. 23, Warszawa 1968, s. 8.).

Dobrym przykładem trafności stanowiska Marksa może być chociażby Engels, typowy dziewiętnastowieczny kapitalista, który czerpał dochody z bezwzględnego wyzysku swoich robotników fabrycznych, chociaż bez wątpienia „subiektywnie przerastał” stosunki społeczne, których w roli kapitalisty był „wytworem”. Skoro wedle opinii Marksa kapitał rządzi kapitalistą, a nie odwrotnie, to oczywiście nie ma on zbyt wielkiego wpływu na swoje postępowanie w roli właściciela fabryki.

Podobnie w świecie polityki można rozpatrywać kwestię zakresu samodzielności działań przedstawicieli władzy państwowej w związku z podejmowanymi przez nich stosownymi decyzjami. Wedle autorów *Manifestu Partii Komunistycznej*, kiedy po upadku feudalizmu powstała nowa rzeczywistość społeczna „wywalczyła sobie wreszcie burżuazja od czasu powstania wielkiego przemysłu i rynku światowego wyłączne panowanie polityczne w nowoczesnym państwie parlamentarnym. Nowoczesna władza państwowa jest jedynie komitetem zarządzającym wspólnymi interesami całej klasy burżuazji” (Karol Marks i Fryderyk Engels, *Manifest Partii Komunistycznej*, MED., Warszawa 1986, s. 641.). Z tego punktu widzenia stanowisko klasyków niewiele różni się od charakterystyki pozycji społecznej kapitalisty, chociaż tym razem widoczna jest swego rodzaju piętrowa konstrukcja funkcjonowania państwa. Marks uważał, że z określonych „stosunków i interesów klasowych” wyrasta burżuazja jako ich zbiorowe uosobienie, która z kolei niejako na wyższym piętrze życia społecznego kształtuje w swoim interesie działania władz państwowych. Z kolei rękoma burżuazji gospodarka zawiaduje uosabianą przez elity rządzące

praktyką polityczną, której decyzje artykułowane przez odpowiednie władze państwowe obsługują interesy ekonomiczne klasy burżuazyjnej i jedynie w tym zakresie możliwe jest polityczne formowanie życia społecznego. W tym sensie potęga kapitału w jego rozmaitych postaciach staje się podstawą politycznych praktyk burżuazji i główną siłą dynamiki rozlicznych sfer życia społecznego.

W tej perspektywie teoretycznej znakomicie lokują się początkowe fragmenty pierwszego rozdziału *Manifestu Partii Komunistycznej* zatytułowanego *Burżuazja a proletariusze*, trafnie ukazujące totalne władztwo kapitału, którego naturalną personifikacją jest oczywiście burżuazja. W tym miejscu warto od razu zaznaczyć, że Marks nie posługiwał się terminem „kapitalizm” po części dlatego, że go wówczas jeszcze nie było, stosując nągiem w sensie opisowym formułę „nowoczesne społeczeństwo burżuazyjne”.

Dla autorów *Manifestu* kluczową kwestią dziewiętnastowiecznej „nowoczesności” w światowym wymiarze było wychodzenie z łona feudalizmu nowoczesnych stosunków własnościowych w połączeniu z najdalej idącymi tego konsekwencjami dla całokształtu życia społecznego. Całkowite odcięcie się od tradycyjnych stosunków społecznych oznaczało radykalne zerwanie z dotychczasowymi formami organizacji społeczeństwa i zastąpienie go nowym sposobem życia właściwym feudalnej kulturze.

W takim znaczeniu wolno odczytywać zawarte w *Manifestie* fundamentalne stwierdzenie: „Burżuazja odegrała w historii rolę w najwyższym stopniu rewolucyjną” (s. 641). Dopiero nowoczesna burżuazja „pokazała, co może sprawić ludzka działalność” (s. 642). Burżuazja zbudowała wielki przemysł, który stworzył rynek światowy wywołując „niebываły rozwój handlu, żeglugi, środków komunikacji lądowej. Rozwój ten wpłynął z kolei na rozrost przemysłu, a w tym samym stopniu, w jakim rozwijał się przemysł, handel, żegluga, koleje żelazne, rozwijała się burżuazja, mnożyła swoje kapitały, wypierała na dalszy plan wszystkie klasy pozostałe po średniowieczu.

Widzimy zatem, że nowoczesna burżuazja sama jest wytworem długiego procesu rozwojowego, szeregu przewrotów w sposobie produkcji i wymiany” (s. 640). To niezwykle dynamiczne gospodarcze *perpetuum mobile* wprowadza „jedną jedyną, pozbawioną sumienia, wolność handlu. Słowem, wyzysk osłodzony złudzeniami religijnymi i politycznymi zastąpiła wyzyskiem jawnym, bezwstydnym, bezpośrednim, nagim” (s. 642-643). Burżuazja, gdy doszła do władzy, wykonywanie wszelkiego rodzaju zajęć podporządkowała powszechnie stosowanej, opłacanej „gotówką”, pracy najemnej, społeczne więzi oparła na nagim interesie i egoistycznym wyrachowaniu, a „godność osobistą sprowadziła do wartości wymiennej” (s. 641).

Konkluzywnie autorzy *Manifestu* uznali, że „burżuazja nie może istnieć bez nieustannego rewolucjonizowania narzędzi produkcji, a więc stosunków produkcji, a więc całokształtu stosunków społecznych. [...] Ustawiczne przewroty w produkcji, bezustanne wstrząsy ogarniające całość życia społecznego, wieczna niepewność i wieczny ruch odróżniają epokę burżuazyjną od wszystkich poprzednich. Wszystkie stężełe, zaśniedziałe stosunki wraz z nieodłącznymi od nich, z dawien

dawna uświęconymi pojęciami i poglądami ulegają rozkładowi, wszystkie nowo powstałe stają się przestarzałe, zanim zdążą skostnieć. Wszystko, co stanowe i zakrzepłe, znika, wszystko, co święte, ulega sprofanowaniu” (s. 642-643).

Podstawę upowszechnienia kapitalistycznego sposobu produkcji stanowią potężne i stale rozwijające się siły wytwórcze, które wraz z niesłychaną wynalazczością umożliwiają wcześniej niespotykane opanowywanie sił przyrody. „Potrzeba coraz szerszego zbytu dla jej produktów gna burżuazję po całej kuli ziemskiej. Wszędzie musi się ona zagnieździć, wszędzie zadomowić, wszędzie zadzierzgnąć stosunki.

Przez eksploatację rynku światowego burżuazja nadała produkcji i konsumpcji wszystkich krajów charakter kosmopolityczny” (s. 643).

W kapitalistyczną gospodarkę wmontowany jest wewnętrzny mechanizm jej nieubłaganej i wcześniej nieznannej globalizacji, wraz z całokształtem stosunków społecznych. „Dzięki szybkiemu doskonaleniu wszystkich narzędzi produkcji, dzięki niezwykłemu ułatwieniu komunikacji burżuazja wciąga w nurt cywilizacji wszystkie, nawet najbardziej barbarzyńskie narody. [...] Pod groźbą zagłady zniewala wszystkie narody do przyswojenia sobie burżuazyjnego sposobu produkcji, zniewala je do wprowadzenia u siebie tak zwanej cywilizacji, tzn. do stania się burżua. Słowem, stwarza sobie świat na obraz i podobieństwo swoje” (s. 644.).

Burżuazja poprzez powszechną urbanizację doprowadziła do podporządkowania wsi panowaniu miasta, scentralizowania środków produkcji i własności „w wielu rękach”, co doprowadziło do centralizacji politycznej. W efekcie charakterystyczne dla feudalizmu, rozliczne prowincje i regiony „zostały zespolone w jeden naród z jednym rządem, jednym ustawodawstwem, jednym narodowym interesem klasowym, jedną granicą celną” (s. 644-645).

Mimo że *Manifest Partii Komunistycznej* nie należy do ulubionych lektur naszych intelektualistów, to jednak warto zapoznać się z tymi skrótowymi wypisami, aby uzmysłwić sobie, jak dalece ludzkość, czego klasycy byli doskonale świadomi, od kilku stuleci znajduje się w stanie głębokiego zanurzenia w nieuchronnie toczącym się procesie „permanentnej światowej rewolucji burżuazyjnej”. Nie powinno także zaskakiwać, że na obecnym etapie tego historycznego procesu kierownicza rola przypadła światowemu mocarstwu – Stanom Zjednoczonym, zgodnie z polityką waszyngtońskich elit i nosicieli kapitału z Wall Street.

Demokratyczna wolnoamerykanka

Od dziesiątków lat Stany Zjednoczone z sukcesem pracowicie zabiegają o ukształtowanie swojego wizerunku jako najbardziej demokratycznego państwa na świecie, co w przekonaniu amerykańskich elit daje im mandat do wypełniania misji głównego krzewiciela zasad demokratycznych oraz praw człowieka i obywatela w dowolnym państwie kuli ziemskiej. Jednak od zarania amerykańskiej państwowości po współczesność prowadzona przez władze polityka wewnętrzna nie ma bezgrzesznego charakteru i jak to zwykle bywa, ma także drugą stronę medalu.

W tym kontekście warto chociażby przypomnieć znamieny dekret nr 9066 prezydenta Roosevelta z 19 lutego 1942 roku wydany wkrótce po ataku japońskiego lotnictwa na bazę wojskową Pearl Harbor na Hawajach. Dekret ten upoważnił sekretarza wojny do utworzenia stref wojskowych, z których można było wysiedlić wraz z rodziną dowolnego obywatela Stanów Zjednoczonych, uznanego za potencjalnego szpiega czy sabotażystę. W efekcie na terenie USA w specjalnych miejscach odosobnienia osadzono około 120 tysięcy obywateli amerykańskich pochodzenia japońskiego, głównie na terenie Zachodniego Wybrzeża, około 3 tysiące pochodzenia włoskiego i 11 tysięcy osób o niemieckich korzeniach etnicznych. Można uznać, że w warunkach toczącej się już od kilku lat drugiej wojny światowej takie działania władz Stanów Zjednoczonych było w pełni uprawnione, tym niemniej w 1988 roku rząd amerykański przeprosił internowanych i w swoim stylu wypłacił im stosowne odszkodowania. Oczywiście, że współczesny wariant tej sytuacji związany z obozem Guantanamo czy „więzieniami CIA” ma nieporównanie ostrzejszy i nieludzki charakter, typowy dla polityki państwa stanu wyjątkowego.

Koniec „gorącej wojny” stał się początkiem „zimnej wojny” i związanej z nią szpiegomanii, walki ze Związkiem Radzieckim, szeroko pojętym „obozem socjalistycznym”, a przede wszystkim z komunizmem, także na froncie wewnętrznym, gdzie uprzywilejowane miejsce niejako z urzędu należało się działającej od 1919 roku Komunistycznej Partii USA.

W świecie kultury została dobrze zapamiętana, wymierzona w środowisko filmowców operacja Komisji ds. Badania Działalności Antyamerykańskiej Izby Reprezentantów, która przeszła do historii pod kryptonimem Hollywoodzka Dziesiątka. Przewodnictwo złożonej z dziewięciu członków powołanej przez Izbę Reprezentantów, House Committee on Un-American Activities, która w 1946 roku uzyskała status pełnoprawnej komisji stałej, rok później objął znany ze swego antykomunizmu przeciwnik prezydenta Roosevelta i polityki Nowego Ładu, John T. Parnell.

Wkrótce, wiosną 1947 roku komisja ogłosiła zamiar przeprowadzenia serii przesłuchań aktorów, producentów, scenarzystów i reżyserów pod zarzutem uprawiania kryptokomunistycznej propagandy w treściach zawartych w upowszechnianych w sieci kin filmach. Same przesłuchania „dziesiątki z Hollywood” rozpoczęły się 20 października 1947 roku i szybko dobiegły końca za sprawą decyzji Kongresu z 24 listopada o postawieniu tej grupy osób przed sądem w trybie karnym za obrazę Izby Reprezentantów. Stało się tak, ponieważ „dziesiątka” sprzeciwiła się trybowi przesłuchań przed komisją i po odmowie składania zeznań została w krótkim czasie skazana na stosunkowo łagodne wyroki więzienia. [Włodzimierz Batóg, *Wywrotowcy? Komunistyczna Partia USA we wczesnym okresie zimnej wojny (1945-1954)*, Warszawa 2003, s. 165-166].

Wśród nich z bardziej znanych do dzisiaj postaci znaleźli się między innymi wybitny reżyser Edward Dmytryk i doskonały scenarzysta Dalton Trumbo, który, nawiasem mówiąc, po odbyciu kary przez lata tworzył scenariusze filmowe pod innymi nazwiskami. Komisja przesłuchiwała także wielkich producentów:

Jacka Warnera i Walta Disneya oraz tak świetnych aktorów, jak Ginger Rogers, Robert Montgomery, Georg Murphy, Adolph Menjou, Sam Wood czy Gary Cooper (tamże, s. 211).

Listę ofiar antykomunistycznych prześladowań barwnie wzbogaca postać Dashiella Hammetta, znanego autora powieści kryminalnych, zwłaszcza bestsellera *Sokół Maltański*, który doczekał się w 1941 roku ekranizacji pod tym samym tytułem w reżyserii znakomitego Johna Hustona z udziałem niezwykle popularnego aktora Humphreya'a Bogarta występującego jako detektyw Sam Spade. Zapewne niewielu widzów tego wybitnego filmu wiedziało, że Hammett nie tylko sympatyzował z komunizmem, ale być może nawet wstąpił do Komunistycznej Partii USA.

Otóż ten prekursor czarnego kryminału po kilku latach sam popadł w poważne tarapaty, udzielając wsparcia skazanym w 1947 roku dziesięciu filmowcom z Hollywood. Hammett wpłacił pieniądze na stosowny fundusz poręczycielski, w związku z czym nowojorski sąd w 1950 roku zażądał od niego ujawnienia nazwisk innych płatników. Za odmowę autor kryminałów został zgodnie z ówczesnym ustawodawstwem skazany na sześć miesięcy więzienia, które odsiedział dzielnie czyszcząc toalety w miejscu odosobnienia w stanie Kentucky.

Komentując swoje zachowanie przed sądem Hammett później stwierdził, że nie pozwoli, aby „gliniarze i sędziowie” mówili mu „czym jest demokracja”. Dobrym zakończeniem tej przykłej historii może być ciekawa wymiana zdań między nim a senatorem McCarthyem. Gdy po odbyciu kary przez Hammeta, zapytał go McCarthy: „Czy sądzi pan, że komunizm, taki, jaki jest praktykowany teraz w Rosji, to lepsza od naszej forma rządów?”, usłyszał w odpowiedzi: „Nie sądzę, aby komunizm rosyjski był lepszy dla Stanów Zjednoczonych, ale nie sądzę też, by lepsza była dla nich jakaś forma imperializmu” (Jacek Szczerba, *Pięść i ironia*, „Gazeta Wyborcza”, 25. 01. 2011).

Postawa Hammetta zadziwia pryncypialnością, z jaką wyraża fundamentalne przekonanie, że nie będzie nikt mu mówił, czym jest demokracja i wolność. Nie ustąpił nawet za cenę utraty wolności i odbycia kary więzienia i nie dopuścił, aby, jak mówił, „gliniarze i sędziowie” jako przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości określali demokratyczne standardy. Jak pokazał rozwój wydarzeń, ich bohater, obywatel Dashiell Hammett z zawodu literat, uznawał jedynie siebie samego za uprawnionego do oceny praktykowanej demokracji. Zapewne poprawna i akceptowalna wedle niego charakterystyka demokracji musi opierać się na założeniu pełni praw obywatelskich, której podstawą jest wolność ustalania w demokratycznym trybie przez uczestników życia politycznego jego demokratycznych reguł. Także narzucanie przez jakiekolwiek państwo innym krajom własnych rozwiązań ustrojowych należy uznać za niedopuszczalne naruszenie demokracji i ustaleń w tymże trybie międzynarodowych praw.

Przykład losów Hammetta i wielu innych zdaje się dowodzić niedemokratycznego charakteru wewnętrznej polityki Stanów Zjednoczonych, w tym także antykomunistycznej, prowadzonej w warunkach zimnej wojny w praktyce wedle zasad swoiście pojmowanego „stanu wyjątkowego”, dodatkowo zaostrzonego polity-

ką walki z terroryzmem. Giorgio Agamben dowodził, że we współczesnych państwach demokratycznych, zwłaszcza w USA, polityka prowadzona jest głównie w ramach stanu wyjątkowego, który wbrew nazwie przestał być nadzwyczajnym środkiem, „wyjątkiem od reguły”, stanem przejściowym i czasowym, stając się regułą, stanem permanentnym i normalnym (por. Giorgio Agamben, *Stan wyjątkowy. Homo sacer II, 1*, przeł. M. Surma-Gawłowska, postłowie G. Jankowicz, P. Mościcki, Kraków 2008, s. 16-17).

Eric Foner, były prezydent Stowarzyszenia Historyków Amerykańskich i jeden z najbardziej wpływowych intelektualistów USA, w wywiadzie udzielonym polskiemu dziennikarzowi powiedział, że w rezultacie nagonki organizowanej przez senatora McCarthy'ego, jego rodzice trafili na czarną listę i mieli zakaz nauczania. Jego ojciec i wuj wykładali historię w City College w Nowym Jorku i w gronie sześćdziesięciu wykładowców stracili pracę, ponieważ ktoś „wskazał ich jako komunistów”. Ta swoista „lustracja” doprowadziła po kilku latach także jego matkę do utraty pracy w szkolnictwie. Przyjaciół Foner, który spędził młodość w komunistycznych Węgrzech, powiedział mu kiedyś: – Dorastałem w kraju, w którym każdy rozumiał, że większość z tego co mówi rząd, jest nieprawdą. To zabawne – ja na to. – Dorastaliśmy chyba w tym samym kraju. Wojny, te gorące, i te zimne zawsze rodziły w Ameryce pokusy ograniczania wolności tych, których podejrzewano o to, że są po drugiej stronie – nie inaczej jest dzisiaj” (*Ameryka nie jest niewinna* – Eric Foner, w: A. Domosławski, *Ameryka zbuntowana. Siedemnaście dialogów o ciemnych stronach imperium wolności*, Warszawa 2007, s. 48).

Senator McCarthy, przewodniczący od stycznia 1953 roku senackiej Komisji ds. Badania Operacji Rządowych, drugoplanowej agendy Kongresu, rozwinął na tej podstawie prowadzoną przez wiele lat kampanię antykomunistyczną. W pochodzącej od jego nazwiska epoce maccartyzmu w okresie zimnej wojny była ścigana sądownie i karana nie tylko odmowa składania zeznań bądź odmowa odpowiedzi na pytanie o przynależność do legalnie działającej Komunistycznej Partii USA, ale także odmowa wskazania będących w niej krewnych, znajomych czy przyjaciół. Tropieni byli także Amerykanie, którzy w czasach zimnej wojny czy walki z terroryzmem mieli poglądy uważane za „nieamerykańskie”. Wedle Foner ludzie znajdujący się w takim położeniu „tracili prawo do wolności, nie mogli znaleźć pracy, niekiedy trafiali do więzienia. W czasach zimnej wojny idea wolności w Ameryce została zredukowana do antykomunizmu” (tamże.). Okazało się, że w Ameryce w czasach maccartyzmu miejscem pobytu niektórych komunistów było więzienie, ale nie należy zapominać, że podobny los spotkał wielu autentycznych komunistów w okresie stalinizmu w Związku Radzieckim i całym bloku wschodnim. Bez żadnej przesady można przypisać Stalinowi i jego polepchnikom sprawstwo prawdziwej hekatombi komunistów wraz z ich rodzinami.

Prezydent Harry Truman, liberalny demokrat, nakazał podpisywanie „lojalek” w formie deklaracji o przynależności do organizacji, które jeśli okazywały się „wywrotowe” powodowały utratę pracy. FBI sprawdzała, jakie osoby chodzą na „nieprawomyśl-

ne” koncerty na przykład Paula Robsona, sympatyka partii komunistycznej, co automatycznie powodowało umieszczenie delikwenta na czarnej liście. W tym samym celu FBI poszukiwała w bibliotekach komunistycznych publikacji, aby ustalić dane osobowe wypożyczających je czytelników (por. *Buntowniczy duch Ameryki – Howard Zinn*, w: A. Domostawski, dz. cyt., s. 280).

Zasadniczym problemem życia politycznego w Stanach Zjednoczonych zdaje się być funkcjonowanie demokracji w ramach państwa stanu wyjątkowego. Ta wewnętrznie sprzeczna sytuacja pozwala utrzymać pod kontrolą narastający potencjał społecznego niezadowolenia i protestów przeciwko rosnącej skali nierówności i niskiego poziomu życia ludności. W tych warunkach amerykański kapitał posiada dostateczną przestrzeń dla zyskowego wychodzenia z ostatniego kryzysu ekonomicznego, podobnie jak działo się to wcześniej, ale zarazem nieuchronnie przygotowuje przesłanki dla pojawienia się kolejnej demokratycznej rewolucji w Stanach Zjednoczonych.

Marks – Trocki – neokonserwatyzm

Ideowe połączenie Marksa z Trockim nie odsuwa na stronę koncepcji „permanentnej światowej rewolucji proletariackiej”, lecz przesuwa jej perspektywę w mniej lub bardziej odległą przyszłość, w zależności od dynamiki rozwoju „permanentnej rewolucji burżuazyjnej” w światowej skali. Należy przypomnieć, że wedle Marksa bezklasowe, oparte na wspólnej własności środków produkcji komunistyczne społeczeństwo wymaga uprzedniego opanowania ziemskiego globu przez kapitalistyczny sposób produkcji wraz z całokształtem właściwych mu stosunków społecznych. Zatem, zgodnie z logiką historycznego rozwoju, komunizm możliwy jest jedynie jako postkapitalizm. Innymi słowy, wyrażając się publicystycznie: „wy zróbcie swoje, a my po was posprzątam”, ma się rozumieć, rękoma ruchu komunistycznego. Sensowność tych przewidywań nieubłaganie zweryfikuje historia dziejów najnowszych, ale pamiętać należy, że z natury rzeczy kapitał, zwłaszcza finansowy, jest bardzo niecierpliwy i zdeterminowany w dążeniu do panowania nad światem, co doprowadzi wedle Marksa do komunizmu.

Warto jeszcze jako ciekawostkę odnotować, że w kontekście rooseveltońskiej polityki Nowego Ładu w latach trzydziestych minionego stulecia Komunistyczna Partia USA „lansowała hasło »Komunizm to dwudziestowieczny amerykańizm«” [Włodzimierz Batóg, *Wywrotowcy? Komunistyczna Partia USA we wczesnym okresie zimnej wojny 1945-1954*, Warszawa 2003, s. 161]. Protestów nie odnotowano.

„Aksamitna rewolucja”

Rozpad Czechosłowacji w 1993 roku zyskał miano „aksamitnego rozvodu”, bowiem mimo braku referendum miał bardzo łagodny przebieg. Być może dzięki temu pokojowe przejście władzy w Czechosłowacji w drugiej połowie 1989 roku opisano za pomocą nazwy „aksamitna rewolucja”, kiedy to opozycji udało się doprowadzić do upadku ówczesnego rządu za pomocą masowych pokojowych demonstracji.

Z perspektywy czasu okazało się, że przełomowe znaczenie dla toku wydarzeń miała praska manifestacja 17 listopada 1989 roku. „Mieli zabić młodego mężczyznę. Miał się nazywać Martin Šmid. Miał być studentem, który w piątek 17 listopada 1989 roku zginął w masakrze studentów. Mieli ich ścisnąć ze wszystkich stron tak, żeby się podusili, mimo że krzyczeli: „Nie chcemy przemocy, mamy puste ręce!”. Miała z niego kapać krew, kiedy nieśli jego ciało aleją Narodową. Miała tę wiadomość przekazać dozorczyńni akademika, gdzie mieszkał. Miały o tym wieczorem mówić Radio Wolna Europa i Głos Ameryki.

Mówiły.

Wiadomość o jego śmierci była zaczynem zdarzeń, które – jak wiemy – zakończyły się szczęśliwie: wybraniem na prezydenta największego wroga Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej.

Następnego dnia na alei Narodowej zawisł czarny transparent: »Jan Opletal 1939 – Martin Šmid 1989«. Aleją przechodziły tłumy prażan paląc świeczki tam, gdzie były ślady po krwi studenta Šmida i wszystkich innych rannych we wczorajszej akcji” (Mariusz Szczygieł, *Zrób sobie raj*, Wołowiec 2010, s. 95). Ale to już była sobota. Po upływie sześciu tygodni 29 grudnia 1989 roku na Hradczanach pojawił się nowy sławny lokator Václav Havel.

Dziewiętnastoletni student matematyki Martin Šmid faktycznie wziął udział w demonstracji studentów w piątek wieczorem ale opuścił ją wcześniej, zanim została zatrzymana przez milicyjne kordony, „żeby nie doszła ani na Zamek, ani na plac Wacława. Dziesięć tysięcy studentów usiadło więc na ulicy, naprzeciw uzbrojonych mundurowych. Dziewczyny, które miały kwiaty (pierwotnie studenci chcieli je złożyć na grobie romantycznego poety Karela Hynka Máchy), wkładały je milicjantom za maski na twarzach. Mężczyźni w maskach stworzyli tak zwaną uliczkę – każdy, kto chciał opuścić to miejsce, musiał przebiec między nimi, walony z obu stron pałkami (naliczono 568 rannych). Powoli milicja wyczyściła aleję Narodową z ludzi, setkę demonstrantów odwieziono na komisariaty, a na ulicy leżało nieruchome młode ciało. Ludzie myśleli, że to zabity student. Później wyjaśniło się, że była to milicyjna prowokacja – nieżywego udawał współpracownik Służby Bezpieczeństwa” (tamże, s. 96-97).

Bohater wydarzeń Martin Šmid nie zginął. W piątek wrócił z manifestacji do akademika, a w sobotę przez cały dzień oglądał wideo i dopiero wieczorem dowiedział się o swojej śmierci. W niedzielę, dwa dni po wydarzeniach, pojawiła się u niego telewizja, aby pokazać, że żyje. Z wywiadu nic nie wyszło, poza wzmianką Šmida, że „otarła się o niego śmierć”, ale uzupełnił, że chodziło mu wyłącznie o rannych kolegów. Mariusz Szczygieł próbował z nim porozmawiać, ale bez powodzenia. Šmid, pracownik naukowy Instytutu Teorii Informacji i Automatyzacji Akademii Nauk odmawiał wszelkich rozmów. Na swojej stronie internetowej przekonywał, że w ciągu dwudziestu lat od „upadku komunizmu” udzielił tak wielu wywiadów, że nie ma już „nic do dodania”, nader osobliwie objaśniając ten stan rzeczy.

»Typowa rozmowa ze mną wygląda następująco:

Pyt.: Co pan robił 17 listopada 1989 roku?

Odp. Byłem na demonstracji, ale poszedłem sobie przed atakiem.

Pyt.: Kiedy dowiedział się pan o swojej rzekomej śmierci?

Odp.: W sobotę wieczorem.

Pyt.: Co pan czuł?

Odp.: Nic specjalnego.

Pyt.: A dlaczego powiedział pan: »śmierć mnie dotknęła?«.

Odp.: Wycieli to z kontekstu.

Pyt.: Jak, pana zdaniem, powstała ta pogłoska?

Odp.: Dozorczyni ją szerzyła.

Pyt.: Czym pan się teraz zajmuje?

Odp.: Jestem matematykiem.

Pyt.: Co by pan robił, gdyby rewolucji nie było?

Odp.: Byłbym matematykiem« (tamże, s. 95-96).

Na koniec trzeba wrócić do soboty 18 listopada, kiedy tłumy prażan zobaczyły wiszący w alei Narodowej czarny transparent „Jan Opletal 1939 – Martin Šmid 1989”. Mariusz Szczygieł przypomniał, że przed półwieczem, 28 października 1939 roku student medycyny Jan Opletal wziął udział w zakazanych przez Niemców obchodach rocznicy powstania Czechosłowacji. Wielu Czechów wyszło na ulice z wpiętymi w kłapy płaszczy wstążeczkami w barwach czechosłowackiej flagi, a studenci w czapkach, jakie nosił założyciel państwa – Masaryk. Widząc tłumy hitlerowcy zaczęli strzelać bez ostrzeżenia zabijając dwie osoby, w tym Jana Opletala. Jego pogrzeb przerodził się w antyhitlerowską manifestację, na którą Niemcy odpowiedzieli po dwóch dniach rozstrzelaniem dziewięciu studenckich działaczy, a po pewnym czasie wywiezieniem tysiąca dwustu studentów do obozów koncentracyjnych i zamknięciem wszystkich wyższych uczelni. W tej sytuacji zestawienie ofiar dwóch reżimów Jana Opletala i Martin Šmida miało jednoznaczną wymowę i było starannie przemyslane.

Naturalne, że w sobotę 18 listopada 1989 roku mieszkańcy Pragi pod czarnym transparentem palili świeczki w miejscu, gdzie były ślady krwi rannych uczestników protestu z poprzedniego dnia składając im hołd, a zwłaszcza kolejnemu męczennikowi, którym miał być Martin Šmid.

Wydarzenia z 17 listopada miały swoją krótką co prawda, ale jednak znaczącą prehistorię, poczynając od zorganizowanej przez opozycję w ramach odgórnej „odwilży” 21 sierpnia 1988 roku pierwszej ulicznej demonstracji politycznej, kiedy to domagając się wolności dziesięć tysięcy osób przemaszzerowało z placu Wacława pod pomnik Jana Husa. Atak milicji zakończył się pobiciem i zatrzymaniem wielu manifestantów. Kolejnym wyrazem buntu stało się zgromadzenie przez opozycję na placu Wacława 28 października 1988 roku kilku tysięcy demonstrantów zakończone zatrzymaniem przez milicję około 150-200 działaczy, których wypuszczono dopiero po czterech dobach. Wreszcie 10 grudnia została zorganizowana na Žižkovie pierwsza legalna niezależna demonstracja w rocznicę uchwalenia Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka.

Swego rodzaju kulminacją protestów społecznych stał się »tydzień Palacha« w dwudziestą rocznicę jego samospalenia. Przez sześć dni (15-20.01.1989) młodzież manifestowała na placu Wacława i już

pierwszego dnia z ośmiu tysięcy uczestników milicja zatrzymała pięćset osób. Dzień później milicja ciężko pobiła szesnastu manifestantów, a Václava Havla zatrzymano przy próbie złożenia kwiatów i następnie skazany na osiem miesięcy więzienia, z którego został zwolniony po odbyciu połowy kary. 1 maja odbyły się kolejne niezależne demonstracje, aż na placu Wacława dla uczczenia 71 rocznicy utworzenia Czechosłowacji 28 października zebrało się trzydzieści tysięcy ludzi, których milicja skutecznie rozgoniła, pobiła, zatrzymując 355 osób; manifestowano także w Brnie i Ostrawie.

Takie żywiołowe protesty mają oczywiście sprawnych organizatorów, wśród których wyróżniał się idący na czele manifestacji z 17 listopada, jak się po czasie okazało, oficer odpowiednich służb występujący pod pseudonimem Milan Ružička. Miał być uderzony w łokieć, zemdleć i zrzęcznie odegrać, wkrótce przypisaną Šmidowi, rolę ciężko pobitego człowieka leżącego na ziemi tak, aby sprawiać wrażenie zabitego, po czym zabrano go do karetki MSW i wywieziono w niewiadomym kierunku. Jednak jeszcze przez tydzień dzielny porucznik występował w charakterze studenckiego przywódcy.

Tego typu operacje mają zwykle potężnych protektorów nie tylko w kraju, ale i za granicą. Badacze „aksamitnej rewolucji” w tym kontekście podkreślają znaczenie spotkania Gorbaczow-Reagan w Rejkjawi w 1986 roku, wizytę Gorbaczowa w Pradze wiosną 1987 roku oraz dwóch przyjazdów jego prawej ręki – Jakowlewa – na początku 1988 roku i wiosną 1989 roku. Kremłowska *perestrojka* miała zaowocować reaktywacją polityków „praskiej wiosny” 1968 roku przed laty obalonych przez aktualnie rządzącą ekipę z moskiewskiego nadania. Tym razem jednak pod patronatem Gorbaczowa pod hasłem „socjalizmu z ludzką twarzą” miała przez kraj przetoczyć się „praska *perestrojka*”, co oznaczało w praktyce wprowadzenie gospodarki rynkowej i komercjalizację życia społecznego. Ponieważ ówczesne partyjne elity słusznie obawiały się utraty władzy, zostały usunięte pod naporem zrzęcznie przeprowadzonych protestów społecznych. Operacja się udała, pacjent zmarł – 24 listopada 1989 roku, tydzień po znamienitych wydarzeniach szef Komunistycznej Partii Czechosłowacji ustąpił ze stanowiska.

W świecie polityki krąży pyszna anegdota: Pytanie: Dlaczego w USA nie doszło do „aksamitnej rewolucji”? Odpowiedź: Ponieważ nie ma tam amerykańskiej ambasady. A tymczasem w Pradze była, chociaż w licznych relacjach z przebiegu wydarzeń nie wspomina się o aktywności stosownych służb USA. Jednak bliższe wejrzenie w toczące się wydarzenia zdają się wskazywać, że faktycznie praska „aksamitna rewolucja” stanowiła pole konfrontacji, a zarazem i współpracy radzieckich i amerykańskich służb ze wskazaniem na zwycięstwo tych ostatnich. Wkrótce pod auspicjami CIA kształtuje się luźna federacja młodzieżowych ugrupowań, która zasługuje na miano „aksamitnej międzynarodówki”.

AUDREY KICHELEWSKI

OSTATNI MOHIKANIE CZY *NOWI MARRANI*? BYĆ ŻYDEM W POLSCE KOMUNISTYCZNEJ I KATOLICKIEJ 1945–1989

Niniejszy tekst jest wiernym tłumaczeniem. W związku z tym redakcja postanowiła nie ingerować w treść kilku znajdujących się w nim nieścisłości, np. określenia PKWN mianem rządu tymczasowego czy wzmianki o systemie gospodarczym Polski po 1950 r. i zasadach kolektywizacji, przede wszystkim zaś informacji o obecności lekcji religii we wszystkich szkołach państwowych w Polsce przez cały okres Polski Ludowej, poza latami 1951–1956. W istocie lekcji religii nie było w szkołach w okresie PRL od 1961 roku, mimo że do 1981 roku prowadzone przy parafiach lekcje znajdowały się nadal pod kontrolą państwowych władz oświatowych.

Artykuł ukazał się w wersji oryginalnej w języku francuskim: Audrey Kichelewski, *Derniers des Mohicans ou nouveaux marranes? Être Juif en Pologne communiste et catholique, 1945–1968*, [w:] „Documents et Mémoires de la revue Chrétiens et société” nr 27, numer specjalny pod red. Catherine Maurer et Catherine Vincent: *La Coexistence confessionnelle en France et en Europe germanique et orientale du Moyen Âge à nos jours*, Lyon, 2015, s.323–338. [P.S.]

We wrześniu 1944 roku przebywający w tym czasie na wychodźstwie w Nowym Jorku polski poeta pochodzenia żydowskiego Julian Tuwim napisał wiersz pod tytułem *Modlitwa*:

Daj nam uprzątnąć dom ojczysty
Tak z naszych zgłiszcz i ruin świętych
Jak z grzechów naszych, win przeklętych [...]
Poucz nas, że pod słońcem Twoim
„Nie masz Greczyna ani Żyda”¹.

Ten wiersz dobrze oddaje sytuację oraz wyzwania, przed którymi stała Polska tuż po wojnie. Przywołał również straty materialne – co czwarta miejscowość została zniszczona, całe miasta zburzone, na czele ze stolicą Warszawą. Tuwim z pewnością myślał również o nawiązaniu do mało chlubnych zachowań niektórych Polaków wobec prześladowań ich żydowskich sąsiadów. Ale w tym samym tekście czytamy o woli odbudowy kraju w duchu postępowym i uniwersalistycznym, przynajmniej w oczach tych, którzy wierzyli w obietnice nowego ustroju. Jednak konstytutywny dla tej odbudowy wydawał się duch chrześcijański, zarówno w nawiązaniu do „grzechów” i „ruin świętych”, jak również w braterskim przesłaniu zaczerpniętym z *Listu Pawła do Galatów*².

Czyż mogłoby być inaczej w kraju, który widział likwidację swoich mniejszości narodowych i religijnych,

1 Julian Tuwim, *Modlitwa*, „Odrodzenie”, 1944, nr 1. Wiersz ukazał się w pierwszym numerze tego nowego pisma literackiego o profilu postępowym, wydawanym na dopiero co wyzwolonych ziemiach polskich. Tuwim powrócił do Polski w 1946 r. i zmarł w kraju w 1953 r.

2 *List Błogosławionego Pawła Apostoła do Galatów 3, 28: Nie jest Żyd ani Greczyn, nie jest niewolnik ani wolny, nie jest mężczyzna ani niewiasta. Albowiem wszyscy wy jedno jesteście w Chrystusie Jezusie* (Biblia w przekładzie Jakuba Wujka z 1599 r., Warszawa, Oficyna Wydawnicza „Vocatio”, 1999, s. 2281).

które stanowiły ponad jedną trzecią przedwojennej populacji? Trzy miliony polskich Żydów zostało prawie całkowicie eksterminowanych, podczas gdy mniejszości ukraińska, litewska, białoruska, ale także niemiecka przeważnie uciekły z kraju, bądź stały się ofiarami przymusowych przesiedleń w następstwie przesunięcia granic Polski ze wschodu na zachód, zgodnie z decyzjami z Jałty. Polska powojenna była więc krajem w ponad 90 procentach katolickim.

Jak w tych okolicznościach mała mniejszość Żydów ocalonych z Zagłady – około 250 tysięcy osób według spisu z początku 1946 roku, z czego znakomita większość przeżyła dzięki temu, że wojnę spędziła w Związku Radzieckim – mogła przystosować się do nowej sytuacji? Utrata bliskich, nieruchomości i dóbr ruchomych – to co przeżyli było nieporównywalne z doświadczeniami ich katolickich współobywateli, nawet jeśli ci ostatni przeżywali zmianę granic, która zmusiła ich do opuszczenia miejsca zamieszkania, bądź też padali ofiarą represji nazistowskich lub sowieckich; był to przypadek całych grup społeczeństwa polskiego na czele z elitami intelektualnymi i duchowieństwem katolickim. Jak pozostać w kraju, który na dodatek nie przyjmował z otwartymi ramionami tej garstki ocalałych, która bez wątpienia za bardzo przypominała miejscowej ludności, że ta zgrzeszyła obojętnością, jeśli nie wrogością wobec nich podczas wojny? Pomiędzy latami 1944 a 1946 incydenty antysemickie przyniosły śmierć kilku tysiącom osób przy nieudolności, jeśli nie współuczestnictwie władz – owe incydenty swoje apogeum znalazły 4 lipca 1946 roku w niesławnym pogromie kieleckim i śmierci 42 osób³.

Jak żyć w nowym ustroju, który po raz pierwszy ustanowił pełną równość wszystkich obywateli, lecz który dla zaprzeczenia mitycznemu przekonaniu społecznemu o swoich związkach z żydostwem – przekonaniu mającemu swój wyraz w bardzo popularnym w społeczeństwie polskim micie „żydokomuny” – nie chronił Żydów, zaś dążąc do uzyskania silniejszej społecznej legitymacji respektował dominujące miejsce Kościoła jako alternatywnego źródła spójności społecznej? Jak żyć jako Żyd w kraju, w którym usiłowano realizować uniwersalistyczne zasady socjalizmu, pozostając społeczeństwem głęboko katolickim?

Wprowadzenie metodologiczne: kim są Żydzi w Polsce?

Aby zrozumieć, jak wyglądało życie codziennie Żydów w powojennej Polsce, trzeba przypomnieć kilka kwestii, nade wszystko zaś uczynić zastrzeżenia metodologiczne⁴. Przede wszystkim była to społeczność bardzo mobilna geograficznie. Oczywiście, stanowiła aktywną część wielkich ruchów migracyjnych, które przetaczały się przez Polskę w pierwszych latach powojennych; każdy usiłował powrócić do swojego miejsca zamieszkania, bądź opuszczać gruz, by zamieszkać

w miejscu, którego nie dosięgły zniszczenia. Dla społeczności żydowskiej głównym kierunkiem migracji był Lublin, gdzie począwszy od lata 1944 r. siedzibę miał rząd tymczasowy, w dalszej kolejności Łódź, gdzie ulokowane zostały wszystkie żydowskie instytucje – w oczekiwaniu na czas, gdy Warszawa będzie ponownie możliwa do zamieszkania. Ponadto nowa władza zachęcała do osiedlania się na nowych ziemiach Pomorza i Dolnego Śląska. W tym celu Państwowy Urząd Repatriacyjny stworzył narodowy plan repatriacji obywateli polskich ze Związku Radzieckiego⁵. Do prawie miliona dwustu tysięcy Polaków „etnicznych” repatriowanych między 1944 a 1948 r. należy dodać ponad 190 tysięcy Żydów, czyli większość tych, którzy ocalili w Związku Radzieckim⁶.

Żydzi przemieszczali się także kierując się swoimi własnymi motywacjami. Widoczna była tendencja do opuszczania wsi i miasteczek, i grupowania się w największych miastach w celu zapewnienia sobie większego bezpieczeństwa w obliczu mnożących się incydentów antyżydowskich. Migracje wewnętrzne odbywały się również w celu odnalezienia członków rodziny porzucanych po całym kraju. Repatrianci z ZSRR byli przede wszystkim kierowani na nowe ziemie wcześniej należące do Niemiec, gdzie niektóre miasta, np. jak Wałbrzych czy Dzierżoniów, szybko skupiły znaczące społeczności żydowskie. Także liczni polscy Żydzi chcieli zbliżyć się do miejsc, z których można było łatwo wyemigrować – ośrodków, gdzie organizowana była nielegalna emigracja (Łódź, portowe miasta przygraniczne nad Bałtykiem jak Szczecin Gdańsk, bądź też miejscowości położone w Tatrach, skąd można było przejść do Czechosłowacji).

Poza migracjami wewnętrznymi, Żydzi polscy stanowili przede wszystkim społeczność, która w większości chciała opuścić Polskę. Między latami 1946 a 1949 ponad połowa z 250 tysięcy Żydów wyjechała z Polski najczęściej nielegalnie, w kierunku obozów dla dipisów w Niemczech, Austrii czy we Włoszech. Kolejne fale emigracji następowały w następnych dekadach. Wraz z odwilżą 1956 roku społeczność znów zmniejszała się o połowę wskutek ponad 50 tysięcy wyjazdów, zaś kampania antysemicka z wiosny 1968 roku spowodowała do emigracji około 13 tysięcy Żydów (do 1970 r.). Na początku lat siedemdziesiątych, szacowano, że w Polsce znajduje się co najwyżej 20 tysięcy osób pochodzenia żydowskiego, a ich liczba cały czas spadała wraz z odchodzeniem najstarszych i asymilacją najmłodszych⁷.

Szczegółowe aspekty złożonych czynników, które prowadziły do emigracji stanowią przedmiot mojej

³ Na temat zob. Jan T. Gross, *Strach. Antysemizm w Polsce tuż po wojnie: historia moralnej zapaści*, Kraków, Znak, 2008.

⁴ Zainteresowanych bardziej pogłębioną analizą kwestii metodologicznych oraz problematyki polskich Żydów ocalałych po drugiej wojnie światowej odsyłam do mojej rozprawy doktorskiej: *Les Survivants. La place des Juifs dans la société polonaise, 1944–1949*, Paris, Université Paris-I Panthéon Sorbonne, promotor: André Kaspi, 2010.

⁵ Na temat organizacji repatriacji zob. Krystyna Kersten, *Repatriacja ludności polskiej po II wojnie światowej. Studium historyczne*, Warszawa, IH PAN, 1974, s. 90–126.

⁶ Na półtora miliona Żydów obecnych we wschodniej części Polski, okupowanej do czerwca 1941 r. przez ZSRR, około 350 tysięcy zostało ewakuowanych w głąb Związku Radzieckiego, ale ponad jedna trzecia zginęła w trakcie przeprowadzania tej operacji, bądź w jej następstwie z powodu ekstremalnie ciężkich warunków życiowych w obozach dla uchodźców lub podczas walk na froncie. Elżbieta Treła-Mazur, *Żydzi polscy w ZSRR w latach 1941–1946* [w:] *Ku turze Żydów polskich XIX–XX wieku*, Kielce, Kieleckie Towarzystwo Naukowe, 1992, s. 260.

⁷ Dla zapoznania się z wyliczeniami na temat społeczności żydowskiej w Polsce po 1944 roku, zob. Albert Stankowski, *Nowe spojrzenie na statystyki dotyczące emigracji Żydów z Polski po 1944 roku*, [w:] Grzegorz Berendt, August Grabski, Albert Stankowski, *Studia z historii Żydów w Polsce po 1945 r.*, Warszawa, ŻIH, 2000, s. 103–151.

rozprawy doktorskiej, w tym miejscu zwróćmy tylko uwagę, że na te czynniki składały się: ucieczka przed zagrożeniem antysemickim, ale także – zwłaszcza w pierwszych latach powojennych – odrzucenie przez wielu Żydów możliwości życia w kraju, który stał się cmentarzem ich bliskich, atrakcyjność wizji lepszego życia na Zachodzie, a dla niektórych pragnienie większego, jak przypuszczano, bezpieczeństwa w państwie żydowskim, które właśnie powstawało, zaś od 1948 r. istniało i gwarantowało możliwość nieskrępowanego wyrażania swojej tożsamości żydowskiej. Należy do tego dodać w przypadku późniejszych fal emigracji, okazję do ucieczki od gospodarki niedoboru i reżimu autorytarnego, jak również pragnienie dołączenia do bliskich, którzy wyjechali wcześniej. Z biegiem lat więc między kwestią tożsamości oraz/ albo przynależnością religijną – które najbardziej nas tutaj interesują – a decyzją o emigracji zmniejszała się: jeśli w pierwszych latach, wyjeżdżali przede wszystkim Żydzi religijni lub sympatyzujący z syjonizmem, następne fale emigracji objęły najbardziej zasymilowanych Żydów.

Prowadzi nas to do ostatniej konstatacji, iż konieczne jest uwzględnienie zastrzeżenia metodologicznego, gdy mówi się o Żydach w Polsce powojennej. Jeszcze bardziej niż w jakimkolwiek innym momencie polskiej historii trzeba zadać sobie pytanie o obiekt badań. Po prostu: kogo można nazwać Żydem w Polsce po wojnie⁸? Znane liczby i statystyki, którymi dysponujemy, odnoszą się tylko do części osób zarejestrowanych w danym momencie przez oficjalne instytucje żydowskie jak Centralny Komitet Żydów w Polsce, bądź też do osób, które w momencie emigracji zadeklarowały „narodowość żydowską” lub zostały w ten sposób sklasyfikowane. Pojęcie *narodowości* jest, przypomnijmy, oficjalną nazwą w Polsce dla określenia różnych grup narodowych, etnicznych i religijnych: mówi się zatem o „narodowości żydowskiej”, tak samo jak o mniejszościach narodowych ukraińskiej, niemieckiej czy białoruskiej, podczas gdy przedstawiciele wszystkich tych narodowości posiadały *obywatelstwo polskie*. Ta populacja jest bardziej agregatem statystycznym niż homogeniczną wspólnotą. Aby wyjść ze ślepej uliczki, w którą prowadzi nas definicja Żydów przez ich „tożsamość”, postanowiliśmy odwołać się do alternatywnych konceptów socjologicznych, które pozwalają lepiej ująć amalgamat zjawisk społecznych zawartych w pojęciu tożsamości, jak identyfikacja (proces i działanie skierowane na społeczną identyfikację osoby), obraz społeczny (postrzeganie grupy konstytuujące tę grupę) oraz przynależność (samopoznanie siebie albo praca nad interioryzacją identyfikacji i obrazów społecznych)⁹. Definicja Żyda w ramach społeczeństwa

polskiego w pierwszych latach powojennych łączy w sobie oficjalnie ustanowione kryteria, obrazy i dyskursy wytworzone przez pewne sfery społeczeństwa oraz poczucie przynależności tych, którzy identyfikowali się z mianem polskich Żydów.

Aby móc uchwycić, co oznacza być Żydem w Polsce, która była komunistyczna i katolicka zarazem, z pewnością niezbędnym punktem wyjścia są źródła państwowe i wytworzone przez społeczność żydowską, jednakże muszą one zostać uzupełnione przez świadectwa samych Żydów. Wykorzystaliśmy tutaj głównie relacje Żydów polskich, którzy w okresie kampanii antysemickiej 1968 roku stanowili pokolenie młodych dorosłych, zaś w następstwie tej kampanii pewna ich liczba zdecydowała się opuścić Polskę¹⁰.

Bazując na tym materiale źródłowym oraz biorąc udział w krytycznej dyskusji z kilkorgiem autorów, którzy poruszali już kwestię tożsamości ocalałych Żydów polskich po wojnie, stworzyliśmy następującą typologię¹¹: „Żydzi-żydzi” polscy, którzy uznawali się najpierw za żydów, dopiero w dalszej kolejności za Polaków i którzy jeśli nie opuścili natychmiast Polski, często byli członkami instytucji żydowskich lub funkcjonowali w ich otoczeniu; „Polacy pochodzenia żydowskiego”, którzy wręcz przeciwnie, bywali jedynie z rzadka bądź w ogóle nie bywali w instytucjach społeczności żydowskiej i mieli dużo bardziej złożony stosunek do zagadnienia żydostwa, identyfikując się jako żydzi tylko w sferze prywatnej, czy wręcz byli uznawani za żydów tylko przez innych; w końcu „niewidoczni Żydzi”, którzy całkowicie odwrócili się plecami do wszelkich form tożsamości żydowskiej, zachowując w najlepszym wypadku autoidentyfikację niewidoczną dla świata zewnętrznego, ukrytą nawet przed bliskimi.

Ten trójczłonowy podział jest płynny, w zależności od czasu i okoliczności. Rzeczywiście, zaraz po wojnie 90 procent ocalałych, jeśli nie wyjechało natychmiast z Polski, zarejestrowało się wobec instytucji wspólnotowej choćby dla otrzymania niezbędnej do przeżycia pomocy społecznej, następnie – w przypadku zainteresowanych – dla pomocy w emigracji. W latach sześćdziesiątych ci, których zaliczano do Żydów w Polsce, byli w trzech czwartych poza strukturami wspólnotowymi. To wydarzenia 1968 roku, gdy dosłownie poszukiwano Żydów w norymberskim znaczeniu tego pojęcia, doprowadziły do tego, że wielu obywateli polskich pochodzenia żydowskiego, nieraz nawet konwertytów na katolicyzm, zostało określonych mianem Żydów oraz poczuło się zmuszonych do wyjazdu.

„Ostatni Mohikanie” albo życie społeczności żydowskiej

Rozróżnienie pomiędzy Żydami polskimi a Polakami pochodzenia żydowskiego, jakkolwiek może niedoskonałe, nam jednak posłuży jako nić przewodnia

8 Na temat definicji pojęć mniejszości, społeczności, narodowości, zob. również Audrey Kichelewski, *Juifs en Pologne communiste: minorité, communauté, nationalité ? Une tentative de (re)définition*, [w:] Stéphanie Lathier, Vincent Vilmain (red.), *L'Histoire des minorités est-elle une histoire marginale ?*, Paris, Presses Universitaires de la Sorbonne, 2008, s. 97–106.

9 Za: Martina Avanza et Gelles Laferté, *Dépasser la «construction des identités» ? Identification, image sociale, appartenance, „Genèses”*, 2005, nr 61, s. 134–152. Ta dwójka badaczy wprowadziła do języka francuskiego triadę identyfikacja-kategoryzacja, samorozumienie-umiejscowienie społeczne oraz wspólnotowość-łączność-grupowość zaproponowaną przez Rogersa Brubakera w artykule *Au-delà de l'«identité»*, „Actes de la recherche en sciences sociales”, 2001, t. 3, nr 139, s. 66–85.

10 Relacje te zebrane zostały najczęściej w ostatnich latach, zwłaszcza przy okazji czterdziestej rocznicy kampanii „anty syjonistycznej” w 2008 roku przez socjologów jak: Joanna Wiszniewicz, *Życie przeciętne: opowieści pokolenia Marca*, Wołowiec, Czarne, 2008, ale również dziennikarzy, zob. Teresa Torańska, *Jesteśmy: Rozstania* '68, Warszawa, Świat Książki, 2008.

11 Zob. A. Kichelewski, *Les Survivants*, op. cit., s. 126, i Idem, *Les Multiples facettes des identités juives en Pologne dans les années 1960*, [w:] Jean-Charles Szurek, Annette Wieviorka (red.), *Juifs et Polonais, 1939–2008*, Paris, Albin Michel, 2009, s. 295–326.

do analizy życia codziennego mniejszości żydowskiej w kraju komunistycznym i katolickim zarazem. Na pierwszym miejscu – życie wspólnotowe. Organizowało się ono po wojnie na zasadach zupełnie innych niż przed wojną, kiedy to jeszcze mocno bazowało na instytucji gminy bądź na wspólnotach religijnych obdarzonych szeroką autonomią w zakresie organizacji życia religijnego i społecznego Żydów. Trzeba zarazem brać pod uwagę nakazy nowego ustroju, który ustanawiał precyzyjne i ograniczone ramy dla form organizacji społecznych i religijnych, ale nade wszystko trzeba zdawać sobie sprawę z faktu, że sam skład społeczny ocalonych był fundamentalnie różny od przedwojennego. Przeżyli w dużej mierze ci, którzy potrafili zaadaptować się do ograniczeń związanych z wojną i okupacją: sieć znajomości w środowiskach nieżydowskich, perfekcyjne posługiwanie się językiem polskim, ruchliwość i zdolność przystosowania podczas ewakuacji na Wschód – tyleż czynników marginalizujących Żydów religijnych i faworyzujących w kwestii szans na przetrwanie Żydów najbardziej zasymilowanych i/albo tych, którzy przyjęli przebywając w czasie wojny w ZSRR, bądź też w okresie wychodzenia z wojny socjalistyczne normy nowego reżimu. Ta konstatacja doprowadziła już polską socjologkę Irenę Hurwic-Nowakowską, autorkę ankiety terenowej wśród zorganizowanej społeczności żydowskiej w 1948 roku, do stwierdzenia, że „ortodoksyjna grupa żydowska w obecnej Polsce wymiera, są to ostatni Mohikanie żydowskiego tradycjonalizmu”¹².

Schyłek życia religijnego

W tym okresie w miejsce społeczności tradycyjnych pojawiają się dwie instytucje oficjalne: organizacja świecka o zadaniach społeczno-kulturalnych – Centralny Komitet Żydów w Polsce (CKŻP), która przekształciła się w 1950 r. w Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów w Polsce (TSKŻ) oraz organizacja ściśle religijna – Związek Religijny Wyznania Mojżeszowego (ZWRM). Obie początkowo od ich utworzenia w 1945 roku pluralistyczne politycznie – istniało wówczas dziesięć żydowskich partii politycznych, od syjonistów po komunistów, poprzez ugrupowania religijne – szybko stały się, wraz z postępującą stalinizacją ustroju, *de facto* pasami transmisyjnymi partii, jednakże nie zostały zlikwidowane. Waga organizacji religijnej z biegiem lat zmniejszała się przede wszystkim na skutek emigracji jej członków. W 1946 roku zarządzała poprzez 80 wspólnot i 22 rabinów w całym kraju 38 czynnymi synagogami, 36 kursami religijnymi (Talmud-Tora) i 68 cmentarzami – dla 80 tysięcy zadeklarowanych członków. Dwadzieścia lat później, pozostało tylko 19 wspólnot religijnych dla zaledwie 5 500 członków, podczas gdy ostatni rabin opuścił kraj w 1966 roku. W 1988 roku zadeklarowanych członków organizacji było już tylko 1560 i stanowili oni około 20 procent zorganizowanej społeczności żydowskiej¹³.

A zatem to nie w ramach ZWRM znajdowało się serce żydowskiego życia wspólnotowego, szczególnie po 1950 roku, kiedy to instytucje pozbawione pluralistycznego charakteru i zewnętrznego finansowania ograniczyły się do minimalnej roli: zapewniania posług religijnych na głównych etapach życia (obrzezanie, ślub, pogrzeb – nieliczne rytuały w dalszym ciągu zachowywane przez Żydów mniej praktykujących, nawet przez komunistów) oraz dostarczania specjalnej żywności dla tych, którzy zachowywali zasadę koszerności, szczególnie koszerne mięsa. Tak więc Żydzi religijni byli coraz mniej liczni, małżeństwa mieszane były coraz częstsze, a dzieci zrodzone z tych związków prawie nigdy nie były wychowywane w żydowskiej tradycji religijnej. Raport Urzędu do Spraw Wyznań zwracał uwagę, że w 1965 r. ZWRM, ściśle nadzorowany przez władze, musiał płacić swoim wiernym, aby uzyskać *minyąn* – kworum 10 osób niezbędnych do recytowania niektórych modlitw podczas nabożeństw religijnych¹⁴. Oznacza to, że przynależność do organizacji mogła być motywowana innymi względami niż czysto religijne...

Tradycje religijne zeświecczone, lecz podtrzymywane

Prawdę mówiąc, to wewnątrz społeczno-kulturalnej organizacji żydowskiej podtrzymywane były – w wersji zeświecczonej – pewne obrzędy religijne, nawet jeśli naczelnym zadaniem tej organizacji było przechowywanie pamięci o żydowskiej historii kultury i tradycji w Polsce oraz pamięci o zamordowanych podczas Zagłady. Tak samo było zresztą w wypadku innych instytucji żydowskich, które kontynuowały swoją działalność po 1950 roku – jak Żydowski Instytut Historyczny, Teatr, prasa i wydawnictwo publikujące w języku jidysz oraz kilka szkół państwowych, gdzie nauczano jidysz. Jednak ta misja kulturalna i w sferze pamięci musiała oczywiście być realizowana w duchu socjalistycznym, kształtującym nowego człowieka – Żyda wyzwolonego z naleciałości religijnych, postrzeganych jako obskurancie. Jednak można było jeszcze w TSKŻ i w innych świeckich instytucjach żydowskich obchodzić niektóre wielkie święta żydowskie, szczególnie te, które miały swój odpowiednik w kalendarzu chrześcijańskim, jak Nowy Rok czy święto Purim – odpowiednik karnawału – ze względu na ich radosny charakter, czy też Pesach, żydowska Pascha, która najlepiej uosabiała żydowski opór. Zamówienia składane na macę były kolejnym sposobem liczenia osób przywiązanych do tradycji, które poszukiwały swojego chleba prąszonego, choć nie uczestniczyły w działaniach społeczno-kulturalnych przez resztę roku.

We wszystkich tych instytucjach nie pracowano w soboty ani w święta żydowskie, w drodze specjalnego wyjątku od ogólnych zasad polskiego kodeksu pracy. Tak samo było w wypadku żydowskich spółdzielni,

12 Cytat za: Irena Hurwic-Nowakowska, *Żydzi polscy (1947–1950). Analiza więzi społecznej ludności*, Warszawa, IFiS PAN, 1996, s. 108. Praca ukazała się pierwotnie w języku angielskim pod tytułem: *A Social Analysis of Postwar Polish Jewry, Jerusalem, Zalman Shazar Center for Jewish History*, 1986.

13 Całościowe ujęcie zagadnienia żydowskiego życia religijnego w Polsce po 1945 r., zob. August Grabski, Albert Stankowski, *Życie*

religijne społeczności żydowskiej, [w:] Feliks Tych, Monika Adamczyk-Garbowska (red.), *Następstwa zagłady Żydów. Polska 1944–2010*, Lublin, Wydawnictwo UMCS – ŻIH, 2011, s. 215–245.

14 Archiwum Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, Instytut Pamięci Narodowej: IPN BU MSW II 10885, Główny Inspektorat Ministerstwa, Raport na temat aktywności syjonistycznej wśród mniejszości narodowej żydowskiej w Polsce, wrzesień 1965 r., s. 18.

szczególnej formy organizacji zawodowej, która pozwalała zaadaptować do nowego systemu gospodarczego opartego na kolektywizacji i nacjonalizacji przemysłu drobne zakłady, tradycyjnie preferowane przez społeczność żydowską w Polsce przedwojennej, w takich działach jak konfekcja czy garbarstwo – zajęciach wciąż nadreprezentowanych w strukturze zawodowej społeczności żydowskiej po wojnie. Tego typu spółdzielnie nie były prawdę mówiąc zakazane dla nie-Żydów, ale Żydzi stanowili w nich większość. Mogły one otrzymywać pewne wyjątkowe uprawnienia, jak wolne soboty i święta żydowskie – poza okresem lat 1950–1957, kiedy to *de facto* zniknęły¹⁵.

Szczególny przypadek dzieci

Z biegiem lat obszary – zawodowe, edukacyjne, czy towarzyskie, jak kolonie dla młodzieży – chociaż nie były religijne same w sobie, musiały jednak stanowić schronienie dla ludności żydowskiej poddanej codziennej dominacji religii katolickiej, wciąż wszechobecnej w społeczeństwie polskim, nawet w instytucjach państwowych.

Religia w szkole

Lekcje religii, zwane inaczej katechezą, odbywały się w Polsce we wszystkich szkołach państwowych: zostały zniesione jedynie na krótko, między 1951 a 1956 rokiem. Oczywiście, nie były one obowiązkowe, ale ci, którzy nie uczęszczali na zajęcia, byli nieuchronnie postrzegani jako Żydzi lub wyjawiający komuniści, co w oczach ludności często stanowiło to samo. To odsunięcie na bok uczniów żydowskich wzbudzało niechęć do nich, niechęć, od której dzieci żydowskie mogły jeszcze uciec do 1950 roku, wybierając szkoły żydowskie, ale nie było to już potem możliwe, wraz z upaństwowieniem tych instytucji¹⁶. Pozostała wówczas tylko garstka szkół z nauczaniem jidysz. Ta wrogość wobec dzieci w szkołach była szczególnie gwałtowna w 1956 roku, w kontekście powrotu antysemitckiego dyskursu podczas kryzysu politycznego reżimu, w trakcie Odwilży i zmiany władz, gdy powrót religii do szkół szczególnie stygmatyzował dzieci, ofiary antysemitycznych wystąpień nie tylko ze strony uczniów, ale także nauczycieli. Był to jeden z czynników przyspieszających emigrację, jako że rodzice dotknięci traumą okresu wojny obawiali się o to, co było dla nich najcenniejsze – o swoje dzieci¹⁷.

Aby uniknąć upokorzeń, uczniowie żydowscy mogli również uczęszczać do szkół Towarzystwa Przyjaciół Dzieci (TPD)¹⁸, utworzonych w 1949 r. dla zapewnienia postępowego nauczania bez obecności religii.

Szkoły te przyjmowały większość dzieci nomenklatury, ale także liczne dzieci pochodzenia żydowskiego lub z rodzin mieszanych, które chciały w ten sposób uchronić swoje latorośle przed dyskryminacją związaną z nauczaniem religii w szkole. Jednak nawet w tym schemacie świecko-komunistycznym „czerwonej burżuazji” było w dobrym tonie znaleźć się u księdza po zajęciach, tak jak opowiadała to Marta Petrusiewicz, była uczennica tego typu szkoły w Warszawie: „wszyscy stamtąd i tak po lekcjach chodzili do tego samego księdza na katechezę”¹⁹. Przypominała sobie, że w jej klasie było tylko troje uczniów, którzy nie chodzili do kościoła, co czyniło ich regularnie obiektem drwin innych dzieci. Jeden z pechowych kolegów o imieniu Henio, który na dodatek miał nieszczęście być niski, gruby i słabo grać w piłkę nożną, znalazł się nawet na strychu szkoły, przyczepiony za uszy do krzyża sporządzonego przez jego kolegów z klasy: „Tak! Zrobili krzyż i ukrzyżowali na nim Henia za uszy!”, opowiada Marta, która przybyła na czas, żeby go uwolnić i w ten sposób ocaliła mu życie²⁰.

Dlatego aby się nie odróżniać wiele dzieci z rodzin żydowskich uczęszczało jednak na lekcje religii. Niektóre przystępowały nawet do komunii, czasem z własnej inicjatywy, żeby robić tak samo jak ich koledzy. Opowiadała o tym Joanna Istner, która wyemigrowała do Izraela w 1968 roku. Wywodziła się z rodziny żydowskiej, która nigdy nie ukrywała przed nią swojego pochodzenia, miała nawet dziadków w Izraelu, a mimo to w szkole podstawowej uczęszczała na religię, żeby zostać ze swoją najlepszą przyjaciółką Jolą:

„Jej mama przyszła do moich rodziców i zapytała, czy nie mają nic przeciwko temu, żebyśmy razem chodziły na religię i przystąpiły do komunii. Nie mieli. Moi rodzice uważali, że religia jest sprawą osobistą i jak chcę, mogę chodzić. U nas było normalnie. W domu stawiali się choinkę i były pod nią prezenty”²¹.

Jednak te wysiłki najczęściej nie przynosiły wielkich rezultatów w zakresie integracji społecznej młodzieży. Andrzej, którego rodzice ochrztili się w Kościele katolickim na długo przed wojną, opowiadał:

„O tym, że jestem Żydem, nie wiedziałem. Ochrzczono mnie, byłem u komunii, a w trzeciej klasie, kiedy wprowadzono religię do szkół (w pięćdziesiątym szóstym roku), ojciec kazał mi na religię chodzić. Ale mniej więcej w tym okresie coś się stało z kolegami w szkole. Odsunęli się ode mnie. Powiedzieli, że jestem Żydem, że moi rodzice przed wojną mieli inne, żydowskie nazwisko, wychowawczyni także kierowała pod moim adresem kąśliwe uwagi”²².

Inne dzieci chodziły na religię, ale nie były oceniane, dzięki życzliwości księdza. Tak wyglądał przypadek Ewy i Fredy Rosenbaumów. W szkole we Włoszczowie koło Kielc ksiądz prowadzący lekcje religii żywił do nich sympatię i zażądał od ich matki zgody na ochrzzczenie córek. Odmówiła, lecz ksiądz mimo wszystko dalej dziewczynki lubił. Z tego powodu chodziły na katechezę, jednak bez obowiązku modlenia się i nie były oceniane. Swoją drogą, dziew-

15 Na temat spółdzielni żydowskich, zob. Michał Grynberg, *Żydowska spółdzielczość pracy w Polsce w latach 1945–1949*, Warszawa, PWN, 1986.

16 O całokształcie zagadnienia szkolnictwa żydowskiego w Polsce po 1945 r. zob. Helena Datner, *Dziecko żydowskie (1944–1968)*, [w:] F. Tych, M. Adamczyk-Garbowska (red.), op. cit., s. 245–281.

17 Na temat antysemityzmu w Polsce w 1956 roku i jego szczególnego wymiaru w stosunku do dzieci, zob. zwłaszcza Paweł Machcewicz, *Antisemitizm in Poland in 1956*, „Polin”, 1994, nr 9, s. 170–183.

18 Towarzystwo, utworzone w 1919 r., było początkowo organizacją pozarządową, której celem był rozwój, ochrona i edukacja dzieci. W okresie komunizmu stała się ona pasem transmisyjnym propagandy Partii wobec najmłodszych.

19 J. Wiszniewicz, op. cit., s. 38.

20 Ibidem.

21 Cytat za T. Torańska, op. cit., s. 386.

22 J. Wiszniewicz, op. cit., s. 19.

czynki bardzo tego żałowały, ponieważ były najbardziej uzdolnione w całej klasie. Któregoś dnia ksiądz podczas lekcji powiedział, że matka Jezusa była Żydówką, co wzbudziło wrzawę pośród dzieci: „I krzyk. [...] Nieprawda! [...] Te małe dzieci, naprawdę małe, krzyczały, wskazując na nas: Ta są Żydówki, one są Żydówki!”. Ksiądz się przestraszył, ale odpowiedział, że nie mają prawa tak mówić. Niewątpliwie to ta życzliwość księdza motywowała matkę dzieci do dalszego szacunku wobec religii katolickiej, a nawet do podpisania w 1951 roku petycji przeciwko wycofaniu lekcji religii ze szkoły – czym ksiądz lubił się chlubić przez następne dwadzieścia lat²³.

Kolonie letnie

Ten sam odruch mimikry działał na koloniach letnich, na które wysyłane były prawie wszystkie dzieci w Polsce. Tam należało robić tak samo jak inni, przestrzegać praktykowanych obrzędów katolickich. Walenty Cukierman, syn repatrianta ze Związku Radzieckiego, mieszkający po wojnie we Wrocławiu, wspominał:

„Na kolonie letnie rodzice wysyłali mnie przeważnie do Darłówka nad morze. [...] Przed pójściem spać wszyscy klękali twarzą do ściany i odmawiali pacierz. Też klękałem i zamiast się modlić, bo żadnych pacierzy nie znałem, liczyłem czas. Najkrótsza modlitwa trwała 30 sekund, najdłuższa kilka minut. Wybierałem średnią około minuty, żeby nie podpaść”²⁴.

Przymus i dokuczanie, których ofiarą padały dzieci żydowskie na tak zorganizowanych wakacjach, tłumaczą częściowo sukces, jaki odnosiły od utworzenia w 1960 r. kolonie letnie organizowane przez TSKŻ. Brały w nich udział nie tylko dzieci aktywnych członków stowarzyszenia, ale także młodzież, która nie utrzymywała żadnych więzi ze społecznością żydowską przez resztę roku. Były to miejsca stanowiące rodzaj azylu dla tożsamości całkowicie zasymilowanej młodzieży, gdzie dostarczano podstaw świadomości żydowskiej, z którą ta młodzież nie miała już żadnego kontaktu. Dystans do reszty społeczeństwa polskiego, ukształtowanego w duchu odrzucania inności odczuwanej jako zagrożenie dla jedności narodowej, stał się wówczas jeszcze większy, co tłumaczy, dlaczego eksplozja antysemityzmu wiosną 1968 roku nie była postrzegana jako niespodzianka – nawet w najbardziej zasymilowanych kręgach Polaków pochodzenia żydowskiego.

Żyłem w dwóch światach: wspólne doświadczenie Żydów polskich i Polaków pochodzenia żydowskiego

Walenty Cukierman podsumował swoją relację zdaniem, które odnajdujemy w licznych świadectwach emigrantów żydowskich z 1968 roku, dobrze wyrażającym odczucia tych ostatnich, niezależnie od stopnia ich autoidentyfikacji z żydostwem: „Żyłem w dwóch światach”²⁵. Inny emigrant, Andrzej Karpiński, którego matka była katoliczką i który miał „polskie imię, polskie nazwisko [jego ojciec zmienił nazwisko podczas wojny

i pozostał przy nim – przyp. AK], tzw. dobry wygląd” wyraźnie mówi w tym samym duchu:

„Ja nie wiem, czy wtedy byłem Żydem. [...] Miałem dwa życia. Jedno w szkole i potem na uniwersytecie. Oraz drugie na koloniach żydowskich i w klubie TSKŻ-etu przy Nowogrodzkiej 5 [w Warszawie – przyp. AK], gdzie w sobotę czy w niedzielę biegało się na potańcówki. Cały tydzień czekałem, żeby tam polecieć. Tak jak cały rok czekałem, by pojechać na kolonie żydowskie. Czułem się tam dwustuprocentowym Żydem. Choć jeśli nim byłem, to w pięćdziesięciu”²⁶.

Przestrzenie wspólnotowe jako azyl dla tożsamości „Żydów-żydów”

Można poczynić rozróżnienie między dwiema grupami polskich Żydów. Pierwsi, których określiłam mianem „Żydów-żydów”, za Krystyną Kersten²⁷, to ci, którzy jak Andrzej Karpiński, trochę obracali się w środowiskach żydowskich i opowiadają, jakie elementy tradycji były podtrzymywane, zawsze zarezerwowane dla sfery rodzinnej bądź wspólnotowej – żydowska kuchnia, ewentualnie brak wieprzowiny na stole, świętowanie wielkich uroczystości, przynajmniej w rodzinach odwiedzających organizacje żydowskie. Ale nawet w większości wypadków tych „Żydów-żydów” elementy związane z żydostwem były dużo bardziej wycinkowe. Taki był mianowicie przypadek Branleya Zeichnera, którego rodzice repatriowani z ZSRR, osiedlili się w Wałbrzychu na Dolnym Śląsku, po tym jak usiłowali uciec z Polski w 1946 roku:

[Moi rodzice] „nie byli religijni. Maca na Pesach, i to wszystko. Chodziło się do klubu żydowskiego, w domu były żydowskie książki, i trzy razy pojechałem na żydowskie kolonie”²⁸.

Tak samo było w przypadku Henia wywodzącego się z rodziny żydowskiej z Warszawy, który opowiadał:

„Ojciec żydowskie święta czuł psim węchem. Zawsze je wyczuł! Myśmy ich nie obchodzili, bo dziadek nigdy by się na to nie zgodził, ale w Jom Kipur ojciec ani razu nie poszedł do pracy – nawet wtedy jak pracował w MON-ie. Miał katar, grypy, temperaturę – system krwionośny mu na pójście do pracy nie pozwalał. [...] w Pesach przez cały tydzień nie jadł chleba, tylko macę. [...] [Moja babcia] nigdy nie jadła chleba z masłem razem z wędliną”²⁹.

Nowi „marrani”: domyślny model relacji społecznych

Jednakże poza tą małą grupą, która bywała w instytucjach żydowskich i zachowywała trochę tradycji rodzinnych, określenie „marrani” zostało w 1966 roku całkiem słusznie użyte przez wystannika *American Jewish Joint Distribution Committee* (AJJDC), amerykańskiej charytatywnej organizacji żydowskiej działającej w Polsce w latach czterdziestych, a następnie

26 Ibidem, s. 21.

27 Krystyna Kersten, *Polacy-Żydzi-Komunizm. Anatomia półprawd 1939–1968*, Warszawa, Niezależna Oficyna Wydawnicza, 1992, s. 78.

28 T. Torąńska, op. cit., s. 60.

29 J. Wiszniewicz, op. cit., s. 88. Ten zwyczaj żywieniowy odnosił się do nakazu koszerne, zakazującego mieszania produktów mięsnych z mlecznymi.

23 T. Torąńska, op. cit., s. 318–322.

24 Ibidem, s. 300.

25 Ibidem.

sześćdziesiątych, dla scharakteryzowania osób w żaden sposób nie związanych ze wspólnotą żydowską, które jednak utrzymywały, najczęściej siłą tradycji, pewną osobliwość i określony model relacji społecznych. W raporcie, który wtedy napisał, oceniał, że ci „marrani” byli równie liczni, jeśli nie liczniejsi od Żydów „widzialnych”³⁰.

Odnosnie do tej grupy można mówić o swoistym domyślnym modelu relacji społecznych. Inaczej mówiąc, jej członkowie zasadniczo nie odwiedzali instytucji żydowskich, ale ponieważ dzielili wspólne doświadczenie – jak fakt nie obchodzenia religijnych katolickich świąt Bożego Narodzenia czy Wielkanocy, bądź nie noszenie wyróżniających symboli religijnych – a przede wszystkim ponieważ byli często odrzucani w innych tradycyjnych miejscach polskiego życia towarzyskiego jak harcerstwo lub organizacje związane z Kościołem, prowadziło ich to rozpoznawania się i spotykania się w swoim gronie. Joanna Istner powiedziała o tym tak:

„Byłam jedyną Żydówką w klasie. Dwie klasy wyżej – druga. Chodziłyśmy razem na balet [...] ona zapytała: Nie masz łańcuszka Matki Boskiej? Nie, bo jestem Żydówką – odpowiedziałam. A ona, cichutko: Ja też”³¹.

Inna kobieta, Ana de Tusch Lec, córka katoliczki, która jednak więcej zrobiła dla zapewnienia jej edukacji żydowskiej niż ojciec, w czasie wojny jako dziecko ukrywana, też tłumaczy, w jaki sposób „rozpoznała” żydostwo swojej koleżanki z klasy Ireny, która sama o nim nie wiedziała. Zdała sobie z tego sprawę odwiedzając mieszkanie koleżanki:

„W domach żydowskich był inny stosunek do dzieci – nieautorytarny. Inny rodzaj ciepła. Nas łączyło też to, że nie mieliśmy Gwiazdki, nie obchodziło się imienin. Nas zdradzało, że nie posiadaliśmy rodzin, dziadków, babć, wujków, cioc”³².

To rozpoznawanie było o tyle wyjątkowe, że naznaczone przez tajemnicę, niedomówienie. Wiedziało o swoich żydowskich znajomych, ale sprawy tej tożsamości nigdy nie poruszano. Janina Rozenbejn, której matka uciekła z warszawskiego getta, zaś ojciec spędził wojnę w ZSRR, znakomicie zilustrowała to zagadnienie w swojej relacji. Kiedy pewnego wakacyjnego dnia pewien młody chłopak powiedział jej, że lubi jeść sznyk z kury, od razu wiedziała, że »musi być on Żydem, ponieważ był to „przysmak bardzo żydowski” potrawa typowo żydowska. [...] Ale sam tego mi nie powiedział. Żydzi nawet między sobą nie mówili, że są Żydami«. Na temat tego niedopowiedzenia dodała jeszcze: „A u mnie w domu nie było żadnych świąt. Ubieranie choinki i prezenty od Dziadka Mroza skończyły się, jak miałam osiem, dziesięć lat i gdy przychodziły święta Bożego Narodzenia, sylwester, Wielkanoc, była cisza”³³.

Janina Bauman, żona socjologa Zygmunta Baumana, ocalona z warszawskiego getta opowiadała, że

w Polsce, aż do jej emigracji w 1968 roku, ona i jej mąż obchodzili swoje Boże Narodzenie jedząc wspólny świąteczny posiłek z przyjaciółmi – dopiero wiele lat później zdała sobie sprawę, że wszyscy oni byli Żydami³⁴. Po prostu, trudno było Żydowi spędzać to religijne święto z rodzinami katolickimi.

Ci „marrani” odnajdywali się zatem w alternatywnych miejscach: niektóre szkoły TPD, zwłaszcza te dla dzieci nomenklatury, ale także w klubach dyskusyjnych jak ten, który ukonstytuował się w latach sześćdziesiątych wokół studenta Adama Michnika. Nie był on w żadnym razie zarezerwowany dla Żydów, ale stanowił jedno z niewielu miejsc, gdzie powiedzenie, że jest się Żydem nie stygmatyzowało, a wręcz dowartościowywało – podczas gdy Żydzi byli odrzucani w innych organizacjach kulturalnych, a nawet politycznych, zaś opozycyjność manifestowała się w tym czasie najczęściej poprzez Kościół. Później odnajdujemy wielu członków tej grupy – pośród tych, którzy nie wyjechali w 1968 roku – w opozycji politycznej, zwłaszcza w latach siedemdziesiątych, w Komitecie Obrony Robotników, a w latach osiemdziesiątych skupionych w jednej z frakcji „Solidarności”.

Po 1968 roku

Jednak rzeczywistość społeczna doganiała tych marranów, którzy licznie uciekali z Polski w 1968 roku. To oni stanowili większość spośród 13 tysięcy Żydów, którzy w tym czasie wyemigrowali. Profesorowie uniwersyteccy, dziennikarze, lekarze – duża część elity intelektualnej zniknęła z kraju. Oczywiście ta emigracja przyniosła również fatalne skutki dla organizacji wspólnotowych, które w większości nie zniknęły – poza wydawnictwem publikującym w jidysz – ale ich działalność została zredukowana na najprostszych przejawów. Stopniowy renesans żydowski rozpoczął się w latach osiemdziesiątych, wskutek zmiany stanowiska władz wobec Izraela i mniejszości żydowskiej, władzy wówczas osłabionej i szukającej poprawy wizerunku na arenie międzynarodowej, ale także dzięki postępowym głosom wewnątrz polskiego Kościoła, nawołującym do pogłębionej refleksji nad stosunkami polsko-żydowskimi i do zaniechania dyskursu antyżydowskiego wciąż w Kościele obecnego. Zmiana w 1989 roku w kierunku społeczeństwa demokratycznego i jej konsekwencje w przestrzeni publicznej, otwartej od tego czasu na dialog, tylko przyspieszyła ten proces. Dzisiaj kilka tysięcy Żydów żyjących w Polsce – których liczba wydaje się stabilizować, jeśli nie wzrastać dzięki narodzinom dzieci marranów odkrywających swoją tożsamość – stanowi mniejszość uznawaną nie tylko przez władze, ale w coraz większym stopniu również przez Kościół i polskie społeczeństwo.

AUDREY KICHELEWSKI

Tłumaczył Paweł Sękowski

30 American Jewish Joint Distribution Committee (Fonds de Jérusalem), Geneva I, 76A2, N° 15, Meeting on Poland, September 1966, s. 4. W raporcie liczbę Żydów polskich szacowano na 50 tysięcy, wliczając w to co najmniej 20 tysięcy „marranów”, czyli Żydów ukrywających swoją tożsamość.

31 Cytat za T. Torąnska, op. cit., s. 386.

32 Ibidem, s. 98–99.

33 Ibidem, s. 147, 150.

34 Janina Bauman, *Nigdzie na ziemi*, Warszawa, ŻIH, 2000, s. 187.

JACEK WOJCIECHOWSKI

SYGNAŁY ZE WSCHODU

Książki faktograficzne i publicystyczne, szczególnie te o charakterze politycznym, za naszą wschodnią granicą ukazują się przeważnie w nakładach skromnych. Zbyt niskich, żeby tam zwrócić na siebie szerszą uwagę, a tym bardziej: żeby mieć wpływ na świadomość potoczną. Natomiast same są jednak świadectwem bardzo zróżnicowanego myślenia. Dlatego w tutaj-szych oczach mogą stanowić zespół sygnałów, które zauważyć warto.

W ten sposób uzasadniam poniższy przegląd książek, obok publikacji rosyjskich, przywołując także – zresztą akurat wobec siebie całkowicie niekompatybilne – ukraińskie. Mam bowiem wrażenie, że sytuujemy się zbyt blisko Rosji oraz Ukrainy, żeby nie zwracać uwagi na to, o czym tam mówi się i pisze.

ŚLADAMI NIEMCOWA

Lilia Dubowaja, *Niemcow, Hakamada, Gajdar, Czubajs. Zapiski press-sekretaria*, Moskwa, ACT, 2015, s.256, ISBN 978-5-17-090704-5.

W nocy 27 lutego 2015 roku, na moście Moskwo-rickim więc obok Kremla, został zastrzelony Borys Niemcow. Z wykształcenia fizyk, z politycznych poglądów liberał, był najprzód gubernatorem w Niżnym Nowogrodzie, a w latach 1997-1998 wicepremierem Rosji

w rządzie Wiktora Czernomyrdina. Mówiło się, że jest ulubieńcem prezydenta Borysa Jelcyna i kojarzono ich także wzrostowo, bo Niemcow był facetem wysokim, a Jelcyn – w młodości siatkarz ekstraklasy – też przera-stał innych o głowę. Później, w 2007 roku Niemcow sam kandydował na urząd prezydenta Rosji z ramienia SPS (Sojuszu Sił Prawicowych), ale bez sukcesu.

W chwili zabójstwa miał 55 lat. Należał wtedy do marginalnej, Republikańskiej Partii Rosji i był jednym z liderów rosyjskiej opozycji demokratycznej, zresztą bardzo słabej. Natomiast on sam był dobrze rozpoznawalny przez polityczne kręgi za granicą.

CZECZEŃSKIE ZMYŁKI

W momencie strzelaniny jedna z pobliskich kamer ulicznego monitoringu nie funkcjonowała, a widok z drugiej przesłoniła piaskarka. Mimo to wkrótce aresztowano pięciu czeczeńskich zbirów, z których jeden – Zaur Dadajew – najprzód przyznał się do zastrzelenia Niemcowa, a potem zeznania odwołał. Drugi, Anzor Gubaszew, opowiedział o politycznych motywach zabójstwa, ale plół takie androny, że nawet prorządowe media nie zechciały ich komentować.

Pojawiła się z kolei sugestia, że morderstwo na zlecenie mógł zainspirować szalony czeczeński satrapa

Kadyrow już to dla przypodobania się Putinowi (to absurd), bądź przeciwnie: dla zapaskudzenia prezydenckiego wizerunku (ale po co?). Jednak te insynuacje, nie dosyć że wzajemnie sprzeczne, nie trzymały się kupy. Niemcow nie był dla Putina konkurentem ani zagrożeniem żadnym. Próbowano wobec tego wywołać motywację damsko-męską, bo wysoki i bardzo przystojny Niemcow miał olbrzymie powodzenie u pań, a i sam też miał ku nim skłonność niebywałą: dwie żony formalne, jedna nieformalna oraz niemało innych partnerek (jakkolwiek w większości jednorazowych) – z których jedna towarzyszyła mu na tym moście. Lecz nikogo konkretnego nie wskazano.



Skończyło się (albo może jeszcze nie) więc na dyrdymałach, serwowanych przez aresztowanych, a poza Rosją na zwerbalizowaniu domniemanej odpowiedzialności Putina. Co bezpośrednio nie ma sensu, natomiast pośrednio to już inna sprawa... Ktoś jeden nie ma tam wpływu na wszystko. Takim krajem jak Rosja nie da się rządzić w pojedynkę, tego nawet Stalin nie próbował: musi istnieć grupa trzymająca władzę. Nie wszystkie nazwiska są rozpoznane, nie wszystkie też mają potwierdzenie, ale to stamtąd mogą wychodzić dyrektywy, niekoniecznie, nie zawsze, oraz nie w pełni przez głównego szefa akceptowane. Jakkolwiek nikt tego nie potwierdza.

CIEŃ OPRYCZNINY

Likwidowanie ludzi masowe bądź indywidualne, skrytobójcze lub jawne, z poruczenia władzy, przeciwko władzy, albo żeby (jak Kain) zbliżyć się do władzy, to praktyki stare jak świat i jak świat powszechne. Ginęli w ten sposób oraz nadal giną rządzący, opozycjoniści, ludzie przypadkowi, bądź z różnych powodów wskazani palcem. To nie jest wynalazek wyłącznie nadwołański, ani tamtejszy znak firmowy.

Chociaż niejaką odrębność i własną historię to zjawisko w Rosji ma. Mianowicie w XVI wieku car Iwan Groźny, oprócz sformalizowanego systemu terroru państwowego, skonstruował pozapaństwowy obszar władzy osobistej ze specjalną gwardią Opryčników, żeby przez zastraszanie podporządkować sobie cały (już wtedy ogromny) kraj. I ta symbiotyczna forma despotycznej polityki wewnętrznej, pomimo upływu lat, tu i ówdzie, konwulsyjnie, chwilami nie pozwala o sobie zapomnieć. Tak przynajmniej niektórzy mówią. Bo na ogół nikt nikogo nie złapał za rękę, nie dostarczył twardych dowodów, ponieważ to nie jest i nigdy nie była byle jaka amatorszczyzna. Istnieje więc tylko skromna garść pojedynczych faktograficznych przecieków, do spekulatywnej interpretacji.

Te fakty zaś wyglądają na gangsterskie, lecz gdyby to było tylko gangsterstwo, to już dawno odeszłoby w niebyt, ewentualnie w legendę. Trwałość nadaje ideologia – specyficznie pojmowany interes państwa, narodu, obywateli, a nawet społeczeństw. Z kolei bezpośrednie cele bywają różne. Ale jeden wszędzie utrzymuje się bez zmian, mianowicie wymuszanie uległości przez strach przed władzą, która jeżeli nie zechce, to sprzeciwi nikomu i nigdzie nie odpuszcza.

W państwowotwórczej intencji, terror państwowy i *oprycznikowski* próbował później powiązać carski premier Piotr Stołypin, ale bez sukcesu, bo sam padł ofiarą skrytobójstwa. Natomiast tę formę sprawowania władzy – deklaracyjnie, też ku pożytkowi narodów – perfekcyjnie opanował Józef Stalin. Rozumiejąc, że od takiego układu nie ma odwrotu, ale też łatwo stracić nad nim kontrolę, dlatego co jakiś czas, sukcesywnie likwidował szefów służb specjalnych. Wiedział



o tym również Nikita Chruszczow i przejęcie sukcesji zaczął od eliminacji Ławrentija Berii, co zapewniło mu władzę na dłuższy czas. Tak to przynajmniej wyglądało.

Ale do interpretacji nadają się również losy przegranych. Nie zdążyli w porę stworzyć własnej gwardii (określając umownie) *opryczników* Aleksander Kiereński i potem Lew Trocki, ani wiele lat później Michaił Gorbaczow (stąd pucz Janajewa). Borys Jelcyn, jeszcze wówczas nie pazerny, chociaż już mocno trunkowy, nie przejąłby władzy sam z siebie, bez wsparcia właściwych osób oraz zręcznych służb. Mówiło się wtedy, że szarą eminencją mógł być Anatolij Sobczak (nawiasem mówiąc syn Polaka), potężny mer Leningradu/Sankt-Petersburga. No bo to powiązani z nim ludzie przenie-

śli się potem znad Newy na Kreml, a on sam uniknął procesów kojarzonych z nagłym wzbogaceniem się, podczas gdy innym czegoś takiego nie darowano. Ale czego to ludzie nie mówią... Również kiedy zestawiają razem rozmaite zaobserwowane zdarzenia. Przecież nie muszą obserwować ani zestawiać.

Oto w Anglii zmarł skrytobójczo napromieniowany (ale nie talem – jak piszą) Aleksander Litwinienko, były podpułkownik rosyjskich służb bezpieczeństwa. Tam też poumierali rosyjscy biznesmeni, skłóceni z rosyjskim prezydentem, Aleksander Pierepicznyj (otruty?) oraz znany oligarcha Borys Bierezowski (powiesił się sam?). A w Rosji zamordowano niepokorne dziennikarki, Natalię Estemirową oraz Annę Politkowską, zaś w więzieniu umarł (?) opozycyjny prawnik, Siergiej Magnicki. Lista jest zresztą znacznie dłuższa i trudno uwierzyć w splot nieszczęśliwych okoliczności. A wszystkie te wydarzenia łączy wynikające z nich poczucie zagrożenia u każdego, komu brakuje politycznej pokory.

To mogło mieć odniesienie również do Niemcowa. Przeciwnikiem politycznym nie był już wprawdzie żadnym, a jego opinie nie miały szerszego echa, bo nie były nigdzie rozpowszechniane; media nie chciały albo nie mogły, zaś tamtejszy internet nie jest w pełni swobodną tubą. Natomiast mógł być jeszcze pamiętany jako były wicepremier. Innego, również rozpoznawalnego nazwiska (Aleksander Nawalny to nie ta kategoria) w kręgach aktywnej opozycji obecnie tam nie ma. Jedni wyjechali, inni po prostu zamilkli. Dlatego całe to wstrząsające zdarzenie można odebrać jako okresową przestrożę, przypominającą: niech nikt nie fika, bo to niebezpieczne.

Trzymając się metafory: nowa *Opryčnina* – jeżeli istnieje – też ma to do siebie jak dawna, że nie musi być w pełni podporządkowana władzy. Której wprawdzie służy, ale po swojemu i zresztą niewykluczone, że sama po części też władzą jest. Toteż mogą zdarzyć się przedsięwzięcia poza wiedzą, a nawet poza wolą

zwierzchnictwa, jakkolwiek zapewne istnieją jakieś granice. Jednak to jest układ, z którego wycofać się bardzo trudno. Jeżeli faktycznie ktoś wdepnął.

Natomiast naprawdę autentyczne są fakty. Za które ktoś musi ponosić odpowiedzialność. Przynajmniej ogólną, symboliczną – nawet jeżeli nie bezpośrednią. Zwłaszcza kiedy giną ludzie.

KSIĄŻKA

W jakiś czas po zabójstwie Niemcowa ukazała się w Moskwie książka o nim, napisana wcześniej i pozbawiona bez zmian. Dodano jedynie ogólnikowy wstęp epitafijski, w całości utkany z pustych słów.

Tytuł *Niemcow, Hakamada, Gajdar, Czubajs. Zapiśki press-sekretaria* sugeruje, że to tekst o polityczno-gospodarczych, liberalnych reformatorach z epoki Jelcyna, na których zresztą tamtejsza prasowo-medialna propaganda od dawna wiesza psy. Jegor Gajdar (już nie żyje) był premierem. Anatolij Czubajs wicepremierem i głównym kreatorem nieudanych zmian (z czasem wzbogacił się, zamilkł i usunął w cień), zaś Irina Hakamada (profesor ekonomii) to czołowa kreatorka ówczesnej nowej ekonomii, lecz teraz już jej nie lansuje. Natomiast Boris Niemcow jako wicepremier zajmował się polityką społeczną. Wszyscy reprezentowali wtedy Sojusz Sił Prawicowych (SPS).

Głęboka zapaść gospodarcza i socjalna Rosji przelomu tysiącleci – pustki w sklepach, inflacja, drożyzna, niewypłacanie pensji oraz emerytur przez całe miesiące – jest obecnie kojarzona z tymi właśnie nazwiskami. Szczególnie przez media, ale być może również przez społeczeństwo, które ma mroczne wspomnienia, a poza tym (jak wszędzie) chętnie rejestruje obrzucanie mięsem ludzi z byłej władzy. Zapewne dlatego w tytule książki dopisano jeszcze te osoby – żeby zaintrygować potencjalnych czytelników. Ale ta promocja opiera się na drobnym oszustwie. Książka bowiem niemal wyłącznie traktuje o Niemcowie, a pozostałym politykom poświęca raptem kilka zdań.

Samo pisanie jest zresztą marne. Autorka, Lilia Dubowaja, była rzecznikiem prasowym Niemcowa oraz partii SPS, jednak raczej kiepskim i przy takich medialnych prezydentach medialnych nie ma co się dziwić, że po dawnych neoliberalnych reformatorach pozacierały się ślady. Żadnej klasy, żadnej kultury, żadnego politycznego rozeznania. Angażowanie do politycznego piaru dziewczyn, które wcześniej w redakcjach zajmowały się głównie parzeniem kawy, okazuje się więc pomysłem katastrofalnym.

W książce przeważają plotki serwowane w tonacji luzackiej, z nadmiarem autorskich relacji o sobie. Natomiast są również sygnały – chociaż mimowolne, nieintencjonalne – jak funkcjonują tamtejsze polityczne elity i to jest warte uwagi.

Sam portret Niemcowa nie wygląda budująco. Zdaniem jego współpracownicy, to był facet marne czytany, za to impulsywny, a cudze pomysły chętnie uznawał za własne. Z tym jednak kłóci się deklaracja, że był charyzmatyczny i mądry. W relacji na pierwszy plan wysuwa się jednak upodobanie do długonogich, wysokich blondasek, które licznie kolekcjonował. Główny trefniś rosyjskiej polityki, Żyrinowski (o nim później), nazywał go *bawidamkiem* nie bez powodu. Bo też, z drugiej strony, świetna aparycja Niemcowa była powszechnie

zauważana. Ale z ogólnopolitycznego punktu widzenia jakie to ma teraz znaczenie?

W takim to kontekście autorka sygnalizuje własne relacje z szefem, a także opinie o swojej prezencji – mocno przesadzone. Oraz mnoży różne anegdoty o fraucymierze poprzedniej rządzącej ekipy, niekonięcznie pochlebne. Oto w tamtejszym *Białym Domu*, zamiast zajmować się polityką, plotkowano o pięknych dziewczynach i chutliwych kawalerach w Wenezueli, o sekssturystyce (lecz niestety Niemek) do Chorwacji, a także o erotycznych ofertach telefonicznych dla rosyjskich rządowych ekip-w-delegacji, w prowincjonalnych hotelach w samej Rosji. Autorka nie oszczędziła też złośliwego komentarza o znanej i ładnej (dlatego?) dziennikarce Lenie Tregubowej, która adorowała Niemcowa, nie bez wzajemności, ale potem (ponieważ pisała odważnie) cudem przeżyła zamach na siebie i musiała z Rosji uciekać. Wobec takich okoliczności, jak też w stosunku do nieżyjącego już Borysa Bierzowskiego (choć to postać dwuznaczna), figlarna tonacja narracji jest co najmniej niestosowna.

NIEUDANE TRANSFORMACJE

Wygląda na to, że głównym źródłem rosyjskich perturbacji w ostatnim ćwierćwieczu były nieudane transformacje ustrojowe. Niczego nie skonstruował nadmiernie gadatliwy Gorbaczow – demontaż wychodził mu lepiej, natomiast Jelcyn, pomimo niezaprzeczalnej charyzmy, intelektualnie i kompetencyjnie nie dorósł do sytuacji. Umoczony w alkoholu, osaczony przez pazerką *familię*, oddał ster przekształceń w ręce młodych i niedoświadczonych prawicowych neoliberalistów, którym w dodatku grupa nowych oligarchów zagrała na nosie i pozabierała najważniejsze państwowe narzędzia ekonomiczne. Nastąpił okres kolejnej, swoistej *Wielkiej Smuty* – okoliczności codziennego życia były naprawdę dramatyczne – nadal niechętnie lub wręcz nienawistnie kojarzony z sygnalizowanymi tu nazwiskami, nie wyłączając Niemcowa.

Kiedy zatem u nas z frywolną bezmyślnością dzisiaj wiesza się psy na naszych reformatorach z lat 90., to może warto rzucić okiem w kierunku wschodnim. A potem (lecz lepiej przedtem) pójść po rozum do głowy.

Inna zaś sprawa, że tamtejsze okoliczności były tysiącokrotnie trudniejsze, toteż ustrojowe przemiany w dawnym ZSRR udały się w pełni tylko w trzech republikach nadbałtyckich. Bo je do *Sojuszu* inkorporowano o ćwierć wieku później niż pozostałe, nigdy do końca nie przemielono komunistycznie, ani też nie powiodło się wynarodowienie – mimo prób, stąd aktualne kłopoty Łotwy i Estonii – no i w końcu są to kraje niewielkie. Więc to jednak nie to samo.

W pozostałych republikach sowieckich, a szczególnie w Rosji, została zdemolowana infrastruktura społeczna, nastąpił demontaż etosu pracy (*każdemu według jego potrzeb*) i uległa demoralizacji świadomość przedstawiona na roszczenia (*należy się*), zresztą mocno dziadowskie, bowiem tak naprawdę mało komu mało co oferowano. No i jeszcze: nawet rosyjska świadomość państwowa – mimo propagandy – rozleciała się na kawałki. W takiej sytuacji, w dodatku wobec wybuchu drugiej wojny czeczeńskiej oraz zabójczej plagi pijaństwa, reformatorzy musieliby być geniuszami oraz mieć do dyspozycji brutalną siłę. Otóż nie byli, ani nie

mieli, stąd załamanie. Zaś putinizacja przyniosła stabilność i egzystencję na co najmniej elementarnym poziomie, a także restytucję imperialnej dumy narodowej, teraz już jednorodnie i bez kamuflażu rosyjskiej. Opartej zresztą na hasle *wszyscy na świecie przeciw nam*, które upowszechniło się z szokującą i niebezpieczną intensywnością.

Dubowaja nie jest może świadkiem w pełni kompetentnym, ale jednak *jakieś* świadectwa nieporadności ówczesnej grupy rządzącej zostały w tekście dosyć wiarygodnie zasygnalizowane, tłumaczył niemało z tego, co tam nie tak dawno było i co teraz jest.

Otóż nie widać w tamtym okresie żadnych politycznych koncepcji, a jedynie dosyć bierne trwanie ekipy, z doraźnymi, niekiedy wręcz konwulsyjnymi przedsięwzięciami. Oto do strajkujących górników z jednej nie tak znowu wielkiej kopalni udał się wicepremier ogromnego kraju, żeby zorganizować im państwową wypłatę zaległych pensji. Z kolei rządowe delegacje do Chin, do Ameryki Łacińskiej lub do Japonii były jak dawniejsze wycieczki po bazarowe zakupy (w czasach sowieckich), bez natomiast odpowiedniego przygotowania i klarownego sensu politycznego. Dla przykładu: liberał Niemcow nie mógł zapewne pozwolić sobie na spotkanie z Pinochetem, ale po co wobec tego pchał się akurat do Chile? A znowu przed wyjazdem do Japonii przebąkiwano o pomyśle Jelcyna, żeby zwrócić Wyspy Kurylskie, ale w końcu nic z tego nie wyszło. No i kompletna improwizacją był wyjazd do Rzymu, z petycją do Jana Pawła II (akurat wtedy chorował), żeby zaapelował o wstrzymanie bombardowań Serbii. Co zresztą zrobił, tyle że bez (zakładanej) konkordacji prawosławnej cerkwi.

Jednak zupełnie gorszące symptomy rozgardiaszu zawierają się w portretach władzy niższych szczebli, które jakby całe otoczenie miały głęboko w nosie. Kiedy w sklepach były pustki, Łukoil wybudował sobie w środku tajgi główny ośrodek i całe miasto, literalnie na model zachodni, a przyjęcie rządowych gości zaszerwowano tam jak w królewskim pałacu. Inne dyrekcje różnych przedsiębiorstw państwowych zachowywały się identycznie. Strajki górników nie naruszyły dobrobytu ani świetnego samopoczucia kopalnianych kierownictw, zaś na Sachalinie oraz w Magadanie – akurat tuż obok dawnych łagrów – państwowi dygnitarze z różnych firm ucztowali jak u Lukullusa. Wokół rządzącej ekipy kręcili się nowobogacy, nachalnie zabiegając o kolejne lukratywne funkcje i posady, a znowu niektórzy dyplomaci traktowali rosyjskie ambasady jak prywatne synekury, nie przejmując się powinnościami. Jeden z ambasadorów tak bardzo uwikłał się w balangę, że przeoczył spotkanie ze swoim wicepremierem na – bądź co bądź – zagranicznym – lotnisku.

Te drobne, może nawet drugorzędne sygnały, świadczą jednak o rozległym rozprężeniu, z którego nie mogło wyjść nic dobrego. No i nie wyszło. A ludzie o tym nie zapomnieli. Zaś ekipa, która przejęła rządy i zainstalowała porządek oraz doprowadziła do mniej lub bardziej znośnego standardu egzystencji, bardzo chętnie to przypomina. I straszy.

ZEROWANIE OPOZYCJI

Po zmianie władzy liberałowie przemieścili się do opozycji. Jeszcze mieli swoją reprezentację w Dumie, ale już bez wpływów. Stopniały pieniądze, dostęp do

prasy i mediów urwał się całkowicie, a internet był tam dopiero w fazie rozwojowej i zresztą nikt nie upierał się, że jest niezależny. Na kolejne spotkania przedwyborcze jeździli więc czym się dało i wynajmowali coraz mniejsze stadiony lub sale, zaś miejscowi (gospodarze) traktowali ich nierzadko tak, jakby roznosili tyfus.

Młodzież z zasady olewającą wyborczy cyrk próbowała kaptować koncertami rocka, ale brakowało jasnego i atrakcyjnego programu politycznego. Poza tym w ślad za nimi podążały prorządowe bojówki nastolatków, obrzucając ich jajkami oraz obsypując mąką. Nie mieli więc żadnych szans – w dodatkowym kontekście represyjnych aresztowań i niewyjaśnionych zabójstw. Kolejno zatem rezygnowali, odchodzili w milczenie i w polityczny niebyt: liberalna ekipa polityków przestawała istnieć. Niemcow był jednym z ostatnich, którzy wytrwali.

Próby dogadania się z innymi starszymi opozycjonistami – twierdzi Dubowaja – spaliły na panewce z przyczyn głównie ambicjonalnych. A późniejsza opozycja nowa okazała się równie wyjątkowa z programów, jeszcze bardziej podzielona i już prawie całkowicie wyzuta ze społecznego rezonansu. Wygląda na to, że jej publiczny status niewiele wyrasta ponad okolice zera.

Na restytucję znaczenia nie ma więc obecnie realnych możliwości. Być może następne pokolenia wygenerują efektywniejsze siły opozycyjne, lecz niewykluczone, że jeszcze bardziej antyzachodnie i szowinistyczne niż władze obecne. Którym z kolei tak długo nic wewnątrznie nie zagrozi, dopóki ludzie uznają, że da się żyć. A w końcu pomysł na Rosję mogą oraz muszą mieć tylko sami Rosjanie.

Tymczasem czynników utrwalających status quo jest sporo. To właśnie (ograniczone lecz jednak zauważalne) przypadki represji, a nawet skrytobójstw, które wielu skłaniają do wzmożonej ostrożności. Oraz również propaganda, agresywnie szkalująca świat zachodni, który rzekomo stale rozmyśla, jak zniewolić Rosję, a nawet przekształcić w bezwonną kolonię. To jest zresztą opinia stara jak prawosławie, dlatego przyjmuje się bezkrytycznie: mnóstwo ludzi (w tym tamtejszych polityków) wierzy, że to absolutna prawda.

Stąd militarystyka patriotycznego myślenia. Mianowicie lawina przekazów medialnych o zwycięskich orężach, częste demonstracje nowoczesnej broni, kamuflowana agresja wojskowa tu oraz tam, jak też ryzykowne rajdy samolotów i podwodnych łodzi nastawione oczywiście na rezonans w światowych mediach. *Mówią o nas i piszą, znaczą boją się, a więc znowu jesteśmy potęgą*. I kto wie, czy to aby nie odrodzenie imperialnych marzeń w takt wojskowych werbli nie jest akurat głównym narzędziem urabiania społecznej mentalności. Jak może wynikać z rozmaitych faktów – niestety, skutecznym.

Opinie *głęboko słuszne* są takie, że z kolei światu nie wolno zrejterować. Należy dać odpór. Lecz niekoniecznie wiadomo, w jaki mianowicie sposób, bo to jest taniec na linie i ryzyko katastrofy nie wygląda na wydumane.

Z drugiej strony: Rosji nie można niczego narzucić, bo niby dlaczego, jakim prawem oraz jak. Trzeba *tylko* znaleźć sposób na zneutralizowanie złych myśli, niechęci i wzajemnych fobii, tworząc warunki dla uspokojonej koegzystencji, która nie jest niemożliwa. A poza tym nie przesadzajmy: Polska nie jest dla Rosji przedmiotem głównej troski.

Natomiast nie ma co liczyć na inną tam orientację polityczną, przynajmniej w niezbyt odległej przyszłości. Śmierć Niemcowa symbolicznie nawet śladową odmienność na jakiś czas przytłumiła. Jak zaś wobec tamtejszych pretensji i obaw wobec świata oraz ambicji neoimperialnych, a nieraz zwyczajnej arogancji (zob. omówienie następne), stworzyć bądź odtworzyć formułę produktywnego współistnienia – z czasem może przyjaznego – tego w tej chwili najprawdopodobniej nie wie nikt. Jednak stosowna koncepcja musi się wygenerować.

UWAGA: ŻYRINOWSKI!

Russkaja dusza, Moskwa, Izdanie LDPR, 2016, s. 80, ISBN 978-5-4272-0027-1

Nakładem Liberalno-Demokratycznej Partii Rosji, w znaczącej liczbie 15.000 egzemplarzy ukazała się książeczka pod powyższym chwytającym za serce tytułem. Nazwa wydawcy jest stuprocentowym kłamstwem – ta partia nie ma nic wspólnego z demokracją ani z liberalizmem, bo jest najzwyczajniej w świecie faszystowska. I takie też poglądy wyznaje jej lider, siedemdziesięcioletni Włodzimierz Żyrinowski, wiceprzewodniczący (po naszymu: wicemarszałek Sejmu) Państwowej Dumy.

Jest też prawdopodobnym chociaż utajnionym autorem tego tekstu, gdzie chętnie *cytuje się* Żyrinowskiego, a wiadomo, że najlepiej robi to on sam, bo lubi. Może nawet jest sobą zafascynowany, jak podczas niedawnego odsłaniania w Moskwie własnego, imponującego pomnika. Poza tym na takie autorstwo wskazuje szczególnie konwencja wypowiedzi, gdzie żenujące łgarstwa oraz kłamstwa mniej prostackie mieszają się z półprawdami oraz z prawdą rzeczywistą. Czytelnik na ogół nie ma tego jak zweryfikować, wobec tego przeważnie za prawdę uznaje wszystko. To koszmar.

Żyrinowski przed kamerami błaznuje, krzyczy, niekiedy biją swoich rozmówców, a posturę ma potężną, lub oblewa wodą ze szklanki. Niektórzy uważają go za trefnisia oraz lekceważą, ale to poważny błąd. Polityk z niego bowiem zręczny i sprytny: doskonale wie, co robi i po co, wygłupy są starannie przemyślane.

Dzięki temu jest przez publiczność przyjmowany dobrze, a niekiedy bardzo dobrze. Ludzie chętnie akceptują to, co im mówi, bo zresztą mówi to właśnie w tym celu. Ale jeśli wniknąć w treść, to jednak ciarki przechodzą po plecach. Szczególnie na myśl, że podobne przeświadczenia może dzielić większość Rosjan. Bo wprawdzie w Dumie partia Żyrinowskiego ma 12,5 proc. miejsc – to zresztą nie jest mało; reprezentuje około 15 milionów wyborców – to już poszczególne opinie mogą mieć wielokrotnie więcej zwolenników.

Sygnalizowana tu publikacja daje o tych poglądach niejaki pojęcie. I nawet jeżeli wiele sformułowań zabrzmi głupawo albo śmiesznie, to ani wesołość, ani też lekceważenie nie stanowią właściwej wykładni odbiorczej. Trzeba obudzić w sobie co najmniej niepokój.

WROGI ŚWIAT

Tropem tradycyjnej wielowiekowej propagandy rosyjskiej w tekście zawiera się jednoznaczna sugestia, że obcy zawsze chcieli i nadal chcą zniszczyć Rosję, a głównymi prowadzonymi są Amerykanie. Jednak świat nie ma odwagi wojować z Rosją otwarcie, ponieważ boi się rosyjskiej armii, która zwyciężała zawsze i wszędzie. Jest nawet długa lista lokalizacyjna tych zwycięstw, m.in. w Afganistanie (!), a także na Kubie (?) – gdzie, jeżeli pamiętam, według rosyjskich gazet żadnych Rosjan nigdy nie było. Widocznie prasa kłamała. Ale żeby demontaż rakiet na Kubie oraz afgańską rejteradę, nazywać zwycięstwem, to jednak trzeba Żyrinowskiego.

Jego zdaniem, w ostatniej wielkiej wojnie Stalin wygubił kwiat rosyjskiej młodzieży pozbawiając ją na frontach dowództwa, ale i tak koniec był zwycięski. Wiele lat później kolejnemu pokoleniu rosyjskiej młodzieży w Czechenii podrzynano gardła, czemu świat przyglądał się obojętnie lub nawet sprzyjał *bandytom*. Oni zaś potem rozpoczęli sianie terroru w rosyjskich miastach. Co zresztą bezsprzecznie było i jest ogromnym nieszczęściem.

Ten sam świat miał w nosie, że niszczycielskie poczynania ekonomiczne Gajdara i Jawlińskiego pograżyły Rosję w kłopotach i w gospodarczym chaosie. A dramat pogłębiły amerykańskie i unijno-europejskie sankcje gospodarcze, które miały Rosję dobić. Oczywiście łatwo wyobrazić sobie, że powstała sytuacja bez wą-

pienia katastrofalna. Tyle tylko, że w tekście nie ma ani jednego słowa, jaka była tych sankcji przyczyna.

To znaczy: niby o tym napisano, ale całkowicie bez sensu. Otóż jest w tekście sugestia, że Rosjanie są z natury dla innych dobrzy i spolegliwi, a potrzebującym oddadzą ostatnią koszulę. I wobec tego ponoszą konsekwencje tej swojej dobroci – właśnie w postaci czegoś takiego jak sankcje. Muszą zatem cierpieć z powodu bezinteresownej zacności własnej. Ale jednak w sumie (co napisano również), z siedmiu miliardów mieszkańców globu i tak szść miliardów Rosję kocha.

Szczerze mówiąc, to nie jest do śmiechu. Przeczyta ten wywód jeden i drugi Rosjanin, potem siódmy i trzeci – bo nakład w końcu jest spory. I zaciśnie zęby myśląc, jak wredny jest ów miliard nieprzyjaciół.



HISTORIA

Po studiach prawniczych Żyrinowski uzyskał jeszcze doktorat z filozofii, natomiast z historii permanentnie musiał mieć pałę. Oprócz bowiem łgarstw zamierzonych, o przeszłości plecie takie dyrdymały, jakie nie śniły się żadnym filozofom. Opowiada więc, że Rosja jest jedynym krajem na świecie z absolutnie ciągłą historią. Jak z tego miałyby wynikać, kraje śródziemnomorskie albo Chiny lub Japonia znacznie później wypadły sroce spod ogona.

Twierdzi też, że Rosję zawsze w Europie przedstawiano jako kraj dziki, tymczasem była awangardą cywilizacji. Bo to przecież w Rosji pojawił się pierwszy na świecie tramwaj – prawda, jeżeli Nowy Jork i Berlin uznać za miasta rosyjskie – tam też skonstruowano bezprzewodowy telegraf, także pierwszy telewizor (pamiętam jeden, marki *Rubin*) oraz helikopter. W tekście wymienia się jeszcze inne wynalazki niestudnie przypisywane konstruktorom zachodnim.

Za czasów cara Mikołaja II poziom życia był podobno niezły, podatki najniższe w Europie, oraz – uwaga! – panowała całkowita wolność słowa pod warunkiem, że nikt nic nie mówił? Obowiązek szkolny wprowadzono tam rzekomo w 1908 r. (naprawdę w 1914 i objęto nim 50 proc. dzieci), dlatego 85 proc. mieszkańców Rosji umiało czytać i pisać. To jest już łgarstwo piramidalne, bo walka z masowym analfabetyzmem trwała później przez trzydzieści lat. Podobno też carska armia była najsilniejsza na świecie – nie wiadomo więc dlaczego poprzegrywała z kretesem wszystkie wojny i z jakich powodów powybuchały tam rewolucje.

Ciekawostką jest szczególne bajdurzenie, jakoby w tamtych latach dobrowolny akces do Rosji zgłosiły Galicja oraz gubernie (?) lwowska i przemyska. Kto zgłaszał, do kogo i co na to cesarz Franciszek Józef? Jakkolwiek możliwe, że z woli Żyrinowskiego Austro-Węgier w ogóle nigdy nie było.

Także ZSRR – w tekście napisano, że to lipna nazwa, bo przecież nadal była to Rosja, tyle że terytorialnie powiększona – obok mankamentów, miał swoje sukcesy. Wygrał wszak wojnę, a potem rywalizację o kosmos, oraz stworzył własną bombę atomową oraz atomowe elektrownie. Za symbol ówczesnych sukcesów technologicznych Żyrinowski uważa karabin Kałasznikowa, a naukowych – półprzewodniki. Wprawdzie ich główny odkrywca, polski profesor Jan Czochołski, nigdy człowiekiem sowieckim nie był, lecz w końcu cóż z tego. Natomiast jest jednak w tekście zapis, że w czasach radzieckich kompletnej degeneracji uległa humanistyka. Mimo wszystko przedstawiona lista sukcesów, nawet rzekomych, nie wygląda imponująco.

Być może dlatego dopisano do niej *odkrycia* Iwana Miczurina oraz jego wkład w rozwój rolnictwa, które w rzeczywistości było kulą u nogi Związku Radzieckiego. Zaś o Miczurinie – który w sposób bezproduktywny i absurdalny krzyżował rośliny – najstarsze pokolenia zapamiętały, że skrzyżował psa z jabłónką, dzięki czemu jabłónka podlewała się sama oraz szczekała na złodziei, a potem dokonał krzyżówki jeża i dżdżownicy uzyskując drut kolczasty średniej jakości.

TRUDNY CZAS

Jednak nie wszystko w tym tekście jest do wyśmiania. Kiedy mianowicie mowa o dramatycznie trudnych

warunkach egzystencji większości Rosjan, bo w ewidentnej biedzie żyje ich 60 proc., to trudno nie współczuć. Żyrinowski twierdzi wręcz, że tamtejsze władze od ćwierć wieku nie dbają o naród. To jest sformułowanie ostre, lecz chytrze bezpieczne, wiadomo bowiem, że Putin sprawuje rządy o wiele krócej, więc to niby nie jest atak *ad personam*, lecz pośrednio – jest. Obok tego są też oskarżenia wobec Zachodu, niekoniecznie słuszne, jakkolwiek stwierdzenie, że zagraniczne sankcje zniszczyły kraj, nie odbiega zapewne daleko od prawdy. Tyle, że te sankcje nie zrodziły się z niczego.

Portret jest ponury. Nie dosyć, że panuje wysokie bezrobocie, to pensje są żałośnie niskie i oburzająco dysproporcjonalne – najwyższe (nieliczne) stanowią czterdziestokrotność najniższych, a w dodatku często są wypłacane z zaległościami, zaś emerytury mają wymiar czysto symboliczny. Dla wielu rodzin zbyt droga jest odzież oraz obuwie, a już szczególnie kosztowne są lekarstwa, co być może pozostaje w związku z wysoką umieralnością. Oraz oczywiście daje się we znaki drastyczny problem mieszkaniowy: żeby w mieszkalnictwie osiągnąć standardy Zachodu, potrzeba (jak napisano) 50-150 lat. Faktycznie, kiedy ogląda się panoramy rosyjskich wsi lub niewielkich miast, to trudno uwierzyć, że w XXI wieku można tak żyć.

Właściwie nie ma sfery życia społecznego, która nie budziłaby głębokiego zasmucenia. Dlatego zawarty w tekście apel do władz, żeby ratować poziom życia, mimo że sloganowo ogólnikowy, ma swoje uzasadnienie i brzmi dramatycznie.

Jest coś jeszcze. Mianowicie wszędzie rozpanoszyła się korupcja, a rozmiary niebotyczne przybrał alkoholizm. Pośród 116 milionów mieszkańców Rosji, mężczyzn w wieku 18-60 lat (napisano) jest tylko 20 milionów. Z tego jednak połowa to alkoholicy oraz jeszcze trzy miliony narkomanów. Ta „statystyka” przyprowadza o szok.

Dramat jest niewątpliwy. Jednak w stosunku do liczb Żyrinowski jest jak Don Kichote wobec wiatraków. Z takiej informacji wynikałoby bowiem, że w Rosji 96 milionów stanowią kobiety i dzieci oraz jeszcze starcy ale nieliczni, skoro umieralność jest wysoka. No więc to są dane pozbierane na śmietniku. Nawet w tym zakresie utrzymana została stylistyka całej tej publikacji, którą cechuje pogoń kłamstwa za nieprawdą w rywalizacji z fałszem i w otoczeniu banialuków i dyrdymałów.

KU NAPRAWIE

Jednak sam opis dramatycznej sytuacji, jeżeli nawet częściowo prawdziwy nie określa możliwości naprawczych. Stosowne sugestie Żyrinowski serwuje zatem osobno i są to przeważnie albo slogany i ogólniki typu *trzeba, żeby było dobrze*, lub kompletne idiotyzmy. Gdyby je wprowadzić w życie, to myślę, że Rosja zniknęłaby z mapy świata.

Jest więc życzenie, żeby walczyć z korupcją. Bez względnie słuszne, jednak nie ma ani słowa o tym, w jaki sposób – zwłaszcza że w Rosji ten problem jest wielowiekowy, oraz porada, żeby wykorzystać transportową infrastrukturę Rosji dla połączenia Azji z Europą. Człowiek kpi sobie, czy żartuje? To przecież nie nadaje się nawet do skomentowania. Wyartykułowano ponadto postulat, żeby ograniczyć eksport ropy (to główne źródło utrzymania Rosji!) oraz innych surowców, które lepiej i ekonomiczniej byłoby przetwarzać na miejscu.

Owszem, ale trzeba mieć odpowiednią bazę technologiczną takiego przetwórstwa. Kto miałby ją stworzyć, jakimi siłami i za co?

W tym miejscu pojawia się jeszcze inna *porada*: żeby rozwijać przemysł ciężki. Po stu latach następuje więc odtworzenie pomysłów Lenina i Stalina (skrętnie w książce obszarczone), które w obecnych okolicznościach są absurdalną abstrakcją. Ble, ble, ble. Śladem tych samych ideologów Żyrinowski proponuje, żeby nadmiar ludności z miast przymusowo przetransportować na wieś, a zwłaszcza w ten sposób zagospodarować Syberię i Daleki Wschód. Dżugaszwili miał na to swoje sposoby, teraz zaś jego rzekomy oponent proponuje plagiat. Najlepiej reanimować łagry?

Wśród pomysłów socjalnych jest sugestia zamrożenia na rynku wewnętrznym cen gazu oraz energii – trudno powiedzieć, czy realna – i jest też postulat podatkowych wakacji dla małych firm. Również nie wiadomo, czy możliwy do zastosowania. Bo być może miałyby nawet sens, lecz nie da się zgadnąć, czy budżet kraju byłby w stanie to wytrzymać. No i pojawia się jeszcze sztandarowy pomysł Żyrinowskiego i jego partii – żeby powstrzymać imigrację. Jednak nie z przyczyn ekonomicznych, lecz dla ratowania Rosjan.

NAPRZÓD MARSZ!

Ten wątek narodowo-rosyjski przewija się jako główny przez cały ten tekst, częściej wprost niż pośrednio i w tonacji napastliwej. Zdaniem Żyrinowskiego (liczy się mu nadal słabo), Rosjanie to najliczniejszy naród świata (bo Chińczycy to wielonarodowy zlepek) – razem z diasporą jest ich 150 milionów, zatem o 20 milionów więcej aniżeli Japończyków. W ogóle zaś pod żadnym względem nie może równać się z Rosjanami jakiegokolwiek inny naród (tak napisano), tyle że sami Rosjanie zapomnieli o swojej wielkości. Trzeba więc to zmienić.

Różni rodzimi politycy wykombinowali, że Rosja musi być wielonarodowa, porozdawali więc autonomię oraz rosyjskie pieniądze różnym etnicznym mniejszościom udając, że kraj stanowi multinacjonalną federację. To nonsens – pokrzykuje Żyrinowski – trzeba te pseudoautonomiczne pseudorepubliki przekształcić w gubernie i cały kraj ujednolicić w spójną wewnętrznie Rosję, bez rozmaitych *narodów bratnich*, bo cała ta gadanina o przyjaźni narodów to postkomunistyczny bełkot. Mocno powiedziane i napisane.

Ale są też wypowiedzi jeszcze mocniejsze i – gdyby trafiły na podatny grunt – dramatycznie niebezpieczne. Otóż zdaniem Żyrinowskiego, Lenin, Chruszczow oraz Jelcyń porozdawiali obcym rdzennie rosyjskie terytoria historyczne, zatem trzeba je teraz odzyskać. I tak dzieje się częściowo, jednak nie do końca. Tymczasem (uwaga!) Rosjanie mają pełne prawo, żeby granice Rosji konstituować po swojemu. I wprawdzie padają nazwy jedynie Krymu i Południowej Osetii, jednak tekst nie pozostawia złudzeń, że chodzi również o coś więcej. No i to właśnie jest niebywale groźne.

Zapisano bowiem jeszcze długą tyradę na temat obowiązku ochrony Rosjan, którzy znaleźli się poza granicami, w większości (w sumie ok. 20 milionów) na terenach krajów ościennych. Niby nie ma bezpośredniej opinii, jak ta ochrona miałaby wyglądać, ale jest supozycja, żeby na tych terenach przeprowadzić plebiscyt. Jaki? Łatwo zgadnąć. *Czy mieszkający tam Ro-*

sjanie chcą utrzymania status quo, czy może woleliby przyłączenia do Rosji. Istnieje obawa, że w samej Rosji niejeden przykłaśnie Żyrinowskiemu, a to jest już igranie z otwartym ogniem, tym bardziej że Włodzimierz Wolfowicz umiejętnie, bo bardzo emocjonalnie bierze wszystkich Rosjan pod włos. Nawołując, żeby podnieśli się z kolan (jakkolwiek w tekście o klęczeniu nie było mowy) i odbudowali z gruzów (?) Wielką Rosję.

Naprzód Rosjanie! – brzmi okrzyk końcowy. W jakim kierunku? Czyżby teraz na Tallin, na Rygę, na Wilno, albo może na Warszawę? To z całą pewnością nie są żadne żarty. Starszy i pozornie jowialny pan wykrzykuje faszystowskie hasła oraz zachęca do rozwiązań siłowych. Trzeba mieć się na baczności, nie wiadomo bowiem, kto go posłucha, a kto nie.

SPOJRZENIE Z DONIECKA

Siergiej Buntowski, *Ukraińska chimera. Finał antiruszowsko projektu*. Moskwa, Jauza-Press, 2015, s.351, ISBN 978-5-9955-0789-5.

Docent historii uniwersytetu w Doniecku, Siergiej Buntowski (l. 33), ideolog tamtejszych separatystów i przywódca organizacji *Russkij Blok* – w Kijowie nazywany wręcz terrorystą – opublikował w Moskwie (po rosyjsku) książkę o dziejach i teraźniejszości Ukrainy. Wielowątkową, sprawnie napisaną, jednak bardzo tendencyjną, miejscami nienawistną wobec Ukraińców (i wobec nas też), w wielu sugestiach nie do przyjęcia. Ale podobne opinie podziela większość Rosjan, zatem trzeba o nich wiedzieć. Nawet jeżeli do akceptacji dalej niż daleko.

O PRZESZŁOŚCI

Buntowski twierdzi, że Ukraińcy są narodem dopiero od połowy XIX wieku. Jego zdaniem, wcześniej istniały tam historyczne regiony rosyjskie, ale Polacy wraz z Litwinami powyrywali je fragmentami spod władzy Rosji, a z części wspólnoty prawosławnej sprytnie stworzyli kościół unicki i – realizując idee Małorusi – mieszkających tam Rosjan nazwali Rusinami. Jednak w innym miejscu książki to przypisane nam akuszerstwo błędnie wobec sugestii, że obecną Ukrainę stworzyli jednak bolszewicy, łącząc Małorosję z Noworosją – o co zresztą Róża Luksemburg pokłóciła się z Leninem. Jak zwykle, prawda ma wiele twarzy i każdy podświetla tę, którą sobie upatrzył. Zatem autorskie preferencje nie muszą być jedynie słuszne.

Jakkolwiek zamieszczenie w tej części Europy było od dwóch wieków rzeczywiście niebywałe i trudno przypuszczać, żeby ktokolwiek spośród zainteresowanych nie brał w tych powikłaniach udziału. Ale wykładnia autorska jest nieprzyzwoicie uproszczona. Sugeruje mianowicie, że Ukraińcy to żaden naród i Ukraina to żadne państwo, lecz jedynie dość świeży wytwór międzynarodowych gier politycznych. To zaś ma tłumaczyć aktualną tam kotłowaną i uzasadniać rosyjskie aspiracje oraz ingerencje. Co zapewne trafia do przekonania 8 milionom Rosjan na Ukrainie oraz tym bardziej mieszkańcom samej Rosji.

Jednak wielu argumentom nie można bezkrytycznie dać wiary. A także nie istnieje uzasadnienie – ewentualnie krótka historia narodu nie ma nic do rzeczy – które usprawiedliwiałoby napaść jednego kraju na inny kraj.

Znaczną część książki zajmuje detaliczny i w miarę obiektywny opis niebywałego tam zamieszania po

I wojnie światowej. Natomiast dodane oceny, nierzadko inne niż w dotychczasowej historiografii dominujące, bywają dyskusyjne.

Wśród ówczesnych polityków ukraińskich autor przychylnie ocenia tylko hetmana Pawła Skoropadskiego, ale z podtekstów wynika, że to głównie ze względu na jego przychylność wobec Rosji. Natomiast obrzuca inwektywami Semena Petlurę za nieskuteczne działania, ale zwłaszcza dlatego, że *sprzedał Ukrainę Polakom*. Z kolei nie bardzo wie, jak potraktować Jewhena Konowalca, uczestnika wszystkich zdarzeń ówczesnie dla Ukrainy ważnych. Przywołuje go więc często, lecz ocen unika. Dla nas to postać co najmniej wysoce kontrowersyjna (choć może nie aż tak jak Bandera), natomiast na Ukrainie jest obecnie uważany za narodowego bohatera. Specjalnie wydana we Lwowie książka (Ihor Dierewianij, *Siła woli. Jewhen Konowalec*, Lwów, TzOW Czasopis, 2013), szczególnie promowana, nie pozostawia co do tego żadnych wątpliwości.

Niepowodzenia Rosjan w wojnie polsko-bolszewickiej określa Buntowski jako główny powód ówczesnego rozczłonkowania Ukrainy, a winą, oprócz Trockiego oraz Tuchaczewskiego, obarcza również (to nowość) Lenina – w przeciwstawieniu do Stalina. W innym miejscu też jest nowość: nazywa Denikina rosyjskim patriotą. Denikin i Stalin we wspólnej galerii patriotów? Dawniej nie do pomyslenia, teraz tak uważa nie on jeden.

Jest też jeszcze z tamtego okresu przypomnienie ewidentnie instrumentalne. Mianowicie istniejącej krótko, autonomicznej Republiki Doniecko-Krzyworóżskiej (z własną armią 13 000 żołnierzy), oraz Republiki Tauryny na Krymie. To niby jedynie wzmianki, ale wszak rodowodowe – dla obecnych, separatystycznych republik, Ługańskiej oraz Donieckiej, jak też dla aneksji Krymu.

UKRAINA W ZSRR

Przedstawiony w tekście obraz Ukrainy sowieckiej, której autor z autopsji nie zna, jest dla *noworosyjskich* opinii typowy – zawiera fakty, półprawdy, nieprawdy oraz propagandowe komentarze. Obok wzmianki, że drastycznie tępiącej się religii i prześladowano ukraińską inteligencję, jak też uwag o kompletnie dysfunkcyjnym handlu, jest również zarzut, że sekowany był tam wtedy język rosyjski. Otóż każdy, kto był w sowieckim Kijowie potwierdzi, że prawie nie słyszało się wówczas na ulicach... ukraińskiego. Który może nie był postępowany aż tak, jak białoruski na Białorusi, jednak plecie Buntowski od rzeczy.

A już szczególnie pokrętna jest relacja o latach 1932-1933, kiedy na Ukrainie umarło z głodu ponad milion osób. Wywód poprzedza dopisek, że w całym ZSRR zagłodzono wówczas cztery miliony, wstawiony po to, żeby w tym kontekście tragedia ukraińska wydała się mniejsza?



Nie uprawiano 25 proc. pól, marnowało się 30 proc. ziarna, a w kolchozach (które autor nie bez racji przyrównuje do obozów pracy) robotę jedynie markowano. Bo – i to autorskie wyjaśnienie jest paskudne – zdemoralizowanym ludziom nie chciało się pracować. Próbowali uciekać do miast, więc paszportyzacja (i zakaz podróży) była zasadna, tak jak i rozkułaczanie, chociaż realizowane w wymiarze nadmiernie rozległym oraz w sposób zbyt okrutny. Zdaniem autora, zmuszały jednak do tego okoliczności i w ogólnym wymiarze Stalin (w całej książce traktowany z rewerencją) nie miał innego wyjścia. Jakkolwiek ludzka krzywda była ogromna, a masowe deportacje ukraińskich chłopów na Wschód graniczyły z ludobójstwem. Trudno to skomentować.

Trudno również skomentować sugestie, że później, pod

władzą Breżniewa, Ukraina rozkwitła. No bo jednak o rozkwicie wyobrażenia mamy rozbieżne.

W okresie ostatniej wielkiej wojny zginęło 4,5 miliona Ukraińców, 2 miliony wywieziono do Niemiec, a kilka milionów bezpowrotnie ewakuowano za Ural. O tych koszmarnych i znów pogmatwanych czasach pisze Buntowski szczegółowo, sygnalizując rozbieżności nie tylko terytorialne (Ukrainę Zachodnią włączono do Generalnej Guberni), ale także polityczne, narodowościowe, ideologiczne oraz moralne. Powstało autonomiczne narodowe podziemie, nastawione wrogo do wszystkich, ale byli też nacjonałści kolaboracyjni (do czasu, bo Niemcy nie utworzyli jednak ukraińskiego surogatu państwowego) – stąd banderowski batalion Nachtigal oraz późniejsza dywizja SS Galizien. Równocześnie zaś wielu Ukraińców walczyło w Armii Czerwonej, w tym marszałkowie Tymoszenko, Jeremienko, Malinowski, Kożedub i inni. No i to rozczłonkowanie także jest świadectwem ukraińskiego narodowego dramatu.

O NAS

Natomiast autorska wypowiedź o sowieckim najeździe na Polskę 17 września 1939 roku to granda, lecz takich opinii jest w Rosji więcej. Otóż autor opowiada, że Polska wcześniej zagabiła ziemie ukraińskie, białoruskie, litewskie, słowackie (?), oraz niemieckie (!), zatem *poszkodowani* jedynie odzyskali *swoje*. Na Sybir i do Kazachstanu wywieziono wtedy 17 000 Polaków (ilość skandalicznie zaniżona; w różnych źródłach padają liczby ponad 300 000), co jednak uchroniło ich przed ukraińskim ludobójstwem. Tak w tekście napisano i nóż się w kieszeni otwiera. Z kolei jednak wymordowanie polskich oficerów Buntowski bezdyskusyjnie przypisuje Rosjanom.

Buntowski ewidentnie nas nie lubi – problem w tym, że to jest dosyć powszechna rosyjska antypatia – a większą awersję żywi jedynie do Ukraińców. Opowiada więc, że w Polsce międzywojennej Ukraińców prześladowano (co poskutkowało zabójstwem Bronisława

Pierackiego) i dopiero z czasem nastąpiła liberalizacja. O Piłsudskim zaś ma tylko tyle do powiedzenia, że napadał na banki oraz że był na japońskim żołdzie.

Autor pisze wprawdzie o mordowaniu Polaków i szczegółowo o rzezi wołyńskiej, sterowanej przez Nikołaja Lebedzia i Romana Szuchewycza, ale głównie dla podkreślenia ukraińskiego bestialstwa, a nie z powodu współczucia. Kuriozalna zaś jest informacja, że w 300-tysięcznym (naprawdę 333 000) Lwowie, gdzie tylko 8 proc. mieszkańców stanowili Ukraińcy (naprawdę 16 proc.), nie uchował się ani jeden Polak. Bo nie dość, że taka liczba jakby dotyczyła cegieł, a nie żywych ludzi, to jeszcze jest całkowicie wyssana z palca. Nie da się zgadnąć, po co komu ta bujda. Sygnalizująca zresztą, że danymi posługuje się Buntowski (tak jak Żyrinowski) z całkowitą dezynwolturą. I to ma być uczony?

A swoją drogą, kiedy w rosyjskich lub w ukraińskich tekstach pojawia się określenie *polscy panowie* (tak pisywał zresztą nawet Izaak Babel), to od razu wiadomo, że nie ma co liczyć na żadną koherencję. Otóż Siergiej Buntowski używa takiego sformułowania szczególnie chętnie.

UKRAIŃSKI SZOWINIZM

To natomiast, co w tej książce napisano o ukraińskim szowinizmie, o tamtejszych faszystach i neonazistach, jak też o zmaganiach zbrojnych, w ogólnej tonacji nie odbiega od tego, co na ten temat mówi się i pisuje również u nas, tyle że bardziej zdetalizowana jest autorska faktografia. Szczegółowo więc rozpisuje się Buntowski o UPA i OUN, określając je jako organizacje zbrodnicze, Banderę zaś jednoznacznie nazywa bandytą – ewentualnie z przeciwstawieniem do bardziej umiarkowanego Andrieja Mielnika. Obficie serwuje też informacje o masowych egzekucjach Rosjan, Polaków i Żydów oraz o wzajemnym likwidowaniu się samych Ukraińców – ze złośliwym dopiskiem, że upowcy oszczędzali jednak potrzebnych im lekarzy. Ale prawdziwa geneza oraz tło tych tragicznych zdarzeń nie znajdują w tekście żadnego naświetlenia.

Zamiast tego, autor próbuje zasugerować, że zachodnia Ukraina uległa faszyzacji, toteż tamtejsze zdemoralizowane społeczeństwo jest nacją gorszego rodzaju. Jak nietrudno pojąć – w przeciwstawieniu do Rosjan i stąd doniecko-ługańska secesja. Ten ton wielkoruskiej megalomanii przewija się zresztą, wprost i pośrednio, przez całą książkę.

Upowskie dokonania eksterminacyjne oraz zamachy relacjonuje Buntowski z uzasadnioną odrazą. Rzecz jednak w tym, że skrytobójczy terroryzm był i jest bardziej specjalnością rosyjską aniżeli ukraińską – chociaż oczywiście dzisiaj taka licytacja nie ma sensu. Żeby jednak pozostać w tym samym kręgu tematycznym – to w końcu sowieccy agenci lub najęci przez nich podwykonawcy pozabijali na Zachodzie Petlurę, Konowalca, Banderę oraz Rebeta. Z czysto etycznego punktu widzenia, nieważne kim były ofiary. Tam gdzie szaleje terror, zbrodnia jest udziałem wszystkich zwalczających się stron. I wszyscy próbują dowodzić swojej słuszności.

UKRAINA UKRAIŃSKA

Trudno nadmiernie kontestować autorskie poglądy, skoro sygnalizuję tu jego książkę, ale relacja o nie-

podległej Ukrainie – przed-Majdanowej, Majdanowej i pos-Majdanowej – mimo rozbudowanego opisu i obfitej faktografii zdecydowanie rozczarowuje. I nawet nie chodzi o sprawozdawczy chaos, bo wszak czasy były oraz są rzeczywiście chaotyczne. Natomiast to jest antyukraińska, jednostronna i nadmiernie prostacka agitka propagandowa, jakich bywa mnóstwo – radykalnie poniżej docenckiego poziomu. Za to prawdopodobnie odpowiada świadomości wielu Rosjan tych z Doniecka, z Krymu, z Ługańska oraz tych z Rosji.

Z wyjątkiem Kuczmy, o każdym z ukraińskich polityków autor wypowiada się źle lub jeszcze gorzej. Julię Tymoszenko próbuje skompromitować, *demaskując* jej tajne relacje z Kremlm, może prawdziwe, a może nie. Janukowycza nazywa nieudacznikiem, tchórzem, złodziejem i malwersantem. Ale największe psy wiesza na Juszczenkę, bo nie dość że nieudolny i antyrosyjski oraz szowinista, to jeszcze wysługiwał się Amerykanom.

Im Buntowski zarzuca spiskowe zaaranżowanie Majdanu oraz faktyczne przejęcie władzy. Jego zdaniem Ukrainą rządzi nie Poroszenko, ale ambasador USA. To jest zresztą stała rosyjska retoryka, w podobnym duchu wypowiada się wszak sam arcymistrz odwracania kota do góry ogonem, mianowicie minister Siergiej Ławrow, więc i tym razem opinia autora nie jest sygnałem jednoosobowym. Również gdy sam Majdan i wydarzenia późniejsze sprowadza do faszystowskich ekscesów, w których największe ofiary poniosły podobno... służby bezpieczeństwa. Ten pogląd ma zresztą charakter flagowy, bowiem na okładce książki figuruje nadtytuł *Antymajdan*. Wszystkim tym zdarzeniom przypisuje zaś autor jednoznacznie antyrosyjskie podłoże. No i to właśnie dlatego – taka jest linia rozumowania – Rosjanie ze wschodniej Ukrainy musieli zorganizować samoobronę.

Identyczny był oraz nadal jest sens większości rosyjskich wypowiedzi na temat wydarzeń na Ukrainie – w duchu swoiście pojmowanego patriotyzmu – które Buntowski nie tylko powtarza, ale też częściowo nadaje im ton. W końcu jest z Doniecka. Jednak o *zielonych ludzikach* nie pisze nic.

Niestety, jego finalne konkluzje są prawdopodobnie nie do podważenia. Przywołuje bowiem wyniki badań społecznych, w których za *Majdanem* opowiada się 47,7 proc., a przeciwko 46,1 proc. mieszkańców Ukrainy. To zaś oznacza, że tamtejsze pęknięcie Wschód-Zachód jest oczywiste i na dogadanie się nie widać szans.

Z tego wynika też nie tylko przypadek Krymu, lecz również bezterminowa abchazjoosetyzacja Ukrainy Wschodniej, nazywanej przez Rosjan Noworosją. Z kontynuacją dramatów, tragedii oraz najprawdopodobniej również ludzkich ofiar. A wszystko to tuż obok nas – jakkolwiek dzisiaj odległości mają pomniejsze znaczenie.

Z naszego punktu widzenia najgorszy jest stan podminowania oraz niepewności, zwłaszcza w kontekście odwiecznych w Rosji aktów politycznego chuligaństwa, które bywają nieprzewidywalne. Stąd powód do niepokoju i konieczność bacznej obserwacji, co dzieje się tam naprawdę. Bez mitów nadmiernie niechętnych, ale też przesadnie uspokajających.

PAWEŁ KOZŁOWSKI

BEZ IDEOLOGII

Oczywistości zdają się być wieczne. Można by sądzić, że ideologia taka właśnie jest. Złudzenie. Ideologie mają bowiem charakter historyczny. Te nowoczesne narodziły się dwieście kilkadziesiąt lat temu i właśnie odchodzą w przeszłość. Starszym są jeszcze potrzebne, ale młodszymi, tworzącym pokolenie wstępujące, do niczego nie służą. Są nawet nie obciążeniem, a anachronizmem, bo wyszły z użycia.

Ideologia, jako przynależna jednostce, ma uzasadniać wybory życiowe. Czasem przed ich dokonaniem wskazywać właściwą decyzję, niekiedy, po fakcie, wzmacniać to, co już się zrobiło lub pomyślało. W ten sposób poszczególne kroki układają się w jakiś ciąg, ogniwa tworzą łańcuch. Wybory stają się łatwiejsze, bo „inaczej zrobić nie mogę” albo: „nie mogę przestać być sobą” lub nieco odmiennie: „skoro dotychczas tak robiłem, czy w ten sposób myślałem, to muszę być konsekwentny”. Te zwroty są w gruncie rzeczy podobne: wyrażają autodeterminizm. Zawierają przekonanie, że nadaję swemu życiu sens. Ja go tworzę, a zarazem on kształtuje mnie. W sytuacjach normalnych nie ulegam temu, co jest dla mnie obce, bo wiem, czym się kierować. Na tym przede wszystkim polega związek jednostki z ideologią, ich obopólne podporządkowanie.

Ideologia ma także zakres szerszy, użytek nie jednostkowy, ale społeczny. Łączy ludzi w grupy, wyraża ich interesy, a także je przekracza. Jest czymś więcej – przywiązanie do ideologii bywa silniejsze od interesów, a nierzadko staje się im przeciwstawne. W świecie pozostającym w nieustannym ruchu, w którym prawie wszystko jest zmienne, odnosi się wrażenie dominacji przypadku, przenikającej go dowolności, a nawet chaosu. Ideologia to porządkuje – nie tylko dla mnie, ale i dla nas. Jesteśmy razem, bo mamy taki sam stosunek do upływu czasu, do siebie, a zwłaszcza do innych, do tego, co uważamy za ważne i do tego, jak być powinno teraz i w nieodległej oraz dalszej przyszłości.

Ideologia stała się niezbędna w społeczeństwie nowoczesnym, które jest dynamiczne i daje poczucie wszechwładnie formującego upływu czasu. Społeczeństwo takie skazane jest na dokonywanie wyborów. Sporo ludzi pragnie to robić refleksyjnie, uzmysławiać sobie, dokąd powinniśmy zmierzać, czego unikać i przed czym się bronić. Innymi słowy, najważniejszy jest wybrany kierunek, przyjęte zasady oraz konsekwencja w ich przestrzeganiu. Ideologia dostarcza jednego, drugiego i trzeciego, choć nierzadko używa kamuflażu. Nie eksponuje swoich szczególnych właściwości, zastania swoją „ideologiczność”, by zyskać większą atrakcyjność, wagę i powszechną aprobatę.

Tak mogłoby się wydawać, bo tak było – w różnych latach z większą lub mniejszą siłą. Teraz jest inaczej. Zapewne nie pierwszy raz, ale tak gruntownego i długotrwałego odejścia od ideologii jeszcze nie doświadczaaliśmy. Prawdopodobnie, bo liczy się nie tylko spojrzenie obserwatora z zewnątrz, lecz również ocena przeżywających ten proces uczestników. Niezależnie jednak od punktu widzenia obecny stan rzeczy nie powstał z dnia na dzień. Kształtował się od dłuższego czasu, miał także swoje antecedencje. Pomińmy te drugie, bo wypełniłyby rozbudowaną opowieść. Z procesu kształtowania wyróżnimy jedynie dwa sygnały. Są bliskie współczesności, zatem wiążą historię społeczną z biografią intelektualną żyjących wśród nas osób.

Pierwszym z tych sygnałów była dekonstrukcja klasycznych ideologii, czyli tych wywodzących się z aury europejskich rewolucji. Ideologie u swych początków ukształtowane w opozycji do innych, zaczęły pękać, rozszczepiać się i fragmentami łączyć, nie dbając w tych transformacjach ani o koherencję, ani o swoją przeszłość. Polscy powojenni polityczni marksiści, a więc ludzie odwołujący się do idei komunistycznej rewidowali oficjalną doktrynę i krytykowali państwową praktykę, głosząc powrót do myśli Karola Marksa. Zwłaszcza do jego wczesnych pism, które uznali za fundament jego poglądów. Zarazem opowiadali się za wprowadzeniem rynku i poszerzeniem jego zakresu, za taką właśnie reformą realnej gospodarki państwowego socjalizmu. Wiązali w ten sposób to, co kiedyś w myśli formułowanej przez mistrza, do którego się odwoływali, było nie do połączenia. Marks był przede wszystkim przeciw rynkowi¹.

W innej ideologii – w liberalizmie – nurt płynął w stronę tego, co kiedyś stanowiło główne wyzwanie ideologii socjalistycznej: trwałego rozwiązania kwestii socjalnych. Ideologia konserwatywna zmieniła się jeszcze bardziej. Konserwatyści złączyli się z apologetami wolnego rynku, co dla ich przodków byłoby też nie do pomyślenia, bo przecież system rynkowy narusza tradycję, niszczy stare struktury i podważa wartość nauk czerpanych z przeszłości. A więc dezintegruje świętości wiary konserwatywnej.

Ilustracji pokazującej nowe kompozycje idei można bez trudu znaleźć więcej. W każdym razie, jak zauważył w końcu lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku Leszek Kołakowski, „możliwą jest rzeczą być konserwatywno-liberalnym socjalistą, albo też – co na jedno wychodzi – te trzy słowa nie stanowią już zdolnych do

¹ Por. A. Walicki, *Marksizm i skok do królestwa wolności. Dzieje komunistycznej utopii*, Warszawa 1996, s. 50.

życia i wykluczających się opcji². Ideologia narodowa, zwana na Zachodzie neutralnie jako nacjonalizm, też się zmieniała, poszerzała swój zakres i przekształcała podstawę. Obejmowała teraz zbiorowość odznaczającą się wspólnotą komunikacyjną, symbolami odczytywanymi tak samo przez jej członków, pragnącą mieć własną tożsamość, wewnątrznie zróżnicowaną i szanującą wielość dróg życia tworzących ją ludzi.

Proces dekompozycji i rekonstrukcji ideologii przybrał postać instytucjonalną. Państwo opiekuńcze jest właśnie taką najbardziej rozbudowaną, zawierającą również struktury mniejsze, funkcjonalnie jej podporządkowaną instytucją. W sensie ideowym stanowi efekt spotkania się wartości liberalnych, socjalistycznych i konserwatywno-chrześcijańskich. Trudno o lepszy rezultat społeczny, który został zapoczątkowany przez wielostronny splot ideowy. Są też przejawy dywersyfikacji i łączenia się teraz mniej widoczne, ale dla uczestników tego procesu poważne. Kraje rozwijające się poszukują własnej drogi, wytyczonej lokalnie i omijającej wyboje jakiegokolwiek prostej ortodoksji. W XX wieku próby te były rozmaicie wspierane ideowo, a przez to więcej niż teraz alternatyw.

Dekonstrukcja obejmuje również chrześcijaństwo, zwłaszcza katolicyzm. W sferze teologicznej, czy szerzej intelektualnej, wyrazem takiego łączenia różnych wątków był w powojennej Europie personalizm, a później, w Ameryce Środkowej i Południowej, teologia wyzwolenia. Nie mniej wyraźna, choćby z powodu swojego ciągle poszerzającego się zasięgu, jest dekonstrukcja konfesyjnej wiary dokonywana przez rzesze ludzi określających się jako katolicy. Przyjmują oni za część swojej wiary istnienie duszy i jej nieśmiertelny charakter, ale odrzucają tezę o niepokalanym poczęciu. Tym samym przestaje on być dla nich nie tylko dogmatem, ale nawet elementem przekonań religijnych. Wierzą w koniec ziemskiego świata, ale większość z nich uważa, że nie stanie się to za ich życia, ani nie doświadczą tego ich dzieci. Coraz rzadziej chodzą na cotygodniowe msze, budynki sakralne służą im jako niezastąpione decorum, a nie jako miejsce gromadzące symbole, które umieją odczytać. Wierzą, że trzynasty dzień miesiąca jest pechowy i nie wiedzą, co myśleć, gdy przypada on w niedzielę. Pewni są, że kradzież i oszustwo są grzechami bardzo poważnymi, ale zarazem starają się, niejednokrotnie za wszelką cenę, nie płacić podatków lub płacić je mniejsze niż powinni.

Przykładów i tutaj można przywołać wiele. Religie i wyznania rozpadają się, ludzie indywidualnie lub grupowo tworzą własne kompozycje – niektórych elementów w nich nie umieszczają, inne inkorporują z zewnątrz. Dekonstrukcja religii podobna jest do demontażu ideologii. Ma to samo podłoże i jednostkowe, wyrażające postawy poszczególnych ludzi, i zbiorowe, a więc społeczne.

To zasadnicza zmiana mentalnościowa, nie tylko ogólniejsza, lecz przede wszystkim trwalsza. Można ją traktować jako fakt, ale lepiej uznać jej procesualny charakter. Jest ona jednak również (trudno teraz tego nie dostrzegać) składnikiem przekształceń głębszych, prowadzących do deprecjonowania i zaniku ideologii

wszelkiej, bez względu na jej treść – z wyjątkiem ideologii narodowych, w dużej mierze będących reakcją na globalizację i neoliberalizm. Dzieje się więc zupełnie inaczej, a nawet odwrotnie niż zakładało wielu analityków ze środkowych lat ubiegłego wieku: nacjonalizm miał według nich bezpowrotnie odchodzić w przeszłość, a inne ideologie, modyfikowane, zachować żywotność.

Współczesną dezideologizację po ich dekonstrukcji przygotowała jeszcze jedna zmiana. W 1989 roku Francis Fukuyama zadał pytanie o koniec historii. Było to wtedy dla niego w gruncie rzeczy pytanie retoryczne. Jesteśmy bowiem, stwierdzał, świadkami „końca historii jako takiej, to jest – końcowego punktu ideologicznej ewolucji ludzkości”³. Esej Fukuyamy wówczas, w końcu XX wieku wydawał się banalny i symplicystyczny zarazem, choć wyrazisty i sugestywny. Głosił „niekwestionowane zwycięstwo liberalizmu ekonomicznego i politycznego”⁴. Zapowiadał otwarcie się „perspektywy stuleci nudy”⁵. Kres historii był, według niego, wzorującego się na Heglu, rezultatem końca ścierania się idei. Wszelkie ideologie zostały praktycznie unicestwione, ta zwycięska została sama na ziemiach zachodniego świata. Dodajmy, idąc tym śladem, że sukces tylko jednej z nich prowadzi do pyrrusowego zwycięstwa.

Świat upodobił się w ten sposób do stanu wczesnego i stał się dla ludzi oczywisty i naturalny. A tym samym – pozbawiony sytuacji skłaniających do wyborów zasadniczych czy podejmowania decyzji ideowych – właśnie monotony. Jak się okazało z upływem czasu, a co przewidywali bez wysiłku ludzie obdarzeni bardziej wnikliwymi umysłami, nie stał się on jednak przez to ani bezpieczniejszy, ani bliższy, ani dla większości bardziej przyjazny. Wzmagające się nerwice i lęki to nie tylko rosnący zbiór poszczególnych przypadków, ale symptomy chorej społecznej kondycji. Ideologii i ścierania się idei nie zastąpił bowiem spokój, lecz pustka w głowach, a poza nimi rozsypany świat.

Żyjemy w świecie bez ideologii, okazuje się ona niepotrzebna zarówno jemu, czyli światu, jak i poszczególnym ludziom. Dla wielu członków pokoleń zstępujących jest w nim coś dziwnego, niepokojącego i trudnego do zrozumienia, dla pokoleń nowych to stan naturalny, pozbawiony jakiegokolwiek odczucia braku czy tęsknoty za całościową formą. Ona, okazuje się, nie jest ani konieczna, ani nawet do czegokolwiek w życiu pomocna. Można żyć bez ideologii, a w każdym razie bez jej świadomego używania. Nie jest się teraz wyjątkiem, ale przeciwnie: oznacza przynależność do jądra czasu. Korzyści z rozbratu z ideologicznością są pokłosiem stanu poprzedniego. Są one bogate, spróbujmy, z maksymalnym stopniem dobrej woli i ciekawości, je wyodrębnić.

Krytyczny stosunek do przeszłości powojennej (bo wcześniejsza jest idealizowana) łączony jest z jej uideologizowaniem. Ówczesne hasła, odezwy, transparenty i przemówienia odwoływały się zawsze do jakiejś ideologii, wspólnej zarówno dla ją głoszących, jak i dla widzów i słuchaczy. Zwłaszcza do jednej – ale zarazem wyrażanej oszczędnie – narodowej. Rozbrat między oficjalną a doświadczaną rzeczywistością rodził dyso-

2 L. Kołakowski, *Jak być konserwatywno-liberalnym socjalistą? Katedryzm*, {w:} L. Kołakowski, *Czy diabeł może być zbawiony i 27 innych kazań*, Londyn 1982, s. 205.

3 F. Fukuyama i inni, *Czy koniec historii?*, New York, Warszawa 1991, s. 8.

4 Op. cit., s. 34.

5 Op. cit., s. 34.

nans, mimo że siła ideologii malała i funkcjonowała coraz mniej serio. Narosło zniechęcenie zarówno wobec realiów życia, jak i wobec ideologicznego szantażu. Można było mieć wszystkiego dość, bo ideologia niszczyła rzeczywistość, ta zaś kompromitowała jej pompieryzm. Nie ma w tym przypadku znaczenia, czy owo rozpoznanie najnowszej historii jest trafne, czy istotnie ideologia była w niej najważniejsza i niezmiennie traktowana poważnie. Uznawano ją oficjalnie i posługiwało się nią w działaniach, także rewizjonistyczno-opozycyjnych, ona zaś głosiła konieczność swojego istnienia. Przypisywała sobie wszelkie zasługi, co szybko przeobraziło się w odpowiedzialność. W każdym razie przeszłość była zła, bo ideologiczna, a teraźniejszość jest dobra, bo uwolniła się od tego zbytecznego obciążenia. Tak można określić jedną z podstaw owego współczesnego rozbratu.

Drugą jest doświadczenie nie nowe, wręcz klasyczne. To owa heglowska „chytryść rozumu dziejowego”. Niezależnie od tego, czy biegiem historii kieruje rozum, czy jest on jawny bądź ukryty i czy można się z nim skontaktować, niezależnie od rozstrzygnięć wszystkich tych kwestii, efekty naszych działań, zwłaszcza zbiorowych, odbiegają od zakładanych celów. Także od środków, nad którymi rzadko na początku się zastanawiamy. Skutki bywają nie tylko odmienne od zamierzeń, ale wręcz im przeciwstawne. Działania zbiorowe wymagają zaś mobilizacji do uczestnictwa w nich, wyjaśnienia celu, skrócenia perspektywy finału, uzasadnienia samego wyboru itp. Do tego wszystkiego służy ideologia. Wielkie wojny XX wieku były wojnami ideologicznymi, podobnie jak wiele przekształceń społecznych i terytorialnych. Ich koszty uzasadniała ideologia, a więc to ją uważano za winną. Wyrzeczenie się ideologii oznaczało chronienie się przed przegraną i miało zapobiec podejmowaniu podobnych prób w przyszłości. Zawsze w tej perspektywie niebezpiecznych i zwodniczych.

Ideologia nie tylko mobilizuje, ale również zamyka. Świat widziany przez jej pryzmat staje się co prawda myślowo uporządkowany, lecz zarazem ograniczony. Wiele jego cech umyka uwadze, nie dostrzega się ich, lekceważy ich znaczenie lub nie dopuszcza odmiennych interpretacji. Łatwo przejść od ideologiczności do zaślepienia, nie każdego stać na stwierdzenie wypowiedziane przez rosyjsko-polskiego rewolucjonistę, że „jeśli się mylimy, to jesteśmy zbrodniarzami”. Jest wszakże, jak używana również obecnie, dla celów ochronnych. Nieuleganie ideologii, jej amputacja, zapobiega przeżywaniu tego rodzaju dramatów. Aideologiczność ma poszerzyć obraz świata, bronić go, a także nas, przed myślowymi deformacjami i nietrafnymi działaniami. Także przed hipokryzją. W związku z tym lepiej również dla innych, gdy ideologii nie ma i jeśli jej nie będzie. Szczególnie młodzi nie chcą popełniać błędów swoich nieodległych przodków, a tu widzą jedno ze źródeł tych błędów.

Rozliczanie historii, podejmowane po ogłoszeniu jej zakończenia oraz następnie program jej właściwego ukierunkowania i sanacji było rozliczaniem ideologii. Nie ma w tym wypadku znaczenia, czy chodziło o historię opartą na faktach, czy o coś innego, mniejsza czy walczone z ówczesną ideologią, czy z czymś innym. Nie jest również istotnie, czy robiono to szczerze i w imię prawdy, czy pod wpływem innych ideologii,

mało subtelnych i zniekształcających bieg rzeczy. W każdym razie ideologia – nie jedna, ale każda – została w wyniku remanentu historii napiętnowana. Kilka z nich skazano. Powoływano się przede wszystkim na argumentację moralną. Uznano, że z powodów moralnych – ze względu na podstawową aksjologię regulującą życie – z ideologią trzeba walczyć. Jak z diabłem, bo ani on, ani ona nie mogą być zbawieni.

Życie płynie obok ideologii. One wszystkie są niepraktyczne, oddalają nas od bardzo i mniej ważnych problemów. Ideologie nie tylko nie pomagają, ale wręcz stanowią utrudnienie. Ich światem są słowa, zaklęcia i obietnice podobnie niewiele warte i równie pozorne. Ideologie są częścią świata teoretycznego, niewytrzymującego próby sprawdzenia. Niepraktyczność ideologii osłabia ich użytkowników, stanowi handicap, od którego należy się uwolnić. Ciężarów i tak jest dużo, miejsce ideologii powinno być w folklorystycznym skansenie lub w muzeum historycznym. Niepraktyczność, operowość ideologii jest po prostu śmieszna i skłania do jej lekceważenia. Ideologia – zdaniem rzeczników takich poglądów – może jednak być szkodliwa tylko dla tych mniej rozwiniętych, którymi niczym choroba zawładnęła. Ale to ich sprawa. Nie ma co na nich zwracać uwagi, warto jedynie ujawniać ich i usuwać, jak krzaki z jasno wytyczonych dróg. To kolejny kwiat z bukietu uczestników pogrzebu ideologii. Składa się on, jak łatwo zauważyć, ze składników rozmaitej wielkości i koloru, trudnych do połączenia.

Niektórzy mieszkańcy aideologicznego świata dostrzegają jeszcze jeden argument na rzecz swoich racji. Dotyczy on wyraźniej stosunków międzynarodowych niż krajowych i bardziej się liczy w społeczeństwach terenów leżących na zachód i południe od nas niż tu, nad Wisłą. Ale przenika też trochę i do nas. Coraz powszechniej ugruntowuje się przekonanie, że w stosunkach między państwami ideologie zastąpione zostały przez geopolitykę. Przyjmuje się więc, że najważniejsze są uwarunkowania geograficzne, komunikacyjne, demograficzne, klimatyczne i przede wszystkim surowcowe. To one prowadzą do nawiązywania i zacieśniania lub osłabiania relacji, których podstawą są interesy, a nie wyrastających z formułujących bezwzględne pryncypia ideologii. Interesy zaś wiążą się z kalkulacjami, z rachunkiem kosztów i ze świadomością ryzyka.

A przede wszystkim – z kompromisami, które nie oznaczają rejterady, ale towarzyszą koniecznemu wyrachowaniu. Nierzadko łączą się one z czym innym, warto jednak zwrócić uwagę i na tę cechę współczesności. Dostrzeganie tej właściwości przez jednych stanowi przykład dla innych. Bodaj nikt nie naśladuje polityki skromności pomaoistowskich Chin i werbalnego umniejszania swych osiągnięć, lecz chyba każdy dostrzega ich sukcesy oparte na interesach, a nie na ideologii. Kojarzy się je z „pragmatyczną kooperacją” krajów⁶. Przykładów tego rodzaju jest teraz wiele, również blisko nas, ale chiński jest wyjątkowo spektakularny.

Powstaje społeczeństwo wolne od ideologii. Ta wersja wolności negatywnej ma wiele uzasadnień – za-

6 Por. Xu Jian, *Wybudujemy wspólnie jedwabny szlak XXI wieku*, [w:] „Przegląd”, nr 18, 2015. Xu Jian obecnie jest ambasadorem ChRL w Polsce.

równie o lokalnym, jak i szerszym zasięgu. Generalnie te pierwsze łączą się z polską transformacją i stosunkiem do niedawnej przeszłości, drugie z głęboką, jak się okazało zwłaszcza po dziesiętkach lat, kontrrewolucją neoliberalną zapoczątkowaną politycznie przez Ronalda Reagana i Margaret Thatcher. W Polsce zbiegają się one ze sobą. Niegdyś, w poprzedniej „epoce”, abstrahowanie od ideologii często uznawano za wyraz nihilizmu. Niestuszenie i wtedy, i tym bardziej teraz. Wtedy aideologiczność nie oznaczała rezygnacji z wartości i dążenia do oderwania kultury, społeczeństwa i siebie samego od bazy aksjologicznej. Obecnie też tak nie jest. Są to jednak wartości odmienne, a aktualnie realizowane postaci życia – inne od tych, które łączą się z ideologiami.

Główną zasadą stała się adaptacja, a postawą – przetrwanie. W ten sposób ludzie chronią się przed niebezpieczeństwem pomyłek, które niesie każda ideologia. Zmniejszają psychologicznie uciążliwe ryzyko, którego i tak jest dużo, coraz więcej. Nie angażują się w ideologiczne spory, bo mają dystans i taki sam negatywny stosunek do wszystkich ich uczestników. Przeradza się to nierzadko w zaciekanie podobne do obejmującego czasem publiczność kinową lub teatralną. Walki ich nie dotyczą, a jeżeli tak, to w stylu „zadymy”, ludycznej przerwy w monotonii codzienności. Uczucia zwane teraz emocjami mają być kontrolowane, bo samo ich istnienie nas osłabia, nie mówiąc o ujawnianiu tego rodzaju stanów towarzyszących ideologii. Emocje mogą być jedynie jednostkowe, skierowane do konkretnych, poszczególnych osób. Życia nie należy przeżywać, a dążenie do jego całościowej zmiany jest traktowane jako niedojrzałość. „Nie będę się przecież kopać z koniem” – oto powiedzenie, które stało się teraz hasłem przewodnim.

Świata, również bliskiego nie sposób zmienić, nie należy tego próbować, bo to trud nadaremny i na ogół osłabiający. Najlepsza jest rola pasażera na gapę, zresztą wszyscy, tak się sądzi, w gruncie rzeczy nimi są. Ważne, by znaleźć się w dobrym pojeździe, który nie stoi, ale jedzie, najlepiej szybciej niż inne. Ta rola nie oznacza bierności. Aktywność skoncentrowana jest, a przynajmniej być powinna na umiejętności obsługi urządzeń, zarówno przybierających postać instytucji społecznych, organizacji administracyjnych czy finansowych, jak również środków technicznych. Kto tego nie umie, skazuje się na status wykluczonego, a więc przymusowego outsidera. To jednak, tak się sądzi, jego własna decyzja, a więc nie nasza sprawa.

Namiętności jednakże nie zniknęły. Tyle że kiedyś koncentrowane w ideologiach, „dziś wybuchają w związku z czymś złym zachowaniem, kłopotami osobistymi albo konfliktami osobowości”⁷. Ale i na nie istnieją – mocno propagowane – sposoby. Świat zdaje się przeć do znalezienia się poza wszelką kontrolą, lecz nowa teologia pozwala go okiełznać, a w każdym razie opanować ten, w którym się bezpośrednio, cieleśnie znajdujemy.

Owa teologia współczesności tworzy swój katechizm, który inkorporuje dyscyplina stająca się wzorem współczesnego życia umysłowego, modelem dla nauki i jej funkcjonalnych związków ze społeczeństwem. Jest

nią zarządzanie, które jako nauka akademicka spełnia teraz analogiczną rolę do fizyki i fizykalizmu w czasach tryumfów neopozytywizmu. Jest intelektualnym wzorem i praktyczną podstawą, tak się głosi, współczesnego, a więc najbardziej zaawansowanego racjonalizmu. Zarządzać trzeba, dowiadujemy się, wszystkim: państwem, zdrowiem, wzrostem, sztuką, klimatem, kryzysem, kulturą, swoim życiem i cudzym, zbieraniem grzybów i korzystaniem ze śniegu i słońca. Zarządzanie jako nauka stara się być ściśle, rzeczywistość przedstawia więc w konwencji kwantyfikowanej. Wszystko staje się proste, a w każdym razie byłoby takie, gdyby inni nie przeszkadzali.

Konfliktami (także wewnętrznymi) również należy zarządzać. W filozofii społecznej, której nie sposób tu odróżnić od ideologii, takim modelem jest neoliberalizm przenoszący zasady ekonomii neoklasycznej na wszelkie formy życia społecznego i indywidualnego. A także na proces historyczny, gdyż neoliberalna „apologia rynkowej wolności łączy się z tezą o braku alternatyw rozwojowych”⁸. Niedopuszczalne stają się wątpliwości i wyłączone zostaje poważna dyskusja. Bowiem „trudno debatować i racjonalnie spierać się na temat żywotnych kwestii w społeczeństwie oddanym kultowi zwyczajności”⁹. Świat bez ideologii jest światem ludzi, których szczególnie ważną wartością jest adaptacja. Umiejętności i myśli najcenniejsze to te, które adaptacji służą. W jej ramach liczy się tzw. kreatywność rozumiana jako tworzenie sobie szansy prześcignięcia innych. Nietrudno zauważyć, że to nie tyle apologia życia bez ideologii, co wybór ideologii innej – nie nowej, bo nawiązującej do znanego wcześniej technokratyzmu. Nie ma również nic nadzwyczajnego w tym, że ta współczesna ideologia opanowująca pokolenia dzisiejsze nie jest świadoma samej siebie.

Żyjemy więc w dwóch światach, a właściwie istnieją dwa społeczne światy. Jeden tworzą ludzie, dla których życie musi mieć sens i którzy szukają go, choć na ogół niepewni są rezultatu tych poszukiwań. Odwołanie się do przystosowawczych i selekcyjnych zasad biologii im nie wystarczy. Uważają, że są nie tylko organizmami. Drugi tworzą ci, którzy nie mają albo nie ujawniają tego rodzaju pragnień. Nie chcą na siłę nadawać światu sensu ani go kształtować. Uważają go za dany, oczywisty, który można, a nawet trzeba, unikać ryzyka, porządkować, a właściwie podporządkować, bo nie sposób go zmienić na lepszy. Jest on jak piętrowy dom. Trzeba znaleźć się wewnątrz, na schodach, a jeszcze lepiej w windzie. Nie przebudowywać go, nie dostosowywać i nie wznosić innych budynków.

Te dwa światy współwystępują, ale w zmiennych proporcjach. Drugi się rozrasta, pierwszy kurczy. Nie komunikują się ze sobą, a jeśli, to w sprawie szczegółów i powierzchownie, bez uzasadnień. Żyje im się nieprzytulnie. Niektórzy istnieniem tego drugiego są zadziwieni.

PAWEŁ KOZŁOWSKI

7 F. Furedi, *Gdzie się podzieli wszyscy intelektualiści?*, Warszawa 2008, s. 89

8 A. Walicki, *Od projektu komunistycznego do neoliberalnej utopii*, Kraków 2013, s. 326.

9 F. Furedi, op. cit., s. 159.

EDWARD KAROLCZUK

ODNOWIONA CENZURA O PRZEMILCZANIU I SZUMIE INFORMACYJNYM

Zwolennicy neoliberalizmu w krajach posocjalistycznych jako jedną z największych swoich zasług przedstawiają zniesienie cenzury, która była rzekomo immanentnie związana z totalitaryzmem. Likwidacja jej miała zapewnić warunki do budowy społeczeństwa obywatelskiego, korzystania przez obywateli z wolności słowa i rozwoju demokracji.

Tematyzacja dyskursu społecznego sprawia, że nie dopuszcza się nawet myśli o istnieniu cenzury, zwłaszcza przewencyjnej. Nie dostrzega się możliwości istnienia jej w innej formie i w innych treściach społecznych. Jest bardzo znamienne, że jako cenzury nie traktuje się różnego rodzaju ograniczeń dla głoszenia poglądów i działań podważających neoliberalny porządek społeczno-ekonomiczny i polityczny. Ta nowa cenzura, pozbawiona demokratycznej kontroli, istnieje bez specjalnych urzędników zasiadających w odrębnych budynkach. Niemniej jednak wywiera ona wpływ na świadomość i światopogląd poszczególnych ludzi i całych grup społecznych, i określa ich zachowania w życiu codziennym i publicznym.

Zdaniem Stanisława Kozyra-Kowalskiego, to Maxowi Weberowi i innym klasykom socjologii zawdzięczamy rozróżnienie pomiędzy formalno-prawnym i socjologicznym pojmowaniem cenzury utożsamianej z totalitaryzmem i działaniem państwa przeciwko woli większości obywateli. W ZSRR i NRD nie było cenzury w sensie formalno-prawnym, ale faktycznie była nieporównywalnie większa niż w Polsce, gdzie istniały specjalne urzędy kontroli prasy, wydawnictw i wido-

wisk artystycznych. Cenzura jako instytucja państwowa została zlikwidowana, ale pozostaje nadal instytucją społeczeństwa obywatelskiego po kapitalistycznej transformacji. Znikli cenzorzy zawodowi, ale cenzura utrzymuje się jako niebezpieczna instytucja społeczna, pozostająca poza kontrolą systemu demokratycznego. Kozyr-Kowalski pisał, że w warunkach kapitalistycznej transformacji ustrojowej „Cenzura jako instytucja życia społecznego i naukowego, jako element społeczeństwa obywatelskiego przejawia się m.in. przez instytucję tajnych i często zupełnie nieodpowiedzialnych i kierujących się nazbyt często czystym widzimisię recenzentów, przez zakaz posługiwania się pewnymi słowami i wypowiedzania pewnych myśli, przez nakaz posługiwania się eufemizmami, układaniem niepisanych list książek i autorów, których wolno cytować i promować oraz autorów, których nie wolno wspominać”. Zdaniem Kozyra-Kowalskiego cenzurę społeczeństwa obywatelskiego stanowią „przeróżnego rodzaju towarzystwa i organizacje naukowe, a także relacyjnie niezależne wydawnictwa”¹.

Tylko z pozoru działania poszczególnych obywateli i instytucji publicznych nie mają nic wspólnego z dawną cenzurą państwową. Każda redakcja i wydawnictwo prowadzi swoją politykę i cenzurę redakcyjną. Opóźniają publikacje lub „gubią” złożone do druku materiały, stosują zмовę milczenia wobec kontrowersyjnych publikacji, unikają polemik merytorycznych. A współczesny abso-lutyzm jest w stanie elektronicznie kontrolować używane w sieci słowa. Propaganda polityczna – zdaniem Étie-

ne Balibara – stwarza sztuczny język, „w którym nawet same słowa anulują wolność myśli”².

Słowa ograniczające wolność myśli

Nic więc dziwnego, że poszczególne ruchy społeczno-polityczne nie używają pewnych słów lub stwarzają sobie właściwe, którymi można wywoływać i wyolbrzymiać określone problemy społeczne lub poprzez pewne eufemizmy negować je i ukrywać. Pojęcia mają istotny wpływ na zmiany tego, co uznajemy za realne, wpływają też na to, jak widzimy świat i jak działamy na podstawie tego postrzegania.

Adolf Otto Eichmann ukazał istnienie *reguły językowej* w odniesieniu do żydობójstwa w okresie panowania nazizmu, co jest potwierdzeniem istnienia cenzury językowej i autocenzury. Trudno uwierzyć, by mogła ona w sposób pełny ukryć zbrodnie hitlerowskie, zwłaszcza, że w proces zagłady Żydów włączonych było co najmniej 500 tysięcy Niemców. Ale dla zachowania pewnych pozorów nie używano słów jednoznacznie brzmiących, jak np. „eksterminacja”, „mordowanie”, „likwidacja”, „deportacja”, czy „egzekucja”, lecz „ostateczne rozwiązanie”, „radikalne rozwiązanie”, „ewakuacja”, „specjalne traktowanie”, „przesiedlenie”, „zmiana miejsca pobytu”, „roboty na Wschodzie”. Być może w jakimś stopniu chodziło jedynie o obejście systemu wartości oprawców i ich rodzin, aby przełamać ich wewnętrzne opory światopoglądowe przeciwko mordowaniu bezbronnej ludności i czerpaniu z tego korzyści osobistych. Aby z kolei nie mówić o klęsce i kapitulacji 6 Armii pod Stalingradem, mówiono o „poświęceniu”.

Tak jak naziści, również neoliberalni ekonomiści i menagerowie kapitału mają swoją *regułę językową*, używają słów, których zadaniem jest zmistyfikowanie istniejących stosunków kapitalistycznego wyzysku i nadanie ich działalności charakteru ważnej misji społecznej. Nie mówią o kapitalizmie lecz o „gospodarce rynkowej”; depersonalizują funkcje kapitału kładąc akcent na ich wymiar techniczny; nie używają terminu burżuazja i kapitaliści lecz „pracodawcy”.

Jacek Tittenbrun, ukazując manipulacje w tym względzie, pisał, że termin „pracodawca” stanowi „najbardziej zdradliwą i szkodliwą, bo niedostrzeganą postać ideologii – jeśli ktoś tu daje pracę, a bardziej precyzyjnie – siłę roboczą, to pracownik, a ten, kto dzierżawi jego siłę roboczą, »daje« co najwyżej miejsce pracy; zwrot »daje« został z kolei umieszczony w cudzysłowie ze względu na to, że nie mamy tu wszak do czynienia z działalnością charytatywną; gdyby właścicielowi się to nie opłacało, to niczego by nie »dawał«. I też istotne wymogi rentowności często sprawiają, że bramy zakładu pozostają zamknięte lub otwierają się tylko po to, by wypłuć na bruk zbędną z tego punktu widzenia nadwyżkę osobowych czynników gospodarowania”³.

Neoliberalni naukowcy i działacze gospodarczy nie mówią o zyskobiorcach, lecz o „menagerach”; nie mówią o szefach i właścicielach lecz o „przedsiębiorcach” i „producentach”, a koncerny z licznymi załogami w ich mniemaniu to „wielkie rodziny”; nie mówią o kapitale dokonującym wyzysku lecz o „kapitale ludzkim”; ograniczenie prawa do pracy i pewności zatrudnienia nazywają „uelastycznieniem czasu pracy”; nie mówią o ukierunkowanym wyzysku lecz o „wolnym rynku”; problemy płac, zysków

i własności zastępują pytaniami związanymi z „etyką biznesu” i „społeczną odpowiedzialnością zakładów pracy”; nie mówią o kapitalistycznej kontrrewolucji lecz o „transformacji” i „reformach”; nie mówią o bezrobotnych lecz o „poszukujących pracy”; mówią o prawie do własności prywatnej, ale pomijają prawo do własności społecznej; mówią o konieczności prywatyzacji, ale pomijają towarzyszące jej wywłaszczenie pracujących mas; nie mówią o klasach społecznych i ich walce, ale o „społeczeństwie obywatelskim” i „umowie społecznej”; cieszą się ze zwycięstwa w wyborach, ale do problemu nieuczestniczenia większości w wyborach zdają się nie przywiązywać większej uwagi. W jednym i drugim wypadku język okazuje się organiczną częścią systemu panowania, pozwala niepostrzeżenie przekroczyć granicę pomiędzy obojętnością a przyzwoleniem na zagładę lub „społeczne wyzerowanie”.

Neoliberalowie nie chcą przyznać się do klęski i utopijności swoich koncepcji społeczno-ekonomicznych, że „sukcesy” okupione są gigantycznym wzrostem długu publicznego i zadłużeniem ludności w bankach.

Wiele słów wchodzących do języka politycznego nie jest obojętnych ideologicznie, moralnie, czy prawnie – mogą być zapowiedzią zbrodni sądowej lub linczu. O PZPR pisze się jako o „partii komunistycznej”, chociaż związek jej praktyki z ideologią komunistyczną na gruncie naukowym jest nie do udowodnienia. O PRL-u i PZPR pisze i mówi się w ten sam sposób, aby ułatwić kryminalizację ich historii i działania ich przedstawiać jako „zbrodnie komunistyczne”. Marek Zagajewski pisał: „I chociaż w naszym kraju komuniści, znajdując się na marginesie życia politycznego, nie docierają ze swoimi poglądami do szeroko pojętej opinii publicznej, to »bajka o widmie komunizmu« toczy się przez media w konwencji niekończącej się opowieści. Wszak od kilkunastu lat w rozmaitych politycznych dokumentach, wypowiedziach polityków, masowej publicystyce, fachowych publikacjach, a także w aktach prawnych w odniesieniu do PRL na trwale zagościł termin »komunizm«, oczywiście w radykalnie negatywnym kontekście znaczeniowym.”

Stałym elementem politycznej retoryki jest bezustanna obecność bogactwa słów typu: »komunizm«, »komuna«, »komunista«, »kraj komunistyczny«, »reżim komunistyczny«, »ideologia komunistyczna«, »partia komunistyczna«, »państwo komunistyczne«, »zbrodnie komunistyczne« i wszelkich możliwych pochodnych wyrażań. To nasilenie antykomunistycznej retoryki budzi zdumienie wśród licznego grona starszego pokolenia naszych ziomków, ponieważ w czasach zaprzęskiego ustroju wytrwale eksponowano termin »socjalizm« we wszelkich jego odmianach, gdy równocześnie słowo »komunizm« było praktycznie nieobecne w życiu publicznym. Zgoła odwrotny stan rzeczy panował w kręgach politycznej opozycji, jej opiniach prezentowanych w literaturze i publicystyce czy w publikacjach sowietologicznych, gdzie termin »komunizm« był używany obiegowo”⁴.

Dalej zaś dodawał, że u antykomunistycznych autorów nie można nie zauważyć „rzucającej się w oczy sprzeczności między treścią formuły »kraj komunistyczny« i jej zastosowaniem do żyjącego w tym kraju społeczeństwa, które odrzuca »komunizm« Marksa i Lenina. Rodzi się naturalne pytanie, czy jest możliwy taki kraj, którego społeczeństwo nie akceptuje doktryny komunistycznej, a jednak nazywamy go komunistycznym. Ponadto kraj komunistyczny, wedle Marksa czy

Lenina, to taki kraj, w którym nie ma klas społecznych, a zatem nie ma też »państwa komunistycznego«, jako zorganizowanego aparatu przemocy pozaekonomicznej, sprawcy »komunistycznych zbrodni«⁵. Zakazanie działalności partii komunistycznych odwołujących się do „totalitarnych metod i praktyk” i zrównanie ich w 13 artykule *Konstytucji RP* z 1997 roku z partiami nazistowskimi i faszystowskimi, nie było przypadkowe, lecz służyło dodatkowemu wzmocnieniu deprecjacji komunizmu i przygotowaniu ideologicznych i prawnych warunków do fizycznej rozprawy z komunistami, gdy okoliczności na to pozwolą i będą tego wymagały.

Instytut Pamięci Narodowej wymusza, aby wyrażenie *Związek Radziecki* tłumaczyć jako *Związek Sowiecki*, co jest złośliwością językową, gdyż jest rusycyzmem. Te i wiele innych pomysłów językowych nie są specyficznym polskim wynalazkiem – są wyrażeniami przeniesionymi z dawnej literatury sowietologicznej i narzuconymi we wszystkich byłych krajach „realnego socjalizmu”.

Niechciane czy chciane problemy?

Umberto Eco przypomina, że faszyci włoscy w sprawowaniu cenzury posługiwali się kartkami papieru welinowego, rozsyłanymi do poszczególnych redakcji, które zawierały instrukcje, na jakie tematy wolno pisać, a jakie należy przemilczeć. Te okólniki, nazywane *veline*, stały się wówczas symbolem cenzury, tworzenia „przykrywek i kamuflażu”. Jednakże *veline* nie odeszły wraz z Mussolinim. Współczesne *veline* są jednak czymś innym, „stanowią one apoteozę urody, ostentacji, a przy tym rozgłosu zdobytego obecnością na wizji. Bohaterowie telewizji kojarzeni są z ideałem choćby dlatego, że ciągle się o nich mówi, co w przeszłości uznawano za niestosowne”. Istnieją w związku z tym dwa rodzaje cenzury realizowane na dwa sposoby: pierwszy „przez przemilczenie” i drugi „poprzez szum informacyjny”, w którym „velina stanowi swego rodzaju symbol telewizyjnego show, widowiska, spektaklu, wprowadzania informacji w obieg”⁶.

Eco zwraca uwagę na istnienie pewnego paradoksu, którego nie chce dostrzec neoliberalna prasa w swej pogoni za sensacjami w imię przyciągnięcia czytelnika lub widza, zmuszanego chociaż do przypadkowego i krótkiego rzutu oka na reklamy. Neoliberalowie starają się przekonywać odbiorców swych mediów, że mówienie o pewnych negatywnych faktach, zjawiskach i procesach jest formą walki z nimi. Tymczasem zdaniem Eco już „Faszyści (jak wszyscy dyktatorzy) wiedzieli, że niewłaściwe zachowania nasilają się, jeśli się o nich mówi w mediach”⁷. Dotyczy to m.in. samobójstw, bijatyk, napadów rabunkowych, szkolnych strzelanin, napadów imigrantów na staruszki w przyjsiach podziemnych, którzy z mediów dowiedzieli się, że to jest „ich specjalność”. Do tego zestawu moglibyśmy dodać rodzimy przykład kradzieży „na wnuczka” czy „na policjanta”. Wiele tych zjawisk było więc „tylko prasową kreacją”.

Eco wskazał na manipulatorskie cele takich zbiegów. Pisał „Jeśli dawna *velina* pouczała: »Aby nie dopuścić do zachowań postrzeganych jako naganne, nie należy o nich mówić«, to *velina* współczesna stwierdza: »Aby nie mówić o zjawiskach negatywnych, należy poszukiwać tematów zastępczych«⁸. Jego zdaniem informacje o zamachach bombowych trafiały od razu na pierwszą

stronę „właśnie po to, by inne wiadomości nie trafiły na pierwszą stronę. Przykład bomby jest bardzo dobry pod względem akustycznym, bo eksplozja to huk zagłuszający wszystko wokół”⁹. Była i jest to szczególnie wygodna metoda dla sprawujących władzę elit politycznych, które zainteresowane są w ukrywaniu wyzysku społecznego, jego skali i skutków dla przyszłości.

Taka metoda „zwalczania” przemocy i tzw. patologii społecznej, bez eliminacji ich społeczno-ekonomicznych i politycznych przyczyn, okazuje się więc skutecznym sposobem na ich faktyczne wywoływanie i propagowanie. Takie „zwalczanie” przemocy okazuje się częścią całego systemu zakłamania i okrucieństwa, utrzymywaniem zmarginalizowanych grup społecznych w stanie apatii i beznadziei.

Szczególnie widoczne jest to przy obecnym toczeniu globalnej „wojny” z terroryzmem. Terroryzmu z różnych względów zajmuje więcej miejsca w środkach masowego przekazu niż wynika to ze skali problemu. Od zamachów terrorystycznych ginie mniej osób niż w wypadkach drogowych, a nie śledzi i nie podsłuchuje się osób odpowiedzialnych za niewłaściwe rozwiązania komunikacyjne, nie wysyła po nich uzbrojonych grup antyterrorystycznych. Na świecie ginie z pewnością więcej osób od ukąszeń węży czy pszczoł, ale pszczołarzy nie posądza o zorganizowanie spisku na skalę światową i nie eliminuje się ich bez wyroku sądowego.

Władze eksponując „terroryzm” ukrywają klasowe funkcje państw, wykorzystując go do ograniczenia swobód obywatelskich i do śledzenia wewnętrznych przeciwników politycznych, legitymizując swoje panowanie, zyskując sankcję religijną dla organów przemocy państwowej i ich antydemokratycznych praktyk. Skutkiem tych wszystkich „antyterrorystycznych” działań jest wciągnięcie na listy „podejrzanych” setek tysięcy niewinnych osób, rozbudowa represyjnych aparatów państwa. Gdy dochodzi do jakichkolwiek zamachów i sabotażu, od razu uzyskują miano „terrorystycznych”. Ale po pewnym czasie okazuje się, że nie są one (a w każdym bądź razie ich znaczna część) dziełem przybitych z zewnątrz wyszkolonych i zdesperowanych terrorystów, lecz nie do końca zasymilowanych imigrantów, chociaż posiadających już od wielu lat obywatelstwo danego kraju. Nie przeszkadza to w posługiwaniu się w oskarżeniach nazwą pierwotnej narodowości sprawców lub nawet ich rodziców.

Sprawa dodatkowo się komplikuje, gdy autorami zamachów okazują się rodzimi obywatele dominującej narodowości, ale wtedy dla uproszczenia sprawy używają miano „szaleńca”. Grzebie się wówczas w ich życiorysach, wskazuje na okrutnego i bijącego lub pijącego kogoś z rodziców. A w ostateczności ujawnia fakt leczenia się psychiatrycznego i przypisuje chorobę psychiczną oraz na siłę poszukuje się zagranicznych współników. Nie szczędzi się natomiast opisów scen okrucieństwa z samego zamachu. Wszystko zaś po to, aby nie zająknąć się nawet o społeczno-ekonomicznych i politycznych przyczynach takich desperackich działań terrorystycznych, o strukturze płac i dochodów w danym społeczeństwie, aby nie mówić o konieczności i możliwości eliminacji bezrobocia czy długu publicznego.

W propagandzie kierowanej przez Prawo i Sprawiedliwość (PiS), przy okazji przygotowań do *Światowych Dni Młodzieży* i spotkania z papieżem więcej uwagi

poświęcono na walkę z wyimaginowanym zagrożeniem terrorystycznym niż duchowemu przygotowaniu uczestników do takiego religijnego wydarzenia. W czasie tych dni na Rynku krakowskim w pobliżu kościoła Mariackiego postawiono pojazdy wojskowe (Hummera i Rosomaka), aby prawdopodobnie zmanifestować gotowość władz polskich do obrony pielgrzymów z całego świata przed wyimaginowanym wrogiem. Jednakże umieszczenie pojazdów służących do zabijania, na imprezie pokojowej jest w najlepszym wypadku wyrazem nietaktu. Ponieważ jednak decyzja o ich umieszczeniu zapadała najprawdopodobniej na najwyższym szczeblu rządowym, można przyjąć, że była ona wyrazem chęci sakralizacji represyjnych organów władzy państwowej, misji zagranicznych w służbie imperializmu USA, oraz sakralizacji rządu jak i samego Antoniego Macierewicza.

Przy okazji *Światowych Dni Młodzieży* ujawniono fakty cenzurowania wypowiedzi papieża Franciszka przez „Gazetę Polską Codziennie”. Katarzyna Wiśniewska pisała: „W czwartek nie ukazał się w niej fragment kazania o pamięci negatywnej, która »spojrzenie umysłu i serca obsesyjne koncentruje na złu, zwłaszcza popełnionym przez innych«. W piątek »GPC« ocenzurowała kazanie papieża z Częstochowy, publikując je bez fragmentu: »Wasz naród pokonał na swej drodze wiele trudnych chwil w jedności. Niech Matka, mężna u stóp krzyża i wytrwała w modlitwie z uczniami w oczekiwaniu na Ducha Świętego zaszczerpi pragnienie wyjścia ponad krzywdy i rany przeszłości i stworzenia komunii ze wszystkimi, nigdy nie ulegając pokusie izolowania się i narzucania swej woli«. Zabawne, bo właśnie te słowa skomentował Jarosław Kaczyński: – To brzmi jak dydaktyka »Gazety Wyborczej« – orzekł¹⁰.

„Nieistniejąca” cenzura w czyste postaci

Wbrew lansowanym powszechnie schematom, nawet nieformalna cenzura neoliberalna jest służebna wobec panującego reżymu politycznego i funkcjonuje w skali międzynarodowej. Stany Zjednoczone i Wielka Brytania narzuciły pozostałym państwom NATO sposób pisania o Saddamie Husajnie przed rozpoczęciem wojny w 2003 roku. Świadomie wprowadziły w błąd światową opinię publiczną, że Irak dysponuje bronią atomową i chemiczną, grożąc przy tym wyciągnięciem konsekwencji wobec dziennikarzy, którzy poddawali to w wątpliwość.

Trzeba w tym miejscu zdawać sobie sprawę, że sposób pisania o Husajnie został narzucony prywatnym środkiem masowego przekazu, które zgodnie z doktryną neoliberalną mają być niezależne od władzy państwowej i gwarantem wolności słowa. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że dziennikarze bardzo liczni na wojnie w Iraku realizowali wolność słowa – mogli bowiem przekazywać do swych macierzystych redakcji teksty tylko po uprzednim uzgodnieniu ich treści z dowódcami wojskowymi. Zauważa się w związku z tą wojną oszustwo, kręactwo i świadoma dezinformacja na dużą skalę pokazując, że w NATO od góry do samego dołu istnieją wpływowe nieformalne instytucje pełniące funkcje cenzorskie, które są w stanie ingerować w działalność prywatnych i formalnie niezależnych środków masowego przekazu i zajmują się tworzeniem ideologicznych podstaw do interwencji zbrojnych w wybranych rejonach oraz kontrolą informacji o nich.

Funkcjonowanie podobnego mechanizmu potwierdza sprawa Slobodana Miloševića, byłego prezydenta Jugosławii i szefa Socjalistycznej Partii Serbii. 1 kwietnia 2001 został aresztowany w Belgradzie przez serbską policję pod zarzutem nadużycia władzy i korupcji, a następnie 28 czerwca 2001 przekazany przed Międzynarodowy Trybunał Karny dla byłej Jugosławii w Hadze, który oskarżył go o wywołanie konfliktów wojennych w Kosowie, Chorwacji i Bośni. Łącznie postawiono mu 66 zarzutów. 11 marca 2006 zmarł w haskim więzieniu. Oficjalną przyczyną jego śmierci podaną przez lekarzy był atak serca. 24 marca 2016 roku Trybunał w Hadze oczyścił pośmiertnie Slobodana Miloševića ze stawianych mu zarzutów, stwierdzając że „Trybunał nie uzyskał przekonania, jakoby Slobodan Milošević miał uzgodnić i wykonać plan czystki etnicznej na społeczności chorwackiej i muzułmańskiej na terytorium Serbii [...] Podobnych zamiarów nie poświadczają żadne dowody”¹¹. Informacja o tym nie znalazła się jednak na pierwszych stronach i nie wywołała namiętnych dyskusji dziennikarzy.

Żołnierzy ginących na misji w Iraku czy w Afganistanie nie przedstawia się w „wolnych” środkach masowego przekazu jako suto opłacanych najemników w służbie imperialnych interesów USA, lecz jako bohaterów i patriotów, chociaż z patriotyzmem nie ma to nic wspólnego.

Dziennikarze egzaltują się śmiercią pojedynczego żołnierza. Tymczasem, gdyby nie ginęli, byłoby źle.

Jeśli żołnierz zginie, dowodzi, że był zdolny do poświęceń. Gdyby nie zginął, można by pomyśleć, że jeździł z wojny na wojnę, aby się dorobić na krzywdzie innych narodów.

Jeśli zginie, to dowodzi, że był potrzebny po to, by zginąć. Zginął, bo chciał, by nikt później nie zginął lub nie wydarł mu zaszczytu zwycięstwa.

Jeśli żołnierz ginie w obcym kraju, to pokazuje, że tam go nie chcą. Bez tego można by pomyśleć, że pojechał odwiedzić dobrych znajomych.

Jeśli żołnierz walczy z poświęceniem i strzela, to pokazuje, że robi to, czego go nauczono. Inaczej mógłby ktoś dojść do wniosku, że nie ma tam z kim walczyć. Wizja wroga przed oczami tworzy tak wielkie napięcia, że aby je rozładować, czasami musi ostrzelać cywilną wioskę lub jakieś wesele.

Jeśli żołnierz zabija taliba lub kilku cywilów, to pokazuje, że nie zejdzie z obranej drogi i bezwzględnie dąży do wytkniętych celów oraz umie robić to, czego go uczono. Gdyby nikogo nie zabił, złośliwi mogliby pomyśleć, że nauka poszła w las (pustynię).

Jeśli żołnierz ostrzeliwuje wioski i miasta, to pokazuje, że nie pojechał po to, aby budować szkoły i meczety.

Jeśli żołnierz ugania się za terrorystami, to dobrze. Trzyma formę. W innym wypadku obrastałby tłuszczem lub musiałby biegać bez sensu po poligonie i myśleć o tym, co dzieje się w Polsce.

Jeśli ginie żołnierz, to dobrze, bo nie trzeba pisać o ponad 30 osobach zabitych każdego tygodnia na drogach w kraju. Władze o śmierci żołnierza mówią namiętnie, a o nieboszczykach na drogach wolą milczeć, żeby nie zniechęcać do kupna markowych samochodów i nie rozwijać komunikacji masowej. W mówieniu o zabitych na drogach jest jeden wyjątek, jeśli zginął w autokarze pielgrzymkowym, wtedy władze spieszą rodzinom z pomocą i dodatkowymi odszkodowaniami, nie wiadomo zresztą na jakiej podstawie prawnej.

Jeśli ginie jednocześnie kilku żołnierzy, górników lub pielgrzymów, premier z prezydentem mogą ścigać się o to, kto rodzinie poległych pomoże bardziej i udowodni swą troskę o naród. Nie trzeba wówczas zwiększać odszkodowań dla wszystkich, rozbudowywać społecznych ubezpieczeń, podnosić składek ubezpieczeniowych ani zmniejszać zysków firm ubezpieczeniowych.

Jeśli zginął żołnierz, to płaczą dzieci i rodzina – pokazują, że odszkodowanie ma gorzki smak.

Jeśli żołnierz zostaje ranny lub inwalidą, to dobrze, bo można pokazać go w telewizji i pominąć milczeniem tysiące chorych na rzadkie choroby i nie wprowadzać, np. w Polsce jako jedynej w Europie, programów dotacji do niektórych istotnych leków, skazując ich tym samym na inwalidztwo lub można wprowadzić takie kryteria, że większość chorych nie skorzysta z żadnej pomocy.

Jeśli ранego żołnierza pokaże się w otoczeniu całej grupy lekarzy, nie trzeba się tłumaczyć z wielomiesięcznych kolejek do lekarzy specjalistów. Inwalidztwo żołnierza jest zaszczytne, a chorego w kraju pełne pokory. Żołnierz zostaje inwalidą nagle, a chory np. na stwardnienie rozsiane może nabywać inwalidztwo przez lata, oczekując pół roku na serię zabiegów rehabilitacyjnych finansowanych z NFZ.

W Polsce PiS najwięcej uwagi poświęca reklamie swojej flagowej propozycji „500 plus”, podsyca nacjonalizm, ale nie przedstawia planów odzyskania wykupionych za bezcen przedsiębiorstw i kontrolowanych przez kapitał zagraniczny, odzyskania gazet zawłaszczonych przez niemieckie koncerny medialne. Nie zająknie się o wprowadzeniu zakazu wysiedlania na bruk, o pokryciu kosztów utrzymania mieszkania dla bezrobotnych i osób ubogich, o stworzeniu nowego programu powszechnego budownictwa mieszkaniowego, o bezwzględnym zakazie tzw. śmieciowych umów o pracę, o pokryciu rosnących kosztów emerytalno-rentowych ze wzrostu wydajności pracy. Dzieje się tak jakby chciano powiedzieć, że wszelkie korzyści ze wzrostu wydajności pracy należą się prywatnym właścicielom kapitału.

W środkach masowego przekazu ocenzurowane są, a właściwie istnieje wręcz blokada na wszystkie wypowiedzi robotników i najemnych pracowników, zwłaszcza jeśli dotyczą one stosunków z kapitałem. Pełno jest natomiast wypowiedzi tzw. celebrytów, pięknych, zdrowych i bogatych, „znanych dlatego, że są znani”, dla których ważniejsze od innych są sprawy mody (fryzury, stroju, wyglądu paznokci), działalności charytatywnej, wyszukanych ale prostych w przygotowaniu potraw, wypoczynku letniego i zagranicznych podróży.

Cenzorski szum informacyjny

Nic więc dziwnego, że drugą metodą cenzurowania, o której pisał Umberto Eco, było wytwarzanie szumu informacyjnego. Tu chodzi o przemilczenie problemów podstawowych, i o maksymalne poświęcenie uwagi problemom marginalnym lub takie mówienie o problemie ważnym społecznie, aby ukryć jego rzeczywiste przyczyny i skutki. Zadanie mediów polega więc w tym przypadku na tym, by powiedzieć wiele, aby nic się nie zmieniło. Eco pisał, że dwugłowe cielecia, drobne rozboje, wydarzenia drugorzędne, spotkania i skandale towarzyskie, ubieranie się poszczególnych osób pochłaniają większość czasu an-

tenowego programów informacyjno-publicystycznych i łamów gazet – „szum wokół tych pseudoafair miał być na tyle głośny, by odwrócić uwagę od spraw wymagających przemilczenia”, „moc hałasu polega na tym, że im jest on większy, tym mniej baczny się na to, o czym mowa”¹². „Aby narobić szumu, pisał Eco, nie trzeba wmyślać informacji. Wystarczy wprowadzić w obieg informację prawdziwą, ale mało istotną. Tworzy ona atmosferę podejrzliwości już przez sam fakt, że się pojawia. To prawdziwe, ale nieistotne, że urzędnicy noszą turkusowe skarpetki, podanie tego do wiadomości w sposób zawierający w podtekście coś kompromitującego pozostawia jednak jakiś ślad, domniemanie. Między innymi dlatego, że niczego nie da się tak łatwo zdementować, jak informacji prawdziwej, choć mało istotnej”¹³.

Przez cały okres sporu o Trybunał Konstytucyjny w Polsce towarzyszył mu szum informacyjny. Spór sprowadzono do kwestii personalnych, czyli do wyborów i zaprzysięgania nowych sędziów. Poza sporem pozostały sprawy merytoryczne, a zatem ustrojowa rola i treść dotychczasowych orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego. Zarówno PiS jak i opozycja na czele z Platformą Obywatelską nie zwróciły uwagi na to, że Trybunał Konstytucyjny pozwala na kasowanie i blokowanie ustaw parlamentu i dyktowanie ich wykładni¹⁴, i nie przyznały się, że w tym właśnie celu zamierzały go wykorzystywać obecnie. Nie przeszkadzało elitom tych partii to, że Trybunał Konstytucyjny bezpośrednio lub pośrednio akceptował zmiany ustrojowe w Polsce po 1989 roku: przeobrażenia w prawach własności ze szkodą dla interesów ogólnospołecznych, będące skutkiem ustaw o prywatyzacji i komercjalizacji przedsiębiorstw państwowych, likwidację PGR-ów i spółdzielni, dyskryminację przedsiębiorstw państwowych; wprowadzenie religii do szkół, wynagradzanie nauczycieli religii ze środków publicznych; ochronę życia od chwili poczęcia, nadużycia przy zwrocie majątków Kościołowi, finansowanie z budżetu państwa szkolnictwa wyznaniowego¹⁵.

Szum informacyjny jest szczególnie widoczny w reklamach. Ich autorzy posługują się w reklamowaniu różnych towarów kilkoma uniwersalnymi metodami, scenkami z gospodyniami domowymi, fachowcami usługowymi, znanymi aktorami i sportowcami, troskliwymi babkami i miłymi wnuczkami – wyrzucając dwa opakowania sięgają po jedno, uśmiechając się przy tym i mlaskając z zadowolenia. Reklamy pełne są sloganów powtarzających nazwę i markę produktu, zawierają sceny wymyślone, idiotyczne i absurdalne. Jego zdaniem „nadrzędną funkcją reklamy-szumu jest przypomnienie o spocie, nie o samym produkcie”¹⁶.

Największy szum informacyjny produkuje internet. O informacji, którą otrzymujemy, nie wiemy, czy jest wiarygodna czy nie, a znalezienie informacji niezbędnej wymaga znacznego czasu i pokonania wielu niepotrzebnych stron i informacji. Informacja, którą pozyskuje się, obudowana jest całym szeregiem zbędnych reklam i informacji. Nierzadko gazety codzienne zawierają kilkadziesiąt stron, o których wiadomo, że nikt ich wszystkich nie jest w stanie przeczytać, i trzeba wiele czasu, aby wyłowić pożądaną informację. Nic więc dziwnego, że czytelnictwo prasy papierowej spada (ludzie nie chcą bowiem kupować zbędnej makulatury), i aby temu przeciwdziałać, redakcje próbują rozwijać jej elektroniczne wersje.

Zdaniem Umberto Eco szum informacyjny i hałas stał się powszechny, „jest niczym narkotyk”. Wielu młodych ludzi nie potrafi żyć bez słuchawek na uszach czy kciuka na telefonie komórkowym, ale nie wie, jak je zbudowano i ile zarabiają firmy je produkujące.

Analogia współczesnych cenzorów i nazistowskich zbrodniarzy

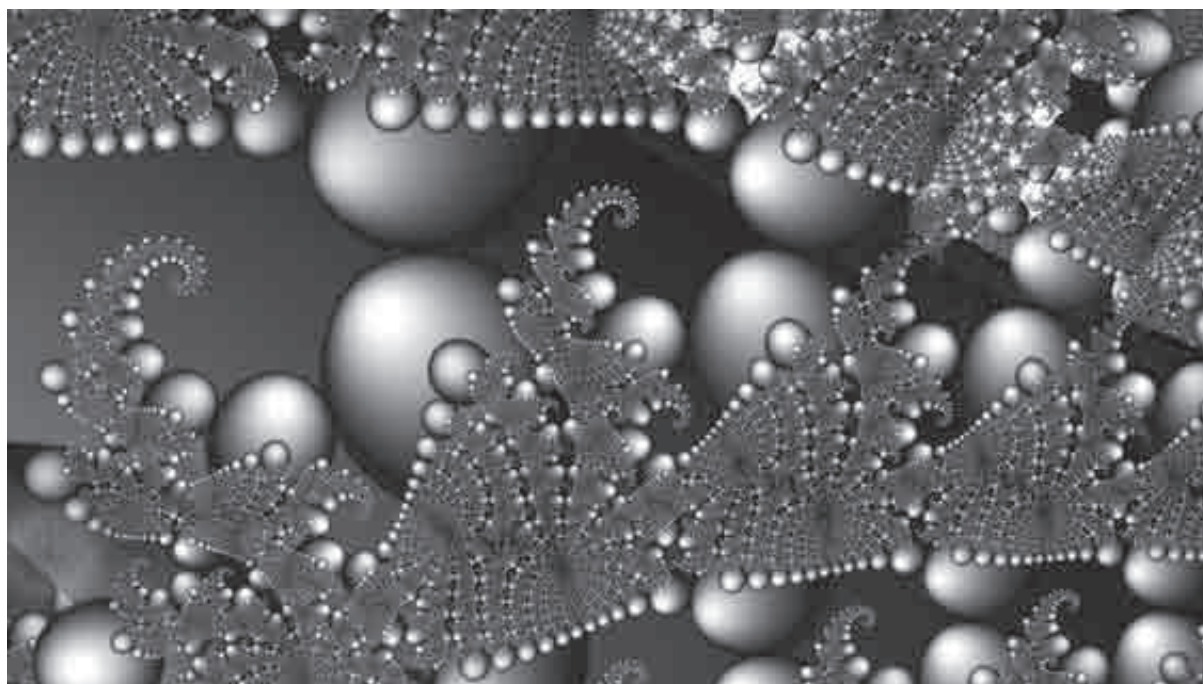
W dawnych czasach wiadomo było, do kogo kierować pretensje za wstrzymanie lub okaleczenie publikacji, a obecnie cenzura jest (jak *Imperium* u Harta i Negri'ego) wszędzie i nigdzie, czyli nie ma jednolitych i czytelnych zasad jej funkcjonowania oraz że nie można nikogo pociągnąć do odpowiedzialności za łamanie wolności słowa.

Autorzy, którzy chcą publikować, muszą godzić się z ingerencjami odnowionej cenzury w swoje publikacje. Z czasem zaczynają rozumieć „co im wolno” i dostosowują się do wymagań poszczególnych redakcji czy recenzentów. Nakładają na swoje myśli i swoją twórczość „autocenzurę”.

Takie skutki funkcjonowania cenzury jako instytucji życia społecznego sprawiają, że przypomina ono działania nazistowskich zbrodniarzy, którzy wciągali ofiary do swych zbrodni i zmuszali je do wykonywania „czarnej roboty”, a po wojnie tłumaczyli się, że oni osobiście i własnoręcznie nikogo nie zamordowali, a w obozach zagłady wykonywali jedynie administracyjne funkcje. Tak jak wówczas występowało oddzielenie zbrodniarza od miejsca i narzędzia zbrodni, co pozwoliło wielu z nich uniknąć poniesienia odpowiedzialności, tak w przypadku „autocenzury” następuje oddzielenie cenzurowanego dzieła od cenzora, odpowiedzialność za cenzurę przerzuca się na autora dzieła i pozwala na kłamliwe mówienie o nieistnieniu cenzury i realizowanej wolności słowa.

EDWARD KAROLCZUK

- 1 Stanisław Kozyr-Kowalski, *Uniwersytet a rynek*, Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 2005, s. 112-113.
- 2 Étienne Balibar, *Trwoga mas. Polityka i filozofia przed Markssem i po Marksie*, tłum. Andrzej Staroń, Wydawnictwo Akademickie Dialog, Warszawa 2007, s. 83.
- 3 Jacek Tittenbrun, *Gospodarka w społeczeństwie. Zarys socjologii gospodarki i socjologii ekonomicznej w ujęciu strukturalizmu socjoekonomicznego*, Zys i S-ka Wydawnictwo, Poznań 2012, s. 92.
- 4 Marek Zagajewski, *Widmo komunizmu krąży po Polsce, [w:] Od marksizmu do feminizmu. Księga pamiątkowa z okazji 70. rocznicy urodzin Profesora Kazimierza Ślęczy, red. Tomasz Czakon*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2009, s.164.
- 5 Tamże, s.164-165.
- 6 Umberto Eco, *Wymyślanie wrogów i inne teksty okolicznościowe*, tłum. Agnieszka Gołębiowska i Tomasz Kwiecień, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2012, s. 214.
- 7 Tamże.
- 8 Tamże, s. 215.
- 9 Tamże, s. 216.
- 10 Katarzyna Wiśniewska, *Prawicowe media mają kłopot z wizytą papieża*, „Gazeta Wyborcza. Magazyn Świąteczny”, sobota-niedziela 30-31 lipca 2016, s. 3.
- 11 *Slobodan Miloszewić oczyszczony z zarzutów przez haski trybunał*, <http://strajk.eu/slobodan-miloszewic-uniewinniony-przez-haski-trybunal/>, [dostęp 2016-08-13] .j?, PROSECUTOR v. RADOVAN KARADŽIĆ PUBLIC PUBLIC REDACTED VERSION OF JUDGEMENT ISSUED ON 24 MARCH 2016 VOLUME I OF IV, http://www.icty.org/x/cases/karadzic/tjug/en/160324_judgement.pdf [dostęp 2016-08-13], s. 1303.
- 12 Umberto Eco, *Wymyślanie wrogów...*, op.cit., s. 216.
- 13 Tamże, s. 216-217.
- 14 Szerzej patrz: Jarosław Ładosz, *Sąd kasujący ustawy i dyktujący parlamentowi ich wykładnię*, „Zdanie” 2016, nr 1-2 (168-169), s. 42-50.
- 15 Włodzimierz Luty, *Dylematy i iluzje liberalnej demokracji*, „Zdanie” 2016, nr 1-2 (168-169), S. 69-70.
- 16 Umberto Eco, *Wymyślanie wrogów...*, op.cit., s. 219.



MARIAN STĘPIEŃ

CZESŁAW MIŁOSZ

JAKO DYPLOMATA W SŁUŻBIE POLSKI LUDOWEJ

Dziwić musi nikłe zainteresowanie wydobytymi z archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych raportami dyplomatycznymi wysyłanymi przez Czesława Miłosza ze Stanów Zjednoczonych do Centrali w Warszawie.

Dziwić musi, bo tymi dokumentami powinni być zainteresowani zarówno ci, którzy chętnie ukazaliby „haniebną” decyzję poety współpracy z władzami ówczesnego polskiego państwa, jak i ci, którzy broniąc go przed takimi zarzutami mogliby się doszukiwać w opublikowanych dokumentach „drugiego dna”, jakiegoś „ketmana”; a znaleźliby się i tacy, którzy mogliby w nich znaleźć dowody na rzeczywiste poglądy lewicowe wspierające powojenne przemiany społeczne i polityczne w Polsce.

Raporty dyplomatyczne Czesława Miłosza są ważne dla zainteresowanych jego twórczością i biografią. Dokumentują najmniej znane lata jego życia i aktywności politycznej. Uzupełniają o istotne elementy naszą wiedzę, którą otrzymujemy z utworów poetyckich powstających w tym czasie. Opierała się ona dotychczas przede wszystkim na napomknięciach samego autora, napotykanym w jego tekstach, pochodzącym z lat późniejszych, gdy dochodziła do głosu uwierająca go pamięć owego „paktu diabelskiego”, i w różny sposób chciał się z niego tłumaczyć i usprawiedliwiać; albo z opinii i komentarzy – czy to pochodzących od osób mu życzliwych, zafascynowanych jego *Umysłem zniewolonym* i z wyrozumiałością traktujących ów „błąd” w biografii poety, czy też z szyderstw z „ukaszonych przez Hegla”, jak to wielokrotnie czynił Gustaw Herling-Grudziński.

Do okresu sprawowania funkcji dyplomatycznych Miłosz powracał często w swych esejach, wspomnieniach, wywiadach; najobficiej w *Roku myśliwego*. Ale to wszystko było dokonywane *ex post*, retrospektywnie, było przesiane przez sito późniejszych doświadczeń, okoliczności z życia osobistego i gromadzących się komentarzy wokół jego życia i twórczości. Mogło być interesujące, ale mało wiarygodne co do pytania, kim był i co robił Miłosz w pierwszych kilku powojennych latach jako attaché do spraw kultury, najpierw w Konsulacie Generalnym RP w Nowym Jorku, później w Ambasadzie RP w Waszyngtonie. Wiarygodnej odpowiedzi na te pytania udzielają nam jego dyplomatyczne raporty z tamtych lat¹.

Z wielu wypowiedzi pisarza wiemy, że chciał wyjechać za granicę. Widział w tym korzystniejsze warunki

dla rozwoju własnej twórczości, uwolnienie jej od nacisków politycznych i środowiskowych, od cenzury. Chęć przebywania za granicą nie musiała mieć zabarwienia politycznego. „W Polsce nic nie mam do roboty, bo nie jestem płaczącym alkoholikiem, całe życie chciałbym mieszkać za granicą, gdzie czuję się dobrze – no i mogę być bardzo użyteczny” – zwierzał się Juliuszowi Krońskiemu². Władze nowego polskiego państwa chętnie wysyłały pisarzy o lewicowych tradycjach na placówki dyplomatyczne. Chciał z tego skorzystać również Miłosz, gdyż „wyjazdy na dyplomatyczne placówki zapewniały literatom wolność od policyjnego nadzoru i wolność od cenzury, toteż bardzo sobie swój pobyt za granicą chwaliłem”³. Podjął odpowiednie starania. Pismem z 20 sierpnia 1945 roku zwracał się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych:

„Uprzejmie proszę o zaliczenie mnie w poczet pracowników Ministerstwa, z przeznaczeniem do placówki RP w Szwajcarii. Urodzony jestem 30 VI 1911, z zawodu jestem literatem, posiadam wykształcenie prawnicze (dyplom magistra praw), władam językami francuskim, angielskim i rosyjskim” (9-10)⁴.

W załączonym do podania życiorysie podkreślał, że podczas studiów na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie uczestniczył w ruchu politycznym wileńskiej lewicy literackiej grupującej się wokół Henryka Dembińskiego i Stefana Jędrzychowskiego.

Poparcia udzielił mu Jerzy Putrament. Powoływał się na dobrą znajomość Miłosza, na jego uzdolnienia, które mogą być odpowiednio wykorzystane w dyplomacji. Zwracał się do ówczesnego ministra spraw zagranicznych – też pisarza – Wincentego Rzymowskiego o przydzielenie poety do placówki szwajcarskiej⁵.

Prośbę Miłosza poparł również Leon Kruczkowski jako wiceminister kultury i sztuki; aczkolwiek niezupełnie po jego myśli: „Obywatel Czesław Miłosz jest świetnym poetą i doskonałym tłumaczem poetów angielskich i byłoby z wielką korzyścią dla wymiany kulturalnej, gdyby Ministerstwo Spraw Zagranicznych przydzieliło Obywatela Miłosza do jednego z krajów anglosaskich” (11).

W rezultacie wysłano go do Nowego Jorku w charakterze attaché kulturalnego w tamtejszym Konsulacie Ge-

1 Raporty dyplomatyczne Czesława Miłosza 1945-1950, opracowała i przypisami opatrzyła Maria Morzycka-Markowska, posłowie napisał Marek Kornat, Warszawa 2013.

2 Czesław Miłosz, *Zaraz po wojnie. Korespondencja z pisarzami 1945-1950*, Kraków 1998, s. 280.

3 Tamże, s. 6.

4 Cyfry po cytatach oznaczają stronę *Raportów dyplomatycznych...*

5 O złożonych relacjach między Czesławem Miłoszem i Jerzym Putramentem zob. Emil Pasierski, *Miłosz i Putrament. Żywoty równoległe*, Warszawa 2011.

neralnym RP, gdzie pracował od lutego do października 1946 roku. W pierwszym raporcie wysłanym 1 kwietnia 1946 roku tak przedstawiał stawiane sobie cele:

„1. Informowanie tutejszego środowiska – zarówno Amerykanów, jak i Polonii o odbudowie życia kulturalnego i artystycznego w kraju. 2. Propaganda materialnej pomocy dla Polski w dziedzinie kulturalnej. 3. Informowanie kraju o życiu literackim, artystycznym i naukowym Stanów Zjednoczonych” (27).

Trafił na trudny teren i szczególnie trudny okres. Opory w przyjmowaniu jego osoby i jego inicjatyw w środowisku amerykańskim były wówczas dodatkowo spotęgowane oświadczeniem sekretarza stanu USA, Jamesa Byrnesa zapowiadającego „twardą” politykę wobec ZSRR, co rzutowało również na stosunek do Polski Ludowej. „Ten fakt – pisał Miłosz w raporcie – zabarwił specyficznie wszystkie nawiązywane kontakty i tworzył opory, które byłyby znacznie mniejsze przy innym układzie międzynarodowych stosunków” (27).

Amerykanie, a zwłaszcza polska emigracja w Ameryce, ta najnowsza, z lat drugiej wojny światowej i po jej zakończeniu, a więc ta, która przede wszystkim wchodziła w zakres zainteresowań Miłosza, uważająca się za niepodległościową, bojkotowała spotkania organizowane przez polski Konsulat Generalny. Ten stan rzeczy potwierdzał Aleksander Donat, przedstawiciel „Czytelnika” przebywający w Nowym Jorku, w liście do Jerzego Borejszy z 26 kwietnia 1946 roku: „Nasze tutejsze czynniki urzędowe są w praktyce całkowicie odizolowane od Polonii, przynajmniej w Nowym Jorku”⁶.

Niektórzy emigranci spotykali się z Miłoszem ale prywatnie, unikając udziału w jakichkolwiek akcjach oficjalnych firmowanych przez Konsulat. Fakt, że Miłosz był znany w środowisku literackim, ułatwiał mu takie prywatne spotkania z pisarzami polskimi przebywającymi na emigracji, mieszkającymi w Nowym Jorku. Wśród nich byli: Jan Lechoń, Kazimierz Wierzyński, Julian Tuwim, Józef Wittlin, Aleksander Janta, Antoni Gronowicz, Antoni Marczyński. Pierwsi dwaj z wymienionych byli nieprzejednanymi przeciwnikami polskiego rządu w Warszawie. Z nimi kontaktu być nie mogło. Spotkanie z Tuwimem natomiast ujawniło, że jest on „nastrojony entuzjastycznie dla spraw przemian społecznych w Polsce i wraca do kraju”(30). Józef Wittlin okazał zainteresowanie wydawanymi w kraju pismami literackimi; wyraził chęć wysyłania do nich swoich utworów. Myśl o powrocie do kraju nie była mu obca, ale zwlekał z decyzją w obawie przed ewentualnymi politycznymi naciskami politycznymi na pisarzy.

Znajdował Miłosz porozumienie z Aleksandrem Jantą, który był wprawdzie związany z obozem krytycznie wobec Polski nastawionym, ale uznawał dokonywane w niej reformy społeczne. Chciałby wyjechać do Polski, by ją zobaczyć po wydarzeniach wojennych i wydać w kraju swą książkę *Kłamałem aby żyć*. Obydwa zamiary udało mu się zrealizować.

Na pisarzach emigracyjnych duże wrażenie robiły przekazywane im przez Miłosza informacje o wysokich nakładach utworów literackich w Polsce i o natychmiastowym ich rozprzedawaniu, co było skutkiem dokonującej się rewolucji kulturalnej.

Kontaktował się Miłosz z amerykańskimi literatami, wydawcami, dziennikarzami – ale jako członek Związku Literatów, PEN-clubu. Było to środowisko „nieufne w stosunku do wszystkiego, co ma w sobie choćby cień propagandy i urzędnik służby dyplomatycznej czy konsularnej nie jest tam mile widziany” (35).

Zauważywszy, że Biblioteka Publiczna w Nowym Jorku jest zupełnie pozbawiona prasy i wydawnictw krajowych, zainicjował zaopatrywanie jej w polskie publikacje. Udało mu się również doprowadzić tam do wieczoru literackiego. „Zorganizowanie takiego wieczoru w obecnych warunkach zaangażowania politycznego było bardzo trudne, gdyż wobec wrogiego nastawienia większości Polonii każde wystąpienie kulturalne przybiera postać manifestacji politycznej” (43). Wieczór mógł się odbyć dzięki dobrym stosunkom Miłosza z biblioteką i poparciu finansowemu neutralnej „Naszej Trybuny”. Miłosz wygłosił odczyt o literaturze polskiej czasu wojny i pierwszych lat po wojnie. Słowo wstępne dał Manfred Kridl.

„Całość wywarła bardzo dobre wrażenie i była obszernie komentowana w kołach polskich w New Yorku. To co mówiłem o kraju było zupełną nowością dla tutejszej publiczności intelektualnej polskiej. Na sali byli przedstawiciele różnych obozów. Była to pierwsza w New Yorku impreza tego rodzaju, grupująca ludzi różnych przekonań we wspólnej pozytywnej ocenie wysiłków kulturalnych kraju. Sala była wypełniona przedstawicielami tutejszej »elity« intelektualnej” (44).

Również dzięki kontaktom osobistym został zaproszony do Newark, gdzie przedstawił logikę przemian polskich. Było to w środowisku, w którym następnym mówcą miał być prof. Oskar Halecki, „o którego poglądach politycznych można powiedzieć, że nawet konstytucja 3 Maja wydaje mu się zbyt lewicowa” (86).

Zdarzała się i taka przyczyna niezłej frekwencji na odczycie Miłosza: „Przyjazd Bora [Tadeusza Bora-Komorowskiego, dowódcy warszawskiego powstania]. Mój odczyt w Hartford wypadł w kilka dni po wizycie Bora w tym mieście. Przyszła na odczyt również pewna grupa Polaków, oczywiście tych, dla których bytność na odczycie urzędnika polskiego była rodzajem manifestacji anty-Borowej” (56). Nb. bardzo krytyczny artykuł o Tadeuszu Borze-Komorowskim zamieścił Miłosz w tym czasie w krakowskim „Przekroju”⁷.

W kwietniu 1946 roku, w trzecią rocznicę powstania w getcie warszawskim, na zaproszenie Jewish Congress, przemawiał Miłosz w Bostonie, mimo sprzeciwu działaczy Bundu, którzy nie chcieli dopuścić do wystąpienia „komunisty”. A było ono bardzo udane, szeroko reklamowane, zebrało się 1500 osób.

„Wygłosiłem dłuższe przemówienie (po angielsku) – informował Miłosz Centralę – uprzednio starannie przygotowane (około 40 minut), w którym przedstawiłem fakty tak jak je widziałem w Warszawie za okupacji, stosunek rządu do antysemityzmu i środki zaradcze użyte przez rząd. Widziałem, że to co mówię robi duże wrażenie. Wielokrotnie przerywano mi oklaskami. Między innymi oklaskiwano gdy powiedziałem, że moim zdaniem obecny rząd polski jest najlepszy, gdy chodzi o rozwiązanie problemu odbudowania życia żydowskiego w Polsce i że za akcje antysemitki została ogłoszona kara śmierci” (41).

6 *Na rogu Stalina i Trzech Krzyży. Listy do Jerzego Borejszy 1944-1952*, wybór, wstęp, opracowanie i przypisy Grzegorz P. Bąbiak, Warszawa 2014, s. 121.

7 *Polska z Nowego Jorku*, „Przekrój” 1945, nr 66.

Na terenie Konsulatu, od kwietnia do czerwca odbywały się spotkania poświęcone trzeciej rocznicy walk w Getcie Warszawskim, urządzone przez American Jewish Congress. Do tego rodzaju spotkań przywiązywał Miłosz wielką wagę, gdyż widział, i informował o tym polskie władze, że sprawa antysemityzmu w Polsce jest nadal jedną z największych przeszkód na terenie międzynarodowym, a przełamywanie wrogości społeczeństwa żydowskiego jest jednym z najważniejszych zadań w Ameryce, „podstawowym zagadnieniem dla naszych stosunków z USA, w pierwszym rzędzie jeżeli chodzi o pomoc ekonomiczną i naukową” (48).

„Kontakty tutejszego konsulatu z żydostwem są, mam wrażenie, znacznie żywsze niż z Polonią” – pisał Aleksander Donat do Jerzego Borejszy. W dowód tego przytaczał, dobrze przyjęty przez liczną publiczność żydowską, odczyt Miłosza w Bostonie.⁸

Za katastrofę uznał Miłosz to, co stało się w Kielcach: „Obecnie jesteśmy krajem antysemitckiego terroru nr 1 i prawo do mówienia o okrucieństwach hitlerowskich jest nam przez to samo odejęte” (59). Ubolewał, że po pogromie kieleckim trudno by mu było wygłaszać odczyty o bestialstwach niemieckich w stosunku do Żydów w Europie i o stosunku rządu polskiego do Żydów, jak to wcześniej przedstawiał swym amerykańskim słuchaczom.

„Barometr tutejszy jest wrażliwy” – pisał. Każde polepszenie pozycji Polski daje w wyniku większą ilość zgłoszeń o informację, większą gotowość pomocy, pomnożenie pożytecznych kontaktów. I odwrotnie – takie wydarzenia jak w Kielcach przekreślają kapitał walki z hitleryzmem, stawiają Polaków na równi z Niemcami, „co prowadzi w dalszej perspektywie do zwiększenia sympatii dla »biednych Niemców«, którzy też mordowali, ale to było dawno” (60).

Dużo uwagi poświęcał Miłosz sprawie niemieckiej i jej obecności w amerykańskich opiniach, w których dawało się zauważyć przyrost proniemieckich nastrojów, zwłaszcza po przemówieniu F. Byrnesa w Stuttgarcie 6 września 1946 roku, podważającym trwałość i ostateczność polskiej granicy zachodniej. Pojawiły się głosy domagające się jej rewizji. Tej między innymi kwestii poświęcił Miłosz długi i wyczerpujący *Raport sytuacji* z września 1946 roku. Przedstawił w nim amerykańską politykę zagraniczną dotyczącą Polski. Przytoczył opinie ukazujące się w prasie amerykańskiej na temat problemów polsko-niemieckich. „Wschodnia granica Niemiec jest opłakiwana jako błąd i odstępstwo od Karty Atlantycznej. [...] Szczególnie »New York Times« prowadzi politykę puszczania balonów próbnych na temat rewizji zachodnich granic Polskich [...]. Z powołaniem się na »dobrze poinformowane źródła niemieckie« mówił o oddaniu Niemcom Pomorza i Szczecina” (71).

„Najbardziej psują nam Niemcy, którzy obsadzają tu wszelkie stanowiska związane ze sztuką, przy czym Żydzi niemieccy kryją nazistów” – pisał do Jarosława Iwaszkiewicza.⁹

Do szerokich rozmiarów rozwinął szczegółową analizę sytuacji politycznej w Stanach Zjednoczonych. Była ona wartościowa, obfitowała we wnikliwe i ważne spostrzeżenia szczegółowe. Nie spotkała się jednak z należytych uznaniem. Z Centrali nadeszło coś w rodzaju reprimendy datowanej 5 października 1946 roku:

„Otrzymaliśmy raport sytuacyjny Attachatu [...] Muśmy niestety stwierdzić, że raport ten odbiega znacznie od raportów, jakie zwykli przysyłać attache kulturalni. Nie ma tam ani słowa o istocie pracy Attachatu, o czynnościach przezeń wykonywanych, o spotkaniach ze sfer literackich i naukowych. Raport ten nie obejmuje zupełnie charakterystyki nastrojów, pracy kulturalno-oświatowej prowadzonej wśród Polonii Amerykańskiej. Raport ten nie obejmuje zupełnie sprawy propagowania kultury polskiej na terenie Stanów Zjednoczonych.

Prosimy w przyszłości o przysyłanie nie tylko sprawozdań z nastrojów panujących w Ameryce, ale również sprawozdań z pracy Attachatu obejmujących sprawy, o których wspominałem na wstępie” (83).

Ten list do Miłosza podpisał wicedyrektor Departamentu Prasy i Informacji MSZ. Miłosz w odpowiedzi wyjaśniał, że raport o takim charakterze i treści sporządził na polecenie swoich przełożonych. A dodać trzeba, że w regularnie wysyłanych raportach bardzo dokładnie informował o szczegółach, konkretach, osobach.

Stałym motywem w raportach Miłosza było dopominanie się o przysyłanie do Stanów Zjednoczonych polskich książek i czasopism, opracowań o Polsce, albumów jej dotyczących. Duże było zainteresowanie nimi w środowiskach polskiej emigracji. Zabiegał o obecność w Stanach polskiej literatury współczesnej. Wielokrotnie upominał się u polskich wydawców o nadsyłanie nowości wydawniczych, o przysyłanie książek do tłumaczenia, manuskryptów sztuk teatralnych. Prowadził rozmowy z wydawcami amerykańskimi zainteresowanymi publikowaniem przekładów najnowszej literatury polskiej.

Jego wysiłki w tym zakresie przynosiły niewielki skutek. W raportach często powtarzają się skargi w rodzaju: „Nawiązanie kontaktów z firmami wydawniczymi i bibliotekami w Polsce jest bardzo utrudnione” (89). „Niestety dopływ książek z Kraju do Stanów jest minimalny, za co odpowiedzialność ponoszą instytucje mające prawo eksportu książek, w danym przypadku [dla polskiej księgarni w Chicago] Oddział Zagraniczny »Czytelnika«, a żadne błagania nie pomagają” (99).

Niezależnie od meldunków służbowych ślanych do MSZ, zwracał się również do Jerzego Borejszy z prośbą o pomoc w otrzymywaniu polskich wydawnictw. Podawał mu w odpowiedniej kolejności tytuły czasopism, przydatne szczególnie z punktu widzenia propagandowego. Na pierwszym miejscu wymieniał „Twórczość” („Jest najlepszym materiałem propagandowym i której ciągle jest mało”¹⁰). W dalszej kolejności – „Przekrój”, „Tygodnik Powszechny”, „Odrodzenie”. Zwracał się o przysyłanie mu książek Iwaszkiewicza, Dygata, Brezy, Andrzejewskiego, Sandauera, Żukrowskiego, Szmaglewskiej. Chciałby doprowadzić do wydania w Nowym Jorku tomu polskiej prozy. „Mam nawiązane stosunki z wydawcami, którzy zdradzają ogromne zainteresowanie produkcją polską” – pisał do Jerzego Andrzejewskiego 1 kwietnia 1946 roku.¹¹

¹⁰ *Na rogu Stalina i Trzech Krzyży...*, jw. s. 278.

¹¹ *Zaraz po wojnie...*, jw., s. 35. Rezultaty tych starań nie były imponujące. Skarżył się J. Andrzejewskiemu: „Niestety, mimo że pisałem do Borejszy – mam puste ręce. Nie dostałem ani Twojej książki, ani Gojawczyńskiej, ani Szmaglewskiej, ani Brezy, ani Dygata. Nie przesłano mi ani jednego egzemplarza moje książki – przypadkiem ktoś przywiózł jeden do Londynu. Bardzo to źle. Chyba w interesie literatów leży trafienie na rynek zagraniczny? Liczę na Ciebie, że zrobisz gwałt”.

⁸ *Na rogu Stalina i Trzech Krzyży...*, jw., s. 122.

⁹ *Zaraz po wojnie...*, jw., s. 180.

Niewątpliwie dużym sukcesem Miłosza było doprowadzenie do urządzenia w New York Public Library wystawy polskiej książki powojennej. Otwarta 3 maja (!) 1947 roku w głównym budynku biblioteki przy Piątej Alei pod nazwą „Post-war Poland, 1945-47, an Exhibition of Polish Books and Photograph”, czynna była do końca czerwca. Odwiedziło ją ok. 20.000 osób. Miłosz otrzymał z Biblioteki list tej treści:

„Teraz, kiedy wystawa jest prawie zakończona, muszę Panu powiedzieć, że był to sukces. Według oficjalnej oceny, która nie jest ostateczna, wystawę zwiedziło od 17.000 do 20.000 osób (pomiędzy 3 maja a 23 czerwca). Otrzymałem wiele pochwalnych słów od polskich i nie polskich zwiedzających” (119). Dalej była wyrażona nadzieja, że odtąd nastąpi szerszy dopływ polskich książek i broszur do Biblioteki.

Dzięki dobrym stosunkom z dyrektorem American Book Center poszły do Polski, na adres Biura Wymiany przy Bibliotece Narodowej w Warszawie 374 skrzynie książek. Informując o tym Centralę, dodawał: „Trudność polega na tym, że dotychczas nie nadeszły żadne potwierdzenia odbioru (mimo depesz Ambasady)” (52).

Krytykował cenzurowanie listów wysyłanych z Ameryki do Polski i opieczętowywanie ich znakiem cenzury, co powoduje długie ich dochodzenie do rąk adresata. Za przykład godny naśladowania (czyli to parokrotnie w różnych sytuacjach) dawał postępowanie władz czeskich. Tam listy dochodziły szybko i bez pieczętki cenzury.

„Najbardziej haniebne jest, że nie można stąd posyłać książek i czasopism pocztą – jacyś szkodnicy starają się w Polsce wydawać rozporządzenia uniemożliwiające przesyłanie z zagranicy druków, jakby w tych drukach diabli wiedzą jakie były wywrotowe hasła”.¹²

Kiedy informował o tym, co o Polsce i o Polakach pisze prasa amerykańska, przywoływał jej opinie o Czechosłowacji, przeciwstawiając je obrazowi naszego kraju:

„Czechosłowacja jest tu uważana za kraj demokratyczny, zwycięstwo lewicy przypisywane jest woli narodu czeskiego i na ogół Czechosłowacja wyłączana bywa z oskarżeń o »Żelaznej Kurtynie«. Podkreśla się harmonię, jaka panuje w narodzie czeskim i przeciwstawia się ją polskim walkom bratobójczym. Jest to stały temat korespondentów »New York Timesa«” (52).

Jednym z zadań Miłosza było informowanie kraju o kulturze i literaturze amerykańskiej. Nadsyłał do polskich tygodników i miesięczników własne przekłady poetów amerykańskich, eseje o ich twórczości, artykuły informujące o życiu kulturalnym i literackim w Stanach Zjednoczonych. Kilkakrotnie powtarzał postulat utworzenia na jednym z polskich uniwersytetów katedry, która by się tym zajmowała.

Tę rolę pełniło mu się coraz trudniej w związku z narastającym napięciem politycznym, z nastawieniem antyamerykańskim w polityce prowadzonej przez cały blok państw socjalistycznych zależnych od Związku Radzieckiego. „Nastawienie anty-amerykańskie w Polsce – pisał – jest dla nas za granicą bardzo niewygodne” (130). Chciałby, chociażby w pewnym stopniu, uniezależnić sprawę kultury od polityki bieżącej. Jego raporty dowodzą, że tu spotykał się z odmiennym stanowiskiem polskich władz, przed którymi musiał bronić swego punktu widzenia.

„Prowincjonalizm polski prowadzi do licznych błędów, które zaostrzają i tak zaognione stosunki z Ameryką. Jeżeli się nie oddzieli wyraźnie zagadnień kulturalnych od fluktuacji w stosunkach z jakimś państwem – nigdy nie będzie wyjścia z impasu. Przeciwnie, w momentach napięcia trzeba by podkreślić, że te napięcia w żadnym stopniu nie wpływają na stosunki kulturalne. Amerykanie, którzy są młodym kulturalnie narodem, są na to czuli. Nie kosztowałoby to nas wiele, a przeciwnie, znajomość cywilizacji amerykańskiej byłaby pożyteczna” (130).

Nie podobał mu się napastliwy ton prasy polskiej piszącej o Ameryce i wykreślanie z artykułów zwrotów przychylniejszych o tym kraju. Zapewne miał tu na myśli i własne przygody z cenzurą. „Jako attaché kulturalny – pisał przekonany o słuszności swego stanowiska – nie mogę być zwolennikiem wytwarzania zadrażeń przez czynienie czy zaniechanie tam, gdzie można ich uniknąć, co w niczym nie osłabia bezkompromisowości w sprawach polityki” (130-131).

Udawało się Miłoszowi przełamywać lody dzielące go od ważnej instytucji polonijnej, jaką była (i jest) Fundacja Kościuszkowska. Nawiązał kontakt z jej założycielem i – wówczas – dyrektorem, wybitnym działaczem polonijnym, Stefanem Mierzwą. Został przez niego zaproszony na uroczyste otwarcie gmachu Fundacji. („Obecnie Fundacja ma własny dom w New Yorku, jedną z najładniejszych starożytnych budowli w pobliżu 5 Avenue i jest jedną z najbardziej reprezentacyjnych instytucji tego rodzaju utrzymywanych nieraz przez rządy różnych państw” (93). Obecność Miłosza na tej uroczystości i jego długa rozmowa ze Stefanem Mierzwą stała się powodem ostrych ataków na dyrektora Fundacji w prasie polonijnej. Oskarżano go o współpracę z komunistami. Miłosz informował Centralę: „Ostatnio Mierzwa był gwałtownie zaatakowany przez prasę polską za współpracę ze mną. Podobno ma zamiar się ukorzyć” (87).

Istotnie Mierzwa, zmuszony do tego przez naciski ze strony Polonii oświadczył publicznie, że zaproszenie do Miłosza zostało wysłane przypadkowo. W rozmowie prywatnej z poetą tłumaczył się, że nie miał innego wyjścia. Mierzwa był mocno uzależniony od Polonii amerykańskiej, na jej wsparciu finansowym opierało się istnienie i działalność Fundacji. Toteż za duży sukces Miłosza i za dowód mądrości oraz zalet charakteru Stefana Mierzwę uznać trzeba fakt, że podkreślając całkowitą apolityczność, zachowując wobec Ambasady Polskiej najdalej idącą rezerwę, wbrew wrogiemu stosunkowi Polonii do rządu w Warszawie, Fundacja rozpoczęła akcję pomocy dla Kraju, zaopatrywania polskich uniwersytetów w książki naukowe, zapraszania polskich studentów na studia w Ameryce, polskich profesorów z odczytami, co Polonia przyjmowała „ze zdumieniem i z wyraźnym niesmakiem” (94).

Zdarzało się, że dobry zamiar, realizowany z niemałym nakładem starań ze strony Miłosza kończył się fiaskiem z powodów leżących po stronie polskiej. Tak było w przypadku Międzynarodowej Konferencji Nauczycieli w sierpniu 1946 roku w Edincott, w stanie Nowy Jork, uważanej za najważniejsze wydarzenie w świecie pedagogicznym po wojnie. Miała znaczny wpływ na funkcjonowanie UNESCO. Miłosz zadbał, by mogła wziąć w niej udział delegacja Związku Nauczycielstwa Pol-

12 W liście do J. Andrzejewskiego. *Zaraz po wojnie...*, jw., s. 34.

skiego. Na jej powitanie przybyli nauczyciele ze stanu Wisconsin, by objąć opiekę nad polską delegacją i pełnić wobec niej rolę gospodarza. Tymczasem Miłoszowi przyszło tylko oznajmić, że polscy delegaci nie przybyli.

Z wysłanymi do Polski książkami też było różnie. W raportach dyplomatycznych Miłosza znajdziemy i taką notatkę: „Sprawa, która rzuca cień na pomoc dla Polski, to sprawa transportów książek, które leżą nie rozpakowane w Bibliotece Narodowej, podczas gdy my tutaj podnosimy hałas, że pomoc w książkach jest niezwykle pilna” (136).

W nawiązywaniu kontaktów ze środowiskiem naukowym pomocna była datująca się jeszcze z czasów wileńskich znajomość z prof. Manfredem Kridlem, który po wojnie przebywał i wykładał w Stanach Zjednoczonych¹³. Dzięki pomocy i pośrednictwu Kridla doszło do wysłania do Polski trzech dużych skrzyń z książkami, zaproszenia z Polski kilku profesorów z odczytami, a co najważniejsze – do utworzenia na Columbia University w Nowym Jorku katedry poświęconej kulturze i literaturze polskiej.

By do tego doprowadzić, trzeba było pokonać kilka przeszkód. Po pierwsze spowodować, by rząd polski udzielił poparcia dla tej idei („Tak jak studia czeskie popiera rząd czeski” (90) i znalazł na to odpowiednie fundusze. Po wtóre – uzyskać zgodę władz amerykańskich na utworzenie placówki sponsorowanej przez polski rząd. Tu stanowcze sprzeciwy zgłaszała Kongres Polonii Amerykańskiej. Prezydentowi Eisenhowerowi, który mimo tych sprzeciwów zgody udzielił, zarzucano uleganie wpływom komunistycznym. Komunistę upatrywano również w osobie Manfreda Kridla, popieranego przez polskie władze na stanowisko kierownika polskiej katedry. „Z Kridlem – pisał Miłosz w raporcie – odbyłem bardzo zasadniczą rozmowę polityczną na temat ścisłej współpracy z nami”.

Wszystkie przeszkody udało się pokonać. Na Columbia University w Nowym Jorku powstała katedra obejmująca swą działalnością szerszy zakres niż tylko literatura i filologia. Otrzymała nazwę Katedra im. Adama Mickiewicza. Jej otwarcie połączono z uroczystościami 150-lecia urodzin poety. Wykłady Manfreda Kridla dotyczące folkloru słowiańskiego, powieści polskiej XIX wieku, historii ruchów umysłowych w Polsce ze szczególnym zwróceniem uwagi na pozytywizm, rozpoczęły się 28 września 1948 roku. Lektorem języka polskiego został Ludwik Krzyżanowski. Listy gratulacyjne na ręce Manfreda Kridla napłynęły m. in. od Polskiej Akademii Umiejętności, Uniwersytetu Jagiellońskiego i od wnuczki Poety, Marii Mickiewicz.¹⁴

Było to ważne dzieło Miłosza i duże wydarzenie w jego działalności dyplomatycznej. Poza szczegółami zawartymi w służbowych raportach wracał do tej sprawy w listach do kilku adresatów. Do Jarosława Iwaszkiewicza: „Dużo zabawy było z utworzeniem katedry Adama Mickiewicza (kultury polskiej) na Uniwersytecie Columbia. [...] Okropna była awantura w tutejszej prasie polskiej, że to niby skandal, żeby Columbia, której prezydentem jest Eisenhower, współpracowała z bolszewikami i tworzyła katedrę im. Mickiewicza, »którego dzieła

są zabronione w Polsce«. Najbardziej dostało się Manfredowi Kridlowi, który obejmuje tę katedrę od jesieni. Jest on tutaj nazywany »bolszewikiem nr 1« [...] Kridl, jak wiesz, jest poważną pozycją naukową. Bardzo to zabawne, jak z niedużej rzeczy zrobiła się cała burza tutaj w Ameryce, oczywiście z przypisywaniem niestęchającej demonicznej przebiegłości i demonicznych intencji »lokajom Moskwy«. Rzekomo to Moskwa nam kazała. Śliczne rzeczy!! Tak biedaczka troszczy się o studia polskie”¹⁵.

I do Jerzego Andrzejewskiego:

„Utworzyła się katedra kultury polskiej im. Adama Mickiewicza na Uniwersytecie Columbia, to już trzy miesiące trwają wrzaski w prasie, że Manfred Kridl, który tę katedrę objął, jest »czerwony«. Prym wiedzie prasa polonijna, zamiast, idioci, płakać z radości. Nie mówiąc już o takich epitetach, jak »poetycki piewca bierutowszczyzny Miłosz«”¹⁶.

I jeszcze cytata z *Abecadła*: „Katedry literatury polskiej nigdy w Ameryce nie było i oto ja, zdrajca, czyli kolaborant, mam okazję, żeby ją stworzyć – wbrew całej Polonii, która patriotycznie deklamowała, ale nigdy na taki czyn się nie zdobyła”¹⁷.

Zabiegał o sprowadzenie polskich pisarzy do Stanów Zjednoczonych. „Ciągle myślę – pisał do Jarosława Iwaszkiewicza – jakby tu sprowadzić literatów polskich. Ostatnio napisałem ogromny memoriał w tej sprawie do Commission for International Educational Reconstruction. Za kilka dni będę u prezydenta Rockefeller Foundation – tam też spróbuję to rzucić. Nie tracę nadziei”¹⁸.

W 1948 roku przypadła 150. rocznica urodzin Adama Mickiewicza. Miłosz zainicjował i doprowadził do realizacji liczne elementy obchodów tej rocznicy. Była ona istotnie bardzo ładnie i uroczystie obchodzona. Ukazał się specjalny numer „Poland of Today” poświęcony poecie, w Chicago odbyła się okazja akademii z długim przemówieniem Miłosza („Na tejże akademii słyszałem recytację *Ody do młodości* taką, jak za naszych babek”¹⁹), opublikował artykuł *Mickiewicz and Modern Poetry* w „The American Slavic and East European Review”, zabiegał o publikację interpretującą twórczość Mickiewicza w duchu „rzeczowej, marksistowskiej metodologii” dla pisma „Science and Society”. Zwracał się z tym – daremnie – do Mieczysława Jastruna. Po jego odmowie szukał pomocy u Borejszy, który nakłonił do napisania takiego studium Andrzeja Stawara²⁰. Wracał wspomnieniem do Mickiewiczowskich starań w *Abecadle*: „Z Kridlem i z Józefem Wittlinem pracowaliśmy nad książką mickiewiczowską po angielsku, które to sympozjum, pióra różnych autorów, pod redakcją Kridla, subsydiowane przez ambasadę, ukazało się nie w rocznicowym 1948 roku, ale z opóźnieniem, w 1951”²¹.

15 *Zaraz po wojnie...*, jw. s. 184-185 i 191.

16 Tamże, s. 80.

17 *Abecadło...*, jw., s. 189.

18 *Zaraz po wojnie...*, jw., s. 160. Zachęcał też amerykańskich pisarzy do odwiedzenia Polski. „Chciałbym, żeby na początek przynajmniej amerykańscy pisarze pojechali do Polski. Tgornon Wilder napisał mi, że rozmawiał z Dos Passosem i że ten pojechałby”. (Czesław Miłosz, Jarosław Iwaszkiewicz, Portret podwójny. Wykonany z listów, wierszy, zapisków intymnych, wywiadów i publikacji. Wybór tekstów, ich układ i redakcja Barbara Toruńczyk. Opracował i przypisał opatrzył Robert Papieski, Warszawa 2011, s. 138.

19 Słowa z listu do Ryszarda Matuszewskiego, *Zaraz po wojnie...*, jw., s. 420.

20 Zob. *Na rogu Stalina i Trzech Krzyży...*, jw., s. 286.

21 Czesław Miłosz, *Abecadło*, Kraków 2001, s. 191.

13 Więcej o kontaktach Miłosza z amerykańskimi intelektualistami zob. Andrzej Franaszek, *Miłosz. Biografia*, Kraków 2011, s. 409-420.

14 O okolicznościach powstawania polskiej katedry w Nowym Jorku i relacjach Czesława Miłosza z Manfredem Kridlem zob.: Czesław Miłosz, *Mój wileński opiekun. Listy do Manfreda Kridla (1946-1955)*, Toruń 2005.

Wygłaszał wiele odczytów o współczesnej literaturze polskiej. Tłumaczył na angielski polskich poetów. Między innymi Tadeusza Różewicza. Na kanwie jego utworów mówił w Smith College „o wewnętrznych doświadczeniach europejskich pisarzy”.²² Wygłaszał odczyty dla żołnierzy amerykańskich. Zwierzał się Iwaszkiewiczowi: „Wygłaszam dużo odczytów po angielsku, bardzo to dobre dla ambasady, ale wcale nie tak dobre dla mnie”.²³ „Język polski odpada, gdyż tutejsza Polonia jest na poziomie jaskiniowym”.²⁴

Sukcesem w dziedzinie prezentowania w USA polskiej sztuki była wystawa wzornictwa przemysłowego Wandy Telakowskiej w kilku miastach amerykańskich oraz wielka wystawa polskiej sztuki ludowej i przemysłu artystycznego w National Collection of Fine Arts, Smithsonian Institut w Waszyngtonie, prezentowana także w dziesięciu muzeach amerykańskich.

Zyskiwał przeto Miłosz dobrą opinię u swych przełożonych. I sekretarz Ambasady Polskiej w Waszyngtonie tak scharakteryzował jego zalety (jak i pewne ułomności):

„Attaché dla Spraw Kultury. Jest pracownikiem wybitnie na miejscu i prawdziwym znawcą zagadnień kulturalnych. Nie jest typem urzędnika i w pracy zespołowej wymaga kontroli, inaczej łatwo wyłamuje się z trybu pracy. Duża zdolność kontaktów i przemawiania. W pracy politycznej musi być jeszcze kontrolowany, ze względu na poetycką łatwość odbiegania od konkretów – wyrabia się jednak z każdym dniem. Jest specjalnie dopasowany do terenu amerykańskiego, jednak zainteresowania jego są szerokie. [...] Wykorzystanie jego pracy zależy bardziej od osoby jego szefa i przy każdym dobrym kierownictwie Miłosz jest dobrym pracownikiem w swym zakresie” (14).

Przełożony Miłosza, ambasador RP w Stanach Zjednoczonych, Józef Winiewicz, w wystawianej mu w czerwcu 1948 roku opinii służbowej pisał o jego służbowej rzetelności, błyskotliwej inteligencji, dużym poziomie etycznym, podkreślając, że jest „godny zaufania” (16). W wydanych po latach wspomnieniach zanotował: „Miłosz pracował zresztą dla ambasady dobrze i wydajnie. Nawiązywał stosunki ze środowiskami apolitycznymi. Zawarł masę znajomości na uniwersytetach i wśród literatów”.²⁵

* * *

Czesław Miłosz pracował w charakterze attaché kulturalnego w Konsulacie Generalnym RP w Nowym Jorku (luty – październik 1946), następnie (do września 1950 roku) w Ambasadzie RP w Waszyngtonie. Raporty dyplomatyczne wysyłane przez niego ze Stanów Zjednoczonych do Warszawy dowodzą, że był on nie tylko lojalnym wobec władz Polski Ludowej urzędnikiem państwowym, ale również z osobistym, intelektualnym

i emocjonalnym zaangażowaniem działań na rzecz jej racji stanu. Przekonywał o konieczności i słuszności dokonywanych w Polsce reform społecznych i kulturalnych, dążył do pozyskania swych rozmówców dla polskiej sprawy, skutecznie popularyzował polską kulturę w Stanach Zjednoczonych, nawiązał pożyteczne kontakty z przedstawicielami amerykańskiego świata kultury i nauki, poszerzał znajomość literatury amerykańskiej wśród polskich czytelników.

Jego raporty odznaczały się otwartym szczerym stylem. Miłosz nie uprawiał w nich autocenzury. Nie ukrywał swoich krytycznych opinii o niektórych posunięciach polskich władz, czy o sytuacji międzynarodowej, co odnosiło się także do ZSRR. „Ja nie uprawiałem podwójnej gry” – napisał o sobie jako o dyplomacie.²⁶ Zajmował pozycję „lojalnego ironisty”. Co to miało znaczyć – wyjaśniał w liście do Jerzego Borejszy:

„Myślę jednak, że zrozumie Pan moją postawę i r o n i c z n e j l o j a l n o ś c i. Chciałbym, żeby było na nią miejsce w naszym kraju i wszędzie, gdziekolwiek ludzie chcą coś naprawdę zrobić. Psioczyć, a równocześnie kochać robić – to bardzo polska cecha, na pewnym planie to może być jednak wcale zdrowa postawa. Mówię o lojalności wobec rozwiązań, które na pewno są niedoskonałe, ale jedynie możliwe”.²⁷

Taka lojalność, podszyta ironią (nieodłącznie towarzyszącą inteligencji) nie mogła zyskiwać uznania ówczesnych władców Polski, zwłaszcza w świetle tych przemian politycznych, które od 1948 roku następowały w naszym kraju, jak i w całym obozie państw socjalistycznych. Zdecydowano dwustopniowo (przez Paryż) odwołać Miłosza ze służby dyplomatycznej.

W 1950 roku zaczyna się służbowa korespondencja z Miłoszem i w sprawie Miłosza, dotycząca jego przeniesienia z Waszyngtonu do Paryża, przekazywana (czego poprzednio nie było) do wiadomości Jakubowi Bermanowi.

Miłosz stawia opór, tłumaczy to stanem zdrowia żony, w końcu przystaje na wyjazd do Paryża z pozostawieniem rodziny w Ameryce.

Na posiedzeniu komisji przygotowującej listę odwołań z placówek dyplomatycznych zapadła decyzja w sprawie Miłosza uzasadniona opinią:

„Czesław Miłosz – II sekretarz Ambasady w Waszyngtonie. Człowiek całkowicie ideologicznie obcy. Po ostatnim pobycie w kraju [Miłosz był w Polsce latem 1949 roku i w grudniu 1950] ujawnił w swoich wypowiedziach wrogi i szkalujący stosunek do wszelkich przejawów życia w kraju. Żona – zaciekły wróg Związku Radzieckiego”.²⁸

Miłoszowi udaje się jeszcze odzyskać zatrzymany paszport, wyjechać do Paryża. 1 lutego wystąpił o azyl w Francji. Schronienie znalazł u Jerzego Giedroycia, w siedzibie „Kultury”, w Maisons-Laffitte.

W *Roku myśliwego* Miłosz zanotował: „Dużo myślę o niebyle jakim temacie, o zbadaniu mojego pobytu w Ameryce w latach 1946-1950”.²⁹ Opublikowanie *Raportów dyplomatycznych* umożliwia opracowanie tego „niebyle jakiego” tematu.

MARIAN STĘPIEŃ

26 Czesław Miłosz *Rok myśliwego*, Paryż 1990, s. 125.

27 *Na rogu Stalina i Trzech Krzyży*, jw., s. 289.

28 Cyt. za: E. Pasierski, *Miłosz i Putrament...*, jw. s. 214-215.

29 *Rok myśliwego...*, jw., s. 118.

22 Zob. list do T. Różewicza w *Zaraz po wojnie...*, jw. na s. 504: „Zacytowałem niektóre pańskie wiersze. Wiersz *Lament* przełożyłem na angielski w całości, wiersz *Oczyszczenie* prawie w całości. Były to jedyne cytaty poezji, jakich użyłem w odczycie”.

23 *Zaraz po wojnie...*, jw., s. 151.

24 W liście do J. Andrzejewskiego, tamże, s. 79. A w liście do J. Iwaszkiewicza: „No i mam pewne sukcesy, swoje skromne odczytowo-przyjaźniowe. Nie mówię oczywiście o Polonii, która jest ponurym dnem. Coś w rodzaju wielkiego zbiorowiska szynkarzy z Radomia, może bardzo porządnymi ludźmi, ale tępszymi niż ci sami w kraju. Miałem zresztą przemówienia bardzo wzruszające, umiem to robić, ale nie znoszę” (tamże, s. 142-143).

25 Józef Winiewicz, *Co pamiętam z długiej drogi życia*, Poznań 1985, s. 428.

BOLESŁAW FARON

Z PIEKŁA RODEM

O Józefie Oleksym

Taki miał być pierwotnie tytuł książki biograficznej Jerzego Leśniaka o Józefie Oleksym. Akceptował go – jak się zdaje – sam zainteresowany, żartując, że skoro przyszedł na świat w tak nazywanej dzielnicy Nowego Sącza, to musiał się znaleźć w tym politycznym piekle, jakoś się z niego wydostać, przejść przez czyściec, by wrócić do normalnego życia. Ostatecznie pozycja ta otrzymała tytuł zaczerpnięty z wiersza Cypriana Kamila Norwida z 1857 roku pt. *Człowiek: Choć po lewicy, a wszelako prawy...*¹ Podobno sugerowanemu wcześniej tytułowi sprzeciwiała się rodzina, a ponadto Oleksy nie urodził się – jak się tutaj mówiło – „na Piekło”, ale tuż przy jego granicy w dzielnicy Przetakówka. Książka nosi podtytuł *Józef Oleksy 1946-2015* i ukazała się w serii Biblioteka „Rocznika Sądeckiego” obok takich m.in. pozycji, jak Leszka Migręły *Ratusz w Nowym Sączu* (2009), Sławomira Tabkowskiego *„Wiadomości Sądeckie” Studium historyczno-prasoznawcze* (2013), Zbigniewa Rysia *Wspomnienia Kuriera* (2013), Roberta Krzysztofa Tabaczewskiego *Adwokaci Nowego Sącza do 1945* (2014) oraz Adama Śladnickiego *Wspomnienia w wyborze i opracowaniu Józefa Długosza* (2015). Redaktorem jest Feliks Kiryk, a wydawcą prezydent Miasta Nowego Sącza Ryszard Nowak (PiS), sąsiad z ul. Zdrojowej.

Jerzy Leśniak, wieloletni dziennikarz, pracownik Wydziału Kultury i Sportu Urzędu Miasta jest znakomitym kronikarzem życia Nowego Sącza, autorem m.in. *Encyklopedii sądeckiej* (wraz ze swoim ojcem, 2000), *Panoramy kultury sądeckiej*, współpraca Sławomir Sikora (2008), książki *101 Sądeczan* (2012), *100 lat sądeckich wodociągów* (współpraca Leszek Migręła) (2012). Jego monumentalne publikacje wskazują, że posiada ogromną wiedzę na temat swojego miasta, ludzi z nim związanych. Był zatem doskonale przygotowany do zajęcia się biografią Sądeczanina. Nadto z Józefem Oleksym łączyła go kilkudziesięcioletnia znajomość, która potem przerodziła się w przyjaźń. W książce tej przecinają się niejako dwie perspektywy: historyczna, udokumentowana wyimkami wypowiedzi polityków, artykułami prasowymi i osobista, wspomnieniowa. Dzięki temu otrzymaliśmy żywy, barwny portret nie tylko polityka, ale przede wszystkim człowieka.

„Niniejsza publikacja – pisze Leśniak – nie aspiruje do wyczerpującej biografii Józefa Oleksego i unika wszechstronnego wgłębiania się w rozmaite uwikłania i konteksty historii najnowszej Polski z jego udziałem. Nie pomijając, rzecz jasna, wydarzeń i uwarunkowań z zapoczątkowanej w latach osiemdziesiątych kariery publicznej, koncentruje się bardziej na sądeckich wątkach jego życia, osobistych relacjach z rodzinnym miastem, z ludźmi z tego regionu.” (s. 5).

Józef Oleksy nie pozostawił po sobie – jak wielu współczesnych polityków – autorskiej książki, autobiografii, podsumowania swoich poglądów politycznych czy wywiadu rzeki, choć takie prace w ostatnich latach życia podejmował. W 2005 roku zaczął szkicować wraz z Jerzym Leśniakiem podsumowanie własnego życia i działalności. Nie zdołał jednak tej autobiografii ukończyć. Dysponował tekstem obszernego wywiadu, jaki w latach dziewięćdziesiątych przygotowali dla wydawnictwa BGW dziennikarze „Gazety Wyborczej” Witold Beres i Jerzy Skoczylas. Nie ukazał się on drukiem, gdyż Oleksy nie był w pełni usatysfakcjonowany jego kształtem i „wykupił” maszynopis od autorów. Podjął też próbę napisania książki z red. Przemysławem Cwiklińskim. Ten zamysł również nie został ukończony. Pod koniec życia postanowił ten obszerny, ale rozdrobniony materiał uporządkować, ukończyć i uzupełnić. Książka została przygotowana do druku, opracowana przez Sławomira Sikorę. Miała się ukazać wraz z tzw. *Alfabetem Oleksego* w sądeckim wydawnictwie Goldruk. Nie ujrzała jednak światła dziennego. Leśniak wspomina, że Józef Oleksy, jako perfekcjonista „stałe dokonywał pedantycznych poprawek, rozbudowywał ważne dla siebie wątki i inne wykreślał, dopisywał i zmieniał kolejne wersje maszynopisu” (s. 6). Nieustannie poszukiwał odpowiedzi na pytanie: „dlaczego właśnie jego spotkało tyle publicznych i nieuczciwych ataków w ciągu ostatnich 20 lat?” Ponownie podjął próbę spisania wywiadu rzeki wraz z zaprzyjaźnionymi redaktorami Janem Ordyńskim i Wojciechem Czuchnowskim. Do realizacji tego pomysłu również nie doszło, tym razem z powodu choroby.

Przytoczyłem tutaj historię zmagania Józefa Oleksego z własnym życiorysem z dwóch co najmniej powo-

dów: po pierwsze – gdyż uświadamia, iż borykał się on z oceną własnych doświadczeń, ciągle miał wątpliwości co do ich ostatecznego kształtu, po wtóre – bo materiał ten, przynajmniej w części wykorzystał Jerzy Leśniak w książce o Premierze i Marszałku.

Przypomnijmy – choć w maksymalnym skrócie – drogę życiową, działalność organizacyjną, postawę i poglądy Józefa Oleksego, od sądeckiego rodowodu poczynając.

Dzieciństwo i edukacja szkolna

Józef Oleksy urodził się 22 czerwca 1946 roku w Nowym Sączu jako syn Józefa i Michaliny z domu Waśko. Ojciec był stolarzem. Ukończył szkołę zawodową w zakresie stolarstwa artystycznego i meblowego. Pracował w spółdzielni „Twórczość” jako brygadzysta i w swoim prywatnym zakładzie. Matka prowadziła dom, w którym – jak pisze Leśniak – „panowały ponadprzeciętne rygory: dyscyplina, poszanowanie tradycji, pobożność, arcywrogi stosunek do alkoholu” (s. 11). W 1953 roku Oleksy rozpoczął naukę w Szkole Podstawowej nr 3 im. Jana Kochanowskiego. Ten okres w życiu przyszłego Premiera autor szczegółowo dokumentuje m.in. wspomnieniami kolegów. Zwraca też uwagę na solidne wychowanie religijne młodzieńca (ministrantura w kościele parafialnym pw. św. Małgorzaty). Toteż po ukończeniu szkoły podstawowej – zgodnie z marzeniem matki – w 1960 roku został zapisany do Małego (Niższego) Seminarium im. bpa Leona Wałęgi w Tarnowie. Było to bardzo dobre liceum ogólnokształcące z uczniami umieszczonymi w internacie i codziennymi praktykami religijnymi. Dbano tutaj o naukę języków obcych i edukację w wydaniu przedwojennym. Oleksy należał do najlepszych uczniów. W 1963 roku kuratorium krakowskie rozwiązało szkołę za „niewłaściwe stosunki wychowawcze”. „Józef – pisze Leśniak – rok przed maturą wraz z kolegami otrzymał wilczy bilet. Licea w Nowym i Starym Sączu nie chciały go przyjąć, znalazł się w arcytrudnej sytuacji życiowej. [...] W końcu został przyjęty do I Liceum Ogólnokształcącego im. Kazimierza Brodzińskiego w Tarnowie [...]” (s. 25). Maturę ukończył w 1964 roku.

Autor biografii podkreśla, że Józef Oleksy przez wiele lat nie umiał rozsądzić, czy zostałby księdzem, gdyby nie pomógł mu minister Wacław Tułodziecki, którego rozporządzeniem zlikwidowano seminarium. Zwraca uwagę, że jeszcze w szkole przeżywał rozterki, wątplenia, które sygnalizował w rozmowach z księdzem rektorem, z jednej strony chciał być lojalny wobec matki, która wierzyła, że zostanie księdzem, z drugiej niejako instynktownie czuł, że nie jest to jego droga życiowa. „Ze stanu religijnej gorliwości – wspomina – przeszedłem w stan obojętności, nie wrogości. [...] Mam różne fazy poglądów, przemyśleń, wahań, wątpliwości [...]. Pasjonowała mnie transcendencja, czyli przemijanie, i ontologia, kwestia bytu [...]. Mnie bardzo przejął personalizm Emmanuela Mouniera” (wypowiedź w rozmowie z Robertem Mazurkiem w „Rzeczpospolitej 20 XII 2014).

Szkoła Główna Planowania i Statystyki w Warszawie. Działacz ZSP. Kariera partyjna

Po maturze Józef Oleksy postanowił studiować na Wydziale Handlu Zagranicznego SGPiS (dzisiaj Szko-

ła Główna Handlowa). Była to wówczas szkoła elitarna, otwierała możliwości podróży po świecie, cieszyła się dużym zainteresowaniem. W tym roku zdawało 10 kandydatów na jedno miejsce; było 5 pisemnych i ustnych egzaminów – z matematyki, geografii, historii i dwóch języków obcych. Egzaminy zdał i został przyjęty. Studiował z pasją, żył skromnie, ogromnie pracował. „Do trzeciego roku byłem zwykłym kujonem – wspomina po latach – który przyjechał się uczyć [...] koledzy pili wódę, palili papierosy, grali w karty. Mieszkaliśmy w pięcioosobowym pokoju, a ja do drugiej w nocy się uczyłem. Potem im nawet korepetycji udzielałem przed egzaminami” [„Magiel” (miesięcznik studentów) nr 126, XI 2011].

Intensywną naukę łączył z działalnością w Zrzeszeniu Studentów Polskich, został szefem rady na wydziale. Po wydarzeniach marcowych w roku 1968 z ramienia ZSP został rzecznikiem interesu prześladowanych studentów, bronił m.in. swego kolegę Michała Komara (później dziennikarz, pisarz, krytyk literacki). Leśniak tak tę aktywność ocenia: „... działalność w ZSP stała się początkiem aktywności politycznej i państwowej Józefa Oleksego. Związek, choć funkcjonujący w określonych rygorach ustrojowych, okazał się dobrą szkołą samorządu i nowoczesnego myślenia, a także kuźnią kadr i przyszłych socjaldemokratycznych liderów państwa spod znaku Ordynackiej (przy tej ulicy mieściła się Rada Krajowa ZSP)” (s. 33). Trudno się nie zgodzić z diagnozą Jerzego Leśniaka, jeżeli prześledzi się życiorys późniejszych działaczy partyjnych i państwowych, by z naszego krakowskiego podwórka wymienić choćby Hieronima Kubiaka.

Po ukończeniu studiów został asystentem Prawa Cywilnego i Handlowego Państw Obcych na Katedrze Prawa Międzynarodowego, mimo iż miał możliwości podjęcia kariery dyplomatycznej. W 1977 roku obronił pracę doktorską z ekonomii, jej tytuł *Umowa licencyjna w obrocie z zagranicą*, promotor doc. dr hab. Andrzej Całus. Rozpoczął pracę nad habilitacją o międzynarodowym systemie własności intelektualnej, której jednak nie ukończył. Pociągnęła go kariera partyjno-państwowa.

W 1969 roku Józef Oleksy wstąpił do PZPR jako animator, a potem przewodniczący Ogólnopolskiej Rady Młodych Pracowników Nauki. Leśniak przypomina, że działali w niej m.in. Danuta Hübner, Leszek Balcerowicz, Dariusz Rosati, Jerzy Kropiwnicki, Grzegorz Kołodko i Bogusław Liberadzki oraz późniejsi działacze „Solidarności” Jacek Merkel i Jan Szomburg. W książce Leśniaka znajduje się następujące uzasadnienie decyzji wstąpienia do partii:

„Wstąpienie do partii, wyjaśniane po latach »szczypłą oportunistu i konformizmu«, tłumaczył swoją naturą społecznika, chęcią robienia czegoś pożytecznego, a – jego zdaniem – w ówczesnych realiach tylko partia dawała takie możliwości. Może uwierzył, że PZPR stanie się formacją coraz bardziej pragmatyczną i ideologiczną, co nie musiało oznaczać wyrachowania czy bezideowości. Niemniej jednak przez pewien czas czerwoną legitymację ukrywał przed matką, wiedząc, że partii, jako nosicielki ateizmu nigdy w rodzinie nie zaakceptuje” (s. 35).

W 1977 roku Józef Oleksy podjął pracę w Komitecie Centralnym PZPR jako inspektor ds. edukacji ekonomicznej. Nie czuł się tutaj najlepiej. Wyszedł ze

środowiska naukowego, w którym przyzwyczajony był do swobodnej dyskusji, wymiany poglądów. W okresie rodzącej się „Solidarności” sympatyzował z tworzącymi się w partii tzw. strukturami poziomymi. Za udział w ich spotkaniu na SGPiS został wyrzucony z KC. Z pomocą przyszli Mieczysław Rakowski i Jerzy Urban, którzy przyjęli go do biura prasowego rządu.

„Po IX Zjeździe PZPR, kierując biurem Centralnej Komisji Rewizyjnej – pisze Leśniak – Józef Oleksy naraził się wydziałom KC, usiłując przeprowadzić w nich kontrolę realizacji – uważanych za reformatorskie – uchwał IX Zjazdu. [...] W tej sytuacji musiało dojść do przesilenia. W 1987 r. zesłano go na funkcję I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego do Białej Podlaskiej, liczącej wówczas zaledwie 50 tys. mieszkańców (województwo białkopodlaskie – ok. 300 tys.)” (s. 37).

Sekretarzem był nietypowym. Świadkowie tych czasów wspominają, że nie stronił od wizyt na plebaniach, z biskupem Janem Mazurem omawiał w Komitecie szczegóły wizyty papieża Jana Pawła II w ich terenie, był blisko ludzi. Toteż zyskał sobie tam wielu sympatyków, gdyż wprowadził nowy styl działania, nieznany na prowincji, nowe spojrzenie na politykę. Myślę, że to „zesłanie” Oleksego było dla niego dobrą szkołą życia, że przygotowało go do pełnienia później wysokich stanowisk państwowych.

...w III RP

Po raz kolejny pomocną dłoń Oleksemu podaje Mieczysław Rakowski w 1989 roku, powierzając mu stanowisko ministra ds. kontaktów ze związkami zawodowymi. Oleksy wraca do stolicy. Rzuca się w wir pracy: prowadzi wielotygodniowe negocjacje z „Solidarnością”, z protestującymi górnikami, nauczycielami, lekarzami i pielęgniarkami, konferuje z Lechem Wałęsą. Nawiązuje kontakty z Jackiem Kuroniem, Tadeuszem Mazowieckim, Bronisławem Geremekiem czy Lechem Kaczyńskim. Według autora biografii „Niewątpliwie należał do głównych strategów Okrągłego Stołu, tworząc obok Aleksandra Kwaśniewskiego i Andrzeja Gduli ze strony rządowej oraz Adama Michnika, Jacka Kuronia i Andrzeja Stelmachowskiego ze strony solidarnościowej – speckomisję ds. spornych” (s. 39–40).

W 1989 roku rozpoczyna się droga parlamentarna Oleksego. Wybrany w tym roku do Sejmu, będzie w nim nieprzerwanie do roku 2005. Ten polityczny awans w okresie transformacji i zażartych sporów ideologicznych Piotr Zaremba tłumaczy „tryumfem [jego] osobowości, gdy w cenie był występ na parlamentarnej trybunie i towarzyskie atuty”. Po wygranych w 1993 roku wyborach koalicji SLD i PSL (303 mandaty) funkcję premiera – jak wiadomo – objął Waldemar Pawlak, a marszałka Sejmu Józef Oleksy (w głosowaniu w klubie parlamentarnym otrzymał 136 głosów, Włodzimierz Cimoszewicz – 67). Wysoki wynik uzyskał również w sali sejmowej: 357 za, 22 przeciw, a 58 – wstrzymało się od głosu.

„Byłem niezwykle poruszony – wyzna po latach – w swoich myślach o przyszłości nie mogłem sobie wyobrazić, że to ja, chłopak z Przetakówki, z ulicy Zdrojowej w Nowym Sączu, stanę na podium Sejmu, obejmując największe i najbardziej godne po prezydencie kraju stanowisko. Oprócz satysfakcji i dumy, wybór



Wysokiej Izby budził we mnie wielką pokorę i niełomne pragnienie poświęcenia się całkowicie pracy, by dobrze wypełnić czekające mnie obowiązki” („Sądeczanin” nr 9, 2009). Funkcję tę pełnił z klasą według wyznaczonej zasady, że „rywal polityczny nie powinien być wrogiem osobistym. Można niewątpliwie forsować swoje własne poglądy, ale bez inwektyw, zajądłości. Polsce brakuje dobrego obyczaju współżycia na scenie politycznej, umiejętności dochodzenia do kompromisu bez zamykania sobie furtki. Nienawiść taką furtkę zatrzaskuje raz na zawsze, a przecież życie toczy się według kompromisów” („Gazeta Krakowska” nr 260, 1993).

Był aktywny w stosunkach międzynarodowych. Prezentował konkretnie kierunek proeuropejski, którego efektem miało być przyjęcie Polski do Unii Europejskiej i do NATO. Wszedł w osobiste relacje z czołowymi politykami europejskimi, odbył oficjalne podróże do Chin, Japonii, brał udział w spotkaniach szefów parlamentów europejskich.

W lutym 1995 roku w wyniku przesilenia w koalicji SLD i PSL został premierem RP. W jego rządzie znalazł się m.in. Władysław Bartoszewski jako minister spraw zagranicznych. Jako premier konferował z Borysem Jelcynem, Billem Clintonem, Helmutem Kohlem, Václavem Klausem. Jerzy Leśniak podkreśla, że „jako szef rządu przez 336 dni – mimo trudnej kohabitacji z prezydentem Lechem Wałęsą – chwalony był za koncyliacyjność, łagodzący konflikty styl sprawowania urzędu”. Nadto odnotowano przyrost PKB do 7 proc., dyscyplinę deficytu budżetowego, spadek bezrobocia, wypełnienie warunków ustalonych przez Unię dla kandydatów do tej organizacji. Autor biografii wylicza tych pozytywnych zjawisk więcej.

Kiedy wydawało się, że Józef Oleksy osiągnął na tym stanowisku pewną stabilizację, że w sposób ważny z sukcesem kieruje państwem, wybuchła znana afera Olina. Przypomnę, że 21 grudnia 1995 roku Józef Oleksy został z trybuny sejmowej oskarżony przez swojego ministra spraw wewnętrznych Andrzeja Milczanowskiego o kontakty z agentem KGB Władimirem Ałganowem. Sprawa ta była niezwykle agresywnie medialnie nagłośniona, obserwowaliśmy swoisty lincz na premierze i jego rodzinie, on czuł się bezsilny. Tak charakteryzuje ówczesną swoją sytuację:

„Jako człowiek nie dawałem wiary, że jest możliwe, że to naprawdę mogło się zdarzyć, ponieważ ta historia została poprowadzona w sposób tak niewiarygodnie agresywny i z taką determinacją w formułowaniu oskarżeń, że znając prawdę o swojej niewinności, nie mogłem inaczej niż ze zdumieniem odbierać tego wszystkiego [...] z zasmuceniem nad skalą nieprawości, jaka może mieć miejsce w Polsce” („Dziennik Polski” 23-26 XII 1996 r.).

W biografii Oleksego ta sprawa zostaje odnotowana szkicowo, nie zostały wyjaśnione przyczyny tej prowokacji. Podaje się tylko dwa stanowiska: Oleksego, który podejrzewa Wałęsę, że temu zależało na wywołaniu szoku struktur państwa i zneutralizowaniu zwycięstwa Aleksandra Kwaśniewskiego w wyborach prezydenckich i Jerzego Gwiżdża z Nowego Sącza, szefa sztabu wyborczego Wałęsy w wyborach prezydenckich w 1995 roku, który go broni, sugerując, że bardziej w sprawę mogą być zamieszani Miller i Kwaśniewski. Sygnalizuje też ewentualnie rosyjski ślad afery. Po trzech miesiącach, 21 kwietnia 1996 roku wojskowy prokurator płk mgr Stawomir Gorzkiewicz sprawę o domniemane szpiegostwo umorzył z powodu niestwierdzenia przestępstwa z art. 124 § 1 kk. Oleksu niczego nie udowodniono: „W listopadzie 1996 r. ukazała się *Biała Księga*, zawierająca akta śledztwa prowadzonego przez Prokuraturę Wojskową obnażająca jak stwierdził Oleksy, mechanizmy prowokacji z udziałem oficerów peerelowskiej bezpieki. Po miesiącu wyszło na jaw, że przypisywany Oleksu „Olin” był pseudonimem zupełnie innego agenta polskiego wywiadu” (s. 48–49).

Leśniak cytuje na końcu fragmenty przemówienia Małachowskiego na inauguracyjnej sesji Sejmu w 2001 roku:

„Premier polskiego rządu został bez jakiegokolwiek rzetelnej podstawy prawnej oskarżony o szpiegostwo. Nikczemnicy, którzy wysunęli to oskarżenie, zostali so wicie wynagrodzeni generalskimi stopniami. A gdy prokurator wojskowy tę podłą sprawę umorzył z braku jakiegokolwiek dowodów winy, nikt nigdy nie został ukarany za jawny fałsz nędznego posądzenia. (długotrwałe oklaski). Nikt również nigdy nie powiedział panu premierowi Oleksu choćby kilku słów przeprosin za podłość, jaka go spotkała” (s. 54). Po śmierci Oleksego Lech Wałęsa zdobył się na ten gest, wywołując wściekłość Andrzeja Milczanowskiego.

Józef Oleksy wraca do polityki na początku XX wieku. W 2003 roku został laureatem konkursu Mistrz Mowy Polskiej *vox populi*, w wyniku internetowego powszechnego głosowania. Dwukrotnie przewodził partii socjaldemokratycznej: Socjaldemokracji (od 28 I 1996 do 6 XII 1997), Sojuszu Lewicy Demokratycznej (od 18 XII 2004 do 29 V 2005). To on wprowadził ją do

Międzynarodówki Socjalistycznej. Po wyborach 2001 roku, kiedy zwyciężyła lewica, ani Leszek Miller, ani Aleksander Kwaśniewski nie widzieli dla niego miejsca w rządzie. „Z lidera partyjnego stał się liderem medialnym – pisze Leśniak – wewnętrznym recenzentem eseldowskiego rządu, recenzentem krytycznym, dystansującym się od kolegów zauroczonych dużym poparciem. Lewicowość była jego naturalną tożsamością, a nie przybraną rolą polityczną. W SLD nie było i nie jest to znowu takie częste. Dlatego miał kłopoty w tej partii, będąc bardziej człowiekiem wartości, a nie efektu politycznego” (s. 57).

W 2002 roku Leszek Miller proponuje mu stanowisko w rządzie. Zostaje, więc wicepremierem oraz ministrem spraw wewnętrznych i administracji (21 I 2002 – 21 IV 2004), a od 21 IV 2004 – I 2005 marszałkiem Sejmu RP. Zabiera się poważnie do roboty. W 2004 już, jako marszałek Sejmu wręcza w Strasburgu przewodniczącemu Parlamentu Europejskiego flagę Rzeczypospolitej Polskiej. Uważa się za współautora wejścia Polski do Wspólnoty Europejskiej. W grudniu 2004 roku sąd lustracyjny zarzucił mu zatajenie służby w wywiadzie wojskowym sprzed 30 lat. 31 I 2007 roku Sąd Najwyższy oczyścił z zarzutów sądu lustracyjnego, uznając Józefa Oleksego za kłamcę lustracyjnego i orzekł o ostatecznym umorzeniu – wszczętej w 1999 roku przez sędziego Bogusława Nizińskiego – sprawy. Tymczasem jednak został odsunięty z partii. Po odejściu z SLD w wyniku prowokacji z tzw. „taśmami Gudzowatego” został współpracownikiem Józefa Wojciechowskiego w firmie J.W. Construction Holding SA, wykładowcą w Szkole Głównej Handlowej i Akademii Finansów – jako kierownik Zakładu Międzynarodowych Stosunków Politycznych i Europeistyki.

Do SLD powrócił w lutym 2010 roku; przez jakiś czas pełnił nawet funkcję wiceprzewodniczącego. Był krytycznym obserwatorem życia partii, alarmował o degeneracji demokracji partyjnej, mówił o procesie oligarchizacji w partiach politycznych. W wywiadzie w „Trybunie” stwierdził: „obawiam się braku równowagi i harmonii, które są najlepszą podstawą do funkcjonowania państwa. Nie mamy równowagi społecznej. Nie ma harmonii w życiu publicznym” (27 XI 2004 r.). Pod koniec życia krytycznie oceniał rządy Platformy Obywatelskiej, oskarżał ją o „brak wizji i programu strategicznego dla Polski na najbliższe dwadzieścia lat”. Przewidywał zwycięstwo parlamentarne PiS-u. Zaufał propagandzie: „PiS się zmienia na korzyść. Partia Kaczyńskiego wyzbywa się fanatycznych wątków. Brak kwestii Smoleńskiej na konwencji PiS pokazuje, że partia Kaczyńskiego staje się ugrupowaniem rozsądnym i przewidywalnym” („Rzeczpospolita” 10 VII 2013 r.). Życie zweryfikowało te konstatacje Oleksego.

Powroty do sądeckich korzeni

Chociaż Józef Oleksy spędził w Nowym Sączu tylko kilkanaście lat swojego dzieciństwa i wczesnej młodości, to jednak przez całe swoje życie nad Dunajec i Kamienicę wracał, czy to w odwiedziny do rodziców, czy to na urlopy, czy wreszcie z okazji pełnienia funkcji przewodniczącego Klubu Przyjaciół Ziemi Sądeckiej i różnych uroczystości, na jakie był tutaj zapraszany w okresie sprawowania wysokich funkcji państwo-

wych. Swojego sentymentu do ziemi rodzinnej nie taił. W artykule *Moje powroty* („Sądeczanin” nr 6, 2009) wyznawał:

„Dla mnie region pochodzenia jest częścią mnie, a ja jego częścią. Coś, bowiem, co na początku drogi współkształtowało mnie, nazywało się Sądecczyzną. Nowy Sącz był i zawsze będzie dla mnie punktem odniesienia. Nie lubię sztucznego patosu, ale w stosunku do ziemi rodzinnej troszkę mu ulegam. Całkiem dobrowolnie chcę być sentymentalny, bo to mnie wzbogaca [...]. Nowy Sącz mojego dzieciństwa i wczesnej młodości stał się moim znakiem rozpoznawczym [...]. Ta moja mała ojczyzna ulokowała się trwale w moim sercu [...]. W swojej burzliwej karierze, kiedy na różnych szczeblach służyłem mojemu państwu, wspomnienia ziemi rodzinnej nieraz niosły ukojenie w zadumie nad własnymi początkami”.

Jerzy Leśniak szczegółowo relacjonuje te kontakty premiera i marszałka z małą ojczyzną, wskazuje na jego zasługi dla Sądecczyzny, na wspieranie różnych sądeckich inicjatyw i Sądeczan. Tak się złożyło, że od lat dziewięćdziesiątych ub.w. byłem świadkiem tych działań, gdyż od obchodzonego uroczystości jubileuszu 700-lecia miasta aktywizowano rodaków rozsianych po całej Polsce do lokalnej współpracy. Znalazłem się zatem w Komitecie Honorowym obchodów, w Komitecie Redakcyjnym „Rocznika Sądeckiego”, czy w Zarządzie Klubu Przyjaciół Ziemi Sądeckiej. Z Józefem Oleksym spotykałem się na zebraniach Zarządu Klubu, na Zjazdach Sądeczan, czy innych tego typu spotkaniach w Czarnym Potoku koło Krynicy, w „Perle Południa” w Rytrze, czy w Ratuszu w Nowym Sączu. Mogę tylko potwierdzić konstatację Leśniaka, że Oleksy był bardzo aktywnym, twórczym prezesem, że z jego inicjatywy i dzięki jego kontaktom powstał fundusz stypendialny dla młodych Sądeczan, że dzięki niemu odbywały się liczne spotkania Sądeczan rozsianych po Polsce i świecie, organizowano oddziały w Krakowie i Warszawie, zainicjowano przyznawanie wybitnym członkom Klubu tytułu „Ambasador Sądecczyzny” (otrzymali je: prof. Tadeusz Popiela, prof. Stanisław Moryto, prof. Maria Olech i Kazimierz Pazgan). Pamiętam jak 30 kwietnia 2004 roku przyleciał do Nowego Sącza na zorganizowaną tu imprezę „Powitanie Europy”. Był tu serdecznie witany, szanowany i lubiany. Nie zabrakło przykrych momentów, z jakimi się tutaj spotkał w okresach dla siebie trudnych (posądzanie o szpiegostwo czy kłamstwo lustracyjne).

Kolejną sądecką inicjatywą, dzięki której spotkałem się z Oleksym, było organizowane od 1992 roku przez Zygmunta Berdychowskiego Forum Ekonomiczne w Krynicy. Od początku wspierał tę inicjatywę. Był aranżerem spotkań polityków, ekspertów, biznesmenów, ludzi mediów z całego świata. Byłem świadkiem jak w 2013 roku Rada Programowa Forum Ekonomicznego w Krynicy uhonorowała go Nagrodą Specjalną, którą wręczył mu Komisarz Unii Europejskiej ds. Rozszerzenia, osobisty przyjaciel Günter Verheugen oraz prezydent Krakowa Jacek Majchrowski, a także w 2015 roku podczas posiedzenia Forum już po jego śmierci, gdy nikt nie wspominał o jego wkładzie w utworzenie tego „polskiego Davos”. Kilkakrotnie uczestniczyłem w organizowanych przez niego ad hoc spotkaniach towarzyskich podczas krynickiej imprezy w restauracji

na deptaku „Zielonej Budce” czy w znajdującym się na obrzeżach Krynicy „Cichym Kąciuku”. Oleksy z rozmysłem dobierał towarzystwo przy stoliku, dbał, by byli to przedstawiciele różnych opcji politycznych, widziało się wśród nich prezydenta Ryszarda Nowaka (PiS), posłów PiS, PO i SLD. Nie były to zwykłe biesiady. Konsumpcja i alkohol stanowiły jedynie pretekst do dyskusji na tematy ekonomiczne, polityczne, międzynarodowe. Oleksy w ferworze tych dyskusji czuł się jak ryba w wodzie.

Józef Oleksy zmarł 9 stycznia 2015 roku po ciężkiej chorobie, która uniemożliwiła mu m.in. kandydowanie w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Został pochowany na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie tuż obok grobu Wojciecha Jaruzelskiego. W czerwcu br. odbyło się w sali kolumnowej Sejmu uroczyste wręczenie pierwszej nagrody im. Józefa Oleksego, którą otrzymał Karol Modzelewski. W wypełnionej sali można było zobaczyć oprócz przedstawicieli lewicy reprezentantów różnych opcji politycznych. Ciepłe przemówienie o Oleksym wygłosił m.in. Stefan Niesiołowski. Jeszcze za życia Józefa Oleksego wystąpiono do Rady Miasta Nowego Sącza o nadanie mu tytułu Honorowego Obywatela. Radni jednak się ociągali. Dopiero po śmierci, nie bez oporów, ten tytuł uchwalili. Na początku lipca br. w sądeckim Ratuszu z udziałem prezydenta Ryszarda Nowaka i przewodniczącej Rady Bożeny Jawor odbyło się przekazanie żonie dyplomu. Nie obešlo się bez demonstracji przed ratuszem kilkunastoposobowej grupy młodych ludzi przeciwko tej decyzji, uszczypliwych uwag w „Sądecczyźnie”. Uroczystość połączona była z promocją książki Leśniaka, której publikacja przez prezydenta Ryszarda Nowaka wywołała kontrowersję, a Polskie Towarzystwo Historyczne. Oddział w Nowym Sączu wycofało ze stopki redakcyjnej swoją rekomendację.

Wykorzystując materiały zebrane w książce Jerzego Leśniaka i wiedzę wyniesioną z kontaktów z Józefem Oleksym, przedstawiłem w maksymalnym skrócie jego życie i pracę państwową. Jakie wnioski można wysunąć na koniec tych rozważań? Otóż, jestem przekonany, że mamy tutaj do czynienia z politykiem, na którego osobowość największy wpływ wywarło ponaddziesięcioletnie terminowanie w szkole wyższej. Praca naukowa i dydaktyczna, uczestnictwo w dysputach w uczelni otwartej na świat, miało – w moim przekonaniu – decydujący wpływ na jego późniejsze zachowanie. Oleksy preferował w polityce wartości, wśród których prawdę uważał za maksymę naczelną. Że było to przekonanie na wyrost, o tym przekonywał się raz po raz, zderzając się z brutalną rzeczywistością. Niepoprawnym optymistą pozostał do końca życia. Jego niektóre polityczne diagnozy, jak choćby przekonanie o zmianach w postawie PiS zweryfikował czas. Nie był wolny od rozterek i wątpliwości, które pod koniec życia coraz częściej artykułował.

BOLESŁAW FARON

¹ Jerzy Leśniak, *Choć po lewicy, a wszelako prawy... Józef Oleksy 1946–2015*, Nowy Sącz 2016, Biblioteka „Rocznika Sądeckiego”, s. 166.

STANISŁAW GĘBALA

MNOGIE HUFCE HEJTERSTWA POLSKIEGO I ICH HETMAN WIELKI

Mam nadzieję, że ten tytuł wywoła u czytelnika skojarzenia zgoła sienkiewiczowskie; „hejterstwo” rymuje się bowiem znakomicie z „rycerstwo”, choć semantycznie te wyrazy różnią się biegunowo, tak jak np. „bractwo” i „robactwo”.

Chciałbym przywołać jeszcze inne skojarzenia z *Krzyżakami* czy *Trylogią* – tym razem obrazowe: oto naprzeciw siebie stoją wrogie oddziały gotowe do boju na śmierć i życie, od których odrywają się co chwila pojedynczy harcownicy, żeby sprowokować przeciwnika. Na razie tylko miotają obelgi – coraz ostrzejsze, ale do rękoczynów jeszcze nie dochodzi.

Obelgi mieszają się z oskarżeniami: „To wyście zaczęli!” „Nieprawda, to wy!”.

*

Kto jest ojcem politycznego hejtu? Propagandiści PiS-u w odpowiedzi na to pytanie wymieniają natychmiast dwa nazwiska (oczywiście, działaczy PO): Stefan Niesiołowski i Janusz Palikot. Ale już sama częstotliwość oskarżeń konkretnych ludzi oraz całej, zwalczanej przez siebie, formacji o bezprzykładną brutalizację języka debaty publicznej, stworzenie „przemysłu pogardy” czy „mowy nienawiści” świadczy chyba przede wszystkim o nieczystym sumieniu, które w ten sposób muszą nieustannie zagłuszać – nawet ryzykując samośmieszenie (np. słynna „wina Tuska” doczekała się satyrycznego wiersza Wojciecha Młynarskiego).

Niestety, nie ma już Mrożka, a bez niego najwyraźniej w tym przewlekłym konflikcie tracimy poczucie własnej śmieszności. Jeszcze przed rokiem 2010 (w którym odszedłem na emeryturę, co podkreślam, żeby uniknąć skojarzenia z innym wydarzeniem z tamtego roku) żartowałem sobie ze studentami ze słynnego trójstowu, obecnego w prawie każdym wystąpieniu publicznym Stefana Niesiołowskiego: „podłe”, „obrzydliwe”, „nikczemne” (te epitety ułożone alfabetycznie tworzą skrót NOP, który kojarzy mi się z nazwą jakiejś

bardzo bojowej organizacji). Wymachiwał tym trójzębem, jak gladiator na rzymskiej arenie i słuchając jego niezliczonych filipik, czekałem tylko, kiedy mówca go użyje. Dodam, że moja cierpliwość zawsze była nagradzana!

Ale jak się ma stępiony trójząb Niesiołowskiego do słówka „bydlaku”, które rzucił (wraz z hejterską rękawicą) Lechowi Wałęsie niejaki Dominik Tarczyński, poseł PiS-u, w swoim wpisie na Twitterze: „Zapraszam Cię na solo, bydlaku” (TVN24 pokazała ów wpis 29.06.2016)?

A oto próbki mowy nienawiści, spływającej jak rwący potok z pióra nie byle kogo, bo wybranego do Kolegium IPN przez pisowską większość Sejmu (która zresztą, aby móc dokonać tego właśnie wyboru, uchyliła wymóg posiadania przez kandydata wyższego wykształcenia) Krzysztofa Wyszkwoskiego: „Sikorski to wulgarna szuja, a »GW«, która popularyzuje jego chamstwo, jest rynsztokiem, w którym takie szuje pływają”, o Ryszardzie Petru pisze per „burak Petru”, a do redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej” zwraca się nader bezpośrednio: „Michnik, fajdaku: idź do TVN i na żywo, na kolanach przeproś Polaków za ćwierćwiecze najpodszybniejszego, antypolskiego kłamstwa. Potem oddaj GW”¹.

Zanim sięgnę po następne cytaty, muszę odwołać się do najwyższego autorytetu. Jarosław Kaczyński w przemówieniu wygłoszonym 2.05.2016 powiedział: „Oczywiście nie przyjmujemy żadnych ustaw o »mowie nienawiści«”. Tylko tyle zdążyłem dosłownie zanotować „ze słuchu”, ale zapamiętałem uzasadnienie tego stanowiska, które sprowadzało się do frazesu o obronie „wolności słowa”. Zgodziłbym się z owym uzasadnieniem, gdyby Prezes dodał, że chodzi o wolność słowa prawicowych hejterów, choćby tych, którzy „flekowali” prof. Zbigniewa Mikotęjkę².

1 Cyt. za: Wojciech Czuchnowski, *Rewolucja w pamięci narodowej*, „Gazeta Wyborcza” z 1 lipca 2016.

2 *Jeden drugiemu wchodzi na głowę. Ze Zbigniewem Mikotęjką rozmawia Aleksandra Klich*, „Gazeta Wyborcza” z 25-26 czerwca 2016.

Przytoczę cały akapit, żeby uniknąć posądzenia o „wydłubywanie” z tekstu samych smakowitych cytatów pisanych językiem, który przed otwarciem nieskończonej przestrzeni internetu był utrwalany dla potomności tylko na ścianach szaletów publicznych:

Proszę posłuchać, co przeczytałem o sobie w jednym z portali po naszej rozmowie w „Temacie dnia” na Wyborcza.pl: „Tępy, obleśny chuj z jeszcze obleśniejszym wąsem i żółtymi zębami, zza których sączy się jad. Wypierdalał dziadzie” – pisze jakaś kobieta. „Ciekawe, ile dostał do łapy za znieważanie nas. Takie czas, że nas Polaków mieszają z błotem nie tylko już za granicą tylko sami Polacy” – dodaje mężczyzna. „Jaki to intelektualista, wykształcenie za świnię i jajka”. „Sorry, ale to jest kurwa ekspert od czego? Z wyglądu to jakiś alkoholik – przez ch pisane – z zapuchniętymi oczami”. Ale jeszcze coś: „On wygląda jak menel, A nie profesor”. „Umyj zęby brudasie, bo capi z pyska kreaturo żydowska”. I najlepsze. Trzydziestoletni z wyglądu ojciec trójki miłych dzieci: „Odpierdol się chuju od Polaków, bo cię powiesimy szmato”. Wszystko pod własnymi nazwiskami, z fotkami.

W zadumę wprawiło mnie zwłaszcza ostatnie zdanie. Zacząłem ten tekst od zestawienia „rycerstwo” – „hejterstwo”; teraz wydaje mi się konieczne rozbudowanie owego porównania o pojęcia „etos rycerski” (ileż książek na ten temat powstało!) – „etos hejterski” (proponuję dla wygody skrót „hejtos”). Napisy w szaletach były anonimowe; widocznie nad satysfakcją autorów dominowało poczucie wstydu (wtedy mówiło się jeszcze o wstydliwych satysfakcjach czy przyjemnościach), natomiast w bezkresnej przestrzeni internetowej pojawia się poczucie dumy, wręcz domagające się wyjścia z anonimowości. Wstrząsająca jest dla mnie informacja o „trójce miłych dzieci” na fotce, które zapewne ogromnie wzmacniają owo poczucie dumy ojca i niewzruszoną pewność, że jego chamski bluzg zostanie odebrany jako w pełni uzasadniony moralnie wyraz świętego oburzenia człowieka, zatroskanego o patriotyczne wychowanie swego potomstwa.

*

„Hejtos” czyni zastraszające spustoszenia w moralności społecznej, przede wszystkim dewastując język. Obserwacja tego procesu dewastacji została jednak znacznie utrudniona przez wyłączenie z niej Osoby, której wypowiedzi publiczne zawsze należało śledzić z najwyższą uwagą i – co najważniejsze! – natychmiast i bardzo zdecydowanie na nie reagować. Tymczasem najbardziej cynicznym propagandzistom PiS-u udało się postawić tę Osobę poza – a raczej ponad – wszelką odpowiedzialność za słowo. Pięć lat temu w artykule *Słowa na wojnie*³ cytowałem Jacka Kurskiego, który wszelkie próby przypominania o owej odpowiedzialności, obowiązującej każdego, likwidował swoistym szantażem moralnym: „Pan prezes Jarosław Kaczyński ma szczególne prawo do tego, aby...” – i „szczególne prawo” przez nikogo niekwestionowane (w tamtym czasie jeszcze świeżej żałoby po śmierci brata-prezydenta w katastrofie smoleńskiej) stało się wszechobowiązujące, narzucając zasadę: z Prezesem się nie dyskutuje; Prezesa się słucha. A Prezes rozwijał swobodnie przez lata swoją retorykę insynuacji i oskarżeń, osiągając

czasem mistrzowską lapidarność; np. całkiem niedawno na Kongresie PiS z 2 lipca 2016, kiedy rzucił z mównicy: „szkodnik Balcerowicz”.

W ogóle ze szczególnym upodobaniem i bez przytłaczającego poczucia odpowiedzialności rzuca coraz ostrzejsze słowa, które powinny, niczym głązy skalne, miażdżyć ludzi, gdyby miały istotną wagę, ale są tylko inwektywami jątrzącymi atmosferę społeczną i utrwalającymi podziały (bo bardziej pogłębić chyba ich się już nie da). W dodatku 4 lipca dowiedzieliśmy się, że z naszej giełdy „wyparowało” – w reakcji na słowa Prezesa, dotyczące OFE – 14 mld. złotych! Kto zatem jest naprawdę szkodnikiem?

*

Chyba w tym miejscu powinienem przerwać tę pisaninę i nacisnąć klawisz DEL, gdyż właśnie przeczytałem rozmowę z prof. Jadwigą Staniszkis pt. *Kaczyński zmienia Polaków na gorsze*⁴; doszedłem bowiem do wniosku, że formułuje ona precyzyjniej moje myśli niż ja sam. Wybieram jednak wyjście kompromisowe i zamierzam dalej snuć swoje wywody, podpierając je stwierdzeniami Pani Profesor. Najważniejsze zawarte jest w tytule rozmowy; warto mu jednak przywrócić szerszy kontekst:

[...] Kaczyński, w którym tkwi potrzeba posiadania wroga, sztucznie narzuca społeczeństwu konflikt. Ma nadzieję, że w ten sposób wydobędzie z Polaków dumę i godność, a jemu pozwoli stworzyć społeczeństwo zjednoczonej prawicy. Ale nadzieja, że konflikt zmieni społeczeństwo, jest z gruntu bolszewicka. Godność buduje się wokół tego, że człowiek jest gotowy zaryzykować w obronie wartości, a przede wszystkim bronić swojej wewnętrznej wolności. Kaczyński próbuje to niszczyć. Wydobywa z ludzi najgorsze cechy, zmienia Polaków na gorsze.

Prof. Staniszkis, mimo że nie posługuje się pojęciami z zakresu psychologii, wyraźnie wskazuje tu cechy toksycznej osobowości Jarosława Kaczyńskiego, którego od lat przedstawia się jako charyzmatycznego przywódcę i wybitnego męża stanu. Ba! Po roku 2010 usłyszeliśmy na zgromadzeniach wyznawców „religii smoleńskiej” skandowanie: „Ja-ro-sław! Pol-skę zbaw!” – a on najwyraźniej uwierzył w swoją misję Zbawiciela. W tej atmosferze religijno-nacjonalistycznego obłędu i po politycznym sukcesie PiS-u, wyczekiwanym przez osiem chudych dla tej partii i jej wodza lat, a konsumowanym teraz, na naszych zdumionych oczach, z niebywałą prostacką pazernością, trzeba wreszcie zacząć mówić, kim naprawdę jest „zbawca” i co się dzieje w Polsce pod hasłem „dobrej zmiany” – tak otwarcie i jednoznacznie:

Destrukcja państwa w imię kumulacji władzy postępuje i towarzyszy temu wstrętna retoryka, ale także niszczenie partii i własnego zaplecza przez ujednolicanie go i dyscyplinowanie. I permanentne mówienie o zmianie, bo w zmianie reguły są czymś tymczasowym i zawsze władza ma większy margines swobody.

Nie mogę się oprzeć zdziwieniu, nie mówiąc już o poczuciu rosnącego zaniepokojenia, że po upływie kilku lat „szczególne prawo”, jakie przyznał Prezesowi Jacek Kurski (ba, gdyby tylko on!), paraliżuje nas do tego stopnia, że tylko nieliczni przełamują zażenowa-

ne milczenie i z podobną otwartością mówią, jakim człowiekiem naprawdę jest Jarosław Kaczyński i jak niszczyielską rolę odgrywa w naszym życiu społecznym. W swoich wycinkach prasowych (które ze starego nawyku gromadzę nadal na emeryturze) znalazłem właściwie tylko dwa (oczywiście, zdaję sobie sprawę ze szczupłości mojego „archiwum”, tworzonego na nowo po kataklizmie przeprowadzki na drugi koniec Polski); oba z „Gazety Wyborczej” („niszowej”, jak się ją określa lekceważąco w mediach, obecnie, po „dobrej zmianie”, mainstreamowych). Pierwszy to komentarz Wojciecha Maziarskiego *Redaktor Kaczyński porządkuje media*⁵, zawierający taką ocenę prezesa jako niegdyśszego redaktora „Tygodnika Solidarność”:

Swoją drogą to zabawne – Kaczyński kierował tygodnikiem, ale czy ktoś pamięta jakiś jego tekst? Jakikolwiek – wstępniak, felieton, artykuł programowy? Nie domagam się, by było to coś rangi porównywalnej z publicystyką Adama Michnika, lecz w ogóle cokolwiek. Czy redaktor Kaczyński kiedyś coś napisał? Ja niczego nie pamiętam, ale oczywiście mogę się mylić.

Wycinek drugi zawiera przejmującą rozmowę z Jarosławem Kuźniarem (*Boli? Miało boleć*⁶), zilustrowaną – nazwijmy to tak: hejtem obrazkowym. Na trzech zdjęciach oglądamy dziennikarza, którego twarz i szyja została obryzgana fekaliami (zdjęcie 1.); ze swastyką i gwiazdą Dawida narysowanymi – czy może wyciętymi? – na czole (zdjęcie 2.); z otwartymi ustami, pomalowanymi grubo szminką (zdjęcie 3.). Cytowane przez rozmówcę wyzwiska są dość standardowe: „eurocwel”, „lewacka rura”, „jew-ropejczyk”, „antypolski gnój”, „presstytutka” (to ostatnie musiał wymyślić ktoś z branży prasowej). Mamy także próbkę hejterskiego wyrafinowanego dowcipu: „żeby Cię Arab z kozą pomylił” (wielka litera w zaimku sugeruje starą szkołę *savoir-vivre*’u). Pod zdjęciem znajdujemy jeszcze jedną inwektywę, niewątpliwie natchnioną duchem internacjonalizmu: „żydowsko-niemiecka szmata”.

W tym kontekście słowa Jarosława Kuźniara, odnoszące się wprost do jego znamienitego imiennika, mogą uchodzić za szczyt umiarkowania i powściągliwości:

Mnie przeraża, że wszystkim trzęsie facet, który nie ma życia osobistego i zawodowego. Całe jego życie to polityka i władza. On teraz coraz częściej się będzie pojawiał. Ludzi to jeszcze nie przeraża, ale może mają to dopiero przed sobą. PO nim straszyła, ale oni nie słuchali, bo nie te czasy. Ale teraz będą go mieli.

*

Rzecz jasna, Jadwiga Staniszkis też natychmiast padła ofiarą hejtu wyznawców kultu Prezesa:

Zabolała panią fala hejtu, jaka się wylała, kiedy po raz pierwszy skrytykowała pani PiS?

– Oczywiście, to było przykre, ale to się mieści w takim ogólnym wylewie nienawiści, z jakim mamy teraz do czynienia. Choć było mi przykro, że nikt nie powiedział „nie”.

Licyła pani, że prezes powstrzyma swoich wyznawców?

– Nie, bo w tej partii jest problem z komunikacją i coś takiego, co nazywam nadgorliwością małych piesków. Jak się rozumie te mechanizmy, to w jakimś sensie jest człowiekowi trochę mniej przykro. Ja już się otrząsnęłam.

Hm, „problem z komunikacją”... Być może Prezes nie posługuje się zbyt biegle elektronicznymi środkami komunikacji (choć prezentował kiedyś w Sejmie „premierę z tabletu”), ale za to znakomicie włada środkiem wypróbowanym przez władców w ciągu wielu stuleci – kijem i marchewką. Kij to kij; może być tylko grubszy lub cieńszy – ale za to marchewka... Może być nią na przykład pensja wiceprezesa państwowego (jeszcze) banku w wysokości 180 tys. zł miesięcznie. Rozmarzyłem się...

*

Wróćmy jednak do prawicowego hejtu, który szczególnie upodobał sobie dwa słowa – „wieszanie” i „szubienica”. To pierwsze wybrał nawet na tytuł jednej ze swoich książek Jarosław Marek Rymkiewicz, nadając mu ton jakby marzycielski i nostalgiczny, który pobrzmiewa czasem także w ulubionej przez prawdziwych Polaków-katolików rymowance: „A na drzewach zamiast liści wisieć będą komuniści”. Fraza niemal liryczna, szemrząca jak strumyk; zupełnie odmienna od skandowanej w rytmie cepów bijących w klepisko: „Raz sier-pem, raz mło-tem czer-wo-ną ho-lo-tę!”.

Hejterskie rymy wzywające do wieszania konkretnych ludzi, z podaniem ich nazwisk, nawet gdy pojawiają się na trybunie stadionu w postaci ogromnego transparentu, nie budzą zainteresowania prokuratury. Taki transparent można sobie obejrzeć na znakomitej jakości zdjęciu w „Newsweeku Polska” i przeczytać: „KOD, NOWOCZESNA, GW, LIS, OLEJNIK I INNE LADACZNICE – DLA WAS NIE BĘDZIE GWIZDÓW, BĘDĄ SZUBIENICE!”⁷. Cezary Michalski w artykule *Na prawo patrz!*, do którego to zdjęcie jest ilustracją, wyjaśnia:

Kierowana ręcznie przez Zbigniewa Ziobrę prokuratura nie wszczyną w tej sprawie postępowania z urzędu, doniesienie o przestępstwie składają Nowoczesna i KOD. W dodatku dwaj prawicowi posłowie, jeden z klubu Kukiz’15, a drugi z klubu Prawa i Sprawiedliwości, przyłączają się do apelu o wieszanie zdrajców. Później poseł klubu Kukiz’15 za swoje zachowanie przeprosza, a poseł partii rządzącej już nie.

*

Jadwiga Staniszkis w cytowanej tu wypowiedzi posłużyła się bardzo emocjonalnym określeniem „wstręt-na retoryka”, które mogłoby się znaleźć także w słowniku Stefana Niesiołowskiego (nieco go wzbogacając). To emocjonalność trochę staroświecka, reagująca poczuciem wstrętu na obrzydliwość, wrażliwa na podłość i nikczemność – zupełnie inna od tej, o której pisał Tomasz Piątek w „Gazecie Wyborczej”: „Przez Polskę przetacza się płaczący walec. Miazdzy wszystko – i płacze, że miazdzeni go obrażają.”⁸

STANISŁAW GĘBALA

5 „GW” z 28 stycznia 2016.

6 Z Jarosławem Kuźniarem rozmawia Maciej Stasiński, „GW” z 28-29 listopada 2015.

7 „Newsweek Polska”, 21/2016, 16-22.05.16, s. 28/29.

8 Cyt. za: Ziemowit Szczerek, *To nie jest wojna między prawicą a lewicą*, „GW” z 23-24.04.2016.

JAN BRONIEK

KRYZYS I ROZWIĄZANIE ZMP

Mój Październik '56

Mówimy: PAŹDZIERNIK '56, chcąc skrótowo określić fakt zdecydowanego demokratyzacyjnego przełomu w historii Polski Ludowej. Ale ja i chyba nie tylko ja pamiętam, że cały ten 1956 rok był niezwykle, że drogę do PAŹDZIERNIKA rozpoczął już w lutym 1956 roku XX Zjazd KPZR, że w parę miesięcy później miałem w ręku dokument niezwykle: tajny referat Chruszczowa wygłoszony na tym zjeździe i odsłaniający zbrodniczy charakter stalinizmu. Ten dokument nam, aktywistom ZMP, wychowywanym w kulcie Stalina, niełatwo było przyjąć do świadomości. Wywoływał on jednak wiele pytań, kazał zastanawiać się – tymczasem jeszcze nieśmiało – nad tym, jak u nas ten stalinizm był realizowany? Nie wszystko wiedzieliśmy, ale wiedzieliśmy, że były wyroki śmierci również dla komunistów, że w więzieniu siedział niedawny jeszcze przywódca partii – Gomułka, którego nieco wcześniej okłaskiwaliśmy.

Z tym tajnym referatem, w broszurze opatrzonej numerem i nadrukiem *Tajne – wyłącznie do użytku organizacji partyjnych*, wysłano mnie, młodego pracownika Zarządu Wojewódzkiego ZMP w Krakowie do Dąbrowy Tarnowskiej, do Liceum Ogólnokształcącego w ramach zapoznawania ZMP-owskich organizacji (pomimo nadruku, że tylko „dla organizacji partyjnych”) z treścią referatu Chruszczowa. Wszędzie, gdzie ten referat czytano, było podobnie: olbrzymie zaskoczenie i ogromem zbrodni, ale i tym, że zdecydowano się na ich ujawnienie. Modne się stało słowo „odwilż” – od tytułu powieści Erenburga. I faktycznie, już na wiosnę 1956 roku można było wyczuwać w Polsce początki politycznej odwilży.

Ale mieliśmy jednak jeszcze po drodze do Października odmienny od tych „odwilżowych” nastrojów „Poznański Czerwiec”, gdy do tłumienia demonstracji użyto wojska, gdy padły strzały i byli zabici. I gdy władze na VII Plenum KC PZPR nie potrafiły jeszcze inaczej ocenić tych tragicznych wydarzeń jak tylko jako kontrrewolucyjne, zainspirowane przez amerykański imperializm specjalnie podczas Międzynarodowych Targów Poznańskich. Taki był sens przemówienia premiera Cyrankiewicza grożącego obcięciem ręki, która ośmieli się podnieść na władzę ludową. Z takim właśnie nastawieniem wysłany zostałem do Tarnowa, by uważnie zbadać nastroje wśród młodzieży i wyjaśnić jej – zgodnie z ówczesną oceną – co się wydarzyło w Poznaniu. Nie odniosłem sukcesu w tym wyjaśnianiu, bo i sam miałem dużo wątpliwości. Pomimo takich groźnych, oficjalnych ocen Poznański Czerwiec był kolejnym wstrząsem kładącym zastanawiać się nad tym, co warto by zmienić w realizowanym dotąd bezkrytycznie „budownictwie socjalistycznym”.

Niedługo potem skierowany zostałem do mieszczącej się w Warszawie Szkoły ZMP i przez parę miesięcy słuchałem wykładów znakomitych uczonych, uczestniczyłem w ciekawych spotkaniach z profesorem Tadeuszem Kotarbińskim wprowadzającym nas w tajniki prakseologii i erystyki. Seminaρια prowadziło wielu młodych, później szeroko znanych socjologów, politologów i ekonomistów, a także działaczy politycznych, którzy coraz odważniej i trochę inaczej niż dotychczasowi propagandyści prezentowali nam historię ruchu komunistycznego i robotniczego niż było to opisane w *Historii WKP(b)*. Mieliśmy czas także na korzystanie z coraz ciekawszej oferty kulturalnej – bo w tym czasie „odwilż” docierała – chyba najbardziej intensywnie do środowisk kultury.

18 października, a więc w przeddzień VIII Plenum KC PZPR, byliśmy w Teatrze Polskim na sztuce George’a Bernarda Shawa *Święta Joanna*, wróciliśmy do hotelu, gdy po północy dyrektor szkoły ogłosił alarm: podobno w kierunku Warszawy zbliżały się, stacjonujące zresztą w Polsce, dywizje Armii Radzieckiej i że nasze wojska wewnętrzne, czyli KBW podległe premierowi, blokują drogi dojazdowe i będą bronić stolicy wraz z robotnikami Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu i innych warszawskich zakładów. Dziwnie zabrzmiał po tych informacjach apel dyrektora, by zachować spokój. Noc mieliśmy z głowy. Do rana trwały dyskusje. Byliśmy zaniepokojeni. Co będzie, jeśli dojdą do granic Warszawy. Rysowała się groźba wielkiego konfliktu.

Następnego dnia rozpoczęło obrady VIII Plenum KC i – jak się później dowiedzieliśmy – przyleciała do Warszawy niezaproszona delegacja KC KPZR na czele z Chruszczowem, i że na stanowcze żądanie Gomułki wstrzymany został ruch wojsk radzieckich w kierunku Warszawy. My natomiast przez wiele dni staliśmy się uczestnikami wieców, pochodów, demonstracji. Było tego mnóstwo i tylko na politechnice byłem wiele razy. Dlatego wspomnę tu tylko o tym wiecu na PW, gdy odczytywano programowe przemówienie Gomułki na VIII Plenum KC, i wiec na Placu Defilad.

Referat Gomułki czytała z jego upoważnienia Helena Jaworska, wówczas przewodnicząca ZG ZMP (i warto tu dodać, że kiedyś przez pewien czas była przewodniczącą ZWM w Krakowie). Jaworska choć cieszyła się sympatią zebranych, bo podobno na Plenum KC sprzeciwiła się wyborowi Rokossowskiego do Biura Politycznego, a znane też były jej wyczyny w czasie Powstania Warszawskiego (przeplętnęła Wisłę z informacjami o sytuacji powstańców do gen. Berlinga), to jednak jako lektorka nie sprawdziła się i na głośnie okrzyki „Helena do domu!” (w nawiązaniu do wyświetlanego filmu *Irena do domu*)

przekazała referat przewodniczącemu Zarządu Stołecznego ZMP Jurkowi Wołczykowski, który czytał głośniej i wyraźniej. Zresztą na tym czy innych wiecach na politechnice popisów krasomówczych było co niemiara. Kilkakrotnie występował bardzo wówczas popularny I sekretarz KZ PZPR w FSO Żerań Lechosław Goździk, który świetnie głosem i treścią wystąpień panował nad najbardziej nawet głośną aulą politechniki. Występowali bezpartyjni i partyjni, byli więźniowie UB więzieni m.in. za „prawicowe odchylenie” i „gomułkowszczyznę”. Rzadko jednak słyszano się wystąpienia z pozycji antysocjalistycznych. Tacy już po paru minutach byli wygwizdywani.

Uczestniczyliśmy – 24 października 1956 – w wielkim wiecu na placu Defilad. Wysłuchaliśmy z ogromnym przejęciem przemówienia Władysława Gomułki zapowiadającego demokratyzację, reformy, potępienie stalinizmu i bezprawia w Polsce. Słuchaliśmy również Mariana Spychalskiego, który niedawno został zwolniony z więzienia na Rakowieckiej.

Niebawem Rokossowski i 32-osobowa grupa wyższych oficerów radzieckich opuścili Polskę. Wiele z zapowiedzi Gomułki udało się zrealizować: np. zaniechano kolektywizację wsi, utworzono samorząd robotniczy. Po rozmowach w Moskwie przywrócono równoprawne stosunki gospodarcze z ZSRR; umorzono polski dług, spowodowano powrót do kraju około 30 tysięcy Polaków przetrzymywanych dotąd w ZSRR. Ogromne znaczenie miało – do czasu – zapewnienie o wolności prasy i wydawnictw. Dla szerokich kręgów społeczeństwa duże znaczenie miało zwolnienie z internowania kardynała Stefana Wyszyńskiego. Z wiecu na pl. Defilad mam też w pamięci obrazek zupełnie niepolityczny. Otóż te kilka godzin w pobliżu trybuny spędziłem w bezpośredniej bliskości najładniejszej słuchaczki szkoły, którą darzyłem sympatią i wtedy się okazało, że z wzajemnością. Nieśteży, los nas rozdzielił.

Po wiecu nasza grupa uczestniczyła w pochodzie, który spontanicznie się uformował z zamiarem pójścia pod Ambasadę ZSRR. My natomiast otrzymaliśmy zadanie skierowania go w innym kierunku. Pamiętam, że usiłowania te, nie tylko naszej grupy, ale i wielu innych ludzi, się powiodły. Pochód idący Al. Jerozolimskimi, Nowym Światem i Al. Ujazdowskimi skierowaliśmy przez plac Konstytucji pod politechnikę, gdzie chyba nic specjalnego się nie działo, a później przeszliśmy koło MON, gdzie palono pochodnie z gazet i krzyczano „Rokossowski do Moskwy” – aż na Rakowiec (nie wiem po co tam, ale krzyczano, że pod akademiki). Po drodze jednak cały pochód, stopniowo topniejąc, się rozwiązał. Część naszej grupy na czyjeś polecenie udała się na plac Defilad, gdzie wystąpiły, kilka godzin po wiecu, przypadki zakłócenia porządku. Gdzieś poturbowano oficera politycznego LWP (byli rozpoznawalni, bo nosili specjalne znaczki Oficerskiej Szkoły Politycznej) to znowu pobito funkcjonariusza MO, to zdarzył się jakiś pojedynczy przypadek rozboju i kradzieży. Kilka razy udatnie interweniowaliśmy. Z perspektywy czasu patrząc, były to niewiele znaczące incydenty. Całkowity spokój zapanował po pojawieniu się od strony Dworca Głównego kilku samochodów ciężarowych z Milicją Robotniczą z FSO. W następnych dniach w Warszawie utworzono Milicję Robotniczą (Milicji Obywatelskiej nie było na ulicach), do której wszyscy słuchacze szkoły zostali włączeni otrzymując opaski biało-czerwone z napisem „Milicja Robotnicza” i okrągłą pieczęcią Wo-

jewódzkiej Rady Związków Zawodowych. Docierały tragiczne wieści z Węgier, gdzie rozpoczęła się zbrojna radziecka interwencja. Na apel PCK oddaliśmy krew dla Węgrów.

Uczestniczyłem jeszcze w burzliwych obradach IV Plenum ZG ZMP obradującego w dniach 1-2 listopada 1956 r. w auli naszej szkoły przy ulicy Konopnickiej 6. Byliśmy na tych obradach obserwatorami. Na tym zebraniu ujawnił się narastający w organizacji coraz gwałtowniej od marca kryzys. Podziały przebiegały podobnie jak w PZPR; część działaczy ZMP było zwolennikami nurtu konserwatywnego – „natolińczyków” a część popierało grupę reformatorską – „puławian”. Zostało zmienione prawie całe kierownictwo ZMP, lecz ten fakt nie miał już większego znaczenia. Powstawały bowiem postulowane przez „Po prostu” Komitety Rewolucyjne.

„Po prostu” odegrało inspirującą rolę w kształtowaniu ruchu młodzieżowego w tym czasie. Na łamach tego pisma w dniu 8 kwietnia '56 pojawił się tekst podpisany przez cały zespół pt. *Co robić?*, w którym podano totalnej krytyce działalność Związku, zwłaszcza na wyższych uczelniach i pośrednio PZPR, gdyż ZMP był związany z partią i ściśle realizował jej wytyczne. 25 listopada '56 w „Po prostu” opublikowano tekst pt. *Co robić dalej?*, w którym domagano się pluralizmu w organizowaniu ruchu młodzieży i większej jego niezależności politycznej.

Na posiedzeniu Biura Politycznego, w dniu 5 grudnia 1956 r., poświęconego sprawom młodzieży po ostrej krytyce (była to także autokrytyka, bo błędy ZMP były przede wszystkim błędami PZPR) i stwierdzeniu, że następuje samolikwidacja ZMP, podjęto decyzję o jego rozwiązaniu, utworzeniu dwóch organizacji młodzieżowych: robotniczej i wiejskiej oraz odrodzeniu ZHP. Powołano też specjalną komisję do spraw młodzieży w składzie Jerzy Morawski, Helena Jaworska, Roman Zambrowski i Stefan Żółkiewski. W rezultacie decyzji Biura Politycznego oraz nacisków prasowych, na V Plenum ZG ZMP 10 lutego 1957 r. podjęto uchwałę o rozwiązaniu Związku. Miało to jednak jedynie organizacyjno-prawne znaczenie, bo struktury już wcześniej przestały funkcjonować, bądź uległy samorozwiązaniu.

Warto dodać, że ZMP w styczniu 1956 r. liczył 1 845 307 członków (rok wcześniej 2 028 605), tj. około 40 proc. ogółu młodzieży polskiej. Najwięcej młodzieży zorganizowane było w szkołach (ok. 60 proc.), środowisku robotniczym (ok. 50 proc.) i na wsi (ok. 15 proc.). W aparacie ZMP po reorganizacji w 1955 pracowało etatowo 3 752 pracowników (przedtem było w tym aparacie 5 271 etatów).

Rozwiązania organizacji nie przyjęto bez dyskusji. Ale chyba nie było lepszego wyjścia dla odbudowy ruchu młodzieżowego. ZMP od kilku lat pogrążał się w kryzysie. Spowodowane to było m.in. ścisłym związaniem go z całym systemem stalinowskim. Organizacja stała się faktycznie swoistym urzędem do spraw młodzieży, reprezentowała bardziej interesy państwa, a nie młodzieży. Na wsi uwikłano ją w bardzo przecież niepopularną akcję zakładania spółdzielni produkcyjnych, w walkę z tzw. kułactwem, w brutalne egzekwowanie obowiązkowych dostaw, wreszcie całkowicie zerwano z tradycją Wici. W wielu organizacjach miejskich, zakładowych, szkolnych i akademickich, po kilku latach względnej samodzielności i pozytywnych rezultatów

w dziedzinie odbudowy kraju, rozwoju gospodarki, oświaty, nauki, kultury, sportu, szkolenia zawodowego, adaptacji zawodowej młodzieży, czy wyśmiewanego dziś współzawodnictwa pracy – nastały czasy „śmiertelnej powagi” i naśladownictwa działalności partii i radzieckiego Komsomołu, niekiedy brutalnej ateizacji oraz walki z nowymi trendami w modzie, muzyce i filmie, w rezultacie postępowało powolne samouniżenie.

Związek Harcerstwa Polskiego został włączony w struktury ZMP (OH ZMP), odsunięto większą część kadry, odstąpiono od rytuału i symboliki – na rzecz podobnej do radzieckich pionierów, co spowodowało, że organizacja ta, mimo wysiłków wielu mądrych i zaangażowanych instruktorów i działaczy, stała się nieatrakcyjna i powoli jej znaczenie malało. Nie pomogła przeprowadzona w 1956 r. reforma i utworzenie bardziej autonomicznej Organizacji Harcerskiej Polski Ludowej. Konieczne były kroki radykalne – odrodzenie starego ZHP.

Wraz z likwidacją ZMP likwidacji uległa Szkoła ZMP. Pod koniec roku powróciłem do Krakowa. Jeszcze zdążyłem włączyć się do dyskusji o sprawach młodzieży oraz uczestniczyłem w słynnym wiecu pod gmachem Akademii Górniczo-Hutniczej przy al. Mickiewicza. Pamiętam dokładnie, że na schodach AGH od rana przemawiali różni działacze, a przewodniczył wiecom płk Tadeusz Cynkin, szef Studium Wojskowego UJ, lubiany przez studentów za kontrowersyjne w stosunku do władz i niepokorne wypowiedzi. Na słynnym wiecu w „Rotundzie” (21 X 1956), po którym Stanisław Brodziński złożył rezygnację ze stanowiska I sekretarza KW PZPR, Tadeusz Cynkin (w czasie wojny żołnierz Armii Czerwonej wcielony do niej po zesłaniu na Syberię, później został przeniesiony do armii Berlinga), wraz z dowódcą garnizonu WP płk Tadeuszem Hankiewiczem uspokajali rewolucyjne, w tym antyradzieckie nastroje studentów.

Zdarzyło się, że koło AGH pojawiły się samochody ciężarowe załadowane jakimiś rurami eskortowane przez żołnierzy radzieckich. Zatrzymały się na chwilę i wtedy część tłumu zaczęła biec w ich stronę. Nie było widać złych zamiarów, ale w tamtej atmosferze byle drobny ruch mógł uruchomić wielką awanturę. Wtedy właśnie płk Tadeusz Cynkin bardzo stanowczym głosem, przez głośniki wezwał uczestników wiecu do zachowania spokoju i nieprovokowania żołnierzy. Wszyscy go posłuchali. Chwała mu za to. Były to czasy, gdy można było takimi gestami zdobyć popularność. Na fali popularności Cynkin w wyborach w styczniu 1957 r. został posłem na Sejm PRL. Wplątał się jednak w aferę korupcyjną zorganizowaną przez Juliana Haraszina na wydziale prawa UJ (fałszowanie dyplomów ukończenia studiów dla wielu osób, w tym dla Cynkina), oraz powoływał się na wpływy i obietnice załatwiania umorzenia przestępstw kryminalnych za łapówkę (co skończyło się głośnym procesem w Warszawie (16 września do 2 listopada 1963 r.) i licznymi wyrokami, w tym skazano Cynkina na 3 lata więzienia, grzywnę i utratę praw publicznych na 3 lata. Haraszin został skazany na 7 lat.

Po moim powrocie do Krakowa, jeszcze przed rozwiązaniem ZMP widziałem, że tu także Związek był mocno atakowany z jednej strony przez Komitety Rewolucyjne, a z drugiej wznosiła się krytyka i rozliczanie błędów wewnątrz organizacji. W rezultacie dwudniowe plenarne zebranie Zarządu Wojewódzkiego, obradujące w dniach 27-28 listopada '56 r., odwołało całe do-

tychczasowe kierownictwo, w tym wiceprzewodniczących: Jadwigę Potapską, Mariana Kleszcza i Mirosława Bartczaka, i chyba wiceprzewodniczącą ds. studenckich Ewę Legomską. Wcześniej (2 XI) przewodniczący ZW ZMP Stefan Krzakiewicz został wybrany na stanowisko II sekretarza KW PZPR. Nowym przewodniczącym ZW ZMP został Stanisław Gugała, dotychczasowy przewodniczący Rady Okręgowej ZSP. Nie zdążył jednak objąć tej funkcji ze względu na stan zdrowia.

Niebawem zresztą ZMP w Krakowie został rozwiązany. Powstały i rozpoczęły działalność: Rewolucyjny Związek Młodzieży i Związek Młodzieży Robotniczej. Zdaniem kierownictwa PZPR, należało doprowadzić do połączenia tych organizacji i w dniach 2-3 stycznia 1957 r. na naradzie przedstawicieli RZM i ZMR postanowiono połączyć obie organizacje, utworzyć Związek Młodzieży Socjalistycznej, powołać Tymczasowy Komitet Centralny ZMS i Sekretariat, w skład którego z Krakowa weszli: Jerzy Grotowski (z PWST), Jan Nita (z Huty im. Lenina) oraz Julian Wielgosz (rabczanin). W Krakowie w nowo zorganizowanym ZMS podstawową rolę odegrali: Włodzisław Fietko – był I sekretarzem TKW ZMS przez kilka miesięcy, a po nim tę funkcję pełnił Julian Wielgosz. Tymczasowym Komitetem Miejskim ZMS w Krakowie kierował Jerzy Huczowski. Wstąpiłem do ZMS i pełniłem w nim kilka funkcji, m.in. byłem kierownikiem wydziału i członkiem Sekretariatu Komitetu Wojewódzkiego.

Z inicjatywy grupy działaczy ZMP (Józef Teichma, Kazimierz Barcikowski, Józef Kępa, Edward Duda), w uzgodnieniu z partią powstała również druga organizacja młodzieżowa – Związek Młodzieży Wiejskiej. W Krakowie działali w nim m.in. Stanisław Waliłoga, Andrzej Czyż, Józef Czapla, Marian Dukat oraz Mieczysław Ziemiański. Trzeba jednak dodać, że w Krakowie już 3 grudnia 1956 r. powstał odrodzony ZMW „Wici”. Organizatorami byli Mieczysław Rudnik i Tadeusz Żelazny. ZMW „Wici” istniał do lipca 1957 r. W 1956 roku podjęto próbę „odrodzenia” wchłoniętego w 1948 przez ZMP Związku Młodzieży Demokratycznej. Istniał do lutego 1957 r. W 1980 r. roku podjęto próbę jego kolejnego reaktywowania (w Krakowie szefem był Bogumił Woźniakowski, obecnie nasz kolega z „Kuźnicy”); ten ZMD istniał do stanu wojennego. Rozpoczął działalność odrodzony ZHP. Stało się to po burzliwym okresie dyskusji i walki o przyszły kształt związku na spotkaniu kadry harcerskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim 4 grudnia 1956 r. Komendantem Chorągwi Krakowskiej został hm Marian Wierzbiański.

Po rozwiązaniu ZMP liczni jego pracownicy etatowi przez wiele miesięcy pozostali bez pracy. Należało inaczej spojrzeć na życie; jakoś musieli sobie radzić, a zwłaszcza się kształcić. Tak postąpiło wielu. Ja studiowałem wiele lat (często pracując). Najpierw ukończyłem Technikum Mechaniczne, później studia ekonomiczne w krakowskiej AE (obecnie Uniwersytet Ekonomiczny) i studia podyplomowe z zakresu kierowania i zarządzania gospodarką (na tej samej uczelni) oraz nauk społecznych oraz liczne kursy, w tym z zakresu informatyki.

JAN BRONIEK

W tekście wykorzystałem fragmenty mojej książki *Gra bez asów*, wydanej w 2002 r. oraz zbioru dokumentów *Upadek i likwidacja ZMP (1955-1957)*, wydanej przez Instytut Studiów Politycznych PAN w 2004 r.

HENRYK DOMAŃSKI

OŚMIORNICZEK NIE OBJĘTO BADANIEM

Wzory jedzenia są elementami kultury i tożsamości jednostek. Identyfikują one zwyczaje i upodobania: do różnych zapachów, wyglądu potraw, jedzenia ich na gorąco albo na zimno, oraz smaku do rzeczy słodkich lub słonych.

Jak zauważył Georg Simmel, spożywanie posiłków jest nie tylko wyborem konsumpcyjnym, ale i formą strukturyzacji codziennej aktywności, czyli oddziałuje na kształtowanie rytmu dnia, od rana do nocy¹. Za oddziaływaniem przynależności klasowej na wzory jedzenia przemawia wiele argumentów, przedstawionych najbardziej szczegółowo przez Pierre'a Bourdieu w jego najbardziej znanej książce *Dystynkcja*. Ujmując rzecz krótko – wiedza i upodobania do określonych posiłków, jak wykazuje Bourdieu, są elementem odtwarzania się podziałów klasowych. W trakcie socjalizacji kształtowane są normy konsumpcji, przy czym zachowania konsumpcyjne generowane są przez „habitus”, czyli wyuczone zwyczaje i normy, które przekształcają się z kolei w dyspozycje, czyli system znaków oceniających wzory jedzenia. Różne warunki życiowe produkują różne habitusy. Ważne jest to, że habitus stanowi połączenie obiektywnych pozycji społeczno-ekonomicznych ze stylem życia. Przejawami dystynktywnych znaków są preferencje w zakresie posiadania określonych mebli, samochodów, książek, obrazów, ubrań, perfum, uprawiania sportów, przyjmowania gości, stosowania zwyczajów językowych i również jedzenia. Duża rola przypada tu smakom, które powodują, że ludzie wybierają, co lubią (są to smaki konieczności) i muszą (smaki luksusu).

Teza o stratyfikacji jedzenia w odniesieniu do Polski nie wydaje się dyskusyjna, podobnie jak nie była na ogół we Francji, ale innego zdania mogą być zwolennicy alternatywnego poglądu o odrywaniu się stylu życia od hierarchii społecznej. Przykładem jest stanowisko Zygmunta Baumana, który w opozycji do podkreślania ważnej roli podziałów klasowych wskazuje, że wybory dokonywane w dziedzinie konsumpcji przesuwają się do sfery najmniej „restrykcyjnie” stosowanych wyborów, co oznacza, że należą obecnie do sfery wolności, w której ludzie dokonują swobodnego wyboru.² W myśl tego poglądu, uniformizacja dokonująca się jeszcze kilkadziesiąt lat temu w ramach przynależności klasowej i innych podziałów społecznych, podlega postępującej redukcji. A w ogóle to ludziom coraz bardziej zależy na demonstrowaniu indywidualnej odrębności i oznak statusu, w oderwaniu od identyfikacji grupowej.

Argumentuje się, że sfera produkcji i dystrybucji dóbr materialnych, która była kiedyś miejscem ścierania się interesów klasowych, ustępuje podziałom określonym przez gust, smak i uczestniczenie w kulturze. Styl życia zaczął być wybierany przez ludzi znajdujących ujście dla swojej „narracyjnej tożsamości”, jak np. ujmują to Giddens, tożsamość zaś staje się coraz bardziej mobilna i podatna na zmiany.³ Dokonuje się to w oderwaniu od podziałów klasowych, w formie konfrontacji indywidualnych preferencji dotyczących np. marek samochodowych czy upodobań w dziedzinie muzyki.

Analizując te wzory można ustalić, jak jedzenie klasyfikuje ludzi w strukturze społecznej, tzn. sytuuje ich w relacji do innych jednostek. Chodzi o potrawy, przyciągające uwagę ze względu na modę, egzotykę, poczucie ekskluzywności, upodobania i smaku. Niektórych z nich można nie lubić, ale spożywa się je w celu zdobycia uznania, wykazania się dobrymi znajomościami, przynależnością do wysokiej kultury i demonstrowania luksusu. Opierając się na danych dla Polski spróbuję wykazać, że wzory jedzenia kreują symbole wyższości – niższości społecznej według podobnej logiki jak wykazywano to dla wzorów ubierania się, uprawiania rekreacji i sportu czy gustów muzycznych.

Moja argumentacja jest następująca: przemiany zachodzące w Polsce sprawiły, że niektóre aspekty tradycyjnych zwyczajów żywieniowych zaczęły tracić znaczenie. Z jednej strony, w powszechnym użyciu są dzisiaj rozmaite składniki, które jeszcze kilkanaście lat temu uchodziły za egzotyczne i trudno dostępne. Z drugiej strony, produkty żywieniowe obecne w kulturze popularnej (w serialach telewizyjnych, pismach ilustrowanych, w internecie) uświadamiają odbiorcom, że codzienna dieta nie musi się ograniczać do typowych dań kuchni polskiej, lecz daje się łatwo rozszerzyć na dania inspirowane kuchnią innych narodów. Przemiany te rozmywają tradycyjne linie podziału, ale ich całkowicie nie znoszą. Między osobami o wysokim i niskim statusie w dalszym ciągu zachodzą różnice pod względem tego, co i jak jedzą. Na jednym krańcu sytuują się osoby spożywające obiad w samotności w sensie dosłownym (na przykład przy biurku, przy którym pracują), na drugim zaś – osoby, dla których posiłek jest wartością samoistną, a czas spożywania posiłku jest wyraźnie oddzielony od pracy. Dla osób z pierwszej kategorii posiłek stanowi wyłącznie źródło kalorii i wartości odżywczych, dla osób z grupy drugiej – jest rytuałem, którego znaczenie wykracza

1 Simmel G., *Socjologia*, Warszawa 2006, PWN.

2 Bauman Z., *Work, Consumerism and the New Poor*. Buckingham 1998, Open University.

3 Giddens A., *Modernity and Self-Identity: Self and Society in the Late Modern Age*. Stanford 1991, Stanford University Press.

poza funkcje żywieniowe, stając się również przeżyciem estetycznym i sposobem nawiązywania kontaktów.

Podstawą tej analizy są dane z badania przeprowadzonego w 2013 roku na reprezentatywnej ogólnopolskiej próbie losowej, które objęło w sumie 2361 respondentów. Skoncentruję się na posiłkach. Ludziom zadawano następujące pytanie: „Poniżej znajduje się lista różnych potraw i produktów spożywczych (respondent dostawał kartę z nazwami). Proszę wskazać te, które jadł(a) lub pił(a) P. kiedykolwiek w swoim życiu?”. Na liście umieszczono kilkadziesiąt produktów, wśród których dominowały potrawy egzotyczne i rzadko stosowane, takie jak bakława i czulent, ale również tradycyjnie polskie, jak sałatka jarzynowa i zsiadłe mleko z dodatkiem kartofli.

W funkcjonalnej teorii uwarstwienia stwierdza się, że zgodnie z zasadami kształtowania się stratyfikacji społecznej najbardziej cenione powinny być te dobra, które są trudno dostępne dla ogółu jednostek. Okazuje się, że prawidłowość ta tylko częściowo sprawdza się w odniesieniu do polskiego kontekstu.

Najczęściej jedzone są kaszanka, sałatka jarzynowa z majonezem, kopytka i zsiadłe mleko z dodatkiem ziemniaków. Tylko kilka procent, a dokładniej – mniej niż 10 proc. brakuje, żeby stały się one potrawami spożywanych przez wszystkich. Trochę rzadziej je się golonkę (88,3 proc.), flaki (88,3 proc.), łososia (83,6 proc.) oliwki (71 proc.) i hot-doga (76,4 proc.), a w dalszej kolejności jagnięcinę i szynkę parmeńską (54-56 proc.) oraz – egzotyczne z nazwy – tiramisu i tortillę (55-58 proc.). Wszystkie te potrawy praktykowane są przez ponad połowę ludności. Z faktu, że są one często stosowane, znane, a więc również możliwe do nabywania przez większość wynika, że nie można ich zaliczyć do potraw trudno dostępnych. Większość mieszkańców Polski dobrze wie, że tiramisu jest ciastkiem, a z kolei, tortilla to pochodzący z kuchni hiszpańskiej rodzaj grubego omletu z pokrojonych w plasterki ziemniaków, często z dodatkiem warzyw, mięsa, ryb i przypraw.

Natomiast do kategorii jedzenia cieszącego się wyższym prestiżem można by zaliczyć stosunkowo najrzadziej spożywane i najmniej znane potrawy. Kwalifikują się do nich czulent (gulasz z fasolą cebulą i kaszą, tradycyjna potrawa kuchni żydowskiej) wymieniany tylko przez 3 proc. respondentów, następnie bakława, jedzona przez 6,2 proc., pilaw (7,6 proc.), musaka (8,2 proc.), oraz mule, rodzaj małż, które spożywało nie więcej niż 10,4 proc.. Znacznie więcej zwolenników mają carpaccio (28,3 proc.), karczochy (30,1 proc.) i kuskus (38,9 proc.). W przypadku Polski potrawy te cieszą się stosunkowo dużą popularnością, chociaż i tak ustępują najczęściej spożywanym produktom.

Zgodnie z intuicjami jedzenie tych potraw okazuje się być zróżnicowane w zależności od tego, czy należy się do kategorii wyższych kierowników i specjalistów, pracowników umysłowych, właścicieli firm, robotników czy rolników. Wyżsi kierownicy i specjaliści częściej wybierają te potrawy niż kategorie o niższym statusie społecznym. Częściej je lubią i uznają za ważne, demonstrowując i podkreślając w ten sposób zajmowanie wyższej pozycji społecznej. W nawiązaniu do teorii Bourdieu można powiedzieć, że potrawy te reprezentują inny habitus, który polega na „klasyfikowaniu” jed-

nostek w kategorii różniące się smakiem i wyborami w zakresie konsumpcji.

Biorąc pod uwagę dystanse między tymi klasami, hierarchia ta najsilniej rysuje się pod względem jedzenia tiramisu, kuskusu i tortilli. Zwyczaj jedzenia tiramisu okazuje się odzwierciedleniem podziału na klasę średnią (70-77 proc.), robotniczą (40-45 proc.) i chłopską (31 proc.) w wymiarze konsumpcji. Podobnie kształtowały się różnice w jedzeniu tortilli. Natomiast spożywanie kuskusu kształtowało się już w postaci typowej stratyfikacji społecznej, zaczynając od wyższych kierowników i specjalistów (63,5 proc.) przed pracownikami umysłowymi (54,5 proc.) i właścicielami (46,6 proc.), którzy wyraźnie wyprzedzali kategorie robotników (23-27 proc.) – zdecydowanie najniżej lokowali się w wymiarze jedzenia kuskusu rolnicy (14 proc.).

Przewaga inteligencji nad innymi klasami występuje w przypadku większości analizowanych tu potraw. Wyprzedzają oni drugich z kolei właścicieli i pracowników umysłowych pod względem jedzenia krewetek, hot doga, jaj przepiórczych i blinów. Mają największy udział w jedzeniu sushi, karczochów, sera koziego, szynki parmeńskiej, a nawet łososia, spożywanego przez ponad 80 proc. ogółu ludności. Są również najliczniejszym ośrodkiem popularyzacji rzadkich potraw napływających z innych społeczeństw i kultur. Odsetek inteligencji jedzącej mule wynosi 26,9 proc. Było to prawie dwukrotnie częściej w porównaniu ze spożywaniem tej potrawy przez pracowników umysłowych (13,5 proc.) i właścicieli (15 proc.) i kilkakrotnie częściej w porównaniu z robotnikami (4-5 proc.), nie mówiąc już o rolnikach lokujących się na samym dole tego wymiaru jedzenia (1,5 proc.). Z kategorii wyższych kierowników i specjalistów rekrutują się najwięksi zwolennicy jedzenia bakławy (12,8 proc.), pilawa (15,9 proc.) i musaki (20 proc.). Pod względem spożywania tych potraw wyprzedzali pracowników umysłowych i przeskakujących ich w niektórych wymiarach właścicieli poza rolnictwem.

Jeżeli chodzi o kształt stratyfikacji jedzenia, to wyższa klasa średnia oraz „stara” i „nowa” konsekwentnie lokują się przed klasami o niższym statusie społecznym. Najniżej ze względu na jedzenie tych potraw sytuują się robotnicy rolni i właściciele gospodarstw. Tylko 1,6 proc. rolników jadło bakławę i prawie tyle samo musakę, 2,8 proc. pilaw, a 10 proc. karczochy i sushi. Rolnicy najrzadziej jedli też bardziej popularne produkty: łososia, bliny, oliwki, ser koryciński – produkt o regionalnym zasięgu – i szynkę parmeńską. Tylko 39,1 proc. reprezentantów tej kategorii deklarowało jedzenie jagnięciny, ustępując robotnikom (46-56 proc.) i kategoriom lokującym się w górnej połowie hierarchii.

Tak więc wyżsi kierownicy i specjaliści częściej wybierają prestiżowe i wysoko cenione potrawy niż kategorie o niższym statusie społecznym. Częściej podlegają wpływowi globalizacji i napływowi egzotycznych wzorów jedzenia. Więcej o nich wiedzą i lepiej je znają dzięki kontaktom zawodowym, znajomościom, turystyce zagranicznej i spędzaniu wolnego czasu. Wynika to z potrzeby manifestowania własnej pozycji społecznej, uzyskania prestiżu, demonstrowania luksusu i innych aspektów. Wyższe klasy średnie lubią eksperymentować i nie unikają sprawdzania nowości. Robotnicy i rolnicy nie mają tych potrzeb. Niechętnie eksperymentują ze smakiem, ponieważ nieudany eksperyment pociąga za sobą nie-

Tabela. Odsetki osób, deklarujących, że jadły daną potrawę. Polska 2013

Czy respondent jadł kiedykolwiek w swoim życiu?	Wyżsi kierownicy, Inteligencja	Pracownicy umysłowi	Właściciele małych firm	Robotnicy wykwalifikowani	Robotnicy niewykwalifikowani	Rolnicy	Ogółem
bakławę	12,9	8,4	5,5	4,0	4,7	1,6	6,3
bliny	56,3	50,4	51,8	39,1	38,1	37,5	44,9
carpaccio	52,5	36,7	40,1	19,6	20,0	9,1	28,7
czulent	4,2	4,8	2,3	2,6	0,6	1,7	3,0
Jagnięcina	61,7	58,3	65,8	56,6	46,0	39,3	54,2
jaja przepiórcze	40,1	31,4	34,5	18,7	17,3	10,1	24,7
karczochy	50,4	39,3	39,8	20,7	22,0	13,1	30,4
krewetki	62,4	52,7	59,3	33,4	29,1	24,8	42,4
kuskus	63,5	54,8	46,7	24,2	27,6	14,0	39,1
łosoś	95,0	90,7	91,0	80,7	77,0	64,7	83,6
mule	27,1	13,5	14,9	5,2	6,2	1,5	10,5
oliwki	89,0	83,1	79,7	63,8	58,7	49,0	71,0
piław	16,2	11,3	11,2	2,4	4,5	2,8	7,7
ser kozi	67,5	60,7	65,1	44,6	36,1	26,3	49,7
sushi	49,7	32,8	38,6	18,6	16,2	10,6	26,2
szynka parmeńska	73,4	65,2	65,7	50,3	43,4	40,5	56,1
tiramisu	77,3	77,7	70,3	41,3	45,0	30,9	58,2
tortilla	73,2	71,9	64,3	45,3	43,3	27,1	55,6
musaka	20,0	12,3	12,7	2,7	2,8	3,1	8,3
ser koryciński	18,1	8,8	15,0	6,0	5,5	4,2	8,3
porto	53,0	34,9	42,9	24,5	19,2	10,9	29,3
Flaki	86,3	83,9	94,4	91,4	89,5	92,1	88,3
sałatka jarzynowa z majonezem	98,0	97,8	98,4	98,2	95,5	97,3	97,4
gęsi pipkek	6,7	7,8	5,3	7,1	9,0	5,8	7,4
golonka	80,7	80,6	90,4	89,1	82,8	89,5	84,4
kaszanika	91,2	92,6	96,1	95,5	94,7	98,1	94,3
mózg cielęcy lub wieprzowy	20,9	20,7	32,6	22,7	24,8	24,3	23,0
Tatar	79,3	69,1	79,7	71,3	70,7	61,7	70,7
Kopytka	98,5	97,0	97,7	95,2	96,5	94,3	96,4
zsiadłe mleko z ziemniakami	95,6	89,2	94,6	91,9	92,5	92,6	91,7
hot dog	83,6	81,1	77,0	75,7	69,4	69,3	76,4
nożki w galarecie	84,1	77,1	81,6	83,5	80,1	86,6	81,0

potrzebną utratę pieniędzy i dlatego częściej spożywają potrawy, które są im już znane i nie oznaczają ryzyka.

Jaki stąd wniosek? Z jednej strony, zachowania związane z jedzeniem są podłożem integracji różnych poziomów struktury społecznej, zaczynając od rodziny, a kończąc, przykładowo, na arystokracji lub elicie biznesu. Z drugiej strony, jest to wyznacznik wyższości i niższości społecznej, podobnie jak nierówności poziomu wykształcenia, dochodów czy władzy. Style jedzenia są jednym z czynników podtrzymujących istniejącą hierarchię klasową, mimo oddziaływania globalizacji, migracji, konsumpcji masowej i innych zjawisk, które traktowane są jako świadectwa odrywania się stylu życia od usytuowania w strukturze społecznej.

Zjawiska te przenikają z kultury zachodniej do Polski w miarę kształtowania się struktur rynkowych, przynosząc nowe wzory jedzenia określane tam mianem indywidualizacji, informalizacji, stylizacji, nowoplemienności i innymi nazwami. Powoduje to zderzenie się tradycyjnych zwyczajów z nowymi, ale nie osłabia istniejących hierarchii klasowych, ponieważ nowe style jedzenia dopasowują się do istniejących hierarchii. Pojawienie się tych mechanizmów nie zaprzecza logice stratyfikacji klasowej, ale raczej ją wzmacnia. Podziały klasowe odtwarzają się w coraz to nowej postaci, kreowane przez coraz to nowe wyznaczniki wyższości społecznej.

HENRYK DOMAŃSKI

„KOWADŁO” DLA EDWARDA CHUDZIŃSKIEGO

Prezes „Kuźnicy” na powitanie:

Spotkanie takie jak dzisiaj zaliczamy w długich już dziejach „Kuźnicy”, które są naszymi osobistymi dziejami, do najmilszych. Wręczamy „Kowadło” – nagrodę, którą sami wymyśliliśmy i sami, z własnej woli, przyznajemy. Dajemy ją tym, którym chcemy podziękować i każdemu laureatowi powiedzieć: szanujemy cię i cenimy. Jesteś dla nas bardzo ważny i drogi.

W ostatnich latach wręczamy te „Kowadła” coraz młodszemu – zaledwie siedemdziesięciolatkom. Przed niedawnymi laty byli to dziewięćdziesięciolatkowie.

A ja tych 70-latków, czasem 80-latków pamiętam jako młodych, bardzo zdolnych chłopców, którzy zmieniali życie i atmosferę Krakowa, kulturalne życie i atmosferę Polski – ku mądrości, ku pięknu, ku młodości. To tacy twórcy kultury jak Hieronim Kubiak, Jerzy Treła, Krzysztof Jasiński – dziś Edward Chudziński.

Przed niewielu godzinami otrzymałem wiele telefonów usprawiedliwiających tych, którzy tu z nami być chcieli, ale nie mogli. A ilu mogło i są na tej sali? – to bardzo znaczące nazwiska ze świata nauki i uczelni, kultury i jej zjawisk i instytucji – literatury, wielkiego dziennikarstwa, teatru.

Edwarda Chudzińskiego – zarazem jednego z filarów „Kuźnicy” – najdłużej działającego we wspaniałym poczcie naczelnych redaktorów „Zdania” witamy tu wraz z żoną Anną.

Ale laudację wypowie jeden z jego pokolenia – przybyły aż z Warszawy, z Indii i Ameryki Łacińskiej niezwykle znawca tych miejsc, kultur i społeczeństw – Krzysztof Mroziewicz.

I jemu oddaję głos. Ale zanim to zrobię – uderzę trzykrotnie w nasze kowadło.

ANDRZEJ KURZ

Rada Stowarzyszenia „Kuźnica”

przyznaje

Edwardowi Chudzińskiemu

Honorową Nagrodę „Kowadła”

w uznaniu Jego:

- ▶ *wytrwałości w podejmowaniu od czasów studenckich i rozwijaniu do dziś twórczych inicjatyw w dziedzinie kultury – szczególnie piśmiennictwa i teatru,*
- ▶ *nowatorskich badań nad regionalizmem i nurtem chłopskim w polskiej kulturze i życiu społecznym,*
- ▶ *dorobku myśli krytycznej i naukowej oraz wysiłku pedagogicznego w dziedzinie mediów i dziennikarstwa,*
- ▶ *wyjątkowych zasług w gromadzeniu zespołu autorskiego i redaktorskiego oraz wieloletniego kierowania pismem „Kuźnicy” – „Zdaniem” – na poziomie wciąż budzącym uznanie.*

Kraków, 13 czerwca 2016 r.

KRZYSZTOF MROZIEWICZ

MAMY SZCZĘŚCIE BYĆ POKOLENIEM Z BIOGRAFIĄ

Vir venerabilis atque docte. Quinquaginta annos est mihi cum tibi consuetudo, sed amicitia nostra etiam firmiora atque nihil umquam nostrae amicitiae nocuit. Potestne amicitia artibus, scientiis litterisque diversis inesse?

Mężu Dostojny i Uczony. Zawarliśmy znajomość pół wieku temu, a przyjaźń nasza trwa jeszcze dłużej i nic jej nigdy nie zaszkodziło. Czy przyjaźń może istnieć w sztukach, naukach, różnego rodzaju pisarstwach? Wielcy nie znoszą innych koło siebie. Na naszym piętrze było inaczej. Starsi koledzy (a wcześniej mistrzowie) – Kapuściński i Puzyna – patrzyli za siebie, żeby zobaczyć, kto tam jeszcze idzie. Jeśli dostrzegali kogoś młodszego, komu warto było przyjrzeć się uważniej, zawierali z nim znajomość i wciągali do własnego kręgu. Habilitowali. Natomiast rówieśnicy Kapuścińskiego i Puzyny postępowali odmiennie. Odwracali się, żeby wypatrzeć tego, kogo należy zniszczyć. Życzliwości nauczyliśmy się od Ryśka i Keta. Mamy prawo mówić o nich po imieniu, bo nas do tego upoważnili, obdarzając przyjaźnią.

Mamy szczęście być pokoleniem z biografią. Chudziński jest jednym z intelektualnych liderów tego pokolenia. Marzec 1968 to zjawisko wcześniejsze metrykalnie od maja barykad w Paryżu, ale ideowo i wartościowo rówieśne. Wchodziliśmy wtedy do Europy mimo Muru Berlińskiego. Kiedy wyjazd do Czechosłowacji był niewiarygodną przygodą, myśmy jako grupy ZSP jeździli do Turcji, Monako, NRF, Wenezueli, Iranu, Meksyku, Nowego Jorku, Włoch i z przyszłym ministrem kultury Francji, Jackiem Langiem, piliśmy z plastikowej butelki *vin rouge*, siedząc na trawniku w Nancy.

Nazwisko Jasińskiego wymieniano wtedy jednym tchem z nazwiskami Schumanna, Schechnera, Ginsberga i Benedetta. Czy zazdrościliśmy? Oczywiście. Ale ta zazdrość pchała do przodu. Była motywująca. Zrobiłeś wielkie przedstawienie? Ja nie mogę zostać z tyłu... Nie było w naszych przyjaźniach tej wściekłej polskiej zawiści: napisałeś książkę? To ją ja recenzuję tak, że ci się odechce.

Obszar kontestacji i kontrkultury mógł wchłaniać jak czarna dziura. Takich przywódców jak Cohn Bendit czy Joschka Fischer zetałyzowano. Może i szkoda, choć w roku 2016 śmieszną rzeczą jest chodzić w roli starego hippie po plaży w Goa lub zasiadać w Sejmie. Dziś kontrkultura nie ma nic do roboty, bo elita, przeciwko której protestujemy, nie tworzy żadnej kultury. Tamtą można było wyzywać korzystając z dwuznaczności czasownika i obydwu skrywanych pod nim desygna-

tów. O obecnej powiemy co najwyżej, że jest gówniana i chamska, lub – używając języka laudacyjnego – że nie liczy się z drugim człowiekiem.

Chudziński był i jest rasowym dziennikarzem. Z każdą formą był u siebie w domu. Najbliższym jest mu felieton, bo taki ma temperament. Jeśli kogoś położy na kowadle i podniesie rękę – ofiara może już tylko pomodlić się... „Zdanie” istnieje po dziś dzień już tylko dzięki niemu. Nie ma poważnej biblioteki w Polsce (i w paru miastach na świecie), w której zabrakłoby tego z żelazną (chciałoby się powiedzieć – „kowadlaną”) konsekwencją prowadzonego periodyku. Nie chowa warsztatu dla siebie. Potrafi dzielić się z uczniami. Uważam się za jednego z nich. Tekst do „Studenta” – *Teatru Hybrydy śmierć na raty*, od którego liczę moją zawodową drogę – skrócił mi o połowę. Uważam to za jedną z najważniejszych lekcji dziennikarstwa.

Chudziński, współautor legendarnych spektakli Teatru STU – *Spadania* i *Sennika polskiego* – objawił talent scenopisarski niespotykanej wartości. Jest zresztą postacią wielu talentów. Pasuje doń jak ulał spostrzeżenie Dostojewskiego: „talent to celne wykonywanie tego, co miernota robi nieudolnie”.

Dla równowagi – bo kontrkultura to Mahatmy Gandhiego rewolucja bez przemocy – zajmował się regionalizmem, w którym – po wejściu Polski do Unii Europejskiej – mamy nowe obszary znaczeniowe. W latach kontestacji nie wolno nawet było o nich marzyć. Trójkąty weimarskie, figury wyszehradzkie, międzymorza Jagiellonów, wszystko to było w historii, ale miało pojawić się na nowo. Dzięki takim badaczom jak Chudziński trzeba je pogodzić teraz z wioskami pod Bielskiem Białą, w których mówi się mieszaniną języków celtyckich i niderlandzkich.

Gorzej z trzecim polem „trójpolówki” na hacjendzie Chudzińskiego – literaturą chłopską (wiejską?), bo ona w żaden sposób nie daje się pisać na klawiaturze komputera, a zagony orane traktorami Lamborghini wymagają Orkana w stylu Sapkowskiego. Od czasu, kiedy Wiesław Myśliwski (jemu wystarczyła kartka i ołówek, jak fizykowi teoretycznemu), przeszedł z Sandomierza na obszary zagospodarowane już przez Romain Rollanda i Tomasza Manna, Chudzińskiemu zostało więcej miejsca i czasu.

To dobrze, dottore, bo trzeba zaczynać od nowa.

Ita bene est, dottore, namque de novo incipiendum est.

Imprimatur.

■

EDWARD CHUDZIŃSKI

MOJE ODCHYLENIE LEWICOWE

Domyślam się, że skoro „Kuźnica” przyznała mi swoje „Kowadło”, co jest dla mnie wielkim wyróżnieniem, to głównie za redagowanie „Zdania”. Z pismem tym jestem związany od początku jego ukazywania się. O tym, co w nim robiłem i robię nadal, opowiadam w rozmowie „Trzech na jednego” z moimi znakomitymi poprzednikami na stanowisku redaktora naczelnego, więc nie będę się tutaj powtarzał. Rada „Kuźnicy” w swoim uzasadnieniu łaskawie zauważyła także inne przejawy mojej aktywności – ja je nazywam uprawianiem trójpolówki – za co serdecznie dziękuję. Ale jako laureat „Kowadła” – honorowej nagrody przyznawanej przez środowisko lewicowej inteligencji Krakowa – powinienem, jak sądzę, wytłumaczyć się, co ja tu między Wami robię. Moja legitymacja członkowska „Kuźnicy” ma numer 52, który może wydawać się dość odległy, lecz – o ile pamiętam – pierwsze 50 miejsc było zarezerwowanych dla członków-założycieli. Zatem jestem jednym z pierwszych członków przyjętych w 1975 roku do Klubu Twórców i Działaczy Kultury „Kuźnica”, gdyż taka była wówczas jego nazwa, w normalnym trybie.

Mam w swojej biografii epizod ZMP-owski jako licealista, ale nie on zaważył na moich wyborach ideowych. Wręcz przeciwnie, osobiste doświadczenia związane z rozwiązaniem tej organizacji zniechęciły mnie na długie lata do angażowania się w działalność polityczną. I gdyby nie „Student”, gdzie uświadomiłem sobie, że jako bezpartyjny mam ograniczone możliwości wpływu na linię programową pisma, do partii bym raczej nie wstąpił. W każdym razie moja sytuacja pracownika naukowo-dydaktycznego na uczelni tego nie wymagała. Poruszony tu problem podjął Mieczysław Rakowski w głośnym artykule *Dobry fachowiec, ale bezpartyjny* w „Polityce”.

Tak więc w „Kuźnicy” znalazłem się już jako towarzysz, lecz z krótkim, bo zaledwie paroletnim stażem partyjnym i nie mający nabożnego stosunku do partii. To nas, grupę 30-latków, różniło od starszych towarzyszy, a wprawiało w stan irytacji, kiedy mówili o sobie, a poniekąd i za nas: my, komuniści. Nie tylko nie identyfikowaliśmy się z tą etykietą, lecz dość otwarcie deklarowaliśmy bliskość z zachodnią socjaldemokracją. Moja „Kuźnica” lat 70. to był nurt reformatorski w partii, a kiedy się okazało, że jest ona niereformowalna, w trzecim dniu stanu wojennego oddałem legitymację. I tym razem wytrwałem w postanowieniu – do żadnej partii nie wstąpiłem i już nie wstąpię.

Nie byłem w tym geście odmowy odosobniony. Jednak w moim przypadku nie oznaczał on ani konwersji i wyboru innej opcji ideowej, ani zerwania z bliskim mi środowiskiem lewicy, skupionej wokół Ośrodka Kultury „Krakowska Kuźnica” oraz „Zdania”, w którym mnie to-



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

lerowano przez całe lata 80. i to na stanowisku kierownika działu kultury. A kiedy w 1988 roku zarejestrowało się Stowarzyszenie „Kuźnica”, bez wahania zadeklarowałem do niego akces. Odpowiada mi bowiem jego orientacja ideowo-światopoglądowa i ponadpartyjne usytuowanie, uwzględniające podziały na lewicy. Marawi natomiast nikły napływ młodych członków.

Do lewicy instytucjonalnej mam stosunek krytyczny. Popeliła ona wiele błędów w pierwszym okresie transformacji ustrojowej, których nie usprawiedliwia fakt, że – jak to ujął prezydent Kwaśniewski w rozmowie ze „Zdaniem” – nikt przed nami nie wracał od socjalizmu do kapitalizmu. To trzeba uwzględnić, ale spór dotyczy wyboru drogi, którą się poszło: za Sachsem i Balcerowiczem czy za skandynawami i prof. Kowalikiem. Potem lewica sejmowa poparła program powszechnej prywatyzacji, będący kpina z ludzi zatrudnionych w sferze budżetowej. I tak krok za krokiem i rok za rokiem brnęła lewica w kompromisy z demokratami, liberałami i ludowcami, wyrzekając się swojej tożsamości. Aż przyszedł dzień sądu i znalazła się poza parlamentem. Dzisiaj nie do zaakceptowania jest strategia i taktyka, polegająca na zdobyciu 5-7-procentowego poparcia i uchwyceniu przyczółka w Sejmie, który zaspokoi ambicje liderów.

Ale gotów też jestem tej lewicy bronić. Nie ulega bowiem wątpliwości, że to elity postsolidarnościowe oraz partie, liderzy i media wywodzące się z opozycji demokratycznej do 2005 roku w lewicy widziały główne zagrożenie dla procesu transformacji i reform, strasząc społeczeństwo PRL-em bis. I to one ugotowały drogę PiS-owi do władzy, same stając się dzisiaj, po wyeliminowaniu lewicy, głównym obiektem ataku.

Obiecuję, że do tych kwestii będziemy na łamach „Zdania” wracać. ■

TOMASZ SĘKOWSKI

DEMOKRACJA A INTEGRACJA NIEPEŁNOSPRAWNYCH¹

Jakość życia i efekty kształcenia osób niepełnosprawnych są zbyt poważną sprawą, aby decyzje dotyczące edukacji i zatrudnienia tej grupy ludzi mogły być podejmowane w oparciu o inne niż naukowe, wzbogacone o wiedzę praktyków kryteria, a nade wszystko, analizę potrzeb i opinii samych zainteresowanych.

W pracach, w których prezentowałem wyniki moich badań dotyczących związku nasilenia wybranych cech osobowości i temperamentu osób niewidomych oraz warunków środowiska ich zatrudnienia zwracałem uwagę na fakt, że pedagog specjalny, pomagający niepełnosprawnej osobie w wyborze kierunku kształcenia czy pracy, powinien uwzględniać preferencje kandydata wynikające z jego indywidualnych predyspozycji, potrzeb, możliwości, filozofii celów życiowych i aktualnego stanu psychofizycznego. Bardzo ważnym czynnikiem jest również kontekst środowiska kształcenia lub zatrudnienia osoby niepełnosprawnej. Ów kontekst badacze problemu funkcjonowania uczniów i w ogóle osób niepełnosprawnych rozpatrują w różnych aspektach wpływu środowiska kształcenia i pracy na formowanie osobowości, efektywność działania, funkcjonowanie społeczne i komfort życia.

Jednak dosyć często daje się słyszeć głosy osób uważających, że istnienie szkół specjalnych i zakładów pracy chronionej zaprzecza idei integracji. Wynika to z niezrozumienia filozofii stojącej u jej podstaw i z trudności we właściwym zrozumieniu jej istoty. Uważam, że najwyższy czas podjąć dyskusję z tym przekonaniem, gdyż jest ono konsekwencją przyjętego sposobu myślenia opartego na błędnych przesłankach.

Fundamentem prawdziwie humanistycznego spojrzenia na zagadnienie integracji jest uznanie człowieka, jego godności i wolności za najwyższą wartość. Wolność jednostki może być ograniczona jedynie koniecznością przestrzegania prawa do wolności innych ludzi. Tylko wtedy, gdy jednostki i grupy mniejszościowe mają prawo do decydowania o sobie i swoim życiu, możemy mówić

o rzeczywistej demokracji. Czy mamy zatem prawo za bronić osobie niepełnosprawnej poszukującej pracy lub uczniowi z niepełnosprawnością i jego rodzicom wybrać takie środowisko zatrudnienia czy nauki, które odpowiada jego potrzebom, możliwościom, planom i preferencjom?

Ku merytorycznej dyskusji

Prawa osób niepełnosprawnych do podejmowania nauki jak również pracy w wybranym, najlepszym dla siebie środowisku, zagwarantowane są w wielu dokumentach międzynarodowej i krajowej rangi. W Konstytucji RP w art.65 ust.1 czytamy: „Każdemu zapewnia się wolność wyboru i wykonywania zawodu oraz wyboru miejsca pracy...”. Z kolei w Kodeksie pracy w rozdziale III art.10, zatytułowanym *Podstawowe zasady prawa pracy*, znajduje się następujące sformułowanie: „Każdy ma prawo do swobodnie wybranej pracy...”.

W uchwale Sejmu RP z 1997 r. – *Karta praw osób niepełnosprawnych* w paragrafie 1 pkt. 4 czytamy: „Sejm stwierdza, iż oznacza to w szczególności prawo osób niepełnosprawnych do: nauki w szkołach wspólnie ze swymi pełnosprawnymi rówieśnikami jak również do korzystania ze szkolnictwa specjalnego lub edukacji indywidualnej”.

Sposób rozumienia idei integracji przez zwolenników likwidacji szkół specjalnych i zakładów pracy chronionej, doprowadza do ograniczania praw obywatelskich osób z niepełnosprawnością i braku ich równouprawnienia z osobami pełnosprawnymi. Paradoksalnie, walcząc o to, czego skutkiem będzie uniemożliwienie wyboru środowiska kształcenia oraz pracy, osoby te walczą o nową segregację ludzi niepełnosprawnych. Nie można społeczeństwa dzielić na tych, którzy mają prawo do swobodnego wyboru miejsca nauki i pracy i tych, którzy go nie mają. Podstawowe prawa obywatelskie obejmują przecież wszystkich obywateli.

Wydaje się, że opinia o konieczności likwidacji szkół specjalnych i zakładów pracy chronionej wynika z dychotomicznej wizji tego zagadnienia i wykluczenia możliwości współistnienia różnorodnych wyborów. Nikt z nas wszakże nie chce, aby osoby niepełnosprawne w demokratycznym państwie w XXI wieku zostały pozbawione prawa do decydowania o sobie.

Na szczęście środowisko osób niepełnosprawnych coraz mocniej występuje jako podmiot w dyskusji nad kształtem integracji i wzbogaca ją o bardzo cenny materiał. Oczywiście spotykamy bardzo różnorodne opinie i preferencje – od takiej, że ktoś nie wyobraża sobie, aby mógł dobrze się czuć będąc zatrudnionym w zakładzie pracy chronionej, do takiej, że tylko tego typu zakład pracy, na przykład spółdzielnia socjalna, jest miejscem, gdzie osoba niepełnosprawna może się re-

1 Autor starając się propagować swój niestety aktualnie „niepoprawny” punkt widzenia, usiłuje docierać ze swoimi opiniami do jak najszerszych środowisk zarówno naukowych, jak praktyków. Dlatego też niniejszy tekst w nieco innej formie był publikowany w materiałach po konferencji naukowej: *Konteksty integracyjne edukacji i rehabilitacji osób niepełnosprawnych*, [w:] Z. Palak i in. (red.), *Edukacyjne i rehabilitacyjne konteksty rozwoju osób z niepełnosprawnością w różnych okresach ich życia*, Lublin, Wydawnictwo UMCS, 2010, jak również w czasopiśmie środowiska działaczy i nauczycieli niewidomych w podwarszawskich Łaskach: *Integracja społeczna osób niepełnosprawnych*, „Łaski”, 2015, nr 4–5 (126–127), Towarzystwo Opieki nad Ociemniałymi, s. 57–63.

alizować. W warunkach polskich spółdzielnie socjalne, czyli specyficzna forma spółdzielni pracy utworzona dla prowadzenia działalności gospodarczej w oparciu o osobistą pracę jej członków dla osiągnięcia naczelnego celu, tj. integracji społecznej i zawodowej osób niepełnosprawnych lub wykluczonych społecznie.

Do założenia spółdzielni socjalnej w Polsce uprawnieni są m.in. osoby niepełnosprawne, w tym chore psychicznie, osoby bezrobotne, bezdomni realizujący indywidualny program wychodzenia z bezdomności, uzależnieni od alkoholu po zakończeniu programu psychoterapii, uzależnieni od narkotyków lub innych środków odurzających po zakończeniu programu terapeutycznego, osoby chore psychicznie. Warto nadmienić, że ta forma zatrudnienia niepełnosprawnych jest coraz bardziej popularna w wielu krajach Europy Zachodniej (np. Włochy, Niemcy, Francja).

Istota integracji polega na możliwości wspólnego uczestnictwa i kreowania przez osoby pełnosprawne i niepełnosprawne maksymalnej ilości obszarów życia. Uważam, że nasze działania winny skupiać się na tworzeniu warunków do jak najpełniejszej realizacji różnorodnych form pracy i kształcenia tak, aby osoby niepełnosprawne miały możliwość wyboru tych, które im najbardziej odpowiadają.

Definicja pedagogiki specjalnej od czasów aktywności naukowej twórczyni polskiej pedagogiki specjalnej Marii Grzegorzewskiej uległa poszerzeniu. Nic dziwnego, bo przecież ta wybitna postać tworzyła i pracowała na początku XX stulecia. Aktualnie, za Zofią Sękowską, pedagogikę specjalną rozumie się nie tylko jako teorię wychowania i nauczania w szkolnictwie specjalnym, ale wskazuje się, iż jest „teorią i praktyką kształcenia specjalnego, a więc rehabilitacji i resocjalizacji prowadzonej w różnych formach organizacyjnych, w tym także ogólnodostępnym szkolnictwie publicznym”. I dalej: „To rozszerzenie problematyki pedagogiki specjalnej, wiąże się ściśle z ideą integracji jednostek odchylonych od normy rozwojowej z całym społeczeństwem, uzasadnionej względami merytorycznymi i humanistycznymi”.

Problem przygotowania do dalszej nauki dzieci niewidomych, z niepełnosprawnością słuchu czy intelektualną (zwłaszcza w głębszym stopniu) jest bardzo złożony i wymaga subtelnych badań i analiz, a przede wszystkim wrażliwości i umiejętności dostrzeżenia możliwości, potrzeb i preferencji samych zainteresowanych. Nie mniej istotne są istniejące warunki, a szczególnie przygotowanie kadry, liczebność klas, możliwości zapewnienia nauczycieli wspomagających, pomocy dydaktycznych oraz poziom świadomości otoczenia społecznego.

Aktualnie wydaje się, że tylko szkoła specjalna może zapewnić na przykład uczniowi niesłyszącemu program rozwoju kompetencji językowej dziecka oraz nauczycieli, którzy władają manualnymi systemami wspomagania rozwoju mowy i języka, jak również możliwość korzystania przez dziecko ze specjalnie opracowywanych i bogato ilustrowanych słowników i specjalnych programów multimedialnych czy też systemu FM umożliwiającego dziecku niesłyszącemu odbiór przez indywidualny aparat słuchowy wzmocnionych dźwięków mowy nauczyciela i innych uczniów w klasie, itd.

Wszystcy mamy nadzieję, że pomoce i udogodnienia niezbędne do zgodnego z najlepszą wiedzą pedagogiczną nauczania uczniów niepełnosprawnych, których

dziś niejednokrotnie brak w szkołach masowych, kiedyś będą dostępne wszędzie tam, gdzie tacy uczniowie zdecydują się kształcić. Niestety na razie jest to tylko pobożne życzenie, a na jego spełnienie musimy zapewne długo poczekać. Przyczyny finansowe wynikające z możliwości budżetowych odgrywają tu istotną rolę.

Uczniowie niepełnosprawni i ich rodzice wybierają szkołę specjalną jako lepsze miejsce edukacji i wychowania uważają, że szkoła masowa nie jest w stanie umożliwić im tak dobrych warunków do nauki jak szkoła specjalna. Najczęściej słyszy się takie argumenty: odpowiednie kwalifikacje personelu pedagogicznego oraz możliwość i umiejętność stosowania właściwych metod i środków. Nauczyciel pracujący z uczniami pełnosprawnymi stanowiącymi większość w grupie nie znajdzie tyle czasu i energii, aby mógł zastosować odpowiednią metodykę dla ucznia z niepełnosprawnością.

Zdarza się, że uczeń niepełnosprawny wraz z rodzicami decyduje się na początku swojej kariery szkolnej na podjęcie nauki w szkole masowej, jednak po kilku miesiącach czy nawet latach okazuje się, że w szkole tej nie osiąga oczekiwanych postępów, nie może się w niej odnaleźć i dopiero wtedy trafia do szkoły specjalnej.

Rodzice i dzieci z niepełnosprawnością, także wielu nauczycieli, zwracają uwagę na fakt, że niektórzy uczniowie z niepełnosprawnością wzroku, słuchu, czy intelektualną bardzo przeżywają sytuacje, w których pomimo ogromnego wkładu pracy, niewspółmiernie większego niż ich pełnosprawnych kolegów, najczęściej z powodu skutków niepełnosprawności nie osiągają takich samych rezultatów. Jest to szczególnie częste w przypadku dzieci z upośledzeniem umysłowym i niesłyszących, ale nie rzadko skarżą się na to również dzieci niewidome.

Niektórzy uczniowie pełnosprawni niekiedy z powodu różnych frustracji, czasem złych wzorców i uprzedzeń lub innych przyczyn potrafią dokuczać niepełnosprawnemu uczniowi, nie zdając sobie sprawy z konsekwencji i krzywdy, którą wyrządzają. Dla niektórych rodziców i dzieci wybierających naukę w szkole specjalnej, obawa przed takimi przykrymi doświadczeniami bywa ważnym argumentem. Często łączy się to z przekonaniem, że potrzeba jeszcze trochę czasu na zmianę mentalności społeczeństwa.

Pragnę jeszcze podjąć polemikę z opinią, że badania nad efektami kształcenia i w ogóle nad wpływem szkolnictwa specjalnego i zakładów pracy chronionej na kształtowanie osobowości osób niepełnosprawnych są niewłaściwe. Według zwolenników takiego poglądu, nawet jeżeli takie badania ukazują pozytywne efekty, to świadczą o niezrozumieniu idei integracji.

Zdarza się, że ludzie dbający o możliwość dokonania wyboru przez osoby niepełnosprawne – a więc nie podporządkowujące się jedynej właściwej wykładni – oskarżane są o motyw egoistyczne. Proponuję, aby nie traktować tego poważnie i przejść ponad tym, gdyż taki argument nie ma żadnej wartości merytorycznej i ma jedynie charakter nieuprawnionej insynuacji.

Pedagodzy specjaliści i przedstawiciele innych dyscyplin sprawdzając w naukowy sposób, czy kształcenie dzieci, młodzieży i dorosłych ludzi niepełnosprawnych w systemie szkolnictwa specjalnego przynosi pozytywne efekty w dziedzinie rozwoju wiedzy i procesów poznawczych, kształtowania osobowości oraz funkcjonowania społecznego i osobistego, przyczyniają się do

poszerzenia naszej wiedzy o bardzo ważnym aspekcie rzeczywistości. Odpowiedź na pytanie, czy w szkole specjalnej lub w zakładzie pracy chronionej psychologiczne mechanizmy adaptacyjne pozwalają na rozwój możliwości tkwiących w jednostce, której bardziej odpowiada takie środowisko, jest nie tylko istotnym problemem teoretycznym, ale także bazą poznawczą, umożliwiającą dokonywanie rzetelnych, mądrych wyborów, tak ważnych dla ludzi niepełnosprawnych.

Streszczenie przykładu badań własnych

W tym miejscu przytoczę wyniki badań własnych dotyczących integracyjnych kontekstów kształcenia osób niewidomych i słabo widzących. Będą to efekty wybranych fragmentów badań osobowości, prowadzonych przeze mnie w latach 2007/2008, w celu weryfikacji skuteczności programu realizowanego na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim *Angielski dla Niewidomych*, wzbogaconego o doświadczenia specjalistów z Uniwersytetu Warszawskiego. Omówię pokrótce wyniki badań wybranych cech osobowości niewidomych i słabo widzących uczestników kursu języka angielskiego, będącego częścią Projektu Europejskiego Funduszu Społecznego w ramach Inicjatywy Wspólnotowej Equal. Dokładniejsze informacje o projekcie można znaleźć w pracy *Przez języki świata do pracy. Nowe idee w rehabilitacji zawodowej osób niewidomych i słabo widzących*, której jestem współautorem.

Uczestnicy kursu brali udział w zajęciach, w grupach składających się z dorosłych osób niewidomych i słabo widzących. Aby zostać zakwalifikowanym do programu, należało zgłosić się drogą internetową, uzasadnić, że spełnia się wymagane warunki i zobowiązać się do czynnego, solidnego udziału w kursie. Zajęcia odbywały się na uczelni, więc aby rzetelnie określić charakter szkolenia w aspekcie integracji, należy stwierdzić, że wyselekcjonowane grupy niepełnosprawnych studentów uczestnicząc w procesie kształcenia spotykały na przerwach – przed i po zajęciach – pełnosprawnych kolegów. Świadomość uczestnictwa w życiu uniwersyteckim niewątpliwie wywierała wpływ na samopoczucie, postawy i doświadczenia uczestników programu.

Szczególnie ważne z punktu widzenia zdolności adaptacyjnych osoby niewidomej, aktywnej postawy w poszukiwaniu swojego miejsca w świecie i realizacji własnych potencjalności są między innymi takie wymiary jak aktualizacja siebie i poczucie satysfakcji z życia. Dlatego właśnie zostaną tu przedstawione różnice w wynikach – uzyskanych przed i po odbytych przez badane osoby kursie – dwu następujących metod:

1. *Aktualizacja siebie AS-3 T. Witkowskiego.*
2. *Skala satysfakcji z życia (SWLS) E. Dienera i In. w adaptacji Z. Juczyńskiego*, adaptowana do badań osób niewidomych przez T. Sękowskiego.

Wyniki badań empirycznych metodą *Aktualizacja siebie AS-3* dowodzą, że efektem uczestnictwa osób niepełnosprawnych w kursie było zwiększenie się w sposób istotny otwartości na kontakty emocjonalne, znaczne zmniejszenie się obrony przed związkami emocjonalnymi z innymi osobami, a także wyraźne zwiększenie się akceptacji samego siebie i innych, pomimo dostrzeganych braków i wad.

Z kolei badanie *Skalą satysfakcji z życia (SWLS)* dowodzi, iż wyniki uzyskane przez badanych po zakoń-

czeniu programu, na poziomie istotnym statystycznie różnią się w porównaniu z wynikami uzyskanymi przez nich przed jego rozpoczęciem. Badane osoby wyraźnie wyrażają większe zadowolenie z własnego życia, z satysfakcji z osiągniętych ważnych celów, większą wiarę w możliwość znalezienia pracy i bardziej optymistyczne spojrzenie na swoją przyszłość jako dobrego współmałżonka oraz rodzica.

Wysoka motywacja i gotowość do działania na rzecz uczestnictwa w programie szkoleniowym, a następnie aktywny w nim udział wskazują na celowość i potrzebę organizowania takich form kształcenia. Niewidomi uczestnicy projektu chętnie i z satysfakcją brali udział w szkoleniu. Jak wykazały badania, zwiększyły się nie tylko ich kompetencje w zakresie języka angielskiego, ale po udziale w programie istotnie wyższe niż przed jego rozpoczęciem były również poziom aktualizacji siebie, mierzony skalą AS-3 Witkowskiego i satysfakcja z życia mierzona skalą Dienera.

Wyniki innych, zakrojonych na szeroką skalę badań nad możliwościami adaptacyjnymi osób niewidomych do różnych środowisk pracy – tj. spółdzielni niewidomych (częściowa integracja), bądź zatrudnienie na otwartym rynku pracy (pełna integracja) – zostały przedstawione w mojej książce *Psychologiczne aspekty rehabilitacji zawodowej osób niewidomych zatrudnionych w warunkach pełnej i częściowej integracji*. Potwierdzają one tezę, że osoby niepełnosprawne mają możliwości pozytywnego przystosowania do różnych warunków pracy w zależności od ich preferencji, cech osobowości i obiektywnych możliwości.

* * *

Jeżeli nie godzimy się na odbieranie osobom niepełnosprawnym prawa do decydowania o sobie, to staje się oczywistym, że wartość prac badawczych pedagogów specjalnych, psychologów i przedstawicieli innych nauk służących poprawieniu efektów kształcenia w szkołach specjalnych i masowych oraz optymalnemu funkcjonowaniu niepełnosprawnych na rynku pracy jest nie do przecenienia.

Aby wybory te podejmowane były w duchu demokratycznym i humanistycznej troski o człowieka wszyscy zajmujący się tymi zagadnieniami muszą wykazać się ogromną otwartością, wrażliwością i roztropnością.

Efektem badań i działań tzw. polskiej szkoły rehabilitacji w Polsce powojennej – w okresie PRL – było osiągnięcie zatrudnienia osób niepełnosprawnych na poziomie wyższym niż w innych krajach Europy. Paradoksalnie, w czasach współczesnych funkcjonowanie ludzi niepełnosprawnych na rynku pracy jest dużo trudniejsze, a procent pracujących niepełnosprawnych jest znacznie niższy niż przed przemianami ustrojowymi 1989 roku. Wbrew aktualnej „poprawności”, osoby zajmujące się problemami kształcenia i zatrudnienia osób niepełnosprawnych powinny głośno i merytorycznie – w duchu prawdziwie demokratycznym – spierać się i poszukiwać najlepszych rozwiązań realizacji idei integracji.

JERZY SURDYKOWSKI

SAMOTNOŚĆ

„Samotność! – cóż po ludziach, czym śpiewak dla ludzi?” – każdy chyba zna ten wers z III części *Dziadów* Mickiewicza, chociaż – prawdę powiedziawszy – nie znaczy on wiele. Ale już ten sam wieszcz w innym swoim utworze pisze: „Samotności! Do ciebie biegnę jak do wody z codziennych życia upałów”. Trochę starszy odeń Goethe powiada: „Samotność jest dla mego serca radosnym balsamem”. Wtórkuje im chociażby Borys Pasternak w *Doktorze Żiwago* pisząc, że „prawdy szukają tylko samotnicy” albo Władysław Tatarkiewicz: „Samotność jest przyjemnością dla tych, którzy jej pragną i męką dla tych, co są do niej zmuszeni”. Czyżby samotność była nie tylko pustką, odosobnieniem, brakiem kontaktów, ale ostoją, w której można się chronić od „codziennych życia upałów”? Jednak, gdy zapiszemy to słowo w wyszukiwarce internetowej, otrzymujemy rezultaty trywialne: serwisy randkowe, poszukiwania partnera albo przynajmniej kolesia do pogadania, mailowe sabaty singli niby zadowolonych ze swego stanu, ale rozpaczliwie poszukujących porozumienia z kimkolwiek, zalew rzewnych blogów dziewczyn, które właśnie straciły chłopaka (albo na odwrót) i teraz wyją do księżycy. Z tego punktu widzenia sprawa jest jasna: samotność to życiowa klęska, bycie w parze lub grupie to sukces. Tak jak w starej wiejskiej śpiewce: „święty Prokopie daj każdej po chłopie”. I po sprawie – wszyscy będą szczęśliwi. Przeciwnieństwem samotności jest tłum kibiców wyjących na stadionie z radości – nasi górą! Tylko rzadko kiedy ten tłum rozchodzi się bez rękoczynów i na pewno nigdy taki tłum niczego wartościowego nie wymyśli. Podobnie, dlaczego tak wiele samotności w małżeństwie, skoro ten przysłowiowy św. Prokop okazał się łaskawy i mamy partnera do końca życia? Tak jak w innych ludzkich sprawach, prawda (zwykle gorzka) zaczyna się dopiero wtedy, gdy kończą się zbożne happy endy popularnych bajeczek (obojętnie czy z ekranu, czy dziecinnej czytanki) „żyli długo i szczęśliwie”. Dopiero wtedy zaczyna być ciekawie, a nieraz strasznie; dopiero wtedy zaczyna się życie.

ZGROZA SAMOTNOŚCI

Tak jak powyżej rozumiana „pop-samotność” jest dolegliwością (choć na ogół przejściową i nie całkiem serio) dla osamotnionego, ale nade wszystko jest dobrze się sprzedającym towarem masowej rozrywki. Literackim (choć zwykle pożał się Boże) tworzywem piosenek, książkowych i ekranowych romansideł oraz podobnego acz pokupnego chlamu. Wynika z intelektualnego lenistwa, płytkości spojrzenia i niezrozumienia ludzkiej kondycji. Przecież nawet najprostszy i do-

stępny każdemu z nią kontakt poucza, że rodzimy się i umieramy samotni, a czyjakolwiek obecność – choć może osłodzić cierpienia – nie uwolni nas ani od płaczu pieluch, ani od rozpaczycy całunu. Przed sądem Bożym – obojętnie jaką religię wyznajemy – też staniemy sami, chociaż już sąd ludzki pozwala na adwokata, świadków i szeroką ławę oskarżonych – zwykle obwiniających się nawzajem. Może samotność – wbrew cklivym zawodzeniom, jakim uprzyjemniamy sobie codzienność – jest niezbywalną cechą naszego bytowania w świecie, wtedy należałoby nie tylko na nią narzekać, ale próbować z nią się oswoić, zmierzyć, a może nawet – polubić? Może – tak jak pisał Joseph Conrad w *Lordzie Jimie* – „samotność jest ciężkim i nieodzownym warunkiem istnienia”?

Ale przecież – prócz tej malutkiej pop-samotności z popkultury, prócz tej egzystencjalnej samotności narodzin i śmierci, prócz etycznej samotności ludzkiego sumienia – jest też samotność ostateczna i niezawiniona, która budzi zgrozę. Jest to samotność Odrzuconego. Ofiara pop-samotności straciła właśnie chłopaka lub dziewczynę, odwrócił się od niej aktualny kumpel, ale wkrótce inny partner okaże się jej przychylny, choć w międzyczasie popłyną łzy. Nawet gdy opuścił ją małżonek, to za mało, by uznać się za odrzuconego, choć niejednemu się tak wydaje w chwili pop-rozpacz. Prawdziwie odrzucony nie jest akceptowany przez nikogo, a przepędzany przez każdego jak trędowaty z opowiadania *Wieża* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, wydalony z miasta w obawie przed zarazą, więc odtąd do końca życia musi cierpieć i umierać w opuszczeniu. Choć wiemy już, co to jest trąd i prawie zwalczyliśmy go jako chorobę, wciąż napotykamy takich trędowatych i wciąż ich od siebie odpychamy. Takie odrzucenie jest tożsame z pogardą, a może i z nienawiścią, choć odrzucający będą prawić o możliwości zakażenia, narażeniu dobrych obyczajów na zepsucie lub wystawieniu na szwank interesów państwa. Biblijna opowieść o miłosiernym Samarytaninie jest w istocie budzącą zgrozę opowieścią o samotności Odrzuconego. Przecież ranny, którego ów Samarytanin przykładnie opatrzył, długo leżał i cierpiał przy drodze, którą przechodzili lub przejeżdżali inni – obojętni, nieczuli, pogardliwi. Nawet Hiob w swoim cierpieniu nie był odrzucony, bo odwiedzili go przyjaciele, choć pomóc mu nie mogli. Zgrozę budzi nie tyle samotność, nie tyle cierpienie, ile obojętność i pogarda innych, szczęśliwszych ludzi. Przecież każdy z nas – i to na pewno nie raz jeden – znalazł się w sytuacji tych obojętnych i śpieszących za swymi sprawami przechodniów, których szczęśliwie wyręczył

ów Samarytanin. Ale skąd pewność, że akurat taki poczwieriec za mną kroczy i robi to, co do mnie należało? Tak samo, gdy mamy do czynienia z cierpiącym, jak z odmieńcem – obcym rasowo, skrzywionym mentalnie, bezdomnym. Jeśli cierpliwość Odrzuconego wystawiona jest na straszną próbę, to jeszcze straszniejszej poddane są sumienia odrzucających, tylko że ci mają zawsze mnóstwo usprawiedliwień. Miał rację Jan Paweł II, kiedy prosił: „Czujesz się osamotniony? Postaraj się odwiedzić kogoś, kto jest jeszcze bardziej samotny”. To jest jednocześnie sposób na przełamanie trywialnej pop-samotności. Ale jakże on trudny, czasem wymagający zaparcia się samego siebie...

Jednak ta codzienna pop-samotność z piosenki i telewizyjnego serialu wcale nie musi być trywialna. Poczucie osamotnienia jest subiektywne; nie da się go zmierzyć stanem cywilnym, wiekiem, liczbą i intensywnością kontaktów. Gdy towarzyszy mu niska samoocena, obawa przed odrzuceniem, a przynajmniej zlekceważeniem, nieumiejętność komunikowania się z innymi ludźmi, wtedy powoli przeradza się w stan trwały. Im trudniej znaleźć drogę do innego człowieka, tym większa obawa przed następną próbą. Inni zaczynają traktować taką osobę jak niezbyt normalną, trudnego we współżyciu odmieńca. Pojawia się lęk przed ludźmi, poczucie winy, depresja, zamknięcie w sobie, wycofanie społeczne. Samotność przestaje być „pop”, staje się destrukcyjna, chroniczna, stopniowo okazuje się stylem życia. Na końcu jest posępne stwierdzenie z innego tekstu Gustawa Herlinga-Grudzińskiego: „Boże, daj mi samotność, bo nienawidzę ludzi!” Tutaj znowu znaleźliśmy się na tym samym gruncie zgrozy, co w przypadku wyklętego trędowatego albo ofiary porzuconej na gościńcu, którym jednak nie przechadza się żadem miłośniery Samarytanin.

SAMOTNOŚĆ, SIOSTRA BUNTU

Lęk przed samotnością towarzyszy człowiekowi od jego prapoczątków. Rozumiał to Stworzyciel, kiedy dał Adamowi towarzyszkę. Ale – jak przewrotnie zauważa Paulo Coelho – „Grzech pierworodny nie polegał na tym, że Ewa zjadła jabłko, tylko że podzieliła się z Adamem, aby ze swoim odkryciem nie czuć się samotna”. Ale może – pomimo tego lęku – skoro samotność prześladowuje nas od urodzenia aż po grób, warto trochę się do niej zbliżyć, choćby przez analizę jej przeciwieństwa – szczęścia. Jest ono w dzisiejszych czasach nie tylko najbardziej pożądaną wartością, ale i najlepiej sprzedającym się towarem, wręcz nie wypada być nieszczęśliwym, to w złym tonie. Jeśli nie okaziesz się szczęśliwy tu i teraz, natychmiast, to znaczy, że twoje życie jest nieudane. Jeśli nie odnosisz sukcesów – nie istniejesz. Jeśli nie odczuwasz orgazmów jak z poradnika seksualnego, znaczy że nie kochasz. Więc jeśli nie masz i nie odczuwasz, to przynajmniej udawaj! Ale nawet takie „pop-szczęście” w ostatecznym rachunku przeżywamy samotnie. To ja jestem szczęśliwy. O tobie mogę tylko domniemywać. Nie ma w istocie szczęścia we dwoje nawet w erotyce, która przecież z samej istoty jest parzystą. Tymczasem orgazm przeżywam ja, choć wiem, że ty jesteś do tego niezbędny(a). Z tego zachowania wnioskuję, że jesteś za mną, ale nie mam sposobu by przyłączyć się do twoich nerwów, wejść w twoją skórę. Dlatego szczęście jest

tylko moje i samolubne. Nikt nie jest tak wielkim egoistą jak człowiek u szczytu szczęścia. Radujemy się, kiedy zdobyliśmy Everest, ale to mnie przepełnia wzruszenie, a o was – towarzysze wspinaczki – tylko wnioskuje. Więc jeśli tak, to ani rozkrzyczany i rozradowany tłum nie jest synonimem szczęścia, ani samotność jego przeciwieństwem. „Żyjemy tak jak śnimy – samotnie” – pisze w *Jądrze ciemności* wspomniany tu już wielki samotnik Joseph Conrad. „Samotność jest niezależnością, czytałem jej sobie i zdobyłem ją po długich latach. Była ona zimna, o tak, ale była też cicha, prawdziwie cicha i wielka podobnie jak zimne, ciche przestworza, po których wędrują gwiazdy” – pisze inny wielki samotnik literatury Hermann Hesse.

Więc chociaż się samotności boimy, to jesteśmy skazani na życie z nią i w niej, samotnie przychodzimy na świat i odchodzimy zeń, samotnie rozprawiamy się ze swoim sumieniem, samotnie stajemy przed Bogiem. Nawet ci, którzy doświadczają tylko pop-samotności i pop-szczęścia; oni także przez całe życie niosą na grzbiecie to swoje schronienie jak ślimak muszlę. Bo samotność jest także cichą ostoją, gdzie możemy – jak ranne zwierzę – schronić się po zdanych ciosach, nabrać sił, uporządkować myśli. Nawet ci – powiązani ze światem tysiącem nici, rodziną, obowiązkami i podległością służbową – dla których samotność nie może być już niezależnością jak dla Hesse'go; dla nich zawsze może pozostać schronieniem. Bez tego schronienia człowiek nie mógłby żyć, nawet gdy na nie narzeka. „Dopiero w samotności człowiek jest naprawdę sobą” – pisze Ortega y Gasset i po stokroć ma rację. Z tego punktu widzenia każdy, kto aspiruje do sprawowania niepodzielnej władzy nad ludźmi – obojętnie czy to dyktator, czy machina reklamy i rynku – powinien dążyć do tego, by w poddanym jego władzy społeczeństwie jak najmniej było samotności, jak najwięcej tłumy. W tłumie człowiek zatracą indywidualność i porzuca myślenie, wykrzykuje slogany, których potem będzie żałował, albo kupuje błyskotki modne lecz niepotrzebne. W samotności ma szansę stać się myślącym obywatelem.

Nawet temu, kto goni za pop-szczęściem i jak dziecko boi się pop-samotności jest ona dana i jest ona potrzebna, choć sam o tym nie wie. Przeciwnie, człowiek myślący potrzebuje samotności jak powietrza, co tak trafnie przed chwilą zauważył hiszpański filozof. Tylko w niej rodzą się pomysły i idee, tylko ona jest przestrzenią dla twórczości, która dopiero kiedy przyoblecze swój kształt, zostanie z tej samotności przesłana do ludzi; będzie tam żyć, albo zostanie odrzucona.

Artur Miller nazwał samotność „siostrą buntu” i też miał rację. Nie tylko dlatego, że człowiek osamotniony buntuje się przeciwko innym i przeciwko swojej sytuacji, buntuje się długo i uporczywie, nim się ostatecznie z nią pogodzi i zamknie jak zatrzaśnięte wieko skrzyni. Także dlatego, że idee rewolucyjne, reformatorskie, przekształcenielskie też tam się rodzą, bo samotność jest nie tylko schronieniem, ale i kolebką. Można powiedzieć, że wszystko co ważne, co potem podchwytowały gwarne tłumy, co zmieniło i przeorało świat, rodziło się naprzód w samotności. Myślący obywatel może się zbuntować pociągając za sobą innych. Cząstka tłumy może tylko uczestniczyć w zniszczeniu, bezmyślnie jak kamień w lawinie. „Samotności, jakaś ty przeludniona!” – kpi Stanisław Jerzy Lec mając raczej na myśli po-

wszechną pop-samotność z sentymentalnej piosenki, ale dotyczy to samotności we wszystkich jej wymiarach.

SAMOTNOŚĆ JAKO SIŁA

Okrutne w języku polskim słowo „samotność” ma w angielszczyźnie dwa różne odcienie. Jeden zawiera się w słowie *loneliness* i oznacza smutną, czasami dramatyczną izolację, osamotnienie, porzucenie, które budzi żal, a nieraz nawet zgrozę. Drugiemu odpowiada słowo *solitude* i dotyczy raczej wyniosłego odosobnienia, siły ducha, niezależności, niepokorności, przedsiębiorczości i odpowiedzialności za swój los. Bardzo to anglosaskie, a może nawet amerykańskie, ale warto o tym pamiętać także i u nas. Człowiek w swoim *solitude* nie musi być samotny uczuciowo, rodzinnie czy towarzysko, ale jest autonomiczny i niezależny. Bez lęku i uników bierze sprawy w swoje ręce, sam boryka się z narzucanym mu przez okoliczności losem, sam rozlicza się z Bogiem, jeśli weni wierzy, a na pewno z własnym sumieniem. Jest odpowiedzialny, gotów przyjąć ciężące na nim konsekwencje swoich czynów; nigdy nie powie: to nie ja, to społeczeństwo lub kołesie nakłonili mnie do złego! Nie idzie za modą i głupawymi podszeptami, sam wybiera i jest temu wyborowi wierny. Ludzie dalekowzroczni zawsze to widzieli i szanowali niezależnie od swoich korzeni. „Kruki trzymają się razem, orzeł szybuje sam” – pisał Atto Melani, francuski pisarz, szpieg i dyplomata z przełomu XVII i XVIII wieku.

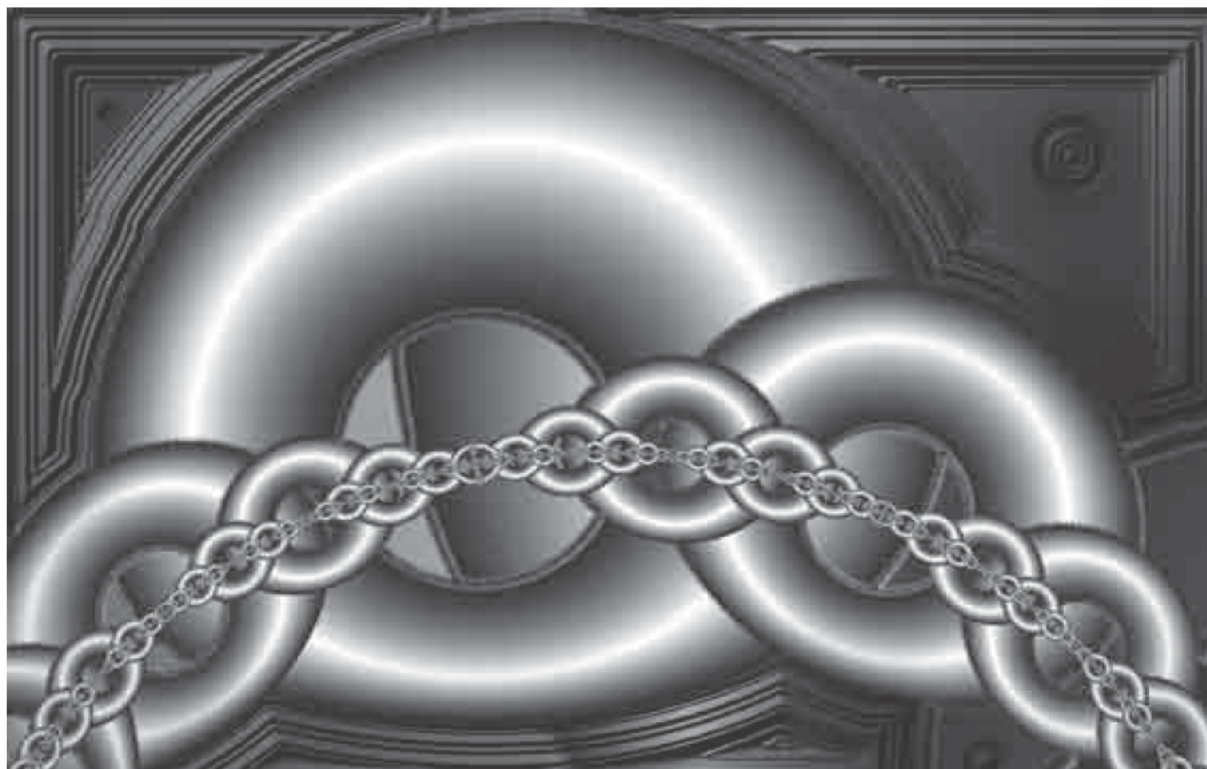
Ale tym odosobnieniu gdzie „człowiek jest naprawdę sobą” ukryto także pułapkę. Wprawdzie to w samotności rodzą się myśli i idee, tam dopiero przebiega twórczość, ale też nie ma takiej bzdury, której by nie zdołał wymyślić umysł całkowicie samotny pozbawiony kontaktów, dyskusji i sporu z innymi, niezależnymi odeń umysłami. Dlatego nauka jest uprawiana na uniwersytecie, nie w pustelni.

Człowiek w swoim *solitude* nie jest pustelnikiem, choć świadomy wybór życia pustelniczego też jest jedną z jego możliwych opcji. Takie życie nie ma nic wspólnego z pop-samotnością, jest świadomym odrzuceniem pokusy stada i zatrąty tam własnej indywiduwności, własnych pragnień i własnych nadziei. W samotności nie tylko rodzą się myśli, ale i siła, także siła sumienia. W takim odosobnieniu, a może raczej zdystansowaniu jest oczywiście miejsce na miłość, a nawet tam właśnie może ona prawdziwie rozkwitać. „Miłość jest czuwaniem nad cudzą samotnością” – jak pięknie formułuje to Rainer Maria Rilke

Nie każdy potrafi zdobyć się na taki dystans i taką niezależność. Ludzie chcą być w tłumie, wyglądać tak jak inni, myśleć tak jak popularni idole, przeżywać swoje pop-szczęście według wzorów z kolorowych czasopism. To zrozumiałe, nie trzeba od każdego wymagać zbyt wiele. Wtedy niech chociaż pamiętają o tak oczywistym wezwaniu Jana Pawła II z jednej z jego pielgrzymek do Polski: „Starajmy się tak postępować i tak żyć, by nikomu w naszej Ojczyźnie nie brakowało dachu nad głową i chleba na stole, by nikt nie czuł się samotny, pozostawiony bez opieki”. Ale żeby tak żyć i o to dbać, trzeba byłoby świadomie przeciwstawić się przynajmniej części tego, co popularne, modne i przyjemne. I jakież to utrudzające...

JERZY SURDYKOWSKI

Publikowany tekst wchodzi w skład zbioru esejów filozoficznych Jerzego Surdykowskiego *Odnajdywanie sensu*, który ukaże się jesienią br. nakładem oficyny wydawniczej „Volumen” w Warszawie. Poprzedni zbiór takich esejów tego autora *Wołanie o sens* wydało w 2006 roku wydawnictwo Pruszyński i S-ka w Warszawie.



ANNA AUGUSTYNIAK

WIERSE

o śmierci zamienionej w pokarm

serce przestaje bić mózg może jeszcze o czymś myśli
za późno
ciało już jest mięsem
i przemienia się w potrawę w ciemne ludzkie sprawy
z kręgu zabijania i jedzenia
z śmierci wnikającej z każdym kęsem w każdą tkankę
w węzły więzy krwi krew się z krwią wymiesza
w żywe cmentarzysko przeszacuje
picie bierzcie jedzcie na talerzu sen wieczysty
grzech nie dotyczy zwierząt św. Tomasz jasno to określił
one nic nie rozumieją
dusze nierozumne za to jakie smaczne

o jednym takim co skórę stracił

z apokryfów św. Bartłomieja message po koptyjsku
zanim doszło do tego do czego dojść musiało
a raczej na długo wcześniej Bóg spuścił rosę
na twarz Maryi zapładniając ją na swój sposób
potem otarł jej twarz szatą i zjedli chleb
a potem już po Jezusie
gdy nie wypadało odżegnywać się od martyrologii
oraz aktualnie modnych rodzajów śmierci
Bartłomieja gdzieś w Armenii zatłuczono kijami
lub też głową w dół ukrzyżowano i odarto ze skóry
żywcem jeszcze to najbardziej popularne było
i nawet dobrze mogło wyglądać cerę miał białą
jak śnieg w dywergencji do włosów i brody czarnej
lała się gorąca woda i krew ciekła z pianą
a kat powoli oskórowywał Bartłomieja
niczym zwierzę przed spożyciem

nieboszczyk

ponoć wypieranie zwłok z naszej świadomości
to poważny problem społeczny
spójrzmy więc jak anatom zwykły przyglądać się

doczesnym szczątkom na najślynniejszy
w dziejach organizm na mięso i krew Chrystusa
zeszły się z nim najściślej
bliżej nie mógłby być nawet z Bogiem Ojcem
w widowisku na krzyżu zмага się z namacalnością
w swego rodzaju męczeństwie i poranieniu
przetwarza wycieńczenie w najchodliwszy towar
którym staje się na koniec każą kochać trupa
kołysze się na milionach szyj zwisa ze ścian
we wszystkich domach publicznych na co dzień
obcuje się z martwym ciałem i tak dalej

zamyślenie

mówili że jesteś w cierpieniu
gdyby w cierpieniu był Bóg
nienawidziłabym go
jak i każdego
kto w bólach imię jego wzywa
on nie przyjdzie nigdy nie przychodzi
do Haliny Birenbaum nie przyszedł
gdy patrzyła jak palą jej matkę
w Auschwitz miała 13 lat

ona nie umie być Bogiem

pytanie ponoć bardzo ostre
dałabyś na krzyż swojego syna
wybawiłby od grzechu cały świat
cisza potem cisza
widzisz jaka ta boża miłość jest wielka
dlatego że oddał syna
tak
nie kochał go
on wszystkich kocha
nie kochał go
kochał
to dlaczego zabił
z miłości

KRZYSZTOF MROZIEWICZ

OD KONTESSTACJI DO AFIRMACJI

Jasińskiego droga przez teatr

Europejska kontrkultura sięgała do Dady i surrealiizmu. Na gruzach pierwszej wojny światowej prądy te mogły zakwitnąć. Po drugiej wojnie, która zostawiła Francję nietkniętą fizycznie, a pokiereszowaną intelektualnie, sięgnięcie po absurd było gestem normalnym, bo Francja żyła w absurdzie. Guy Debord robiący filmy bez obrazu, czytający poezję w twarzach ludzi, w formach miast, autor *Spoleczeństwa spektaklu*¹ mógł być podpalaczem ognisk kontestacji.

Dziś taką rolę spełniają ludzie pióra – rysownicy we Francji („Charlie”, dawniej „Harakiri”) i pisarze anglojęzyczni jak pochodzący z Pakistanu Salman Rushdie (*Szatańskie wersety*) oraz Induska Arundhati Roy. Celem ich ataku są rakotwórcze struktury jak Iran Chomeiniego czy czekający na swoich rzeźników Islamic State.

Kontestacja płaci życiem dopiero teraz. Wcześniej, w latach 60. przesiadywała w więzieniach, bo zdarzało jej się mordować przeciwników za pomocą struktur terrorystycznych. Jednakże terroryzm Baader-Mainhoffa, terroryzm al Kaidy czy kalifatu to przeciwieństwa ideologiczne.

W przypadku Deborda kontestacja doprowadziła do skrajnego absurdu – negacji sztuki. Jasiński poszedł w dokładnie odwrotnym kierunku – realizuje *Wesele* Wyspiańskiego na raz w STU i Teatrze Polskim. *Wesele* było kontestacją swojego czasu. Teatr Polski zaś w dniu narodzin był świątynią sztuki postawioną na cmentarzu. *Wesele* przetrwało. Teatrem Polskim kieruje drugi po Modrzejewskiej aktor polski, który zrobił karierę światową, Andrzej Seweryn. Po Debordzie został tomik bektoliwych esejów.

Polska żyła w świecie zależnym wyłącznie od Związku Radzieckiego, który zakończył budowę socjalizmu – i przechodził do komunizmu ogłaszając wyższość technologiczną (sputnik, Jurij Gagarin) nad Zachodem.

Władza rad w fabrykach stała się faktem nie w piśmach klasyków i postulatach zbuntowanej młodzieży Zachodu a w Polsce, gdzie klasa robotnicza obrażana przez dziesięciolecia uwierzyła wreszcie w to, co jej wmawiano, że jest kierowniczą siłą narodu. Teatr studencki i poezja Nowej Fali nie miały tu już nic do roboty. Do roboty zabrali się ci, którzy wzięli od niej swoją nazwę: robotnicy. I co się dało – spieprzyli, przede wszystkim – sobie. A dzisiejsi studenci o teatrze studenckim nie mają pojęcia. Poetów wymiotło. Rząd brytyjski stworzył dla Polaków więcej miejsc pracy niż rząd polski i przegonił Francję, gdzie Houellebecq pisze książkę

o tym, jak muzułmanie doszli do władzy drogą demokratyczną, niczym kiedyś Hitler.

Kolejna fala kontestacji zacznie się tam, w Paryżu. To jest dobre i bezpieczne miejsce na rewolucję. Wcześniej jednak musi zostać obalony Putin, inaczej Europa nie będzie mogła spokojnie zabrać się do porządkowania swoich spraw według formuły Comédie-Française czy pism typu „Charlie”. Putin musi zostać obalony, zanim znów jakaś myśl narodzi się w Rosji i zarazi Europę Zachodnią. Rewolucjoniści nigdy nie interesowali się efektywnością gospodarki. Dlatego nie udała się rewolucja meksykańska ani chińska Mao, ani kubańska Fidela i Che. A w USA nawet rewolucjoniści zastanawiali się, czy to się opłaci. Tam terroryzm próbował narzucić patologiczną równość.

Ciągle będziemy słyszeć o wolnym społeczeństwie, gdy tymczasem do konceptu wolności, czyli uczestnictwa w Dobrem według Platona dodawane są co stulecie drobne ułamki jak w szeregu, czyli konstrukcji matematycznej. Walka toczy się o wolność, której definicji nie potrafimy sformułować.

„W ujednoliconym świecie nie można się udać na wygnanie” (Guy Debord).

1.

Jako nastolatek Jasiński zaczął od happeningu. Było to coś, co po koniec lat 50. kwalifikowano jako wybryk na granicy przestępstwa. Popiersie Lenina udekorował czapką posterunkowego MO (Milicji Obywatelskiej) i postawił na sedesie w toalecie szkolnej. Skazano go na dwa lata poprawczaka.

Polityka wkraczała tymczasem w życie jego rówieśników na Zachodzie od strony będącej przeciwieństwem przyczyn naszych buntów. Oni chcieli więcej socjalizmu, u nas chcieliśmy mniej.

Wietnam miał wkrótce być czymś, czym – wszelkie proporcje zachowawszy – jest dziś Ukraina a także – à rebours – Islamic State. Amerykańska wojna przeciwko komunistycznej partyzantce w Wietnamie stała się testem etycznym. W Polsce nie mogła nim być. Większość pokolenia poszłaby na wojnę w przeciwnym kierunku – na Wschód. Byłaby to wojna nie do wygrania, a więc nie została rozpoczęta. Można ją jednak było wypowiedzieć „w nadbudowie”, czyli w kulturze. Najkorzystniejszym polem zmagania wydawała się muzyka, bo cenzura jej nie rozumiała. Był to jazz.

Na Zachodzie do głosu dochodziła generacja Modern Jazz Quartet. W Polsce natomiast jazz tradycyjny mieszał się z muzyką wirtuozów – samouków (Komeda, Matuszkiewicz i Namysłowski) z klubów studenckich.

W kulturze zachodniej buntowników-bitników (od beat) Allena Ginsberga², jedyne go cudzoziemca, który

¹ Guy Debord, *Spoleczeństwo spektaklu oraz rozważania o społeczeństwie spektaklu*, PIW, Warszawa 2006 (oryginał publikowany we Francji w 1967).

² W USA mówiono o nich najpierw „cyganeria”.

miął w STU benefis, Kerouaca, Snydera, Di Prima mocniejszą od papieru, czyli książki, formą miał być teatr. W Europie, a przede wszystkim w Polsce jazzmanów przeskoczyła muzyka poważna, będąca zawsze awangardą samoistną. Do wojny jako metafory nawiązywał młody kompozytor krakowski Krzysztof Penderecki w *Trenie pamięci ofiar Hiroshimy*. On też miał pisać muzykę do *Malowidła na drzewie*, które jako pierwowzór *Siódmej pieczęci* Ingmara Bergmana wypatrzyła i wyreżyserowała (w studenckim teatrzyku UW 2 X 1) Jolanta Brach-Czaina, autorka późniejszej biblii feminizmu *Szczeliny istnienia*.

Porównanie początków kontestacji do awanturnictwa bitników traci sens o tyle, że ich fascynował wolny, wyuzdany seks, a nasze pokolenie miało seksu po dziurki w nosie. Ustrój nie przeszkadzał nam w rewolucji obyczajowej, bo nie miał czego dać zamiast. Mało tego – nasze pokolenie dystansowało się od seksu w *Exodusie* (Jasiński, Moczulski). Uciekało od orgii w nagość jako czystość. Co się działo po spektaklu za kulisami, to już inna kwestia.

W Ameryce drugą wśród buntowników co do ważności, po poetach-wierszokletach, była warstwa malarzy i grafików. Bez *Skowytu* Ginsberga nie zaistnieliby tacy pacykarze jak Andy Warhol. W Polsce, podobnie jak w Ameryce i we Francji, pojawili się malarze i graficy o niebo ważniejsi od Warhola, ponieważ działali nie tylko znakami, ale grali narracjami – Aleksion, Get-Stankiewicz, Czerniawski, Sawka, Wołyński, później – Pągowski. To oni projektowali plakaty do spektakli polskiego teatru kontrkultury. Aleksion i Get – Kalam-burowi i na Festiwal Teatru Otwartego we Wrocławiu, Sawka – Teatrowi STU (*Spadanie, Sennik polski*), Wołyński – Teatrowi Ósmego Dnia.

Poezje i tam i tu były polityczne. Ich poetka, autorka dramatów i wspomnień pornograficznych, di Prima zaistniała jako pisarka, drukując *Wspomnienia bitniczek*³. Co wtedy czytano? Bitniczka w komunie wzięła do ręki Garcie Lorcę. Czytali Henry Jamesa, Fitzgeralda (sic!)⁴ i Hermana Hessego. Dawalo o sobie znać zainteresowanie Wschodem. Indie, buddyzm, dziś głoszone przez supergwiazdora Hollywoodu, Richarda Gere, zaczynały wtedy fascynować pokolenie sytych, przeżartych do „twardego rzygu” buntowników, m.in. Richarda Schechnera.

W naszym świecie czytani byli Cortazar, García Márquez, Gombrowicz. Grotowski – prowokując – czytał i wystawiał Kalidasa, indyjskiego Szekspira. W Indiach kobieta była stworzona do miłości fizycznej. Mogło to wtedy ekscytować kontestatorów w Europie Zachodniej, ale nie Grotowskiego, który nie znosił chwilowych i nagłych, jednodniowych romansów.

Rewolucja obyczajowa nie była w Polsce potrzebna. Swoboda istniała od zawsze, skończyła się dopiero wraz z kontrrewolucją obyczajową wywołaną przez ugrupowania typu ZChN i PiS oraz przez coraz bardziej konserwatywną i coraz gorzej wykształconą hierarchię kościelną, a także z powodu wirusa zapaści immunologicznej HIV. Nasza otwartość, podobna do nordyckiej,

odróżniała się od skoku niemieckiego, gdzie od etyki pastorów, jak ojcowie Ulriki Meinhoff i wnuczki Hegla – Gudrun Ensslin, pokolenie kontestatorów przeszło do wolnej miłości bez faz pośrednich.

Bitnicy ćpali, myśmy nie mieli o narkotykach pojęcia. Gelala to było wszystko, algierskie czerwone wino. Najdroższe z najtańszych. Nowojorscy bitnicy przesiadywali w knajpkach mafii, gdzie na bramkach zatrudniano alfonsów. Myśmy chodzili do „Hybryd” i „Jaszczurów”, o których „Walka Młodych” pisała, że tam balują playboye. Termin ten był najwyższą ideologiczną anatemią.

W „Hybrydach” pisał piosenki Wojciech Młynarski. Była to liryka obywatelska. Stanisław Dygat nazwał je felietonami śpiewanymi. Nazwa klubu pochodzi od tytułu powieści Józefa Ignacego Kraszewskiego. Jeśli byliśmy playboyami, to na miarę realnego socjalizmu. Funkcjonariusze partyjni prześladowający nas za jazz nie wiedzieli, że to klasowa muzyka Murzynów z plantacji. Chcieli, żebyśmy grali feudalne tanga.

W Polsce zakwitła „nasza mała stabilizacja”. Opisali ją jednocześnie kabaret Hybrydy i Tadeusz Różewicz w dramacie *Świadkowie albo nasza mała stabilizacja*.

Amerykanie tymczasem mieli Café La MaMa, Living Theatre, a potem Bread and Puppet i Performance Group. (U Francuzów grał w Lyonie Le Grand Magic Circus Savary’ego, Francuza z Argentyny).

Di Prima używa terminu „komuch”, ale odnosi go do mieszkańców komuny z lat 30. i wolnej miłości. W PRL komuny jako wspólnoty mieszkaniowej być nie mogło. Czytelnik urodzony w Wolnej Polsce po 1989 roku utożsamia termin „komuch” zupełnie inaczej, z trybikiem systemu narzuconego Polsce przez Sowietów po II wojnie światowej.

„Komuchy” z Ameryki pomiędzy seansami erotycznymi grały dla siebie Szekspira, Brechta i Cocteau. W teatrze „komuchów” liczyło się tylko to, czego uczono w Actors Studio Lee Strasberga, metody Bolesławskiego⁵ (polska odmiana Stanisławskiego przeniesiona do USA przez aktora i reżysera filmowego, Bolesława Ryszarda Strzednickiego, o którym u nas nikt nie pamięta).

Beat generation uderzała nie pięścią, a słowem, dźwiękiem i obrazem. Pięść pojawiła się dopiero w 1968 roku w Berkeley. Czarne Pantery były prawdziwymi wyznawcami pięści i jej mocy. Intelktualiści Ginsberga mieli za plecami prawdziwych „żołnierzy” buntu. Na południu zachodniej hemisfery, w Argentynie, a przede wszystkim w Brazylii intelekt nie odegrał takiej roli jak w USA i w Europie. Pięknoduchów nie brakowało, ale byli to raczej hochsztaplerzy, jak Paolo Coelho, który twierdzi, że napisał dwie swoje pierwsze książki na początku lat 60., a ich nie napisał wcale. Nigdzie ich nie ma. Może napisał ołówkiem w jednym egzemplarzu? W nienapisanych książkach nie było słowa wstępnego „pióra” Warhola. Ta prowokacja jako niezbywalny element CV tkwi w autobiografii Pelego literatury do dziś. Jego koledzy – „żołnierze” byli o wiele bardziej radykalni od Czarnych Panter. To tam intelekt został zaprzęgnięty do pracy w służbie rozlanej krwi. Carlos Marighella napisał *Partyzantkę miejską*, która była pismem świętym terrorystów, a on sam stał się ich papieżem. W tym samym czasie Coelho, jego kolega, grał sobie na scenie i pisywał rockowe ballady, które nie były nawet protest songami. W Argentynie teatr miał

³ Diane di Prima, *Wspomnienia bitniczek*, Oficyna, Łódź 2013.

⁴ Poziomowi intelektualnemu nie ma się co dziwić (termin hipster był już wtedy w użyciu), skoro komedia pseudowesternowa *Viva Maria* z Brigitte Bardot i Jeanne Moreau stała się inspiracją ideową Czernych Brygad, terrorystycznej kwintesencji kontrkultury, i to tylko dlatego, że anegdota dotyczyła jednej z najkrwawszych rewolucji w dziejach świata, rewolucji meksykańskiej.

⁵ Bolesław Ryszard Strzednicki, pierwsza polska gwiazda Hollywood.

więcej sił, a jego emanacja w postaci zespołu Comuna Baires dotarła nawet do Wrocławia w roku 1973.

Francuzi mieli swojego, jeszcze bardziej radykalnego „Marigellę”, Frantza Fanona, który głosił, że krew oczyszcza. Sprawdził to zbir Mansosn w willi Romana Polańskiego. We francuskim teatrze kontrkultury zapisał się poeta i dramaturg André Benedetto, autor *Le pilote d'Hiroshima*, *Napalm* i *Zone Rouge*, twórca festiwalu Off Avignon. Zmarł w 2009 r. Przyjeżdżał do Wrocławia w czasie, kiedy stolica Dolnego Śląska była drugim po Nancy centrum Teatru Otwartego w świecie.

Teatr STU, podobnie jak inne teatry studenckie w Polsce, przeżył swój Marzec 1968 na scenie, którą był przez tydzień Rynek Główny w Krakowie. „Aktorami” stali się studenci i milicjanci. Rekwizytorium ograniczono do plakatów i pałek. I gazów łzawiących, jeśli gaz może być rekwizytem. Krwawej eksplozji, przynajmniej na razie, do grudnia 1970, dało się uniknąć. Tymczasem Francuzi wyszli na ulice i przepędzili generała de Gaulle’a, który uciekł do garnizonu swego zięcia, dowódcy francuskiej strefy okupacyjnej w Niemczech. De Gaulle ustąpił na skutek majowych barykad. Houellebecq o pokolenie młodszy od buntowników Sorbony pisze o nich tak, jak gdyby byli krewnymi amerykańskich bitników, podczas gdy we Francji nic nie może przypominać czegoś, co jest angielskie, a już na pewno – broń Boże – amerykańskie. Potwierdzi to kontestator z krwi i kości, zresztą profesor Sorbony, Ludwik Stomma, starszy (o 6 lat) a więc i mądrzejszy od Houellebecq’a.

Kiedy siedemdziesiąt lat temu Karl Popper pisał *Spółeczeństwo otwarte i jego wrogowie* Bogusław Litwiniec organizował we Wrocławiu (lata 70.) Festiwal Teatru Otwartego. Tam właśnie spotykali się Grotowski, Schumann, Schechner, Benedetto i Jasiński.

Nawiązując jak gdyby do happeningu z popiersiem Lenina uczestnicy festiwalu, nie pamiętam już z jakiego kraju, pokazali film o mieszczaństwie socjalistycznym. Na patelni smażyła się jajecznica z krążkami kielbasy ułożonymi w sierp i młot. Na tej patelni Zachód rozjeżdżał się ze Wschodem. Oni chcieli więcej socjalizmu, my – mniej. A jeśli już, to z ludzką twarzą. Oni przeciwnie – nie z twarzą, a z cipką. I to nagą. Stąd *Oh, Calcutta* i *Hair*. (W Nowym Jorku na przedstawieniu *Hair* aktorzy STU weszli na scenę i śpiewali finał razem z Amerykanami). Polskimi odpowiednikami tego spektaklu były *Sennik polski* i *Exodus*. 2.

Metryka pokoleń kontestacji w świecie zachodnim (z Japonią – teatr Tenjo Sajiki – włącznie) nosi datę 1968. Jest to znak czasu używany przez grupę mniej więcej rówieśną, która doświadczona została ważnym wydarzeniem historycznym. Wydarzenie to albo „przyszło” z zewnątrz grupy, jak wojna wietnamska, która zaatakowała bitników w Ameryce, albo zostało przez grupę wywołane (studenci mają barykad w Paryżu, pokolenie Marca 1968 w Polsce).

Dokumenty legitymacyjne pokolenia to literatura, zwłaszcza poezja i manifestacje publicystyczne, także teatr, w tym teatr uliczny przechodzący niekiedy w happeningi i demonstracje polityczne. A nawet w akty terrorizmu dokonywane przez skrajną lewicę, która uważała się za odległych kuzynów kontrkultury.

We Francji, która zdawała się narzucać kontestacji pewną „czapę” ideologiczną, zasłużyli się młodzi filozofowie, mający ambicje odegrania roli „Marksów” konte-

stacji. Szli za nauczycielem, niemiecko-amerykańskim filozofem rewolty studenckiej, Herbertem Marcuse⁶, który na miejsce „klasy robotniczej” wprowadził „klasę studencką”. Uważał on, że „klasa robotnicza” podtrzymując panowanie burżuazji straciła siłę i udzieliła prawa do buntu intelektualistom. Dobitnie wyakcentował to Régis Debray⁷, analizując doświadczenia Fidela Castro i Ernesta Che Guevary pod kątem przydatności rewolucji latynoamerykańskiej do walki młodych w Europie. Prorokiem rewolty studenckiej okazał się Guy Debord⁸, który określił wybuchową sytuację społeczną (sam utworzył Międzynarodówkę Sytuacjonistyczną) mianem „społeczeństwa spektaklu”.

Jak na transformację zareagował Teatr STU? Trzeba by obejrzeć raz jeszcze kilkadziesiąt spektakli i manifestacji artystycznych tej grupy w Krakowie i na całym świecie – w Caracas, Shiraz, Rotterdamie, Erlangen, Nancy. Gdzie tylko się dało, Jasiński odchodził w STU od ceremonii, a wkraczał z widzami i aktorami w święto. Jak wykazaliśmy wyżej – jego koledzy – kontrapartnery ze świata zachodniego przekwitli, bo powody ich buntu ustały, a nowych nie dawało się dostrzec. Koniec historii ogłoszony przez Fukuyamę bardziej odnosił się do kultury zachodniej niż do Europy Środkowej, gdyż na Zachodzie ustroju nie było po co zmieniać, a w Polsce zmiany były nieuchronne. Pokolenie kontestatorów stało się dostarczycielem koncepcji tych zmian.

Co robili po roku 1968 ideolodzy i praktycy kontestacji? Allen Ginsberg wszedł do literatury jako klasyk. Debray wyśmiał swoje zauroczenie lewicą. Debord zapisał się na śmierć. Daniel Cohn Bendit (*Obsolete Communism*, *Left Wing Alternative*) został europoseł i liderem frakcji Zielonych, Jacek Kuroń – ministrem po przełomie ustrojowym w Polsce, Adam Michnik – naczelnym redaktorem najważniejszego dziennika w Polsce, a zarazem publicystą transformacji i w pewnej mierze autorytetem moralnym, Stanisław Barańczak – współzałożyciel Komitetu Obrony Robotników, największym po Boyu Żeleńskim tłumaczem literatury i profesorem Uniwersytetu Harvarda, Richard Schechner publikuje teksty teoretyczne nie do zrozumienia⁹.

Teatry kontrkultury na przełomie lat 70. i 80. stały w Polsce przed możliwością przetrwania za cenę instytucjonalizacji, czyli upaństwowienia. Wytrzymały tę próbę Teatr Ósmego Dnia i STU. Po swojemu manewrowała Akademia Ruchu Wojciecha Krukowskiego. Załamały się „Kalambur” i łódzkie „77”.

Etatyzacja kontestatorów na Zachodzie potwierdziła przypuszczenie elit politycznych, że jeśli buntownikom da się stołki w gabinetach władzy, byle nie wszystkim w jednym pomieszczeniu naraz, upasą sobie brzuchy i przestaną się awanturować. I tak stało się w Niemczech i Francji. Natomiast amerykańscy bitnicy (potem hipisi) wymarli. Śladowa ich reprezentacja przetrwała na plażach Goa, po których włóczy się nago (w Indiach to nie razi), prezentując wdzięki 80-latków. W Polsce upaństwowienie oznaczało przejście na polityczną emeryturę. Teatr Ósmego Dnia wyjechał do Włoch,

6 Herbert Marcuse, *Rozum i rewolucja*, Książka i Wiedza, Warszawa 1966.

7 Régis Debray, *Revolución en la revolución*, Casa La Habana 1967.

8 Guy Debord, op.cit.

9 Richard Schechner, *Zabawa*. [w:] *Wiedza o ku turze. Antropologia widowisk*. Wyd.UW, Warszawa 2010 s. 192.

wrócił dopiero po zmianach ustrojowych, nadal w formie, trochę *demodé*. Natomiast Teatr STU odważnie i bezczelnie wszedł na opuszczone przez zawodowych aktorów-polityków miejsce teatru narodowego. W 1989 roku mistrzowie sceny polskiej, po każdym dzienniku telewizyjnym Jacka Snopkiewicza i Andrzeja Drawicza, recytowali ze śmiertelną powagą taki oto wierszyk:

„Jesteśmy wreszcie we własnym domu.

Nie stój, nie czekaj, co robić? Pomóż!”

Pikanterii tej manifestacji dodaje fakt, że Snopkiewicz był w czasach Gomułki aktorem kabaretu „Cap” SGPiS i maszerował w roku 1963 w pochodzie 1-majowym z transparentem: „Żądamy granicy na Nilu!”, a Andrzej Drawicz był autorem warszawskiego Studenckiego Teatru Satyryków STS.

Jasiński takiej wolty nie byłby w stanie zrobić. Nie pisał rozliczeniowych scenariuszy, nie wystawiał te czek lustracyjnych. Grupa STU potrzebowała stałego miejsca pod dachem, w którym można było umieścić najlepszy sprzęt elektroniczny, jaki udało im się zgromadzić podczas wojaży po świecie, nie dojadając. Sami wyszli kiedyś z PWST w Krakowie jako „koło naukowe”, lecz jako teatr zawodowy musieli kształcić aktorów specjalnie do swego teatru. Trzeba było układać programy i budżety... Żegnaj kontrkulturo, witaj kulturo!...

3.

Popatrzmy, jak Jasiński dochodzi od kontestacji do afirmacji, będąc ciągle aktywnym twórcą teatru i ciągle kierując tym samym od półwiecza teatrem STU.

Żeby wystawić tryptyk Wyspiańskiego nazwany *Wędrowaniem*, musiał przejść od *Spadania* (dwie wersje) i *Sennika polskiego* (trzy wersje) przez *Exodus*, *Donkiszoterię* (dwie wersje), Witkacego, widowiska plenerowe, *Ubu*, *Ubu Skowanego*, *Ubu Króla*, (cztery wersje. Widać, jak ich ten Jarry męczy!), Becketta i *Hamleta*. W sumie 172 premiery, które – jeśli wypiszemy nazwiska – tworzą Akademię Teatru co się zowie. Podajmy, w kolejności chronologicznej, kto do niej wszedł, żeby tym wyraziściej było widać, kogo tam nie ma (z jakichś przyczyn widać nie zasłużył):

Harasymowicz, Mrożek, Gogol, Broniewski, Baczyński, Różewicz, Ionesco, Leśmian, Okudźawa, Lagerkvist, Cocteau, Neruda, Roźdiestwienski, Dürrenmatt, Leopold von Sacher-Masoch, Kochanowski (Jan), Picasso, de Ghelderode, Beaudelaire, Bryll, Gorki, (St. R. Dobrowolski – dla hecy), Moczulski (Leszek A.), Sartre, Mickiewicz, Słowacki, Kaden-Bandrowski, Gombrowicz, Dygat, Konwicki, Zagajewski, Szekspir, Grechuta, Wojacek, Bułhakow, Joyce, Eliot, Arrabal, Andrzejewski, Norwid, Schaeffer, Albee, Nowaczyński, Mann (Tomasz), Kitowicz (Jędrzej), Piasecki (Sergiusz), Herbert, Brecht, Weill (Kurt), de Saint-Exupéry, Erenburg, Jesienin, Gałczyński, Beckett, Diderot, Brejdygant, Dostojewski, Czechow, Tym (Stanisław), Hasior, Dorst (Tandkred), Białoszewski, Tołstoj (Lew), Brzechwa (Jan), Pinter, Fredro, Moliere, Zapolska, Przerwa-Tetmajer, Kołakowski. I zawsze przy tym jako współautor scenopisu, a co najmniej krytyk, polemista i towarzysz sztuki scenicznej, Edward Chudziński i – często w pierwszych latach – Krzysztof Miklaszewski.

Akademia Muzyki STU to równie świetne nazwiska.

I od razu – kluczem wiolinowym – otworzymy *Wesele*. Kiedy Wyspiański pisał arcydzieło, komponowali dookoła niego Mahler, Szymanowski, Kurpiński, No-

wowiejski, Debussy, a on wzięt na pointę ludową przyspiewkę *Miałoś chacie złoty róg*. Dziś (marzec 2015) Jasiński wystawia w Warszawie dwa *Wesela* jednocześnie – jedno w STU na Festiwalu Teatrów, drugie w Teatrze Polskim. Zamiast cytatów z Panufnika, Lutosławskiego, Pendereckiego, Bairda, Serockiego, Góreckiego i Kilara do inscenizacji *Wesela* po „Solidarność” i Wałęsie wpuścił nam do uszu nieco disco-polo.

Kiedy biedny się żeni, noc jest krótka.

Tryptyk *Wędrowanie* to konstrukcja, która spina widowiska teatru STU od *Spadania* po *Akropolis*. Zapewne Jasiński na czas zenitu swojej drogi twórczej zechce jeszcze wprowadzić *Dziady* Mickiewicza na Skalkę albo na Wawel, żeby porównać je z inscenizacjami Leona Schillera i Konrada Swinarskiego. Spośród twórców polskiego teatru znajduje się najbliższe miejsc, które po sobie pozostawili. Na razie ułożył uwerturę do *Dziadów* z arcydramatów Wyspiańskiego – *Wesela*, *Wyzwolenia* i *Akropolis*. Po raz pierwszy zagrał je wszystkie razem w dniu Święta Niepodległości 11 listopada 2014 r. po południu, kiedy manifestacja (pro) i demonstracja (contra) kończyły się na Rynku Głównym w Krakowie, a uczestnicy wyjątkowo nie zadymy, lecz spotkania „po bożemu” rozchodzili się do domów. I kiedy z kulis wszedł na scenę Kardynał, miało się wrażenie, że wchodzi nie z garderoby, a z ulicy.

Jasiński zagrał *Wesele* na początek tryptyku. Zrobił to tak, jak gdyby zastanawiając się, jak tu wykorzystać inscenizacje *Pastorałki*, *Krakowiaków i górali* i *Dziadów* Schillera nie rezygnując z własnego Teatru Ogromnego. Po przerwie zobaczyliśmy, jak Swinarski zrobiłby dziś *Wyzwolenie*, w którym każda fraza z początku utworu brzmi znajomo, lecz funkcjonuje niezależnie od dramatu jako autonomiczne przesłanie z najbardziej chyba wyrazistym żądaniem: „strójcie mi strójcie narodową scenę”. To z *Wyzwolenia* wyjął sławną frazę Karol Wojtyła, kiedyś aktor w Teatrze Rapsodycznym Kotlarczyka w Krakowie: „Niech zstąpi Duch Twój”. Ta scena-ziemia, ta ziemia! – musi być gotowa na przyjęcie zarówno patosu jak i groteski, w którą wykoleił się *Akropolis*, pamiętany w teatrze polskim jako jedno z pierwszych osiągnięć Jerzego Grotowskiego, którego Jasiński zapędził do klubu gejowskiego, gdzie Helena i Parys przypląnęli z Troi do baru go-go. Wszystkie trzy części związał reżyser nitkami narracyjnymi, które wiodą przez osnowę dywanu (a może i wawelskiego arras) jako opowieści o Poecie z *Wesela*, który jest nim także w *Wyzwoleniu* jak i w *Akropolis*. Żyd z *Wesela* staje się Księdzem w drugiej części, Rachela też ma co robić w każdym z trzech nomen omen aktów. Do tych nitek dodał Jasiński potężne więzy muzyczne, gdzie songi jak w *Senniku polskim* splatają głos z laserowymi salwami, którymi strzela kosmos przykrojony do potrzeb geografii politycznej przelotu stuleci. Równie dobrze poprzednich jak i obecnych dwu stuleci. To dzięki Wyspiańskiemu Jasiński przypomina, że powstania wywoływano w Warszawie (czasami w Poznaniu czy Gdańsku, nie licząc insurekcji kościuszkowskiej, którą ogłosił generał armii amerykańskiej piszący po klęsce wiernopoddane listy do cara). Natomiast refleksje na temat powstań najgłębiej drążono w Krakowie. To tam właśnie pisał Wyka o równoległości planów w *Weselu* – realistyczno-komediowego i narodowo-mistycznego. To tam właśnie uczniowie Wyki – Puzyna, Flaszen, Błoński i Kijowski – podsuwali

myśl o tym, że aby dokonało się wyzwolenie, musi najpierw nastąpić zniewolenie. Jasiński w swoim tryptyku drugim, obecnym, pyta, czym jest dziś zniewolenie, a na jego pytania odpowiadają nie poloniści będący uczniami uczniów Wyki, Chudziński, Miklaszewski, Nyczek, a młodzi ludzie, którzy oddali głosy na Korwin Mikkego i na PiS, co w pokoleniu kontestatorów, a więc twórców pierwszego tryptyku, byłoby nie do pomyślenia.

4.

Legenda od mitologii różni się tym, że jest oparta na prawdzie. Niezrozumiały modernista staje się wieszczem. To o Wyspiańskim. Kontestator staje się klasykiem. Siebie zmienił. Czy zmienił teatr? *Spadanie* przedprożem *Hamleta* z dwiema Ofeliami, *Zemsta* w Polskim i teraz tryptyk Wyspiańskiego. Każdy musi zagrać swoje *Dziady*. Jasiński może być następcą Leona Schillera. Jak mało kto się do tego nadaje.

W czasach premiery *Wesela* spektakl grano 3 do 5 razy. W PRL były etaty i wszystko. Nigdy teatrowi nie powodziło się tak dobrze jak w PRL. Aktorzy cieszyli się z obalenia PRL jako pierwsi. Aktorka obwieściła koniec komunizmu. Jasiński się nie wygłupił. On ten teatr stary obalił. A system zawałił się sam. Paru ludzi pomogło – Gorbaczow, Wojtyła, Wałęsa. Nie ma wśród nich Holubka, Łomnickiego, Łapickiego.

Wieszcz nie mówi co było. Wieszcz mówi co będzie.

Chochół to dziś Barbie ze słomy. Ale kiedyś był kukłą funkcjonalną i ludziom potrzebną. Okrywał wątle i delikatne drzewka, może róże, które samodzielnie nie przetrwałyby zimy. Wielki dąb nie potrzebuje słomianego płaszcza nawet w trzaskający mróz (to nie mróz trzaska, to trzaskają drzewa na mrozie). Ale drzewko zmarniałoby bez chochoła. Wyspiański namalował je w roli dobrych, opiekuńczych współtowarzyszy warty na plantach, natomiast opisał jako wiechcie bez wnętrza. Jakże inaczej przyszyłoby na wesele, gdyby trzymało je drzewko z korzeniami w ziemi?

Ten wypatroszony wiecheć, który być może rozebrał drzewko i uciekł jako płaszcz, stał się w *Weselu* absurdalnym stworem, który nie ma niczego do roboty poza machinalnym, tańcem w transie. Jest symbolem niemocy, chociaż się porusza. Ma duszę, której nawet Wyspiański weń nie tchnął, bo ona tkwiła już pośród słów baśni ludowej w słowiańskiej mitologii. Stamtąd przedostała się do języka rosyjskiego, w którym „chochły” to pogardliwa nazwa Ukraińców. Dziś w Moskwie bardzo na czasie.

Wyspiański o tym nie wiedział, bo nigdy nie był w zaborze rosyjskim.

Według księdza Tischnera Chochół to symbol sarmackiej melancholii. Melancholia to skutek porażki. Sumy porażek. To nasza specjalność, nie sarmacka. Jesteśmy skrajnymi indywidualistami. Porażka musi być moja na własność. Robi mnie kimś. „Zazdroszczę jej bliźniemu”, jak mówią lekarze w filmie o Relidze.

Po obaleniu Gomułki publicystyka powitała nadzieję Gierka tekstem Wiesława Górnickiego w „Życiu Warszawy” – *Chochóły*. Odbierał on wiechciowi chłopski rodowód, a uczynił go polskim, narodowym znakiem. Zawołanie Górnickiego „abyśmy chcieli chcieć”, jeśli na nie odpowiemy, uczyni nasz kraj kwitnącym ogrodem. Sukces nas ominął. Górnicki został doradcą generała Jaruzelskiego. Wiedział, że nie zmienimy w pojedynkę rezultatów II wojny światowej. Ale nastał Gorbaczow,

ojciec wyzwolenia, który dziś na stare lata żałuje, że ogłosił jawność i wprowadził pierestrojkę.

Dusza Chochół z dzisiejszego *Wesela* chodzi do dyskoteki i pokazuje tatuaże.

Jasiński przywołał wiersz Eliota o chochołach w przekładzie Miłosza, przez co wiecheć stał się symbolem uniwersalnym, który przedstawia „wydrążonych ludzi”.

Spadanie oparte na poemacie Tadeusza Różewicza, pocięte było i posklejane z fragmentami wypowiedzi polityków, pedagogów i twórców teatru. Dziś do *Wesela* włączył Jasiński piosenkę Marka Grechuty z inwokacją *Panno Młoda*, w której znajdziemy zapowiedź *Wyzwolenia* w słowach „wolność to wśród mądrych ludzi życie”. O deficycie tych ludzi świadczy przytoczona później piosenka-hit disco polo *Ona tańczy dla mnie*. O sentymentalnym smutku balu w remizie świadczy *Biały miś* śpiewany na kacu nad ranem. Remiza oferuje dziś usługi w zakresie wesel i komunii świętych. Dworek Rydla zapadł się ze wstydu.

Puzyna pisał o spektaklach STU – z czego tu budować przyszłość? Z tych samych mitów? Jeśli mowa o mitach, a wieszcz inaczej mówić nie może, trzeba sięgać do legendy o świętych pra-cudach.

Teksty Wyspiańskiego otwarte na którejkolwiek stronie któregośkolwiek dramatu zadziwiają aktualnością, jak gdyby pisane wczoraj.

Dla Wyspiańskiego *Akropolis* było dalszym ciągiem *Wesela* i *Wyzwolenia*. Lecz Jasiński pokazał je, żebyśmy zobaczyli, co z nekropolii narodowej przez ten czas zrobiono. Teofil Trzciński przepowiadał dramatuwi długą przyszłość. Międzywojenne przedstawienie stało się według Schillera „widokówką krakowską”. Po wojnie reżyserował to Dejmek w Nowym w Łodzi, Kotłarczyk w Rapsodycznym i Grotowski jako *Auschwitz* w Opolu. Dejmek zatarł znaczenie katedry wawelskiej, Grotowski zrobił to razem z Szajną, który przeżył obóz w Auschwitz. Plemion cmentarzysko¹⁰.

Dla poetów miary Wyspiańskiego i twórców teatru miary Jasińskiego wzgórze wawelskie to świętość narodowa. Hierarchowie nie daliby zgody, żeby grać tam *Akropolis*. Łatwiej im było zamienić katedrę na dom noclegowy. Tłumaczy ich jedynie to, że doba trwa tam wieczność. Kiedy „dyrektorem” był na Wawelu kardynał Sapieha, przyszli do niego dwaj pułkownicy poprosić o miejsce dla marszałka Piłsudskiego, protestanta, który miał się dobrze. Zapytali, czy znalazłoby się jeszcze jedno miejsce. – Może by się i znalazło, ale trzeba się pospieszyć – odpowiedział „dyrektor”.

Jasiński widzi u podnóża Wawelu kabaret. Tłumaczy go choćby ostatnie wybory „elektroniczne”. Jest także baśnią o Konieczności. Ta Konieczność to jedna z prawd ostatecznych, wszechobecny mus tkwiący w człowieczej duszy. Zagrzmiął na puentę pieśnią, która obudzi każdego. Upiora niestety też.

5.

Po *Wędrowaniu* Jasiński wraca do *Wesela* w Teatrze Polskim. Zagrane jest tak, że każdą następną inscenizację tego dramatu trzeba będzie odnosić już nie do spektakli Dejmkę, a do scenicznego filmu z Andrzejem Sewerynem w roli Gospodarza-Wernyhora. Wer-

¹⁰ To najrzadziej wystawiany dramat Wyspiańskiego. Jego ostatnia realizacja – Anny Augustynowicz w Teatrze Współczesnym w Szczecinie (premiera 20 marca 2015) – jest czernastą w dziejach historii polskiego teatru.

ny-hora to Wierna-Godzina, a Godzina to Rok. Tak od mitologii słowiańskiej Krzysztof Jasiński wywodzi korowód weselny, w którym widzimy własne zjawy i zmyły. Pokazuje najpierw uciechę i święto, a potem pijaństwo i kaca. Uroczystość zamążpójścia Panny Młodej bez ślubu, zabawa bez trupa – cóż to za wesele?

Pierwsza część, przejrzysta i lekka, kończy się sesją przy wirującym stoliku (Okrągłym Stole?), przy którym wywołuje się duchy. Sosy młodopolskie pozlewał Jasiński do jednej brytfanny i podał je weselnikom na drugi dzień na kaca, zamiast maślanek. Druga część kończy się wielkim monologiem Gospodarza, który jest najważniejszą w tej inscenizacji postacią dramatu. Jedyną z uczestników wesela, która bredzi (nie bez sensu), a na puentę trzeźwieje. Od romantyzmu do oświecenia. Wbrew historii. To tylko Andrzej Seweryn potrafi. Wielka rola.

Korowód weselny prowadzi Jasiński – jak poloneza – parami. W tym dramacie każdy „żeni” się z każdą. Mimochodem pojawiają się gejzery słów, które w swoich metaforycznych kompozycjach powciskały się do języka w taki sposób, że łapiemy się na refleksji, iż to przecież lekcja polskiego dla panów i dziadów. Tego języka uczy malarz o pięknym, rzadko spotykanym nazwisku „Wyspiański”, a pachnące leśmianowską łąką komentarze do jego lekcji wygłasza profesor nomen-omen Wyka, którego wstęp do PIW-owskiego wydania *Wesela* z roku 1950 właśnie mam przed sobą. Także Schillerowski esej *Teatr ogromny*, którego tytuł przypomina jedną z najpiękniejszych fraz poetyckich Wyspiańskiego, już spoza *Wesela: Teatr mój widzę ogromny!*

Schiller ostrzegał przed dorabianiem tekstowi *Wesela* aktualności. I w Teatrze Polskim wiersz płynie przejrzystym strumieniem. Jest bardzo starannie poksakany. Czasem jakiś odruch, jakiś gest, jakiś szczegół westuaryjny sygnalizuje dzisiejszość zabawy i kaca.

W *Weselu* ważną rolę grają buty. Co mówię – w *Wędrowaniu*, bo wędruje się w butach. Rachel ma trzewiki z wywalonymi jęzorami. Radczyni obstałowała cholewki w brązie i czerni. Rusza się w nich jak baletnica. Czerwone i długie jak u bociana nogi prezentuje Gospodyni. Mosiek w atlasowym płaszczyku nosi eleganckie pantofle adwokata. Mówi językiem polskim bez cienia akcentu. Buciorzy natomiast pasują do kosa. Ale „trza być w butach na weselu” (u Anny Augustynowicz w Szczecinie nie wszyscy grali na bosaka). W *Akropolis* chodzi się na dziesięciocentymetrowych platformach. Oraz w kozaczkach z przezroczystego plastiku. Poetykę złamanego koloru akcentuje popielata, zamiast białej, muszka do fraka Poety. I czarny fontaż, zamiast białej muszki.

Skoro mamy kosę, musi ci ona gdzieś zazgrzytać o kamień. Do wesela rymuje się Szela (z PSL-a). Są ofiary w ludziach. Jasiński wyciął z tekstu Marysię, Ojca, Nosa, Radczynię, Kliminę, Staszka, Muzykanta, Wojtkę, Dziada, Kaspra, Księdza, Zosię, Haneczkę, Kasię, Kubę i Isię. Zostawił wszystkie Osoby Dramatu, ale albo dał im tylko głos jak Chochołowi i Widmu, albo połączył z postaciami scenicznymi (Gospodarz/Wernyhora, Pan Młody/Hetman, Dziennikarz/Stańczyk, Czepiec/Upiór, Poeta/Rycerz), albo posłużył się Matejką (Stąńczyk) i Malczewskim (Rycerz). Od tego ostatniego pochodzi też cyfrowa kopia *Hamleta polskiego*. Jasiński chciał przypomnieć szkice o Szekspirze Wyspiańskiego, w których *notabene* grał kiedyś w radio razem z Jackiem Woszczerowiczem młody Seweryn.

Wywrzucił też hetmana Braneckiego (Branickiego), co pieniążkiem moskiewskim wabi. Dziś ten fragment nie brzmi – sankcje! „Targowica” to na razie, chwala Bogu, puste słowo. Postarał się o to Putin. Już bardziej dźwięczą subtelnie rzucane w tle piosenki disco-polo, ulubionego gatunku pewnej partii politycznej, która wychodzi na drogi nie z kosami, lecz z traktorami znanej włoskiej marki. Hanuszkiewicz zagrałby to używając „malucha”, w którego tylnej szybie widnieje napis: „chciałem kupić Lamborghini, ale nie umiałem tego wymówić”.

Z tekstu *Wesela* Jasiński ułożył księgę współczesnych mitów polskich. Sennik polski, który grał kiedyś w Teatrze STU. Świeca, która rozświetla mroki duszy narodowej, noc poślubna, Matka Boska, która pisze orędzie, Żyd z Kazimierza, Rejtan (grający na harmonii), gorzała, niech na całym świecie wojna, pospolitość skrzeczy, Jutro Wielką Tajemnicą. Już nie tak wielką. Przewidywalną.

Matka Boska pisząca orędzie to w didaskaliach dwie matki Boskie – Ostrobramska nad drzwiami weselnymi i Częstochowska nad drzwiami do alkierza. Reżyser zrezygnował z dosłowności, choć dosłowności na ścianach pełno: Matejko (Wernyhora i Stańczyk), Malczewski, Grottger, Włodzimierz Tetmajer. Widać Matka Boska potrzebna w dzisiejszej inscenizacji schowała się gdzieś pod postacią znaczka w klapie czyjejś marynarki.

Chochoł. Jedna z najpiękniejszych postaci polskiego teatru. Co ja mówię – polskiej mitologii. Bez Chochoła *Wesela* być nie może.

Finał *Wesela* to Teatr Ogromny, ze światłami, jakich Wyspiański nie mógł zainstalować, bo ich jeszcze wtedy nie było. A od pochodni spłonąłby budynek. Na wykrzyczanych puentach, których reżyser wynalazł bez liku, na ruchach z break dance biją gromy tak grube, że przy nich ostrze brzytwy wydaje się płaszczyzną.

Pamiętając o portretach Wyspiańskiego Jasiński obsadził rolę w *Weselu* w taki sposób, aby twarze aktorów grały i mówiły za postacie. Jasiński „rozebrał” *Wesela* i zmontował misterną konstrukcję na nowo. Trzeba odwagi, żeby zwrot „co tam panie w polityce” umieścić w środku pierwszej sceny, a nie na samym początku dramatu, gdzie go, znając na pamięć fragmenty, machinalnie oczekujemy. A tu – nie ma. I żeby inwokacją uczynić pierwsze słowa piosenki Marka Grechuty – Panno Młoda! Trzeba konsekwencji, żeby zrezygnować z sentymentalnej melodyjki Wyspiańskiego na końcu o chacie, czapce z piór i rogu, montując finałowy monolog Gospodarza, w którym wykorzystana została zupełnie inna melodyjna fraza, oddająca monotonię bełkotliwą, pijacką rozpacz. Z drugiej strony wierność detalu jest tak znaczna, że kiedy Wyspiański mówi w didaskaliach o okrągłym stole, chciałoby się powiedzieć o Okrągłym Stole, to w spektaklu jest on rzeczywiście okrągły, a własną krągłość podkreśla wymownie, kręcąc się dookoła swej pionowej osi. Wirowanie bez końca, kręcenie się w kółko, taniec. Beznadziejna sprawa. Duchów nie można wywoływać ani przy biurku, ani przy stole kanciastym. Stół musi być okrągły.

Gospodarz wchodzi na scenę ze świecą. Tak to się zaczyna. Światło niebieskie od elektroniki oślepia na koniec. Sto piętnaście lat w dwie godziny. Między łójką i laserem. Tak grane jest *Wesela*, które dzieje się u Wyspiańskiego w 1900 roku.

Wyspiański tworzył w zaborze austriackim, Seweryn pochodzi z zaboru francuskiego. Pogodzenie tradycji

romantycznej z oświeceniem i rewolucją francuską nie jest możliwe.

Wyspiański był kontestatorem. Jan Kott wyliczył mu całą plejadę następców, którzy nigdy o nim nie słyszeli: Pirandella, Giraudoux, Garcję Lorkę, Camusa i Ionesco. Profesorowie od Wyki po Raszewskiego sytuują go na pionowej osi wzrostu: Mickiewicz, Słowacki, Krasiński i wreszcie on sam: Wyspiański. Tymczasem malarz ten pisał w „poziomie”, który tworzyli inni „rewolucjoniści ducha”¹¹, sąsiedzi i koledzy z Wiednia i Pragi: Husserl, Buber, Wittgenstein, Kafka, Freud, Mahler, Schiele, Herzel, Klimt, Mucha... Wyspiański uciekł z ich świata w podkrakowskie opłotki, kiedy w Wiedniu rządziło 48 polskich ministrów! Większość z nich wyrzekła się romantyzmu. Czy ściślej – neoromantyzmu. Na Wyspiańskiego trzeba patrzeć nie poprzez *Dziady* i powstania, a w kontekście tamtoczesnej Europy. Pisać *Wesele* po pobycie w Paryżu mógł tylko szaleniec.

Krzysztof Jasiński, legenda polskiego i światowego teatru kontestacji końca lat 60. i początków 70., jest dziś klasykiem buntu, który – jak pisał Grochowiak – dawno już się ustatecznił. Z buntu wynika wartość, którą jest literatura przeszłości narodowej podniesiona do rangi dobrego teatru współczesnego. Jasiński nie wrócił do teatru klasycznego, bo z niego nie wychodził. Dotarł do klasyki wychodząc od źródeł, od rytuału, od mitu. Szedł w kierunku przeciwnym niż Grotowski, który zaczynał od Kalidasy (i Ionesco). Większość kolegów Jasińskiego, a przede wszystkim Schechner i Schumann – to kiedyś awanturnicy, a dziś akademicy. Na tej drodze Jasiński spotkał Seweryna (nb. więźnia politycznego PRL za Czechosłowację).

Pasują się z Wyspiańskim jak kontestatorzy z kontestatorem. Minęło wiele już lat od chwili, kiedy *Wesele* okrzyknięto arcydramatem. Dziś tego nie powiemy. Korzystając ze środków, jakie są w masowym użyciu, mógłby Jasiński przed rozpoczęciem spektaklu rzucić na kurtynę obraz z kamery, która podgląda aktorów w garderobie. Na przykład: Pan Młody konsumujący noc poślubną. Albo charakteryzatorka używająca produktu lokowanego z Sephory. Byłoby to jednak coś jak nowe w starym. Nowe w Starym. Ale nie w Polskim.

Wesele zaczyna się od słów: *Noc listopadowa*. Proszę zajrzeć do didaskaliów, których nikt nie czyta. Kiedy Maryna odpowiada Poecie „słowa, słowa, słowa, słowa” mamy wrażenie, że to *Hamlet*. Kiedy Żyd mówi „No, tylko że my jesteśmy tacy przyjaciele, co się nie lubią”, słyszymy szmonces rodem z Aleksandra Drożdżyńskiego. Ale „pan się narodowo bałamuci” to już myśl tyle razy cytowana, że zacytowano ją na śmierć. A mimo to ciągle żyje. „Była w Wiedniu na operze, w domu sama sobie pierze” to źródło Tuwimowskiego *Balu*. Poeta: „A miłość wolna?”... Rachel: „Ach marzyłam o tym zawsze!”... To już, jak na owe czasy, prawdziwy *off!*

6.

W Anglii i Francji romantyzm nie był potrzebny jako literatura narodowo-wyzwoleńcza, bo mocarstwa te nie zaznały rozbiorów, chyba że *Ć reboours*: to Anglia i Francja dokonywały rozbiorów (Afryki i Kanady). Rewolucja burżuazyjno-demokratyczna jako wojna o wyzwolenie narodowe odbyła się w czasach szekspirowskich, ale w Niderlandach, nie w Polsce, która zażywała wtedy

statusu mocarstwa z wojskami na Kremlu. Zabory od strony wschodniej były zemstą za Kreml, podobnie jak Katyń był zemstą za klęskę w wojnie polsko-bolszewickiej. Wielka Rewolucja przyszła do Polski spóźniona o 123 (zaborów) plus 50 (PRL) lat. Matematyki francuskiej, czyli oświecenia, na której stoi fizyka angielska, czyli pozytywizm, na której stoją technika niemiecka i amerykańska, czyli pragmatyzm, nie dało się przenieść do Polski, jak chcieliśmy, i doczekać owoców w ciągu 25 lat. Nie ma w literaturze polskiej dzieła o Buncie Robotników (podobnie jak nie ma Dostojewskiego „pierestrojki”, Tomasza Manna Muru Berlińskiego i André Gide’a Watykanu Wojtyły). Teatr aktorek na herbatce w garderobie ustanawia koniec epoki w pięć minut. Trza być w butach na *Weselu*. Od Gucciego.

Jak Jasiński sobie z tym wszystkim poradził?

Robotników w *Weselu* nie ma, bo w Galicji nie było wtedy przemysłu. Ale flota austriacka istniała, więc i stocznie być musiały. O strajkach nikomu się nawet nie śniło, bo pamiętano jeszcze, że ukochany cesarz Franz Josef to rzeźnik Wiosny Ludów. Panslawizm wymyślono przeciwko niemu. To w Słowenii zakiełkowała myśl, żeby zwrócić się do wielkiej siostrzycy Rosji, jedynej słowiańskiej potęgi, która mogła objąć opieką pozostałych Słowian, bo wszyscy poza Rosjanami tkwili w niewoli (niektórzy – rosyjskiej). Panslawizm miał być na to lekarstwem. Rosja nie chciała. Na podstawie tajnych dokumentów Watykanu publikuje się teraz¹², że historyczna wizyta Gorbaczowa u papieża Wojtyły (1 grudnia 1989 r.) zaczęła się od słów Rosjanina: „Jest to między innymi spotkanie między dwoma narodami słowiańskimi, przez co nie chcę powiedzieć, że jestem panslawistą”. Gorbaczowowi przyszła na myśl piosenka Wysockiego *Rimskij Papa, on z naszych, ze Słowian*.

W *Weselu* to nie zagra, bo Kraków nigdy nie odczuł oddechu potęgi carskiej. Austria była zaledwie sojusznikiem Rosji, dlatego cenzor we Lwowie wyrzucał z literatury dramatycznej wszystko to, co Rosjan mogłoby urazić. Jak w PRL. Za to media krakowskie były niemal tak potężne, jak teraz.

Jedynie wyjście, jakie pozostaje reżyserowi, to zagrać *Wesele* tak jak zostało napisane, nagrać na płytki i niczego już w nim nie szukać, bo nie znajdziemy. Trzymajmy je w repertuarze na podorędziu, zapomniawszy, że jest to dzieło o beznadziei. Tak właśnie podszedł do tekstu o beznadziei Andrzej Wajda w filmowej wersji *Wesela*, gdzie zaraz po czołówce chłop z kosą na sztorc tnie po kurach z rozmachem, a krew się leje i pióra fruwią, strzępki kur zresztą też. Na scenie, owszem, można kurom łby odgryzać, ale do tego trzeba woodoo i Grotowskiego. Jasiński wszystko potrafi wyreżyserować, ale nie brak nadziei.

Podsumujmy: Akropolis to wzgórze wawelskie. Kardynał Dziwisz zrobił z niego golgotę nieudanych polityków. Zrobił się z tego burdel, którym rządzi PiS. Partia zawłaszczyła narodową nekropolię. Wyspiański by tego nie wymyślił. Widać tu klamrę, która spina *Akropolis* i pierwszy happening z Leninem w czapce milicjanta na sedesie. Z tym, że miejsce siedzące zajął tym razem Wyspiański.

KRZYSZTOF MROZIEWICZ

¹¹ Waldemar Łazuga, *Kalkulować... Polacy na szczytach C.K. Monarchii*, Poznań 2013, s.35.

¹² Matteo Luigi Napolitano, *Tajne akta Watykanu. Dyplomacja Kościoła – dokumenty i tajemnice*, Jedność, Kielce 2013.

ADAM KULAWIK

WIERSE SIÓSTR KARMEL

Wiersze sióstr Karmel, Henryki i Ilony, zawarte w jednym tomiku wydanym w roku 2015 przez wydawnictwo Austeria, noszą tytuł *Śpiew za drutami*. Wierszy Henryki jest tam 48, Ilony 28. Tylko niektóre z nich, ostatnie, zostały napisane zaraz po wojnie, reszta w obozie pracy przymusowej w Skarżysku i Buchenwaldzie, gdzie obie siostry pracowały przy produkcji amunicji od listopada 1943 do kwietnia 1945 r. Pierwsze wydanie *Śpiewu za drutami* ukazało się w Nowym Jorku w roku 1947, drugie w Izraelu w roku 1999. Trzecie wydanie zawdzięczamy Austerii, ale przygotował je profesor Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego Aleksander B. Skotnicki. Jemu też czytelnik zawdzięcza informację o siostrach Karmel, krakowskich Żydówkach, poetkach, które swoją wrażliwość i wyobraźnię poetycką kształtowały na poezji polskiej. Ponadto, wychodząc naprzeciw naszej niewiedzy, profesor Skotnicki zadbał, by w tomiku znalazły się: *Wstęp do drugiego wydania* autorstwa Johna Wolfe i Joy Wolfe Ensor, dzieci Henryki Karmel; *Słowo wstępne* (do pierwszego wydania z roku 1947) autorstwa Jakuba Apenszlaka; przejmujący wstęp autorstwa obu sióstr *Do nieznanego czytelnika*, napisany jeszcze w Sztokholmie w roku 1947; *Śpiew za drutami* – bardzo ciepła recenzja wierszy Henryki i Ilony Karmel Natana Grossa, i na koniec – *Historia rodzinna i drogi literackie autorek „Śpiewu za drutami”*, autorstwa profesora Skotnickiego. Tom zamyka dokumentacja fotograficzna.

Warto dodać, że rysunek na okładce i ilustracje autorstwa Williama Wachtela są powtórzeniem oprawy graficznej tomiku z wydania nowojorskiego. Rysunek na okładce przedstawia dwie młode kobiety, z których jedna sięga przez druty kolczaste po kwiatek. Za nimi szubienica.

* * *

Śpiew za drutami wkomponowuje się w ten dział naszej twórczości literackiej, który nazwano „obozowa literatura”. Utwory tworzące ten korpus tekstów liczone są w setkach, a wyróżniają się nieobecnością dotąd w literaturze problematyką – degradacja człowieczeństwa; totalna kulturowa zapaść; trudny do pojęcia i ogarnięcia rozmiar cierpienia, które redukuje istnienie człowieka do poziomu fizjologii; obozy jako fabryki śmierci. Tę przestrzeń tematyczną ludzkiego doświadczenia wyznaczają z jednej strony utwory zdające sprawę z indywidualnego doznawania życia w warunkach obozowych, ze strony drugiej – utwory będące refleksją historiozoficzną, która sprowadza się głównie do stwierdzenia, że kultura nie jest autonomiczna, lecz

determinowana historią. Niekiedy historią spuszczoną z łańcucha. Elementem składowym tej historiozoficznej konstatacji było stwierdzenie, że kat i jego ofiara to elementy tej samej obozowej wspólnoty, a kapo, więzień dozorujący innych więźniów jest łącznikiem między ofiarą a katem. Albo raczej między katem a ofiarą. Inaczej mówiąc, ofiara, kapo i kat to inwarianty tego samego systemu.

* * *

Jeżeli zostało tu powiedziane, że *Śpiew za drutami* należy do obozowej literatury, to wcale nie znaczy, że dokument sióstr Karmel niczym się w niej nie wyróżnia. Owszem, wyróżnia się bardzo!

Po pierwsze tym, że napisany został, w przeciwieństwie do całej pozostałej reszty obozowej literatury, w obozie pracy przymusowej, a nie po wyzwoleniu z niego. Po drugie tym, że w przeciwieństwie do tamtej reszty ten dokument obozowej katorgi został wyartykułowany nie prozą, lecz wierszami, a więc w kodzie języka poetyckiego. Oba te wyróżniki nie mają analogii w obozowej literaturze.

Mógłby ktoś pomyśleć, że obóz pracy przymusowej to znowu nie taki koszmar, skoro można tam było pisać wiersze, a może i czytać książki. Wciąż słyszy się o takich, co kwestionują holokaust i jego rozmiary. Mówił profesor Kazimierz Wyka na wykładzie jakieś sześćdziesiąt lat temu o pewnej Amerykance, która słysząc o milionach ofiar obozów hitlerowskich, powiedziała: „No dobrze, ale niech mi pan powie, jak i kiedy Niemcy mogli przeprowadzić miliony rozpraw sądowych i wydać miliony wyroków”. *No comment!*

* * *

Między Konzentrationslager a obozem pracy przymusowej istniała w traktowaniu więźniów dość istotna różnica. W lagrze można było stracić życie nawet bezpośrednio po przybyciu do obozu – strzał w głowę albo komora gazowa, w obozie pracy przymusowej dopiero po fizycznym wyeksploatowaniu więźnia na przykład zatrudniając go przy produkcji naboju lub min. Siostry Karmel pracowały w tym pierwszym dziale, a obowiązywała je wyśrubowana norma dzienna wynosząca pięćset naboju, jak podaje profesor Skotnicki. *Arbeit i schne!* To najczęściej słyszał więzień, a wszystko, co wykraczało ponad sprawy niezbędne do życia – czas na nędzny posiłek, potrzeby fizjologiczne i sen – podpadało pod stanowcze niemieckie słowo *verboten* – zabronione, zakazane – które w użyciu obozowym brzmiało szczególnie złowrogo.

Nie tylko pisanie wierszy w obozie było *verboten*, ale *verboten* było samo posiadanie przyborów piśmieniowych – papieru i ołówka. Siostry Karmel pisały na jakichś jednostronnie zadrukowanych arkuszach przeznaczonych do sprawozdawczości, które ktoś im dostarczył/dostarczał, zabrawszy je z obozowego biura, skąd zapewne pochodziły również ołówki, bo przecież nie oprawki ze stalówkami, jakie ówczesnie były w użyciu, i nie kałamarze z atramentem.

I w tym miejscu budzi się mój nieklamany podziw dla Henryki i Ilony Karmel. Otóż osoba, która kradła dla nich materiały piśmienne, musiała mieć pewność, że nie zostanie zdradzona, gdyby któraś z sióstr czy obie zostały zdemaskowane w swym kulturowym, literackim, poetyckim procederze *verboten*, i zapytane, kto im te materiały dostarczył. Ale i siostry Karmel musiały mieć pewność, że nie zostaną „wsypane” przez dostawcę. I ta sytuacja pozwala mi w jakimś stopniu wyobrazić sobie, domyślać się – mam nadzieję, że zasadnie – jakie były relacje między więźniami w skarżyskim i buchenwaldzkim obozie, bo przecież pisanie wierszy można było jakoś ukryć przed strażnikami, ale nie przed więźniami. Przez półtora roku obozowej niewoli nie znalazł się nikt, kto by za jakiś ochłap strażniczej łaski zdradził tajemnicę sióstr. Ile trzeba było mieć kultury współżycia w niewyobrażalnych dla nas warunkach obozowych, ile umiejętności przekonywania, ile ujmujących cech osobowości, żeby przekonać głodnych, udręczonych, fizycznie wyczerpanych więźniów, że wiersze, którymi dotąd zapewne niewielu się interesowało, są wartością zachowaną z innej rzeczywistości, z innego świata, wartością, która przywraca człowiekowi godność, nawet jeśli w tych wierszach jest tylko obraz jego krańcowego poniżenia, są dowodem na to, że nie wszystko można człowiekowi zabrać, wszystkiego pozbawić.

Tyle wyczytałem nie z wierszy, tylko z faktu, że te wiersze sióstr Karmel były w obozie pisane i zapewne w wąskich gremiach słuchaczy czytane i wygłaszane. Dzieliły się siostry Karmel ze współwięźniami tym, co potrafiły stworzyć.

* * *

A z samych wierszy dowiadujemy się o zmęczeniu, głodzie, poniewierce, brudzie, pracy ponad siły, tęsknocie i pragnieniu zemsty – niemożliwej ze względu na jej niewyobrażalne rozmiary. I te niewyobrażalne rozmiary zemsty czynią ją niemożliwą, ale jako taka – niewyobrażalna – daje pojęcie o doznawanej krzywdzie i cierpieniu więźniarek Henryki i Ilony, a także tych, z którymi przyszło im dzielić obozowy los.

* * *

Oba zbiory wierszy sióstr Karmel zatytułowane są identycznie: *Wiersze zebrane* i podobnie zostały skomponowane. Wiersze Henryki otwiera wyszczególnienie, kto potrafi zrozumieć i pojąć to, czego doznała w obozie pracy przymusowej:

„Bracia w cierpieniu i siostry skrzywdzone”,
„Ci, co poznali (...) lęk śmiertelny,
Strach przed ostatnią i nieznaną drogą
W kraj bez powrotu...”,
„Ci, co znają udrękę czekania,
Dni głodne, znojne, noce bez nadziei,

Mękę tęsknoty i rozpacz rozstania”.
„Armie wyklęte zza drutów kolczastych”.

A zamyka je *Moja wolność*, której końcową strofę trzeba przytoczyć:

Wolność przyszła do mnie kilka dni za późno.
Gdy życie już wszystko, już wszystko zabrało –
I wolność naprawić się stara na próżno,
Bo szczęścia już nie ma, bo szczęście skonało –
Jest pokój szpitalny i ból samotności.
Nie mogę patrzeć w twarz mojej wolności.

W tekście profesora Skotnickiego czytam:

„W kwietniu 1945 roku naziści ewakuowali obóz pracy firmy HASAG w Buchenwaldzie. Blisko 28 tysięcy więźniów wyprowadzono na przymusowy marsz śmierci. W czasie marszu wielu więźniów celowo przejechali niemieckie czołgi”.

Henryka straciła nogę. Jej siostra Ilona straciła nogę. Niech ten cytat wystarczy – musi wystarczyć – za jakikolwiek komentarz *Mojej wolności*. A w *Wierszach wybranych* Henryki pomiędzy wierszem otwierającym a zamykającym zbiór *Moją wolnością* są takie oto obozowe obrazy:

Pochód

Najpierw dwóch
W podartych pasiakach,
Potem dwóch
W postrzępionych łachach,
A za nimi znów czterej z noszami...
A na noszach śmiesznie podskakiwał,
Ciemnej nocy strasznie się wykrzykiwał
Trup zastygły, zakryty szmatami.

Kolejne dwie zwrotki dopełniają tego obrazu „pochodu” do krematorium. Oto inny obraz, obraz głodu:

Chleb

Chciałabym mieć kiedyś chleb,
Taki duży, biały chleb,
Tylko dla siebie – cały,
Świeży, gorący,
Kminkiem pachnący,
Ze skórą chrupiącą,
Brązową, trzeszczącą –
Chleb!
I wpić się zębami i pieścić w olśnieniu,
Smak długo z rozkoszą czuć na podniebieniu,
I poczuć nareszcie, jak goi, łagodzi –
Żołądek skurczony w ustawicznym głodzie...
Chleb!

I jeszcze inny obraz:

Pamiętki

Pierzcho me szczęście, co gwiazdom się śmiało,
Minęło wszystko.
I cóż mi dzisiaj po tobie zostało?
Twoje najdroższe nazwisko.
Wspomnienie, co myśli w popłochu goni
I sercem miota.
Ślad po obrączce na mej ciemnej dłoni
I tęsknota, bezbrzeżna tęsknota.
Głód w obozie miał, jak tego dowodzi cytowany wiersz, różne postacie.

* * *

Wiersze wybrane Ilony otwiera *Pociąg widmo*. Wiersz niezwykle. Warto go czytać głośno, bo to, co w nim powiedziano, ma modulowany, ale wyrazisty rytm Tuwimowej *Lokomotywy*:

(...) Zamknięta w czterech, stalowych ścianach –
Wiła się, wiła ciżba rozedrgana,
Piętrzyły się ciała w jedną masę zbite,
Charczały i wyły zwierzęcym skowytom,
Powietrze duszne, ohydne w ich płuca się wdarto,
Koszmarną, ciężką łapą chwytalo za gardło –
Dyszeli, dyszeli w udręce bezbrzeżnej,
A dłonie szalone, jak szpony drapieżne,
Wyciągali po wodę, po jeden łyk wody,
Błagali o powiew, o chwilę ochłody,
Aż do krwi im wargi spękały spieczone,
Dyszeli chrapliwie – niby psy zgonione –
Konali, konali, konali...

Z tego „pożyczonego” od Tuwima rytmu coś musi wynikać i warto nad tym pomyśleć. Tuwimowy obraz lokomotywy, pociągu był zapewne dla wrażliwego dziecka niezwykle odkryciem estetycznym – oto przedstawiony w słowach obraz może uzyskać wsparcie w obrazie adekwatnym – akustycznym, rytmicznym. O tym odkryciu *expressis verbis* mówi również wiersz Henryki *Do Juliana Tuwima*, nazwanego przez nią „Zaklinaczem słów”. I teraz, tamto już nie dziecko, zamknięte w zaplombowanym wagonie, rozpoznaje tamten rytm, który nagle przestał być doznaniem estetycznym. Jest krańcowym doznaniem egzystencjalnym. Jest Tuwimowy pociąg wagonów miał ze czterdzieści, ale nie miał stacji docelowej. Pociąg Ilony Karmel ma. Takie było doświadczenie transportu do obozu. Jedno z doświadczeń obozowych Ilony przedstawia wiersz *Hiob*:

Szłam,
A on leżał w plugawym barłogu.
Był niemy, ponury, tępy.
Wtem wstał,
Ręce wyciągnął ku niebu, ku Bogu,
Ciszę w krąg krzykiem potargał na strzępy –
I krzyczał tak strasznie, że zatrzęsł się glob.
Poznałam go –
To był on – Hiob.
Stałam, patrzyłam
I głucho załkałam –
To dobrze, Hiobie – że wysoko tam
masz Boga i ku niemu wyciągasz swe pięście,
To dobrze, Hiobie, bo nie jesteś sam –
Jak ja w moim bólu, jak ja w mym nieszczęściu!

I jeszcze jeden z wielu:

Wrzód

Jak wrzód,
Pulsujący ropą, co w nim wzbiera,
Roztętniony bólem, co paszczę otwiera –
Tak głód
Moich marzeń,
Mej wielkiej tęsknoty –
Wciąż bije, jak młoty,
A żal
Jak nóż ostry kłuje.
Czujesz?
Do krwi.

Piórem, jak gdyby lancetem stalowym,
Błyszczącym, śmigłym, do ciosu gotowym
Weź – tnij!
Bądź jak.
Niech spłynie rozpacz znów
Spienioną ropą słów,
Ot – tak!

Ilona zdaje w tym wierszu sprawę z psychoterapeutycznej zdolności słowa, wiersza, twórczości. Tak jest naprawdę. Jeśli potrafiłeś swoim doznaniom nadać formę językową i jeśli jeszcze umiałeś tę formę nacechować poetycko, retorycznie czy w ogóle literacko, dokonałeś ekstrapolacji swego udręczenia z pokładów psychiki. Siostra Ilony, Henryka w tym samym celu posługiwała się wierszem, choć nie miała tej świadomości.

Ilona, podobnie jak siostra kończy swoje *Wiersze zebrane* tekstem zatytułowanym *Życiorys*, długim, liczącym dwanaście stron, napisanym czterostopowym jambem, który mógłby się znaleźć obok wielu fragmentów Tuwimowych *Kwiatów polskich*.

Zaczyna się ten utwór od opisu swojego dzieciennego pokoju:

Gdy świat był jeszcze taki mały,
Zamknięty między cztery ściany.
A kończy się tak:
Oto epilog, przyjacielu,
Wydarzeń koło się obraca,
Świat między cztery wtłoczony ściany.
Tylko że tu już nie mieszkają
Dzieciństwa sny. I tylko cienie
Dni tamtych trwożą ciemną nocą
Tamto straszniejsze, bo już znane –
i nie ma gdzie biec pod obronę –
Zabrakło dłoni ukochanych.
Strach, pustka, koniec opowieści.
A ma się wtedy lat dwadzieścia.

Ten wiersz, podobnie jak wiersz Henryki *Moja wolność*, został napisany już po wojnie, w szpitalu.

* * *

Potem siostry wierszy już nie pisały i postąpiły słusznie nie zmieniając, nie poprawiając, nie cenzurując tego, co napisały w obozach w Skarżysku i w Buchenwaldzie. Paradoksalnie to, co w tych wierszach miejscami poetycko słabsze, daje czytelnikowi przekaz niekłamany tego, co w obozach przeżyły i co straciły.

Ale siostry Karmel nie wzięły rozbratu z literacką twórczością. Pisały po wojnie opowiadania i powieści. Henryka oprócz opowiadania napisała dwie powieści: *The Baders of Jacob Street* (1971) i *Marc and Lisa* (1984). Ilona wydała w roku 1953 bardzo poczytną ówczesnie powieść *Stephania* i drugą w roku 1969 *An Estate of Memory*.

W ten sposób siostry Karmel jako autorki *Śpiewu za drutami* należą do literatury polskiej, a jako autorki utworów epickich weszły do historii literatury amerykańskiej.

ANDRZEJ KURZ

PAMIĘCI HENRYKA VOGLERA (1911–2005)

Dnia 1 czerwca br. w obecności liczego grona mieszkańców starego Kazimierza oraz miłośników literatury, teatru i dziejów Krakowa, jego prezydent, Jacek Majchrowski oraz Romana Próchnicka-Voglerowa wraz z synem i wnuczką odsłoniли tablicę ku czci Henryka Voglera. Przez połowę swego niemal stuletniego życia mieszkał on razem z rodziną w domu przy ul. Szerokiej 38, nieopodal bóżnicy Remuh i był krakowskiego Kazimierza najwybitniejszą postacią, choć urodził się kilometr dalej, w samym sercu Krakowa, przy Bramie Floriańskiej, naprzeciw Jamy Michalikowej.

Była tej symbolicznej niemal zmiany miejsca zamieszkania w Krakowie epokowej miary przyczyna – wojna i niemiecka okupacja. Po wojnie Henryk Vogler zaczął bowiem życie w Krakowie od nowa – na Kazimierzu właśnie.

O okolicznościach wielkiej przerwy w życiorysie Henryka Voglera mówi najmocniej jego własny wiersz, stworzony w nocy na pryczy hitlerowskiego obozu i zatrzymany w pamięci poety, przytoczony w czasie uroczystości odsłaniania tablicy przez przyjaciela Henryka, aktora Starego Teatru, Jana Güntnera:

Śmierć w obozie

Wczoraj w nocy umierano w obozie,
zły czas nastał: morowy i luty.

Wiało śniegiem i na sinym mrozie
ostro lśniły elektryczne druty.

Pierwszy zmarł ten z barłogu pod ścianą,
krew buchała mu z ust kilka godzin.

Nikt nie płakał, gdy zeszytywał wreszcie rano;
był to żebrak, podły szpicel i złodziej.

Drugi gnił już od dawna za życia,
cuchnął brzydko z gangreny i ropy,
wrzody swoje miał na ciele jeszcze z bicia.
Kiedy konał, miał odjęte obie stopy.

A trzeciego przyniesiono prosto z pracy,
przemarzył w polu bez bielizny od spodu.
Lekarz słuchał go, lecz on oddech już stracił,
leżał twardy niczym bryłka lodu.

Tejże nocy ujrzał strażnik kogoś z wieży,
gdy się skradał do latryny w boleściach
i wystrzelił doń, a on upadł i nie żył,
śnieg przysypał wkrótce skórę i kości.

O tym samym czasie zgłaszało czterech z głodu
porządkowy składał ich na kupę i zabierał.
Jeden spłonął, kiedy dotknął się przewodów,
a dwóch innych zrabano siekierą.

Rano trupy wyniesiono na plac. I był apel.
Ułożono ciała piątkami w szpalery,
ktoś się zjawił z papierami w łapie
i wywołał umarłe numery.

Potem wóz zajechał. Władowano zwłoki:
cienkie, zeschnięte, skurczone wszystko,
jak laleczki w wacie z martwym szklanym okiem.
Było to śmieszne widowisko.

A gdy wóz wyruszał za bramę
wyszły z bloków szare cienie maski,
karabiny zarzuciły na ramię,
na kołnierzach miały trupie czaszki.

I szczyrzyły zęby zepsute w uśmiechach,
wielkoludy w mundurach i karły,
i patrzyły na uwiędłe laleczki z uciechą.
Nie wiadomo, kto z nich żywy był, a kto zmarły.

A przypomniałem postać i prace Henryka Voglera, mojego przyjaciela i poprzednika w Wydawnictwie Literackim w przemówieniu, które przytaczam:

Henryk Vogler, zamieszkując wraz z żoną Romaną tu na Kazimierzu, otworzył nowy rozdział swojego życia. Urodził się bowiem i spędził całą przedwojenną młodość w rodzinnym domu przy ul. Floriańskiej. W Krakowie ukończył studia prawnicze i rozpoczął praktykę adwokacką – młody człowiek o postępowych poglądach, choć ze starej mieszczańskiej rodziny, elegancki i towarzyski, animator kabaretu, uczestnik literackich biesiad i debiutów, zapalony kibic Cracovii.

Agresja hitlerowska zmieniła życie milionów, zakończyła je straszną Zagładą. Henryk podjął swoją własną wojnę z Hitlerem. Przetrwał ciężkie obozy, oszukał śmierć, która zabrała tyłu jego najbliższych. Na obozowej pryczy w nocy układał wiersze i natychmiast po wyzwoleniu zapisał je w jedynej wojennej zdobyczy – grubym zeszyście.

Odbudował życie, swoje i rodzinne, właśnie tu – na Szerokiej 38. A żył długo, twórczo i aktywnie. Pisał wiersze, dramaty, recenzje teatralne, wreszcie powieści i wspomnienia. Organizował życie kulturalne Krakowa i Polski. Między innymi został w roku 1953 współzałożycielem Wydawnictwa Literackiego, jego naczelnym redaktorem. Walczył skutecznie o swobody twórcze. Po Październiku 1956 wydawał prozę Witolda Gombrowicza. Dzięki temu miałem argument, aby właśnie w Wydawnictwie Literackim opublikować całość *Dziół Gombrowicza* jeszcze w latach Polski Ludowej, w milionowym nakładzie, bez żadnej ingerencji cenzuralnej.

Henryk Vogler znalazł się także wśród założycieli Stowarzyszenia „Kuźnica”, razem z grupą swych przyjaciół, wybitnych pisarzy, ludzi teatru i artystów wszystkich dziedzin, manifestujących swe lewicowe, demokratyczne poglądy. Do końca swego życia brał czynny udział w spotkaniach i inicjatywach „Kuźnicy”, która po wygnaniu z pierwotnego lokalu w Rynku Głównym osiadła także na Kazimierzu, w zabytkowym domu przy ul. Szerokiej 2. Będziemy mogli z naszych okien spoglądać na Voglerową tablicę.

Dziękujemy za to Romanie Próchnickiej-Voglerowej i Panu Prezydentowi. I będziemy (póki żyjemy) pamiętać o naszym Przyjacielu Henryku.

ANDRZEJ KURZ

U NAS ŚWITA...

Do serii nieszczęść doszła dodatkowo bolesna śmierć niemieckiej jeszcze, ale już pustej w środku półdzikiej gruszy. Miała pełne prawo się przewrócić, urodziła – jak co dwa lata – z milion małych gruszek zaczarowanych chyba, bo w ciągu nocy, no, może dwóch, z zielonych kamieni zamieniały się one w żółte ulęgałki. Jedyne takie *Wunder-Drzewo* w Wójtowicach! Zebraliśmy w wory ponad 300 kg i pojedą teraz za wini-kiel do Brata Czecha, który na marzec przygotuje nam parędziesiąt litrów gruszkówki. Butle tego 60-procentowego trunku straciliśmy w pożarze, wraz z niezwykłą dereniówką przyrządzoną wg przepisu arcybiskupa Głodzia. Ale poza tym jest „cool”, zapominamy powoli o tragediach, chociaż pokrajana onkologicznie wzdłuż i wszeź dupa ciągle boli.

*

I tak przybyli na budowę (a raczej na odbudowę) domu pierwsi goście. A zarzekaliśmy się, że nie będziemy już tak łatwo otwierać drzwi. Prof. Paweł Kisielow, ocierający się o Nobla immunolog poszukujący białka, które ma rozpoznawać wredne komórki – jak odrzutowce wroga wymacane przez Awacs i prof. Marian Grynberg, którego namawiam, by przejął na nowo Fundację Nauki Polskiej i „dał granty” na polski udział w programie SETI. Otworzyli oni nową Księgę Wójtowickich Gości.

*

Gdy Wołodia Miller położył na stole 100 mln USD na kontynuację – chociaż w zmienionej nieco formule – tego programu, znowu o nim śnię. Jak zwykle – w kolorach. Na architekcie wydobylem stworzenie na piętrze trójkątnej kanciapy, ale za to z wielkim (1,7 m!) oknem zwróconym na wschód. Córki kupiły mi niemal profesjonalną lunetę, zamówiłem kilka atlasów nieba i przepiękną mapę Księżycy. Gorzej z aparaturą do odbioru sygnałów od obcych. W kanciapie skupię się także na podjęciu kilku tematów trapiących aktualnie ludzkość. Pociągnę dalej myślenie Tycho de Brache, zlikwiduję luki w czarnych dziurach Hawkinsa, popracuję nad falami grawitacyjnymi.

*

Na nasz nowy wójtowicki różanopalczasty świt składa się także Obywatelska Nagroda Europejska, którą Dorota i Jej Fundusz Lokalny Masywu Śnieżnika odbiera w czasie gali w Brukseli 12 października. Razem z KOD-em zgłoszonym do nagrody przez tę straszną Niemkę, czyli Różę Thun. Jacek Woźniakowski powinien wstać z grobu z gorejącym mieczem. Nas zgłosiła też nie bardzo polsko brzmiąca Lidia Geringer d Oedenberg. Chroniąc się przed troglodytami z Wiadomości TV szybko rozestaliśmy wici, że to nie NSDAP tylko szlachta kurlandzka. Klaka z Wójtowic jedzie do Brukseli małym autobusikiem.

*

Podobny autobusik zawiózł do Krajanowa, czyli do hacjendy Oli Tokarczuk, przedstawicieli wójtowickiej

elity, o której na szczęście nie mówi się per „salon spod numeru 19”, by naładować swe akumulatory w czasie Tygodnia nazwanego Górami Literatury. Na pięknej starej werandzie zasiadali różni znani Polacy – od Karola Modzelewskiego zwanego przez nas Charlim, Magdy Jethon i Justyny Sobolewskiej, po pisarzy Kruszyńskiego i Dehnela. Publiczność czyhała na każde słowo, była muzyka, odsłonięcie tajemniczej polnej figurki, no i oczywiście masa wegetariańskich smakotyków. Pito m.in. napój brazylijskich gaucho. Rej wodziła niestrudzona Henia, autorka felietonów o Hłasce, tudzież poetyckich przepisów kuchennych.

*

Odbudowa spalonego domu zapisze się w historii Wójtowic światową premierą. Otóż ogrzewanie będzie gazowe. Był piec na węgiel, był na sezonowanego buka, a teraz bezpiecznie spalać będziemy propan/butan (C3H8 i C4H10). Dostaliśmy w 1975 r, razem z Kaziem Bilanowem 10 000 zł nagrody od ministra Olszowskiego za przekonanie „NYT”, by w czasie wizyty tow. E. Gierka w USA zrobił z nim wywiad i zatytułował tekst *Switch from oil to coal – says ex-miner Gierek*. Tłumaczyć? My dziś bez nagrody „are switching from wood to gas”.

*

To *switching* szło jak po grudzie. Literalnie. Kilkunastoprocentową zawartością złota, nie mówiąc już o 90. kilogramach srebrnych sztućców, które na swym łożu śmierci obiecywała niedawno pod Dortmundem Sabine P., rzekomo zakopanych przez Jej Dziadka w 1945 r. Ale za to jest dół 4 m x 2 m i ponad 1 m głęboki, gdzie w tym tygodniu ma zostać usadowiony zbiornik na gaz o wadze niemal 1 tony. A potem już tylko zielony guzik na zmianę z czerwonym. I żadnych pożarów. Ewentualnie wybuch.

*

A dom? Dom stoi. Wielkie powierzchnie białych ścian, tak białych, że aż trochę błękitnych. Jak śnieg u Fałata. Czterech górali z Rzepisk i z Czarnej Góry pracuje w drewnie jakby szkolonych u Kenara, nie piją, chodzą w niedzielę do kościoła, śpią w stodole i się nie skarżą. Architekt Maciek dobiera właśnie lampy, a ja myślę, co by gdzie powiesić. Toulouse Lautrec obok wycinanki Matisse’a, a może odwrotnie, kardynał z zakonnicą geniusza zboczeńca Schielego za węglem, by wartości chrześcijańskich nie obrażał, kalendarz na 2017 z pracami Muchy nad biurkiem, którego nie ma. Półka na wydobyte z archiwum przez panią Ewę dawne numery „Zdania” umocowana. Tylko miejsce po spalonym Olewiczu ciągle puste...

KRZYSZTOF KOMORNICKI

TOMASZ GOBAN-KLAS

POTĘŻNY I SILNY, CZY POZORNIE WIELKI I SŁABY?

Wielowiekowe jest marzenie proroków o PiS – czyli w formie osobowej – o Prawym i Sprawiedliwym, a w biblijnym języku Potężnym i Silnym, który rozliczy winnych, uporządkuje świat, wprowadzi dobrą, mało – bardzo dobrą zmianę. Na takiego siłacza-mocarza czekał już starożytny prorok Izajasz (Księga 28):

Oto ktoś przez Pana [posłany], mocny i potężny,
jak burza gradowa,
jak niszczycielska trąba powietrzna,
jak nawałnica wód gwałtownie wzbierających,
[wszystko] na ziemię z mocą rzuci.
(...)

W owym dniu Pan Zastępów będzie
koroną chwały i ozdobnym diademem
dla Reszty swego ludu,
i natchnieniem sprawiedliwości
dla zasiadającego w sądzie,
i natchnieniem męstwa
dla odpierających natarcie u bramy.

O takim mocarzu usłyszał założyciel religii mormonów Joseph Smith, 27 listopada 1832 roku:

„I stanie się, że Ja, Pan Bóg, ześlę jednego Potężnego i Silnego (*One Mighty and Strong*), dzierżącego berło mocy w swej ręce, odzianego w światłość niczym okrycie, którego usta wymówią słowa, słowa wieczne [...] aby uporządkować dom Boży” (Nauki i Przymierza, 85:7).

W dzisiejszych czasach niepewności i zamieszania, przez Ulricha Becka nazwanego społeczeństwem ryzyka, odradza się tendencja, aby poszukiwać ludzi, którzy będą przewodzić zdecydowanie chroniąc swoich, zwalczając wrogów. Silny przywódca potrzebny na ciężkie czasy? Katarzyna Kolenda-Zaleska dostrzega „tęsknotę za wielkimi przywódcami z czasów zimnej wojny. Gdyby tu dziś była Margaret Thatcher... Gdyby w Waszyngtonie był Ronald Reagan... Te zdania słysząc i w Polsce, i w Rosji, i w Europie, i na Ukrainie” („Gazeta Wyborcza”, 4.03.2014).

Ale przecież Potężny i Silny już w Polsce jest! Jarosław Marek Rymkiewicz miał swoje objawienie w Milanówku 19 kwietnia 2010 roku i wyjawiał je w wierszu *Do Jarosława Kaczyńskiego*:

To co nas podzieliło – to się już nie skleci
Nie można oddać Polski w ręce jej złodziei
Którzy chcą ją nam ukraść i odsprzedać światu
Jarosławie! Pan jeszcze coś jest winien Bratu!
Dokąd idziecie? Z Polską co się będzie działo?
O to nas teraz pyta to spalone ciało
I jest tak że Pan musi coś zrobić w tej sprawie
Niech się Pan trzyma – Drogi Panie Jarosławie.

„My z niego wszyscy” – tę nutę podjęła Pani Premier Szydło, wyznając publicznie: „Mogę powiedzieć bardzo poważnie, że oboje z Mateuszem (Morawieckim – TGK.) jesteśmy pomazańcami Jarosława Kaczyńskiego”.

A On? On ci wielki jest! Oczywiście nie wzrostem: „Siadaj, kurduplu!” – krzyknął w Sejmie jeden z niezliczonych prezesów PiS parlamentarzystów, gdy Kaczyński szykował się do przedstawienia wniosku formalnego.

Jednak jakże wielu mocarnych przywódców było niskich: Włodzimierz Lenin – 164 cm, Józef Stalin – 164 cm, Władimir Putin – 169 cm. Podobnie Lech Wałęsa (169 cm) czy Aleksander Kwaśniewski (172 cm).

Wielki jest On ambicją, kpi Andrzej Celiński na Facebooku:

Kto chce być większy od innych.
Kto chce być największy.
Kto JEST WIELKI.
TEN JEST JAROSŁAWEM KACZYŃSKIM.

A niniejszy felietonista w duchu fundamentalisty-pisowca inwokuje:

O Ty, Jedyny, Prawy i Sprawiedliwy,
Uczyni Polskę Potężną i Suwerenną.

Czy się jednak ta dobra zmiana uda? Zadziwiającą odpowiedź znajdziemy w znanym wierszu Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego:

Zaraza rośnie świętek i piątek.
(skumbrie w tomacie skumbrie w tomacie)
Idę na Polskę robić porządek.
(skumbrie w tomacie pstrąg)

...
Chcieliście Polski, no to ją macie!

Jednak, jak powiada Hegel, wszystkie historyczne fakty i postacie powtarzają się, rzecz można, dwukrotnie. Marks dodaje, że za pierwszym razem jako tragedia, za drugim jako farsa.

I oto mamy przykład takiej farsy z jesieni tego roku: Jarosław K. insynuował, że Tusk może mieć zarzuty prawne, więc wyobraża sobie, iż polski rząd nie poprze Tuska na drugą kadencję w Radzie Europejskiej. Na to Tusk na Twitterze ripostuje: „A może debata, Panie Prezesie? O Europie, Polsce i Pana insynuacjach. Jestem do dyspozycji”.

Otrzymał jednak od prezesa wszystkich prezesów czarną polewkę: „Nie jestem w stanie rozmawiać z panem Tuskiem ani o tym, żeby został świadkiem koronnym – małym albo dużym, albo o zgodzie na karę. No, krótko mówiąc – nie ma o czym rozmawiać. On nie jest partnerem politycznym”. Skumbrie w tomacie, pstrąg.

Media zawrzały: Jarosław Kaczyński odmawia Donaldowi Tuskowi debaty. Politycy także.

Tusk trafił Kaczyńskiego w piętę Achillesa. Prawdziwy lider się nie uchyla, lider prowadzi („Wodzu prowadź!”) do boju, na dobre i na złe, z wrogiem wewnętrznym i zewnętrznym. Więc jak jest?

Polityczny zbawca polski, mocarz najnowszej historii Polski, jest w stanie rozmawiać tylko ze swoimi pomazańcami, sykofantami i podnóżkami w stylu Brudzińskiego czy Błaszczaka, by wymienić tylko tych na literę B. Im można podsunąć słowa Rejenta w *Zemście* Fredry:

Do maluczkich upaść nóżek
Jako sługa i podnóżek.

Na kolanach czekają także inni politycy PiS, ci na D i pozostałe litery alfabetu, dla których Jarosław K. jest alfą i omegą. Do czasu, czyli do wyborów. ■



ZACHOWALI SIĘ JAK TRZEBA

Żeby tę pochwałę wygłosić publicznie pod adresem żołnierzy wyklętych, urzędujący prezydent Rzeczypospolitej udał się aż za ocean, do „amerykańskiej Częstochowy”, gdzie postawiono im pomnik. Na ziemi amerykańskiej, być może pierwszy, ale zapewne nie ostatni. W kraju bowiem stoi ich już sporo, a będzie ich z każdym rokiem, a nawet miesiącem przybywać, gdyż kampania propagandowa, której celem jest szerzenie kultu „leśnych”, przybiera na sile. Zaczął ją, nie przemyślawszy – co było w jego zwyczaju – skutków podejmowanych przez siebie decyzji prezydent Komorowski, a kontynuuje z właściwą sobie gorliwością niejaki Jaki, urzędujący wiceminister sprawiedliwości.

* * *

W tym zbożnym dziele wspomaga go, a nawet wyręcza sam Pan Prezydent. W „amerykańskiej Częstochowie” wygłosił przemówienie, nad którym warto się pochylić. Mogliśmy się z niego dowiedzieć, że to w Polsce właśnie setki tysięcy młodych ludzi uczestniczyły w „największym podziemnym ruchu bojowym po II wojnie światowej”. Historycy nie szastają tak liczbami. Szacują, że w konspiracji powojennej działało od 120 do 180 tysięcy osób, z czego połowa wywodziła się z AK. A komendant tej największej organizacji zbrojnej, gen. Leopold Okulicki już 19 stycznia 1945 roku wydał rozkaz o jej rozwiązaniu. W tymże roku w lasach, z bronią w ręku, znajdowało się 13-17 tysięcy żołnierzy. W rok później, po pierwszej amnestii (sierpień 1945) pozostała tam połowa, a po drugiej (luty 1947) od 1100 do 1800 osób. Po 1950 roku ta liczba zmalała do 400. Ostatnią grupę zbrojną rozbito w 1957 roku. W walce z władzą ludową zginęło z bronią w ręku 8,6 tysiąca jej przeciwników (w tej liczbie mieszczą się członkowie UPA), a 3 tysiące stracono po wyrokach. W obronie nowego ustroju zginęło 12,5 tysiąca milicjantów i żołnierzy KBW, tysiąc żołnierzy NKWD oraz 10 tysięcy cywilów (pracownicy UB, aktyw partyjny, ofiary przypadkowe).

* * *

Tyle faktów i liczb – tytułem przypomnienia. Nawet jeśli one są i będą przedmiotem sporu, to dają przybliżone wyobrażenie o zasięgu i skali zbrojnego oporu na ziemiach polskich przeciwko nowemu porządkowi ustanowionemu w Jalcie. Jednak jakkolwiek byśmy liczyli, to nie będą to setki tysięcy młodych ludzi z bronią w ręku, jak chce Pan Prezydent, gotowych oddać życie za Polskę. A jeśli nawet by tak było, to nie wiemy, za jaką? Szacuje się, że nową władzę i ustrój popierało po wojnie nie więcej jak 25 procent społeczeństwa. Jeszcze w 1957 roku Gomułka tłumaczył zachodnim dziennikarzom, że władza nie może sobie pozwolić na wolne wybory, bo by je przegrała, choć ten prawie milion ludzi zebranych na placu Defilad w 1956 roku i wiwatujących na jego cześć

zdawał się temu przeczyć. A kiedy ta sama władza na takie wybory się zdecydowała 30 lat później, to się okazało, że tow. Wiesław miał rację.

Wśród tych ponad 20 procent popierających byli na pewno ci, co dostali ziemię z reformy rolnej, czyli robotnicy folwarczni i małorolni chłopi. Takich rodzin było prawie 400 tysięcy. Jeśli tę liczbę pomnożymy przez pięć, bo tylu członków one średnio liczyły, to będą dwa miliony, miała więc władza ludowa z czego rekrutować funkcjonariuszy MO, SB i żołnierzy KBW. Dziś też spośród 38 procent potencjalnych wyborców gotowych głosować na PiS (sondaż z połowy października) co najmniej połowa jest beneficjentami programu 500+. Niedawno podało oficjalnie, że państwo wypłaca co miesiąc po 500 złotych dla 3,8 miliona dzieci! Jak widać, w każdym czasie można sobie kupić poparcie. Pytanie tylko, za jaką cenę.

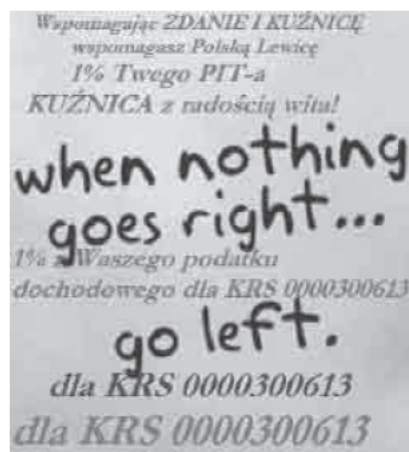
* * *

A kim w takim razie byli czczeni obecnie żołnierze wyklęci? Władza, z którą walczyli, nazywała ich wrogami ludu i reakcyjnym podziemiem, a dziś Prezydent Rzeczypospolitej mówi, że „to właśnie oni zachowali się jak trzeba”. Byli wśród nich ludzie prawi, wierni swoim ideałom i gotowi w ich obronie oddać życie. To im się należy godny pogrzeb, jeśli go nie mieli i dobra pamięć. Ale wojna ludzi demoralizowała i do lasu szli lub w nim pozostali także wykolejeńcy, którzy grabiąc i mordując nierzadko niewinnych ludzi zasługują na potępienie i złą sławę. Tymczasem pośpiesznie fundowany mit żołnierzy wyklętych ich nie różnicuje, tylko wszystkich pospółu wynosi na ołtarze. Może by IPN zdobył się na rzetelne opracowanie, z którego dowiedzielibyśmy się, kto „leśnych” żywił i ubierał, skąd mieli pieniądze i broń, jak się układały relacje z miejscową ludnością itp. Proza życia wyklętych jest bowiem niemniej interesująca jak ich bohaterska legenda.

Jeśli w powiedzeniu „to oni właśnie zachowali się jak trzeba” zawiera się wykładnia najnowszej historii Polski, to nie ma na nią zgody. Bo z niej wynika, że jeśli ktoś wtedy zachował się inaczej, czyli nie poszedł do lasu lub w nim nie pozostał, to nie zasługuje na miano Polaka i nie okazał się patriotą. Tymczasem przedwojenny wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski włączył się w odbudowę kraju, lecz zacierzwiona ideologicznie władza tolerowała go tylko do 1948 roku. Z powojenną władzą znalazł także *modus vivendi* Kościół. Miliony ludzi nawet nie akceptując nowego ustroju, podjęły wysiłek zbudowania po wojennej hekatombie domu, założenia rodziny czy znalezienia pracy. Dla nich alternatywą nie był las i walka z władzą, tylko chęć życia i korzystania z jego uroków.

Oni wszyscy, według Pana Prezydenta, nie zachowali się jak trzeba. Ciekawe, jakby się zachował Andrzej Duda, gdyby wtedy żył.

SCEPTYK



Przypominamy, że **„Zdanie” jest dostępne w sieci empik** w 80. polskich miastach. **Szukajcie nas w megastorach oraz salonach I i II kategorii.** Informujcie o tym wszystkich, którzy są zainteresowani kupnem oraz lekturą naszego pisma. Egzemplarze archiwalne można otrzymać w sekretariacie Stowarzyszenia „Kuźnica” (Kraków, ul. Miodowa 41) oraz w Klubie Księgarza (Warszawa, Rynek Starego Miasta 22/24).

„Zdanie” jest też w internecie: w Małopolskiej Bibliotece Cyfrowej (za lata 1994-2015) oraz w internetowym Katalogu Czasopism Kulturalnych (okładki i spisy treści wszystkich numerów za ten sam okres). Bieżące informacje można znaleźć na stronie internetowej „Kuźnicy” oraz na facebooku.

REDAKCJA

ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

Redaguje zespół:

Edward Chudziński (redaktor naczelny), Tomasz Goban-Klas, Krzysztof Komornicki, Adam Komorowski, Beata Kowalska, Paweł Kozłowski, Krzysztof Mroziewicz, Lech M. Nijakowski, Filip Ratkowski, Andrzej Ruchałowski (sekretarz redakcji), Paweł Sękowski.

Makieta wg projektu Mściwoja Olewicza

Adres Redakcji: 31-052 Kraków, ul. Miodowa 41

www.kuznica.org.pl; e-mail: kuznica41@interia.pl

Wydawca (na zlecenie Stowarzyszenia „Kuźnica”):

Marian Szulc, 30-441 Kraków, ul. Fałęcka 60

Skład komputerowy i łamanie: Joanna Byczyńska

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne „Zapolex” sp. z o.o.

Nakład: 1000 egz.

